

Candace Bushnell

ZACZYTAJ SIĘ

ZA  
WSZELKĄ  
CENĘ

POWIEŚĆ AUTORKI KULTOWEGO  
„SEKSU W WIELKIM MIEŚCIE”

**Candace Bushnell**

**Za wszelką cenę**

*Przełożył Michał Juszkiewicz*

Mojej mamie Camille, kobiecie o wielkiej urodzie

A także moim babciom:

Elsie Salonie, która była miłośniczką książek od zawsze Świętej

pamięci Lucy i Lenie Oraz mojej nowej babci Jane

Dziękuję także w szczególny sposób kochanej Anne Shearman za jej

tytuł

**CZEŚĆ PIERWSZA**

**Rozdział 1**

Działo się to w pierwszych dniach lata roku 2000, w Nowym Jorku, gdzie na ulicach zalega złoty pył, produkt uboczny miliarda przedsięwzięć napędzających świetnie prosperującą gospodarkę. Życie i interesy toczyły się zwykłym tempem. Świat bezboleśnie przeszedł w nowe tysiąclecie, prezydent ponownie uniknął odsunięcia od władzy, a milenijna bomba, zamiast wybuchnąć z hukiem, narobiła tylko słabego szumu, jak butelka zwietrzałego francuskiego szampana. Miasto stało w pełni swej chwały, pyszne, wulgarne, bezwzględne.

Na ustach wszystkich był obecnie Peter Cannon, prawnik gwiazd przemysłu rozrywkowego, który oszukał kilkoro swoich klientów na przybliżoną sumę trzydziestu pięciu milionów dolarów. Najbliższe miesiące i lata miały przynieść kolejne skandale i kolejne miliony zdarte z amerykańskiego obywatela, ale dotąd w „sprawę Cannona” było

zamieszanych dość znanych osób, aby choć na chwilę zaspokoić głodnych sensacji nowojorczyków. Kto chciał być kimś, musiał osobiście znać prawnika szalbierza, a przynajmniej którąś z ofiar jego błyskotliwego przekrętu. Zapytywano się nawzajem: „Jak jego klienci mogli się na nim nie poznać?”.

Jedną z osób poszkodowanych przez Cannona był Digger, trzydziestojednoletni muzyk rockowy. Nazwiska nie miał albo nie używał i jak niejeden wielki artysta zaczynał dość skromnie i nosił się trochę dziwacznie. Pochodził z Des Moines w Iowa, miał blond włosy i przeraźliwie bladą, przezroczystą skórę, przez którą prześwitywały sine żyły. Jego znakiem rozpoznawczym były kapelusze z szerokim rondem. W piątek poprzedzający ostatni poniedziałek maja, czyli dzień pamięci poległych na polu chwały, Digger spędzał popołudnie w wynajętej za sto tysięcy dolarów letniej rezydencji w Sagaponack w nowojorskiej dzielnicy Hamptons. Siedział spokojnie nad brzegiem basenu, palił papierosa bez filtra i przyglądał się swojej żonie Patty, z ożywieniem rozmawiającej przez telefon.

Digger zgasił papierosa w donicy z chryzantemami (na ogrodnika czekała tam już niewielka grządka niedopałków) i wyciągnął się na tekowym leżaku. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w taki piękny dzień ludzie mogą do tego stopnia podniecać się tym całym Peterem Cannonem.

Digger należał do osób, które mają w życiu szlachetniejsze cele niż nabijanie kieszeni, w związku z czym kompletnie nie był świadomy wartości pieniądza. Jego menedżer ocenił stratę na blisko milion dolarów,

ale dla Diggera milion dolarów stanowił niejasny abstrakt, przeliczalny tylko na muzykę. Wytłumaczył więc sobie, że aby odzyskać swój milion, musi napisać jeden przebój, i dalej rozkoszował się pięknym popołudniem w luksusowej rezydencji.

Jego ukochana żona Patty nie podzielała jednak mężowskiej beztroski.

Od pół godziny wisiała na telefonie, prowadząc nerwową rozmowę ze swoją siostrą, Janey Wilcox, słynną modelką Victoria's Secret.

Digger rzucił okiem w stronę altanki po drugiej stronie basenu, gdzie siedziała Patty, zgarbiona nad telefonem. Jej pełne kształty opinał jednoczęściowy biały kostium kąpielowy. Spojrzała na niego i zrozumieli się bez słów. Wstała i ruszyła w jego stronę, a jemu jak zwykle zabrakło słów zachwyty dla jej urody, będącej ideałem amerykańskiego kanonu piękna. Jej okrągłe oczy miały kolor błękitu, blond włosy, wpadające w rudawy odcień, sięgały połowy pleców, a zgrabny, lekko zadarty nosek był usiany piegami. Digger nigdy nie podzielał opinii tych, którzy uznawali Janey, starszą siostrę Patty, za „wielką piękność”. Cechą wspólną obu siostr był ów zadarty nos, ale rysy Janey cechowała przebiegłość i dzikość, w których on nie gustował, a poza tym z powodu jej chorej obsesji na punkcie pieniędzy i statusu, lekceważącego, aroganckiego sposobu bycia i obłądnej wręcz miłości własnej uważał ją za egocentryczną idiotkę.

Patty stanęła nad nim i wyciągnęła do niego słuchawkę.

– Janey chce z tobą rozmawiać – powiedziała.

Krzywiąc usta w grymasie niesmaku, który odsłonił jego krótkie, poźółkłe, nierówne zęby, Digger przyłożył słuchawkę do ucha.

– Co tam? – zapytał.

– Digger, ojej. – Wystarczyło, że usłyszał głos Janey, melodyjny, z lekkim akcentem, a momentalnie poczuł irytację. – Tak mi przykro.

Wiedziałałam, że Peter w końcu wykręci jakiś głupi numer. Żałuję, że cię nie ostrzegłam.

– Wiedziałaś? Skąd? – Digger wydlubał z zębów kawałek tytoniu.

– Spotykałam się z nim w zeszłym roku – przyznała się – ale tylko przez kilka tygodni. Wyzywał każdego od pieprzonych Polaczków...

Digger milczał. Nazwisko, którego nie używał, brzmiało Wachanski.

Zastanawiał się, czy Janey celowo chciała go obrazić.

– No i co? – przerwał ciszę.

– Zawsze wiedziałam, że to łajza. Kochany, nawet nie wiesz, jak strasznie mnie to dołuje. Co teraz zrobisz?

Digger spojrzał na Patty i wyszczerzył zęby.

– Skoro aż tak mu potrzebna moja kasa, to niech ją sobie zatrzyma.

Usłyszał sapnięcie, zapadła cisza, aż w końcu w słuchawce rozległ się perlisty śmiech.

– Postawa godna... buddysty. – W głosie Janey brzmiało źle maskowane szyderstwo. Ale widocznie na tym jej koncept się wyczerpał, bo dodała: – Zobaczymy się dziś u Mimi Kilroy?

– U kogo? – zapytał Digger znudzonym tonem, którego zwykle używał, kiedy ktoś pytał go o Britney Spears. Doskonale wiedział, kim była Mimi Kilroy, ale ponieważ pochodziła z warstwy społecznej, której on, jak wielu z jego pokolenia, nie tolerował, czyli z republikańskiej anglosaskiej elity,

nie zamierzał dać Janey tej satysfakcji.

– U Mimi Kilroy – odparła Janey, ukrywając zniecierpliwienie. –

Wiesz, to córka senatora Kilroya...

– Aha, tak. – Digger już jej nie słuchał, bo obok niego usiadła Patty.

Zmienił pozycję, żeby móc położyć kościstą łydkę na jej kolanach.

Spojrzała mu w twarz i dotknęła jego ramienia, a on jak zawsze poczuł nieodpartą ochotę na seks. – Muszę kończyć – rzucił, wyłączając telefon.

Pociągnął Patty na siebie, okrywając jej twarz pocałunkami. Był w niej zakochany po uszy, a w jego małżeńskich uczuciach nie było za grosz cynizmu. Kochał Patty głęboką, romantyczną miłością, poza którą nic się dla niego nie liczyło. A Peter i Janey niech się pierdziela, pomyślał. Jeśli jeszcze tego nie zrobili.

No nie, pomyślała Janey Wilcox. Skoro Digger nie dba o pieniądze, to niech odpali mi jakąś sumkę.

Jej srebrny porsche boxter z opuszczanym dachem tkwił w niekończącej się rzece pojazdów, które toczyły się rozpaczliwie wolno po autostradzie Long Island. Stanie w korkach jest już passe, szczególnie dla supermodelek, pomyślała. Gdybym miała milion na zbyciu, poleciałabym na Long Island hydroplanem, a na miejscu odebrałby mnie samochodem osobisty asystent. Tak robią wszyscy bogaci ludzie, których znam. Ale to jest właśnie Nowy Jork: może ci się wydawać, że odniosłaś sukces, ale i tak zawsze znajdzie się ktoś bogatszy, lepszy, sławniejszy... Czasami aż wszystkiego się odechciewa. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na srebrzystą maskę samochodu, aby Janey odżyła i przypomniała sobie, że w

obecnej sytuacji nie ma powodów do zniechęcenia, wręcz przeciwnie.

Trochę dyscypliny, a zdobędzie wszystko, o czym zawsze marzyła.

Różowe okulary przeciwsłoneczne Chanel zsunęły się jej z nosa. Janey

poprawiła je, czując drobną satysfakcję z powodu posiadania

obowiązkowego gadżetu na tegoroczne lato. Należała do tych osób,

których efektowna powierzchowność skutecznie maskuje wewnętrzną

pustkę, a jednak gdyby ktoś jej zarzucił, że ma płytką osobowość, byłaby

szczerze zdziwiona. Janey Wilcox należała do tej klasy pięknych kobiet,

które, choć uwielbiane tylko za urodę, są święcie przekonane, że drzemią

w nich nieprzebrane pokłady uspionych talentów. Wierzyła, że jej

przepiękne, niemal idealne ciało skrywa genialnego ducha, który pewnego

dnia zadziwi świat, wydając nań jakieś wybitne dzieło – przypuszczalnie

raczej dzieło sztuki niż na przykład strategii handlowej. Tej pewności nie

zdołał zachwiać nawet całkowity dotychczasowy brak dowodów

domnianego geniuszu. Janey Wilcox, spotkawszy Tolstoja,

oczekiwałyby, że natychmiast ujrzy on w niej bratnią duszę.

Ruch na autostradzie zwolnił do trzydziestu kilometrów na godzinę.

Janey zabębniła w kierownicę. Osiemnokaratowe złoto zegarka bulgari

błysnęło w słońcu. Jej palce były długie i szczupłe – usłyszała kiedyś od

wróżki, że ma palce artystki. Szpeciły je tylko kwadratowe opuszki i

obgryzione do mięsa paznokcie. Odkąd dziewięć miesięcy temu, niby

Kopciuszka na balu, wybrano Janey na główną modelkę nowej kampanii

reklamowej Victoria's Secret, każdy pedikiurzysta w mieście zdążył już

wygłosić do niej płomienną mowę wzywającą do zaprzestania obgryzania

paznokci. Nie potrafiła jednak zerwać z tym nawykiem jeszcze z czasów dzieciństwa. Ból fizyczny, który sama sobie zadawała, w perwersyjny sposób pomagał jej uporać się z bólem emocjonalnym, który zadawał jej otaczający świat.

Także teraz, stojąc w korku, sfrustrowana myślą o hydroplanach, przewożących sprytniejszych członków nowojorskiej socjety, odruchowo uniosła palce do ust, lecz po raz pierwszy się opanowała. Przypomniła sobie, że przecież jest u szczytu, a jeszcze rok temu była kompletnie spłukana. Miała trzydzieści dwa lata, była modelką i aktorką, lecz nagle jej kariera się załamała. Nie zostało jej nic – żeby opłacić mieszkanie, musiała pożyczać od swoich bogatych kochanków. Targnęło nią żenujące wspomnienie tych najgorszych trzech tygodni, kiedy doprowadzona do ostateczności postanowiła zostać agentką handlu nieruchomościami i była nawet na czterech zajęciach kursu przygotowawczego. Ale przecież w końcu los musiał się do niej uśmiechnąć – i czy tak się nie stało? Spojrzała we wsteczne lusterko. Pamiętaj, upomniła się, że z taką urodą nie można przegrać.

Zadzwonił telefon. Nacisnęła zielony przycisk, sądząc, że to Tommy, jej agent. W zeszłym roku nawet nie chciał z nią rozmawiać, ale kiedy wzięła udział w kampanii Victoria's Secret, a jej twarz trafiła na billboardy i okładki wszystkich magazynów w kraju, Tommy momentalnie objawił się jako jej najlepszy przyjaciel. Od tej pory dzwonił kilka razy dziennie i przekazywał najświeższe plotki. To właśnie od niego usłyszała dziś rano, że Peter Cannon został aresztowany we własnym biurze. Ucięli sobie



rozkoszną pogawędkę na temat jego wad i doszli do wniosku, że największą z nich było to, że pracując z gwiazdami, stracił głowę i ubzdurało mu się, że sam też jest gwiazdą. W Nowym Jorku wszystko jest możliwe, ale wiadomo przecież, że istnieje nieprzekraczalna bariera oddzielająca sektor gwiazd od sektora ich „obsługi”. Miejsce prawnika, choćby najlepszego i najbardziej doświadczonego, znajduje się w tym drugim sektorze. Historię Petera opowiadano sobie teraz jako przestrozę: kto próbuje złamać naturalne prawa świata sławnych i bogatych, może łatwo skończyć w areszcie, a później w więzieniu.

Ale to nie był Tommy. Zamiast nadskakującego „cześć, boska” Janey usłyszała kobiecy głos ze starannym angielskim akcentem:

– Czy pani Janey Wilcox?

– Przy telefonie. – Janey już wiedziała, że dzwoni sekretarka jakiejś szycy z przemysłu filmowego. Ostatnim wymogiem mody w tym biznesie było posiadanie angielskiej sekretarki.

– Pan Comstock Dibble chce z panią rozmawiać. Czy może pani odebrać? – Zanim Janey zdążyła odpowiedzieć, Comstock sam się włączył.

– Janey... – zaczął szorstko, dając do zrozumienia, że od razu chce przejść do rzeczy. To była ich pierwsza rozmowa od blisko roku. Dźwięk jego głosu spowodował u Janey natłok niemiłych wspomnień. Zeszłego lata Comstock Dibble był jej kochankiem. Janey nawet już myślała, że go kocha, gdy nagle on zaręczył się z Mauve Binchely, wysoką, wiotką bywalczynią sfer towarzyskich. Gorycz bycia porzuconą dla innej kobiety

(i to, według oceny Janey, zupełnie brzydkiej) potęgował fakt, że stało się to nie po raz pierwszy. Mężczyźni bardzo chętnie spotykali się z Janey, ale do stałego związku wybierali sobie bardziej „odpowiednie” kandydatki, a ją puszczali kantem.

Z drugiej strony, Comstock Dibble, szef Parador Pictures, był jednym z najpotężniejszych ludzi w przemyśle filmowym. Niewykluczone, że chciał zaproponować jej rolę w nowym filmie. Z tego powodu, choć bardzo chciała dać mu nauczkę – a przynajmniej pokazać, że się go nie boi – Janey postanowiła grać ostrożnie. Sztuka przetrwania w Nowym Jorku opiera się na umiejętności chowania uraz, aby dzięki temu móc wspiąć się wyżej na drabinie społecznej. Narzuciła więc sobie chłodny ton (chciała go wyziębic jeszcze bardziej, ale się nie udało) i odparła:

– Comstock? Słucham.

To, co usłyszała potem, nieco ją przestraszyło.

– Janey – powiedział Comstock – zawsze byliśmy przyjaciółmi.

Nie chodziło o to, że mówiąc o przyjaźni, kłamał w żywe oczy; żaden normalny człowiek nie nazwałby ich relacji w ten sposób. Haczyk polegał na tym, że kiedy potężny i wpływowy nowojorczyk zaczyna rozmowę od „zawsze byliśmy przyjaciółmi”, oznacza to, że najprawdopodobniej ma coś nieprzyjemnego do powiedzenia. Tego hasła używa się zwykle w sytuacji, gdy jedna osoba z winy drugiej odniosła jakąś szkodę, ale ponieważ obie należą do nowojorskiej elity, chce najpierw porozmawiać, zanim sprawą zajmą się prawnicy i prasa brukowa. Janey zastanowiła się chwilę i jej początkowy strach przerodził się w oburzenie. Jaką szkodę

mogła wyrzucić komuś takiemu jak Comstock Dibble? Przecież to on ją rzucił i to on był jej coś winien. Chciała jednak, żeby odkrył karty, więc powstrzymała słowa cisnące się jej na usta i rzuciła zalotnie:

– Jesteśmy przyjaciółmi? Aha... A cały rok siedziałeś cicho. Myślałam, że dzwonisz, bo masz dla mnie rolę.

– Nie wiedziałem, że jesteś aktorką, Janey.

To był cios poniżej pasa. Comstock doskonale wiedział, że osiem lat temu wystąpiła w filmie akcji, ale kino jej nie pokochało.

– Wielu rzeczy o mnie teraz nie wiesz – odparła – bo w ogóle nie dzwonisz.

Zdawała sobie sprawę, że absolutnie nie musi do niej dzwonić, ale równie dobrze wiedziała, że nic tak nie dopiecze mężczyźnie jak poczucie winy z powodu zerwania kontaktów z dziewczyną, którą się kiedyś obracało.

– Przecież dzwonię – mruknął.

– To kiedy się zobaczymy?

– Właśnie o tym chcę pogadać.

– Tylko mi nie mów, że zerwałeś z Mauve.

– Mauve jest kochana. – To miało sugerować, że Janey wprost przeciwnie. Poczła się obrażona i odpowiedziała drwiąco:

– No pewnie. Przecież jej praca polega na tym, że posiada odziedziczone miliony.

– Janey... – przerwał jej Comstock ostrzegawczym tonem, ale nie dała się uciszyć.

– To szczerą prawdą. Sam wiesz, jak jest. – Janey odnalazła swobodny styl rozmowy, który w zeszłym roku był jej wielkim atutem w związku z Comstockiem. Miała do niego wielki żal, że ją rzucił, ale z drugiej strony pochlebiała jej poufałość z wpływowym człowiekiem należącym do elity rządzącej Nowym Jorkiem. Ciągnęła gładko dalej: – Nietrudno być miłą osobą, kiedy pieniądze same wpadają do kieszeni.

Comstock westchnął, jakby chciał powiedzieć, że jest żałosna, ale rzekł tylko:

– Nie bądź zazdrosna.

– Nie jestem – parsknęła Janey. Nie znosiła, gdy ktoś wytykał jej wady.

– O Mauve Binchely? Żartujesz chyba!

W jej pojęciu Mauve była już praktycznie zabytkiem – miała czterdzieści pięć lat – a jedyną rzeczą, która mogła się w niej podobać, były ciemne, długie i falujące włosy.

Comstock najwidoczniej miał już dość tego tematu, bo nagle powtórzył:

– Janey, zawsze byliśmy przyjaciółmi. Wiem, że nie będziesz robić mi kłopotów.

– Z jakiego powodu? – zapytała.

– Nie zgrywaj się – warknął. Jego głos nagle przycichł, a ton stał się niemal konspiracyjny. – Jesteś niebezpieczną kobietą.

W pierwszej chwili Janey poczuła się mile połączona tym przytykiem, bo miewała napady narcyzmu, kiedy to wyobrażała sobie, że faktycznie jest niebezpieczną kobietą, która chce zawładnąć całym światem. Jednak

w słowach Comstocka wyczuła ukrytą groźbę. W zeszłym roku, kiedy była bez grosza, za jej plecami szeptano, że jest kurwą. W tym roku odbiła się od dna, radziła sobie sama, ale szepty nie ustały, zmieniły tylko charakter.

Teraz mówiono o niej, że jest niebezpieczna. Ale taki jest Nowy Jork.

Nadała głosowi zmysłowe brzmienie, żeby ukryć narastającą konsternację:

– Kiepsko ci wychodzi ta rozmowa z przyjaciółką, Comstock.

Jego śmiech trwał dokładnie sekundę.

– Nie próbuj mi robić koło pióra... – powiedział tonem groźby.

Przez chwilę Janey spodziewała się, że zaraz nastąpi jeden z jego

osławionych wybuchów. Comstock Dibble, geniusz filmowego biznesu,

był także znany z niepoahowanego temperamentu. Wiele kobiet

usłyszało od niego skierowane pod swoim adresem wyzwisko „cipa”.

Większość dostała potem kosze kwiatów na przeprosiny. W mieście było

kilkunastu takich ludzi jak Comstock – w jednej chwili ujmująco

grzecznych, w następnej miotających przekleństwami. Dopóki jednak

Dibble kierował Paradorem, a Parador pozostawał pupilkiem prasy, nie

było na to siły – i to także jest charakterystyczne dla Nowego Jorku.

Gdyby Janey Wilcox miała mniej pewności siebie, na pewno dałaby się

zstraszyć, ale ona zawsze szczyliła się tym, że nie pozwala wodzić się za

nos nawet najpotężniejszym mężczyznom. Odparła zatem głosikiem

pełnym najszczerzej niewinności:

– Grozisz mi?

– Wybierasz się dziś do Mimi Kilroy? – Wypluł z siebie to pytanie.

Janey była tak zaskoczona, że wybuchnęła śmiechem.

– No wiesz? Nie masz lepszych rzeczy do roboty, niż dzwonić do mnie i pytać, czy idę na przyjęcie?

– Skoro już o to pytasz, to mam – odpowiedział, przedrzeźniając jej swobodny ton – i dlatego jestem taki wkurzony. Do jasnej cholery, nie możesz posiedzieć w domu?

– A ty nie możesz?

– Mauve jest przyjaciółką Mimi.

– No to co? – Głos Janey był zimny jak stal.

– Posłuchaj mnie, Janey – powiedział Comstock. – Ostrzegam cię jak przyjaciel. Lepiej dla nas obojga, żeby nikt się nie dowiedział, że się znamy.

Janey nie mogła się powstrzymać, żeby nie przypomnieć mu o ich dawnym związku.

– Nie, Comstock – odparła ze słodkim uśmiechem. – To dla ciebie będzie lepiej, jeśli nikt się nie dowie, że zeszłego lata pieprzyłeś się ze mną.

I doczekała się. Comstock stracił panowanie nad sobą.

– Zamkniesz się wreszcie i posłuchasz, cipo jebana?! – ryknął.

Wrzasnął tak głośno, że Janey pomyślała, że słyszą go wszyscy kierowcy dookoła, cały ten długi korek na autostradzie Long Island. Ale jeśli myślał, że z nią to przejdzie, to grubo się mylił. Już nie była tą zagubioną dziewczynką, którą w zeszłym roku brał, jak chciał. Nadszedł czas, żeby mu to pokazać.

– To ty posłuchaj – rzekła z lodowatym spokojem. – Chcesz mi

powiedzieć, że w zeszłym roku byłam dobra do łóżka, ale w tym roku

lepiej mnie nie znać? To ja też ci coś powiem: nie jestem taka.

– Wszyscy wiemy, jaka jesteś – odparł złowrogo.

– I tym się różnimy: ja nie wstydzę się swojej przeszłości. – To nie była do końca prawda, ale trzeba przyznać, że zabrzmiało niezłe.

Na Comstocku nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – powiedział. – Ostrzegam cię. W razie czego oboje pójdziemy na dno.

I rozłączył się.

A niech go szlag trafi, pomyślała Janey, wciskając pedał hamulca.

Wszystkie samochody stały. Zmrużyła oczy, patrząc przed siebie na długi sznur pojazdów.

To miało być lato mojego triumfu, przypomniała sobie ze złością. Od trzech dni w telewizji puszczano nową reklamówkę, w której Janey wystąpiła ubrana tylko w białą jedwabną bieliznę i z rekwizytem w postaci białej gitary elektrycznej. Sukces był wielki, a jej status jako supermodelki wydawał się niezachwiany. Tego lata należało uderzyć. Jej plan był prosty: zdobyć wpływy wśród grubych ryb napływających co roku latem do Hamptons. Marzyła o prowadzeniu „salonu”, który byłby miejscem spotkań artystów, filmowców, pisarzy, świątynią intelektualnej dyskusji... Gdyby ktoś ją mocno indagował, wyznałaby, że marzy o tym, żeby kiedyś stanąć za kamerą. Lecz najbardziej ze wszystkiego pragnęła osiągnąć taką pozycję – i w tym miała jej pomóc kariera supermodelki – żeby już nigdy więcej nie musiała użerać się z debilami pokroju Comstocka Dibble'a.

Naturalnie, marzyła o miłości, ale czy nawet w najlepiej dobranym związku nie ma choć odrobiny cynizmu? A dla publiki nie ma nic lepszego niż skojarzenie dwojga sławnych ludzi.

Ale rozmowa z Comstockiem, która spadła na nią jak grom z jasnego nieba, zachwiała jej pewnością siebie i zmusiła do zastanowienia się, czy aby na pewno zaszła tak wysoko, jak jej się wydawało. Odkąd tylko pamiętała, musiała oddawać się bogatym facetom, aby przeżyć – łysym kurdupłom z brzuszkiem, włosami w uszach i grzybem między palcami u nóg, z popsutymi zębami i futrem na plecach, patałachom z niedowładem członka, krótko mówiąc: mężczyznom, z którymi żadna szanująca się kobieta nie poszłaby do łóżka, gdyby nie mieli pieniędzy. Obiecała sobie, że to lato, pierwsze ze wszystkich, będzie inne. Tymczasem wystarczyło kilka kpiących słów Comstocka Dibble'a – „wszyscy wiemy, jaka jesteś” – i nagle straciła cały rezon...

Chwyciła mocniej kierownicę i zauważyła, że znów ma obgryzione paznokcie. Szybko wsunęła dłoń między nogi, żeby nie myśleć o palcach, i zaczęła sobie wmawiać, że Comstock nie powiedział prawdy. Na pewno był po prostu zły, że dziewczyna, którą mógł mieć, została supermodelką...

Niestety, jego słowa dobitnie charakteryzowały mentalność nowojorczyków: jeśli chodzi o mężczyzn, to mogli oni mieć tyle kobiet, ile dusza zapragnie, a jednocześnie wciąż pokutował staroświecki pogląd, że kobiety nie powinny mieć zbyt wielu partnerów. Oczywiście nikt nie zabraniał im seksu; wprost przeciwnie, oczekiwano tego od nich. Niemniej istniał jakiś niepisany limit łóżkowy, po którego przekroczeniu kobieta nie



była już „odpowiednia na żonę”.

Co za niesprawiedliwość, pomyślała gniewnie Janey. To prawda, że miała więcej facetów niż którakolwiek z jej znajomych. Wiedziała też, że za plecami ludzie mówią o niej, iż jest dziwką. Nikt jednak nie rozumiał, że każdy facet, z którym to robiła, nawet jeśli tylko zrobiła mu dobrze w toalecie w restauracji, był dla niej kandydatem na „tego jedyne”.

Tak przynajmniej to sobie tłumaczyła.

Telefon znów zadzwonił. Sięgnęła po niego z nadzieją, że to może

Comstock chce ją przeprosić. Usłyszała mgliście znajomy kobiecy głos:

– Janey? – Właścicielka głosu sprawiała kulturalne wrażenie i miała akcent ze wschodniego wybrzeża. Nagle wykrzyknęła, jak ktoś, kto po latach dzwoni do starego przyjaciela: – Mówi Mimi Kilroy! Jak się miewasz, kochana?

Janey była tak zaskoczona, że na moment aż ją zatkało. Mimi z całą pewnością nie była jej dobrą znajomą. Choć znały się już od ładnych paru lat, to prawdę mówiąc, przez ten czas spotkały się zaledwie kilka razy, przypadkiem, na imprezach. Ale i tak Janey zaniemówiła z wrażenia.

Mimi Kilroy zajmowała miejsce na samym szczycie nowojorskiej drabiny społecznej. Jej ojciec był sławnym senatorem, o którym krążyły pogłoski, że jeżeli republikanie wygrają najbliższe wybory, to może zostać komisarzem do spraw finansów. Mimi była na świeczniku od piętnastego roku życia, kiedy to zaczęła bywać w Studiu 54. Mówiono o niej, że jest szarą eminencją nowojorskiej socjety. Przez dziesięć lat Janey nie zamieniła z nią więcej niż trzy słowa. Aż do tej chwili Mimi z

powodzeniem ją ignorowała albo udawała, że nie wie, kim jest Janey

Wilcox – niemniej Janey nie była zdziwiona, że Mimi dzwoni do niej. W końcu taki jest Nowy Jork. Gdy ktoś odniesie tutaj sukces, o jego przyjaźń zabiegają ludzie, którzy dotąd nie zauważali jego istnienia.

Janey przybrała zatem ton starej dobrej znajomej sugerujący, że nie zdarzyło się nawet raz, żeby Mimi zlekceważyła ją w towarzystwie.

Zamruczała ciepło:

– Cześć, Mimi. Pewnie masz urwanie głowy z tym dzisiejszym przyjęciem? – Po czym rozsiadła się wygodnie, łowiąc własne pełne satysfakcji spojrzenie w lusterku wstecznym.

Janey wiedziała, że to nie w porządku nagle udawać przed Mimi wielką przyjaźń tylko dlatego, że Mimi równie nagle zaczęło na tym zależeć, ale nigdy nie przejmowała się takimi drobiazgami, zwłaszcza w sytuacji, z której mogła wyciągnąć jakieś korzyści. Mimi odparła, z nutką zawstydzenia w głosie:

– Nawet palcem nie ruszyłam. Wszystko robi firma organizująca bankiety... Ja muszę tylko próbować przystawek!

Nagle Janey poczuła się nieswojo. Wydała w życiu dwa przyjęcia, żadne się nie udało (jedzenie było żałośnie ubogie, a do tego za każdym razem zabrakło trunków), a fakt, że Mimi stać było na wynajęcie firmy cateringowej do organizacji swoich osławionych bankietów, tylko pogłębiał dzielącą je przepaść. Ludziom, którzy wytykali jej niższą pozycję, Janey zwykle odpowiadała jakąś kąśliwą uwagą. Tym razem jednak, choć miała już na końcu języka sarkastyczne: „A nikt nie może cię

wyręczyć?", zaśmiała się tylko kurtuazyjnie.

– Kochana – zaszczębiotała Mimi – dzwonię, żeby zapytać, czy na pewno przyjdiesz. Chcę cię przedstawić komuś wyjątkowemu. Nazywa się Selden Rose, pochodzi z Kalifornii i niedawno się tutaj sprowadził... Znasz go? Jest nowym szefem Movie-Time, tego kanału kablowego Ty pewnie nie oglądasz telewizji, ja zresztą tak samo ale wychodzi na to, że taki dyrektor kablówki to jest ktoś. Ma czterdzieści pięć lat, jest zabójczy, po rozwodzie, dzięki Bogu nie ma dzieci, więc nie jest jeszcze kompletnie zdziałały... Ale najważniejsze moja droga, że to taki... szczerzy człowiek.

Szczerzy... to dobre określenie. Ani trochę nie przypomina nas. – Mimi zaśmiała się znacząco. – Nie oczekuję, że zakochasz się w nim od pierwszego wejrzenia, ale on tu nikogo nie zna, a poza tym to stary przyjaciel George'a, więc gdybyś była taka dobra i nieco się nim zajęła...

– Z wielką przyjemnością – przerwała jej Janey słodziutkim tonem. – Wygląda na ideał...

– Nie zawiedziesz się na nim – zapewniła ją Mimi. – A ja nigdy nie zapominam o przysłudze...

Przez kilka chwil rozmawiały o niczym, aż w końcu Mimi rzuciła:

„Całuję, pa!”, i rozłączyła się. Zupełnie niespodziewanie dla siebie samej Janey znów była w siódmym niebie. Nie obiecywała sobie wiele po panu Seldenie Rosie – sądząc z opisu, mógł to równie dobrze być drugi Comstock Dibble – ale sam fakt, że Mimi zadzwoniła, żeby go z nią umówić, utwierdził ją w przekonaniu, że zaszła bardzo wysoko. Pokaże teraz Dibble'owi, że z nią nie warto zadzierać. Nie do końca wiedziała, co

Mimi rozumie przez „zajęcie się” Rose'em (jeżeli myśli, że zrobię mu laskę w łazience, pomyślała, to bardzo się myli), ale z pewnością poświęci mu trochę czasu, a kiedy Comstock zobaczy, że Janey jest tak blisko z Mimi, dostanie szału.

Samochody znów stanęły, tym razem przed samym zjazdem z autostrady. Janey, uskrzydłona poczuciem władzy, opuściła daszek przeciwsłoneczny, w którym było zamontowane duże podświetlane lustro. Jej odbicie nigdy jej nie zawiodło; oddała się kontemplacji własnej urody.

Miała długie, grube włosy koloru śmietany i twarz o doskonałych proporcjach, z wysokim czołem i niewielkim, kształtnym podbródkiem. Kąci niebieskich oczu leciutko się unosiły, co nadawało im zagadkowy i zarazem inteligentny wyraz, a pełne usta (dopełnione niedawno zastrzykami u dermatologa) sugerowały niemal dziecięcą niewinność. Jediną techniczną usterką tej twarzy był nos, z lekko zaokrąglonym i zadartym koniuszkiem, lecz przecież gdyby nie on, Janey byłaby tylko zimną, klasyczną pięknoscią. Dzięki niemu nie sprawiała wrażenia absolutnie niedostępnej; przeciętny zjadacz chleba mógł myśleć, że może ją mieć, jeśli tylko uda mu się zbliżyć do jej sfery.

Janey wpadła w taki zachwyty nad swoją urodą, że nie zauważyła, kiedy korek wreszcie ruszył. Z sielanki wyrwał ją dopiero ostry dźwięk klaksonu samochodu stojącego za nią. Spojrzała w lustro, zdenerwowana, lecz także trochę zażenowana. Zobaczyła, że trąbiący na nią kierowca zielonego ferrari jest młody i nieludzko przystojny. Janey poczuła lekkie

ukłucie na widok tego samochodu – od dawna o takim marzyła – ale kiedy spostrzegła, kto siedzi obok kierowcy, skrzyła się z zazdrości: Pippi Maus!

Pippi i jej młodsza siostra Nancy tworzyły duet aktorski. Pochodziły z Charlestonu w Karolinie Południowej. Miały faktycznie mysie twarze, ale ich figury były godne pozazdroszczenia: połączenie szczupłej sylwetki i naturalnie dużego biustu to rzadkość. Obie – totalne beztalencia; patrząc na nie, Janey dokładnie wiedziała, co jest nie tak z tym światem. A jednak udało im się zrobić karierę, grając kontrowersyjne rólki w niezależnych produkcjach. Janey nie mogła zgadnąć, po co Pippi Maus wybiera się do Hamptons – z jej punktu widzenia ktoś taki nie miał tam czego szukać – ale jeszcze bardziej frapowało ją, jak też udało jej się ustrzelić takiego przystojniaka. Nawet za kierownicą niewielkiego ferrari było widać, że jest wysoki – może nawet metr dziewięćdziesiąt – i szczupły. Miał pełne usta i marmurowe rysy modela. Mógł być gejem – Pippi była typem dziewczyny, u której nie dziwi nawet partner homoseksualista – ale jego image prawdziwego macho, jak również zachowanie na drodze przeczyły temu.

Nagle, nic sobie nie robiąc z Janey, ferrari skręciło na pobocze i w jednej chwili minęło jej porsche. Pippi zapiała z radości, a Janey wbiła wzrok w kierowcę. Na krótką chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały. Janey uderzył wyraz jego twarzy. Parzył na nią, jakby zobaczył anioła...

W następnej chwili zielony wóz zniknął na zjeździe z autostrady, pozostawiając Janey z poczuciem, że znów coś w życiu jej nie wyszło.

Skoro już nie stać jej było na hydroplan, to powinna jechać do Hamptons takim właśnie samochodem, z takim właśnie facetem u boku... Odruchowo włożyła palec do ust, odgryzając nieistniejącą skórkę. Na pocieszenie powiedziała sobie, że kierowca ferrari, który przecież pokochał ją od pierwszego wejrzenia, może być tym jedynym, którego ona szuka.

Wprawnie wrzuciła trzeci bieg, przewidując wielką frajdę, jaką sprawi jej odbicie Pippi Maus tego przystojniaka.

## **Rozdział 2**

Bankiet urządzany przez Mimi Kilroy co roku w weekend poprzedzający dzień pamięci poległych na polu chwały był już legendą. Zbierała się na nim absolutna śmietanka towarzyska, a ponieważ stanowił wydarzenie, o którym pisały wszystkie gazety w mieście, nie można go było bagatelizować – a tylko to pozostawało tym, którzy nie dostali zaproszenia. Janey jeszcze nigdy nie była na bankiecie Mimi Kilroy i co roku na nowo przeżywała te same katusze na myśl, że tam bawi się setka najmodniejszych, najbardziej utalentowanych i najpotężniejszych ludzi w Nowym Jorku, a jej nie ma pośród nich. Ze wszystkich sił starała się to ukryć, demonstracyjnie i do znudzenia powtarzając: „Dajcie spokój, to tylko głupia impreza”, jednak co roku wyraźnie czuła, że Mimi z wyrachowaniem pomijają przy układaniu listy gości.

Nie pomagało logiczne rozumowanie – w końcu Mimi tak naprawdę jej nie znała. Janey na wszystkie możliwe sposoby usiłowała załatwić sobie wejście. Kiedyś zrobiła dobrze zupełnie obcemu facetowi tylko dlatego, że był zaproszony i mógł ją zabrać ze sobą. Innym razem próbowała zakraść

się do domu Mimi od tyłu, z plaży. Jednak prawdziwym ciosem było dla niej zaproszenie Petera Cannona, cztery lata temu, w okresie kiedy z nim romansowała.

– Zaprosiła cię? Dlaczego? – zapytała wtedy z niedowierzaniem.

– A dlaczego nie? – parsknął drwiąco.

– Bo... – zaczęła Janey, ale nie dokończyła. Chciała powiedzieć: „Bo jesteś nikim”, ale przecież mężczyzna, z którym się spotykała, nie mógł być nikim, a poza tym chciała, żeby ją wprowadził.

Peter zgodził się to zrobić (Janey nieraz miała okazję zauważyć, że potrafi zachować się jak człowiek), ale nie zdołał przekonać Mimi.

Odpowiedział na zaproszenie, zaznaczając, że przyjdzie z osobą towarzyszącą. Na drugi dzień zadzwoniła asystentka Mimi, pytając, kim jest jego gość.

– Nazywa się Janey Wilcox – odpowiedział Peter.

– Dobrze, ale kto to jest?

– Dziewczyna – wyjaśnił.

– Tak, ale kim jest? Co robi?

– Jest... modelką – oznajmił Peter.

– Odezwiemy się do pana.

Janey miała o to do niego wielką pretensję.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że jestem aktorką? – krzyknęła.

– Bo ja wiem... – Zastanowił się. – Może dlatego, że od pięciu lat w niczym nie zagrałaś?

– I co z tego? Czekam na odpowiednią rolę! – wrzasnęła Janey.

Niedługo potem asystentka oddzwoniła.

– Bardzo mi przykro – powiedziała – ale rozmawiałam z Mimi i okazało się, że w tym roku mamy już komplet gości. Nie zapraszamy osób towarzyszących.

Kłamstwo było oczywiste.

Wtedy właśnie Janey zrozumiała, że nienawidzi Mimi Kilroy. Nie znała jej dobrze, ale mimo to czuła do niej nienawiść. Tak samo można nie znosić aktora albo polityka: ma się awersję nie do nich samych, ale do tego, co sobą reprezentują.

Mimi Kilroy, myślała Janey z goryczą, zawsze miała wszystko podane na tacy. Nigdy nie musiała o nic walczyć, nie martwiła się, jak opłaci mieszkanie. Robiła „karierę” to tu, to tam (jako modelka Ralpha Laurena, prezenterka kanału VH1, projektantka biżuterii, a ostatnio sprowadzała z Indii kaszmirowe szale, które sprzedawała znajomym), ale w opinii Janey Mimi była niepotrzebną nikomu damą z towarzystwa, która nic nie robi, tylko parady w designerskich ciuchach, a jej zdjęcia co miesiąc ukazują się w plotkarskich magazynach.

Najgorzej Janey znosiła jednak fakt, że choć Mimi była wyrośnięta, koścista, a jej cienkie blond włosy zawsze wisały w strąkach, to uważano ją za piękność. To się nie mieściło w głowie. Gdyby Mimi nie była bogata i nie pochodziła z elity, w całym Nowym Jorku nie znalazłby się jeden facet, który zechciałby odpowiedzieć jej napytanie „która godzina?”.

Krótko mówiąc, Mimi stanowiła chodzący przykład życiowej niesprawiedliwości; gdyby nie urodzenie, byłaby kompletnym zerem.



Matką Mimi była Tabitha Mason, gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych. Pochodziła ze znanej filadelfijskiej rodziny. Robert Kilroy, ojciec Mimi, wywodził się z kalifornijskiej gałęzi swojego rodu. W roku 1955, kiedy wzięli ślub, był drugim najmłodszym senatorem w historii. Kiedy w 1956 roku przyszedł na świat ich pierworodny syn Sandy, Tabitha porzuciła Hollywood, aby poświęcić się rodzinie. Dwa lata później urodziła dziewczynkę, Camille, popularnie nazywaną Mimi. Mała Janey o Mimi wiedziała wszystko, łącznie z tym, jaki jest jej ulubiony kolor (różowy) i jak nazywa się kucyk, na którym wygrała wiele wyścigów (Promyczek). Czytała o wytwornej rodzinie Kilroyów w magazynach takich jak „Good Housekeeping” czy „Ladies” Home Journal”; na coroczną wkładkę „Święto Dziękczynienia u Kilroyów” wszyscy mniej wytworni obywatele mogli liczyć jak na wschód słońca. Ze zdjęć spoglądała Mimi w różowej sukience i białym koronkowym fartuszku, w różowych pantofelkach z lakierowanej skóry. Włoski, raz zaplecione w mysie ogonki, kiedy indziej były związane lśniąca kokardą w kucyk. Później Mimi dostała pierwszą długą, dorosłą princeskę, zaczęła zaczesywać włosy gładko do tyłu i nosić modne na początku lat siedemdziesiątych wielkie sztuczne koki. Na zdjęciach widać było zawsze, że jest nieco wymizerowana, niebieskie oczy wydawały się trochę za duże w jej szczupłej twarzy, ale ich spojrzenie było wyzywające, jak gdyby demonstracyjnie chciała dać do zrozumienia, że ma lepsze rzeczy do roboty niż głupie pozowanie.

Sześćioletnia Janey Wilcox, dziewczynka z pulchną twarzą i

mysiobrazowymi włosami, patrzyła na te zdjęcia i chciała być Mimi

Kilroy. Zdawało jej się, że nastąpiła pomyłka, że to ona powinna być na jej miejscu.

Z upływem lat Janey zapomniała o Mimi. Do czasu, kiedy sprowadziła się do Nowego Jorku. Był koniec lat osiemdziesiątych.

Miała wtedy dopiero dwadzieścia lat i właśnie wróciła z Europy, gdzie pracowała przez lato jako modelka. Prawie natychmiast poderwał ją niejaki Petie, bankowiec. Mógł mieć najwyżej trzydzieści kilka lat, ale w oczach Janey był starcem. Ciemne włosy zaczesywał do tyłu, oczy miał osadzone zbyt blisko siebie, a dłonie miękkie i delikatne jak u małej dziewczynki... ale cechowało go jedno: łatwo było nim manipulować.

Pewnego wieczoru zabrał Janey na ekskluzywne, zamknięte przyjęcie w klubie Grolier. Nie miał zaproszenia, ale musieli go wpuścić, bo zainwestował w ten klub kupę forsy.

Bankiet odbywał się na cześć „niegrzecznego chłopca z Południa”, pisarza Redmona Richardly'ego. Sala pełna była hałaśliwych, pijanych, zadowolonych z siebie ludzi, emanujących absolutną pewnością, że nie ma w Nowym Jorku wytworniejszego towarzystwa niż ich ani też lepszego klubu niż ten. Janey od razu zauważyła, że Petie, w swoim angielskim garniturze w prążki, wygląda tutaj niezręcznie. Jego wazeliniarska nienaganność do tej pory wydawała się jej elegancka; w tym tłumie, wyrwany z własnego środowiska, był tylko burym groszorem.

– Chodźmy stąd – szepnęła.

– No co ty? – Spojrzał na nią jak na wariatkę i pociągnął za sobą do

baru na piętrze.

Przy barze siedziała dziewczyna otoczona wianuszkiem mężczyzn.

Kiedy Petie podszedł i zamówił drinki, oczy jej rozbłysły i zeskoczyła ze stołka. Janey instynktownie rozpoznała Mimi Kilroy, choć już od lat nie widziała żadnych jej zdjęć. Z przejęcia aż cofnęła się o krok.

Na całe życie zapamiętała, jak tamtego wieczoru wyglądała Mimi; od tego czasu starała się podrobić jej elegancki, drogi styl. Mimi miała na sobie odprasowaną białą koszulę, z rękawami podciągniętymi do łokci i mankietami spiętymi ciężkimi złotymi męskimi spinkami. Koszula była luźno włożona w zamszowe spodnie płowego koloru. Złoty męski rolex leżał na jej przegubie jak bransoleta; na palcu prawej ręki lśnił olbrzymi pierścień z szafirem. Zapach pieniędzy bił od niej niczym drogie perfumy.

Petie nie zauważył Mimi, która podkradła się do niego od tyłu i zasłoniła mu oczy. Drgnął i odwrócił się, chwytając ją za ręce w nadgarstkach.

– Witaj, kochanie – powiedziała z żalostí w głosie.

Należała do tych kobiet, które na zdjęciach wychodzą gorzej niż w rzeczywistości, jak gdyby ich prawdziwe piękno było zbyt ulotne, aby uchwycić je na kliszy filmowej. Janey nieraz później myślała, że to właśnie jest powód, dla którego Mimi, pomimo wszystkich atutów, nigdy nie wyszła poza obręb swojego ciasnego, ograniczonego światka: jej zalety nie nadawały się do masowego rozpowszechniania. Nie puszczając ręki Petiego, Mimi nachyliła się ku niemu i powiedziała:

– Muszę z tobą coś obgadać. Chodźmy do łazienki.

Po twarzy Petiego przemknął grymas niezadowolenia i rezygnacji,

jakby zrozumiał, że Mimi szykuje się, aby wykorzystać go po raz kolejny.

– Za chwilę. – Odwrócił się do Janey i przyciągnął ją do siebie. – Znasz

Janey Wilcox?

Mimi wyciągnęła do niej szczupłą rękę.

– Miło mi – powiedziała beznamiętnie, po czym z powrotem wbiła

wzrok w Petiego. Janey uderzyło brzmienie tych słów. Nie spodziewała się

usłyszeć głosu tak wytwornego i bogatego w subtelności.

– Janey jest nowa w mieście – powiedział Petie. – Jest modelką.

Mimi zmierzyła Janey chłodnym spojrzeniem.

– Jak my wszystkie. – Zaśmiała się.

I wtedy Janey, wiedzona zupełnie niewinnym pragnieniem zbliżenia

się do swojego bożyszczka, powiedziała:

– Kiedy byłam mała, oglądałam pani zdjęcia w magazynach...

Zapadła niezręczna cisza. Janey myślała tylko o tym, że ze

zdeenerwowania, zamiast mówić, piszczała jak mysz. Mimi obrzuciła ją

taksującym wzrokiem, po czym widocznie doszła do wniosku, że ma przed

sobą kompletne zero, bo powiedziała:

– Naprawdę? Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz...

Rzuciła Petiemu znaczące spojrzenie i odwróciła się do nich plecami.

Janey patrzyła za nią w osłupieniu; dotarło do niej, że z pełnym

wyrachowaniem została zlekceważona, ale nie mogła zrozumieć dlaczego.

Petie, zauważywszy jej minę, rzekł pocieszająco:

– Nie przejmuj się. Wszyscy wiedzą, że Mimi nie lubi kobiet,

zwłaszcza młodszych i ładniejszych. Przywykniesz. – Roześmiał się i podał jej drinka.

Janey upiła łyczek, nie spuszczać wzroku z Mimi. Była zdruzgotana, a mimo to Mimi nie przestawała jej fascynować. Przyglądała się jej gestom, wdzięcznym ruchom głowy; kiedy Mimi otwierała usta, Janey wydawało się, że znów słyszy ten wspaniały głos. Płonęła z ciekawości, co też ona teraz mówi.

Ale nie było jej dane zaspokoić tego pragnienia, bo choć w ciągu kolejnych dziesięciu lat nieraz spotykały się przy różnych okazjach, to Mimi zawsze patrzyła na nią jak na powietrze, a jej wytworny głos oznajmiał nieodmiennie: „Miło znów cię widzieć”. W Nowym Jorku tej formułki używa się, kiedy nie można sobie przypomnieć, czy się kogoś zna, czy nie. Janey dobrze rozumiała, co Mimi chce powiedzieć: nawet kiedy obydwie są na jednym przyjęciu, to dzieli je taka sama przepaść, jaka dzieliła sześciolletnią Janey od młodej Mimi na zdjęciach w „Good Housekeeping”.

Z biegiem czasu zachowanie Mimi uległo subtelnej zmianie; o ile przedtem demonstrowała ona wobec Janey zwykłą obojętność, o tyle mniej więcej od pięciu lat w jej słowach: „Miło cię znów widzieć”, brzmiały tony jawnej niechęci. Janey podejrzewała, że Mimi jest zazdrosna o facetów, z którymi obydwie spały.

Zdaje się, że było ich co najmniej dziesięciu, a wśród nich Redmon Richardly oraz scenarzysta Bill Westacott. Irytowało ją, że Mimi może chodzić do łóżka, z kim zechce, i chociaż wszyscy o tym wiedzą, nikogo

nie gorszy jej zachowanie, nikomu nie przyjdzie do głowy nazwać ją puszczałką. Był to dowód kolejnej prawdy o mentalności nowojorskiego społeczeństwa: kiedy bogata dziewczyna ma tabuny facetów, mówi się, że tak żyje bohema; biedna dziewczyna, która robi to samo, to modliszka albo kurwa.

Jednak w dniu, kiedy Janey została modelką Victoria's Secret, cała jej przeszłość poszła w niepamięć, jakby pomimo tylu lat spędzonych w Nowym Jorku dopiero teraz pokazała się światu w pełnej krasie. Nagle ludzie zaczęli ją rozpoznawać, wiedzieli, kim jest i co robi. W końcu doczekała się też upragnionego zaproszenia na bankiet Mimi Kilroy.

Dokładnie miesiąc temu pocztą kurierską dotarła do niej gruba kremowa koperta. Janey od dziesięciu lat zajmowała to samo mieszkanie w kamienicy bez windy przy Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, na wschód od Piątej Alei. Dziękowała losowi, że akurat nigdzie nie wyszła, bo w budynku nie było portiera, kurier nie miałby więc komu zostawić przesyłki. Bała się pomyśleć, co by wtedy się stało.

Na kopercie widniało tylko nazwisko, bez adresu, aby nie demaskować osób mieszkających w niemodnych okolicach. Janey od razu wiedziała, co jest w środku. Ostrożnie rozkleiła kopertę, tak aby jej nie zniszczyć (zawsze zachowywała takie pamiątki), wyjęła skromne zaproszenie na papierze koloru ecru. W lewym górnym rogu, tak jak to się robi w Anglii, wypisano ręcznie jej nazwisko. Pod spodem widniał wydrukowany tekst: „Zapraszamy do naszego domu w piątek, dwudziestego siódmego maja.

Mimi Kilroy i George Paxton". Cała zapiekła nienawiść, którą Janey

żywiła do Mimi, zgasła w jednej chwili. Trudno żywić podobne uczucie do kogoś, kto się na tobie poznał, kto cię docenia. Janey doszła do wniosku, że być może to prawda, że Nowy Jork jest płytki i powierzchowny, ale ta powierzchowność jest wspaniała, zwłaszcza kiedy już jest się kimś.

Trzy lata temu, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, Mimi Kilroy wreszcie się ustatkowała, wychodząc za George'a Paxtona, miliardera. Paxton obracał się wtedy w nowojorskim towarzystwie dopiero od pięciu lat. Pochodził podobno z okolic Bostonu, co znaczyło, że przybył niemal znikąd. Było to zjawisko regularnie obserwowane w tym mieście: co kilka lat pojawiał się w nim miliarder, samotny jeździec, zwykle pod postacią faceta po czterdziestce, ze świeżo zdobytą fortuną i w szponach kryzysu wieku średniego. Taki człowiek tyrał przez lata na swoje miliony, aż w końcu zarobił dość, by móc cieszyć się życiem, a więc po pierwsze: ożenić się. Nie inaczej też było z George'em Paxtonem.

Przez pierwsze dwa lata Nowy Jork poddawał go zwykłym próbom. George był gościem i ulubieńcem wszystkich. Kalendarz miał wypełniony randkami w ciemno, bo w towarzystwie nie ma nic lepszego niż świeży, samotny i nadziany mężczyzna, który sam jeszcze nie wie, na co wydać pieniądze. Przez dwa lata kosztował najsmakowitszych kąsków, jakie tylko można znaleźć na Upper East Side. Jego kochanki miały poprawiane piersi albo były płaskie jak deski, miały ciała wyrzeźbione treningiem Pilatesa, fryzury koloru karmelu i chodziły w sobolach. Poznawał kobiety, które zasiadały w radach nadzorczych, sprzedawały nieruchomości lub

prowadziły własne interesy, lekarki i prawniczki, a także rozwódki, były żony innych bogaczy. Jego członek gościł we wszystkich otworach kobiecego ciała. Praktyki sado-maso przestały być mu obce: kobiety pogryzły mu sutki, ogoliły jaja i przyprawiły o wieczny stres z powodu braku wzrodu. Dopiero kiedy przeszedł to wszystko, przedstawiono mu Mimi Kilroy.

Mimi nie była „laską”, którą George Paxton widział do tej pory jako swoją przyszłą żonę. Przypominała narowistego konia wyścigowego, podczas gdy on był człowiekiem zasadniczym. Niemniej po dwóch latach, podczas których przechodził z rąk do rąk, Mimi była dla niego, jak sam to ujął, „powiewem świeżego powietrza”. Nie przeszkadzały jej dawne romanse wybranka, a jeśli chodzi o George'a, to zawsze szczycił się tym, że zna się na interesach. Nie spodziewano się, co prawda, że Mimi wyjdzie za kogoś takiego. Miała poślubić jakąś świetną partię – gwiazdora filmowego, przystojnego polityka lub nawet angielskiego księcia któregoś z niższych rodów – tymczasem George był pospolity aż do bólu. Ale był miliarderem, a miliardy piechotą nie chodzą; przecież tatusiowy brzusek łatwo ukryć pod kosztowną włoską marynarką. Poza tym Mimi najlepiej wiedziała, jak wydać pieniądze George'a z pożytkiem dla wszystkich. Na początek kupiła starą posiadłość Wanamakerów w dzielnicy East Hampton. Był to wielki dom z piaskowca, uznawany na rynku nieruchomości za nie lada rarytas. Miał piętnaście sypialni, kryty basen, a na ścianach prawdziwe włoskie freski. Przez lata stał pusty. Wybudował go Chester Wanamaker, który zbił fortunę na domach towarowych w



pierwszych dekadach dwudziestego wieku, a w latach siedemdziesiątych stracił wszystko, próbując rozwinąć firmę. Bank zajął obciążoną nieruchomości, której wartość wynosiła osiem milionów dolarów.

Wyliczono jednak, że koszty restauracji domu, naruszonego przez czas oraz niesione z wiatrem piasek i sól, wyniosą dwukrotnie więcej. Mimi była specjalistką od takich przedsięwzięć. W kwietniu remont dobiegł końca, a posiadłość wzbogaciła się o lądowisko dla prywatnego helikoptera George'a.

W dniu bankietu helikopter kursował bez przerwy, przewożąc najważniejszych gości. O godzinie siódmej wieczorem, kiedy Janey Wilcox skręcała na Georgica Pond Lane, słynny black hawk, czynsikorski VH60, właśnie lądował, kryjąc się za żywopłotem otaczającym dom. Ciekawe, kto nim przyleciał, pomyślała Janey, i kim trzeba być, żeby do zwykłego zaproszenia dołączono bilet na śmigłowiec. Obiecała sobie, że w przyszłym roku znajdzie się na jego pokładzie; nie znaczyło to bynajmniej, że jej „zwykłe” zaproszenie straciło nagle na wartości. U stóp wejściowych schodów z polerowanego granitu stał niezwykle uprzejmy człowiek, który witał gości.

– Czy mogę zobaczyć pani zaproszenie? – zapytał, a Janey, drżąc z przejęcia, otworzyła wyszywaną perłami torebkę (która była bezcenna, bo projektant wykonał tylko dziesięć sztuk, z czego jedną dał jej w prezencie) i wręczyła mu kopertę.

– Witam, pani Wilcox – powiedział lokaj. – Bardzo przepraszam, że pani nie poznałem.

– Nie ma sprawy. – Janey uśmiechnęła się łaskawie. Uniosła rąbek długiej żółtej sukni od Oscara de la Renta (wypożyczyła ją specjalnie na tę okazję) i lekkim krokiem wbiegła po schodach, delektując się słodkim zapachem kwitnących jabłoni. Pomiędzy drzewami stali żonglerzy, podrzucając złote jabłka, a u szczytu schodów grał kwartet smyczkowy. Masywne drewniane drzwi rezydencji stały otworem. Janey z zapartym tchem przekroczyła próg, wiedziona ulotnym łkaniem skrzypiec. Mimi stała na odległym końcu wyłożonego marmurem hollu. W białej sukni Tuleh wyglądała olśniewająco. Towarzyszył jej Rupert Jackson, angielski gwiazdor filmowy. Mimi spostrzegła Janey i uniosła rękę. Janey podeszła, myśląc mimo woli, że ona i Rupert tworzyliby wspaniałą parę.

– Janey, najdroższa. – Mimi postąpiła o krok, chwyciła ją za ręce i ucałowała w oba policzki. Na jej nadgarstkach lśniły bransoletki wysadzane brylantami, a w uszach wisały brylantowe kolczyki. W Nowym Jorku kobiety nie starzeją się szybko; Janey знаła Mimi od ponad dziesięciu lat, których absolutnie nie było po niej widać. Janey była ciekawa, czemu Mimi to zawdzięcza.

– Prześliczne bransoletki – powiedziała.

– Nic wielkiego – zbyła komplement Mimi.

– Dla bogaczy milion dolarów to zawsze „nic wielkiego”. Urocze, nie uważa pani? – do rozmowy włączył się Rupert Jackson.

– Znasz Janey Wilcox, prawda? – zapytała Mimi.

– Nie, ale widzę, że jest czego żałować. – Uśmiechnął się. Janey pomyślała, że istnieją dwa rodzaje aktorów: ci, którzy nie mają nic

wspólnego z kreowanymi przez nich postaciami, i ci, którzy w życiu są tacy sami jak na ekranie. Rupert Jackson zdecydowanie należał do tej drugiej kategorii. Był przystojny jak w swoich filmach. Kiedy się uśmiechał, robiły mu się drobne zmarszczki. Z jego czoła zwieszał się niesforny lok brązowych włosów.

– Pani fotografie są wszędzie – powiedział. – Bardzo mnie ciekawi, jaka pani jest naprawdę. Proszę mi obiecać, że opowie mi pani o swojej bieliźnie.

Janey roześmiała się, a Mimi wtrąciła wesołym tonem:

– Nie tak szybko. Janey faktycznie jest najpiękniejszą kobietą tego wieczoru, ale ty jesteś prawie zaręczony, a poza tym wybrałam jej już partnera na dziś.

– O ja nieszczęśliwy – jęknął Rupert. – Kim jest ten farciarz?

– Nazywa się Selden Rose – oznajmiła Mimi. – To nowy dyrektor Movie-Time. Waśnie przyleciał... Utknął w korku na Long Island i musieliśmy wysłać po niego helikopter.

– Doprawdy? Niesłychane. Co to facet, którego trzeba ratować z korka helikopterem? – zdziwił się Rupert z wyrazem udanego przerażenia na twarzy, po czym zwrócił się do Janey i mrugnął. Trudno się było z nim nie zgodzić – wprawdzie nie poznała jeszcze tego pana Rose'a, ale to, co o nim usłyszała, nie brzmiało obiecująco.

– Nie słuchaj go – powiedziała Mimi. – Selden to stary przyjaciel George'a. Ale nie bój się, nie jest taki nudny jak George, który, o ile wiem, poza tym, że ma wielki majątek, nic nie robi.

Wypadało się roześmiać. Janey spostrzegła kątem oka Comstocka

Dibble'a z narzeczoną, Mauve Binchely. Dobrze się stało – Comstock nie ośmielił się jej znieważać przy Mimi. Ale Mimi stała tyłem do nich i jeszcze nie spostrzegła, że przyszli.

– Czasami mówię George'owi, że jestem częścią jego majątku.

Uwielbia to – szczebiotała Mimi. Potrafiła mówić o wszystkim takim tonem, jakby zwierzała się z wielkiej tajemnicy. Pochyliła się ku Janey, dotykając jej ramienia. – Jeśli nie musisz, to nigdy nie wychodź za mąż. Zanudzisz się na śmierć. Chociaż Selden jest inny. Mówią, że to geniusz, w każdym razie podobno naprawdę czyta książki. George nie czyta nic oprócz czeków. Słyszałam, że na Harvardzie robił dyplom z literatury.

Janey czuła na sobie świdrujący wzrok Comstocka. Ruchem dawno temu podpatrzonym u Mimi lekko odwróciła głowę i wybuchnęła perlistym śmiechem.

– George? – zapytała.

– Ale skąd! Selden! – poprawiła ją Mimi. – George uczęszczał na Harvard'a ale bywają chwile, kiedy w ogóle tego po nim nie znać... Spójrz tylko na niego! – Mimi wskazała mężczyznę o pospolitym wyglądzie, który w jednej ręce trzymał zapalone cygaro, a w drugiej szklankę koktajlu z krewetek i pociągał z niej ukradkiem długie łyki. – George! – zawołała przez całą salę.

George spojrział na nią z zakłopotaną miną, wytarł usta serwetką, którą podała mu kelnerka, i podszedł do nich. Miał na sobie spodnie koloru kremowego i granatową marynarkę ze złotymi guzikami. Janey

stwierdziła, że wszystko, co o nim słyszała, jest prawdą: wyglądał na takiego przeciętniaka, że nie poznałaby go następnym razem. Nawet jego oczy przypominały seryjnie montowane części.

– Kochany – westchnęła rozpaczliwie Mimi – wiesz, że to nieładnie palić i jeść... Co by mama powiedziała?

– Na szczęście nic nie powie, bo nie żyje – odciął się George.

– Kiedy masz męża, to jakbyś miała małego syna – pożałowała się Mimi. –

Wszyscy ci tak mówią, ale rozumiesz to dopiero po ślubie. George, poznaj Janey Wilcox.

George wytarł dłonie w serwetkę i podał Janey rękę. Palce miał krótkie i grube.

– Nie znam pani, ale wszystko o pani wiem – powiedział, po czym zapytał bezceremonialnie: – Jak to jest, kiedy połowa Ameryki ogląda panią w samej bieliźnie?

– George! – zawołała Mimi.

– Chciałem spytać o to samo. – Rupert się uśmiechnął.

– Może sam spróbujesz? – zaproponowała Janey.

– Już teraz ludzie się ze mnie śmieją – odparł Rupert. Mimi zwróciła się do męża z wyrzutem:

– Gdybyś nie był taki bogaty, rozwiodłabym się z tobą, przysięgam. –

W tym momencie zauważyła Comstocka i Mauve. Janey złowiła spojrzenie Dibble'a i szybko odwróciła wzrok. Nie nastąpiła jednak nieunikniona chwila konfrontacji, ponieważ Mimi poprosiła Ruperta:

– Chodźmy, kochanie, przedstawię cię Mauve. To twoja wielka fanka.

Obiecuję, że do obiadu uwolnię cię od niej. A ty, najmilszy – to było do George'a – skoro już uparłeś się obrazać naszych gości, to przynajmniej trochę się nimi zajmuj. Janey ma ochotę na drinka. – Wzięła Ruperta pod ramię i oboje się oddalili.

George zaprowadził Janey do urządzonego z przepychem salonu.

Opowiadał coś o remoncie, ale Janey szybko przestała go słuchać. Myślała o tym, że małżeństwo Mimi i George'a stanowi modelowy przykład tego, czego ona sama przez całe życie starała się uniknąć. Wprawdzie do tej pory nie pojawił się żaden kandydat – ani biedny, ani bogaty –

zainteresowany jej ręką, ale słuchając nudnego wywodu George'a na temat kosztów różnych rodzajów boazerii i posadzek, nie mogła tego żałować.

Dziwiła się, co mogło skłonić Mimi Kilroy, gwiazdę towarzystwa, do małżeństwa z George'em Paxtonem. Nie był to człowiek odstręczający – miał nawet coś w rodzaju poczucia humoru – ale rzucało się w oczy, jak bardzo nie pasuje do tego świata. Niestety, źle to wróżyło panu Seldenowi Rose'owi. Miano „dobrego przyjaciela George'a" przestało brzmieć jak komplement.

George cały czas mówił chyba o sposobach transportu mebli z Europy do Ameryki. Janey wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła wykazać zainteresowanie tym tematem. Nagle, w oszklonych drzwiach wiodących na taras spostrzegła Pippi Maus. Stał jej przed oczami ideał mężczyzny, z którym ją dziś widziała. Nie było go w pobliżu, ale niewykluczone, że też został zaproszony. Janey przeprosiła George'a, tłumacząc się, że musi wyjść na świeże powietrze. Podkradła się do Pippi, a gdy już była krok za

nią, udała, że nagle ją zauważyła, uśmiechnęła się, jakby ucieszyło ją to nieoczekiwane spotkanie, i zapytała:

– Pippi?

Pippi obdarzyła ją spojrzeniem typowym dla znanych ludzi: z jednej strony zadowolenie, że ktoś ją rozpoznał, z drugiej obawa, że ten ktoś okaże się natrętnym wielbicielem. Janey ledwie powstrzymała kpiące parsknięcie – jej zdaniem Pippi nie była aż tak sławna, żeby spoglądać na nią w ten sposób. Wyciągnęła rękę i przedstawiła się:

– Janey Wilcox.

– Aha – powiedziała Pippi. Widać było, że nie ma zielonego pojęcia, z kim rozmawia, co było dość obraźliwe, jako że w normalnych okolicznościach Janey nie poświęciłaby jej ani chwili uwagi – w końcu, co Pippi mogła dla niej zrobić? Ale zależało jej na poznaniu przynajmniej nazwiska kierowcy zielonego ferrari, więc kontynuowała:

– Pamiętasz... ? Poznałyśmy się... Boże, już sama nie pamiętam gdzie...

– Nie przejmuj się. Ja z reguły nie wiem, jaki dzisiaj dzień – pocieszyła ją Pippi.

– Ale chyba widziałam cię dziś na autostradzie. Wyprzedziliście mnie...

Pippi otworzyła szeroko usta, jak gdyby dopiero teraz poznała Janey.

– Pewnie tak – zgodziła się. – Wszystkich wyprzedzaliśmy. Widziałas mnie? Jechałam zielonym ferrari.

– Uwielbiam ten samochód. – Janey puściła mimo uszu tę zbędną informację.

– Ja też – powiedziała Pippi. – Szkoda, że nie stać mnie na taki.

– To wóz twojego faceta?

– Nie... To znaczy, wóz jest jego, ale to nie jest mój facet. Przynajmniej na razie... On... gra w polo – szepnęła Pippi, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

Janey skinęła głową ze zrozumieniem. Biedna mała Pippi, z myślą twarzą i oczami blisko siebie, nie miała u takiego mężczyzny żadnych szans.

– Dlaczego nie przyprowadziłaś go tutaj? – Jej głos wprost ociekał współczuciem.

– Chciałam, ale on nie mógł – odparła Pippi z żalem. – Musiał iść na obiad z jakimś staruchem, jak mu tam było... Harold?

– Harold Vane? – Janey nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

Harold Vane był kiedyś jej kochankiem, ale pozostał przyjacielem.

Koniecznien trzeba zadzwonić i wydobyć od niego wszystko o tajemniczym graczu w polo. – A jak on się nazywa? – zapytała niby od niechcienia.

– Nie pamiętam. Harold...

– Harolda znam. – Janey uśmiechnęła się z wyższością. – Pytam o tego gracza w polo.

– Zizi. – W oczach Pippi pojawił się przebłysk zrozumienia. – Tak wszyscy na niego mówią. Ale nie dowiedziałam się, czy ma nazwisko, czy nie...

– Co ty powiesz? – Janey miała już dość. Kompletna kretyńska z tej Pippi, pomyślała. Dowiedziałam się, czego chciałam, a teraz czas uciekać.

Z opresji wybawił ją Rupert Jackson.



Było widać, że jej szukał, bo podszedł prosto do niej i powiedział z naganą w głosie:

– Ależ z pani niegrzeczna dziewczyna. Właśnie się dowiedziałem, że zna pani tego łotra, Petera Cannona. Czy to prawda, że spotykała się z nim pani?

Janey nie była zadowolona, że się o tym dowiedział, ale w Nowym Jorku nie sposób zachować niczego w tajemnicy. Jednak, pomyślała, i to poprawiło jej humor, skoro Rupert Jackson o to pyta, to znaczy, że nie jestem mu obojętna.

– O czym tu mówić – rzuciła nonszalancko. – Spotykałam się z nim jak z każdym innym facetem. To znaczy: krótko.

– Niegrzeczna dziewczyna. – Rupert był zachwycony; wykrzyknął to tak głośno, że wszyscy obecni na sali spojrzeli w ich stronę. – Wujek Rupert chce usłyszeć o wszystkim – oświadczył i nie przejmując się widownią, ujął Janey pod ramię i wyprowadził na taras.

Zabawa nabierała tempa; coraz częściej dawały się słyszeć pełne zachwyty okrzyki: „Jaki piękny wieczór!”, zupełnie jakby pogoda również została zamówiona specjalnie na dzisiejszą okazję.

Ale też każdy życzyłby sobie, żeby taką pogodę można było zamówić.

Było ciepło, ponad dwadzieścia stopni, księżyc w pełni, a znad Atlantyku wiała delikatna bryza. Wiatr porywał dźwięki blaszanych bębnów orkiestry calypso i rozwiewał je po wszystkich salach niczym czarodziejski pył. Wzdłuż jasnej balustrady tarasu stały w równych odstępach donice, a w nich kwitły drzewa owocowe z koronami

przystrzyżonymi na kształt wielkich kulistych lizaków. Janey Wilcox

zajęła miejsce pomiędzy dwoma takimi donicami.

Oddaliwszy się na chwilę od towarzystwa, stanęła tak, by prezentować się jak najlepiej: półprofilem na tle oceanu. Oparła ręce na balustradzie, wyginając się lekko w plecach, żeby wyeksponować biust. Odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy, delektując się nocnym powietrzem.

Wiedziała, że takie ustawienie tworzy wizerunek uroczej młodej kobiety pogrążonej w rozmyślaniach.

Doszła do wniosku, że choć bankiet jeszcze się nie skończył, ona już odniosła wielki sukces. Najpierw długa, obiecująca rozmowa z Rupertem Jacksonem. Następnie Mimi przedstawiła ją nowemu naczelnemu „Harper's Bazaar”, który wspomniał, że „widzi ją na okładce”. Janey była modelką od lat, ale nigdy nie trafiła na żadną okładkę. Życie jest kapryśne, myślała, wciąż lekko oszołomiona. Gdy raz się coś osiągnie, to potem jest już tylko lepiej.

A sama Mimi... Janey nie mogła zrozumieć, dlaczego przez tyle lat mogła jej nie ufać. Jak większość ludzi, Mimi okazała się bardzo miła przy bliższym poznaniu. Być może to ona, Janey, zrobiła coś nie tak, a Mimi odniosła wrażenie, że Janey jej nie lubi. Na szczęście w odpowiednim momencie zadziałała ta cudowna właściwość Nowego Jorku: jednym przyjaznym gestem można wymazać raz na zawsze długie lata spięć i nieporozumień.

Janey wypiła łyk szampana, wpatrując się w ocean. „Samotna dziewczyna” to był trik, który często stosowała na przyjęciach, aby dać

okazję zainteresowanemu nią mężczyźnie. Przyglądając się falom, rozmyślała, jaka to ryba połknie dziś jej haczyk. Z zadumy wyrwał ją głos, który znała, ale wcale za nim nie tęskniła:

– Proszę, proszę! Janey Wilcox we własnej osobie.

Był to Bill Westacott, scenarzysta.

– Bój się Boga, Janey – powiedział, podchodząc ku niej. – Już nie można przejść ulicą, żeby nie zobaczyć twojego zdjęcia. Co się dzieje, do cholery?

Mógł to być komplement, ale w jego ustach zabrzmiało to jak zwykle irytująco. Janey zapytała tym samym leciutko złośliwym tonem, jakby dziwiąc się, że go tutaj spotyka:

– Bill! Dostałeś zaproszenie?

– A dlaczego miałbym nie dostać? – odparł.

Janey roześmiała się z wyższością.

– Po prostu się dziwię. Myślałam, że nie przepadasz za Mimi Kilroy.

– Daj spokój. – Bill nie chwycił przynęty. – Przez lata nazbierało się uraz, ale mimo wszystko to moja najdawniejsza przyjaciółka.

– No tak. – Uśmiechnęła się sarkastycznie. – Zapomniałam.

– A ja pamiętam, że to ty za nią nie przepadałaś. – Znów zignorował zaczepkę. – „Stara i brzydka. Co ci ludzie jeszcze w niej widzą?”. Tak raczyłaś się wyrazić, prawda?

Janey odstąpiła o krok, jakby chciała schować się za drzewo.

– Nigdy tak nie mówiłam – zasyczała.

Z Billem zawsze było tak samo. Potrafił w każdej sytuacji odwrócić

kota ogonem i wychodziło na to, że wszystkiemu winna jest Janey. To nie fair.

– Ależ mówiłaś – nie dał się zbić z tropu. – Ale nie podłożę ci takiej świni. Jesteś dziś królową tego balu i kandydatką na nową faworytę Mimi Kilroy.

– Nawet jej dobrze nie znam – zaprzeczyła Janey ze złością.

– Ale poznasz – rzucił od niechcienia. – Nie przepuścisz okazji, żeby wspiąć się wyżej. – Przeszywał ją wzrokiem na wylot. – A Mimi nie przepuści żadnej nowej gwiazdce...

– Przestań. – Niesmak w jej głosie miał dać mu do zrozumienia, że nie zniży się do odpowiedzi na taki przytyk. Nie zraziło go to.

– Czego Rupert Jackson chciał od ciebie? – zapytał, uśmiechając się kpiarsko.

Tu cię mam, pomyślała. Wyłazi z ciebie stara zazdrość. Bill był kiedyś jej kochankiem, przez dwa sezony z rzędu. Miał żonę wariatkę i dwójkę dzieci. Nigdy by ich nie porzucił, ale jak każdy samiec był egotystą i nie mógł znieść, że jego kochanka spotyka się z innymi. Zeszłego lata do szału doprowadził go jej romans z Comstockiem Dibble'em. Chcąc go lekko podpuścić, odpowiedziała uwodzicielskim tonem:

– A jak ci się wydaje, czego mógł chcieć?

Niespodziewanie, zamiast wybuchnąć zazdrością, Bill roześmiał się głośno.

– Nie wiem, ale widzę, że tobie też się źle wydaje.

– Tak uważasz? – Uniosła brwi.

– To nic nowego. – Bill uśmiechnął się z triumfem. – Rupert Jackson

jest homo. Całe Hollywood o tym wie. Narzeczona to kamuflaż.

Janey zachnęła się.

– Jak możesz być taki podły? Kończy się twoja kariera i dlatego... –

Chciała mu wygarnąć, ale jej przerwał:

– Po pierwsze, sprzedałem niedawno scenariusz Universalowi. Moja kariera, jak zatem widzisz, ma się dobrze. – Jego głos był spokojny. – A

po drugie, nie bądź taka zajadła. Nie każdy musi się od razu za tobą

uganiać. Chciałem cię ostrzec jak przyjaciel, że jeśli się zadasz z Rupertem

Jacksonem, to nie unikniesz ośmieszenia i będzie to samo co z

Comstockiem Dibble'em w zeszłym roku. To chyba ode mnie usłyszałaś,

że się zaręczył... ?

– Powiedziałaś, że się ożenił – wypomniała mu Janey.

– A co to za różnica? Ważne, że miał już kogoś...

Różnica faktycznie była żadna, ale bezceremonialność Billa

przypomniała Janey o niemiłej popołudniowej rozmowie z Comstockiem.

Nie chcąc jednak pokazać po sobie zmieszania, spojrzała mu śmiało w

oczy i rzuciła ostentacyjnie:

– I co z tego? Nie zauważyłeś jeszcze, że moi faceci z reguły kogoś już mieli?

Wtedy, wyczuwając jej zakłopotanie, Bill postanowił ją dobić:

– A jak ci idzie ten scenariusz, który dla niego pisałaś?

To był cios poniżej pasa. Przez chwilę Janey myślała tylko o tym, jak

można być taką świnią. Bill zawsze wydawał jej się porąbany, ale nie był

zły z natury. Nowy Jork jest jak tafla lodu, z wierzchu gładka i lśniąca, ale skrywająca pod spodem rój jadowitych węży. Zdarzają się mężczyźni, którzy każdemu zazdroszczą sukcesów, lecz Bill raczej nie miał zadatków na takiego typu. To ją uspokoiło; zaczęła mu współczuć, że zrobił się taki żaloszny. Puściła więc jego zaczepkę mimo uszu.

– Nie rozumiem?

Bill skrzyżował ręce na piersiach i pochylił się ku niej.

– W zeszłym roku planowałaś zostać słynną hollywoodzką scenarzystką – powiedział ze złością w głosie. – Mówiłaś mi, że Comstock zapłacił ci za napisanie scenariusza.

– Zapłacił. – Janey wzruszyła ramionami, udając, że nie rozumie, do czego Bill zmierza.

– Skończyłaś go? Zrobią z niego film z tobą w roli głównej?

– Jasne. – Roześmiała się, próbując obrócić wszystko w żart, chociaż nie było jej do śmiechu. Sukcesy ostatnich miesięcy pomogły jej zapomnieć o tym, że zeszłego lata Comstock Dibble zapłacił jej trzydzieści tysięcy dolarów za napisanie scenariusza, a ona utknęła na trzydziestej stronie. Nie mogła się pogodzić z porażką, zwłaszcza że pisanie scenariuszy zawsze wydawało jej się dziecinnie proste. W zeszłym roku, żeby utrzyć Billowi nosa, wciąż przechwalała się, że świetnie jej idzie i że stworzy wielkie dzieło, a teraz musiała się przed nim tłumaczyć.

– No? – naciskał Bill.

– Co: no?

– Skończyłaś go? – zapytał zarozumiałym tonem, jakby z góry

wiedział, że nie.

– Kończę poprawiać drugą wersję roboczą. – Musiała skłamać.

Bill od początku jej mówił, że nie da rady, ale za nic w świecie nie chciała, żeby się dowiedział, że miał rację.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem. – Muszę go przeczytać.

– Nie ma sprawy – odparła.

Starcie osiągnęło impas – Bill nie mógł przecież dowieść, że nic nie napisała. Janey postąpiła o krok, chcąc zakończyć tę rozmowę i w tym momencie przeżyła kolejny wstrząs. Zbliżał się Comstock Dibble. Nie zauważył ich jeszcze, ponieważ rozmawiał przez komórkę. Za chwilę będzie tuż przy nich. Janey miała pewność, że Billowi starczy tupetu, żeby zapytać go o scenariusz.

Co odpowie Comstock? Chciała się wymknąć, ale na jej drodze stała donica z drzewem owocowym – Janey mogła więc albo odepchnąć Billa, albo rzucić się z tarasu do morza.

Bill przyglądał się jej uważnie, zauważywszy popłoch na jej twarzy.

Comstock nadal ich nie dostrzegał. Był czerwony ze wściekłości i jak zwykle miał twarz zlaną potem. Podniesionym głosem rzucił do słuchawki:

– Niech nie próbują tak ze mną pogrywać, bo jak im się dobiore do dupy, to się nie pozbierają. – Zatrzasnął klapkę telefonu i wtedy ich zobaczył.

Zmrużył oczy i uśmiechnął się paskudnie, odsłaniając szczerbę pomiędzy przednimi zębami. Janey od dawna była zdania, że jego matka

musiała pić podczas ciąży i z tego powodu, przy wzroście zaledwie metr siedemdziesiąt, Comstock miał płodowy zespół alkoholowy. Z rosnącym zakłopotaniem zauważyła, że nie zwraca na nią uwagi, a jego uśmiech jest przeznaczony wyłącznie dla Billa.

– Westacott. – Wyciągnął rękę. – Chłopaki w Universalu chwalą cię za nowy scenariusz.

Bill momentalnie przybrał hollywoodzką postawę zawodową: założył ręce na piersiach i stanął na szeroko rozstawionych nogach, żeby nie górować nad Dibble'em.

– Właśnie się dowiedziałem, że poszedł do realizacji – powiedział. – Rupert Jackson przyjął główną rolę...

– Tak? – Comstock się ucieszył. – Bardzo go lubię. To świetny aktor, ale nie wstaje przed jedenastą...

– Podobno – przytaknął Bill. Janey nie mogła się dłużej powstrzymać.

Wtrąciła się beczelnie:

– Przed chwilą z nim rozmawiałam. W porządku facet...

Słyszała, jak głupio to zabrzmiało, ale było jej wszystko jedno. Nie zamierzała pozwolić, aby ją lekceważono. Wodziła wyzywającym wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego.

Bill był trochę zaskoczony, a Comstock zmierzył ją obojętnym wzrokiem, jakby pierwszy raz widział ją na oczy.

– No... ? – dodała, tracąc rezon.

Bill nie potrafił ukryć rozbawienia. Zwrócił się do Comstocka z uśmiechem:



– Znasz piękną, młodą i zdolną Janey Wilcox?

– Nie miałem przyjemności – odparł Comstock. Jego głos był łagodny, ale wzrok mówił jednoznacznie: „Spróbuj wyciąć mi numer, to ci łeb rozwalę”.

Wyciągnął rękę, a Janey uściśniła ją, trzęsąc się z gniewu. Jak on może mi to robić, pomyślała, i to przy Billu, który przecież dobrze wie, że mieliśmy romans. Właśnie dobierała odpowiednie słowa, żeby przygadać Comstockowi, kiedy zadzwonił jego telefon. Odebrał go jakby nigdy nic, gładko wchodząc w rolę wszechwładnego producenta filmowego.

Przeprosił Billa:

– Wybacz, dzwonią z firmy. Wszędzie człowieka dopadną.

– To przez tę różnicę czasu – pocieszył go Bill. – Wyprowadź się do Australii.

– Próbowałem. – Comstock westchnął, po czym warknął do słuchawki:

– No? – i odszedł.

Janey krew zalała na myśl, że Comstockowi wszystko ujdzie na sucho.

Ruszyła za nim, żeby wygarnąć, co o nim myśli, ale powstrzymał ją Bill.

Spodziewała się, że kiedy tylko Comstock się oddali, zacznie się z niej nabijać. I tak też się stało.

– Spałaś z nim przecież, prawda? – spytał szyderczo. – Zrobiłaś mu krzywdę? Obgryzałaś fiuta czy co?

Janey miała na końcu języka kilkanaście niewybrednych odpowiedzi, ale spojrzawszy mu w oczy, zawahała się. Zbyt dobrze się bawił, patrząc na jej irytację, a instynkt podpowiadał jej, że w tej chwili Bill liczy

właśnie na to, że sprowokuje jej wybuch gniewu. Zrobiła więc nadąsaną minę i opuściwszy głowę, rzuciła mu powłóczyście spojrzenie spod długich ciemnych rzęs.

Ten pokaz kobiecej bezradności i pokory wywołał u Billa przyływ opiekuńczości. Delikatnie ujął ją za ramiona.

– No już, Wilcox – powiedział – żartowałem. Wszyscy wiedzą, że Comstock to dupek. Nie warto się z nim zadawać bez potrzeby, a ty jesteś za dobra dla takiego ohydneho wypierdka...

– Nie musisz mnie pocieszać – ucięła. A potem, stwierdziwszy nagle, że Bill jest jedyną osobą, która może ją zrozumieć, wypaliła:

– Poszłam z nim do łóżka dla kariery!

Bill był wyraźnie zaskoczony jej szczerością, ale mimo to się roześmiał.

– Nie mogę powiedzieć, że pochwalam takie zachowanie – rzekł – ale chyba po raz pierwszy od wielu lat powiedziałaś prawdę.

Janey nagle spostrzegła, że dała się złapać. Przecież sama sobie wmówiła, że kocha Comstocka; Bill pewnie też to od niej słyszał.

– Jeśli chcesz zarzucić mi kłamstwo... – zaczęła.

– To nie jest zarzut, tylko stwierdzenie faktu – przerwał jej Bill.

– Okłamujesz wszystkich, a co najgorsze, okłamujesz samą siebie...

W tej chwili podeszła do nich Mimi.

– Co ja widzę? To mi wygląda na kłótnię kochanków...

Janey rzuciła Billowi wściekłe spojrzenie, zła, że przyłapano ich w tak jednoznacznej sytuacji. Bill był niebezpieczny. Janey pomyślała, że na

przyszłość musi się strzec, żeby nie dać mu się przyprzeć do muru – już

kilka razy mu się to udało i zawsze sprawa kończyła się w łóżku. Bil

jednak, niespieszony, włożył ręce do kieszeni, oparł się swobodnie o

balustradę i odpowiedział:

– Janey i ja przyjaźnimy się od dawna. Zawsze kłócimy się jak

rodzeństwo.

Mimi spojrzała na Janey ze współczuciem.

– Obawiam się, że Bill tak właśnie pojmuję przyjaźń – powiedziała. –

Ze mną bił się już w piaskownicy.

– Bo nie chciałaś dać mi łopatkki – zauważył Bill.

– Byłeś małym łobuzem, a teraz jesteś dużym – odcięła się Mimi.

– Dość już. Siadamy do kolacji. Janey, ty obok Seldena Rose'a...

Słyszając to nazwisko, Bill uśmiechnął się kpiąco.

– Janey zje go żywcem.

– Daj wreszcie spokój. – Mimi rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

Wzrokiem pokazała Janey, żeby szła za nią, mówiąc jednocześnie: – Co

się z nim dzieje? Z roku na rok coraz bardziej zgorzkniały. Może ma

problemy finansowe?

Janey nie mogła na to odpowiedzieć, ponieważ poznała Billa dwa lata

temu i cały czas był taki. Tego jednak Mimi nie musiała wiedzieć.

– Chyba Bill po prostu nienawidzi kobiet i tyle – odparła.

Mimi zatrzymała się i spojrzała na nią zdumiona.

– Masz zupełną rację.

– To pewnie przez żonę – dodała Janey, patrząc znacząco.

Mimi uśmiechnęła się, wzięła Janey pod ramię i szepnęła jej

konspiracyjnie do ucha:

– Na pewno. Biedna Helen. A kiedyś była taka miła...

Wchodząc u boku Mimi do jadalni, Janey poczuła, że stres wywołany

spotkaniem z Comstockiem i Billem przechodzi. Bądź co bądź, tego

wieczoru, w tym miejscu, najważniejsza była Mimi Kilroy – a Mimi

traktowała Janey jak naprawdę bardzo bliską przyjaciółkę. Zadowolenie

Janey sięgnęło szczytu, kiedy Mimi wskazała jej miejsce na samym środku

sali i powiedziała:

– Siedzimy tutaj. Na ciebie czeka miejsce przy moim stoliku.

### **Rozdział 3**

Trzy dni później Patty Wilcox umówiła się z siostrą o trzynastej przed

sklepem Ralphi Laurena w East Hampton. Siedziała na ławce,

zastanawiając się, dlaczego tak się spieszyła, skoro z góry wiedziała, że

Janey się spóźni. Raczej nie dlatego, że miała nadzieję choć raz zobaczyć

się z siostrą punktualnie. Po prostu zawsze było tak, że kiedy Janey

dzwoniła, Patty rzucała wszystko i biegła na spotkanie. Był to typowy

przypadek relacji starszej i młodszej siostry. Czasem Patty bała się Janey...

Tego ranka Janey zadzwoniła do niej i swoim zwykłym, radosnym

głosem, głoszącym wszem wobec, że życie jest piękne – w każdym razie

dla niej – zaproponowała Patty, żeby wybrały się po południu na zakupy.

– No, nie wiem... – Patty się wahała. – Chyba nie wypada...

Janey parsknęła śmiechem.

– Przecież nie musisz nic kupować.

– Nie o to chodzi – powiedziała Patty. – Chyba nie powinnam w takim momencie włączyć się po sklepach.

– Nie wyobrażaj sobie, że paparazzi chodzą za tobą krok w krok. Poza tym nikt cię nie rozpozna.

Mnie nie, pomyślała Patty, ale ciebie na pewno. Przyszło jej na myśl, że Janey jest zdolna do tego, żeby zadzwonić do redakcji jakiegoś plotkarskiego magazynu z informacją, że żona Diggera, naciągniętego na milion dolarów przez Petera Cannona, chodzi na zakupy do Ralph Lauren. Lecz natychmiast ruszyło ją sumienie, jak zwykle, kiedy źle myślała o Janey, a poczucie winy kazało jej zgodzić się na spotkanie. I tak czekała na tej ławce, głodna i podirytowana. Miała ochotę kupić lody. Nic z tego, przypomniała sobie. Jeśli Janey nakryje ją z lodami, nie będzie musiała nic mówić, wystarczy, że spojrzy. A Patty miała już dość na głowie, żeby jeszcze przypomniano jej o jej niedostatkach. Lepiej być głodną, niż żeby ktoś – a zwłaszcza Janey – wytykał jej kilka zbędnych kilogramów.

Digger, oczywiście, nie zgodziłby się z tym, pomyślała Patty, patrząc na kino znajdujące się kilka kroków dalej (grali „Bag o Bones”, film wyprodukowany w firmie Comstocka). Digger zawsze jej powtarzał, że powinna postawić się siostrze. Jednak w tym momencie mąż stracił u Patty na autorytecie, a poza tym on nie znał Janey tak dobrze jak ona. Był jedyną znaną Patty osobą całkowicie odporną na wdzięki Janey, dzięki czemu od razu przypadł jej do gustu, choć nigdy by się nie przyznała, że z tego powodu zgodziła się wyjść za niego. Oznaczało to jednak także, że

nigdy nie będzie mógł zrozumieć, co Patty czuje do Janey. A prawda była taka, że czasami bała się siostry, ale równie mocno bała się o nią.

Janey miała wielki urok, ale był to urok niebezpieczny, ponieważ każdy, kto się do niej zbliżył, cierpiał przez nią, tymczasem ona zdawała się tego nie zauważać. Patty czasem była zdania, że Janey powinna dostać porządną nauczkę od życia, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, co by musiało się stać. I znów czuła wyrzuty sumienia, bo przecież Janey była jej siostrą, a o rodzeństwie nie wypada tak myśleć.

Siostry wciąż nie było. Patty przypominała sobie, że już w dzieciństwie Janey bardzo się wyróżniała. Wszystko i wszystkich traktowała z góry.

Kiedy latem wyjeżdżały na wczasy, Janey, zamiast kąpać się i grać w tenisa z innymi dziećmi, wolała siedzieć w lesie przy stole biwakowym i grać w karty. Była wtedy gruba, ociężała i wstydziła się pokazywać w kostiumie kąpielowym (kto by pomyślał!). Kiedy ktoś starał się z nią zaprzyjaźnić, odpędzała go jedną ciętą uwagą.

Nic więc dziwnego, że cała rodzina odetchnęła z ulgą, kiedy Janey w wieku szesnastu lat dostała się do agencji Ford Models. Wyjechała latem, na trzy miesiące. Dla Patty były to najlepsze wakacje w życiu. Zdobyła złoty medal w stanowych zawodach pływackich, a w domu po raz pierwszy zapanował spokój. Rok później Janey wyprowadziła się na stałe.

Znów jednak sytuacja była dziwna, chociaż nikt, włączając ją samą, nie wspominał o tym ani słowem. Patty na zawsze zapamiętała tamten rok; Janey, która właśnie skończyła osiemnaście lat, wróciła z wakacji spędzonych na południu Francji.

Była odmieniona nie do poznania, jakby przyleciała z innej planety. W firmowych walizkach Louis Vuitton przywiozła markowe ciuchy z francuskich i włoskich kolekcji, torebki Chanel, buty od Manolo Blahnika i pokazywała wszystko Patty, opowiadając, ile co kosztowało. Patty przeraziła się, usłyszawszy, że jedna torebka kosztowała dwa tysiące dolarów. Janey powiedziała jej wtedy, swoim świeżo wyrobionym pseudoeuropejskim akcentem:

– Jeśli nie stać cię w życiu na to, co najlepsze, to w ogóle nie warto żyć.

Patty westchnęła i opadła ciężko na ławkę. Zaczynała czuć się niezręcznie, choć w czerwcu na głównej ulicy East Hampton nie bywa zbyt wielu ludzi, szczególnie w poniedziałkowe popołudnie. Przejechał mercedes, potem rangę rover, a za nimi lexus; wydawało się, że nikt tutaj nie jeździ samochodem wartym mniej niż sto tysięcy dolarów. Jej mercedes kosztował tyle samo, ale mimo to czuła się w tym obcym miejscu jak nieproszony gość. To nie był jej świat, tak samo jak ten mercedes, który nie należał tak naprawdę do niej, bo to Digger za niego zapłacił.

Może przeszkadza mi to, że wszystko jest tutaj doskonałe aż do przesady, pomyślała. Główna ulica rozpoczyna się starym budownictwem, odrestaurowanym drobiazgowo w każdym szczególe, a dalej ciągną się nieskazitelnie białe budynki, w których znajdują się drogie sklepy. A może, myślała dalej, nie potrafię znieść tego, że na każdym kroku biją tutaj po oczach wielkie pieniądze: w witrynie agencji nieruchomości wiszą plakaty z lotniczymi zdjęciami posiadłości za dziesięć milionów dolarów,

a obok w sklepie z bielizną bawełniane majtki kosztują sto pięćdziesiąt. A może chodzi o to, że w Hamptons nie sposób uciec od Nowego Jorku; w każdej chwili można wpaść na kogoś, kogo wolałoby się nie widzieć.

I właśnie to przydarzyło się Patty. Z zamyślenia wyrwał ją bezcielesny, piskliwy głos osoby wrzeszczącej do telefonu komórkowego:

– Mówiłam, żeby go nie wpuszczać! Klient mi się wściekł! – A po chwili zza drzewa ukazała się nieco przysadzista postać Rody Drum.

Dear drum.

Zdjęcie Rody Drum pojawiło się niedawno na okładce magazynu „New

York”. Miała dwadzieścia osiem lat (tyle samo co Patty) i za pieniądze matki prowadziła własną agencję public relations Rody Productions.

Rody Drum niedługo miała trafić do francuskiego więzienia po tym, jak na

zorganizowanej przez nią w kurorcie na południu Francji imprezie

napędzanej ecstazy kilkoro jej znajomych straciło ręce i nogi w głupim

wypadku na łodzi. Ale to dopiero ją czekało. Na razie brylowała w

nowojorskich klubach. Powszechnie uważano ją za najgorszą skandalistkę,

a na jej przyjęciach zawsze bywali goście z samego szczytu. Ostatni jej

postrzelony numer polegał na tym, że przebrała stado psów w designerskie

ciuchy i zaprosiła na taki bankiet kilka niespodziewających się niczego

gwiazd filmowych. Patty wiedziała, że jeśli Rody Drum ją zobaczy, to koniec,

ale było już za późno. Usłyszała, jak mówi do słuchawki:

– Dobra, muszę kończyć. Zobaczyłam Patty Wilcox – i już jej dopadła.

– Paaaaatty! – Przechodnie, słysząc krzyk, odwrócili głowy. – Jaaaak

taaaam?



– Może być. – Patty nadstawiła policzki od pocałowania.

– Tyle czasu się nie widziałyśmy. – Roditz się zachłysnęła. – Co porabiasz?

W obecnej sytuacji to pytanie było nieuniknione, choć Patty wolałaby, żeby nie padło. – Nic.

– Nic? – Roditz najwidoczniej nie potrafiła zrozumieć takiej odpowiedzi.

– Nic. Jestem dobrą żoną i prowadzę dom.

– Super... Życie w stylu retro. – Mina Roditz wyraźnie przeczyła jej słowom.

Patty skinęła głową, ale była pewna, że Roditz patrzy na nią jak na dziwoląga.

– A co robisz cały dzień? – dopytywała się.

– Różne rzeczy... – Patty nie miała najmniejszego zamiaru zwierzać się Roditz Deardrum, że od roku bezskutecznie próbuje zajść w ciążę, że pragnie dziecka najbardziej na świecie, ponieważ kocha męża i odczuwa głęboką potrzebę pogłębienia ich związku przez splodzenie potomstwa. Bo w końcu czy taka dziewczyna może wiedzieć, co to jest miłość na śmierć i życie?

Roditz przysunęła się do niej, próbując nawiązać nić porozumienia, którego nigdy nie było pomiędzy nimi, i zapytała, zniżając głos:

– A jak tam Digger? Ta sprawa z...

– Peterem Cannonem? – Patty poczuła, że sztywnieje. – W porządku.

– To dobrze – ucieszyła się Roditz. – Co się porobiło z tym

Cannonem? To był taki świetny facet. Przyjaźnił się ze wszystkimi...

Pamiętasz te jego dzikie imprezy? Gdybyśmy tylko wiedzieli, że kupuje szampana za nasze pieniądze...

– Nieważne. – Patty miała dość.

– Nieważne – zgodziła się Roditz. – Co robicie w przyszły weekend?

Urządzam przyjęcie dla...

– Digger jedzie w trasę – przerwała jej Patty twardym tonem. – Na dwa miesiące.

– To przyjdiesz sama. – Roditz pozostawała nieugięta. – Przyślę po ciebie samochód. Będziesz mogła szaleć do woli. – Jej wzrok świadczył dobitnie, że Patty musi się zgodzić. Patty nie miała sił, żeby się jej sprzeciwić. – Świetnie! – ucieszyła się Roditz, po czym z miną ciężko zapracowanego człowieka wyjęła telefon i poszła do sklepu.

Patty opadła bez sił na ławkę. Nagle uderzyła ją bolesna świadomość, że wyjazd Diggera oznacza kolejne dwa miesiące, podczas których nie będzie mogła zajść w ciążę. Do tego jeszcze teraz zważyło jej się na głowę to przyjęcie, na które wcale nie miała ochoty iść. Dlaczego w Nowym Jorku ciągle trzeba gdzieś bywać? A wszystko przez to, że Janey się spóźnia. Gdyby raz w życiu zjawiała się punktualnie, Patty uniknęłaby spotkania z Roditz.

Nareszcie! Porsche boxter Janey nadjechał od strony drogi numer 27.

Słysząc go było z daleka, bo prowadziła samochód, jakby spinała konia, umyślnie wrzucając biegi z głośnym zgrzytem. Lubiła skupiać na sobie uwagę, co zawsze martwiło Patty, bo w przeszłości ludzie mówili o niej

różne rzeczy...

Janey zatrzymała samochód tuż przed nosem siostry, wysiadła energicznie i zatrzasnęła drzwi. Miała na sobie czerwony top od Prady, z odkrytymi plecami, a do tego białe dżinsy (białe dżinsy były w modzie od niedawna, ale Janey nosiła je od zawsze). Pomachała do Patty, uśmiechając się zupełnie naturalnie, bez tego sztucznego, flądrowatego grymasu, który prezentowała na plakatach. W takich momentach Patty zawsze topniała i wstydziła się, że kiedykolwiek myślała źle o siostrze. Czy ktoś tak piękny może być z gruntu zły?

Jej wyrzuty sumienia przybrały na sile, kiedy Janey zaszczębiotała:

„Cześć, siostrzyczko”, wzięła ją pod ramię (takim samym ruchem jak Mimi kilka dni temu) i powiedziała:

– Nie mówiłam ci tego przez telefon, bo wiedziałam, że się nie zgodzisz. Chcę ci kupić coś u Ralpha, a potem pójdziemy na lunch do Nick and Toni's. – To była jedna z najbardziej ekskluzywnych restauracji w Hamptons. Patty poczuła, że cała jej złość wyparowała.

– Możemy zrezygnować z zakupów? – poprosiła, gdyż nie chciała znów wpaść na Rodyzy Deardrum. – Umieram z głodu.

– Jasne. – Janey utkwiała w siostrze świdrujące spojrzenie. – A jak tam Digger? – Rzuciła to nonszalanckim tonem, ale jej wzrok przewiercał się wprost do mózgu Patty, jakby umiała czytać w jej myślach. Patty znów doznała uczucia, które zaczęło ją ostatnio nawiedzać; wydawało jej się, że tonie.

– Digger jest... – zaczęła potulnie, a Janey skinęła domyślnie głową.

Patty nagle poczuła, że nie musi mówić nic więcej. Moja siostra, myślała  
Patty w drodze do restauracji, ma tę wspaniałą zaletę, że można jej wyznać  
wszystkie, najmroczniejsze nawet myśli, a ona zrozumie.

W wieku lat osiemnastu Janey spostrzegła, że potrafi zachęcać ludzi do  
zwierzeń. Szybko pojęła, jak potężną bronią jest informacja, a również, że  
nie chodzi o jej istotę (jak błędnie sądzi większość ludzi), ale o sam  
moment, kiedy przechodzi ona z ust do ust, o więź, która łączy  
rozmówców. Jest to niepisany pakt przyjaźni, który można potem  
wykorzystać do własnych celów.

Siedząc z Patty w restauracji (zajęty stolik blisko drzwi), Janey słuchała  
siostry jednym uchem, przywoławszy na twarz stosowny wyraz  
współczucia, drugim zaś strzygła w stronę drzwi. Mimi Kilroy mogła się  
zjawić w każdej chwili. Nowa sytuacja będzie wymagała użycia zupełnie  
innych umiejętności towarzyskich.

Rano Janey zadzwoniła do Mimi pod pretekstem podziękowania za  
zaproszenie na bankiet. Nie zastała jej w domu. Powiedziawszy  
pokojówce, że jest starą przyjaciółką pani Paxton, zdołała się dowiedzieć,  
że po lekcji jazdy konnej Mimi przyjedzie na lunch do Nick and Toni's.

Janey od razu wiedziała, dokąd się dziś wybierze. Problem w tym, że nie  
mogła tam jeść sama. Zrobiła w myślach szybki przegląd znajomych i  
padło na Patty.

Nie zawahała się nawet przez chwilę przed wykorzystaniem siostry,  
choć żywiła do niej bardzo ciepłe uczucia. Zawsze kochała Patty  
naturalną, siostrzaną miłością, ale dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat

zaczęła ją naprawdę lubić. Wytłumaczyła sobie, że to dlatego, że przedtem właściwie się nie znały. Obracały się w różnych kręgach, dopóki Patty nie zaczęła robić programów dla VH1. Tam poznała Diggera, a rok temu wyszła za niego. Zrobiła wrażenie na Janey swoją prostotą, uprzejmością i absolutnie nietypowym brakiem ambicji; trzy miesiące po ślubie rzuciła pracę, żeby zająć się domem i wychowaniem dzieci, które jednak dotąd jeszcze nie przyszły na świat. Janey doskonale zdawała sobie sprawę, jak dobrze mieć szwagra gwiazdora rocka. Choć nie przepadała za Diggerem, to musiała przyznać, że gdyby Patty wyszła za hydraulika (a było to całkiem możliwe), nie utrzymywałyby z nią aż tak bliskich kontaktów. Trudno byłoby o piękniejszy obrazek siostrzanej zażyłości niż ich dwie blond głowy blisko siebie. Janey świetnie o tym wiedziała i cieszyła się, że Mimi zobaczy tę scenkę. Dzięki temu jej osoba ukaże się Mimi w szerszej, bardziej osobistej perspektywie. Odepchnąwszy na bok swoje egocentryczne rozmyślania, Janey zmusiła się do rozmowy z Patty, która nie mogła sobie poradzić z serwetką złożoną sztuką origami w kształt łabędzia.

– Patty?

– Słucham?

– Jak się czujesz? Tak naprawdę?

– Cóż... – Patty poskromiła serwetkę i rozłożyła ją na kolanach. – Nie najgorzej. Spotkałam dziś Reditzy. Poszła do Ralpa Laurena.

– Co u niej? Lubię ją, wiesz? W porządku babka.

– Naprawdę? – zdziwiła się Patty. – Ja jej nie cierpię.

– Czasami bywa wstrętna – zgodziła się Janey – ale stara się, jak każdy.

Dla mnie zawsze jest miła...

– Nic dziwnego...

– A dla ciebie nie?

– Chce mnie siłą zaciągnąć na to swoje przyjęcie w sobotę.

– No i co? – Janey skinęła na kelnera. – Powinnaś więcej bywać.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Po co?

– Po nic. Ludzie muszą spotykać się z przyjaciółmi.

– Większość wcale się nie lubi.

– Skąd wiesz? Nikt nie jest doskonały. Każdy robi, co może, i lubi

innych na tyle, na ile może.

– Dla mnie to za mało.

– Och, Patty. Co z tobą?

– Dlaczego – spytała Patty – każdy za wszelką cenę chce być kimś?

Żeby pokazać, że jest ważny? Po spotkaniu z Roditzy zrozumiałam, co ją

dręczy. Ona się nie docenia.

– Digger tak mówi? – Janey się uśmiechnęła.

– Nie. – Patty poczuła się urażona. – Zastanów się. Dlaczego ona

zawsze robi tyle hałasu wokół siebie, biega i wrzeszczy przez komórkę? A

ty albo ja? Też się nie doceniamy. Jak myślisz, dlaczego nigdy nie

jesteśmy naprawdę szczęśliwe?

Janey zastanowiła się nad tym. Faktycznie. Nigdy tak naprawdę nie

była szczęśliwa.

– Widzisz? – powiedziała Patty. – To przez rodziców. Nigdy nas do niczego nie motywowali. Czy kiedykolwiek usłyszaliśmy od nich, że powiedzie nam się w życiu? Że osiągniemy wszystko, co zechcemy?

– Ty tak – odparła Janey.

Wyprostowała się. Zaczynało ją to drażnić. Patty należała do tych szczęśliwców, którzy nigdy nie muszą się o nic starać. W dzieciństwie była rozpieszczaną najmłodszą córeczką, oczkiem w głowie rodziców. Miała swoje sposoby na jedno i na drugie, podczas gdy Janey nigdy nie potrafiła porozumieć się z ojcem, a z matką ciągle się kłóciła. Szczytem wszystkiego było to, że Patty była uważana w rodzinie za najładniejszą. Należała nawet do cheerleaderek i choć nigdy nie miała najlepszych stopni, jakoś udało jej się dostać na uniwersytet w Bostonie. Janey myślała kiedyś, że Patty musiała wtedy przespać się z kierownikiem do spraw rekrutacji (ona w każdym razie tak by zrobiła), ale na pierwszy rzut oka było widać, że Patty nie jest z tych, które poświęcają zasady na ołtarzu kariery. Potem pojawił się Digger, jej wielka miłość. Janey nigdy nie była zakochana, przynajmniej nie w taki sposób jak siostra, ale miłość wciąż była dla niej wartością najwyższą. Nie przestawała wierzyć, że jest ona wszystkim, czego potrzeba do szczęścia. Problem oczywiście w tym, jak ją odnaleźć. Lekko już poirytowana, zwróciła siostrze uwagę:

– Patty, kto jak kto, ale ty nie możesz być nieszczęśliwa.

Patty wbiła wzrok w serwetkę, zakładając włosy za ucho. Janey pomyślała: Musi się trochę rozchmurzyć, żeby lepiej wyglądać.

– Byłaś kiedyś w ciąży? – zapytała Patty.

Co za pytanie, pomyślała Janey. Zastanowiła się jednak przez chwilę nad odpowiedzią.

– Zdarzało mi się mówić, że jestem w ciąży – zażartowała.

– Pytam poważnie...

– Nigdy nie zauważyłam.

– Bo ja od roku próbuję zajść w ciążę i nic – poskarżyła się Patty.

W tym właśnie momencie zjawiała się Mimi Kilroy.

Janey czuła się, jakby czatowała na nią już od wielu godzin, ale teraz, zamiast zauważyć Mimi i pomachać do niej, starała się sprawiać wrażenie całkowicie pochłoniętej rozmową z siostrą.

– Patty – powiedziała – to nic. Wiadomo, że takie rzeczy mogą trwać nawet rok... Byłaś u lekarza? – Mówiąc to, myślała tylko o Mimi.

W piątek wieczorem, wracając z bankietu, Janey doznała olśnienia:

nagle dostrzegła, ile warta jest znajomość z taką kobietą jak Mimi. Janey

nigdy nie miała wielu przyjaciółek, ale zrozumiała, że stosunki z Mimi

mogą znaczyć więcej niż większość jej kontaktów z wpływowymi

mężczyznami. Zażyłość dwóch kobiet zawsze wydaje się naturalna,

odwrotnie niż przyjaźń kobiety i mężczyzny, szczególnie kiedy on ma

pieniądze, a ona – urodę. Z drugiej strony Mimi miała równie szerokie

wpływy jak większość mężczyzn znanych Janey; wielu z nich czuło nawet

przed nią respekt. Gdyby Janey udało się podsycić zainteresowanie Mimi

jej osobą i nawiązać z nią prawdziwą znajomość, wtedy miałyby szansę

zajść daleko. Protekcja Mimi Kilroy otworzyłaby przed nią wszystkie



drzwi...

Sęk w tym, że Janey nie wiedziała dokładnie, co ma robić, aby zaprzyjaźnić się z Mimi. Jak większość znanych nowojorczyków, Mimi nie uskarżała się na brak przyjaciół; wielu ludzi marzyło, żeby ją poznać. Problem leżał raczej w tym, że to Janey nigdy nie nauczyła się właściwie odnosić do kobiet. W dzieciństwie bardzo się zawiodła na kilku koleżankach, które bezlitośnie ją wyśmiały, kiedy zwierzyła im się, że kocha się w chłopaku ze starszej klasy; mściła się potem, odbijając mężczyzn innym kobietom. Skutkiem tego jej kontakty z przedstawicielkami własnej płci nie były łatwe: Janey nie ufała im, a one (często słusznie) nie ufały jej. Lecz pozostawał jeszcze kobiecy instynkt, który dotąd nigdy jej nie zawiodł. Tego wieczoru zrozumiała, że uwodzić można na różne sposoby i że może zdobyć Mimi tak, jak się zdobywa mężczyznę.

Pierwszy etap jej planu polegał na upozorowaniu przypadkowego spotkania. W tym celu wyciągnęła Patty na lunch; musiało to wyglądać tak, jakby zupełnym zbiegiem okoliczności wybrały się do tej samej restauracji co Mimi. Najważniejsze jednak, żeby niczego po sobie nie pokazać, tak jak wobec mężczyzny. Janey chciała, żeby to Mimi podeszła do niej; dlatego nalegała, żeby usiąść blisko wejścia. Mimi nie mogła jej nie zauważyć, a grzeczność nakazywała wtedy przynajmniej się przywitać. Obserwując Mimi kątem oka, Janey udawała, że jej uwagę całkowicie zaprzęta Patty. Przywołała na twarz minę pełną współczucia i zapytała:

– To co teraz zrobisz?

Patty, całkowicie nieświadoma pojawienia się Mimi Kilroy i tajnych planów Janey, odrzekła tonem pełnym rozpacz:

– Nie wiem. Czasem zdaje mi się, że oszaleję i ukradnę komuś dziecko...

Janey nie zdążyła odpowiedzieć; w tej chwili Mimi dostrzegła ją i miękko, słodkim głosem zawołała:

– Janey, kochanie! Czy to ty?

Janey odwróciła się, udając zaskoczoną. Mimi wracała prosto ze szkoły jeździeckiej. Była ubrana w białą koszulę z krótkim rękawem, obcisłe białe bryczesy i dopasowane, szyte na miarę buty do konnej jazdy. Na jej ramieniu wisiała torebka od Hermesa Birkina, z której wystawał koniec krótkiej, plecionej szpicruty. Na ogół w Hamptons pokazywanie się w stroju jeździeckim było źle widziane; tę modę przynieśli niedawno ze sobą ludzie z showbiznesu i nowobogacy. Ale Mimi mogła sobie na to pozwolić, bo była ze starej szkoły, a poza tym, Janey zauważyła z ukłuciem zazdrości, zachowała świetną figurę i doskonale prezentowała się w obcisłych spodniach.

– Mimi. – Wstała z wdziękiem z krzesła i podała jej rękę. Nie mogła pocałować jej na powitanie, bo była młodsza i miała niższą pozycję. Gdyby to Mimi pocałowała ją, byłby to dobry znak. I spełniło się: po uściśnięciu jej ręki, Mimi nadstawiła policzki, żeby Janey mogła musnąć je kurtuazyjnie ustami.

– Co za zbieg okoliczności – powiedziała Janey. – Dzwoniłam dziś do ciebie, żeby podziękować za przyjęcie.

– Udało się, prawda? – odrzekła Mimi. Ma już pewnie ze czterdzieści lat, pomyślała Janey, a wygląda świetnie, trochę jak chłopczyca; to robi wrażenie. – Rupert był tobą oczarowany, a George aż trzy razy zachwycał się twoją urodą, i to przy mnie! W końcu powiedziałam mu, żeby rozwiódł się ze mną i ożenił z tobą. Seldenowi także przypadłaś do gustu.

Widziałam, że gorąco dyskutowaliście?

Lepiej byłoby powiedzieć, że się kłóciliśmy, pomyślała Janey. Nie był to jednak najlepszy moment, żeby wyrażać swoje prawdziwe zdanie na temat Seldena Rose'a.

– To bardzo ciekawy człowiek – rzekła z przekonaniem.

– Tak uważasz? – Mimi była zadowolona z tego, co usłyszała.

Janey tak nie uważała, dlatego żeby zakończyć niewygodny temat, wskazała Patty.

– Znasz moją siostrę?

Mimi wyciągnęła rękę.

– Znam jej męża. Wszyscy się nim zachwycają. Mówią, że to drugi

Mick Jagger...

Co za porównanie!, chciała krzyknąć Patty, ale zamiast tego bąknęła tylko:

– Dziękuję.

Śmiać jej się chciało, kiedy widziała, jak Mimi udaje, że zna i lubi

Diggera, który jej nie znosił. Ale już w następnej chwili jej siostra i Mimi, jako rasowe mieszkanki Nowego Jorku, zapomniały o nim i o niej.

Karcącym tonem, jakby Janey miała coś na sumieniu, Mimi powiedziała:

– Nie mówiłaś, że w tygodniu można cię złapać w mieście.

– Codziennie – odparła Janey. – Przez całe lato.

– To musimy się spotkać – oznajmiła Mimi. – W ciągu tygodnia można się tu zanudzić. George ma czas tylko w weekendy, ale jego synowie są w domu. Nie mogą przez cały czas siedzieć z opiekunką... No i jest jeszcze Mauve. Znasz ją, prawda?

– Jasne. – Janey skinęła głową. Spotkały się osobiście tylko raz czy dwa, ale w tej sytuacji miało to znaczyć, że wie o istnieniu takiej osoby i vice versa.

– Biedna Mauve. – Teatralny szept Mimi i jej potrząśnięcie głową wskazywały, że Mauve od lat cieszy się współczuciem wszystkich. – Ślub z Comstockiem Dibble'em. Wciąż jej powtarzam, że nie musi tego robić, ale ona nie chce słuchać. Twierdzi, że go kocha. Dziwne, bo są jak dwie krople wody: Mauve też ma okropny charakter... Nie mogą nawet wspólnie ustalić daty ślubu.

Patty przysłuchiwała się tej rozmowie z rosnącym obrzydzeniem. Nie była aż tak ciemna, żeby nie orientować się, że Mimi uchodzi za najlepszą przyjaciółkę Mauve Binchely. Czy tak się mówi o przyjaciółkach? Janey, oczywiście, nie zwróciła na to uwagi. Miała ten skupiony, koci wyraz twarzy, dzięki któremu jej rozmówcy zawsze mieli wrażenie, że poza nimi nic na świecie jej nie obchodzi. Powiedziała z przejęciem:

– Może nie będzie ślubu...

– Będzie – odparła Mimi. – I skończy się to klęską... W każdym razie musisz do mnie jutro zadzwonić. Kocham Mauve jak siostrę, ale nie

muszę jadać z nią codziennie. A propos, jeździsz konno?

Janey wahała się tylko chwilę.

– Tak? To świetnie! – ucieszyła się Mimi. – Wybierzemy się na

przejażdżkę i pogadamy o Seldenie. Mam dla niego kandydatkę na żonę!

Janey, żeby pokazać, że to wspaniała wiadomość, wybuchnęła swoim słynnym perlistym śmiechem.

Chwilę później pojawiła się Mauve Binchely. Na jej końskiej twarzy gościł kwaśny grymas, który wydawał się na stałe do niej przyklejony.

Mimi i Mauve udały się do swojego stolika, a Janey nareszcie usiadła.

Wyglądała, jakby wygrała milion na loterii. Patty nie mogła dociec, co ją tak pociąga w osobie Mimi Kilroy. Zabrała się do sałatki, którą przyniesiono podczas rozmowy. Janey nie mogła uwierzyć we własne szczęście. Zaaranżowana scenka przeszła jej wszelkie oczekiwania.

Prawda, że ludzie pokroju Mimi potrafią doskonale udawać, ale przecież to ona nalegała, żeby się zobaczyć. To była nie lada sztuka; dostać zaproszenie na bankiet na sto osób to jedno, ale zupełnie co innego spotkać się z Mimi sam na sam. Sukces dodał Janey skrzydeł; spojrzała na siostrę, oczekując, że podzieli jej radość.

Wyraz twarzy Patty szybko sprowadził ją na ziemię. Wyglądała, jakby zawiodła się na Janey. Po raz kolejny Janey uświadomiła sobie, że Patty, żona gwiazdy rocka, nie jest osobą światową. Po ślubie z Diggerem media poświęciły jej trochę uwagi, ale nie przypadło jej to zbytnio do gustu. Nie podsyciała zainteresowania swoją osobą, twierdząc, że to jeden wielki fałsz. Przez chwilę Janey zobaczyła siebie i Mimi oczami Patty: dwie

piękne i głupie lale, obrzucające się wymuszonymi komplementami.

Uznała, że siostra ma po części rację, ale jej punkt widzenia jest nieco jednostronny. Patty była zanadto niedojrzała: takie osoby nie potrafią zrozumieć, że przesadne zachowanie pomaga przełamać lody i dotrzeć do ciekawych osób.

– Posłuchaj... – zaczęła, ale Patty jej przerwała.

– Jak mogłaś? – wybuchnęła.

– Co takiego? – Janey była uosobieniem niewinności.

– Po pierwsze, nigdy w życiu nie siedziałas w siodle...

– O to ci chodzi? – Janey uśmiechnęła się lekceważąco. – Przecież

będziemy tylko spacerować. Naprawdę. Siodło jest niewygodne. – Wbiła w siostrę twarde spojrzenie niebieskich oczu. Patty wiedziała, że Janey nie znosi, kiedy kwestionuje się motywy jej działania.

– Skłamałaś – szepnęła.

– No wiesz. – Janey miała już dość. – Przestań brać wszystko tak...

dosłownie. Wolno mi chyba wybrać się z Mimi Kilroy na przejażdżkę?

Czy jestem aż taka okropna, że nie mogę mieć nowych znajomych?

Patty westchnęła zrezygnowana. Po raz kolejny Janey udało się znaleźć

jakiś emocjonalny wytrych, dzięki któremu zapanowała nad sytuacją. Patty

wiedziała, że coś tu nie gra, ale argument był logiczny – czy może

dyktować siostrze, z kim ma się przyjaźnić? Tylko dlaczego to musi być

Mimi Kilroy, a nie ktoś zwyczajny?

– Zrozum, Patty – powiedziała Janey stanowczo. – Mimi jest bardzo

miła, a ty uprzedziłaś się do niej, bo porównała Diggera z Mickiem

Jaggerem. Przecież ona nie wie, że masz problemy z zajściem...

– Janey!

W tej chwili Janey przypomniała sobie, z jakim zachwytem Mimi mówiła o Diggerze. Małżeństwo Patty mogło przynieść nieocenione korzyści, jego rozpad był zatem z wszech miar niepożądany.

– Posłuchaj mnie, Patty. – Wzięła siostrę za rękę. – Nerwy nic tu nie pomogą. Na pewno można temu jakoś zaradzić. Nie uważasz na przykład, że Digger pali za dużo trawy?

Na widok ulgi i zrozumienia malujących się na twarzy Patty, Janey uśmiechnęła się, zadowolona, że potrafiła pomóc siostrze.

Mauve Binchely, siedząca przy stoliku w głębi sali, co chwilę spoglądała na Janey. Trzeba przyznać, że jest piękna, myślała, pocieszając się natychmiast spostrzeżeniem, że jej uroda jest bardzo tania. Odezwała się do Mimi:

– Naprawdę nie rozumiem, jak możesz w ogóle z nią rozmawiać. Jest okropnie pospolita, no i ta reputacja... Mówią, że miał ją każdy. Peter Cannon też.

– Kogo? – Mimi nie zrozumiała. Mauve wskazała wzrokiem. – Janey Wilcox? – Roześmiała się. – Dobrze wiesz, Mauve, że nie dbam o reputację. Gdyby zaczęło mnie to obchodzić, od razu zerwałabym kontakty z Comstockiem Dibble'em!

Nowojorczyki wszystko kategoryzują; kiedy już każdą rzecz umieszczają w odpowiedniej szufladce, przystępują niczym sortowacze diamentów do badania i wyceny.

Najbardziej wartościowy jest pięćdziesięciokilometrowy pas ziemi pomiędzy Southampton a East Hampton. Ta kategoria dzieli się na dwie mniejsze: „na południe od trasy” jest lepsza niż „na północ do trasy”; „trasa” oznacza dwupasmową drogę numer 27. Każdy akr tej ziemi ma inną wartość, a kryteriów wyceny jest mnóstwo: od bliskości oceanu po wpływowych sąsiadów. Janey miała tę wiedzę w małym palcu, ale w skrytości ducha pozwalała sobie na zdanie sprzeczne z ogólnie przyjętym: wolałaby mieszkać na północ od trasy. Przemawiały do niej szerokie otwarte przestrzenie ziemi uprawnej i znajome, kręte polne drogi. Odkryła je już dziesięć lat temu, kiedy po raz pierwszy wybrała się do Hamptons. Tam zawsze znajdowała wytchnienie. Zmieniło się tylko to, że kiedyś (czyli w praktyce jeszcze rok temu) zawsze musiała pożyczać samochód od swojego aktualnego kochanka. Teraz, pomyślała z wielkim zadowoleniem, redukując do trzeciego biegu, żeby zwolnić do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i wziąć ostry zakręt obok drogowskazu, nareszcie mam własny samochód.

Po pożegnaniu z siostrą oraz z Mimi Janey uznała, że pogoda jest w sam raz na popołudniową przejażdżkę. Przy wjeździe na drogę łączącą Sag Main Road i Scuttle Hole Road wrzuciła czwarty bieg, przyspieszając do stu dziesięciu. Włosy, związane w kucyk, powiewały dziko na wietrze. Uwielbiała to poczucie wolności, które dawała jej jazda z dużą prędkością; w chwilach takich jak ta wydawało się jej, że mogłaby tak pędzić, coraz szybciej i szybciej. Ale w końcu musiała zwolnić, żeby skręcić w drogę prowadzącą do szkoły jeździeckiej na farmie Two Trees.



Przyglądając rozwichrzone włosy, zwolniła do trzydziestu na godzinę (mogłaby przysiąc, że słyszała jęk silnika protestującego przeciwko takiemu ograniczeniu) i rozejrzała się po skoszonym polu, na którym stało kilka samochodów. Na samym końcu, tak jak się spodziewała, dostrzegła czarne maserati Harolda Vane'a, arogancko zaparkowane pod kątem, żeby żaden wóz nie mógł stanąć obok. Rozpoznała je natychmiast; przez cały zeszły sezon była dziewczyną Harolda i przejechała tym samochodem o wiele więcej kilometrów, niż powinna. Harold był zbyt nerwowy, żeby dobrze prowadzić, ale kiedy zwróciła mu na to uwagę, spojrzął na nią spłoszonym wzrokiem i dodał gazu. Nigdy więcej o tym nie wspomniała.

Pojechała dalej drogą gruntową, myśląc o kochanym, uroczym Haroldzie, łysym jak kolano, który zawsze miał lśniąco czarne buty i był naprawdę niezłym pozerem. Jednak człowiekowi tak ujmującemu i dobremu (w zeszłym roku pożyczył Janey pieniędzy, kiedy była bez grosza) nie sposób było czegokolwiek zarzucić.

A teraz, pomyślała Janey, malując usta w lusterku znajdującym się na daszku przeciwsłonecznym – szminka Pussy Pink, której używała, była jej znakiem rozpoznawczym – Harold znalazł sobie nowego konika: polo! Rzecz niezwykła, ponieważ był on niewysoki, odrobinę neurotyczny (skończył pięćdziesiąt lat, ale nie mógł usiedzieć spokojnie) i nie miał żadnych zadatków na jeźdźca. Janey jednak „coś mówiło”, że polo będzie wielkim przebojem tego sezonu, a Harold należał do tych, którzy zawsze muszą być na czele nowej mody. Poza tym podobno w ciągu ostatnich dwóch lat zbił fortunę na akcjach. Miał zatem święte prawo poświęcać

swój wolny czas, na co tylko zechciał, bez obaw, że może się ośmieszyć.

Na odległym, zielonym i aksamitnie gładkim boisku do polo uwijały się miniaturowe sylwetki graczy na koniach. Odległość była jednak zbyt wielka, aby kogoś rozpoznać. Janey ruszyła w tamtą stronę, ciesząc się na myśl, że sprawi Haroldowi radość (i niespodziankę). Natychmiast spostrzegła, że trudno będzie iść: niedawno padał deszcz i jej siedmiocentymetrowe szpilki wbijały się głęboko w ziemię, zmuszając do niezgrabnego utykania. Tak nie mogła się pokazać. Wróciła do samochodu, żeby zdjąć buty.

Pochyliła się i zaczęła rozpinąć sprzączkę. Nagle poczuła się niezręcznie, jakby ktoś ją obserwował. Nie znosiła zaskoczenia, jak każdej sytuacji, w której nie mogła panować nad swoim wizerunkiem i wrażeniem, jakie sprawia. Odwróciła głowę; przecucie jej nie myliło.

Ktoś ją obserwował, a do tego tym kimś był człowiek, z którego powodu tutaj przyjechała: Zizi.

Źle się złożyło, pomyślała. Założywszy ręce na piersiach, Zizi opierał się o stojącego opodal rangę rovera (skąd on się wziął, myślała Janey, przecież kiedy przyjechałam, nie było tu żywej duszy), a na jego twarzy znać było wyraźne rozbawienie, jakby wiedział, że zjawiała się specjalnie po to, żeby się z nim spotkać. A najgorsze w tym wszystkim jest to, zauważyła Janey, opierając się o samochód, by nie stracić równowagi, że jest dokładnie tak samo przystojny, jak go zapamiętała z autostrady. Nie: przystojniejszy. Był takim typem mężczyzny, dla którego kobieta może zwariować i zapomnieć o swojej dumie. I wiedział o tym.

Przez chwilę chciała wsiąść do samochodu i odjechać (to by mu dało do myślenia), ale on ruszył w jej stronę. Rzuciła okiem na swoje stopy, zastanawiając się, czy zechce się zatrzymać, żeby z nią porozmawiać. Nie przystanął; mijając ją (był dobre dwanaście centymetrów wyższy od niej, a ona przecież miała metr siedemdziesiąt pięć), rzucił wesoło:

– Potrzebne pani kalosze.

– Bo co? – odcięła się drwiącym tonem.

– Bo błoto – zawołał przez ramię.

I na tym się skończyło.

Ledwie się powstrzymała, żeby za nim nie pobiec. Uważał zapewne, że tak się stanie (taki facet, pomyślała, spodziewa się tego po każdej kobiecie). Zamiast jednak rzucić się za nim, stała niezgrabnie na jednej nodze, unosząc bosą stopę nad murawą.

Zatrzymał się. Odwrócił.

– No i co? – zapytał.

– Jak to: co? – Nie zrozumiała.

– W czym mogę pani pomóc?

– Czy jest tu pan Harold Vane?

– *El patron?* Zaprowadzę panią do niego. – Baczne spojrzenie mówiło, że być może jego słowa mają jakiś ukryty sens. Wrócił do rangę rovera, otworzył drzwi i wyjął parę gumowych kaloszy.

– Proszę. – Uśmiechnął się z lekką kpina.

Gdy podawał jej buty, ich palce się zetknęły. Poczowała dreszcz, jakby poraził ją prąd. Przestała zauważać, co ją otacza, widziała tylko i czuła z

wielką ostrością wybrane szczegóły: pęknięcie na czubku jednego z kaloszy, ostrą trawę pod stopami, a wszystko to przyćmione niesamowitym mlecznym blaskiem jego zielonych oczu, przywodzącym na myśl ciepłe wody Morza Karaibskiego, w których wyraźnie widać muszle i małe rybki na tle jasnobeżowego piasku. Czy on też to poczuł, zastanawiała się gorączkowo, czy to tylko moja wyobraźnia? A jeśli poczuł, co też to może oznaczać?

Ruszył wielkimi krokami przez pole, stąpając władczo niby młody bóg, a ona poczłapała za nim, usiłując dotrzymać mu kroku. Nie mogła oderwać od niego oczu (kto by mógł?), a kiedy odwrócił się i uśmiechnął do niej, doszła do wniosku, że jego zachowanie cechuje wypracowana grzeczność połączona z pozorem pełnego rezerwy znudzenia światem; tę kombinację spotyka się u ludzi obdarzonych urodą tak wielką, że oddziela ich ona od reszty ludzkości.

– Pasjonuje się pani polo? – zapytał, a ona z niespotykaną szczerością odpowiedziała:

– Nie, ani trochę.

Uniosła brwi wyzywająco, czekając na znak dezaprobaty z jego strony, lecz w tym gościu była szczerść i dziecięca prostoduszność. Nie zachowywała się zaczepnie, jak na ogół postępowała z nieznanymi mężczyznami. Docenił to i roześmiał się. Ona też się roześmiała, w zupełnie niewymuszony sposób, dziwiąc się, z jaką łatwością opadła z niej cała skorupa pozerstwa i obłudy, odsłaniając jej prawdziwe ja. Oczy obojga nagle rozbliły, kiedy odnaleźli się wzrokiem.

– Zaczynam myśleć, że to naprawdę dobry dzień – zauważyła.

Nastrój chwili zburzył tętent kopyt. Z odległego krańca boiska nadciągnęła galopem grupa jeźdźców, minęła ich i popędziła w kierunku bramki po drugiej stronie pola. Za nimi podążał samotny jeździec, przypominający worek kartofli przywiązany do siodła. Workiem rzucało ryzykownie we wszystkich kierunkach. Kiedy koń przyniósł go bliżej, Janey rozpoznała Harolda Vane'a.

Nagle jeźdźcy zawrócili i ruszyli z powrotem w ich stronę. Panika na twarzy Harolda świadczyła dobitnie, że zderzenie jest nieuniknione. Nie próbował już odgrywać dzokeja i zdał się na łaskę swojego wierzchowca. Ponieważ nie uśmiechało mu się zostać stratowanym, dosłownie zawisł na szyi starej klaczy imieniem Diablotka, którą niedawno odwołano z jeździeckiej emerytury w jednym tylko celu: aby zapewnić Haroldowi bezpieczeństwo w siodle. Kobyłka natychmiast zrozumiała, co się święci. Przygryzając wędzidło, żeby Harold nie mógł jej spłoszyć przypadkowym pociągnięciem za lejce, ruszyła dziarskim klusem w stronę stajni.

Do tej pory uwaga Harolda Vane'a była skupiona na utrzymaniu się na grzbiecie Diablotki przez czas potrzebny na dotarcie do odległej o półtora kilometra stajni; tam wybiegnie mu naprzeciw stajenny albo jego pomocnik, starając się nie okazać dezaprobaty. Lecz nagle wzrok pechowego jeźdźca przyciągnęły miłe oku kobiece kształty, a chwilę później rozpoznał ich właścicielkę. Nikt inny, tylko Janey Wilcox. Co ona tutaj robi, do cholery, pomyślał. I wtedy z konsternacją zauważył, że Janey stoi obok – zbyt blisko – gwiazdy jego drużyny polo. Nie dotykali się

(wszystko do czasu, przemknęło mu przez myśl), ale otaczała ich aura poufałości: ona stała z uniesioną głową, patrząc mu w oczy, on odwzajemniał spojrzenie, garbiąc się lekko. Niedoczekanie, pomyślał Harold, nie pozwolę Janey Wilcox zawrócić w głowie mojemu najlepszemu graczowi. Trzeba będzie pogadać z Zizim i zdusić zagrożenie w zarodku, oczywiście wyłącznie dla dobra drużyny; Harold pragnął zwycięstwa, więc Zizi musiał być w pełni skoncentrowany.

Będzie musiał mnie posłuchać, pomyślał, Ignąc do szyi klaczy.

Cechowała go spokojna cierpliwość bogatego człowieka, który zawsze jest pewien zwycięstwa. To on w końcu był tutaj szefem, to on pompuje w drużynę pół miliona dolarów miesięcznie, a dla argentyńskiego zawodnika *el patron* to świętość. Uznał zatem, że Janey Wilcox nie należy zbytnio się przejmować. Przypomniawszy sobie, że już raz ją miał i porzucił, a także to, że jest ona jedną z tych kobiet, które łatwo zdobywają mężczyzn, ale nie potrafią ich przy sobie utrzymać.

Zza kępy drzew wyłoniły się ściany zbawczej szopy. W swojej męskiej próżności Harold nigdy by nie przyznał, że jest zazdrosny. Zgadza się, porzucił Janey Wilcox, ale to nie musiało oznaczać, że chciał ją widzieć u boku innego mężczyzny, zwłaszcza o dwadzieścia lat od niego młodszego, sto razy przystojniejszego, a przede wszystkim o dobre trzydzieści centymetrów wyższego.

On ma wszystko, czego mi potrzeba, myślała Janey, wracając samochodem do domu. W kwestii najprostszych ludzkich emocji, takich jak miłość, nienawiść, zazdrość, radość i triumf, brakowało jej zarówno

wyrafinowania, jak i najmniejszej szczypty poetyckości, ale to, co czuła teraz, było szczere. Jak wielokrotnie wcześniej z innymi mężczyznami, tak i tym razem Janey uznała, że zakochała się w Zizim.

W każdym razie, zdecydowała, zjeżdżając na drogę numer 27 z Hayrack Road (specjalnie pojechała trasą, gdzie ruch był większy, żeby móc spokojnie pomyśleć), nie będę się zadawać z Seldenem Rose'em. Zwłaszcza po tych kilku cudownych chwilach z Zizim. Silnik pracował cicho na niskich obrotach, a ona przypomniała sobie spotkanie z Rose'em na bankiecie u Mimi. Wspomnienie to rozbawiło ją i napełniło poczuciem triumfu.

Jej pierwsze wrażenie było pozytywne, przynajmniej jeśli chodzi o wygląd: był wysoki, ciemnowłosy i choć skończone czterdzieści lat dawało o sobie znać, jego rysy zachowały nieco młodzieńczej pełności. Ale kiedy uścisnął jej dłoń, uśmiechając się nieznacznie zaciśniętymi wargami, zrobił na niej odpychające wrażenie człowieka, który wie, że jest świetną partią i nikomu nie pozwoli o tym zapomnieć.

Westchnęła cicho z rezygnacją i zajęła miejsce obok niego. Gdy tylko usiadła, z rozmysłem odwrócił się do niej plecami. Zrobiło jej się żal, że dla niego wypożyczyła taką piękną suknię.

Zabierał główny głos w dyskusji, w której brała udział połowa ich stołu.

– Współcześni ludzie nie mogą sobie poradzić z faktem – perorował z wielką pewnością siebie, jak człowiek, który zakłada, że jego opinie zawsze będą poważane – że kiedy nie ma już wojen, moralność nie ma

racji bytu. Ludzkość stała się miękka i zdemoralizowana, ponieważ  
pozwolono jej zapomnieć, że śmierć jest namacalna... Nastąpiła  
immunizacja na śmierć. Śmierć dziś zabiera ludzi zza zamkniętych drzwi...  
Nikt już jej nie widzi...

Janey nie mogła ścierpieć poważnego tonu tej dyskusji.

– Immunizacja? To strasznie wielkie słowo jak na East Hampton.

Odwrócił się do niej – czas najwyższy, pomyślała – i bez cienia  
sarkazmu w głosie, jakby naprawdę miał ją za głupią lalę, zapytał:

– Czy mam wyjaśnić znaczenie tego słowa?

– Chce mi pan odebrać przyjemność znalezienia go w słowniku? –

Janey ostentacyjnie wypła łyk szampana, wytrawnego Laurent-Perrier z  
doskonałego rocznika, podanego w butelkach przybranych kwiatami.

– Jak pani sobie życzy. – Najwidoczniej nie miał pojęcia, co z nią  
począć. Janey uznała, że Selden Rose nie ma ani krzty obycia

towarzyskiego, prawdopodobnie dlatego, że przyjechał z Los Angeles.

Oboje demonstracyjnie odwrócili się do swoich sąsiadów – ona w lewo, on  
w prawo.

Po lewej stronie Janey siedział republikański senator z Nowego Jorku,  
beztroski mężczyzna o wielkiej władzy. Nazywał się Mikę Matthews i  
miał po sześćdziesiątce. Janey umiejętnie podtrzymywała rozmowę na  
temat dobrodziejstw generalnych porządków w Nowym Jorku aż do  
momentu podania przystawek – ziemniaków na zimno, przybranych  
kawiozem z białugi, uchodzących za wielki delikates – ale kiedy  
sprzątnięto puste talerze, nagle zabrakło tematów. Zaczęła słuchać, co



mówi Selden. Miał w zanadrzu milion głupich opinii, co stwierdziła, podsłuchawszy, jak dyskutuje ze swoją sąsiadką, elegancką damą w średnim wieku, na temat różnic pomiędzy mężczyznami a kobietami.

Rozmowa musiała zejść na te tory, pomyślała Janey. Samotny mężczyzna nie uniknie pytań o powód swojej beżzenności. W tym właśnie momencie

Selden oznajmił jak na zawołanie:

– Prawda, biologiczna prawda, jest taka, że mężczyźni wybierają kobiety na podstawie wyglądu. – Miał jeszcze tupet, żeby dodać: – I tej jednej rzeczy feministki nigdy nie zmieniają.

Jego sąsiadka uśmiechnęła się pobłaźliwie, a Janey wybuchnęła dźwięcznym, szyderczym śmiechem. Słyszac to, musiał się odwrócić.

Ma wycucie czasu, pomyślała; właśnie na taki moment czekałam.

Janey natknęła się niedawno w księgarni na nowe wydawnictwo feministyczne pod tytułem „Piękność: Jak oczekiwania mężczyzn zrujnowały kobietom życie”. Miała zwyczaj przeglądać książki, aby wyłowić z nich garść istotnych faktów, które mogły jej posłużyć w konwersacji towarzyskiej.

– Prawdę mówiąc – powiedziała miłym tonem – myli się pan. W wieku osiemnastym, jeszcze przed rewolucją przemysłową, wymyśleniem pojęcia redystrybucji dóbr i nastaniem ery kobiet-utrzymanek, mężczyźni wybierali sobie partnerki na podstawie majątku i pozycji społecznej, względnie zdolności do rodzenia dzieci lub do pracy. Wygląd nie miał tu nic do rzeczy...

– No nie – parsknął lekceważąco, jakby do rozmowy wtrąciło się

natrętnie dziecko. Wypił łyk wody (Jezu, czy on w ogóle pije alkohol, pomyślała Janey) i zripostował: – A Helena Trojańska? – To chyba miał być dowód uniwersalny.

Janey wiedziała, że o tym wspomni – książka ostrzegła, że tacy faceci zawsze powołują się na kazus Heleny Trojańskiej.

– Nie rozumiem. – Wzruszyła ramionami. – A Anglicy, którzy wybierają żony na podstawie pochodzenia i charakteru?

– I tak ma być lepiej? – Sarkazm w jego głosie świadczył, że nie jest przyzwyczajony do tego, że mu się zaprzecza. '

– Ani lepiej, ani gorzej – odparła Janey, odgarniając włosy. – Chcę tylko powiedzieć, że nie należy formułować ogólnych wniosków, dotyczących całej męskiej części ludzkości, na podstawie własnych niedojrzałych pragnień. – Z bijącym sercem wyprostowała się na krześle. Przez chwilę bała się, że posunęła się zbyt daleko...

Utarłam mu wtedy nosa, pomyślała radośnie, skręcając w Ocean Road.

Do końca kolacji umyślnie nie zgadzała się ze wszystkim, co tylko powiedział, więc chciał czy nie chciał, musiał z nią rozmawiać. A nie chciał, to było widać. Kiedy posiłek dobiegł końca, oboje wstali jednocześnie i oddalili się w przeciwnych kierunkach. Kiedy później minęła go, udając się do toalety, skinęła mu tylko uprzejmie głową, jakby go z trudem rozpoznała.

Skręcając w ulicę, na której stał jej dom, postanowiła, że jeśli kiedyś jeszcze spotka się z panem Seldenem Rose'em, zrobi dokładnie to samo.

## **Rozdział 4**

Sezon polo rozpoczął się w połowie czerwca w Bridgehampton. W dniu meczu inauguracyjnego było niezwykle gorąco; temperatura przekraczała trzydzieści dwa stopnie.

Janey Wilcox siedziała na połączonym krzeselku ustawionym pod olbrzymim białym namiotem, wachlując się numerem magazynu

„Hamptons”. Włosy upięła z tyłu głowy, a choć była właściwie naga, nie licząc złotej kamizelki i króciutkich różowych szortów, nie chroniło jej to przed upałem; strumyczki potu spływały z jej szyi, wpadając za dekolot.

Dwa dni temu zerwał się niezwykle o tej porze roku gorący północny wiatr, który wzbił z plaż tumany piasku i okrył wszystko cienką warstwą kurzu i pyłków. Spacer nad morzem był wykluczony – najlepiej było w ogóle nie wychodzić – ale mimo to letnie życie towarzyskie kwitło.

Mieszkańcy Hamptons uśmiechali się, pozowali do zdjęć i opowiadali o przyjęciach, na które odważyli się wybrać poprzedniego wieczoru, ryzykując wyjście z domu.

W to sobotnie popołudnie wypadało być na meczu polo, choć sama gra tak naprawdę nikogo nie interesowała. Rozgrywce przyglądali się tylko ci, którzy chcieli odpocząć od tłumu znanych osobistości kłębiącego się pod namiotem dla VIP-ów. Pomimo to Janey i Mimi już od dwudziestu minut beztrąsko lekcewały towarzyskie konwencje, zajmując rezerwowane miejsca na samym skraju boiska i popijając szampana. Mimi przyglądała się grze przez lornetkę. W końcu odjęła ją od oczu i nachyliła się do Janey, wskazując na Ziziego.

– Tamten młodzieniec jest absolutnie cudowny – powiedziała. – Gdyby

nie on, nie byłoby czego tutaj oglądać.

Janey wzięła od niej lornetkę, chichocząc. Udawała, że nie zauważyła dotąd przystojnego gracza. Przyszło jej do głowy, że Mimi czasami potrafi się odezwać jak podstarzała kobieta i że pewnie jest to kolejna z jej manier. Janey odkryła skłonność bogaczy do ulegania manierom, kiedy dwa dni temu zadzwoniła do Mimi, żeby zaprosić ją na mecz polo.

– Kochana – powiedziała Mimi śmiertelnie znudzonym tonem – czy ty wiesz, ile meczów polo ja widziałam w życiu? – Janey obawiała się, że Mimi odmówi, ale w następnej chwili usłyszała jej radosny, dziewczęcy głosik: – Ale trzeba tam być, dlatego rzecz jasna pójdę z tobą.

I wszystko byłoby cudownie, gdyby Mimi nie zadzwoniła w piątek z zapytaniem, czy Janey nie ma nic przeciwko, żeby Selden Rose wybrał się na mecz razem z nimi. Musiała więc udać, że bardzo się cieszy, choć tak naprawdę zepsuło jej to całą radość. Mimi zaprosiła ją również na lunch przed meczem, żeby mogły obgadać Rose'a. Janey nie miała najmniejszej ochoty o nim rozmawiać, tym bardziej że jedynym mężczyzną, jaki obecnie istniał dla niej na świecie, był Zizi. Ale zgodziła się, ponieważ takie spotkanie mogło zbliżyć ją do Mimi oraz stać się punktem wyjścia do innych, ciekawszych rozmów, zwłaszcza o wspólnych znajomych, takich jak Comstock Dibble.

Janey wystarczająco dobrze orientowała się w regułach życia towarzyskiego, żeby wiedzieć, że dopóki nie pozna Mimi na tyle, by móc odgadnąć, co nią kieruje, za nic w świecie nie wolno jej się przyznać do romansu z Comstockiem Dibble'em. Dotąd Mimi mogła jedynie się

domyślać, że Janey zna Dibble'a, a powszechnie było wiadomo, że w kwestii kobiet nie można mu ufać. Janey myślała o Comstocku, ponieważ tego dnia rano otrzymała niepokojący list. Przesłano go z Nowego Jorku wraz z resztą listów do niej; został wysłany prawdopodobnie przed samym dniem pamięci poległych. Napisał go Comstock Dibble, a pretekstem była potrzeba omówienia jej scenariusza. Dla Janey było jednak jasne, że ona i Dibble nie mają nic do omówienia, a sam list ma być żalosną próbą zastraszenia jej – chociaż nie mogła odgadnąć, dlaczego Comstockowi tak na tym zależy. W każdym razie nie zamierzała dać się zastraszyć. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli nie da poznać po sobie, że w ogóle dostała od niego list.

Tego dnia jej taktyka opierała się na „małych fortelach”. Wypatrując oczy przez lornetkę, obserwowwała wspaniałą postać Ziziego, który w tej właśnie chwili potężnym uderzeniem kija posłał piłkę na drugi koniec boiska. Nie mogła jeszcze ujawnić, co naprawdę do niego czuła, spytała więc niewinnym tonem:

– Kto to taki?

– To chyba ten zawodnik, o którym Pippi gędzi aż do znudzenia – odrzekła Mimi. – Wmówiła sobie, że mu się spodobała.

– Skoro tak, to dlaczego jej tu nie widać?

– Wypadło jej przesłuchanie.

– Moim zdaniem to jeden z tych facetów, przy których wszystkie babki myślą, że im się podobają. – Janey oczywiście uważała się za wyjątek od tej reguły. Studiowała rysy Ziziego przez lornetkę, obracając w pamięci

każde słowo z ich niedawnej rozmowy. Doszła do wniosku, że z jego strony nie mógł to być zwykły flirt; to, co czuła, było zbyt mocne i szczere.

– Wszystko jedno – odrzekła jej Mimi. – I tak nie można wyjść za gracza w polo.

– Dlaczego? – zapytała Janey ostrym tonem.

– Po pierwsze, tacy nigdy nie śmierzdzą groszem. – Mimi się roześmiała. – A po drugie, żyją na walizkach. – Wyciągnęła rękę po lornetkę. – To tak samo jak wyjść za zonglera z cyrku... No, może niezupełnie. Ten tutaj wygląda na niezłego jebakę.

Janey natychmiast stanęła w obronie Ziziego.

– On na pewno jest inny – powiedziała. – Wygląda, jakby miał duszę.

– Nawet jeśli ją ma – Mimi oddała jej lornetkę – to tutaj, na East Endzie, szybko o niej zapomni. – Rozejrzała się dookoła, najwidoczniej straciwszy zainteresowanie Zizim. – Gdzie się podziewa Selden?

Nic mnie to nie obchodzi, chciała powiedzieć Janey, ale zapytała tylko swobodnym tonem:

– O której miał przyjechać?

– O trzeciej – odpowiedziała Mimi – a jest już po wpół do czwartej.

Mam nadzieję, że się nie zgubił, tak jak ostatnio. Widzisz go gdzieś?

Janey niechętnie oderwała wzrok od boiska, udając, że wypatruje

Rose'a przez lornetkę w tłumie za ich plecami. Mimi ciągnęła

roztargnionym tonem:

– George uwielbia Seldena. Mówi, że on wysoko zajdzie... Już teraz

wiele osiągnął, ale George powiedział, że wcale się nie zdziwi, jeśli za kilka lat Selden będzie miał własnego G5.

– Naprawdę? – spytała Janey obojętnym głosem. – Wiesz przecież, że nie zależy mi na pieniądzach.

– Janey Wilcox! – wykrzyknęła Mimi. – Nie znam cię zbyt dobrze, ale kiedy ktoś mówi, że nie zależy mu na pieniądzach, to znaczy, że kłamie. A wśród moich przyjaciół nie ma kłamców!

Jej słowa zabrzmiały dziwacznie, jakby wypowiedziała je dorastająca dziewczynka. Janey domyśliła się, że tak mówią bogate nastolatki w drogich pensjonatach. Nie potrafiła powiedzieć, czy Mimi żartuje, czy mówi poważnie. Nagle poczuła, jak wiele je różni. Chcąc załagodzić sprawę, zaczęła się tłumaczyć:

– Chyba każdej kobiecie zależy na pieniądzach...

– To prawda – powiedziała Mimi. – Nie warto udawać, że jest inaczej, bo nie ma nic gorszego niż utrzymywanie mężczyzny... I niech cię nie zniechęca wygląd Seldena. Faceci, którzy naprawdę do czegoś doszli, zwykle nie są olśniewający.

– Uważam, że Selden jest... przystojny. – To słowo ledwo przeszło Janey przez gardło. Żeby ukryć niesmak, dodała: – Ale nie sądzę, żebym mu się spodobała, mówiłam ci już przecież.

– Posłuchaj, kochanie – odparła Mimi. – Znam się na facetach. Uwierz mi, że podobasz się Seldenowi. Nie masz pojęcia, jak się ucieszył, że przyjdiesz na ten mecz.

– Może zmienił zdanie co do mnie – mruknęła Janey pod nosem,

kierując lornetkę na dojazd do boiska, wąską drogę z płotem po obu stronach, zapchaną teraz pojazdami. – Wiele samochodów nie może wjechać – zauważyła. – Tutaj zawsze są kłopoty z parkowaniem. Jej uwagę przykuł niezwykle model jaguara – sześciocyldrowy XK120 z 1948 roku. Był on taką rzadkością, że Janey widziała w życiu tylko jeden egzemplarz, na wystawie klasycznych aut, organizowanej na starym torze wyścigowym w Bridgehampton. Była nawet zdecydowana oddać się jego właścicielowi, żeby tylko zbliżyć się do tego wozu, ale okazało się, że go tam nie ma. Skierowała lornetkę na kierowcę, zaintrygowana, kto może mieć dość pieniędzy – i smaku – żeby jeździć takim wozem.

Fryzura człowieka za kierownicą wydała się jej znajoma; z wielkim zdumieniem rozpoznała twarz Seldena Rose'a. Ten wóz jest o wiele za dobry dla takiego leszcza, pomyślała.

– Widziałam Seldena – poinformowała Mimi. – Zaraz tutaj będzie. –

Westchnęła, przybita niesprawiedliwością losu, przez którą najlepsze samochody zawsze należały do największych palantów. Zrezygnowana, wróciła do obserwacji meczu.

Selden Rose miał gęste włosy, które wyglądały tak, jakby wcale nie rosły i tym samym nie trzeba było ich strzyc ani o nie dbać. Kiedy uśmiechał się swoim szerokim, chłopięcym uśmiechem, widać było białe, wzmocnione fluorem zęby, odrobinę nierówne; w latach sześćdziesiątych ortodoncja stała na niższym poziomie niż dziś. Pochodził z okolic Chicago i na pierwszy rzut oka był chodzącą uprzejmością. Po kilku pobieżnych



spotkaniach można go było wziąć za zasadniczego urzędnika wielkiej korporacji, pnącego się w górę po szczeblach kariery. Ale on był kimś więcej: należał do nielicznych, którzy dotarli na sam szczyt, i w gruncie rzeczy cechowała go chorobliwa wręcz ambicja. Został dyrektorem Movie-Time i teraz nad jego stanowiskiem były już najwyżej dwa stołki; jego celem było je zdobyć, i to wcześniej niż później. Chciał rządzić całym koncernem Splat Verner.

Kanał Movie-Time był oddziałem Splat Verner, konglomeratu medialnego, który uważał się za instytucję większą i ważniejszą niż którykolwiek z rządów i prowadził interesy w prawdziwie amerykańskim stylu. Innymi słowy, firma na zewnątrz pokazywała, że troszczy się o swoich pracowników, oferując im zasiłki i możliwość wykupu akcji; dbała o poprawność polityczną, głosząc hasła poparcia dla wielokulturowości i gwarantując zatrudnionym bezpieczeństwo przed molestowaniem seksualnym (jak głosiły biurowe emaile). Ale pod tą przyjemną otoczką pozorów wszystko było jak wszędzie indziej, a interes prowadzili ludzie, którzy w skrytości ducha byli zdania, że ich praca najbardziej przypomina wojnę. W ciągu ostatnich piętnastu lat Splat Verner wykupił wydawnictwa prasowe i producentów filmowych, stacje telewizji kablowej, wydawnictwa książkowe, serwery internetowe, operatorów telefonicznych i satelitarnych oraz agencje reklamowe. Zajmowano się tutaj rozrywką – jej produkcją, marketingiem i dystrybucją. Produkt firmy musiał mieć markę, a dopóki dobrze się sprzedawał, nikt się nie zastanawiał, co kieruje firmą. A kierowała nią żądza zysku za wszelką

cenę. Dyrektorzy poszczególnych działów rozumieli, że polityka firmy wymaga, aby każdego, kto stanie im na drodze, rozgnieść jak robaka.

Niemożliwe było tutaj powtórzenie biblijnej historii Dawida i Goliata; samotny sprawiedliwy nie miał z nimi żadnych szans. Powiedzonko grubych ryb firmy Splatch Verner brzmiało: „Kto nam podskoczy, długo na tym świecie nie pożyje”.

Selden Rose był typowym pistoletem ze Splatch Verner. Nie wyróżniał się ani ubiorem, ani manierami. Swój gust chciał wyrazić w jeden tylko sposób: poprzez wybór drugiej żony.

Wielu jego kolegów na kierowniczych stanowiskach, którzy tak jak on byli po czterdziestce, niedawno ożeniło się po raz drugi. Wymienili swoje pierwsze żony (były to przeważnie atrakcyjne kobiety o rok lub dwa młodsze od nich, wykonujące poważne zawody, tak jak była żona Seldena – prawniczka) na kobiety bardziej godne pożądania i młodsze od nich o dziesięć lub piętnaście lat. Dyrektor działu reklamy ożenił się z primabaleriną American Ballet Theatre, niewysoką, ciemnowłosą i tajemniczo małomówną dziewczyną o wielkich oczach. Dyrektor kablówki poślubił rosyjską pianistkę, szczyjącą się tym, że pochodziła w prostej linii od Romanowów. Inni dyrektorzy wybierali sobie a to pochodzącą z Chin absolwentkę Harvardu, która była geniuszem komputerowym, a to republikańską dziennikarkę, prowadzącą własny magazyn polityczny w CNN, a to projektantkę mody. Janey Wilcox byłaby gwiazdą tej listy, a cała firma zazdrościłaby Seldenowi, który w myślach przyczepił jej już tabliczkę: „Modelka o międzynarodowej sławie”.

Selden zaparkował samochód na trawie i wysiadł, poprawiając przepisane przez lekarza okulary przeciwsłoneczne. Zwykle po zaparkowaniu stawiał dach i zamykał wóz na klucz, ale w tej chwili czuł się zupełnie beztroski. Janey Wilcox sprawiła mu miłą niespodziankę na bankiecie – nie okazała się tak głupia, jak się obawiał i jak mu opowiadano. Dostrzegł uczuciową, subtelną istotę za, jak sam to nazwał, „twardym murem cynizmu”. Jak wielu mężczyzn, którym brak prawdziwego doświadczenia z kobietami i którzy z tego powodu nie potrafią ich zrozumieć, Selden nie mógł sobie wyobrazić, że piękna kobieta może się okazać zdzirą. Nie przyjąłby też do wiadomości, że może się nie podobać kobiecie. Kąśliwe uwagi Janey przypisywał jej defensywnemu charakterowi; dziewczyna z natury miła, wykorzystywana przez facetów „gorszych od niego”, musi prędzej czy później nauczyć się ostrożności. Podejrzewał, że Janey Wilcox nie zaznała w życiu prawdziwej miłości oraz że nigdy nie była w „zdrowym” związku (przynajmniej co do tego się nie mylił). Widział w niej istotę potrzebującą pomocy.

Selden Rose lubił myśleć o sobie jako o typie rycerza. Idąc w kierunku sektora dla VIP-ów, zaczął się martwić, że na bankiecie u Mimi nie pokazał się z najlepszej strony. Wszystko przez te nerwy, pocieszył się, zadowolony, że jest jeszcze zdolny do denerwowania się z powodu kobiety. Rozwiódł się dwa lata temu; od tego czasu miał u boku niejedną piękność, ale były to raczej typowe laleczki z Los Angeles, których uroda przypominała garnitur prosto ze sklepu.

Janey Wilcox była inna. Jej piękne ciało stanowiło jedność z wybitną osobowością.

Podając nazwisko hostessie, Selden Rose postanowił, że dziś postara się wyrzeć właściwe wrażenie. Naczelna zasada firmy Splatch Verner brzmiała: „Dotrzeć do wyjątkowego zjawiska i sprzątnąć je innym sprzed nosa”. Selden miał zamiar zastosować ją również w stosunku do Janey. Nie martwił się tym, że żaden mężczyzna nie docenił jeszcze jej uroku, ale wiedział, że kiedy tylko pojawi się jeden kandydat, na konkurencję nie trzeba będzie długo czekać. Zdecydował, że trzeba uderzyć szybko i zdobyć upragnione trofeum jeszcze przed końcem lata.

Hostessa znalazła jego nazwisko na liście gości i nie okazując mu większego zainteresowania, odpięła aksamitną linę zagrządzającą wejście.

Na drodze do pobliskiego namiotu stało siedmiu lub ośmiu fotografów.

Selden zamierzał prześlizgnąć się obok nich, ale zauważył Comstocka Dibble'a, pozującego do zdjęć z miną wyrażającą jednocześnie zadowolenie i znudzenie. Comstock obejmował mocno w talii wysoką, ciemnowłosą kobietę, ukazującą w uśmiechu długie, mięsiste dziąsła.

Selden rozpoznał narzeczoną Dibble'a, którą spotkał kiedyś na przyjęciu.

Śmieszył go ten związek z Mauve Binchely, która prawdopodobnie była starsza od swojego narzeczonego; pomyślał sobie, że Comstock traci wigor.

I nic dziwnego. Comstock Dibble, w mniemaniu Rose'a, był indywidualistą, któremu zupełnie niezasłużenie się powiodło i dlatego uważał, że może działać na własną rękę. To było dobre dwadzieścia,

trzydzieści lat temu; w obecnych czasach, kiedy dochody szły w miliardy dolarów, niepohamowany temperament Dibble'a zaczął budzić nieufność.

Selden nigdy za nim nie przepadał i podejrzewał, że wkrótce zajdzie potrzeba ukrócenia jego swobody. Ale ponieważ działali w tej samej branży i znali się od lat, klepnął go poufale po plecach i wyciągnął do niego rękę:

– Witaj, Comstock – rzekł z sympatią w głosie.

Comstock się odwrócił. Spojrzenie jego małych, podkrążonych oczu zdradzało, że spodziewał się natręta, zawracającego mu głowę. Selden nie mógł stwierdzić, czy Dibble ucieszył się na jego widok; uznał, że raczej nie.

– Selden Rose. – Comstock zawiesił głos na krótką chwilę. – Co tutaj robisz?

– Zdaje się, że to samo co ty – odparł Selden. – Przyszedłem pooglądać koniki.

– Myślisz, że o to tutaj chodzi? – Comstock wyraźnie chciał zbić Rose'a z tropu, udając dobrze poinformowanego.

– Tak słyszałem – padła odpowiedź.

– Chcesz się wkręcić do towarzystwa – rzekł Dibble z ledwo ukrywaną dezaprobatą.

– Przepraszam – przerwał im jeden z fotografów. – Czy można zrobić panom zdjęcie?

– Dziękujemy. – Selden odprawił go z kwitkiem. Z tą samą wszechwiedzącą manierą co wcześniej Comstock odpowiedział: –

Niektórzy z nas przedkładają uznanie sobie równych nad podziw szerokiej publiczności.

Uwaga ta, choć rzucona żartobliwym, swobodnym tonem, była celna; Comstock spojrział na Seldena gniewnym wzrokiem. Prawda była taka, że pani Dibble bardzo lubiła pokazywać zdjęcia Comstocka swoim znajomym. Rozpierała ją wtedy wielka duma, a wszyscy uważali ich niemalże za rodzinę królewską, jakby ona była Królową Matką, a on księciem Karolem. Ale Selden Rose, ten dyrektorzyzna, nigdy by tego nie zrozumiał.

Patrzył przez chwilę, jak Selden znika w tłumie zgrzanych ludzi, ale Mauve szybko sprowadziła go na ziemię, ciągnąc za rękaw koszuli. Spojrział wymownie na fotografów, dając im jednoznacznie do zrozumienia, że to już koniec zdjęć. Jego niechęć do Seldena Rose'a w tym momencie okrzepła w twardą, granitową bryłę nienawiści.

Ileż tutaj sekretów, pomyślała Mimi, patrząc na ludzi siedzących przy stole. Cóż, ona sama też miała kilka rzeczy do ukrycia. Tylko Selden otwarcie demonstrował swoje uczucia: nadskakiwał Janey, czarując manierami, wciąż dolewał jej szampana i starał się wciągnąć ją w rozmowę na temat jej kariery modelki.

Siedzieli w piątkę: Mimi, Janey, Selden, Mauve i Comstock, przy najlepszym stoliku w namiocie dla VIP-ów, stojącym w rogu namiotu, gdzie dochodził lekki powiew wiatru. Mieli tam pod ręką plastikowe wiaderko z butelką szampana Veuve Clicquot, a do tego kanapki przygotowane przez skandalicznie drogą firmę cateringową „Chleby i

ryby" („Chłopy i dupy", pomyślała Mimi; takie żarty były w jej guście), ale jakoś nikt się dobrze nie bawił. Atmosfera była ciężka jak upał na zewnątrz, a towarzystwo raczej przygnębione. Niemniej Mimi podobało się przedstawienie odgrywane przy tym stole.

Comstock i Janey starannie się unikali, a ich wysiłki sprawiały wrażenie, że znają się lepiej, niż chcą po sobie pokazać. Trzykrotnie Mimi zdążyła już zauważyć, jak Janey rzuca Comstockowi gniewne, pytające spojrzenie, a on za każdym razem umyślnie patrzy gdzie indziej. Te spojrzenia pochwyciła także Mauve, bo zaczęła indagować Janey o szczegóły jej związku z Peterem Cannonem. Mauve zeszłego wieczoru widziała Cannona na przyjęciu i była oburzona, że ma on czelność pokazywać się publicznie. Selden udawał, że go to ciekawi, ale widać było, że najchętniej kazałby Mauve się zamknąć, żeby móc porozmawiać z Janey, a sama Janey, chyba z czystej niechęci do Mauve, żarliwie broniła Petera Cannona i jego praw do życia towarzyskiego.

– W dzisiejszych czasach ludzie nie mają wstydu, co, Comstock?

– zagadnął Selden. W jego słowach dał się słyszeć ukryty przytyk.

– A co komu po wstydzie? – odburknął Dibble.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Janey pociągnęła łyk szampana i spojrzała w stronę boiska, gdzie drużyna Ziziego odbierała nagrodę – srebrny puchar.

– Nie wiedziałem, że pasjonuje się pani polo – zwrócił się do niej Selden.

– Wielu rzeczy pan o mnie nie wie – ucięła szorstko. Mimi pomyślała,

że Janey mogłaby być nieco miłsza dla Seldena. W gruncie rzeczy był to sympatyczny człowiek, a do tego miał wszystko, co mężczyzna mieć powinien, trzeba było tylko dotrzeć do jego wnętrza. Nie gonił za splendorem, ale był zbyt dumny i pewny siebie, żeby przyznać, że splendor ma jakiegokolwiek znaczenie. I w jego przypadku oczywiście nie miał żadnego.

Comstock z kolei stanowił typ całkowicie odmienny. Był przedziwnie zbudowany: miał pękatą klatkę piersiową i krótkie patykowate nogi. Przy każdym spotkaniu Mimi zastanawiała się, czy jego fiut pasuje do górnej, czy dolnej połowy ciała. Tego dnia Dibble wbił się w czarną, obcisłą, zapinaną na suwak koszulę od Prady, a na nogach miał czarne sandały z tej samej firmy. Pocił się obficie i co chwila wycierał twarz chusteczką, bez widocznego efektu – za chwilę znów był cały mokry, jakby samo życie było wielkim wysiłkiem.

Mimo to zapalił cygaro.

– Powiedz mi, Comstock – zapytała go Mimi – nad czym teraz pracujesz?

– Robimy film z Wendy Piccolo – odpowiedział.

– Przypomnij mi, kto to? – Zawahała się przez chwilę. – Aha, już pamiętam. Mała dziewczuszka z pięknym ciałem.

– Nie wypowiadam się na temat jej ciała – mruknął Comstock, zerkając na Mauve. Rozsiadł się wygodnie i zaciągnął dymem, jakby rozmowę uważał już za zakończoną. Typowe dla ludzi z wielką władzą, pomyślała Mimi: nie można ich zmusić do wysiłku, jeśli nie widzą w tym korzyści



dla siebie.

– No cóż – spojrzała na Dibble'a lekceważąco, jakby był chłopcem na posługi – pójdziemy już chyba.

– Zostańmy jeszcze – poprosiła Janey. Była absolutnie zdeterminowana, żeby przed wyjściem zamienić jeszcze kilka słów z Zizim. – Chcę złożyć Haroldowi gratulacje.

– Zapomniałam, że to jego drużyna – rzekła Mimi.

– Ja też zostanę – oznajmił Selden. – Trzeba pogadać z właścicielem.

– Zdaje się, że gracze mówią na niego *el patron* – poprawiła go Janey z zupełnie zbytecznym naciskiem.

– Spotykała się pani z nim, prawda? – spytała Mauve.

– Tak – odparła Janey. – Cudowny człowiek.

– Wychował się w Nowym Jorku – poinformowała ją Mauve.

– Na Piątej Alei – uzupełniła Janey.

– Zabawne, że nie znaliśmy go wcześniej – zastanowiła się Mauve.

– Czemu? – zapytała Janey. – Pamięta pani wszystkich, którzy dorastali przy Piątej Alei?

– To harwardczyk, pamiętam nazwisko – wtrącił Selden.

– W takim razie to frajer – zawyrokował Comstock. – Kto kończył Harvard, nigdy do niczego nie doszedł.

– Ciekawe. – Mimi się zaśmiała. – Selden to wychowanek Harvardu.

– Jak widać, w niektórych kręgach nie przysparza to chwały – powiedział Selden.

– Skoro jeszcze nie idziemy, trzeba zamówić kolejnego szampana. –

Mimi wyjęła butelkę z wiaderka i wlała ostatnie krople napoju do swojego kieliszka.

Kiedy dołączyli do nich Harold Vane wraz z Zizim, towarzystwo ożywiło się nieco, ale nadal przy stoliku wyczuwało się niezręczną sztywność. Mimi, wytrawna gospodyni, była wyczulona na takie rzeczy. Z niejaką irytacją zauważyła, że Janey wcisnęła się pomiędzy Ziziego a Harolda, skutkiem czego Selden musiał usiąść pomiędzy Haroldem a Mauve. Źle się dla niego złożyło, jednak Mimi rozumiała zachowanie Janey; Zizi był tak pociągający, że każda kobieta musiała go pragnąć. Przyjrzała się uważniej jego rysom. Nie było w nich ani jednej fałszywej linii; im dłużej się na niego patrzyło, tym wydawał się przystojniejszy. Można było dojść do wniosku, że to nie człowiek, a istota wyższa, stworzona przez Boga do zaludnienia innej, doskonalszej planety. Uroda Janey też była olśniewająca, niemniej u boku Ziziego wydawało się, że czegoś jej brakuje.

Mimi uśmiechnęła się, nie zdradzając niczym swoich myśli. Spojrzała na inne osoby przy stole. Harold rozmawiał z Seldenem o interesach, a Janey usiłowała podtrzymać rozmowę z Zizim, prowokując go i nazywając nieobytym argentyńskim farmerem. Pomimo swojej urody Janey była przewrażliwiona na punkcie mężczyzn. Kiedy chciała zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, zawsze odnosiła się do niego zaczepnie. Trafiła jednak kosa na kamień, pomyślała Mimi, upijając łyk szampana. Dwa psy tej samej rasy zawsze się rozpoznają; Mimi już po wstępnej obserwacji zauważyła, że Zizi, tak jak ona, hołduje europejskim, staroświeckim

zasadom i czuje się zakłopotany zaczepkami Janey (zaczął się już rozglądać dookoła stołu za kimś, kto wybawiłby go z opresji). Takie sztuczki podziałybyby lepiej na Seldena.

Naraz Zizi spojrział w stronę Mimi i uśmiechnął się do niej. Zrozumieli się bez słów. Mimi lubiła Janey; był to ten rodzaj sympatii pomiędzy dwoma kobietami, który może zaowocować przyjaźnią. Ale jeśli miały zostać przyjaciółkami, Janey musi się nauczyć, że nie może brać sobie każdego faceta, którego chce, szczególnie na jej oczach. Musi wiedzieć, kiedy się powstrzymać. Mimi zastosowała więc swoją starą, wypróbowaną technikę. Zwróciła się do Ziziego:

– Grałeś w tym roku w Palm Beach?

Wiedziała, że jest przy tym stole jedyną osobą, która choć odrobinę zna się na polo. Wciągając Ziziego do rozmowy na jego ulubiony temat, niepodzielnie skupiła na sobie całą jego uwagę.

## **Rozdział 5**

Inne kobiety uważały Janey Wilcox za zdzirę, ale za to z niewyjaśnionych przyczyn kochały ją psy i dzieci. W święto Czwartego Lipca Janey była gościem na dwudziestym trzecim Dorocznym Charytatywnym Turnieju Baseballowym pod patronatem Pluszowego Misia (nikt już nie pamiętał, skąd wzięła się ta nazwa). Siedziała na trybunie, po bokach mając dwóch małych chłopców. Jeden miał sześć lat, a drugi osiem i choć kompletnie różni – pierwszy chudy jak patyk, drugi otyły – byli jednak braćmi, latoroślami George'a Paxtona i jego pierwszej żony, Marlenę.

Młodszy z chłopców, Jack, ścisnął rękę Janey, zdradzając oznaki nieskrywanego zapału, widocznego tylko u małych dzieci, które jeszcze nie wiedzą, czym jest cynizm. Starszy, George junior („Georginka” – szkolne przezwiska są bardzo okrutne), pilnie studiował tablicę wyników, zliczając punkty jak aktuariusz. Na boisku Digger wybijał piłkę.

– Jeżeli zaliczy teraz wszystkie bazy, będą mieli pięćdziesiąt trzy procent szans na wygraną – powiedział Georgie z absolutną pewnością siebie. Stanowił miniaturową kopię ojca, miał tak jak on skłonność do tycia i łamliwe paznokcie u nóg, wskutek zainfekowania jakimś złośliwym wirusem. – Z drugiej strony – mówił dalej – jeśli nie trafi ani razu w piłkę, to szanse na przegraną wynoszą dwadzieścia cztery procent.

– Naprawdę? – zapytała Janey, patrząc na boisko, gdzie Digger machał kijem na próbę, przygotowując się do gry. Miał na sobie głęboko wciętą koszulkę bez rękawów, pumpy khaki i płócienny kapelusz wędkarski, jaki noszą dziadkowie na Florydzie; tak według niego miał wyglądać strój baseballisty.

– Myślisz, że da nam autograf? – zapytał nerwowo Jack, dłubiąc palcem przy ruszającym się zębie. Nie mógł jakoś do końca uwierzyć, kiedy wszyscy powtarzali, że w tym wieku zęby wypadają, ale potem zawsze wyrastają nowe. – A jak go poprosimy, a on się nie zgodzi?

– Zapytamy Patty, dla pewności – poradziła Janey. Pochyliła do siostry, siedzącej z drugiej strony chłopca. – Jack martwi się, czy Digger da mu autograf.

Patty oderwała wzrok od męża. Kiedy byli na takich imprezach, zawsze

bała się, że może mu się stać coś złego, na przykład zaatakuje go szalony fan udający fotoreportera.

– Jeśli nie będzie chciał dać ci autografu, od razu przyjdź do mnie. –

Zmierzyła Jackowi włosy.

Janey i Patty zawsze były bardzo miłe dla dzieci; jako nastolatki zdobywały fundusze, pracując w uświęconym tradycją zawodzie opiekunki. Jednak w Hamptons, gdzie zajmowały się tym głównie wyspecjalizowane agencje aupair, nie każda młoda kobieta miała tyle serca do dzieci.

Roditzzy Deardrum, siedząca na ławce za nimi, przyglądała się tej scenie z niesmakiem, ale jednocześnie z zazdrością. Szczyciła się tym, że „zna tutaj wszystkich”, zarówno gwiazdy, jak i zwykłych widzów, choć i tak każdy musiał mieć zaproszenie. Mogła usiąść, z kim tylko chciała, ale postanowiła zaszczyścić swoim towarzystwem Janey i Patty. Co prawda, chciała w ten sposób zawrzeć bliższą znajomość z Diggerem, nie spodziewała się jednak, że obie siostry będą wolały rozmawiać z... dziećmi!

A najgorsze w nich jest to, myślała Roditzzy, że nie są ani trochę takie, jakie dzieci być powinny – przynajmniej jeśli się chce pokazywać je publicznie. Żaden z tych chłopców nie jest ładny; ten mniejszy trzęsie się jak szczeniak chihuahua, a ten większy jest taki... duży! Roditzzy rzadko miała do czynienia z dziećmi i była zaskoczona, że robi się je teraz w tak wielkich rozmiarach. Brzuch tego chłopca przypominał piwny mięsień mężczyzny w średnim wieku. Potrzebny był mu wyjazd do sanatorium i

ściśła dieta składająca się z sałaty popijanej sokiem z kielków pszenicy.

Rzuciła małemu niechętnie spojrzenie i nachyliła się nad nim, wracając do przerwanej rozmowy z Janey:

– Mówię ci, że on na pewno skończy w więzieniu.

– Kto? – Janey już od dłuższej chwili nie słuchała tego, co mówiła Rodytzy.

– Peter Cannon! – powiedziała Rodytzy. – Mój ojciec jest prawnikiem.

Mówi, że wszyscy tylko czekali, żeby go na czymś złapać... Podatków, oczywiście, też nie płacił.

Patty westchnęła głośno i przewróciła oczami. Janey ją zignorowała.

Nie chciała być niemiła dla Rodytzy, bo znajomość z nią uważała za użyteczną.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego zaufało mu tylu sławnych aktorów – odparła.

– O to właśnie chodzi. Gwiazdy filmowe nie są, oględnie mówiąc, najbystrzejsze – rzekła Rodytzy. – Poza tym dotarł do nich, kiedy zaczynali kariery. Zanim dorobili się pieniędzy. – Spojrzała na Patty.

– Jak długo jeszcze ludzie będą o tym gadać? – zapytała Patty.

– Nie dłużej niż do następnego skandalu. Wtedy o wszystkim zapomną

– powiedziała Rodytzy z wszechwiedzącą miną.

Wróciły do obserwowania meczu. Na boisku były gwiazdor filmowy pierwszej wielkości, Jason Bean, rzucił szybką piłkę Diggerowi, który stał obecnie na bazie domowej. Jak donosiła prasa plotkarska, Bean spadł do trzeciej ligi, kiedy postanowił ubiegać się o urząd publiczny. Problem

stwarzał nie tyle jego program, ile wrodzona głupota, która podpowiedziała mu, że skoro raz zagrał polityka w filmie, to może bez przeszkód robić karierę polityczną. Digger nie trafił w rzuconą przez niego piłkę, co zostało odnotowane przez kilku fotografów.

– Czy ci paparazzi muszą wszystko fotografować? – zdenerwowała się Patty.

– Przecież to impreza dobroczynna – upomniała ją Janey.

– Znacie tę dziewczynę? – Roditzy jak zwykle wtrąciła się ni w pięć, ni w dziewięć. – Gapi się na Patty już z pół godziny.

– Gdzie ją widzisz?

– Tam. – Roditzy wskazała głową miejsce, w którym kończył się tłum.

Stała tam młoda, ciemnowłosa kobieta ubrana w dżinsowy bezrękawnik i dżinsową mini. Na nogach miała tanie czarne szpilki. Patrzyła w ich kierunku; kiedy zaczęły jej się przyglądać, szybko się odwróciła.

– Nie wiem kto to – powiedziała Patty.

– Wieśniaczka z Jersey! – Roditzy była święcie oburzona. – Jak w ogóle tutaj weszła? Widzę, że Hamptons naprawdę schodzi na psy!

Janey roześmiała się, przypominając sobie, że niektórzy mówią to samo o Roditzy. Przesunęła wzrokiem po trybunach i nagle zrobiło jej się słabo, jak zawsze kiedy niespodziewanie dostrzegła gdzieś Ziziego. Oczywiście, znów towarzyszyła mu Mimi – ostatnio często zdarzało im się pokazywać razem. Oboje wydawali się pochłonięci nader poufałą rozmową. Janey byłaby zazdrosna, gdyby nie wiedziała, że Mimi dla wszystkich znajomych jest na pozór wylewna. Poza tym nie mieściło jej się w głowie,

żeby Mimi mogła podobać się Ziziemu, zwłaszcza że była od niego co najmniej o piętnaście lat starsza. No i zawsze mówili tylko o koniach.

Miało to ten wielki minus, że Janey już raz powiedziała, że konie zupełnie jej nie interesują. Nie mogła zatem włączyć się do takiej rozmowy, bo natychmiast zdradziłaby się, że za wszelką cenę chce zwrócić uwagę Ziziego.

– Pojedziemy potem do Maidstone? – zapytał Georgie z ożywieniem. – Chcę ci pokazać moją nową sztuczkę z kartami.

– Kochany jesteś – odrzekła Janey, zauważając, że Mimi i Zizi idą w stronę trybun – ale dziś nie mogę. Może Mimi was zabierze.

Na dźwięk imienia Mimi Jack zrobił minę smutnego spaniela, a Georgie spuścił głowę i wbił wzrok w koniuszek swojego trampka. Mimi nie darzyła synów George'a wielką sympatią; uważała, że Jack jest „za mało samodzielny”, a na Georgiego nie mogła wprost patrzeć i kiedy tylko się pojawiał, zawsze potrafiła znaleźć pretekst, żeby odesłać go do pokoju. Janey polubiła chłopców, ponieważ doskonale rozumiała, co to znaczy być niekochanym, wyobcowanym dzieckiem, które nigdy nie wie, co z nim dalej będzie. Ostatnio jednak trochę zbyt często proszono ją, żeby się nimi zajęła. Kiedy Mimi po raz pierwszy zaprosiła ją na przejażdżkę do ośrodka rekreacyjnego Maidstone (najbardziej ekskluzywnego w Hamptons), Janey nie posiadała się ze szczęścia. Ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni Mimi kilkakrotnie zostawiła chłopców pod opieką Janey, a sama zniknęła na godzinę czy nawet dłużej. Po powrocie tłumaczyła się, że wezwały ją pilne obowiązki domowe; Janey nigdy nie mogła odgadnąć,



czego Mimi musi osobiście dopilnować w domu, gdzie na stałe mieszka czworo służby.

Nagle poczuła mdłości, zrozumiałwszy, że ową „pilną sprawą” mógł być przecież Zizi. Próbowwała się uspokoić, odpędzając tę myśl, ale oto na jej oczach Zizi pomagał Mimi wejść na pierwszą ławkę, słuchając tego, co właśnie mówiła, z wyrazem skupienia i zadowolenia na pięknej twarzy.

Dlaczego na mnie już tak nie patrzy, pomyślała żałośnie Janey, wspominając, że podczas ich pierwszego spotkania zachowywał się identycznie jak teraz wobec Mimi. Od tego czasu zawsze witał ją wylewnie i serdecznie, zupełnie jakby był liderem szkolnej drużyny futbolowej, a ona jedną z tłumu rozchichotanych, szarych dziewczynek, zakochanych w nim do szaleństwa. Rzecz jasna, to tylko podsycalo ogień jej pożądania. Czowała się przy nim jak mała mysz.

Gdyby tylko wiedziała, jak go zdobyć! W ciągu kilku ostatnich tygodni Zizi stał się gwiazdą towarzystwa – człowieka z taką prezencją i charyzmą zapraszano wszędzie – a jego wartość wzrosła, kiedy okazało się, że do tej pory nie padł jeszcze ofiarą żadnej kobiety. Mógłby ich mieć na pęczki, ale fakt, że tak nie było, że wszędzie zjawiał się sam, dowodził, że jest to człowiek poważny, szukający właściwej towarzyszkii – i prawdziwej miłości.

Za taką miłość oddałabym wszystko, pomyślała Janey, pozerając wzrokiem jego smukłe plecy, płynnie przechodzące od szerokich barków do cudownie wąskiej talii. Wyrzekłabym się wszystkiego, pojechałabym, dokąd by zechciał, nawet do Argentyny; z nim mogłabym nawet klepać

biedę.

Poczuła ukłucie wściekłej zazdrości, widząc, jak Mimi podaje Ziziemu rękę, a on wciągają na drugą ławkę. Jedna z desek była obluzowana; Mimi zachwiała się, a Zizi przytrzymał ją za ramię. Zaśmiali się oboje, a Janey po raz setny zadała sobie pytanie, co też Mimi może mieć takiego, czego jej brak. Pieniądze, to oczywiste, a także pozycję społeczną – Ziziemu musiało imponować, że Mimi była Księżniczką Ameryki. Janey, zdenerwowana, przygryzła skórkę. Po raz kolejny przypomniano jej, że nic w świecie nie zdoła zmienić faktu, iż pochodzi z klasy średniej, ze zwykłej, niezamożnej rodziny. A jednak to ona, nie Mimi, znajdowała się w centrum uwagi; jej twarz widniała na okładkach i billboardach. Czy może być lepszy wabik na faceta? Przy niej Mimi była tylko damą z towarzystwa, a na domiar wszystkiego miała męża!

Może właśnie o to chodzi, pomyślała Janey, wsuwając włosy pod baseballówkę i przyglądając się Mimi i Ziziemu spod opuszczonych powiek. Może fakt, że Mimi jest mężatką, daje mu poczucie bezpieczeństwa? W oczach towarzystwa Zizi był protegowanym Mimi, którego wybrała sobie, żeby towarzyszył jej jak ulubiony piesek, podstawiał grzbiet pod pieszczoty i zjadał resztki ze stołu. W sumie o Janey można było powiedzieć to samo. W takiej sytuacji ona i Zizi stworzyliby idealną parę; Mimi musiała to wiedzieć, a jednak nie robiła nic, żeby im pomóc.

Digger znów nie trafił w piłkę. Mali sąsiedzi Janey wydali okrzyk rozczarowania. No cóż, pomyślała Janey. Skoro Zizi jest takim typem

faceta, którego nie można złapać inaczej, jak tylko udając brak zainteresowania, to proszę bardzo, ona potrafi być nie do zdobycia. Będzie się spotykać z innym, z kimkolwiek, może nawet – zaśmiała się gorzko – z tym cholernym Seldenem Rose'em!

Selden... Odkąd wybrała się z nim na przejażdżkę po tamtym meczu polo (jemu mogła się oprzeć, ale jego samochodowi – nigdy), skacze obok niej jak pies. Naprawdę szkoda, że jest taki nudny, bo kiedy wsiadła do jego wozu, przez chwilę nawet rozważała, czyby nie warto... Taki samochód wskazywał, że facet ma pozycję, forszę i gust. Ale kiedy zaczął snuć opowieść o tym, jak go restaurował, jak szukał oryginalnej skóry na tapicerkę i specjalnego chromu do pokrycia szprych – po piętnastu minutach zanudził ją na śmierć. Nie zauważył tego jednak, a jego zainteresowanie nią nie osłabło, choć wciąż konsekwentnie odmawiała mu, kiedy chciał umówić się z nią na randkę. Była pewna, że wystarczy na niego skinąć, a przybiegnie do niej. Obserwując, jak Mimi i Zizi zajmują miejsca o kilka ławek przed nią, uznała, że może to być dobre rozwiązanie.

Mimi i Zizi odwrócili się do nich i pomachali. Mały Jack zatrzęsł się ze strachu, kiedy ich zobaczył. W domu jego ojca co weekend bywały tłumy ludzi, których nie sposób spamiętać, ale ten pan, który grał w polo, zapadł jednak malcowi w pamięć. Przyszedł do nich dwukrotnie – kiedy w domu była tylko Mimi – i za każdym razem groził Jackowi, że nauczy go jeździć na koniu i zrobi z niego dżokeja. Pewnie myślał, że każdy chłopiec o tym marzy. Wyczuwając napięcie Jacka, Janey przytuliła go, odrywając wzrok

do Ziziego. Choć nie zdecydowała jeszcze, czy chce mieć dzieci (gdyby je miała, na pewno zatrudniłaby nianię, chociaż Patty uważała, że samodzielne wychowywanie potomstwa jest bardziej etyczne), to jednak zdawała sobie dobrze sprawę z jednej rzeczy: dla niektórych mężczyzn nie ma nic bardziej pociągającego niż młoda kobieta czule tuląca małe dziecko.

Digger nareszcie trafił w piłkę, a tłum nagroził go gromkim aplauzem.

– Dobrze. Teraz mają dwadzieścia siedem procent szans na wygraną – oznajmił Georgie uroczyście.

– Co ty na to, Jack? – zapytała Janey.

– Nie lubię matmy – odpowiedział.

– Wiesz co? Ja też nie. – Janey uśmiechnęła się i potargała czuprynę chłopca, a on przyłgnął do jej ramienia. Gorąco modliła się, żeby Zizi to zobaczył.

Niestety, często bywa tak, że kiedy człowiek stara się pokierować strzałą Amora, trafia ona w zupełnie inny cel, niżby się chciało. Tak też było i teraz: zamiast Ziziego Janey ustrzeliła Seldena Rose'a.

Selden przyjechał do East Hampton na mecz i kiedy już zaparkował samochód w rzędzie pojazdów tłoczących się w ciemnej bocznej uliczce, przysiągł sobie, że ostatni raz poniża się, biorąc udział w takiej imprezie.

Znów nie mógł trafić, bo nikt nie umiał udzielić mu konkretnych wskazówek. Od każdego słyszał tylko ogólniki w stylu: „To będzie gdzieś za A&P”, jakby każdy wiedział, gdzie znajduje się A&E Szedł wzdłuż długiego rzędu zaparkowanych samochodów (nadal nie wiedział

dokładnie, gdzie jest boisko) i rozmyślał o tym, jak wiele czasu już zmarnował w tym sezonie. Każda minuta każdego weekendu była zaplanowana: przyjęcia, imprezy, uroczystości (otwarcia przeróżnych obiektów, od sklepów po mierne wystawy sztuki). We wszystkich tych miejscach „należało być”, jakby samo pojawienie się tam czyniło człowieka wyjątkowym. Niemniej widywało się tam wciąż tych samych ludzi, a kiedy spotyka się kogoś po raz szósty w ciągu jednego weekendu, o czym można jeszcze rozmawiać? Selden uznał, że całe to towarzystwo z Hamptons jest jak banda bogatych dzieciaków na luksusowych koloniach; ciągle trzeba im organizować jakieś bezsensowne rozrywki.

Przyłączył się do grupy ludzi, którzy szli przez trawiasty plac wyglądający jak szkolne boisko sportowe. Myślał dalej; choć nie jest przeciwny życiu towarzyskiemu, to woli spędzać wolny czas w sposób bardziej konstruktywny. W Los Angeles ludziom nie zbywało na oglądzie, ale tam życie towarzyskie miało sens: służyło nakręcaniu interesów i zawieraniu znajomości. Tutaj zaś chodziło wyłącznie o „bycie widzianym”, a ludzie zdawali się wierzyć, że ten, kogo „nie widać”, przestaje istnieć. Taka egzystencja to wielka pustka; stojąc w tłumie gości spędzanych na te obowiązkowe imprezy, z lampką taniego szampana w rękę, kiwając automatycznie głową, Selden często zastanawiał się, czy ktokolwiek z nich żywi w głębi serca tęsknotę za pięknem, za naturą, za wzajemną relacją, która sięga głębiej niż przypadkowa przynależność do tego samego towarzystwa. W chwili obecnej, podając nazwisko kolejnej bezosobowej hostessie, sprawdzającej listę gości, pożałował, że nie

posłuchał instynktu i nie wybrał się w rejs swoim jachtem.

A byłbym to zrobił, pomyślał, zły na samego siebie, gdyby nie ta cholerna Janey Wilcox. Od miesiąca Selden specjalnie pojawiał się na wszystkich imprezach, na które ją zapraszano, aby mogła poznać go bliżej i docenić. Ale za każdym razem, kiedy chciał ją zaprosić na kolację, odmawiała mu, rzucając pogardliwym tonem:

– Kolacja w Hamptons w czerwcu i to jeszcze w sobotni wieczór?

Jestem zaproszona na cztery przyjęcia!

Selden w końcu zaczął godzić się z tym, że nie przypadł Janey do gustu. Przez cały miesiąc, odkąd ją poznał, wierzył gorąco, że gdyby tylko mógł wyrwać ją z tego sztucznego światka, Janey Wilcox rozkwitłaby pełnią swojej prawdziwej natury. Dostrzegał w niej, bądź też sądził, że dostrzega, ten sam intelekt, to samo umiłowanie piękna i sztuki, które jego cechowało. Potrafiła mówić godzinami o literaturze i filmie, i to z zadziwiającą inteligencją, zważywszy na fakt, że nigdy nie uczęszczała na studia. Teraz jednak Selden zaczął podejrzewać, że nie bierze się to z prawdziwego zamiłowania, lecz jest to chwyt towarzyski, obliczony na to, aby przyciągnąć uwagę innych i wybić się ponad nich.

Idąc wzdłuż płotu za bazą domową, postanowił, że nie będzie więcej marnował czasu na Janey Wilcox. W Nowym Jorku jest mnóstwo wspaniałych, pięknych młodych kobiet, a on przecież stanowi świetną partię. Skoro Janey Wilcox go nie chce, znajdzie bez trudu kogoś równie dobrego... albo nawet lepszego. Z zadumy wyrwał go głuchy stukot drewnianego kija. Podążył wzrokiem za odbitą piłką.

Poleciała na lewe zapole, a Selden, patrząc, jak wznosi się wysokim łukiem ponad trzecią bazą, nagle zauważył Janey siedzącą pomiędzy synami George'a Paxtona. Wszystkie jego postanowienia diabli wzięli. Był to piękny obrazek, jakby zdjęcie zrobione z ukrycia. Oblicze Janey promieniało delikatnością, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Przytulała chłopca do piersi (Selden dałby wiele, żeby być na jego miejscu), a na jej twarzy malowała się łagodność Madonny. Serce zabiło mu mocniej, a świat, zachwiany w posadach, odzyskał równowagę; Selden zrozumiał, że nie mylił się co do niej. Oto co musi zrobić: uratuje ją, uratuje przed nią samą. Ona chce zmarnować sobie życie wśród tej pustki, wypełniając ją głupstwami; jego obowiązkiem jest wskazać jej drogę do wspanialszego świata, gdzie życie nabiera sensu. Oczyma duszy ujrzał ją pochylającą się nad gromadką ich dzieci (a ich dzieci z pewnością będą miłsze oku niż dzieci George'a). W tym momencie, jakby los chciał udzielić błogosławieństwa jego planom, Janey zauważyła go, a jej łagodne spojrzenie mówiło wszystko.

W każdym razie pomachała do niego – ten przelotny gest w oczach Seldena był równie wdzięczny jak trzepot skrzydeł motyla.

Jack Paxton czuł, że zbiera mu się na wymioty. Wiedział, że źle zrobił, połykając bez gryzienia prawie całego hot doga, ale nie miał wyjścia – Georgie rzucił mu wyzwanie. Stali na parkingu, obok grupki dorosłych, a Jack miał skurcze żołądka, które nieomylnie zwiastowały, że zaraz zwróci. Niczego w życiu nie bał się tak jak tego, że wymiociny uderzą mu do nosa. Zdarzyło mu się to raz, kiedy miał trzy lata – było to zarazem jego

najwcześniejsze wspomnienie dotyczące ojca. Pamiętał, że z wymiotował i powiedział: „Tato, zrzygałem się nosem”. Ojciec odparł: „Wiem, synu... ”, po czym wyszedł z domu i już nie wrócił.

Jack czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Było już po meczu, ale dorośli jak zwykle nie mogli się zebrać do odejścia.

– Na Flying Point Road jest dziś koktajl – odezwała się Roditz  
Dear drum.

Roditz wyglądała jak piesek, skaczący dookoła i ujadający, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– No, nie wiem... – Patty się zastanawiała. Spojrzała na zlanego potem Diggera, myśląc tylko o seksie. Pragnęła przywrzeć do jego pięknie wyrzeźbionej sylwetki (miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył osiemdziesiąt kilogramów), chciała zatracić się w jego niesamowitych, jak z innego świata oczach, które miały kształt brylantów. Wiedziała, że on też myśli tylko o jednym, bo nagle objął ją nieco mocniej i mrugnął.

Janey widziała tę wymianę spojrzeń. Popołudniowy upał dokuczliwie przytłaczał, a ona była na dodatek boleśnie rozdarta pomiędzy żądzą, którą wzbudzał w niej Zizi, a chęcią ukarania go poprzez okazanie względów Seldenowi. Uderzyła ją ta scena intymnego porozumienia pomiędzy Patty a Diggerem. Dla Janey miłość zawsze była uczuciem dość nieokreślonym, ale teraz, wśród tego tłumu strojnych ludzi spieszących do swoich samochodów, nagle zobaczyła, że ma ona zupełnie konkretny, rzeczywisty wymiar, który można wyrazić działaniem i gestem. Chciała zdobyć to, co miała jej siostra. Spośród trzech mężczyzn stojących razem z nimi, Selden,



w porównaniu z wysokimi, tchnącymi młodzieńczą energią Diggerem i Zizim, był całkowicie bezbarwny. Próbował zwrócić jej uwagę, odprowadzić na stronę, ale ona nagle zrozumiała, że nigdy, za nic w świecie, nie poczuje niczego do Seldena Rose'a. Było zatem wykluczone, żeby okazała mu kiedyś względy, nawet gdyby mógł on dobrze jej się przysłużyć.

– Pokażę Janey mojego nowego pilota – powiedział Selden.

Janey spojrzała na niego z przerażeniem. Nie podobał jej się ten zdecydowany ton, sugerujący, że ona i on mają jakieś wspólne plany.

Kilka osób w grupie wyraźnie się spieszyło; Janey rzuciła okiem na Mimi i Ziziego, wyczuwając, że Mimi, tak jak i ona, chciałyby pójść razem z nim, dokądkolwiek się udawał. Ale Mimi była z dziećmi.

– Nie możesz zabrać Janey – zaprotestowała Reditzy, która należała do ludzi myślących wyłącznie w kategoriach własnego terminarza. – Na tym koktajlu będzie syn Sophii Loren.

– Muszę już iść – powiedział Zizi. Opalenizna pięknie kontrastowała z bielą jego zębów. Wyglądał jak młody bóg; był nietykalny i niezależny, co kusiło kobiety jak nic innego na świecie.

– My też – rzekł Digger. Janey poczuła bolesne ukłucie zazdrości, widząc znów to intymne spojrzenie, które wymienił z Patty. Gdyby udało jej się jakoś uwolnić się od Seldena, mogłaby śledzić Ziziego, a przynajmniej sprawdzić, dokąd pojedzie.

– Jedziemy – powiedział Georgie do Jacka. Obserwował dorosłych z niepokojem, starając się przewidzieć, co zrobią, bo serio obawiał się, że

Mimi może ich zostawić tutaj samych. Zza samochodu dobiegł go zdławiony krzyk; pobiegł tam i zobaczył, że Jack stoi na chwiejnych nogach, oczy mu łzawią, a twarz przybiera nie całkiem zdrowy odcień zieleni. Ale Mimi już całowała wszystkich na pożegnanie – za chwilę lub dwie pojedzie bez nich! Georgie szepnął zniecierpliwiony:

– Pospiesz się!

Jack spróbował być dzielny. Ściskając kurczowo piłkę baseballową z autografem Diggera (przynajmniej co do tego go nie oszukali), stanął pomiędzy dorosłymi.

– Jemu chyba coś jest... – zauważyła Rodyzy i właśnie w tym momencie żołądek Jacka odmówił posłuszeństwa. Wetknąwszy bezcenną piłkę pomiędzy kolana, chłopiec zgiął się wpół, otwierając usta. Połknięty hot dog podszedł mu do gardła, aż w końcu, pchnięty ostatnią konwulsją, spadł, prawie zupełnie nietknięty, na but Rodyzy Deardrum.

Janey siedziała w chłodnym, wyłożonym marmurem pokoju w posiadłości Wanamakerów. Była zdenerwowana, ale starała się tego nie okazywać. Potrząsnęła szklanką, w której pływały kostki lodu, i powiedziała:

– To przecież tylko dziecko, George. – W normalnej sytuacji przepych tego miejsca podziałałby na nią uspokajająco (ostatnio bywała w domu Mimi tak często, że zaczęła niemalże czuć się tu jak u siebie), ale ten dzień zrobił się nagle tak nerwowy, że nawet bogate wnętrze nie mogło zatrzeć przykrego wrażenia.

– To chyba nie była jego wina – powiedziała Mimi. Chodziła

niespokojnie po dużym salonie, jakby nie mogła się zdecydować, czy stać, czy usiąść, czy zostać, czy może wyjść. Mimi prosiła, żeby Janey pojechała z nią do domu i pomogła przy chłopcach, a Janey zgodziła się, częściowo po to, żeby nie jechać z Seldenem, a także dlatego, że już dawno postanowiła nigdy nie odmawiać, kiedy Mimi zaprasza ją do siebie.

Ale gdy tylko przekroczyła próg jej domu, zrozumiała, że to był błąd – nagle przytłoczył ją ten marmurowy korytarz udekorowany połączanymi lustrami i rzymskimi popiersiami, a znajomość z Mimi stała się ciężarem; poczuła się jak niewolnica. Wbiła wzrok w trzymaną w ręce szklanę, zadając sobie pytanie, jak mogła pozwolić, żeby Mimi zaczęła rządzić jej czasem. Zapragnęła stąd uciec – gdziekolwiek, gdzie tylko mogłaby znów być panią własnego życia.

– Dzieci nie mogą przesiadywać na słońcu, Mimi – powiedziała ostro.

Usłyszawszy własny głos, zorientowała się, że jest zdenerwowana i że powodem tego jest zachowanie Mimi w stosunku do Ziziego. Łowiąc spojrzenie Mimi w wielkim lustrze wiszącym nad kominkiem, postanowiła porozmawiać z nią o tym. Nie mogła dłużej z tym zwlekać. Gdyby tylko George zechciał wyjść...

Mimi miała wyrzuty sumienia, ale ponieważ była, jaka była, po prostu zmieniła temat.

– George, obiecasz mi, że będziesz miły dla Comstocka, kiedy przyjdzie do nas z Mauve na obiad? – zapytała.

George przewrócił oczami i mrugnął do Janey. Widać było, że żona go bawi. Janey wiedziała też, że uwielbia się z nią przekomarzać.

– To zależy, co według ciebie znaczy „miły”. Jeśli nie każesz mi z nim spać...

– Och, George! – przerwała mu Mimi, a on wybuchnął piskliwym śmiechem; najwidoczniej uważał się za mistrza dowcipu. Spojrzał na Janey, jakby chciał, żeby to potwierdziła. Janey uśmiechnęła się słabo.

– Nie przepadasz za Comstockiem – powiedziała.

– Prawdę mówiąc, nie znoszę typu – odrzekł George, obserwując Mimi

– ale żona upiera się, żeby go zaprosić.

– Nie upieram się – zaprotestowała Mimi. – Tak się robi. To

narzeczony Mauve, dlatego nie można go unikać.

George zmrużył oczy, wskutek czego jego zwykle pospolita twarz

nabrała nagle wyrazu koncentracji.

– Stąpasz po kruchym lodzie, Mimi – powiedział tonem ostrzeżenia.

Mimi zachnęła się.

– Daj spokój, George. Raz z tobą wygrał w interesach, a ty od razu...

– Nie o to chodzi, że wygrał. – Głos George'a był zimny jak stal. –

Okantował mnie jak z nut. A teraz mam go przyjąć w domu?

– To było dawno temu – ucięła Mimi.

– Tak samo jak Oświęcim – odparował George.

Mimi podeszła do niego. Kiedy rzucano jej wyzwanie, potrafiła być

straszliwie arogancka; jej ton był wtedy tak zimny i lekceważący, jakby to

była ostatnia jej rozmowa z delikwentem. I to skutkowało. Janey

próbowała się tego nauczyć, nie wiedziała tylko, dlaczego Mimi tak zależy

na kłótni z George'em akurat w tym momencie.

– Proszę pana – powiedziała groźnym głosem, obliczonym na zastraszenie rozmówcy – ludzie dobrze wychowani nie postępują w ten sposób. Dla nas interesy i przyjaźń to dwie zupełnie różne rzeczy. Gdyby było inaczej, każdy bałby się odezwać. Poza tym – dodała – jestem pewna, że dostaniesz jeszcze szansę, żeby odegrać się na Comstocku, a wtedy zostaniecie najlepszymi przyjaciółmi.

George uniósł brwi. Mówka żony nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Przyjaciel – powiedział – to ktoś, z kim można robić interesy.

– Zgoda. Nie chciałabym jednak wybierać sobie przyjaciół spośród twoich współników. Umarłabym chyba z nudów. – Te słowa miały zakończyć rozmowę.

Nastąpił impas. Mimi i George zamilkli i tylko patrzyli na siebie. Janey usłyszała, jak gdzieś w oddali dzwoni telefon, który odbiera pokojówka.

Postanowiła skorzystać z okazji, żeby się stąd wyrwać.

– Chyba muszę już...

– O nie, Janey. – Mimi odwróciła się do niej, a na jej twarzy zakwitł przerażający uśmiech. – Chcę z tobą porozmawiać.

Do pokoju weszła pokojówka ubrana w strój w kolorach szarości i bieli.

– Telefon do pani Paxton.

– Dziękuję, Gerdo – rzekła Mimi z wdziękiem. – Zaraz wracam.

George, nie pozwól Janey odejść.

– Obawiam się, że to był rozkaz – odezwał się George, kiedy Mimi już wyszła.

Janey westchnęła, opadając na oparcie białego fotela obitego

jedwabiem. George miał rację – kiedy Mimi mówiła takim tonem, nie sposób było się jej sprzeciwić. Jakie to irytujące, pomyślała, że ludzie bogaci od urodzenia zawsze uważają, że każdy – a zwłaszcza ci, którzy nie są bogaci – będzie słuchał ich rozkazów. Jej myśli krążyły jednak głównie wokół Ziziego. Czyjego obojętność była udawana, czy może naprawdę mu na niej nie zależy?

George nagle wstał, przeszedł przez pokój i usiadł na brzegu kanapy stojącej obok jej fotela. Janey uniosła brwi w niemym zapytaniu o powód tej zmiany. Nie czuła się z nim swobodnie sam na sam – przy żonie zachowywał się bez zarzutu, ale raz lub dwa razy zdarzyło się, że Mimi zostawiła ich samych na chwilę. Janey musiała z nim wtedy rozmawiać i odniosła wrażenie, że w jego mniemaniu wystarczy jedno jego słowo, a ona wskoczy mu do łóżka, jakby tylko na to czekała. Nie musiał nic mówić: zdradzał to jego wzrok, bezwstydnie prześlizgujący się po jej biuście. Z drugiej strony Janey miała wprawę: przez całe życie musiała radzić sobie z mężczyznami pokroju George'a Paxtona. Nie starając się ukryć znudzenia, zapytała:

– Co słyhać, George?

– Podobno często się spotykasz z moim kumplem Seldenem. – George zawsze starał się sprowadzić rozmowę na temat seksu, jakby miał nadzieję przejść od słów do czynów.

– Sądzę, że ty widujesz go równie często – odparowała Janey.

– Nie dałaś mu się jeszcze złapać, jak widzę. – George uśmiechnął się znacząco.

– Nie jest powiedziane, że w ogóle dam się złapać.

– Selden to stary babiarcz. – George pociągnął łyk szkockiej ze swojej szklanki i założył nogę na nogę w taki sposób, żeby uwydatnić krocze. – I zwykle dostaje to, czego chce. – Rozsiadł się wygodnie na kanapie, rzucając okiem na wiszący na przeciwległej ścianie obraz pędzla Davida Salle'a, przedstawiający arlekiny. – Śmiesznie sobie przypomnieć, jaki był kiedyś. Cholera! W szkole średniej robił tylko dwie rzeczy: wrzucał kwas i grał w tenisa. Nie do wiary, że udało mu się zająć tak wysoko, skoro pół życia spędził na haju.

– Selden Rose brał kwas? – Janey roześmiała się z niedowierzaniem.

– A kiedy był trzeźwy, dymał cheerleaderki. – George uniósł szklankę do ust. – Ale najlepsze jest... Wiesz, w jaki sposób dostał się na Harvardu?

Janey nie chciała tego słuchać.

– Pójdę do Mimi – mruknęła, wstając.

– Poczekaj. – George złapał ją za rękę. Rzuciła mu gniewne spojrzenie, a on natychmiast się roześmiał, próbując zatrzeć gafę. – To i tak nic nie da;

Mimi nie skończy szybciej. Poza tym tak rzadko mamy okazję porozmawiać... w cztery oczy – dodał i, jak było do przewidzenia, wbił wzrok w jej dekolt. – W każdym razie mogłabyś mi opowiedzieć trochę o swojej pracy.

– O pracy? Jestem modelką – zadrwiła. – A poza tym w tym sezonie nie pracuję. – Pod udawanym sarkazmem kryły się jednak wyrzuty sumienia. Nie chciała zmarnować połowy lata; planowała przeczytać wszystkie dobre książki, a może nawet dokończyć swój scenariusz (dzięki

Bogu, Comstock więcej już o niego nie zapytał). W każdym razie jej kariera miała się rozwijać. Ale czas mijał, a ona była ciągle zajęta bzdurami...

Dokładnie w tym momencie George odezwał się, jakby czytał w jej myślach:

– Obejrzałem dokładnie tę reklamówkę, w której zagrałaś. Uważam, że masz prawdziwy talent. A pamiętaj, że zbiłem fortunę dzięki temu, że mam nosa do ludzi, jak do dobrych koni.

– Naprawdę tak uważasz? – Zaśmiała się lekceważąco. Przyjrzała mu się bacznie, starając się odgadnąć, czy mówił poważnie, czy tylko chciał ją w ten sposób zaciągnąć do łóżka. A jednak pochlebiło jej uznanie George'a

– zawsze tak się działo, kiedy ktoś dostrzegał w niej coś więcej niż tylko urodę.

– No cóż – powiedziała z namysłem, przesuwając palcami po poręczy fotela – wydaje mi się, że sprawdziłabym się jako producentka. – Nigdy dotąd o tym nie myślała, ale nagle przyszło jej to do głowy. Podobał jej się ten pomysł – producent to już jest ktoś.

– Jak Selden. – George potarł dłonią o udo.

– Niezupełnie – odparła Janey. Nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi, ale zaczynała się zapalać do tego projektu. – Robiłabym niskobudżetówki, takie, które naprawdę by mi się podobały, które trafiałyby do amerykańskiego odbiorcy...

– Myślisz, że na tym da się zarobić? – zapytał George. Rozruszał się trochę – jego oczy, Janey mogła przysiąc, błyszczały z zaciekawienia.



– Czemu nie? – zastanowiła się. – W końcu żeby zarobić pieniądze, produkt musi być dobry. Musi to być coś, czego widzowie potrzebują.

– Miałem plany, żeby wejść w przemysł filmowy... – zaczął George, ale zamilkł, słysząc stukot obcasów Mimi na marmurowej posadzce.

– Nie uwierzcie, kto dzwonił! – Mimi wpadła do pokoju. – Roditzy Deardrum! Chce, żebym zapłaciła jej za zniszczony but!

Na dźwięk tego nazwiska Janey przypomniała sobie popołudniowe wydarzenie. Zmarszczyła brwi, obiecując sobie solennie, że porozmawia z Mimi o Zizim.

– Naprawdę muszę już iść. – Wydawało jej się, że tylko w ten sposób zdoła skłonić Mimi do rozmowy w cztery oczy.

– Ale pożegnasz się z chłopcami? – zapytała Mimi, stając się nagle troskliwą macochą.

– Jasne – odpowiedziała Janey, wstając. Przed wyjściem musiała jeszcze dopełnić obowiązku pocałowania George'a w policzek.

– Pamiętaj o naszej rozmowie – szepnął, kiedy pochyliła się nad nim. – Zadzwoń, jeśli wpadną ci do głowy jakieś pomysły.

Mimi wyglądała na ogromnie czymś podekscytowaną.

– Nie idźmy jeszcze do chłopców – zaproponowała, kiedy weszły na długie schody wejściowe. – Muszę ci coś powiedzieć.

Janey udała się za nią do głównej sypialni. Szły długim korytarzem, w którym wisiały oprawione w ramy ręcznie malowane litografie Curriera i Ives'a przedstawiające konie wyścigowe. Na ich widok Janey nabrała pewności, że owo „coś” ma związek z Zizim. Jego imię,

niewypowiedziane, wibrowało w powietrzu. Jak podłotek nagle

wyobraziła sobie, że Zizi zakochał się w niej i zwierzył się z tego Mimi, prosząc ją, żeby zechciała być jego pośredniczką...

Sypialnia Mimi i George'a była olbrzymia. Stało w niej szerokie łóżko z baldachimem, a przeszklone drzwi balkonowe prowadziły na taras ocieniony płóciennym daszkiem w zielone pasy. Na biało lakierowanym wiklinowym stoliku stał porcelanowy dzbanek do herbaty i taca z kanapkami z łososiem i ogórkiem; Mimi, szeroko słynąca ze swojej gościnności, wydała polecenie, że w jej domu o każdej porze dnia musi się znaleźć jakaś smakowita przekąska dla gości. Gospodyni usiadła, podniosła dzbanek smukłą dłonią i zalała herbatę wrzątkiem. Widać jednak było, że nie chce jej pić i robi to raczej z przyzwyczajenia. Jej oczy lśniły przewrotnym zadowoleniem, jakby zrobiła coś złego i chciała się tym pochwalić. Odezwała się wyjątkowo poufałym tonem, jakby oprócz Janey nie miała bliższej osoby na całym świecie:

– Kochana, obawiam się, że zrobiłam straszną rzecz...

Janey podeszła do balustrady i popatrzyła na morze. Zapadał już wieczór, wszędzie panował spokój, ale od plaży nadpływało jeszcze kusząco ciepłe powietrze. Stała naprzeciwko Mimi, postanawiając w końcu wyjawic jej swoje uczucia do Ziziego. Zaczęła bez ogródek:

– Wiem, że przyjaźnisz się z Zizim... – Przerwała, widząc spłoszony wyraz twarzy Mimi. Nie spodziewała się zobaczyć u niej wyrzutów sumienia.

– Janey, obiecaj, że się nie pogniewasz – poprosiła Mimi. – Miałam ci

powiedzieć o tym wcześniej, ale skąd mogłam wiedzieć, co się wydarzy?

Nie chciałam cię w to mieszać. Wiem jednak, że ty jedna potrafisz mnie zrozumieć...

Nagle Janey poczuła te same mdłości, których już raz dziś doświadczyła. Zapytała, spodziewając się, jaka będzie odpowiedź:

– Zrozumieć? Co mam zrozumieć?

Na twarzy Mimi znać było zakłopotanie.

– Myślałam, że się domyślisz... Że na pewno już wiesz... Mam romans z Zizim. Od trzech tygodni.

Potwierdzenie jej podejrzeń było jak ciężki cios; Janey przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa. Potem powoli dotarł do niej szum fal bijących o brzeg, a spojrzawszy na Mimi, zauważyła, że drży ona z podniecenia, ale też niepokoi się trochę. Należało jakoś zareagować; Janey odrzuciła włosy na plecy i roześmiała się chłodno:

– Oczywiście, że o tym wiedziałam. Przecież to widać.

– Naprawdę? – Mimi była przerażona.

– Ja w każdym razie to widzę. – Janey ponownie się zaśmiała. – Ale nie zapominaj, jak dobrze cię znam. – Z przyjemnością pozwoliła sobie na ironiczny ton. Nie znała przecież Mimi ani trochę, a już na pewno nie spodziewała się po niej takiej perfidii.

– Janey! – wykrzyknęła Mimi zaskoczona. – Jesteś na mnie zła.

Janey była zła – prawdę mówiąc, była wściekła – ale nie zamierzała dać Mimi kolejnej satysfakcji.

– Nie wygłupiaj się – odparła zupełnie spokojnie. – Kiedy to się

zaczęło? Na tym meczu polo? – zapytała, żeby odwrócić uwagę od swoich emocji, myśląc jednocześnie, jaka była głupia, wyciągając tam Mimi.

Mimi zaś, która głęboko przeżywała swój gorący romans, spojrzała na nią z ulgą.

– Podobał mi się, jak wszystkim – przyznała – ale nie miałam pojęcia, że coś do mnie czuje. Po meczu ty pojechałaś z Seldenem na przejażdżkę jego wozem, a Zizi i ja umówiliśmy się na konie następnego dnia. Dlatego nie zaprosiłam cię nigdy do szkółki jeździeckiej... I tam wszedł za mną do boksu i pocałował...

Janey oparła się ciężko o balustradę. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Dlaczego dała się namówić Seldenowi na jazdę tym jego jaguarem? Tą jedną głupią decyzją pchnęła Mimi w ramiona Ziziego – ale czy mogła żywić choćby cień podejrzenia, że ona mu się podoba?

Zranione uczucia spowodowały, że Janey całą winą obarczyła Ziziego. A to żigolak! Najgorszy rodzaj: łowca bogatych mężatek! Już pewnie zdążył wyciągnąć od niej pieniądze... Całe szczęście, że Janey się z nim nie zadała. Z wysiłkiem przybrała minę pełną bolesnej troski:

– Mimi – powiedziała – to chyba nie jest najlepszy pomysł...

– Oczywiście – prychnęła Mimi. – To bardzo zły pomysł. Ale już za późno. Sama wiesz, jaki to cudowny człowiek... Szaleję za nim... –

Kruszyła w palcach kanapki, nie wiedząc nawet o tym. – A najgorsze jest to, że on też mnie kocha. Tak mówi.

Kolejny cios. Janey pogodziłaby się z tym, że Zizi sypia z Mimi dla pieniędzy, ale że ją kocha – tego znieść nie mogła.

– A George? – syknęła.

To pytanie sprowadziło Mimi na ziemię. Zgarnęła okruchy kanapki na serwetkę i zapytała:

– Jak to?

– Jesteś jego żoną.

Mimi spojrzała na nią gniewnie, wyzywająco, jakby nagle dostrzegła w Janey wroga.

– I co z tego? – Lekko wzruszyła ramionami. – Dziwią mnie te twoje małomiasteczkowe skrupuły. Nie spodziewałam się, że w sprawach romansów z mężczyznami masz takie ciasne poglądy.

Powiało chłodem. Milczały; ich znajomość osiągnęła punkt zwrotny.

Janey miała dwa wyjścia: zaakceptuje przygodę Mimi z Zizim i pozostanie jej przyjaciółką albo ją potępi – a wtedy straci wszystko.

Mimi wrzuciła do filiżanki dwie kostki cukru. Przez chwilę Janey czuła, że jej nienawidzi. W całej historii swoich podbojów miłosnych ani razu dotąd nie oddała faceta innej kobiecie. Ale Mimi nie była po prostu „inną kobietą”. Była z tych, które zawsze biorą to, co chcą. Robiła tak przez całe życie, bo miała pieniądze. Ten przywilej miała od urodzenia. Była do niego przyzwyczajona jak modna kobieta do markowych ubrań. Mimi nie obchodziło, co sądzi Janey – zerwie z nią znajomość, ale nie wypuści z rąk Ziziego. I znów zaczną się szeptki, a Janey będzie od początku dobijać się do drzwi tego zamkniętego świata...

Nie, pomyślała z zimnym wyrachowaniem. Nie po to z takim trudem zdobywała zaufanie Mimi, żeby teraz jeden głupi facet wszystko

zniszczył. Ten romans posłuży celom Janey: umocni jej więź z Mimi.

Doszedłszy do takich wniosków, uspokoiła się. Podeszła do Mimi, mówiąc:

– Chodzi mi tylko o ciebie. Nie chcę, żebyś dała mu się złapać.

Atmosfera nagle się oczyściła. Kobięca przyjaźń cechuje się tym, że przyjaciółki unikają konfrontacji, a reguły zabraniają odpychać wyciągniętą na zgodę rękę. Mimi zaczęła się tłumaczyć:

– Źle mnie zrozumiałaś, Janey. Myślałam przez chwilę, że może on wpadł w oko także tobie...

Roześmiały się zgodnym chórem. Pokojówka Gerda, która przysłała sprzątać po herbacie, była wielce zdziwiona idealną harmonią tej scenki. Białozielony płócienny daszek łopotał łagodnie na wietrze. W jego cieniu siedziały dwie dystyngowane damy – dwie piękne, opalone blondynki – odcinając się ostrym kontrastem od błękitnego tła oceanu. Pochylały się do siebie i śmiały z jakiegoś sobie tylko znanego dowcipu. Gerda pomyślała, że na pewno rozmawiają o mężczyznach...

Jak się po chwili okazało, nie myliła się. Dobiegły ją słowa Janey:

– Co za śmieszny pomysł, moja droga. Jeśli chcesz wiedzieć, właśnie postanowiłam, że zacznę spotykać się z Seldenem Rose'em.

## **CZEŚĆ DRUGA**

### **Rozdział 6**

Dziesiątego września 2000 roku „New York Times” podał, że Jane Wilcox (znana pod imieniem Janey), lat trzydzieści trzy, modelka reklamująca serię bielizny Victoria's Secret, wyszła przed czterema dniami

za Seldena Rose'a, lat czterdzieści pięć, dyrektora naczelnego kanału Movie-Time. Skromna, prywatna ceremonia odbyła się we włoskim miasteczku Montradonia.

W tym samym numerze znalazła się również informacja, że Peter Cannon trafił za kratki. Towarzyszył jej artykuł opisujący więzienia dla wysokich rangą urzędników; można się było z niego dowiedzieć, że nie przypominają one już ośrodków wypoczynkowych i że na oszustów podatkowych, defraudantów oraz handlarzy zastrzeżoną informacją czeka tam kilka niespodzianek, z których podłe jedzenie nie jest bynajmniej najgorszą.

Dział biznesu ogłosił, że trzy komercyjne portale internetowe splajtowały zaraz po wejściu na rynek, a młody dziennikarz-ekonomista Melvin Melzer umieścił w swoim artykule następujące zdanie:

„Nadstawcie uszu, a usłyszycie, jak na Wall Street bębny biją na trwogę”.

Słowa te niewiadomym sposobem przeszły przez trzy korekty, a do redakcji napłynęło później kilka pełnych oburzenia listów od obrońców praw Indian (tam gdzie teraz biegnie Wall Street, pierwotnie żyli Indianie; pierwsi osadnicy holenderscy wzniesli w tym miejscu mur, żeby się od nich odgrodzić – stąd nazwa ulicy).

Jednak większość mieszkańców Nowego Jorku tego dnia rozkoszowała się pięknym porankiem. Był drugi poniedziałek września. Comstock Dibble zastanawiał się właśnie (jak zwykle intensywnie) nad kupnem wartego dziesięć milionów dolarów apartamentu na Park Avenue. Takie mieszkanie podniosłoby go o szczebel wyżej na drabinie społecznej.

Comstock, jego narzeczona Mauve oraz Brenda Lish, agentka sprzedaży nieruchomości, stali w obszernym hollu budynku pod numerem 795. Obie panie zapewniały go już wielokrotnie, że jest to jeden z najlepszych apartamentowców w Nowym Jorku; Comstock z wielkim zadowoleniem podziwiał wystrój hollu, a na jego czole zaczynał perlić się pot. Z księgowości przyszło w weekend ostrzeżenie, że po raz pierwszy od trzech lat Parador Pictures wykazuje straty w półrocznym bilansie. Comstock nie przejął się tym zbytnio – w czwartek z rąk samego burmistrza otrzymał wyróżnienie za działalność humanitarną na rzecz miasta, a w tym tygodniu spodziewał się ruszyć do przodu z interesem wartym co najmniej pięćdziesiąt milionów dolarów. Od niedawna zaczął myśleć, że warto byłoby sięgnąć nieco wyżej. Uwielbiał robić filmy, ale w końcu każdy przyzna, że to biznes dla dzieciaków – a czy z niego nie byłby doskonały polityk? Otarł czoło chustką i uśmiechnął się. Brendzie Lish nie zamykały się usta:

– Tobie chyba nie muszę opowiadać o tym hollu – zwróciła się do Mauve. – Zaprojektował go Stanford White. Każdy detal obecnego wystroju jest oryginalny. Gdyby chciać sprzedać to wszystko na aukcji w Sotheby's, można by zgarnąć ze dwadzieścia pięć milionów.

Ściany pokrywała mahoniowa boazeria. Wzrok przyciągał olbrzymi marmurowy kominek; na jego gzymsie stał wazon, a w nim bukiet wysokich na metr kwiatów. Portierzy w liberiach i białych rękawiczkach przemykali bezszelestnie niczym cienie. Całe to miejsce tchnęło ponadczasową atmosferą dyskrecji i luksusu; była to oaza ludzi z



wyższych sfer, która przez osiemdziesiąt lat istnienia nie straciła ani trochę ze swojego przepychu.

– Co o tym myślisz? – Brenda zagadnęła Comstocka.

Spojrzał na nią. Przemknęło mu przez głowę, że pomimo swoich czterdziestu kilku lat wygląda jak belferka i zarazem jak uczennica. Tylko skąd wytrzasnęła tę kieckę w kwiaty?

– Co myślę? – odpowiedział, powoli cedząc słowa. – Myślę, że nie płacę za hol.

Mauve przewróciła oczami, a Brenda roześmiała się, jakby usłyszała świetny dowcip. Pomyślała, że nawet jeśli Comstock zdaje sobie sprawę, jak bardzo jego prostackie maniery nie pasują do tego miejsca, jak jaskrawo rzucają się w oczy w tym otoczeniu, to nie daje nic po sobie poznać. Brenda, ze swojej strony, nie zamierzała go o tym uświadamiać. Pochodziła ze starej nowojorskiej rodziny, założonej w czasach, kiedy pojęcie „rodzina” coś jeszcze znaczyło. W tym budynku mieszkała jej babka. Pięćdziesiąt lat temu nie powstałaby tutaj noga kogoś takiego jak Dibble, a przede wszystkim on sam miałby dość rozsądku i godności, żeby nie próbować się tu wcisnąć. Te czasy to już jednak przeszłość, tak samo jak do przeszłości należała fortuna rodziny Lish, zaprzepaszczona z kretelem w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Wtedy to właśnie Brenda, która po swoich purytańskich przodkach odziedziczyła skromność, rozsądek i zmysł praktyczny, założyła agencję handlu nieruchomościami. Dzięki szczegółowej (i w dużej mierze nieoficjalnej) wiedzy na temat najlepszego nowojorskiego budownictwa, Brenda

pozyskała klientów, którzy byli skłonni wydać miliony na odpowiednie mieszkanie. Osobiście nie przepadała za ludźmi pokroju Comstocka Dibble'a, ale musiała przyznać, że choć miał on gorsze maniery niż większość tych prostaków bez gustu, którzy w latach osiemdziesiątych, dzięki koligacjom z wyższymi sferami, odmienili oblicze amerykańskiego społeczeństwa, to jednak nie był tak do końca ulepiony z innej gliny. Miał nazwisko, pieniądze, wyróżnienie od bur – \* mistrza (dzięki któremu rada miejska zapewne zdecyduje się nagrodzić go za szlachetne zasługi dla miasta – wspomniał już nawet, że otrzyma od burmistrza rekomendację do tego tytułu), no i zenił się z Mauve Binchely. Rada miejska zwróci uwagę także na to.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponowała Brenda. Ulicę zalewał jasny blask słońca. – Nie muszę ci mówić – Brenda znów zwróciła się do Mauve – że rzadko trafia się okazja do kupienia mieszkania w tym domu. Ostatni raz było to trzy lata temu. Jeśli zatem jesteście zainteresowani, od razu złożę waszą ofertę właścicielowi albo przynajmniej zapytam o cenę...

Mauve zmarszczyła nos, jakby poczuła niemiły zapach:

– A ten hałas?

– Jaki hałas? – Comstock nagle zaczął się niecierpliwić. Brenda, która z racji swojego zawodu wiele wiedziała o różnych ludziach, pomyślała, że za chwilę na własne oczy zobaczy jeden z jego legendarnych napadów szału. – Nie przywykłaś do tego? Przecież teraz mieszkasz na tej samej ulicy.

– Co z tego? – odcięła się Mauve. – Przed chwilą słyszałam głośny hałas.

– To Brenda mówiła, idiotko – nie wytrzymał.

– To był klakson. – Mauve zignorowała wyzwisko. Comstock lubił w niej między innymi to, że miała skórę twardą jak stary aligator.

– Okna mają podwójne szyby, ale z pewnością można będzie założyć potrójne, powiedzmy za... pięćdziesiąt tysięcy? – wtrąciła Brenda. Ni stąd, ni zowąd przypomniała jej się pewna plotka krążąca o Comstocku Dibble'u; mówiono, że kiedyś założył swojej kochance klamerki na sutki, przywiązał do nich sznurki, a następnie zerznął ją w tyłek, ciągnąc za sznurki jak za lejce. Podobno całkiem się to jej podobało.

– Wiesz, że nie znoszę hałasu – upierała się Mauve. – Brenda pamięta, że w dzieciństwie, kiedy słyszałam karetkę, policję albo straż na sygnale, to zawsze wrzeszczałam.

– A ja w tej chwili nie mogę już dłużej znieść twojego gadania – odburknął Comstock. – Gdzie mój samochód, do cholery?

Samochód oczywiście stał o krok – czarny mercedes z przyciemnianymi, kuloodpornymi szybami.

– Do widzenia, Brendo – powiedział Comstock, patrząc na Mauve. – Odezwę się do ciebie, gdy coś postanowię.

– Czekam. – Brenda uniosła rękę na pożegnanie.

– Okropny człowiek, prawda? – Mauve stwierdziła, nie zapytała.

Ja bym określiła to dosadniej, pomyślała Brenda, ale na głos powiedziała tylko:

– Zgadzam się.

– Nic na to nie poradzę. – Mauve westchnęła. – Kocham go.

Brenda powstrzymała się od śmiechu. Nie podzielała współczucia, które ich rówieśniczki żywiły dla „biednej Mauve”. Zbliżające się nieuchronnie małżeństwo z Comstockiem było w jej pojęciu czymś na kształt kary boskiej. Jako dziewczynki chodziły razem do prywatnej szkoły w Brearley. Brenda wiedziała, że Comstock ma całkowitą rację – Mauve zawsze była idiotką. Naprawdę wrzeszczała, słysząc karetkę na sygnale, a raz nawet zmoczyła się w spodnie. Wyrzuciliby ją z Brearley, gdyby nie pieniądze rodziców i ich koneksje; byli oni skoligaceni – a takich osób w całym mieście było tylko około stu – z Vanderbiltami.

– Skoro go kochasz, to nic innego się nie liczy – powiedziała Brenda.

– Wiem – odrzekła Mauve. Z wykonanej z niebieskiej wężowej skóry torebki od Fendi wyjęła złotą puderniczkę i przypudrowała delikatnie długi, spiczasty nos. – Muszę już iść, moja droga. Dziś zaczyna się Fashion Week.

– Miło było znów cię widzieć, moja droga. – Brenda nachyliła się, by zamarkować zwyczajowe cmoknięcia w oba policzki. – Nic się nie zmieniłaś przez te dwadzieścia lat.

– Ani ty – odparła Mauve. – Wiesz, że już zupełnie zapomniałam o tych starych sukienkach od Laury Ashley? Są świetne. Może jeszcze powrócą.

– Wszystko w końcu powraca. – Brenda uśmiechnęła się, patrząc, jak Mauve oddala się niezgrabnym kroczkiem. Zupełnie jej nie obeszła ta

ironiczna uwaga na temat sukienki; Brenda sama dobrze wiedziała, że jest beznadziejnie do tyłu z modą. Niemniej prowizje od transakcji, w których pośredniczyła, przynosiły jej rocznie ponad dwa miliony dolarów, a poza tym widziała już zbyt wiele nieoczekiwanych bankructw, żeby wyrzucać pieniądze na modne kiecki.

Bogaci ludzie są tacy głupi, pomyślała Brenda, machając na taksówkę. Czy markowe ciuchy przydadzą Mauve charakteru? Taksówka podjechała.

Brenda wsiadła na tylne siedzenie i podała kierowcy adres, pod którym

czekał na nią kolejny klient. Czowała złośliwą satysfakcję; była pewna, że

pomimo protestów Mauve, Comstock Dibble kupi ten apartament, a w

każdym razie będzie usiłował go kupić. Lokal 9B miał salon, jadalnię,

pracownię, trzy sypianie oraz kwaterę dla pokojówki – ponad trzysta

sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Brenda domyślała się jednak, że

metraż nie gra roli – Comstock kupiłby ostatnią klitkę, byle w tym domu.

Nie chodzi tylko o to, że adres Park Avenue 795 był jednym z najlepszych

w całym mieście, lecz także o to, że wprowadził się tam Victor Matrick,

świrnięty dyrektor naczelny całego koncernu Splatch Verner.

Najwidoczniej Comstock musiał mieszkać tam, gdzie on. Podczas

dzisiejszej prezentacji wciąż zadawał pytania dotyczące apartamentu

Matricka – chciał znać jego położenie względem 9B, rozmiary, pytał

nawet, kto zajmował się dekoracją wewnątrz. Jakie to typowe i zarazem

żałosne, myślała Brenda. Ci bogaci, potężni mężczyźni, którzy powinni

być ponad wszystkim, w swoich wyborach prawie zawsze pozwalają sobą

kierować swojemu malutkiemu ego.

Nie dalej niż kilka przecznic na południe, w budynku na rogu Piątej

Alei i Siedemdziesiątej Ulicy, Mimi Kilroy wsiadła do małej, prywatnej windy, która obsługiwała apartament należący do niej i George'a.

Pozdrowiła boya, który nacisnął za nią przycisk na parter, żeby nie musiała się przemęczać. W hollu dyżurowali dwaj portierzy. Kiedy skinęła im głową na powitanie, jeden z nich pospieszył, aby otworzyć przed nią ciężkie mosiężne drzwi.

– Samochód chyba jeszcze nie podjechał, pani Paxton – poinformował ją z wielkim przejęciem, jakby odczuwał prawdziwy ból na myśl, że Mimi może iść na piechotę.

– Dziś nie jadę samochodem, Jesus. Czeka na mnie to cudo. –

Wskazała dziwny wehikuł zaparkowany na krawężniku. Składał się on z rikszy przyczepionej z tyłu do roweru. Na siodełku siedział żylasty młodzieniec w baseballówce.

– To nie wygląda bezpiecznie, pani Paxton – zauważył Jesus, na co Mimi się roześmiała.

– Wiesz, że mnie nie może przydarzyć się nic złego.

Wyszła na ulicę, ciesząc się pięknym dniem. Piąta Aleja należy do najcudowniejszych miejsc pod słońcem i nigdy się nie zmienia – jest jedną z niewielu rzeczy, na których można polegać. Zastanowiło ją, jak to możliwe, że miejska ulica może znaczyć dla człowieka więcej niż rodzina lub przyjaciele. Prawda była taka, że to życie nauczyło Mimi czerpać radość, skąd tylko się da; bardzo często zdarza się bowiem, że rzeczy zachwalane przez innych wcale nie dają nam szczęścia.

Wsiadła do ekstrawaganckiego pojazdu, który był pomalowany na żółto, aby zwracać uwagę potencjalnych klientów z grupy docelowej, czyli turystów. Założyła nogę na nogę i wygładziła na kolanach luźną spódnicę z delikatnego tweedu. Na stopach miała beżowe zamszowe buty – kompletnie niepraktyczne, ale zabójczo drogie, co tłumaczyło wszystko. Rikszarz skinął jej głową i włączył się do ruchu. Płynęli dostojnie Piątą Aleją; Mimi zdecydowała się sprawdzić, jaki ma dziś nastrój.

Uznała, że tego dnia jest szczęśliwa. Skończyła już czterdzieści dwa lata i ostatnio jej samopoczucie zaczęło przybierać wyłącznie dwie formy: czarnej depresji lub wariackiego szczęścia. Kiedy ogarniało ją szczęście, czuła się znów jak osiemnastolatka, która wszystko ma przed sobą i może spełnić każdą fantazję, na przykład opanować parę akordów na gitarze elektrycznej, założyć babską formację rockową i śpiewać piosenki dla tysięcy fanów. Kiedy dopadała ją depresja, czuła się staro, wydawało jej się, że niczego w życiu nie osiągnęła, nachodziły ją obawy, że wkrótce stanie się zupełnie nieatrakcyjna i już nigdy żaden facet nie będzie chciał się z nią przespać, aż w końcu przekwitnie i jej łono wyschnie na wiór. Już teraz zdarzały się wstydlive problemy z nawilżeniem pochwy, szczególnie w łóżku z George'em. Ale George i tak od około roku stracił ochotę na seks z Mimi. Podejrzewała, że jak większość znanych jej małżonków znalazł sobie kogoś na boku, ale nie dbała o to, dopóki zachowywał dyskrecję.

Jeszcze kilka lat temu wystrzegaby się takich myśli jak ognia. Jej ojciec miał kochanki (zdaje się, że do tej pory). Mimi przez długi czas

patrzyła, jak matka, radosna i pełna życia kobieta, powoli ugina się pod ciężarem żalu i nieszczęścia. Jako nastolatka miała do matki pretensję, że nigdy nie protestuje, kiedy ojca nie ma w domu na noc, ona jednak dawała jasno do zrozumienia, że nie chce rozmawiać na ten temat i dodawała:

„Nigdy nie usłyszysz ode mnie słowa krytyki pod adresem twojego ojca”.

Te słowa prześladowały Mimi całym latami. Doszła do wniosku, że to mógł być jeden z powodów jej buntu, który rozpoczął się, kiedy skończyła dwadzieścia lat. Ten niespokojny okres trwał aż do trzydziestki; nie

chciała się ustatkować, wyjść za męża, nie chciała „dojść do czegoś”. W głębi duszy jednak podobała jej się idea ofiary, którą poniosła jej matka.

Podziwiała ją i często zastanawiała się, czy sama byłaby do tego zdolna.

Nagle uświadomiła sobie z rozbawieniem, że przecież jej małżeństwo z

George'em wygląda dokładnie tak samo: rezygnacja z osobistych

upodobań na rzecz czegoś, co wydawało się większym dobrem.

Więszym dobrem? Dla kogo? Riksza minęła wspaniały budynek

wzniesiony z marmuru. W latach dwudziestych dwudziestego wieku był on prywatną posiadłością pewnego milionera, a obecnie mieścił Galerie Fricka. Mimi zdawała sobie sprawę, że działa dla własnej korzyści:

George był bardzo bogaty, a po niej spodziewano się, że wyjdzie bogato za

męża, choćby tylko po to, żeby pomnożyć fortunę Kilroyów. Ale naprawdę była idealną żoną dla George'a. Dzięki niej mógł wzbogacić swoją

osobowość. Niełatwo przyszło jej pogodzić się z faktem, że taki właśnie jest cel jej życia. Przez całe lata walczyła z tym, jak młody ogier gryzący

wędzidło. Jako dziecko wyobrażała sobie, że zostanie kimś, że będzie



gwiazdą – amazonką z olimpijskim złotem albo aktorką, dziennikarką – ale kiedy próbowała sił w tych zawodach, zawsze czuła milczącą dezaprobatę rodziny. Nigdy nie usłyszała ani słowa sprzeciwu, ale niechęć bliskich krępowała ją równie mocno jak para kajdanek. Nie wolno jej było wystawiać się zbyt na widok publiczny, ponieważ groziło to porażką lub wyśmianiem przez krytykę (pознаła, co to znaczy, w wieku dwudziestu dwóch lat, kiedy wystąpiła w niekomercyjnej sztuce wystawianej poza Broadwayem); nie może przynieść wstydu rodzinie, a przede wszystkim ojcu. Niewypowiedziany komentarz wszelkich jej poczynań był zawsze taki sam: po co ona to wszystko robi, skoro nie musi? Wystarczy przecież, że będzie urocza i wdzięczna, piękna i pięknie ubrana. Zatem, zapytała Mimi samą siebie, po jaką cholere mi ten romans z Zizim?

To był kryzys wieku średniego. Żadna kobieta nie jest przygotowana na zmiany emocjonalne, które rozpoczynają się po czterdziestce. Pierwsza z nich to uczucie cudownego spokoju. Dochodzi się do wniosku, że są rzeczy, na które nie ma się wpływu, że nie należy wszystkiego brać do siebie oraz że wiele spraw, które kiedyś wydawały się ważne, tak naprawdę jest bez znaczenia. Kobieta wciąż jeszcze czuje się młoda, nie ma problemów z przeczytaniem wieczorem menu w restauracji. Potem następuje szok emocjonalny, kiedy pojawia się pytanie o sens życia – zwłaszcza własnego – a wraz z nim pragnienie stałości, jasno określonego celu, wreszcie miłości. Wydaje się, że te rzeczy zagubiły się gdzieś po drodze, że jest się jak automat, powtarzający wciąż te same wyuczone

czynności, które nie dają już żadnej satysfakcji. Bezcelowość wszelkich własnych poczynań bije po oczach. Mimi pamiętała takie noce, kiedy kładąc się spać, pragnęła, żeby jutro nigdy nie nadeszło. Ale nie doczekała się tego.

Oczywiście, nie zdradziła swoich uczuć nikomu, nawet George'owi.

Nigdy o nich nie mówiła. Jej matka zawsze powtarzała, że trudno o brzydszy widok niż bogata dziewczyna narzekająca na swój los. Mimi wiedziała, że ma wiele szczęścia, że powiodło się jej lepiej niż większości ludzi. Powtarzała to sobie każdego dnia, starała się zasiać w swoim życiu małe ziarenko radości. Czasem jednak nic z tego nie wychodziło.

Wtedy poznała Ziziego. Janey miała go na oku, a on też chętnie poznałby ją bliżej, ale Mimi szybko położyła temu kres. Harold Vane, ten kurdupel, też ostrzegał Ziziego przed Janey. Dziewczyna nie miała najlepszej reputacji: krążyły niejasne plotki, że się puszcza i bierze pieniądze od facetów, ale Mimi nie do końca dawała im wiarę. Janey po prostu brakowało polotu, żeby usidlić kogoś takiego jak Zizi; nikt nie domyślał się nawet, że jego ojciec był niemieckim hrabią. Cała rodzina wyemigrowała do Argentyny jeszcze przed jego urodzeniem. Zizi, jako młodszy syn, nie miał praw do spadku ani do tytułu, zaczął więc grać w polo.

Był to właśnie taki człowiek, za jakiego Mimi chciałaby wyjść – gdyby był o jakieś piętnaście lat starszy, no i gdyby ona nie wyszła za George'a. Życie potrafi płać takie okrutne figle, a ich sens można zrozumieć dopiero po przeżyciu wielu lat. Mimi nie mogła rozstać się z George'em

(skutków skandalu, jaki by to wywołało, nie umiała sobie nawet wyobrazić), ale nie potrafiła także wyrzec się Ziziego. Był to najprawdopodobniej ostatni młody, przystojny kochanek, jakiego miała w życiu.

Na wysokości Sześćdziesiątej Piątej Ulicy zaczynał się korek. Rikszarz odwrócił się do swojej pasażerki z uśmiechem.

– Gdyby panią to interesowało, jestem Jason.

– Nazywam się Mimi. – Wyciągnęła rękę, bo w takiej sytuacji należało to zrobić, ale także dlatego, że przedstawiła się bardzo formalnie i chciała zatrzeć to niemiłe wrażenie. – Jesteś stąd?

– Wynajmujemy kwaterę na Brooklynie – powiedział, a Mimi natychmiast wyobraziła sobie niszczący dom szeregowy; na Brooklynie bywała tylko wtedy, kiedy kierowca wiozący ją na lotnisko jeździł tamtędy, żeby uniknąć korków.

– Rozumiem – powiedziała.

– Tylko przez lato – wytłumaczył się Jason. – Pochodzę z Iowa.

Złapałem letnią pracę, żeby odłożyć na studia.

– Podziwiam – rzekła Mimi. – Przedsiębiorczy z ciebie człowiek.

Uśmiechnęła się do niego. Po lewej stronie mijali właśnie wielki dom z piaskowca, w którym się wychowała. Jej rodzina zajmowała całe piętro, przeszło dziewięćset metrów kwadratowych. Mieszkały tam też dwie irlandzkie pokojówki. Mimi odszukała wzrokiem okno swojego starego pokoju. Nagle opadły ją wspomnienia z dzieciństwa. Po drugiej stronie ulicy, w Central Parku, znajdowało się zoo. W nocy mała Mimi słyszała

ryki lwów... Po raz pierwszy od wielu lat przypomniała sobie, że kiedy ojciec nie wracał na noc, życzyła mu, żeby zamknęli go w klatce z lwami.

Lwy zniknęły stąd dawno temu, uratowane przez działaczy ruchu obrony zwierząt. Park nawiedzały za to sokoły wędrowne, żywiące się gołębiami, wiewiórkami, szczurami, a czasem także małymi pieskami; nie dalej jak dwa dni temu, na porannym spacerze, jeden z tych drapieżników porwał staruszcze szczeniaczka chihuahua. Wypadek trafił na drugą stronę „New York Timesa”. Podejrzewano, że para sokołów gnieździ się pod pięknie rzeźbioną mansardą hotelu Lowell.

Dwa piętra niżej, w obszernym apartamencie składającym się z przedpokoju, salonu, dwóch sypialni, trzech łazienek i dodatkowo wyposażonym w kominek (działający!), dwoje ludzi świeżo połączonych węzłem małżeńskim przygotowywało się do wylotu w miasto. Selden Rose zapinał złote spinki przy mankietach białej, wykrochmalonej koszuli. Jego żona Janey malowała powieki cienką brązową kredką.

Selden siedział w drugiej sypialni i nucił pod nosem. Dotąd wszystko układało się wspaniale. Jeszcze przed przeprowadzką do Nowego Jorku wynajął apartament z dwoma sypialniami; teraz gratulował sobie tej przeczności, bo dzięki temu mógł wygodnie mieszkać razem z Janey w hotelu i jednocześnie szukać mieszkania dla obojga. Podczas ich podróży poślubnej do Toskanii pokojówki umieściły jego ubrania w drugiej sypialni, a sekretarka Seldena urządziła Janey w pierwszej, przenosząc tam cały jej dobytek ze starego mieszkania. Podróż była wspaniała, przypomniał sobie Selden. Obejrzeliby co najmniej dziesięć zabytkowych

kościółów, zwiedzili niejedno małe muzeum i pokłócili się tylko raz, trzy dni przed powrotem, kiedy Janey dostała nagłego ataku szału. Było to na rynku otoczonego murami miasteczka Puntadellésia. Zrobili sobie zdjęcia na tle olbrzymiej, sklepionej kamiennej bramy i usiedli w kawiarni, gdzie podano im miejscową czarną kawę w małych filiżankach. Za bramą rozciągała się panorama doliny pokrytej polami we wszystkich odcieniach zieleni, błękitu i żółci.

– Teraz rozumiem, skąd katolicy wiedzą, jak jest w niebie – powiedział Selden. Janey tylko skinęła głową. Pomyślał, że pewnie jest zbyt zmęczona upałem, żeby podziwiać widoki. – Napijesz się lemoniady? A może zamówię ci lody? – Zamiast odpowiedzieć, wbiła w niego spojrzenie swoich wielkich szafirowych oczu. Wyciągnął mapę Toskanii i rozłożył na zielonym stoliku. – Proponuję zjeść dziś obiad w domu. Nie ma sensu nigdzie wychodzić, skoro mamy kucharza. Jutro możemy pojechać do Montrachet. Mają tam piękne szesnastowieczne obrazy, o które Metropolitan Museum stara się od lat. Ale Włosi nie dadzą ich do wielkiego miasta, wolą, żeby zostały na wsi...

Jego żarcik nie rozbawił Janey tak jak zwykle, a w jej oczach było coś dziwnego. Nagle bez ostrzeżenia strąciła filiżankę na ziemię; co osobliwe, naczynie się nie stłukło, tylko odbiło od bruku.

– Czy ty nic nie rozumiesz?! – wrzasnęła. – Mam gdzieś twoje szesnastowieczne obrazy!

Jej jadowity ton podziałał piorunująco; na chwilę obojgu odebrało mowę.

– Myślałem, że ty...

– Ty nigdy nie myślisz o mnie, Selden. Zawsze robisz to, na co masz ochotę, a mnie się to musi podobać. – Wybuchnęła płaczem.

Na rynku byli sami starzy ludzie: kobiety odziane na czarno, z chustami na głowach i mężczyźni pochyleni nad szachownicami. Wszyscy spoglądali w ich stronę, ciekawi, o co tyle hałasu. Dobiegło go kilka urywanych zdań po włosku, a gniewne spojrzenia wyrażały niezadowolenie z faktu, że „facet znęca się nad tą piękną Amerykanką”. Rzucił na stół banknot o nominale pięciu tysięcy lirów.

– Chodź. – Złapał ją za ramię.

– Nigdzie nie idę. Gorąco mi i jestem zmęczona... Dlaczego nie możemy pojechać do Portofino albo na Capri? Tam przynajmniej można spotkać kogoś znajomego. Mam już powyżej uszu tych starych Włochów, muzeów i brudnych kościołów... Czy ty nie widzisz, jaki tutaj wszędzie jest syf?

– Pospiesz się – przerwał jej, nie słuchając. – Za chwilę będzie tu policja.

Po tych słowach pozwoliła się zaprowadzić do samochodu. Ruszyli w dół, krętą, wyboistą drogą. Po jakimś czasie Janey przestała płakać.

– O co chodzi? – zapytał. – Masz swoje dni?

– Nie, nie mam swoich dni – ucięła. – Mam już dość samochodu, zarcia makaronu i oglądania obrazów.

– Przecież o tym rozmawialiśmy – wtrącił bezradnie. – Mówiłaś, że uwielbiasz Caravaggia...

– Nie widzieliśmy żadnych jego prac...

– To zobaczymy. Pojedziemy do Rzymu...

Tym razem nie było szlochów; milczała, a łzy toczyły się jej po policzkach.

Zatrzymał samochód na poboczu. Nie mógł patrzeć na nieszczęście

Janey; była jego skarbem. Objął ją i przytulił głowę żony do swojego ramienia.

– Co się stało, kochanie? – zapytał łagodnie. – Proszę, nie płacz. Co byś chciała robić?

– Chcę jechać na Capri – jęknęła – albo chociaż do Mediolanu. Chcę iść na zakupy. Tam wszystko jest takie tanie...

– Już za późno, żeby jechać na Capri, ale obiecuję ci, że jutro wybierzemy się do Mediolanu. – Z żalem pomyślał, że szkoda wyjeżdżać trzy dni wcześniej, skoro tydzień na kwaterze kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów. Miał jednak na tyle delikatności, żeby w takiej chwili nie wspominać o pieniądzach. – W Mediolanie – powiedział – zatrzymamy się w hotelu Four Seasons...

Kiedy już na dobre pogodzeni rozlokowali się w małżeńskim apartamencie w Four Seasons (tysiąc pięćset dolarów za dobę), a Janey zaczęła wyjmować z niezliczonych toreb wszystkie ciuchy, które kupiła (całe szczęście, że sprzedawcy ją rozpoznali i dostała rabat), Selden napomknął, że kiedy tylko coś nie będzie jej odpowiadać, wystarczy, że mu o tym powie, a on zrozumie...

A teraz byli już z powrotem w Nowym Jorku. Dziś Selden po raz

pierwszy szedł do pracy jako świeżo upieczony małżonek. Rozmyślając o ich związku, doszedł do wniosku, że każda para, a szczególnie taka jak oni, musi się dotrzeć, co wymaga czasu. Wziąwszy pod uwagę fakt, że znamy się dopiero od trzech miesięcy, pomyślał, wiążąc krawat przed lustrem, trzeba przyznać, że idzie nam świetnie. W tej chwili przypomniał sobie, jak kochali się dziś rano i jaki miał atomowy orgazm. Nagle zatęsknił za Janey, choć była w pokoju obok.

Zapiął złoty zegarek bulgari na chudym nadgarstku i poszedł do głównej sypialni. Janey siedziała w łazience przed okrągłym, powiększającym lusterkiem i pieczołowicie nakładała makijaż.

Uśmiechnęła się do niego oczami, nie odwracając głowy. Odsunął jej włosy z karku i delikatnie pocałował ją w szyję.

– Witaj, kochanie – powiedziała.

– Witam, pani Rose – odrzekł. – Jakie wydarzenia zapełnią pani dzisiejszy dzień?

– Idę na pokaz mody z Mimi – poinformowała go radośnie. – Musimy skompletować garderobę na przyszły sezon.

– To ty powinnaś dyktować modę.

– Mmm... – Przymknęła powiekę, malując ją fioletoworóżowym cieniem. – To ciężka praca... Tyle stresu... A teraz wszystkie modelki są młode i płaskie jak deski... Nie chcą im płacić... Żałujesz, że nie byłeś na rozdaniu Nagród Emmy? – Nagle zmieniła temat. – Czytałam, że wygrał film Johnny'ego Błocka...

– Emmy rozdają co roku, a nasz miesiąc miodowy jest tylko raz w



życiu.

– To prawda – przyznała. – W każdym razie pozostały ci Złote Globy,  
no i Oscary...

– To jeszcze tyle czasu. – Nie chciał jej teraz mówić, że dyrektor  
naczelný Movie-Time powinien bywać na takich uroczystościach w  
towarzystwie jednej z aktorek pracujących dla firmy. – Tak sobie  
myślałem – przysiadł na brzegu jacuzzi – że moglibyśmy spędzić wieczór  
w domu. To pierwszy dzień po powrocie... Zamówimy kolację do pokoju  
– kawior i stek w sosie bernaise...

Przez chwilę wydawało mu się, że widzi to samo spojrzenie co wtedy w  
Toskaniu. Lecz chyba jednak się mylił, bo Janey powiedziała z żalem w  
głosie:

– Przecież wiesz, że nie mam czasu. Zaczyna się Fashion Week, dziś  
pokaz Calvina Kleina, po nim bankiet, a jest jeszcze wielkie przyjęcie  
Visionnaire... Ty nie musisz tam iść, ale jeśli ja nie pójdę, to ludzie będą  
się dziwić.

– Nigdy – powiedział, wstając – nigdy tego nie zrozumiem.

– Zrozumiesz, najdroższy. – Uśmiechnęła się. – W środę idziemy na  
przyjęcie Armaniego i na otwarcie nowego butiku Prady na przedmieściu,  
a w czwartek na wręczenie nagród burmistrza. Od tego się nie wykręcimy,  
bo szef Victoria's Secret chce nas widzieć przy swoim stoliku...

Selden najchętniej wykręciłby się od wszystkiego, ale nie chciał  
sprawiać żonie zawodu, widząc, jak bardzo się cieszy na te imprezy.

– Gdzie się dzisiaj spotkamy? – zapytał.

– Przyjdź do namiotów w parku Bryant o siódmej. Możesz się spóźnić nawet piętnaście minut, te pokazy na ogół zaczynają się pół godziny po czasie. Po prostu wejdź do środka. Obiecali, że dostaniesz miejsce w pierwszym rzędzie, obok mnie... – Nagle odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję. – Bądź grzeczny, najmiłszy – poprosiła z uśmiechem. – Będę tęsknić. Chyba nie wytrzymam do siódmej.

– W takim razie na pewno się nie spóźnię. – Z zalem wyswobodził się z jej ramion.

Kilka minut później siedział już w czarnym lincolnie, którym codziennie dojeżdżał do pracy i z pracy. Rozsiadł się na skórzanej kanapie i zadzwonił do biura z telefonu w samochodzie. Odebrała jego sekretarka.

– To ja – powiedział. – Ktoś do mnie dzwonił?

– Gordon White – odparła. – Przed chwilą. Mam go złapać?

White był współpracownikiem Rose'a w Movie-Time. Połączenie zabrało kilka sekund. W słuchawce zabrzmiał jego przymilny głos:

– Selden? Jak tam miesiąc miodowy? – Słysząc było wyraźnie, że

White pyta o seks.

– Doskonale – odparł Rose.

– Widziałeś rozdanie Emmy?

– Wygrał Johnny Błock. Cieszymy się.

– Nie podziękował nam.

Selden zmarszczył brwi, w jednej chwili stając się innym człowiekiem.

– Niech dział prawniczy wyciągnie jego kontrakt – polecił,

przyglądając się przez okno mijanemu właśnie hotelowi Sherry-

Netherland na Piątej Alei. – Znajdzie się tam pewnie jakaś luka. Może będziemy mogli uderzyć go za to po kieszeni.

Poszedł, pomyślała Janey z nagłą ulgą.

Nareszcie mogła odetchnąć.

Odłożywszy pędzelek do makijażu, rzuciła się na łóżko. Można by pomyśleć, że nie kochała Seldena Rose'a, ale to nie było aż takie proste. Bywały chwile, a nawet godziny i całe dni, kiedy czuła się szaleńczo w nim zakochana. Ale przychodziły też chwile zwątpienia, przeciągające się w kolejne godziny, a te w dni – wtedy zdawało jej się, że o miłości nie może tu być mowy, a patrząc na niego, czuła strach, że właśnie popełniła największy błąd w swoim życiu. Nie sposób było rozstrzygnąć, które uczucie jest słuszne, bo przecież wszyscy mówili, że takie obawy w małżeństwie są normalne...

Leżała na łóżku, rozpamiętując burzę uczuć, która doprowadziła ją do ślubu z Seldenem. W tym pamiętnym momencie, kiedy Mimi wyznała, że spotyka się z Zizim, Janey uświadomiła sobie na nowo twarde prawo rządzące zarówno miłością, jak i flirtem: kobieta może wybierać spośród tych mężczyzn, którzy jej pożądamy – nie na odwrót. Wracając tego popołudnia do domu, postanowiła, że nie da się kolejny raz wykołować. Tak jak miliony kobiet przed nią, zdecydowała się pokochać mężczyznę, który ją kochał.

Początki były trudne. Przez pierwsze dwa tygodnie umawiała się z nim w różnych miejscach w Hamptons, pozwalała trzymać się za rękę, ale wszystko w niej buntowało się przeciw niemu. Zmuszała się, żeby go

pocałować; całował jak starzec, skąpo i sztywno. Odrzucało ją na myśl o seksie z nim. Był jednak wytrwały, czekała więc, obserwując go, doszukując się w nim dobrych stron w nadziei, że nadejdzie chwila, kiedy jej opory zostaną przełamane...

Entuzjazm Mimi utrzymywał ją w przekonaniu, że warto. Dla mężatki nie ma większej przyjemności niż nawracanie niewiernych kobiet na jedynie słuszną drogę małżeństwa; dzień po dniu, do znudzenia Mimi recytowała Janey litanię zalet Seldena. Powtarzała, że taka okazja nie trafia się często i że konkurencja chętnych do poznania go zaczyna rosnąć. Może nie jest on takim mężem, jakiego Janey szuka, ale w końcu żaden mąż nie uosabia oczekiwań żony. Przypominała, że Janey spotykała się już ze wszystkimi facetami w mieście i nigdy nic nie wyszło. Natomiast Selden wprost szaleje za nią, tak mówi każdy, kto widział ich razem. Zawsze lepiej, tłumaczyła Mimi, kiedy mąż kocha żonę bardziej niż ona jego (dla Janey taki układ był nie do pomyślenia).

Aż wreszcie nadszedł ten oczekiwany moment: zakochała się. Spotykali się już od około trzech tygodni, kiedy Selden zaproponował wycieczkę jachtem na Block Island. Z początku nie chciała tam płynąć (czy na Block Island można znaleźć coś, a właściwie kogoś, ciekawego?), ale Mimi twierdziła, że na tej wycieczce Janey zobaczy Seldena w innym świetle. I miała rację: z dala od miejskiego zgiełku i wyścigu szczurów Selden dosłownie urósł w jej oczach...

Jacht był bajeczny: dziesięciometrowy drewniany chriscraft, stary model z czerwonymi siedzeniami. Kiedy tylko weszli na pokład, Janey

zauważyła zmianę: Selden nagle stał się kapitanem, zakochanym w swoim zajęciu. Prowadził jacht doświadczoną ręką i po raz pierwszy nie koncentrował się wyłącznie na niej. Dzięki temu Janey zyskała przestrzeń, w której mogła wyrazić własne emocje. Stała u jego boku przy sterze, piła z nim piwo i obgadywała ze śmiechem wspólnych znajomych, takich jak głupia Mauve Binchely. Potem zdjęła ubranie, pozostając tylko w skąpym bikini, a on objął ją w talii... Nagle uświadomiła sobie, że jest jej z nim dobrze, tak dobrze, jak z mało którym poznanym wcześniej mężczyzną. Większość tamtych cierpiała na przerost ego...

Dotarli na Block Island ogorzali od soli i wiatru. Całe popołudnie jeździli po wyspie na rowerach, a na piknik wybrali skalistą plażę zasłaną wyrzuconym na brzeg drewnem i szkielecikami mew. Każde z nich opowiedziało wtedy trochę o sobie. Noc spędzili w wielkim starym hotelu z widokiem na port. Poszła z nim do łóżka bez oporów, a jego pocałunki nie były już wcale sztywne. Kiedy już było po wszystkim, przyjrzała się dokładnie jego twarzy. Choć miał silnie zarysowaną szczękę i w sumie niezłe rysy, to nie można było powiedzieć, że jest przystojny (jakaś skaza w wykroju ust i kształcie zębów powodowała, że można było wziąć go za przygłupa). Janey uznała jednak, że jest to twarz, w której oczy zakochanej kobiety na pewno dostrzegą piękno.

I wtedy zdecydowała się.

Ale pomimo tej decyzji Janey nie ustrzegła się przed atakami paniki; chwycił ją wtedy paraliż, nie mogła mówić i brakowało jej powietrza. Nawiedzały ją koszmary; śniło jej się, że idzie do ołtarza, przy którym

czeka na nią nie wybranek, lecz ktoś zupełnie inny. W takie dni nie

dostrzegała u Seldena żadnych zalet.

Gdy wydawało jej się, że go nie kocha, widziała wyłącznie jego wady;

wszystko inne było zamazane. Drugiego dnia ich podróży do Toskanii

Selden włożył ciemne skarpetki do sandałów. Kiedy go tak zobaczyła,

zrozumiała, że za nic w świecie nie może z nim być. Poszli na wycieczkę,

aby „podziwiać wiejskie krajobrazy” (to była jego ulubiona rozrywka), ale

Janey nie dostrzegała pięknych żółtych wzgórz ani stogów siana

porozrzucanych na stokach. Przed oczami miała tylko te granatowe

skarpetki (nowe, ale na dużym palcu lewej nogi sterczała nitka) wciśnięte

w ciężkie, brązowe sandały. Co z tego, że sandały były od Prady? Nawet

designerskie buty nie pomogą człowiekowi bez gustu. Zamartwiała się tym

całe popołudnie. Czy odwołać ślub? Ale zerwanie zaręczyn z powodu

niegustownego obuwia... Nawet Janey nie była aż tak płytką. Więc może

poprosić, żeby zdjął te skarpetki? Obawiała się jednak, że kiedy raz się

odezwie, weźmie ją takie obrzydzenie, że nie zdoła się powstrzymać i

wykrzyczy mu w twarz wszystkie swoje uwagi na jego temat. W końcu

więc nie odezwała się ani słowem. Rozpacz przyprawiała ją o mdłości;

czuła się jak skazaniec prowadzony na szafot.

Wycieczka miała się już ku końcowi. Zobaczyli punkt orientacyjny,

samotną wieżę na szczycie wzgórza. W tamtym kierunku znajdował się

dom, w którym się zatrzymali. Dopiero wtedy Selden spostrzegł jej

rozterkę.

– Nic nie mówisz – zauważył.

Była tak przerażona, że zdołała tylko skinać głową.

– Boisz się? – zapytał.

– A ty nie? – odrzekła nieśmiało.

– Trochę na pewno – powiedział. Oderwał oczy od ścieżki, spojrzał na nią i mocno ujął ją za rękę. Białe słońce Toskanii krzeszło złote błyski w jego brązowych oczach. – Ale przede wszystkim jestem przekonany, że będzie nam razem dobrze. Będziemy szczęśliwi. Będziemy mieć wszystko, czego zawsze pragnęliśmy... Już nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł ci to dać. Tak bardzo cię kocham...

Te same słowa usłyszała od niego przy oświadczeniach, tydzień po wspólnym wypadzie na Błock Island. Teraz do ślubu pozostało już tylko pięć dni; gdyby dostrzegła u niego choć cień wahania, obawy czy irytacji, miała jeszcze czas się wycofać.

Ale nic takiego nie dał po sobie poznać. W końcu nie na darmo był dyrektorem w Splatch Verner.

Leżąc na swoim łóżku w apartamencie hotelu Lowell i przyglądając się pierścionkowi zaręczynowemu (to była zabawa: kupili go w salonie Harry'ego Winstona w przeddzień wyjazdu do Toskanii), Janey wspominała dzień ich ślubu. Wszelki strach zniknął. Zarówno ją, jak i jego ogarnął szalony entuzjazm – kochali się rano, nie wstając z łóżka, a potem pili całymi butelkami wspaniałego szampana, sprowadzonego przez Seldena z Paryża. Wskoczyli do wyłożonego czarnymi płytkami basenu i pływali tam i z powrotem, rozkoszując się ciepłą wodą. Nie docierało do nich jeszcze, że za parę godzin biorą ślub. Ubrali się razem; ona w białą

suknię od Valentina (kosztowała sześć tysięcy dolarów, choć była z kolekcji szytej seryjnie), on miał na tę okazję garnitur od Ralph Lauren w kolorze złamanej bieli, a do niego różową koszulę. Gdy go tak zobaczyła, dziwiła się własnym wcześniejszym obiekcjom, bo nagle wydał jej się najpiękniejszym mężczyzną na świecie. Każdy musi to przyznać, pomyślała w szalonym uniesieniu.

Na ślubie mieli tylko czworo gości. Był to swoisty rekord. Wciąż jeszcze byli z niego dumni, jak również z tego, że gdyby przypadkiem kilkoro znajomych nie spędzało urlopu w Toskanii, to na ich ślub nie przyszedłby nikt. A tak zjawił się Harold Vane ze swoją ostatnią dziewczyną Mariah, wydawcą nowego czasopisma o zakupach (Mariah była w wieku Janey i wciąż jej powtarzała: „Jakie ty masz szczęście!”) oraz Ross Jared, znajomy Seldena ze Splatc Verner, z żoną Constance, tancerką baletu. Ross był dyrektorem oddziału internetowego, Constance zaś wydała się Janey mała jak dziecko. Miała około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, ciemne włosy i ważyła najwyżej czterdzieści pięć kilogramów. Powiedziała tylko kilka słów, za to tak się upiła, że biegła po trawniku w podskokach, podobna do wróżki z bajki.

Ślub odbył się na rozległym dziedzińcu domu, w którym mieszkali.

Selden znów dokonał małego cudu: wszędzie wisiały girlandy kwiatów.

Zapowiedzi ogłosił katolicki ksiądz (Selden twierdził, że czuje przywiązanie do tej religii, bo jego babka była Włoszką), a sam obrządek odprawiono w języku włoskim. Janey nic a nic nie rozumiała, oprócz tych części, w których występowało jej nazwisko oraz kiedy miała powiedzieć



„tak”.

Po ceremonii ktoś włączył płytę z kawałkami Grateful Dead i Allman Brothers Band. Rozpoczęły się dzikie tańce. Harold Vane co chwila powtarzał:

– To jest to! W życiu nie byłem na fajniejszym ślubie.

A Janey była pewna, że strach już nie wróci.

A jednak wrócił. Bywały chwile, kiedy wręcz gardziła mężem, kiedy nienawidziła go tak, jak żadnego mężczyzny w swoim życiu. Była skazana na niego i jego irytujące cechy. Potrafił na przykład przez godzinę guzdrać się z wyjściem z mieszkania, sprawdzając po trzy razy, czy zabrał klucze i portfel. Kiedy na ulicy dzwoniła mu komórka, zatrzymywał się na środku chodnika, a ona musiała czekać pięć minut albo dłużej, a jeśli próbowała zwrócić mu uwagę, niekulturalnym gestem nakazywał jej milczenie. Poza tym miał coraz większy brzuch, płaski obwisły tyłek, a jego penis... Janey nie miała konkretnych zastrzeżeń do jego rozmiaru, ale co by to komu szkodziło, gdyby był odrobinę większy. W gruncie rzeczy chodziło jednak o to, że małżeństwo odebrało jej wszelkie perspektywy. Kiedy ogarniały ją te czarne myśli, żałowała, że nie sięgnęła wyżej.

Jej urojone niezadowolenie rodziło się z faktu, że Selden Rose był tylko miłym facetem z Chicago, który wspiął się na wysoki stołek. Nie miał olśniewającej osobowości ani też żadnego twórczego talentu, dzięki któremu wyróżniałby się z tłumu. Nie pochodził z wybitnej rodziny, choć Janey wiedziała, że jego ojciec był prawnikiem, a matka pracowała w gazecie. Nie był nawet „rekinem”, jak Comstock Dibble albo George

Paxton. Krótko mówiąc, Selden stanowił przykład amerykańskiego przeciętniaka z wyższej warstwy klasy średniej. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że korzenie Janey, od których starała się odciąć już jako nastolatka, były identyczne.

Dopóki nie wyszła za mąż, mogła wyobrażać sobie, że poślubi jakiegoś Europejczyka szlacheckiej krwi, gwiazdora filmowego albo znanego malarza bądź pisarza. Widziała się u boku kogoś wyjątkowego, kogoś, kto każdą chwilą swojego życia wybija się z bagna pospolitości. Wychodząc za Seldena Rose'a, odebrała sobie tę szansę raz na zawsze.

Cóż, może nie na zawsze... Selden nieraz jej powtarzał, że nie sposób przewidzieć, czy małżeństwo będzie udane, tak jak nie można przewidzieć przyszłości. Nieistotne, czy małżonkowie znajdą się od pięciu lat czy od pięciu minut – ważne jest, żeby mieć odwagę się zaangażować, a potem brać to, co życie przyniesie.

Usłyszała telefon; dwa krótkie sygnały oznaczały, że dzwoni portier z dołu. Podniosła słuchawkę, wiedząc, że przyszła Mimi. Ależ ze mnie idiotka, pomyślała, zeskakując z łóżka. Dookoła leżały jej trofea z zakupów w Mediolanie – sukienki, buty, torebki, nawet rękawiczki.

Przypomniała sobie, z jaką radością kochany Selden płacił za to wszystko.

Oczywiście, jak większość mężczyzn wydziwiał na ceny; szczególnie zbulwersowała go prosta bluzka z golfem, bez pleców i rękawów, która dawała się złożyć w mały kwadracik centymetrowej grubości („Pięćset dolarów za szmatkę, której nie starczyłoby na pieluchę?”), ale błyski w jego oczach świadczyły dobitnie, że strojenie młodej, pięknej żony

sprawia mu nie lada przyjemność. A ona lubiła sprawiać mu przyjemność...

Gdyby tylko zechciał od czasu do czasu dać mi święty spokój, pomyślała, grzebiąc w otwartej walizce w poszukiwaniu tej bluzki z golfem. Nie odstępował mnie na krok, nie spuszcza ze mnie oczu, jakby nie chciał uronić żadnego mojego gestu. Nie dalej jak dziś rano, po tym, jak zrobiła mu dobrze (przynajmniej w tej dziedzinie nie był zbyt wymagający), siedzieli przy kawie i czytali gazety. Nagle Selden odstawił filiżankę. W momencie kiedy odwracała stronę, Janey zauważyła, że gapi się na jej palce. Spojrzała na niego ostro, a on zaśmiał się z zakłopotaniem i uraczył ją tym głupim uśmiechem, od którego robiło jej się słabo. Gdyby tylko potrafiła oduczyć go takich grymasów!

– Masz piękne dłonie... – powiedział, ujmując ją za rękę. Pochylił się i pocałował koniuszki jej palców, tak jak się całuje małego ptaszka tulonego w dłoniach.

Nie mogła nic zrobić, bo nie chciała ranić jego uczuć, ale czuła, jak łyzy frustracji napływają jej do oczu.

– Przestań – poprosiła. – Znow mam obgryzione paznokcie...

Ktoś zadzwonił do drzwi. Janey podbiegła i otworzyła je na oścież.

– Witam panią żonę. – Mimi weszła do środka. – Miło cię znow widzieć.

– Jestem taka szczęśliwa – powiedziała Janey. Wszystkie pretensje do Seldena nagle zniknęły, gdy uświadomiła sobie jeden fakt: teraz ona i Mimi są równe... Ale na głos powiedziała tylko: – Wejdz. Przepraszam za

bałagan, ale dopiero wróciliśmy i pokojówki nie zdążyły posprzątać...

– Nie musisz się spieszyć – rzekła Mimi, wchodząc do salonu. – Nie zaczną beze mnie; za dużo forsy zostawiam u Oskara... Zabawne, że mieszkacie tutaj po ślubie. Wiesz chyba, że u Lowella zatrzymują się głównie faceci rozwodzący się z żonami.

– Jasne, że wiem – powiedziała Janey. Była tutaj już kilka razy.

Wymieniły rozbawione, znaczące spojrzenia. Janey i Mimi łączyło coś równie mocnego jak więzy długoletniej przyjaźni: porozumienie dwóch pięknych kobiet, które mają za sobą podobne doświadczenia życiowe.

Kilka minut później siedziały już w rikszy, gawędząc w najlepsze.

Pojazd przejechał Piątą Aleją na Czterdziestą Drugą Ulicę, gdzie stały wielkie białe namioty cyrkowe, w których odbywały się pokazy mody.

Wszystkie głowy odwróciły się w ich kierunku; świadomość tego, że skupiły powszechną uwagę, dodała jeszcze żaru ich konwersacji. Riksza zatrzymała się przed wejściem. Oblegający je tłumnie fotografowie wycelowali obiektywy.

– Będzie jazda – mruknął jeden z nich.

– Co to za babki?

– Janey Wilcox, modelka Victoria's Secret, i Mimi Kilroy, dama z towarzystwa – syknął ktoś.

– Znaczą się snobki.

– Ale trzymają się w biznesie od lat.

– Podstarzałe snobki.

– Janey! Mimi! Spójrzcie tutaj! – posypały się prośby.

– Janey, jak tam po ślubie?

– Pokaż obrączkę! – zawołał ktoś.

– Obrączkę! Obrączkę!

Janey uniosła lewą dłoń.

– Powiedz mi, jaki naprawdę jest Selden? – Mimi objęła ją w pasie i

przyciągnęła do siebie. – Szalona miłość?

– Kiedy wracaliśmy do Nowego Jorku, w samolocie powiedział mi coś

wspaniałego – odparła Janey. – Wziął mnie za rękę i ze śmiertelną powagą

oświadczył: „Janey, będziemy rządzić tym miastem”.

Obie uśmiechnęły się do zdjęcia.

## **Rozdział 7**

W czwartek, trzy dni później, Patty Wilcox obudziła się rano, wstała,

poszła do łazienki i stwierdziła, że znów ma okres.

Niech to jasna cholera, pomyślała. Ale właściwie mogła się tego

spodziewać. Przez całe lato Digger nieprzerwanie koncertował. W ciągu

ostatnich dwóch tygodni widziała go tylko raz, w jaki więc sposób miała

zajść w ciążę? Z drugiej strony miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, a o

dziecko starali się już od sześciu miesięcy. Zaczynała poważnie myśleć, że

coś z nią może być nie tak. Pół roku to dość czasu. Poza tą jedną rzeczą

wszystko jej się udawało – co prawda wyłącznie dzięki ciężkiej pracy.

Zakładając tampon, przypomniała sobie o psie. Rozmawiała o tym z

Diggerem, kiedy ostatni raz był w domu.

– Jeśli w tym miesiącu nie zajdę w ciążę, a nawet jeśli zajdę, to kupimy

szczeniaka. Nazwiemy go Kruszek albo Kruszynka. Ładnie, prawda?

– Kruszek? Podoba mi się. – Kiwnął głową, z ustami pełnymi pizzy.

– Nie musi być duży. – Stała nad nim, ciągnąc go za włosy, aby odchylił głowę i spojrzał na nią swoimi olśniewającymi zielonymi oczami.

– Ale będzie miał osobowość. Na przykład spodoba mu się, kiedy przebierzemy go w kostium i zabierzemy na paradę Halloween.

Digger objął ją wtedy za szyję i posadził sobie na kolanach. Zaczęli się całować jak nastolatki. Trwało to kilka minut.

– Lubisz się macać – powiedziała, łapiąc oddech.

– Wiem – odparł. – Chyba zapomniałem dorosnąć.

Wybuchnęli śmiechem. To był ich ulubiony żart; zrodził się na trzeciej randce, kiedy Digger po przyjściu do jej mieszkania natychmiast rzucił się na nią i przez dobrą godzinę nie chciał puścić. Było to dwa lata temu; tej nocy oboje zrozumieli, że między nimi zanoszą się na coś bardzo poważnego.

– Widzę, że podoba ci się pomysł z psem – rzekła Patty.

– Tak. – Potarł policzkiem o jej policzek. – Bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też – odpowiedziała. – Gdybyś umarł, ja też musiałabym umrzeć, żeby spotkać się z tobą w niebie.

– Skąd wiesz, że pójdę do nieba? – Roześmiał się.

– Po prostu wiem.

Dzisiaj zatem jest dzień pod znakiem psa, pomyślała Patty, wciągając majtki. Nareszcie jakaś atrakcja. Ostatnio Patty czuła się nikomu niepotrzebna. Chciała coś zrobić, czegoś dokonać, ale strach, że w tym świecie nic nie może się udać, wiązał jej ręce, a poza tym najzwyczajniej

nie miała pomysłu na to, czym mogłaby się zająć.

Włożyła wojskowe biodrówki i koszulkę zamówioną z katalogu

Abercrombie & Fitch. Lubiła ten styl, ten demokratyczny mundur jej

pokolenia, powszechnie dostępny i na każdą niemal kieszeń. Zjechała

windą na dół i skinięciem głowy powitała Kenny'ego, małego człowieka o

palcach poplamionych farbą drukarską. Kenny prowadził stoisko z

gazetami i zawsze cieszył się na widok Diggera, ponieważ kiedy tylko był

w mieście, codziennie kupował u Kenny'ego paczkę papierosów. Palił

rzadko, ale, jak mówił, chciał, żeby facet miał co robić.

– Cześć, Kenny – powiedziała Patty. Kenny siedział obok stoiska na

składanym krzeselku; potrafił tak sterczeć cały dzień.

– Pani mąż wraca niedługo? – zapytał.

– W przyszłym tygodniu. – Westchnęła. – Już nie mogę się doczekać.

Kenny kiwnął głową ze współczuciem, jakby znał z autopsji wszelkie

troski, które mogą się stać udziałem człowieka.

Patty minęła biurko, przy którym siedział Sarouk, smutny Arab, który

oficjalnie był portierem, ale faktycznie pełnił funkcję pracownika ochrony;

nawet kiedy widział, że ktoś niesie ciężkie paczki albo torby z zakupami,

nie ruszał się zza swojego biurka. Uśmiechał się tylko sympatycznie, dając

do zrozumienia, że nie są mu obce problemy nowojorskiej klasy średniej,

której nie stać na tragarzy.

– Dzień dobry, Sarouk – pozdrowiła go Patty, wychodząc na ulicę.

Patty i Digger mieszkali na Piątej Alei pod numerem 15, w starym,

zniszczonym budynku koloru żółtawego, w którym niegdyś mieścił się

hotel Washington Square. Ślady jego dawnej świetności zachowały się w postaci bogatych, złoconych fresków na suficie w hollu oraz marmurowej fasady od strony Piątej Alei, gdzie znajdowało się główne wejście, osłonięte złocistym daszkiem. Nikt już jednak nie używał tego wejścia. Lokatorzy byli milcząco zgodni co do tego, że dom stracił klasę i nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Ściany w korytarzach pokryte były stiukami w niezdrowym zielonożółtym kolorze. Większość drzwi prowadziła do mikroskopijnych jedno – lub dwupokojowych mieszkań, gdzie klitki kuchenne były doczepione do największego pokoju. Dom był przepełniony, ale mimo to Patty tam się podobało. Uwielbiała te przeurocze starsze panie, które od lat zajmowały te same mieszkania i do tej pory płaciły czynsz (nie wiedziała ile, ale pewnie około czterystu dolarów miesięcznie za kawalerkę). Każda z tych pań potrafiła błysnąć jakimś ciekawym pomysłem: jedna malowała sobie paznokcie u nóg fioletowym lakierem fluorescencyjnym i zawsze miała na ręku małego pieska, który wyglądał jak wypchany lew z futrem wytartym od nadmiaru czułości. Inna pani, nie zważając na nic, chodziła w biodrówkach, koszulkach bez rękawów i butach na wysokich obcasach, jakby rzucając wyzwanie każdemu, kto chciałby choć słowem skomentować jej obwisłą skórę i sflaczałe mięśnie.

Dom był malowniczy, a jego mieszkańcy barwni. Żyli tam zarówno młodzi ludzie z branży rozrywkowej jak Patty i Digger (którzy zajmowali duży apartament w gotyckiej dobudówce na dachu), jak i zapracowani przedstawiciele klasy średniej, mieszkający we własnych pracowniach



albo wynajmujący kawalerki. Byli oni albo młodzi i na fali, albo pomiędzy czterdziestką a sześćdziesiątką (Patty sądziła, że większość żyje sama) i pogodzeni już ze swoim losem, z faktem, że do niczego nie udało im się dojść, a następnym dużym wydarzeniem w ich życiu będzie prawdopodobnie rak. Niektórzy ci ludzie wyglądali na zmęczonych życiem, tymi samymi czynnościami wykonywanymi w nijakiej pracy; ich ubrania były zawsze czarne, przybrudzone i lekko wyciągnięte, jakby przez długi czas nosili żałobę. Zdarzali się jednak tacy, którzy mieli wyższy cel w życiu, jak jedna pani pracująca w Funduszu Pomocy Zwierzętom, bardzo żywa, radosna i do wszystkich nastawiona życzliwie. Jej drzwi były naprzeciwko windy; przystając na tym piętrze, zawsze słyszało się zza nich odgłosy ożywionej rozmowy. Patty przypominała sobie wtedy, że są na świecie dobrzy ludzie...

Wiem, że mam szczęście, pomyślała, wychodząc na skapaną w słońcu ulicę. Zdawała sobie sprawę, że zapewne nigdy nie będzie musiała się martwić, co począć ze sobą na starość, ale starość wydawała się tak odległa, jakby nigdy nie miała nadejść. Obok wejścia stały dwie kobiety, które rozglądały się dookoła w rozterce, ale Patty to nie dziwiło – niedaleko znajdował się przystanek autobusowy i stacja kolejki PATH jeżdżącej do New Jersey toteż często widywało się tu ludzi wyglądających na kompletnie zagubionych. Skręciła z Piątej Alei w Dziewiątą Ulicę. Rozmyślała nad swoim życiem; odkąd rzuciła pracę, nachodziły ją niewesołe myśli dotyczące jej charakteru. Ostatnio zaczęła rozpamiętywać fakt, że nie musi pracować, ponieważ

Digger jest bogaty. Jakoś nie mogła się z tym pogodzić. Gdyby nie odeszła z VH1, to co prawda oszczędziłaby sobie tych rozterek, ale stanęłaby przed innym dylematem: jak wytrzymać w pracy, której ma już coraz bardziej dość. Co najmniej na rok przed odejściem Patty przejrzała na oczy: programy dokumentalne o gwiazdach rocka to nic innego, jak terapia lecząca z kompleksu niższości, przeznaczona dla tych, którzy w nich występują, którzy je kręcą, oglądają, a nawet dla niej samej, producentki. Żeby to znieść, trzeba było skupić się ślepo na technicznych szczegółach samej produkcji, a do tego wmówić sobie, że zrobienie każdego programu to sprawa wagi państwowej. Brzydziła się tym do tego stopnia, że rzuciła pracę, choć dobrze wiedziała, że nie jest to rzecz sama w sobie godna podziwu, a jedynie rezultat tego, że należy teraz do klasy uprzywilejowanej. W końcu większość ludzi pracuje do końca życia, codziennie wykonując te same czynności; nie znoszą ich, ale nie mają wyboru. Patty czuła się więc trochę jak zdrajczyni.

Zastanawiała się też, czy żyjąc na koszt męża, nie zasługuje też choć odrobinę na miano dziwki.

Idea „tradycyjnego małżeństwa” była jej wstrętna od dzieciństwa. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nikogo nie razi ta cyniczna transakcja, w której kobieta dostaje dach nad głową i żarcie w zamian za seks, sprzątanie i wychowanie dzieci. Prawdziwą miłość w takim układzie można znaleźć tylko wtedy, kiedy jest się finansowo niezależną od mężczyzny. W przeciwnym razie trzeba iść na kompromis i oddawać się facetowi, w którym nic się nie widzi. Można sobie wmawiać, że nie ma w tym nic

złego, ale Patty była zdania, że to nic innego jak legalna forma prostytucji.

A teraz sama stała się jedną z tych kobiet, którymi gardziła przez całe życie.

Szósta Aleja tętniła życiem. Patty minęła grupkę pryszczatych chłopaków w za dużych spodniach zsuwających się z tyłka. Starsze panie pchały przed sobą wózki sklepowe. Młoda kobieta krzyczała do komórki: „Wielkie dzięki, że w końcu raczyłeś mi powiedzieć! Od trzech lat się zastanawiam, co z ciebie za przyjaciel!”. Przed sklepem Balducci, delikatesami dla bogatych (żartowali z Diggerem, że wszystko tam kosztuje sześć dolarów, nawet jajka), siedział młody bezdomny owinięty kocem, tuląc do siebie szczeniaka rasy beagle. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, wyglądał żałośnie, a tabliczka leżąca przed nim informowała, że zbiera czterdzieści dolarów na bilet do Pensylwanii. Patty i Digger mieszkali w okolicy już od roku, a on wciąż jakoś nie mógł się tam wybrać.

Tego ranka rozmawiał właśnie z młodą kobietą, która składała swój koc. Patty usłyszała, jak mówił:

– Mieszkam na ulicy od dziewięćdziesiątego siódmego – w jego głosie brzmiała duma – a w tym roku nastąpi wielki powrót kloszarda. Burmistrz niedługo spadnie ze stołka i ulice znów będą nasze.

Ciekawe, pomyślała Patty, jakim cudem on jeszcze tu mieszka, skoro zgodnie z zarządzeniem burmistrza wszyscy bezdomni muszą spać w noclegowniach; mówiono nawet, że wywozi się ich z miasta. Wyjęła z portfela dwadzieścia dolarów i wręczyła mu. Robiła tak raz w tygodniu –

lub trochę rzadziej – ponieważ miała wyrzuty sumienia. Wiedziała, że on na to nie zasługuje, ale był biedny, a ona bogata, więc właściwie co za różnica?

– Mój anioł stróż przyszedł. – Zadarł głowę, żeby spojrzeć jej w oczy. – Jak się miewasz?

– W porządku – powiedziała Patty. – Idę kupić psa.

Zapaliło się zielone światło. Przechodząc przez ulicę, Patty pomyślała, że wytrzymuje ze sobą wyłącznie z miłości – nie do siebie, jej miłość własna ostatnio mocno osłabła – ale do Diggera. Łączyło ich to rzadko spotykane cudowne uczucie, które zwą prawdziwą miłością. Ten, kto go doświadcza, ma pewność, że może wierzyć słowom przysięgi małżeńskiej: „Na dobre i na złe, w dostatku i niedoli, w zdrowiu i w chorobie”.

Prawdziwa miłość, pomyślała Patty, potrafi zapełnić pustkę, którą człowiek w sobie nosi; czuje się on wtedy pełny, jak po zjedzeniu pożywnego posiłku...

Po drugiej stronie ulicy stał mały stolik, a przy nim dwie postawne, ubrane na czarno dziewczyny. Obie miały ciemne brwi, nosiły buty na grubej podeszwie (Patty pomyślała, że to pewnie studentki z New York University) i wymachiwały wieszakami na ubrania.

– Zabić wszystkich republikanów! – krzyczała jedna. – „Nie” dla średniowiecza!

– Odwołać Busha! – wtórowała jej druga.

– Ej! – pierwsza zaczęła Patty, która starała się je ominąć. – Popierasz republikanów czy demokratów?

– A jak wam się wydaje? – zapytała Patty.

– Republikanie chcą zabrać ci prawo do aborcji!

– Nie chcę żadnej aborcji.

– Jesteś za prawami kobiet czy nie? – Dziewczyna spojrzała podejrzliwie.

– Za... – wyjąkała Patty.

Studentka podsunęła jej formularz.

– To podpisz listę głosujących na demokratów.

Sklep ze zwierzętami był nieco dalej, na Christopher Street. Za szybą, na podściółce z wiórków tarzały się cztery szczeniaki. Na widok Patty mały pręgowany buldog z wielkimi brązowymi oczami skoczył i opierał się przednimi łapami o szybę. Ten!, pomyślała i weszła do środka.

Miała pewne obawy przed kupnem psa w zwykłym sklepie zoologicznym – wszyscy ostrzegali ją przed tym. Szczenięta w takim sklepie mogą być chore lub źle rozwinięte; podobno hodowcy psów domowych zmuszają suki, żeby szczeniły się raz za razem, a kiedy już więcej nie mogą, zabijają je na karmę dla innych psów. Ale Patty była zdania, że to nie wina szczeniaka, a jeżeli ona go nie kupi, to Bóg jeden wie, co się z nim stanie. Z takim nastawieniem weszła do sklepu.

– Chciałabym kupić pieska – oznajmiła dziewczynie stojącej za ladą.

– Który się pani podoba?

– Tamten mały w pręgi. Z dużymi oczami.

– To suczka. Buldog francuski. – Sprzedawczyni otworzyła kojec i wyciągnęła wyrywającego się szczeniaka. – Tak naprawdę przyjechała z

Rosji, ale to rzadki okaz. Trudno u nas o takie. Dostaliśmy ją tylko

dlatego, że jej maść nie odpowiada wzorcowi rasy.

– Mnie to nie przeszkadza. – Patty wzięła suczkę na ręce.

Wkrótce opuściła sklep, niosąc małą Kruszynekę w psim nosidełku.

Kupiła też dla niej smycz i obrozę. Przystanęła na rogu i nie mogąc się dłużej powstrzymać, otworzyła drzwiczki. Kruszyńska wystrzeliła w górę jak rakietka i złapała ją zębami za nos. Patty się roześmiała – ząbki psiny były króciutkie i tępe. Nagle usłyszała kobiecy głos:

– Patty Wilcox?

Spojrzała w górę. Z początku wydało jej się, że spotkała te dwie dziewczyny na jakiejś imprezie i zaczęła szukać w pamięci ich nazwisk. Jedna z nich miała ciemne włosy. Patty przestraszyła się trochę, bo nagle ją rozpoznała: to była ta sama dziewczyna, którą zauważyły w lipcu na meczu baseballowym. A potem uświadomiła sobie, że to one stały przed jej domem, kiedy wychodziła. Zatem musiały ją śledzić. Ale dlaczego?

– To ty jesteś Patty Wilcox – rzekła ta druga. Była wyższa i postawniejsza niż jej towarzyszka i miała nienaturalnie rude – widać było, że farbowane – włosy. Ta niższa, ciemnowłosa, była całkiem ładna. Patty błyskawicznie zorientowała się, że ma przed sobą dziewczyny z Brooklynu albo z New Jersey, dla których przeprowadzka za rzekę na Manhattan oznacza odskocznnię do kariery. Na pierwszy rzut oka było jasne, że za główny swój atut ciemnowłosa uważa własny wygląd; miała na sobie obcisłą bluzkę w kwiaty, przez którą wyraźnie prześwitywał koronkowy, wypychający biust stanik.

– Przepraszam – powiedziała Patty – ale my się chyba nie znamy.

– Ty nas nie znasz, ale my znamy ciebie – odparła ruda. To ona zdawała się dowodzić tym duetem; brunetka patrzyła na Patty takim wzrokiem, jakby przy niej Patty należała do podludzi.

– Chodzi o Diggera – powiedziała.

Patty poczuła ulgę. Fanki. Dwie lekko odjechane wielbicielki, które jakimś sposobem zdobyły ich adres i chcą poznać Diggera. To się zdarza; w takich sytuacjach najlepiej być uprzejmym i jak najszybciej się wymknąć. Patty się uśmiechnęła.

– W tej sprawie powinnyście zadzwonić do jego wydawcy. Trzeba porozmawiać z kimś z działu reklamy...

Dziewczyny spojrzały po sobie. W ich zachowaniu było coś niepokojącego. Patty poczuła nagły strach.

– Nie chcemy reklamy – rzekła ciemnowłosa.

– Ale i tak będziemy ją miały – dodała ruda. – Dzwonili już dziennikarze z pisma „Star”...

– Bardzo mi przykro – przerwała jej Patty – Jestem umówiona. Muszę iść... – Suczka wyslizgiwała jej się z rąk. Ze swoim wielkim brzuchem i krótkimi nóżkami była jak mała foka.

Ruda zbliżyła się o krok.

– Powinnaś nas wysłuchać. Marielle specjalnie wzięła dzień urlopu.

– Przykro mi – powiedziała Patty – ale nie mogę wam pomóc.

– Nie chcemy twojej pomocy – odezwała się Marielle.

– Marielle zostanie wielką gwiazdą, jak J. Lo – oznajmiła ruda.

– Chcę postąpić uczciwie. Ja i Sandy omówiliśmy to dokładnie i doszliśmy do wniosku, że powinnaś dowiedzieć się pierwsza – oznajmiła Marielle.

– O czym?! – krzyknęła Patty.

– Lepiej będzie, jak oswoisz się z myślą, że od dzisiaj musisz dzielić się mężem – poinformowała ją Sandy. – Marielle jest w ciąży z Diggerem.

– Co tam u Patty? – zapytał Selden mimochodem.

– Nie odbiera telefonów – powiedziała Janey. – Może poleciała do Europy zobaczyć się z Diggerem?

Był czwartkowy wieczór, oboje szykowali się więc do wyjścia na ceremonię wręczenia nagród za działalność humanitarną, przyznawanych przez burmistrza ludziom mody. Janey siedziała przy toalecie w sypialni.

Zajmowały się nią dwie pomocnice: śliczna Azjatka – wizażystka, oraz stylistka, która właśnie ułożyła na łóżku trzy wieczorowe suknie.

Znajdująca się w samym środku tego małego cyklonu Janey spoglądała na Seldena wzrokiem pełnym czułości. Podobała się sobie w tej nowej roli żony, która szykuje się razem z mężem na wspaniałe przyjęcie.

– Na pewno wcześniej czy później się odezwie. – Selden z zażenowaniem otwierał kolejne szuflady, szukając czarnej muszki. Czuł się nieco skrępowany, ponieważ musiał się ubierać w towarzystwie trzech kobiet ogarniętych szaleństwem przygotowań do wyjścia.

– Barbaro – odezwała się Janey – włożę te błękitną suknię Luca Luca, a do tego futro. Czerń już się opatrzyła, nie uważasz? Czarne ubrania kupują sekretarki, bo na nic innego ich nie stać. Ale żeby nosić kolory, trzeba



znać się na rzeczy...

– Święta prawda – przytaknęła wizażystka.

– Myślałem, że czerń to nie jest kolor. – Selden schylił się, żeby pocałować żonę w policzek, ale ona odwróciła głowę i musnął tylko ustami jej włosy.

– Nie teraz, kochanie – poprosiła. – Makijaż...

– Czy to znaczy, że przez cały wieczór nie mogę cię całować? – zapytał.

– Nie może pan – potwierdziła wizażystka z okrutną szczerością.

– Mąż nie do końca jeszcze rozumie, co to jest życie towarzyskie w Nowym Jorku. – Janey się zaśmiała.

Selden nagle poczuł, że musi się napić. Poszedł do salonu.

Wrzucił do szklanki trzy kostki lodu i dolał wódki na półtora palca.

Dopiero czwartek, a już miał dość przyjęć. W tym tygodniu pojawili się na ośmiu imprezach. Dziś, zdaniem Janey, był „spokojny wieczór”, bo wybierali się tylko w jedno miejsce. Do tego te nieustanne przygotowania, godziny spędzone u fryzjera i kosmetyczki, przymiarki strojów u projektantów mody, wypożyczanie kreacji, zamawianie limuzyn, tłumy posłańców... I po co to wszystko? Wydawało się, że chodzi tylko o to, żeby zobaczyć swoje zdjęcie w niedzielnym wydaniu „New York Post” lub w dziale towarzyskim „Vogue'a”. Selden nie widział w tym sensu, ale nie chciał psuć Janey zabawy. Kiedy wychodzili razem, jaśniała blaskiem, którego brakło jej wtedy w Toskanii... Z sąsiedniego pokoju dobiegł go perlisty śmiech żony.

– Pani mąż jest cudowny – mówiła stylistka.

– Prawda? – zgodziła się Janey. – Dobrego sobie ustrzeliłam.

Selden westchnął. Kiedy tylko wrócili z podróży poślubnej, Janey rzuciła się na podbój Nowego Jorku. Jej zapał przypominał uniesienie zdobywcy ośmiotysięczników, a mąż wydawał się znaczyć dla niej tyle, co Szerpa przewodnik, z tą różnicą, że wystrojony w muszkę i pas do smokingu. Selden pocieszał się myślą, że to nie może trwać długo; życie towarzyskie musi ją kiedyś zmęczyć, a wtedy zacznie myśleć o ustatkowaniu się, o dzieciach... Rozmawiali o kupnie mieszkania w okolicy, na Piątej Alei albo na Park Avenue, ale Seldenowi przyszło teraz na myśl, że może lepiej osiedlić się na przedmieściu, w Greenwich albo Katonah – on przecież nie musi mieszkać w mieście, zresztą nie wyobrażał sobie, jak można wychowywać tutaj dzieci.

Z zamyślenia wyrwało go triumfalne „no i jak?”. Janey stała w drzwiach sypialni. W prostej, odkrywającej ramiona sukni wyglądała olśniewająco; jej skóra zachowała jeszcze ślad złotej letniej opalenizny, a błękit materiału podkreślał kolor oczu, sprawiając, że lśniły niczym szafiry... Włosy miała częściowo upięte, a długie loki spływały na kark. Był to styl z lat siedemdziesiątych; Selden przypomniał sobie, że Janey opowiadała mu o powrocie tej mody. Od razu wybaczył jej wszystko.

– Wyglądasz prześlicznie – szepnął jej do ucha, czując nagły przypływ zadowolenia z faktu, że wychodzą. Znów wiedział, kim jest i jakie miejsce zajmuje w tym świecie: jest człowiekiem sukcesu i mężem pięknej żony. Każdy facet tego pragnie. Także dla niego był to zawsze szczyt marzeń.

Kiedy zjeżdżali windą, Selden wziął Janey za rękę i przytulił do siebie.

Specjalnie uważał, żeby nie rozmazać makijażu, ale i tak poczuł jej nagłe napięcie.

– Wyglądasz cudownie – powtórzył.

– Och, kochanie – westchnęła. – Dziękuję.

W windzie było lustro. Przejrzała się w nim krytycznym okiem, ale z widocznym zadowoleniem. Sięgnęła do szyi.

– Przydałoby mi się trochę biżuterii.

– Niepotrzebna ci biżuteria – szepnął, mając na myśli, że żadne klejnoty nie dorównują jej pięknocią.

– Oczywiście, że potrzebna. – Celowo zignorowała podtekst. – Mogłam pożyczyć coś u Harry'ego Winstona, ale oni często wysyłają ochroniarzy do pilnowania swoich fantów. Pewnie by ci się to nie spodobało?

– Masz rację. – Zaśmiał się. – I tak muszę się tobą dzielić z całym miastem...

Wydało mu się, że zauważył u niej grymas zniecierpliwienia, ale w tej chwili otworzyły się drzwi windy. Janey gładko weszła w rolę radosnej, kochającej żony. Wzięła Seldena za rękę i razem poszli do czekającej na nich limuzyny. Kiedy już siedzieli w środku, powiedziała:

– Przydałaby mi się asystentka. Barbara nie mogła uwierzyć, że obywam się bez niej. Podobno każdy korzysta z takiej pomocy. Mimi też ma asystentkę...

– Kto to jest Barbara? – zapytał.

– Jak to? Selden! To ta stylistka. Ubiera gwiazdy filmowe, kiedy

pojawią się w mieście... Każdy ją zamawia.

– Ile to będzie kosztować?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami, jakby pieniądze nie grały roli. – Ze dwieście dolarów dziennie...

Dwieście dolarów! Szybko pomnożył – to daje cztery tysiące miesięcznie. Prawie tyle, ile zarabia jego sekretarka. Naturalnie Selden nie chciał, żeby Janey czegoś brakowało. Nie pieniądze stanowiły tutaj problem, ale jego wychowanie wyniesione z klasy średniej; w głębi duszy uważał, że skoro Janey zarabia, powinna sama opłacić asystentkę, bo jest to sprawa zawodowa.

Zdażył już zauważyć, że żona niechętnie wydaje własne pieniądze.

Mimo to spróbował jej to zasugerować.

– Nie będę ci mówić, co masz robić z własnymi pieniędzmi...

– A nie chcesz, żeby ta asystentka pracowała też dla ciebie? – Janey była autentycznie zdziwiona. – Może dbać o wszystko, na przykład o pranie twoich koszul... Przydadzą ci się czyste koszule, prawda?

Choć potrafił sam zadbać o pranie bielizny, poczuł się ujęty troską żony. Poglądził ją po wewnętrznej stronie dłoni.

– Nie wiedziałem, że o to ci chodzi. Zastanowimy się nad tym.

Ale już w następnej chwili Janey zapomniała o całej sprawie. Wyrwała dłoń z jego dłoni i zaczęła szybko poprawiać usta szminką. Byli na miejscu.

Minęła godzina. Selden Rose siedział przy stole, wbijając wzrok w talerz, na którym podano mu jakąś rybę. Był znudzony do granic

wytrzymałości i zaczynał się już denerwować. Po prawej stronie miał redaktora naczelną magazynu „Vogue”, Jannę Glancy. Zamienili ze sobą kilka słów, ale natychmiast okazało się, że brak im wspólnych tematów; Janna (tego wieczoru wystąpiła w ciemnych okularach) pokazała więc mu plecy, wdając się w ożywioną dyskusję ze swoim drugim sąsiadem, słynnym projektantem obuwia. Tymczasem Selden odkrył, że młoda dziewczyna po jego lewej stronie nie umie mówić – w każdym razie nie po angielsku. Złowił uchem kilka hiszpańskich zdań, a ponieważ w szkole uczył się trochę tego języka, zdołał zrozumieć, że przyjechała ona z jakiejś brazylijskiej plantacji i ma wziąć udział w nowej kampanii Victoria's Secret. Dwa miejsca dalej siedziała Mauve Binchely, którą znał, wiedział, że mówi po angielsku, ale ponieważ stół był okrągły, można było rozmawiać praktycznie tylko z najbliższymi sąsiadami.

Siedział, popijając wodę z lodem i udając, że rozgląda się dookoła.

Bankiet odbywał się w olbrzymiej sali na Czterdziestej Drugiej Ulicy, naprzeciwko stacji Grand Central. Selden domyślał się, że kiedyś był tutaj bank. W sali ustawiono uroczyście przybrane okrągłe stoły na dziesięć osób. Wzór na obrusach imitował futro lamparta, a na środku blatu stał wazon z bukietem białych i czarnych kwiatów. Mężczyźni byli w smokingach, a kobiety w sukniach wieczorowych, z których jedna była wspanialsza od drugiej, jakby każda z pań, wybierając kreację na dzisiejszy wieczór, myślała tylko o tym, żeby przyćmić konkurencję. Jednak pomimo całej tej lśniącej otoczki na sali wiało nudą. Goście sprawiali wrażenie, że mieli nadzieję na coś nowego, a tymczasem ten

bankiet okazał się kolejnym z serii nudnych, zawsze takich samych przyjęć.

Wyjątek stanowiła żona Seldena. Obserwował ją, nie mogąc się nadziwić, że w miarę jak wieczór upływa, Janey wydaje się coraz bardziej ożywiona. Jej twarz jaśniała, a z ust nie znikał ciepły i życzliwy uśmiech. Obok jej krzesła nieprzerwanym strumieniem defilowali elegancyjnie ludzie, składając gratulacje z okazji ślubu – w takich momentach Janey machała do Seldena. Dziobiąc apatycznie widelcem rybę na talerzu, doszedł do wniosku, że dopiero teraz zaczyna rozumieć, co to znaczy, że Janey „prowadzi życie towarzyskie”. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, było dzisiejsze przyjęcie, które im zgotowano na czerwonym dywanie.

W Hollywood Selden gościł na niejednej oficjalnej uroczystości, ale jako że nie był atrakcją dla fotografów, nigdy nie zwracał na nich zbyt wiele uwagi. Dziś, kiedy tylko wysiedli z limuzyny, przejęła ich dziewczyna w czarnym kostiumie – stała się elementem takich imprez – która przedstawiła się jako ich „asysta” na dzisiejszy wieczór. Krzyknęła do interkomu: „Janey Wilcox przyjechała!”, a sekundę później oślepiła ich setka fleszy. Każdy fotograf wykrzykiwał nazwisko Janey, prosząc, żeby spojrzała w lewo, w prawo, żeby się zbliżyła, cofnęła... W końcu Selden pomyślał: Zaraz. Czy ja o to tak zabiegałem? Gdybym tego właśnie chciał, poślubiłbym aktorkę. Ale Janey trzymała go za rękę i obsypywała pocałunkami – przed obiektywami makijażu jakoś nie stanowił problemu. Potem paparazzi zażyczyli sobie zdjęć Janey solo, a Selden przez chwilę stał z boku, czując się zupełnie zbędny; na szczęście dziewczyna w czerni wyratowała go z

opresji i odprowadziła na stronę.

Ale to nie był jeszcze koniec. Janey pozowała do zdjęć i odpowiadała na pytania przez dwadzieścia minut. Kiedy już mu się wydawało, że wreszcie będą mogli pójść na drinka i przez chwilę porozmawiać, zagoniono ich do sektora dla VIP-ów, gdzie czekała kolejna, liczniejsza grupa fotografów, a Selden znów poczuł się nie na miejscu.

Wreszcie zaprowadzono ich do stolika. Był to nie lada wyczyn, bo w sali kłębił się tłum, a Janey wydawała się „znać” w nim każdą osobę.

Przypominało to pierwszy dzień szkoły po wakacjach.

– Witaj, Janey! Jak ci minęło lato? – słychać było zewsząd.

– Cudownie, kochana. Wyszłam za męża – odpowiadała.

– Janey, najdroższa! Wspaniała suknia!

– Dziękuję ci serdecznie. To Luca Luca, mój nowy włoski faworyt.

– Może usiadzimy? – zaproponował wreszcie Selden, usiłując

oderwać Janey od roześmianego człowieczka o wyglądzie homoseksualisty.

– Jeszcze nie trzeba – odparła. – Wszyscy stoją do ostatniej chwili.

Oliver opowiadał mi o swojej wycieczce na Capri. Szkoda, że nie pojechaliśmy tam w podróż poślubną...

I tak dalej.

Ich stolik podobno należał do najlepszych na sali, choć Selden nie mógł

domyślić się powodów, które wyróżniały go spośród innych. Być może

chodziło o to, że siedział przy nim Comstock Dibble, jeden z gości

honorowych. Selden widział, że Janey jest zdziwiona, ale też zadowolona,

że wyznaczono jej miejsce obok Comstocka; on sam był tym wyłącznie rozdrażniony.

– Zamieńmy karteczki z nazwiskami – zaproponował.

– Ależ Selden! Tak nie można. Wiesz dobrze, że pary nigdy nie siedzą razem. Poza tym ktoś to na pewno zauważy i trafimy na szóstą stronę

„New York Post”. – Obdarzyła go łaskawym uśmiechem i pozwoliła się delikatnie pocałować w usta.

Comstock i Mauve usiedli do stolika na chwilę przed pierwszym daniem. Comstock był rozpromieniony i rubaszny; zachowywał się jak człowiek, który wszedł z mrozu do ciepłego domu i wie, że czeka na niego dobra whiskey i kubańskie cygaro. Był w swoim żywiole.

– Nudne te imprezy, co, Rose? – zagadnął przyjacielskim tonem, jakby znał Seldena od lat.

– W rzeczy samej.

– Zaczekaj, aż stara jednego wieczora zaciągnie cię na trzy z rzędu.

– Moja stara ma lepsze rozrywki.

Dibble nic nie odpowiedział, tylko uniósł brwi – miało to znaczyć, że Rose musi się jeszcze wiele nauczyć – a potem spostrzegł znajomego za jego plecami i zrezygnował z dalszej konwersacji.

Cokolwiek Comstock Dibble myśli, mówi czy robi, myślał Selden, przesuając rybę widelcem po talerzu, nie miałoby dla mnie żadnego znaczenia, gdyby nie fakt, że usadzono go obok mojej żony.

Comstock flirtował z Janey; Selden spostrzegł to, kiedy tylko usiedli do stołu. Gdyby nie wiedział, że to nieprawda, mógłby przysiąc, że kiedyś coś



ich łączyło. W ich gestach była pewna zażyłość: Comstock wciąż skłaniał lekko głowę ku Janey, mówiąc do niej kącikiem ust, a ona słuchała jego komentarzy z lekkim uśmiechem, jakby już je kiedyś słyszała. Niemniej wszyscy słyszeli historie o kochankach Dibble'a, dziwili się tylko, jak facet z jego wyglądem może podobać się kobiecie...

Comstock pochylił głowę w stronę Janey.

– Twój mąż nie spuszcza nas z oka. Chyba jest zazdrosny.

– Zazdrosny? Nie żartuj. Po prostu zakochany do szaleństwa.

– A ty go kochasz?

– Oczywiście. – Janey dokończyła trzeci kieliszek szampana. Wypiła dużo, ale jeszcze nie szumiało jej w głowie. – Ale z ciebie drań, Comstock.

– Wiem. Tobie też nic nie brakuje. Może znów stworzylibyśmy drański duet?

– A co na to Mauve? – Janey się zaśmiała.

– O niczym nie będzie wiedzieć.

– Jestem mężatką, pamiętasz? Już się w to nie bawię.

– Teraz może nie, ale niedługo zaczniesz, zobaczysz – powiedział Dibble.

Janey nie potrafiła się zmusić, żeby pogniewać się na niego. W głębi duszy czuła ulgę. Przez całe lato Comstock był opryskliwy, ale dziś najwyraźniej zapomniał o wszystkim, bo ani razu nie wspomniał o dwóch listach, które do niej wysłał. Być może zawdzięczała to temu, że był teraz na fali, a wszyscy trąbili o wyróżnieniu, które otrzymał od burmistrza –

przyszedł dziś tak napuszony, że w smokingu wyglądał jak pingwin. Ale przecież ona, Janey, też jest na fali; nudę miesiąca miodowego z nawiązką zrekompensował triumfalny powrót do Nowego Jorku w roli żony faceta z pozycją w świecie rozrywki. Uśmiechnęła się do Dibble'a znacząco.

– Postarajmy zachowywać się jak przyjaciele.

W odpowiedzi uraczył ją uśmiechem lwa zagryzającego ofiarę – widać było niemalże ślinę ściekającą mu po zębach.

– Sądzę, że warto się o to postarać.

– O czym tak długo rozmawiałaś z Dibble'em? – zapytał Selden w drodze powrotnej.

– A o czym z nim można rozmawiać? – Janey wzruszyła ramionami. –

O filmach. Poradziłam mu, żeby nakręcił ekranizację „The Custom of the Country” Edith Wharton. Nikt tego jeszcze nie zrobił, a jemu na pewno się uda.

– I on to kupił?

– A czemu nie? To dobry pomysł. – Oparła głowę na zagłówek. –

Świetnie się bawiłam, a ty?

– Oczywiście – powiedział Selden. Spojrzał przez okno na oświetlone witryny Madison Avenue. – Nie wiedziałem, że tak dobrze się znacie.

– Nie znamy się dobrze – zaprzeczyła – ale spotkaliśmy się kilka razy.

– Skąd nagroda za działalność humanitarną dla kogoś takiego?

– Przecież kręci w mieście tyle filmów. – Janey wzięła męża za rękę.

– I to jest takie humanitarne?

– Boże, Selden – zdenerwowała się. – Każdy wie, że te nagrody są na

niby i nikomu to nie przeszkadza. – Odwróciła się do niego z błyskiem w oku, zadając ostateczny cios. – Zastanów się, przecież tak samo jest z Nagrodami Emmy. Wszyscy wiedzą, że tam chodzi o politykę.

Chciał zaprzeczyć, ale rozmyślił się. Miała trochę racji, musiał to przyznać. Resztę drogi przejechali w milczeniu. Recepcjonista w hotelu czekał na nich.

– Panie Rose, pańska poczta. – Wręczył Seldenowi plik listów.

Wszystkie były do Janey; przesłano je na nowy adres.

– Do ciebie. – Selden podał listy żonie.

– Dziękuję, Neil – Janey zwróciła się do recepcjonisty. – Czekałam na nie.

W windzie ostentacyjnie zaczęła przeglądać dostarczone listy. Na Seldena tylko zerkała, a jej zimny uśmiech świadczył dobitnie, że jego zły nastrój jej nie obchodzi. Nauczył się już, że to jedna z jej sztuczek, ale nie był jeszcze na nią odporny. Wciąż czuł się w takich sytuacjach jak niegrzeczny chłopczyk, który rozgniewał mamusię. Wiedział, że długo nie zniesie takiego traktowania. Kiedy weszli do siebie, oznajmił, że idzie do łóżka, ale doczekał się tylko kolejnego tajemniczego, zimnego uśmiechu.

– Otworzę listy – powiedziała Janey, siadając do biurka stojącego przed kominkiem. – Przyjdę za kilka minut.

Selden zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło, potem ściągnął spodnie i muszkę. Umył zęby, a kiedy wyszedł z łazienki i zobaczył puste łóżko, poszedł do salonu.

Janey rozpałała ogień na kominku. Otwierała koperty srebrnym

nożykiem. Ciepły blask płomieni nadał jej skórze połysk polerowanej miedzi; jej niemalże białe włosy spływały połyskliwą falą na plecy. Selden pomyślał, że to głupota kłócić się z nią z tak błahaego powodu. Podszedł i odgarnąwszy włosy, pocałował Janey w kark.

– Cześć, kochanie – powiedziała.

– Myślisz pewnie, że zgłupiałem – zagadnął.

– Po prostu nie wiem, co cię tak złości. Robię wszystko, co mogę, żeby cię godnie reprezentować...

– Wiem, kochana. – Stał przed nią i wziął ją za rękę. – Nie mogłem znieść, jak ten Dibble na ciebie patrzył. Przychodziły mi do głowy głupie myśli: że z nim spałaś albo że chciałybyś tego. Bo gdyby do tego doszło albo jeśli już do tego doszło, to nie mógłbym na ciebie patrzeć, a nasze małżeństwo... – Umilkł na chwilę. – Wiem, że jestem głupi. Musisz mi wybaczyć.

Zaśmiała się, lecz wydało mu się, że nie całkiem szczerze. Zaraz jednak uśmiechnęła się miło, mrużąc oczy.

– Comstock Dibble – zaszcebiotała. – O niego naprawdę nie musisz się martwić. Brzydzę się nim i szczerze mówiąc, czuję się urażona. Jak mogłeś pomyśleć, że z nim spałam? – Mówiła pewnie, starając się nadać głosowi rozbawiony ton, ale w rzeczywistości była zła. Skoro Selden tak poważnie ją podejrzewa, nie można dopuścić, żeby poznał prawdę.

Podniósł ją z krzesła i objął, gładząc po włosach.

– Nic na to nie poradzę. Jestem zazdrosnym mężem. Pójdziemy już do łóżka?

Przez chwilę odwzajemniała pocałunek, ale potem się cofnęła.

– Jeszcze chwilę – poprosiła. – Naprawdę muszę przejrzeć te listy.

Przyszło mnóstwo zaproszeń, może zechcemy dokądś się wybrać. –

Spostrzegłszy jego minę, dodała wesoło: – Widzisz? Gdybyśmy mieli sekretarkę, nie musiałabym tego robić.

– Punkt dla ciebie – przyznał takim samym tonem. – Obejrzę wiadomości, żeby zobaczyć, co się dzieje na świecie, a ty zapełnij nasz kalendarz towarzyski. – Poszedł do sypialni.

– Zawołaj mnie, jak podadzą, że znów gdzieś coś wybuchło! – zawołała za nim radośnie. Wyjęła spinki, które przez cały wieczór trzymały jej fryzurę, i westchnęła. Włosy rozsypały się na ramionach.

Zagrzmiało, a o dach i chodniki uderzyły krople deszczu. Janey podeszła do okna. Postanowiła, że kiedyś powie Seldenowi o Comstocku, szczególnie jeśli Comstock nie przestanie przysyłać jej listów. Dziś zmarnowała szansę; teraz już nie może tego wyznać. W każdym razie, pomyślała, kontakty z Dibble'em muszą zejść na dalszy plan, przynajmniej na jakiś czas. Nie była na tyle głupia, żeby oszukiwać męża, ale z drugiej strony, żeby wytrzymać z mężczyzną, trzeba mu czasem nakłamać. Poza tym, czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal...

Wyjrząwszy przez okno na ciemną ulicę, Janey zauważyła dziewczynę stojącą na lśniącym od deszczu chodniku, rozpaczliwie rozglądającą się za taksówką. Przyjrzała się jej uważniej. Dostrzegła, że ma na sobie czarną wieczorową suknię i pantofle na szpilkach, jest bardzo młoda, a do tego ładna. W tej okolicy zresztą spotykało się same ładne dziewczyny – ta

prawdopodobnie wyszła właśnie z wytwornego przyjęcia, na którym beczelne bogate typy wymieniają się ślicznotkami jak mali chłopcy naklejkami. Janey poczuła, że cofa się w czasie. Jeszcze kilka lat temu sama była taką dziewczyną; chodziła na bankiety i modliła się o zbawiciela, a w razie gdyby się nie objawił – o dość forsy w kieszeni, żeby starczyło na taksówkę. Dziewczyna na ulicy uniosła twarz w niemym zapytaniu: „Boże, dlaczego ja?”. Deszcz spływał jej po policzkach, włosach, sukni, a w końcu zalał pantofelki. Janey odczuła jej zmartwienie. Wiedziała, co to znaczy zniszczyć buty kupione za ostatnie dwieście dolców tylko dlatego, że akurat na wyprzedaży trafiła się markowa para... Dziewczyna rozejrzała się jeszcze raz i widząc, że na taksówkę nie ma co liczyć, westchnęła z rezygnacją. Janey nagle zapragnęła otworzyć okno i zawołać do niej: „Chodź tutaj! Osuszysz się i rozgrzejesz!”, ale opamiętała się. Głupi pomysł, szczególnie wzięwszy pod uwagę, że w pokoju obok czeka niecierpliwie Selden... Gdyby zaprosiła teraz tę dziewczynę na górę, na pewno pomyślałby, że żonkę naszła ochota na trójkącik, a sama dziewczyna... Janey nie zdziwiłaby się, gdyby zgodziła się na wszystko, byle móc schronić się przed deszczem. Prawdopodobnie zdążyła się już nauczyć, że seks to niezbyt wygórowana cena za wygodne łóżko z czystą pościelą i możliwość skorzystania z łazienki bez karaluchów...

Nieznajoma oddalała się szybkim krokiem, z głową wtuloną w ramiona dla ochrony przed deszczem. Janey przycisnęła czoło do szyby, odprowadzając ją wzrokiem; pomyślała, że na pewno tamta uważa wieczór

za stracony. Czasem zdecydowanie lepiej być brzydką. Ładnym dziewczynkom zawsze się powtarza, że dzięki urodzie są wyjątkowe, że czeka je cudowne życie – ale często zamiast cudów są tylko przemoczone pantofelki, kupione za ostatnie pieniądze. Janey z niechęcią oderwała się od okna; w głębi serca wiedziała, że jedyna różnica między nią a tamtą dziewczyną polega na tym, że jej się udało, bo wyszła za mąż za bogatego producenta filmowego...

Cóż, pomyślała Janey, ja też nic nie dostałam za darmo. Wróciła do biurka i wyjęła jeden list ze środka pliku. Jej uwagę przykuł adres zwrotny i wytłoczone nad nim logo Parador Pictures. Wszystkie inne myśli uleciały jej z głowy. Czując nagły lęk, odwróciła kopertę; była zaadresowana do hotelu Lowell. Brak znaczka wskazywał na to, że przyszła pocztą kurierską.

Drżącą ręką Janey rozcięła kopertę i wyjęła list.

Jego treść była taka sama jak poprzednich, ale tym razem nie pisał go Comstock, ale jego prawnicy. Było to oficjalne wezwanie do zwrotu trzydziestu tysięcy dolarów zapłaconych za nedoręczony scenariusz.

Janey wpadła w furję. Jak on śmie? Dała mu tyle razy, że coś jej chyba jest winien? Więc to dlatego był dziś taki miły... Chciał ją zmiękczyć, żeby nie odważyła mu się przeciwstawić.

– Pusto tam bez ciebie. – Nie słyszała, jak Selden wszedł do pokoju.

Drgnęła, wystraszona. Odwróciła się, usiłując przybrać neutralny wyraz twarzy. – Coś się stało? – zapytał. – Wyglądasz, jakby ktoś cię ugryzł.

– Wszystko w porządku. – Zbyła go krótkim uśmiechem. Już chciała

mu powiedzieć o liście, ale wtedy musiałyby przyznać się do romansu z Dibble'em... Nie, nie teraz. Postanowiła się wyłgać. – Dostałam list od organizacji dobroczynnej. Mogę zostać przewodniczącą ich komitetu, jeśli wpłacę dziesięć tysięcy dolarów. Dasz wiarę? – Rozkręcała się. – Nie dość, że człowiek używa im własnego nazwiska, to jeszcze chcą od niego pieniędzy... A czy ja mam tyle, żeby szastać tysiącami dolarów?

– I to wszystko? – spytał z pobłażliwym uśmiechem.

– Głupie, nie? – Zmięła list i wrzuciła go w ogień.

## **Rozdział 8**

To wszystko? – zapytała kasjerka. Była bardzo otyła. Malutkie oczka z trudem wyzierały z zalanych tłuszczem oczodołów, a ich podejrzliwe spojrzenie przeszywało na wylot. Ramiona przypomniały olbrzymie obwisłe półcie mięsa.

– Tak – odpowiedziała Janey, przesuwając czasopismo po ladzie.

Rozejrzała się ukradkiem. Sklep był brudny i pełen smutnych ludzi.

Klientów obsługiwały tylko dwie kasjerki, do tego ślamazarne, a w kolejce stało co najmniej dwadzieścia osób. Co dziwne, nikt nie narzekał, nikt nawet się nie niecierpliwił; czekali apatycznie, jakby już dawno pogodzili się z faktem, że sporą część życia przyjdzie im odstać w kolejce, żeby zapłacić za batonik i dużą butelkę wody mineralnej.

– Dolar trzydzieści dziewięć centów – rzuciła kasjerka w powietrze.

– Słucham? – zdziwiła się Janey.

– Dolar trzydzieści dziewięć. – Spojrzała na nią jak na idiotkę.

Janey zaczęła nerwowo przetrząsać torebkę w poszukiwaniu drobnych.



Co to za cena: dolar trzydzieści dziewięć? Śmieszna, niewygodna suma;  
równie dobrze mogliby to rozdawać za darmo.

Nagle kasjerka zaczęła się jej przyglądać, a wyraz jej twarzy świadczył,  
że ją rozpoznała.

– Skąd ja panią znam? – zapytała.

Janey zamarła. Nie wiedziała, jak zareagować. Czy lepiej wyniośle  
odpowiedzieć: „Nie wiem”, zabrać pismo i wyjść, czy może przedstawić  
się i wyjaśnić, że można ją zobaczyć w telewizji, w reklamówce Victoria's  
Secret?

– Już wiem – rozpromieniła się kasjerka. – Pani reklamuje...  
bieliznę.

Janey sięgnęła po czasopismo.

– Tak – potwierdziła, zmuszając się do uśmiechu.

– Hej, Washington! – kasjerka zawołała koleżankę. – Zobacz, to ta  
modelka od bielizny.

– Co ty? – Druga sprzedawczyni przyjrzała się Janey od stóp do głów. –  
A dlaczego grubych nie biorą na modelki? Mnie też nic nie brakuje.

– Chuda biała dupa – mruknął ktoś w kolejce.

Janey poczerwieniała, ale puściła tę obelgę mimo uszu. Wybiegła ze  
sklepu na Drugą Aleję i dopiero tam się zatrzymała, zdyszana i  
roztrzęsiona.

Co tu się dzieje, myślała gorączkowo, rozglądając się za swoim  
samochodem. Co to za ludzie? Czy przeszkadza im już nawet, że ktoś jest  
szczupły? Przecież ona wcale nie jest aż taka chuda! W najbliższym czasie

trzeba będzie iść na odsysanie tłuszczu... Dostrzegła w końcu swój wóz.

Dobiegła do niego i z uczuciem ulgi rzuciła się na tylne siedzenie pokryte czarną skórzaną tapicerką.

Kierowca, Hindus imieniem Rashneesh, spojrział na nią w lusterku.

– Dokąd, proszę pani?

– Do Four Seasons. – Brakło jej tchu. – Ale nie do hotelu, tylko do restauracji. Na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy.

Serce wciąż jej waliło na wspomnienie wrogości obcych ludzi, którzy nazwali ją „chudą białą dupą”. Zaczęła wachlować się czasopismem, które kupiła. Czym sobie zasłużyła na taki wybuch ślepej agresji? Czemu się dziwić, taki jest teraz cały świat, pomyślała, pełen wściekłych, pazernych ludzi niezadowolonych ze swojego losu. Każdy uważa, że nie dostał w życiu tego, na co zasłużył. Tylko dlaczego wszyscy zazdroszczą modelkom?

I jeszcze to do kompletu! Podniosła pismo do oczu. Na szczycie okładki biegły białe litery, układające się w tytuł: STAR. Poniżej widniało zdjęcie żałośnie skrzywionej Gwyneth Paltrow. Podpis brzmiał: „Ukryte zmartwienia: co z Oscarem dla Gwyneth?”. Na samej górze było jeszcze małe zdjęcie Diggera, zlanego potem i z gitarą w rękach, opisane czterema słowami: „Nieślubne dziecko gwiazdy rocka”.

Musiała to przeczytać, choć wcale nie miała ochoty. Dwie godziny temu, kiedy kończyła zdjęcia do katalogu Victoria's Secret, zadzwoniła Patty. Cichym głosem powiedziała jedno zdanie:

– Napisali o tym w „Star” – i rozłączyła się.

– Czy ktoś ma nowy numer „Star”? – zawołała Janey.

– A co? – zapytał fotograf.

– Piszą tam o mojej siostrze..

– Super! – zachwyciła się wizażystka, Kostarykanka z pochodzenia. –

Żeby tak o mnie zechcieli napisać...

– To jedno z tych pism, które wywlekają ludzkie brudy – wtrącił asystent fotografa.

– Nie mam nic przeciwko temu. Mogą wywlekać moje brudy. Znajdą tam wiele ciekawych rzeczy...

– Co na przykład? Prezerwatywy?

– Zużyte prezerwatywy to nic ciekawego. – Janey zamknęła dyskusję.

Cóż, każdy kiedyś zaczyna, pomyślała, kartkując pismo. Patty trafiła na łamy „Star”.

Artykuł znajdował się na początku numeru i zajmował całą stronę. Na środku widniało duże zdjęcie Diggera, a obok dwa mniejsze; na jednym była brunetka w czarnym stroju podobnym do uprzęży sado-maso, na drugim Patty podnosząca z trotuaru ciemno pręgowanego szczeniaka.

Patty miała potargane włosy i była ubrana w granatowy dres Nike z rozpinanymi nogawkami. Wyglądała, jakby przed chwilą wstała z łóżka, co, zdaniem Janey, było całkiem możliwe. Ale skąd ten pies? No tak: teraz sobie przypomniała, że gdzieś pośród tego całego zamieszania Patty kupiła psa. Zaczęła czytać:

*Zmysłowa wokalistka Marielle Dubrosey spędziła jedną noc z*

*Diggerem, a teraz spodziewa się jego dziecka!*

*Wschodząca gwiazda piosenki (22 lata) poznała szalonego rockera po koncercie w Minneapolis i szybko trafiła do jego łóżka.*

*„Od razu było widać, że coś między nimi iskrzy – wyznała nam przyjaciółka Marielle. – Nie chciał wypuścić jej z rąk. Wciąż ją całował i dotykał jej piersi”.*

Cały Digger, pomyślała Janey. Od Patty też nie można go było oderwać.

*Następnie Digger porwał Marielle do swojego pokoju, gdzie spędzili upojną noc. Pokazali się dopiero następnego dnia o godzinie czwartej po południu.*

*A teraz, jak się okazało, boska Marielle jest w ciąży! Problem w tym, że Digger ma już żonę – Patty Wilcox (lat 28), była producentką VHI!*

*Patty, piękność o posągowych kształtach...*

– Bez przesady – prychnęła Janey.

*... upatrzyła sobie Diggera dwa lata temu, podczas zdjęć do programu dla VHI. „To prawdziwa miłość”, jak dowiedzieliśmy się z pewnego źródła. Mówi się też, że „Patty nie da łatwo za wygraną”.*

*Tymczasem Marielle, która zamierza urodzić dziecko (termin rozwiązania – maj), wydaje się tym nie przejmować. „Nie chcę krzywdzić jego żony, ale muszę powiedzieć, że Digger to cudowny człowiek i wspaniały kochanek. Jest czuły i ma wielki talent. Nigdy nie zapomnę tej jednej spędzonej z nim nocy!”.*

Janey cisnęła pismo na siedzenie. Co za kupa bzdetów. Jak Digger mógł dać się tak zrobić? Przecież to było oczywiste, że dziewczyna

wszystko ukartowała. Wpadł w sidła, a teraz za to zapłaci. Niestety, główny ciężar spadnie na Patty, która nigdy się nie pozbiera. Digger zrujnował jej życie.

Janey bezwiednie sięgnęła z powrotem po czasopismo. Machinalnie, mimowolnie zaczęła kartkować strony, aż znalazła artykuł o Diggerze.

Przyjrzała się dokładnie fotografii Patty. Nagle z przerażeniem zauważyła, że... trochę jej zazdrości!

Straszne! Janey, choć czuła oburzenie na siebie samą, faktycznie była zazdrosna. Ona też chciała trafić na łamy „Star”. Nie w taki sposób jak Patty, ale może na przykład do działu mody... To by na pewno pomogło jej w karierze. Co prawda reputacja Janey nie mogła się równać ze sławą aktorek, o których pisali w tym magazynie, ale za to na pewno nie ustępowała im inteligencją, a urodą znacznie je przewyższała.

Opadła na siedzenie, przygnębiona niesprawiedliwością tego świata.

Każdego dnia trzeba było toczyć walkę o utrzymanie swojej pozycji.

Podczas dwudniowej sesji na okładkę katalogu Victoria's Secret Janey starała się być wyjątkowo cierpliwa, miła dla wszystkich i nie narzekać, kiedy gasły światła, fryzjer nie mógł ułożyć niesforenego pasemka na czubku jej głowy, a stylistka po raz setny poprawiała wkładki w jej staniku, obmacując ją przy tym bez skrępowania. Zawód modelki stał się okropnie nudny, a nikt nie chciał tego zrozumieć, tak samo jak tej prostej prawdy, że modelce płacą za to, że przyjdzie, posiedzi i nie zwariuje, na koniec. I po co to wszystko? Żeby zrobić jedno zdjęcie, na którego widok ludzie będą syczeć: „Chuda biała dupa, chuda biała dupa”...

Samochód powoli minął wejście do Four Seasons, zastawione przez limuzyny identyczne z wozem Janey.

– Stój! – krzyknęła, wyrzawszy przez okno.

– Nie mogę stanąć na środku ulicy, proszę pani. – Kierowca odwrócił się do niej. – Burmistrz wprowadził nowy przepis. Za zatrzymanie na ulicy wlepią mi mandat za czterysta pięćdziesiąt dolarów!

– Nic mnie to nie obchodzi – ucięła Janey. Wszyscy kierowcy i taksówkarze, zamiast robić to, o co się ich prosi, narzekali teraz na nowe kary drogowe wprowadzone przez burmistrza. A kto jest temu winny: burmistrz czy ona? – Nie będę szła na piechotę. – Otworzyła drzwi i wyskoczyła, poleciwszy uprzednio kierowcy zatrzymać samochód. . – Jak będę wychodzić, masz czekać przed wejściem! – rozkazała, zatrzasnąwszy drzwi.

Za obrotowymi drzwiami prowadzącymi do restauracji czekała kobieta o służalczym wyglądzie, która, choć widziała, że Janey nie ma płaszcza, koniecznie chciała go zabrać. Janey cieszyła się, że Mimi nie widziała, jak niegrzecznie potraktowała kierowcę. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, ale musiała przyznać, wspomniawszy wydarzenia tego dnia, że ostatecznie poprawiło jej to nastrój.

Patty siedziała sama, pod ścianą, na środku długiej ławy obitej brązową skórą. Na głowie miała żółtą bandanę w stylu gangsta; Janey dziwiła się, że wpuścili ją tutaj w takim stroju. Już od drzwi zauważyła, że siostra schudła. Od jej pierwszego spotkania z Marielle minął już przeszło tydzień, ale Patty przez pięć dni nie mówiła o tym nikomu, nawet

Diggerowi. Zamknęła się w mieszkaniu, nie wpuszczała nikogo i nie odbierała telefonu.

Digger był wtedy w Europie na tournée. Przez dwa dni musiał wydzwaniać do gospodarza domu, żeby ten zechciał otworzyć drzwi i zająć się Patty. Znalaziono ją w łóżku. We włosach miała pełno misiów z żelatyny; w całym domu nie było nic innego do jedzenia.

– Patty, kochana – zapytała ją Janey – nie jadłaś nic oprócz tych misiów?

Patty odpowiedziała tylko, że to ulubione słodczyce Diggera...

Mimi zgodziła się odwiedzić Patty razem z Janey. Wybrały się do niej trzy dni temu, po tym, jak do Janey zadzwoniła jej matka, do której z kolei wcześniej dzwonił Digger (Janey domyślała się, że bał się odezwać bezpośrednio do niej, bo wiedział, co usłyszy). Powiedział starszej pani, że Patty „ma jakieś zmartwienie”, i poprosił, żeby „ktoś ją odwiedził”. Tego dnia miał związane ręce, bo był w Amsterdamie, ale odwołał kilka koncertów i już nazajutrz zjawił się w Nowym Jorku.

– Był nawalony? – zapytała Janey.

– Co to znaczy: „nawalony”? Nie znam takiego słowa – zdenerwowała się mama, która była z pochodzenia Francuzką i lubiła udawać wielką damę.

– Pytam, czy był odurzony marihuaną, mamó. Mógł to wszystko zmyślić – wyjaśniła Janey, wzdychając.

Wszystko jednak wskazywało na to, że Digger nie był na haju.

Janey i Mimi odwiedziły więc Patty. Udało im się wydobyć od niej

prawdę o niewiernym mężu. Mimi dała Patty pigułkę na sen i zostawiła jej garść xanaxów, które miała wziąć po przebudzeniu.

– Mogła tu leżeć martwa – rzekła Janey ponuro.

– Wiem – odpowiedziała Mimi.

Ale to było trzy dni temu. Janey pochyliła się na stołem i ucałowała siostrę.

– Cześć, skarbie – rzuciła wesoło. – Jak się masz?

– Dobrze – odparła Patty apatycznie.

– Brałaś tabletki? – zapytała Janey. – Pamiętaj, najwyżej trzy dziennie...

– Pamiętam. Dlaczego masz tyle tapety na twarzy?

– Miałam dziś sesję – wyjaśniła Janey takim tonem, jakby odpowiadała małemu dziecku. – Dla Victoria's Secret.

– I jak było? – chciała wiedzieć Patty.

– Jak zwykle. – Janey westchnęła. – Nuda. – Patty uśmiechnęła się

słabo. Janey mówiła dalej: – Nie przeszkadza ci, że Mimi zje z nami?

– Nie. Nic mi nie przeszkadza.

– To dobrze. – Janey rozwinęła serwetkę i położyła ją na kolanach. –

Wiesz, Mimi zna się na skandalach. Ma spore doświadczenie. Dwa razy pisali o niej w „Star”...

– Tak? – zainteresowała się Patty. – Z powodu?

– Nic takiego, randki z aktorami... Raz nawet trafiła na okładkę, kiedy umówiła się z księciem Karolem. «

– Kłamiesz jak z nut. – Mimi usiadła obok nich na ławie, z drugiej



strony Patty. Nachyliła się do Janey i zapytała, ignorując Patty jak starego,

głuchego dziadka:

– Jak się dziś czuje?

– Chyba lepiej – odparła Janey.

– Jakieś nowe wieści o Diggerze?

– Jeszcze nie.

– Świetnie. Niczego nie przegapiłam.

Do stolika podszedł kelner.

– Poproszę kieliszek szampana i kawior – powiedziała Janey.

– Kawior? – zdziwiła się Patty.

– Też go spróbuj. Od razu poczujesz się lepiej – poradziła jej Janey.

– Proszę podać kawior tej pani – odezwała się Mimi. – Albo nie: dla trzech osób. Zaraz, jestem porządnie głodna. Niech będzie pięć porcji...

– Pięć porcji kawioru, służę. – Kelner się skłonił.

– A do tego... butelka veuve clicquot? – Mimi spojrzała na Janey.

– W ciągu dnia? Może być. – Janey wzruszyła ramionami. Nigdy nie przepadała za szampanem tak jak Mimi, ale przez ostatnie trzy miesiące stała się koneserką.

– Kto za to zapłaci? – zapytała Patty.

– Digger, kochanie. – Mimi poklepała ją po dłoni. – To pierwsza lekcja dla ciebie: facet zdradza, facet płaci. I to słono.

Kelner przyniósł butelkę i wiaderko z lodem.

– Trzy kieliszki? – Spojrzał na Patty z powątpiewaniem.

– Wystarczą dwa – zdecydowała Janey. – Szampan może jej

zaszkodzić...

– Powiedz mi teraz, Patty – chciała wiedzieć Mimi – co powiedział

Digger?

– Że tego nie zrobił. – Patty powiodła wzrokiem od Janey do Mimi.

– To było do przewidzenia. – Janey spojrzała na Mimi. – Ale jak się

tłumaczył?

– Powiedział, że włóczyła się za nim. W jego pokoju podobno była

impreza, ale on tam nie nocował. Wziął klucz Winky'ego – to ich

perkusista – i poszedł do jego pokoju, a Winky spał z tą... z tą...

– Zdzirą? – Mimi kiwnęła głową. – I na pewno ten cały Winky

potwierdził, że tak właśnie było. Jak można tak się kimś wyręczać? Co za

drań!

– Digger powiedział, że jej chodzi tylko o rozgłos. – Patty patrzyła na

Janey. – Że chce zrobić karierę.

– Posłuchaj, kochana – powiedziała Janey. – Wiesz, co musisz zrobić?

– Nie – szepnęła Patty. – Nie wiem. Cały mój świat legł w gruzach.

– Takie rzeczy czasami się zdarzają – pocieszyła ją Mimi.

– Musisz go zostawić – oświadczyła Janey.

– Nie mogę tego zrobić – zaprotestowała Patty.

– Kiedy facet raz zacznie zdradzać, to nie przestanie tak łatwo –

ostrzegła ją Mimi.

– Skąd wiesz, ile dziewczyn miał na boku oprócz tej jednej? – zapytała

Janey.

– Powiedział, że nigdy... – Patty jęknęła bezradnie.

– Myśl rozsądnie, Patty. On się nie przyzna. Na pewno wciąż cię kocha i rozumie, że popełnił wielki błąd. Ale dziewczyna jest w ciąży! Urodzi dziecko! Dziecko, które powinno być twoje – zakończyła Janey triumfalnie i opadła na ławę.

– Nie tak brutalnie, Janey. – Mimi pociągnęła łyk szampana.

– Trzeba uświadomić jej prawdę – rzekła twardo Janey. – Nie można inaczej.

– A jeśli to nie jego dziecko? – spytała Patty. W normalnych okolicznościach opowiadanie o jej problemach z płodnością wywołałoby u niej histerię. Ale odkąd zaczęła brać te cudowne tabletki od Mimi, przestała się tym przejmować...

– Nawet gdyby tak było, Digger musi odejść – powiedziała z naciskiem Janey. – Skąd wiesz, że coś takiego się nie powtórzy? – Ja mogę znosić podłych mężczyzn, pomyślała, ale nie pozwolę krzywdzić siostry.

Mniej więcej po godzinie Patty odprowadziła Janey i Mimi do ich samochodów. Obie były już dość mocno wstawione. Patty zdała sobie sprawę, że choć to ona miała kłopoty, Janey znów wystąpiła dziś w roli gwiazdy. Powinna być zła na siostrę, ale nie potrafiła się gniewać. To te tabletki... Jak one na nie mówiły? Fikołki. Jeden mały fikołek i wszystko gra...

– Posłuchaj, Patty – Janey była poważna – Mimi mnie zabierze, a ty pojedziesz moim samochodem.

– Zamówię sobie taksówkę – zaprotestowała Patty.

– Wykluczone – skarciła ją Mimi. – Nie jeździ się komunikacją

publiczną, kiedy można skorzystać z prywatnego wozu.

– Nie martw się, to darmowa limuzyna od Victoria's Secret – uspokoiła siostrę Janey. Podeszła do samochodu i zagadnęła kierowcę: – Czy może pan odwieźć moją siostrę do domu?

Spojrzał na nią ze złością. Przypomniała sobie swoje wcześniejsze zachowanie i pomyślała, że powinna dać mu napiwek. Pięć czy dziesięć dolarów, zastanawiała się, otwierając portfel.

Ostatecznie zdecydowała, że wystarczy pięć.

Oczy kierowcy mówiły wiele. Przyjął banknot i nieznacznie skłonił głowę.

– Dziękuję – powiedziała.

– To ja dziękuję – odparł ironicznie. '

Limuzyna ruszyła.

– Biedna dziewczyna – westchnęła Mimi.

– Nigdy nie przypuszczałam, że spotka ją coś takiego – rzekła Janey. –

To wyglądało na prawdziwą miłość. – Potrząsnęła głową. – Okazuje się, że żadnemu facetowi nie można ufać...

– To okropne, prawda? – zauważyła Mimi. – Muhammadzie – zwróciła się do kierowcy – jak uważasz: czy prawdziwa miłość może oprzeć się pokusom tego świata?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że nie, proszę pani – odparł kierowca.

Mimi pogładziła dłoń Janey.

– W każdym razie miło, że się spotkałyśmy. Zawsze dobrze się razem

bawimy.

– To prawda – przyznała Janey.

– Nie uważasz, że byliśmy dla niej zbyt ostre? – zaczęła Mimi, lecz

nagle przerwała, zakrywając dłonią usta: – Zapomniałam ci powiedzieć!

Wiem od Mauve, że Comstock kupuje apartament na Park Avenue 795. Za dziesięć milionów!

– Żartujesz? – Janey okazała należyte zdziwienie.

– Moja kochana. – Mimi chytrze przeszła do kolejnej sprawy. – Masz jeszcze swoje stare mieszkanie?

– To na Sześćdziesiątej Siódmej?

– Czy Zizi mógłby tam zamieszkać?

Na dźwięk tego imienia Janey skrzywiła się lekko, jakby nagle zabolął ją ząb. Mimi tak rzadko wspominała o Zizim, że miała już nadzieję, że płomienny romans zdążył się wypalić. Ale widocznie tak się nie stało, skoro Mimi sama szuka dla niego mieszkania. Janey wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Zizi wybrał Mimi, a nie ją. Wspomnienie o tym działało jej na nerwy. Nie miała najmniejszej ochoty udostępnić im swojego mieszkania, żeby mieli gdzie się spotykać. Z drugiej strony odmowa oznaczała koniec przyjaźni z Mimi.

– Nie ma sprawy – odparła – ale chciałam wynająć to mieszkanie.

– Zizi ma pieniądze – zapewniła ją Mimi.

– W porządku. – Janey nie miała wyjścia.

– Wybieracie się dokądś wieczorem? – Mimi dopięła swego i nie chciała dłużej rozmawiać o Zizim; w dalszym ciągu podejrzewała, że

Janey miała wtedy na niego oko.

– Znajomi Seldena ze Splatc Verner wydają kolację. – Janey przewróciła oczami. – W Greenwich. Taki kawał drogi! Aż do Connecticut!

– Straszne... – szepnęła Mimi.

– Poznam tam żony innych dyrektorów.

– Zrobisz niesamowite wrażenie i wszystkie będą zazdrosne.

Samochód zatrzymał się na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Madison.

Janey wysiadła.

– Pa, kochana.

– Pa – powiedziała Mimi. – Zadzwoń jutro i opowiedz, jak było.

– Oczywiście – obiecała Janey.

Limuzyna ruszyła. Janey rozejrzała się dookoła z uczuciem ulgi.

Nareszcie jakaś przyzwoita okolica.

W drodze do hotelu Lowell minęła eleganckie francuskie bistro. Przed

lokalem była rozpięta zielona markiza, pod którą siedziało kilku

przystojnych Europejczyków. Wyróżniali się strojem typowym dla

bogatych gości zza oceanu: wszyscy mieli na sobie džinsy, włoskie

półbuty i drogie sportowe kurtki. Christian, właściciel lokalu, stał na ulicy

i palił papierosa. Był to człowiek średniego wzrostu, o twarzy gwiazdora

filmowego. Na widok Janey uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona.

– Nareszcie znów panią widzę! – wykrzyknął. – Wyszła pani za mąż i

ślad po pani zaginął. – Chwycił ją za rękę, robiąc błazeńskie miny. –

Proszę pokazać obrączkę! Ach, przepiękna! – Spojrzał na Janey z

szacunkiem.

– Mam wspaniałego męża – oznajmiła.

– To on ma szczęście, nie pani. – Christian machnął ręką. – Nie wolno o tym zapominać!

Janey uśmiechnęła się do niego i poszła dalej. Jak na koniec września dzień był bardzo ciepły, dwadzieścia jeden stopni. Pograżyła się w myślach. W życiu układało jej się świetnie; na pewno lepiej niż Patty, którą zdradził mąż, i Mimi, która musiała uprawiać seks pozamałżeński, bo George był po prostu odstręczający. Mąż Janey był natomiast szalenie w niej zakochany, a seks z nim przynajmniej nie sprawiał przykrości.

Nareszcie mam twarde gruntu pod stopami, pomyślała, wchodząc do holu hotelu Lowell.

W jednej chwili cała jej złudna pewność siebie legła w gruzach.

– Pani Rose – szepnął portier – czeka tu na panią jakiś człowiek. – Jego mina świadczyła dobitnie, że tacy ludzie nie są tu mile widziani.

Janey dostrzegła, że na jednym z krzeseł stojących w małej wnęce na korytarzu siedzi mężczyzna o skrzywionej, krostowatej twarzy. Wstał, kiedy się zbliżyła.

– Janey Wilcox? – zapytał. Był wystrojony – Janey miała wrażenie, że to specjalnie na tę okazję – w beżowy garnitur sportowy z syntetycznej tkaniny, z obszyciem w poprzek piersi i wokół kłap.

– Słucham? – Udała, że się spieszy, żeby ukryć nagły strach, który ją ogarnął.

– Mam dla pani list. Musi pani pokwitować odbiór.

– List? Od kogo? – zapytała podejrzliwie.

– Od wytwórni Parador Pictures.

Zmrużyła oczy, próbując wymyślić jakiś sposób, żeby nie przyjąć listu.

– A jeśli nie pokwituję? – zapytała wyzywająco.

– Zrobi pani, jak uważa – odparł posłaniec. – Ale jeśli nie będzie

pokwitowania, wrócę tu jutro. Pojutrze też.

Janey obejrzała się. Portier i boy hotelowy śledzili ich kątem oka. Jeśli zrobi teraz awanturę temu facetowi, zaczną się plotki, które wcześniej czy później dotrą do Seldena. Wzięła od nieznajomego długopis, złożyła podpis i szybko schowała list do torebki.

– Czy wszystko w porządku, pani Rose? – zapytał portier.

– Tak. – Uśmiechnęła się.

Nic nie jest w porządku, myślała, jadąc windą na swoje piętro.

Otworzyła drzwi i wpadła do pokoju. Wyjęła list, rzuciła torebkę na krzesło i rozerwała kopertę. Treść była znajoma: kolejne wezwanie do zwrotu trzydziestu tysięcy Paradorowi. Co za czelność! Comstock kupuje mieszkanie za dziesięć milionów, a od niej wyciąga jakieś grosze...

Ściśle rzecz biorąc, Janey miała pieniądze na koncie, ale nic ponadto.

Założyła konto piętnaście lat temu, kiedy wróciła pierwszy raz z Europy, gdzie pracowała jako „modelka”, i od tego czasu odkładała na nie każdego dolara, jakiego udało jej się zaoszczędzić. Wiedziała, że przyszłość jest niepewna, a te pieniądze pewnego dnia mogą być jej ostatnią deską ratunku. To nieuczciwe, żeby taki bogacz jak Comstock Dibble chciał jej odebrać choćby centa. Przecież zarobiła te trzydzieści kawałków! Zaczęła



pisać scenariusz, a oprócz tego dogadzała Comstockowi, jak tylko chciał...

Myśl! – rozkazała sobie Janey, miotając się po salonie. Trzeba rozwiązać problem raz na zawsze. Nawet jeśli Comstock dostanie swoje pieniądze, nie ma gwarancji, że się odczepi – na pewno zdoła znaleźć inną wymówkę, żeby tylko nie dać Janey spokoju. Chciałabym być mężczyzną, pomyślała. Faceci pokroju Dibble'a mieli swój niepisany kodeks: nie zadzierali z nikim, kogo było stać na równie drogich adwokatów.

Janey siedziała za biurkiem, bębniąc palcami po obitej skórą poręczu fotela. Życie czasem stawia kobietę w sytuacji, z którą nie może sobie ona poradzić na własną rękę. Samotna walka z Comstockiem byłaby głupotą.

W przeszłości Janey nieraz posługiwała się mężczyznami, aby rozwiązywać swoje problemy; miała rozległe doświadczenie w sztuce manipulacji. Wiedziała, że także teraz wystarczy tylko znaleźć odpowiedniego faceta do tej roboty.

Zadzwonił telefon, ale nie odebrała go. Zdecydowała ostatecznie, że musi znaleźć mężczyznę równie bogatego i wpływowego jak Comstock – albo nawet bardziej. Selden nie wchodził w grę. Harold Vane? W zasadzie Janey była także jego dłużniczką; pożyczyła od niego zbyt duże sumy, żeby teraz zechciał jej pomóc. Potrzebny jej ktoś nieświadomy szczegółów jej burzliwej przeszłości, ktoś, kto uwierzy, że została skrzywdzona i wykorzystana. Z tym nie powinno być kłopotu: przecież naprawdę została wykorzystana!

Problem stanowił fakt, że zapłatą za taką pomoc zazwyczaj był seks, a

Janey była teraz mężatką. Zamknęła oczy i przyłożyła zaciśnięte pięści do

czoła. W gruncie rzeczy nie robiło to wielkiej różnicy. Jeśli Selden dowie się czegokolwiek, choćby tylko o tych pieniądzach, zacznie ją wypytywać i w końcu odkryje, że Janey była kochanką Dibble'a, i to przez cały sezon! Zaczęła żałować, że nie powiedziała mężowi całej prawdy, ale przecież to nie była jej wina; to on wytworzył wtedy taką ciężką atmosferę... Teraz już za późno. Trzeba znaleźć kogoś, kto nienawidzi Comstocka równie mocno jak ona. Janey odsunęła pięści od czoła i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu inspiracji.

Wpadł jej w oko plik zaproszeń leżących na gzymsie kominka.

Ogarnęła ją wściekłość. Wstała z fotela i przeszła przez pokój. Za nic w świecie, przysięgła sobie, nie powróci do dawnego życia. Nie będzie więcej uganiać się po bankietach, rozpaczliwie poszukując „znajomości”, nie będzie przyklejać się do ludzi, których nie może znieść; nigdy więcej nie zrobi dobrze facetowi, który przy następnym spotkaniu uda, że jej nie zna. Do tego dochodził jeszcze ciągły niedostatek pieniędzy i ten podskórny strach, co się stanie za kilka lat, kiedy przygaśnie uroda, jej jedyny atut...

Krzyknęła rozziewając i zmiotła wszystkie zaproszenia na podłogę.

Do jej stóp upadł duży, składany bilet wizytowy z wytłaczanymi literami; było to zaproszenie na galę zimową w New York City Ballet. Mimi była przewodniczącą komitetu organizacyjnego i poprosiła Janey, żeby zechciała towarzyszyć jej i George'owi...

George! To była złota myśl. Janey spojrzała na rozrzucone na podłodze zaproszenia i zawstydzona się jak małe dziecko, które w przyływie gniewu

zniszczyło ulubioną zabawkę. Zebrała starannie wszystkie koperty i odłożyła je na miejsce. Następnie podniosła słuchawkę i zadzwoniła do George'a.

Pół godziny później pod boczne wejście do budynku na rogu Park Avenue i Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy podjechał czarny mercedes SUV Samochód tej klasy ma przyciemniane, kuloodporne szyby, telewizor i łącze internetowe. Tradycyjna limuzyna odeszła już w ką; większość poważnych przedsiębiorców przesiadła się ostatnimi czasy właśnie do SUV Strategia reklamowa tego modelu opierała się na tym, że w nagłej potrzebie staje się on biurem na kółkach; handlowiec może w nim prowadzić interesy, odcięty od supermarketowej tłuszczy, która szaleje z głodu, bo przestały działać czytniki kodów kreskowych. Tak brzmiała jedna z przepowiedni milenijnych. Nie sprawdziła się, jak większość apokaliptycznych wizji. Pierwsze minuty stycznia 2000 roku nie zniszczyły świata ani też nie zakłóciły przepływu towarów i usług. A megaluksusowy SUV wciąż był szczytem mody.

Ten konkretny egzemplarz należał do George'a Paxtona. Kierowca nazywał się Pike, był Sikhem i chodził w turbanie. Tak jak drugi kierowca Paxtonów, Muhammad, Pike znał sztuki walki; George często żartował, że ów turban służy do ukrycia miecza, w co większość ludzi wierzyła, choć było to fizyczną niemożliwością. Pike nosił tradycyjny strój hinduski: wyszywaną jedwabną tunikę, spodnie i odpowiadającą im kolorem szarfę w pasie. Opuścił swoje miejsce za kierownicą i otworzył tylne drzwi. Jediną wadę SUV stanowiło to, że nie sposób było wysiąść z gracją;

George Paxton przez dłuższą chwilę nie mógł się zdecydować, od której nogi zacząć. W końcu jednak stanął na chodniku.

W swoim idealnie skrojonym garniturze wyglądał jak czarny lśniący chrząszcz. Tak jak się spodziewał, Janey Wilcox czekała już przy wejściu. Stała sztywno, z torebką kurczowo przyciśniętą do piersi. Wyglądała, jakby ukryła przy sobie bombę z plutonem. Na widok George'a natychmiast opuściła rękę i odrzuciła włosy, aby wyglądać bardziej swobodnie.

Jaka ona piękna, pomyślał George.

Wyciągnął rękę do złudzenia przypominającą odnóżę chrząszcza. Jej przegub obciążał wielki zegarek bulgari z osiemnastokaratowego złota.

– Witam – powiedział – i zapraszam do środka. Oprowadzę cię.

Ciężkie drewniane drzwi nie miały klamki. George nacisnął mały złoty przycisk na framudze i po chwili w progu stanął wysoki, chudy jak szczapa mężczyzna ubrany w szary frak.

– Dobry wieczór, panie Paxton. – Skłonił głowę.

– Dobry wieczór, Buswell – zakwilił George radośnie. – Przedstawiam panu Janey Wilcox, przyjaciółkę mojej żony. Nikt nie wie, że chcę pokazać jej apartament, więc proszę o dyskrecję.

– Oczywiście, proszę pana.

Janey podążyła za George'em wąskim korytarzem o ścianach pomalowanych na błękitno, przyozdobionych białym gzymsem o falistej krawędzi. Do tej pory szła chętnie, ale kiedy doszli do windy, opadły ją wątpliwości.

– George... – zaczęła, ale nie dał jej dokończyć.

– Jeszcze będzie na to czas. – Odsunął kratę i gestem zaprosił Janey do środka. Winda była niewielka, miała najwyżej półtora metra kwadratowego. Wcisnęli się do przeciwległych kątów.

– Najgorsze w takich budynkach są zawsze windy – poinformował Janey George. – W tamtych czasach winda była nowinką, do której mało kto miał zaufanie. Uważano je za luksus, nie za konieczność.

Kabina ruszyła w górę z lekkim zgrzytem. Janey uśmiechała się, lecz George złowił błysk paniki w jej oczach. Pewnie sobie wyobraża, pomyślał, że chce się z nią przespać; zanim nasze spotkanie dobiegnie końca, sytuacja zapewne się odwróci.

– George, dokąd jedziemy? – zapytała. Zdobyła się na żartobliwy ton, toteż pytanie nie zabrzmiało nieuprzejmie. George spojrzał łagodnie, chcąc ją w ten sposób uspokoić i zapewnić, że nic jej z jego strony nie grozi (w tej chwili). Pochylił się i odpowiedział:

– To niespodzianka. Wiem, że lubisz piękne rzeczy, dlatego pokażę ci coś, co ci się spodoba.

– Ale co to jest? – wykrztusiła, lecz w tym momencie winda stanęła i drzwi się otworzyły. Przed nimi był ogromny przedpokój o marmurowej mozaikowej posadzce i ścianach krytych lśniącym orzechem; drewno tego gatunku jest stare i tak drogie, że boazeria orzechowa to prawdziwa rzadkość.

– Apartament – odpowiedział George.

– Apartament? – Nie mogła uwierzyć. Wodziła wzrokiem dookoła,

czując podziw, a jednocześnie irytację. Apartament był kompletnie pusty. Poprzedni właściciele, którzy wyprowadzili się przed rokiem, zabrali nawet meble. Mimo to robił wielkie wrażenie. Na okrągłym suficie, dwa metry nad ich głowami, widniało malowidło przedstawiające chmury i cherubinki. Janey odchyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć, a George miał okazję podziwiać młodzieńczą gładkość jej szyi i przepiękny zarys mostka.

– To nie jest zwykły apartament – wyjaśnił, prowadząc Janey do największego z trzech salonów. – To największy i najwspanialszy apartament w Nowym Jorku. I najdroższy. Przeszło tysiąc osiemset metrów kwadratowych, trzydzieści pokoi, dwanaście sypialni – za okrągłe trzydzieści milionów dolarów.

– George! – Janey kompletnie osłupiała.

Obrzucił ją taksującym spojrzeniem. Wydawało się, że w obliczu takiego bogactwa na chwilę zapomniała o problemie, który zmusił ją do zadzwonienia do niego z prośbą o natychmiastowe spotkanie.

– Przecież masz już apartament – powiedziała oskarżycielskim tonem, jakby posiadanie więcej niż jednego mieszkania było zabronione.

– Racja – przyznał. – Ale trzeba trafu, żeby taki lokal trafił na sprzedaż akurat wtedy, kiedy ma się na niego trochę grosza. Ja miałem. Wiesz, kto tutaj mieszkał?

– Nie – potrząsnęła głową.

– Maury Finchberg. Pamiętasz go? W połowie lat osiemdziesiątych był najbogatszym człowiekiem w Nowym Jorku.

- Wszyscy mówią, że był paskudny! – zawołała Janey.
- Faktycznie, miał facjatę żółwia. – George przysiadł na jednym z grzejników. Świetnie się bawił, patrząc na jej oszołomienie wywołane wspaniałością otoczenia. Z drugiej strony, kiedy ma się tyle pieniędzy, łatwo o dobry humor.
- Co zrobisz z tym apartamentem? – zapytała.
- Zrobię z niego prezent gwiazdkowy dla Mimi – odparł z zadowoleniem, widząc na jej twarzy zaskoczenie i, jak się słusznie spodziewał, zazdrość. Która kobieta nie byłaby zazdrosna? – Janey – zapytał, zakładając swoim sposobem nogę na nogę – czy zastanawiałaś się kiedyś, po co mężczyzna robi fortunę?
- Nietrudno zgadnąć – odpowiedziała drwiącym tonem dziecka, które uważa, że zadano mu głupie pytanie. – Chodzi o seks.
- Tak myślą wszystkie kobiety. – George się uśmiechnął. – Nie doceniacie bogatych facetów. Prawda zaś jest taka, że przynajmniej niektórzy z nas mają na celu czynienie dobra.
- George – zaczęła się z nim przekomarzać – a ile dobrego ty zrobiłeś w życiu?
- Aha! – podchwycił. – Jak większość ludzi gardzisz bogaczami, a przecież jesteś żoną jednego z nich.
- Selden ma o wiele mniej niż ty – odparła.
- Nie uważasz, że po przekroczeniu pewnej granicy to już bez znaczenia?
- Najwidoczniej jednak ma – zauważyła. – Seldena nie stać na taki

apartament.

– Przecież za to można na przykład postawić szkołę – powiedział.

– Niestety, wielkie darowizny mszczą się na darczyńcach. Ludzie nie mogą już myśleć, że jesteś zły, bo masz pieniądze, a twoi wspólnicy zaczynają uważać, że jesteś chory na głowę. Maury Finchberg tuż przedtem, zanim stracił wszystko, finansował, i to solidnie, przebudowę metra... Ani się obejrzał, kiedy dobrał się do niego urząd podatkowy, a jego firmę przejęła konkurencja.

– Rozumiem. – Janey zmarszczyła brwi z namysłem. Podeszła powoli do okna, pozwalając George'owi podziwiać swój profil i wdzięki figury. Odwróciła się, a w jej oczach mignęły uwodzicielskie błyski.

– Jesteś zupełnie inny, niż myślałam, George – rzekła miękko.

Nie zaskoczyła go. George dobrze wiedział, że w towarzystwie nie wypada najlepiej, ponieważ jest człowiekiem, który odkrywa swoje prawdziwe oblicze tylko przed najbliższymi. Ale dzięki tym ostatnim słowom zrozumiał, że Janey, wbrew własnej woli, zaczyna ulegać jego urokowi. Jeszcze chwila i zacznie go uwodzić.

Janey była zbyt pięknym okazem, żeby chciał jej się opierać. Był zdecydowany wykorzystać okazję, kiedy się nadarzy, ale z szacunku dla Seldena nie zamierzał robić pierwszego kroku. Sądził jednak, że nie będzie musiał. Nie zdobyłby swoich miliardów bez znajomości ludzkiej natury, wiedział też aż nazbyt dobrze, jak zachowują się kobiety w konfrontacji z mężczyzną, za którym stoją wielkie pieniądze; czasami nawet myślał, że ich reakcje są czysto biologiczne. Facetowi z forszą mogą oprzeć się tylko



trzy rodzaje kobiet. Pierwszy to młode idealistki, które nie mają pojęcia, ile zmagañ czeka je w życiu. Drugi to kobiety twórcze, z prawdziwym talentem, ponieważ one mają coś lepszego niż pieniądze. Do ostatniej, najmniej licznej grupy należą kobiety bogate i dzięki temu samowystarczalne. Największe desperatki to karierowiczki, które albo udają, że pracują i rzucają pracę, kiedy tylko ustrzelą bogatego faceta, albo pracują naprawdę, dzięki czemu rozumieją, że harówka ma złe strony, i zrobią wszystko, żeby się od niej uwolnić. Oba te typy są najbardziej niewyżyte seksualnie – już na pierwszej randce można liczyć co najmniej na obciążenie. Chcą przez to udowodnić facetowi, że nie chodzi im o pieniądze, tylko o niego, i że nie próbują go kokietować, udając święte.

George patrzył na Janey, myśląc jednocześnie, że u swojej żony ceni jedną rzecz: nigdy nie usłyszał od niej, że się jej podoba. Już na samym początku Mimi oznajmiła mu, że uważa go za totalnego chama, którego będzie znosić tak długo, jak długo przetrwa jego fortuna.

Jednak Janey Wilcox, pomyślał George, to jeszcze inny rodzaj kobiety. Rose widział w niej niewinną istotę – George niezłą kombinatorkę. Nie miał Seldenowi za złe, że się z nią ożenił; Selden dopiero piął się w górę i jak większość facetów z głową doceniał wartość dobrej żony. Od Janey oczekiwał tylko, że nie będzie go ranić – dość wycierpiał od swojej byłej. George uśmiechnął się zatem w odpowiedzi na tę ostatnią uwagę.

– Ty też jesteś inna, niż sobie wyobrażałem.

Sprawiło jej to widoczną przyjemność. George oparł się o okienną szybę, rozkoszując się tym widokiem. Nie okłamał jej całkowicie; choć

była prawie dokładnie taka, jak przewidział, to jednak zaskoczyła go tym, że miała w sobie coś z dziecka. Ta strona jej charakteru, skrywana pod zimną powierzchownością i dopracowanymi pozorami wyrafinowania, mogła przybierać skrajnie różne formy: od czulej miłości po bezwzględną zachłanność. Wszystko zależało od tego, czy Janey była w danym momencie zadowolona z tego, co ma. George domyślał się, że pod wpływem nacisków jej podświadomość zacznie szukać spełnienia za wszelką cenę – nawet za cenę własnej zguby.

– Pokaż mi ten list, który narobił tyle zamieszania – wyciągnął rękę.

Przez jej twarz przemknął cień. Gniewu? Frustracji? Wyjęła list z torebki i wręczyła mu z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Jestem naprawdę w żenującym położeniu... – zaczęła, ale uciszył ją gestem ręki i zaczął czytać, nie zważając, że Janey stoi nad nim. „Droga pani Wilcox”, brzmiały pierwsze słowa listu.

*Od dnia 15 czerwca 2000 roku usiłujemy się z Panią skontaktować w kwestii dotyczącej zamówionego przez wytwórnię Parador Pictures niezatytułowanego scenariusza. Jest to obecnie już czwarta nasza próba dotarcia do Pani.*

*Wedle naszej wiedzy zawarła Pani ustną umowę z panem Comstockiem Dibble'em dotyczącą sporządzenia oryginalnego, niezatytułowanego scenariusza. Zapis w naszym repertorium wskazuje, że tytułem wynagrodzenia za przedmiotowy scenariusz (zwany dalej Niezatytułowanym Scenariuszem) otrzymała Pani w dniu 23 maja 1999 roku czek opiewający na sumę 30 000 (trzydziestu tysięcy) dolarów. W*

*myśl postanowień statutu Stowarzyszenia Autorów Amerykańskich umowę ustną, jeśli wynagrodzenie z jej tytułu zostało zapłacone, uważa się za spełniającą warunki standardowego wzorca umowy opracowanego przez Stowarzyszenie Autorów dla Niezatytułowanego Scenariusza (chyba że umowa ustna te warunki przekracza); tym samym powinny być stosowane normy Stowarzyszenia Autorów dotyczące terminu wykonania zobowiązania i warunków płatności.*

*Według szczegółowych regulacji opracowanych przez Stowarzyszenie Autorów Amerykańskich dostarczenie Niezatytułowanego Scenariusza powinno nastąpić w ciągu 90 (dziewięćdziesięciu) dni, licząc od wcześniejszej z dat: daty zawarcia umowy bądź daty wypłacenia wynagrodzenia. Jeżeli Niezatytułowany Scenariusz nie zostanie doręczony w ciągu 90 (dziewięćdziesięciu) dni, umowę uważa się za rozwiązaną, a Autora – za rozwiązującego umowę. W takim wypadku Autor jest zobowiązany zwrócić Wytwórni (Parador Pictures) otrzymane wynagrodzenie w terminie 30 (trzydziestu) dni od daty rozwiązania umowy.*

*Według zapisów naszego repertorium nie przedstawiła Pani Wytwórni przedmiotowego Niezatytułowanego Scenariusza ani też nie dołożyła żadnych starań, aby zobowiązanie wykonać. Zważywszy na fakt, iż od daty otrzymania przez Panią wynagrodzenia za Niezatytułowany Scenariusz upłynęło już osiemnaście miesięcy, jesteśmy zmuszeni zwrócić się do Pani z prośbą o dokonanie zwrotu wypłaconego Pani wynagrodzenia w formie czeku wystawionego na Parador Pictures na kwotę 30 000 dolarów.*

*Jeżeli ma Pani jakieś wątpliwości albo jeżeli faktycznie dostarczyła*

*Pani Niezatytułowany Scenariusz lub też jeżeli niniejsza sprawa jest*

*wynikiem nieporozumienia, prosimy o kontakt z nami.*

*Z poważaniem...*

George uśmiechnął się pod nosem i złożywszy list, położył go za sobą, na parapecie. Był pewien, że to jeszcze nie wszystko. Starał się odgadnąć, jak dalece Janey chce być z nim szczerą.

– A Selden? – zapytał. – Co on na to?

– Selden? – W jej głosie zabrzmiała nuta irytacji, której nie zdołała ukryć, ale opanowała się natychmiast. Widać było, że zbiera się w sobie, aby ruszyć do akcji. Opuściła głowę i spojrzała na niego wzrokiem dziecka, które wie, że zrobiło źle: – Nie mogłam się zdobyć na to, żeby mu o tym powiedzieć...

– Czyli ja wiem, a twój mąż nie...

Usiadła obok na grzejniku, spychając go na sam brzeg.

– Gdyby Selden się dowiedział... – zaczęła, lecz szybko przerwała i uciekła spojrzeniem.

– Przecież Selden wie o wszystkich takich umowach – zauważył

George rozsądnie. – Sam pewnie wysyłał takie listy.

– W tym cały problem. – Pięknym, wystudiowanym gestem ukryła twarz w dłoniach. – Gdyby Selden się dowiedział... – powtórzyła, garbiąc się jak gdyby pod ciężarem rozpacz. Na taki widok ręce same się rwały, żeby ją objąć i pocieszyć.

W tępych spojrzeniu brązowych oczu George'a błysnęło zaciekawienie.

– Rozumiem – mruknął. – Tu nie chodzi tylko o biznes.

– Otóż to. – W głosie Janey zabrzmiała ulga. – Odjęła ręce od twarzy i spojrzała mu szczerze w oczy. – Kłopot w tym, że... mogę ci zaufać?

Obiecuj, że nikomu o tym nie powiesz... nawet Seldenowi.

– Słowo – zapewnił ją.

– Byłam bardzo głupia – powiedziała, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem. – Nie miałam grosza, nie wiedziałam, w co się pakuję...

Comstock Dibble mnie wykorzystał!

To go na moment zbiło z tropu. Nie wiedział, że Janey romansowała z Dibble'em. Jednak był w tym sens; mówili o niej, że zaliczyła wszystkich.

Nie dał poznać po sobie zaskoczenia.

– Słucham dalej.

– Poznałam go na przyjęciu – podjęła. – To było już jakiś czas temu.

Nie wiodło mi się wtedy najlepiej. Comstock zaczął się do mnie przystawiać...

– Jak to ma we zwyczaju – wtrącił domyślnie George, szczerze jej współczując.

– Był bardzo uparty. – Janey skinęła głową. – Podobał mi się wtedy, a do tego z nikim się nie spotykałam... Myślałam, że on też jest sam.

– Nie brałaś pod uwagę jego reputacji? – George uniósł brwi.

– Ja oceniam ludzi na podstawie tego, co widzę, George. Nigdy nie zwracam uwagi na ich „reputację” – odparła Janey lekko urażonym tonem.

– Kiedy powiedział, że mnie kocha, uwierzyłam mu.

– Tak ci powiedział...

– To jeszcze nie wszystko – zawołała. – Chciał się ze mną... ożenić.

W to George nie zamierzał uwierzyć, ale mimo to zapytał:

– I co ty na to?

– Nie mogłam się, rzecz jasna, zgodzić. Dopiero go poznałam. Nie miałam też pojęcia...

– Że jest już zaręczony.

– Tak. – Janey odwróciła wzrok, jakby bolało ją to wspomnienie.

George był bliski śmiechu, ale powstrzymał się. Nigdy nie obchodził się z ludźmi okrutnie, jeśli nie musiał. Zapytał najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć:

– Mam rozumieć, że z nim spałaś?

– George! – zawołała, świetnie udając oburzenie.

Przybrał poważny wyraz twarzy.

– Jeśli mam ci pomóc, muszę znać całą prawdę.

– No pewnie, że z nim spałam. – Jej wzrok był tak uwodzicielski, jakby za chwilę miała mu rozpiąć spodnie i zabrać się do dzieła. – Dlaczego miałabym tego nie robić? Myślałam, że nie spotyka się z nikim innym, że ma poważne plany. W pewnym momencie chyba jednak poczuł się zagrożony. Nie ma nic gorszego niż wystraszony facet...

– Szczególnie taki jak Dibble – przytaknął George.

– Zaproponował, że mi pomoże – kontynuowała. – Ten scenariusz to był jego pomysł. Dał mi trzydzieści tysięcy, żebym wynajęła dom na lato.

– Nagle zasłoniła usta dłonią i zgięła się wpół, jakby zrobiło się jej niedobrze. – Dopiero teraz dotarło do mnie, jak okropnie to brzmi. Pewnie

myślisz, że...

George oparł się o ścianę, kiwając ze zrozumieniem głową.

– Trzydzieści kawałków to sporo pieniędzy.

– Ale to nie była moja wina! – zaprotestowała Janey. – Nie miałam pojęcia... Naprawdę wierzyłam, że chce mi pomóc.

– I napisałaś ten scenariusz? – George gładko zmienił temat.

– Nie o to tutaj chodzi – wykręciła się. Była skłonna pokazać mu list, ale sprawa scenariusza stanowiła całkiem inny, nieprzyjemny rozdział tej historii. – Kłopot w tym, że zarzuciłam pisanie, kiedy dowiedziałam się, że jest zaręczony. To było na ślubie mojej siostry. Szczerze mówiąc, nie myślałam o tym więcej, dopóki nie zaczęły przychodzić te listy. – Janey ściszyła głos, tak żeby George musiał nachylić się ku niej. – Jesteś bogaty i masz władzę. Nie wiesz, jak ciężko jest samotnej kobiecie, która ciągle musi się borykać z takimi problemami i nie ma nikogo, kto by ją obronił. Pozostało mi tylko machnąć na wszystko ręką i żyć dalej.

– Rozumiem – powiedział George.

– On nie może mi darować, że wyszłam za męża. I że jestem szczęśliwa

– podjęła opowieść Janey. – Rozmawiałam z nim ostatnio na uroczystości rozdania nagród za działalność humanitarną. Odkrył wtedy karty, sugerując, że znów chce ze mną sypiać. Oczywiście wyśmiałam go, a wtedy zaczął przysyłać mi te listy!

– Więc myślisz, że to ma być szantaż?

– To jest szantaż – odparła z tak szczerym przekonaniem, że sama uwierzyła w swoje słowa. – Mogłabym walczyć z nim sama – zapewniła

go, wodząc palcem po udzie – bo wiem, że słuszność jest po mojej stronie.

Ale jeśli otwarcie stawię mu czoło, wszystko trafi do gazet. Co wtedy pomyśli Selden?

– No tak. – George pokiwał głową. – Wyjdzie na to, że jego żona to puszczańska.

Janey zatkało – aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak to wszystko może wyglądać w oczach postronnych osób. Myślała wyłącznie o własnej kłopotliwej sytuacji. Spojrzała na George'a szeroko otwartymi oczami, a po jej policzkach, jak na zawołanie, potoczyły się dwie łzy. George nie wiedział, co ma o tym sądzić. Podejrzewał, że płacz jest na pokaz, ale trochę go to wzruszyło.

– Posłuchaj mnie, Janey – rzekł. – Comstock Dibble, bez względu na swoje motywy, ma prawdopodobnie niezaprzeczalne prawo wysłać ci te listy. Jak się go pozbyć? Najlepiej byłoby zwrócić mu te pieniądze.

Możesz udawać, że to była pożyczka...

Janey pobladła i położyła dłoń na brzuchu, jakby sama myśl o tym przyprawiła ją o mdłości. Wzięła głęboki oddech i wstała.

– To dobra rada, ale dla ciebie – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Bo ja nie mam pieniędzy.

– Daj spokój. – W głosie George'a zabrzmiało pochlebstwo. – Musisz coś mieć. Jesteś sławną modelką. Trzydzieści tysięcy to dla ciebie kieszonkowe...

– Nie mam takiego kieszonkowego – przerwała mu lodowatym tonem.

– Modelki nie zarabiają tyle, ile się uważa. Dwadzieścia pięć procent



zabiera agencja, połowę tego, co zostanie, rząd... Mogę mówić o szczęściu, jeśli przez cały rok uzbieram sto pięćdziesiąt tysięcy, a przypominam ci, że w Nowym Jorku tyle kosztuje samo mieszkanie.

– Masz przecież Seldena – zauważył łagodnie.

– Żona kompletnie zależna od męża nie zasługuje na szacunek.

– Janey spojrzała na niego znacząco.

O Jezu, jęknął w myśli, nerwowo przyglądając włosy. Kobieta tak dumna nigdy nie odda tych pieniędzy. Patrząc, jak demonstracyjnie podnosi list z parapetu i chowa go do torebki, George nagle poczuł się rozdarty. Z jednej strony chciał jej pomóc, z drugiej wolałby umyć ręce od całej sprawy.

– Jeśli chodzi tylko o te trzydzieści tysięcy... – zaczął.

Janey odwróciła się na pięcie.

– Nie przyjmę pieniędzy od najlepszego przyjaciela mojego męża – oświadczyła opryskliwie. Co za ironia losu: kiedyś nie miałyby takich skrupułów. Ale teraz nie chodziło o pieniądze, ale o zasadę; Janey miała już dość bycia zabaweczką ludzi pokroju Comstocka Dibble'a. – Poza tym – dodała – nawet jeśli teraz mu zapłacę, to w przyszłości może mi wyciąć inny numer. Nie rozumiesz tego? – Z tymi słowami ruszyła w stronę drzwi.

– W tym cały problem! – zawołał za nią.

– Słucham? – Przystanęła, ale nie odwróciła się.

– Jeżeli ja mam na pieńku z Dibble'em, to jedno – wyjaśnił. – Inaczej będzie, jeśli zadzwonię do niego, żeby wstawić się za kimś... Każe mi

spadać w podskokach.

Spojrzała na niego przez ramię.

– Doskonale rozumiem – powiedziała zimno. – Proszę cię tylko o jedną małą przysługę: czy możesz uznać tę rozmowę za niebyłą?

George nagle wybuchnął śmiechem. Janey była jednak inna, niż myślał

– naprawdę babka z ikrą, kto by się spodziewał? Wstał i postąpiwszy krok w jej stronę, postawił sprawę jasno:

– Przyznaj się. Chcesz dowalić temu skurwielowi tak, żeby się nie pozbierał.

Spojrzelili sobie w oczy, rozumiejąc się bez słów.

– Zgadza się. – Skinęła głową.

– Trzeba było od razu tak mówić – skarcił ją.

– Chciałam – odcięła się – ale nie dałeś mi szansy.

– Zatem umowa stoi. – Włożył rękę do kieszeni, szukając kluczy. Był to znak, że chce już iść. – Moi prawnicy pogadają z jego prawnikami, żeby tamci wzięli swoje psy z powrotem na smycz.

Przez chwilę stali, nie mówiąc ani słowa. George myślał, że Janey zaraz rzuci mu się na szyję. Źle by się stało, bo nagle zaczęła mu się podobać bardziej, niż sam chciałby to przyznać. Ruszył do windy, a Janey podążyła za nim. Ich kroki rozlegały się echem w pustych pokojach.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest mieszkać w takim miejscu. –

Janey rozejrzała się jeszcze raz.

– Niewiele jest kobiet na świecie, które poradziłyby sobie z takim apartamentem – przyznał. – Mimi jest jedną z nich, ale ciebie też tutaj

widzę...

– Nie mam pojęcia o dekoracji wnętrz – rzekła skromnie. – Umiem tylko pokazać, jak się nosi stanik.

Jeżeli mówiąc to, chciała, żeby George zaczął myśleć o jej piersiach, odniosła pełny sukces. Weszli do windy. Chcąc zmienić temat, George zapytał:

– Zrobisz coś dla mnie?

Zamierzał ją poprosić, żeby nie mówiła Mimi o niespodziance, którą dla niej szykuje, ale Janey najwidoczniej pomyślała, że chodzi o seks.

Przysunęła się bliżej (w ciasnej windzie i tak ocierali się o siebie) i niemalże przyłożywszy usta do jego ucha, szepnęła:

– Zrobię, co zechcesz. Masz moją dozgonną wdzięczność... Wystarczy, że poprosisz.

Winda zatrzymała się i wyszli do hollu. Buswell otworzył przed nimi drzwi.

– Dobranoc, Buswell. Przyjadę w przyszłym tygodniu – powiedział

George. Kiedy stanęli na chodniku, wyciągnął rękę na pożegnanie, ale

Janey przyciągnęła go lekko do siebie i nadstawiła policzek; w ostatniej chwili pochyliła głowę na bok, skutkiem czego pocałunek złożył obok samych ust. George był pewien, że zrobiła to specjalnie.

– Do widzenia, George – powiedziała wesoło. Zanim zniknęła mu z

oczu, odwróciła się jeszcze raz, żeby do niego pomachać. Patrząc za nią,

George nabrał nagle pewności, że padł ofiarą kobiecej manipulacji. To uczucie było, o dziwo, całkiem przyjemne.

– Naprawdę chcesz tak pójść na tę kolację? – zapytał Selden.

– Jak? A, tak? – Janey spojrzała po sobie z miną niewiniątka. – Co ci nie pasuje? – Pochyliła się do lustra, zapinając w uchu duży, złoty kolczyk w kształcie obręczy.

– Ta sukienka jest trochę... – Selden był bezradny. Miał zbyt skąpe słownictwo dotyczące mody i strojów.

– Jaka? – zdziwiła się Janey. – Jest bardzo szykowna.

– A nie pasuje bardziej do nocnego klubu? – zasugerował.

– Być może – zmarszczyła brwi – ale trzymałam ją na specjalne okazje.

– Rozumiem. – Selden potrząsnął głową i wyszedł z łazienki. Nie chciał się z nią kłócić o sukienkę, ale z drugiej strony nie uśmiechało mu się przyprowadzić na kameralną kolację żony wyglądającej jak rosyjska dziwka.

– Może czymś się okryjesz, swetrem na przykład? – zaproponował.

– Nie wygłupiaj się. – Wyszła z łazienki, dopinając kolczyk. – Wiesz, jak idiotycznie będzie wyglądać sweter do takiej sukienki? Twoi przyjaciele pomyślą, że wstydzę się tak pokazać.

Żałuję, że się nie wstydzisz, pomyślał Selden. I natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

Spór dotyczył zabójczo modnej białej lateksowej mini, którą Janey dopiero co wydarła od projektanta Michaela Korsaa. Projekt sukienki pochodził z połowy lat osiemdziesiątych, a na świecie istniało tylko pięć egzemplarzy. Ta sukienka była właściwie eksponatem przeznaczonym na pokaz haute couture, ale Janey już na pierwszy rzut oka wiedziała, że musi

ją mieć. Przymierzyła ją, nie zważając na nieśmiałe protesty biednego, przemiłego Michaela. Efekt był powalający, a sukienka pasowała jak szyta na miarę. Michael nie miał wyjścia; musiał ją „pożyczyć”. Ale Janey nie zamierzała jej zwracać.

Podziwiała swoje odbicie w dużym lustrze na drzwiach szafy. Tak, tą bronią pobije wszystkie dyrektorskie żony; widząc ją tak ubraną, każdy pozna Janey Wilcox, modelkę Victoria's Secret, sławną i cieszącą się wielkim splendorem. Mężczyźni będą się ślinić, a kobiety zgrzytać zębami, ale na darmo; nic na to nie poradzą.

Gdyby tylko Selden nie był taki spięty... Otworzyła szafę, szukając butów. W zasadzie to było całkiem zabawne. Znalazła właściwą parę na samym spodzie sterty pudełek. Jak łatwo go zaszokować, pomyślała, i jakie to przyjemne. Dawało jej to poczucie władzy; wiedziała, że jest panią sytuacji.

– Co sądzisz? – Pokazała mu parę białych butów z lakierowanej skóry, ozdobionych na podbiciu srebrnymi klamerkami z logo Gucciego. Nie czekając na odpowiedź, usiadła na łóżku, nałożyła je i zaczęła zapinać suwaki na łydkach.

– Kupiłam je w dziewięćdziesiątym czwartym roku... Nie były tanie: osiemset dolarów, a byłam wtedy spłukana. Ale teraz cieszę się, że je mam. Wiesz, że takich butów szukają kolekcjonerzy?

– Naprawdę? – Selden nie wiedział, co powiedzieć, bo nigdy specjalnie nie interesował się odzieżą, w przeciwieństwie do Janey, która ostatnio nie mówiła już o niczym innym.

Wstała, prezentując kompletną kreację. W tej sukience i do tego w tych lakierowanych butach naprawdę wygląda jak dziwka z Szóstej Alei, pomyślał Selden, czując rosnącą irytację. Na tę jedną kolację się cieszył; chciał się pochwalić żoną i pokazać jej styl życia, jaki wymarzył sobie dla nich obojga. Ale Janey po raz kolejny nieświadomie wszystko zepsuła. Nie chciał, żeby ubierała się aż tak ekstrawagancko, wolałby, żeby po prostu ładnie wyglądała... Dlaczego Janey nigdy nie liczyła się z jego zdaniem? Wydawało mu się, że jej zachowanie jest umyślne, jakby w ogóle jej nie obchodziło, co on czuje.

Nie potrafił jednak powiedzieć tego na głos. Zapytał tylko:

– Ile kosztowała ta sukienka?

To pytanie było jak najbardziej na miejscu. Niedawno przyszedł rachunek z American Express; Selden dostał drgawek, kiedy zobaczył, że Janey nakupiła w Mediolanie ubrań za prawie czterdzieści tysięcy dolarów. Nie mógł uwierzyć, że jedna osoba może potrzebować tyle odzieży. A teraz następna sukienka...

– Aleś ty głupiutki – skarciła go żartobliwie. – Więc to cię tak martwi?

Dostałam ją za darmo, jeśli chcesz wiesz. Od projektanta.

– Aha. – Nie wiedział, co ma powiedzieć. Kolejny raz wyszedł przy niej na głupca. Ale dość tego; trzeba wprawić się w lepszy nastrój.

Spojrzał na zegarek.

– Musimy już iść... Samochód czeka na dole.

W tym momencie chyba dotarło do niej, że jest niezadowolony;

podeszła do niego i zapytała z potulną minką:

– Co się stało, Selden? – Po czym dodała z innej beczki, zalotnym,

kuszącym tonem: – Nie chcesz, żebym wyglądała sexy?

– Chcę, ale... – Przerwał, zastanawiając się, jakie argumenty mogą ją nakłonić do zmiany kreacji, ale tak żeby obyło się bez łez. Nie dokończył jednak, bo nagle uklękła przed nim i zręcznym ruchem, świadczącym o niebyłej jakiejś wprawie, rozpięła mu spodnie.

Janey podeszła do sprawy z wielkim entuzjazmem. Od pożegnania z George'em nie opuszczał jej optymizm. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo ciążył jej strach przed zdemaskowaniem przez Comstocka Dibble'a. Teraz czuła się wolna i dostrzegła, że życie może toczyć się właściwym torem...

Selden westchnął, starając się, żeby zabrzmiało to jak jęk rozkoszy.

Zanurzył ręce w jej włosach, myśląc tylko o tym, żeby skończyła szybko, bo inaczej się spóźni. Ale już po minucie bardzo się wstydził tych myśli.

Co ze mnie za głupiec!, wykrzyknął w duchu. Każdy mężczyzna w

Ameryce oddałby prawą rękę, aby mieć to, co on: żonę, która nie tylko jest fascynującym obiektem męskiego pożądania, ale także demonem seksu, którego nie trzeba do niczego namawiać.

Mark Macadu i jego żona, Dodo Blanchette Macadu, mieszkali w

olbrzymim paskudnym domu, zwanym ironicznie McPosesją. Zbudowano go niedawno, na wąskim i drogim skrawku lądu wrzynającym się w zatokę Long Island. Architekt wyobrażał sobie, że wznosi posiadłość w stylu kolonialnym, choć historia budownictwa milczy o podobnych domach.

Pokryty białym szalunkiem miał portyk z czterema kolumnami

wznoszącymi się z kamiennej posadzki. Mieścił cztery kominki, sześć sypialni, oranżerię (prawdę mówiąc, była to dobudowana szklarnia, w której stało kilka wyściełanych foteli), a na jego tyłach znajdowała się chluba gospodarzy: ogromna kuchnia wyposażona we wszelkie nowinki AGD.

Rządziła tutaj Dodo Blanchette; w tej chwili była ogarnięta chaosem kulinarnym, w którym brały udział garnki, sprzęty kuchenne, miedziane rondle, dwie książki kucharskie, plamy rozlanego czerwonego wina oraz biała mączna smuga, która w tajemniczy sposób ciągnęła się od tylnego wejścia aż do zlewu. Dodo przygotowywała kolację, a sceną jej zmagania był wielki drewniany stół kuchenny. Do każdej rzeczy w swoim życiu Dodo podchodziła z zapalem godnym prawdziwej kobiety interesu; jako żarliwa wyznawczyni samodoskonalenia ukończyła niedawno dwutygodniowy kurs kucharski w Amerykańskim Instytucie Kulinarnym. Jej specjalnością było przyrządzanie cielęciny oraz robienie z kuchni pobożowiska.

W przygotowaniach towarzyszyła jej Sally Stumack, nastoletnia córka sąsiadów, przyglądająca się poczynaniom Dodo z przerażeniem, lecz jednocześnie z podziwem. Choć była to wysoka dziewczyna, sprawiała wrażenie niezdarnej i ociężałej; miała długie, kręcone blond włosy i nosiła okulary z demonstracyjną ostentacją osoby mającej w głębokiej pogardzie wszelkie konkursy piękności. Kiedy Dodo urządzała przyjęcia, zawsze „zatrudniała” Sally do pomocy ze względu na jedną jej zaletę: Sally była potulna i słuchała jej we wszystkim.



– Sally, podaj mi mikser – poleciła Dodo. Smażyła właśnie małe naleśniki, które planowała podać jako pierwsze danie, przybrane wędzonym łososiem i ikłą z łososia.

– A gdzie jest? – zapytała Sally, kręcąc się po kuchni jak wielka niezgrabna mysz.

– Może w zlewie? – Dodo napełniła miskę mlekiem. Kilka kropeł wylało się i spadło na katalog Victoria's Secret otwarty na stronie, gdzie widniało zdjęcie Janey w złotym kostiumie kąpielowym. Dodo podniosła katalog i strząsnęła mleko z powrotem do naczynia.

– Nie mogę uwierzyć, że Selden Rose przyprowadzi na bankiet modelkę Victoria's Secret – warknęła ze złością, nie wiadomo który już raz.

– Podobno to jego żona? – pisnęła Sally. Znalazła już mikser w koszu na śmieci i teraz ukradkiem go myła. Miała już dość rozmowy o Janey Wilcox. Dodo od godziny mówiła tylko o niej, a Sally mimo wszystko cieszyła się, że ją zobaczy, bo jeszcze nigdy w życiu nie spotkała modelki.

– Problem w tym – Dodo zabrała Sally mikser – że modelka Victoria's Secret zachwieje całą równowagą sił. Będzie się do niej ślinił każdy facet, łącznie z moim mężem. Uprzedziłam go już, że jeśli tylko spojrzy w jej stronę, to przez miesiąc odpoczywa od seksu. Faceci są jak psy – podsumowała. – Reagują na pozytywne i negatywne bodźce.

– Nie rozumiem, czym się martwisz – powiedziała Sally. – Przecież wcale nie ustępujesz jej urodą.

– To właśnie powiedziałam Markowi. – Dodo włączyła mikser, przez

chwile mieszała energicznie, a potem rzuciła okiem na duży, okrągły zegar wiszący nad porcelanowym zlewem. – Kochanie, zajmij się tym, dobrze?

Idę na górę. Muszę się przebrać. – Wytarła ręce o fartuch i ruszyła szybkim krokiem do drzwi.

– Ale ja nie wiem, co z tym zrobić! – zawołała za nią Sally.

– Miksuj – poradziła Dodo.

W jadalni wisiało lustro. Dodo zatrzymała się przed nim i wzburzyła fryzurę.

– Wyglądasz bosko! – powiedziała na głos.

Dodo była młodą kobietą, na pierwszy rzut oka sprawiającą wrażenie bardzo pewnej siebie. Choć nikt nie nazwałby jej piękną – miała kwadratową, męską twarz i bladą cerę usianą piegami – to była do tego stopnia przekonana o własnej atrakcyjności, że każdy, kto ją bliżej poznał, zaczynał się zastanawiać, czy to może on czegoś nie dostrzega.

Jej mąż Mark właśnie wrócił do domu. Spotkała go w holu wejściowym. Mark Macadu był brunetem o gęstej fryzurze. Aż do czterdziestki udało mu się zachować sylwetkę. Potem roztył się, rozwiódł z pierwszą żoną i po czterech latach ożenił ponownie, z Dodo. Był to człowiek energiczny i rozsądny. „Naprawdę miły gość”, tak wszyscy o nim mówili. Czasami ten miły gość żałował, że nie ma normalnej żony.

– Co słychać? – powitał ją, rzuciwszy numer „New York Post” na mały stolik.

– Cześć, duży – odpowiedziała Dodo. Ten epitet był nieco na wyrost, bo Mark miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć. – Zaraz zejść. W kuchni

jest Sally.

Wbiegła pędem po schodach. Na końcu korytarza na piętrze znajdowały się ciężkie dębowe drzwi prowadzące do największej sypialni. Dodo zamknęła je za sobą na klucz. Chwyciła torebkę i zaczęła szperać w niej nerwowo. W końcu, zniecierpliwiona, wytrząsnęła zawartość na łóżko. Posypały się stare paragony, papierowe serwetki z zapiskami, buteleczka kleju do paznokci, cztery szminki, brudne chusteczki jednorazowe, pęsetka do brwi, krem kosmetyczny z pudrem, dwa ciekące pióra, rozłazący się portfel, cztery studolarówki, czarny tusz do rzęs oraz szczotka pełna jasnych kosmyków. Rozrzuciwszy cały ten bałagan, Dodo znalazła wreszcie to, czego szukała: małą plastikową torebeczkę pełną białego proszku.

Włożyła do niej mały palec i wyciągnęła szczyptę na koniuszku długiego, sztucznego paznokcia. Podobnie jak Janey, Dodo miała nawyk obgryzania paznokci, ale za nic w świecie nie pozwoliłaby, żeby ktoś się o tym dowiedział. Raz w tygodniu obowiązkowo odwiedzała salon manicure, gdzie nakładano jej akrylowe tipsy. Wciągnęła proszek do jednego nozdrza, potem zatkała je i wciągnęła kolejną porcję drugim. Schowała torebeczkę do szuflady z bielizną i poszła do łazienki obejrzeć swój nos. Bałaganu na łóżku nie sprzątnęła.

Dodo Blanchette uważała się z kobietę na wskroś nowoczesną. Miała trzydzieści trzy lata i we własnym mniemaniu była osobą skazaną na sukces; cechowała ją niepohamowana ambicja oraz umiłowanie rywalizacji. Nazywała siebie neofeministką, wierzyła w samopomoc

kobiet (dlatego właśnie zatrudniała Sally) i w każdej chwili myślała o tym, w jaki sposób dopomóc sobie w karierze, zawojować świat i trafić do gazet. Miała tłumy przyjaciółek, a jej ulubione powiedzonko brzmiało: „Babki rządzą!”, przy czym koniecznie trzeba było wtedy przybić piątkę. Jak wiele kobiet z jej pokolenia Dodo bez oporów pomagała sobie w karierze ciałem i pięła się do góry przez łóżka swoich szefów. Tak właśnie poznała Marka.

Kłopot w tym, że czuła się taka wyczerpana! Była dziennikarką lokalnej filii CBS. Robiła reportaże o wszystkim: od premier filmowych po rankingi najlepszych solariów i informacje o kotkach, które wypadły z okna. Do pracy musiała wstawać o szóstej. Pierwszą czynnością dnia były ćwiczenia. O siódmej trzydzieści wyjeżdżała razem z mężem z domu.

Jazda do miasta trwała godzinę; przez ten czas Dodo przeglądała cztery gazety. Potem dokumentacja reportażu, włosy i makijaż, następnie zwykle wyjazd na zdjęcia, później powrót do studia na montaż materiału, no i w końcu emisja – Dodo w telewizji. Po pracy trzeba było się spotkać ze znajomymi w jakimś modnym barze; dopiero po takim koktajlu Dodo szła na obiad (przy jedzeniu zawsze piła kilka kieliszków białego wina), chyba że na wieczór byli zaproszeni ważni goście, mogący dopomóc jej i mężowi w karierze. Wtedy wracała do domu i sama robiła obiad.

Dodo była orędowniczką ciężkiej pracy i hołdowała zasadzie, że trzeba ją wykonywać dobrze albo wcale. Lubiła mawiać, że w jej życiu więcej dzieje się przez tydzień niż u innych ludzi przez cały rok. Na domiar wszystkiego dochodziło dbanie o wygląd i linię, z tego powodu musiała

nieustannie liczyć kalorie.

Dodo z natury była silnej budowy. W szkole grała w piłkę nożną, a na studiach (studiowała w Tufts University w Medford w stanie Massachusetts) zdobyła nawet krajowe mistrzostwo juniorów. Jej duże, obwisłe piersi, które upychała w uwydatniających biust stanikach, fascynowały mężczyzn, odkąd tylko sięgała pamięcią. Niemniej to nie wystarczyło: już dwa razy musiała zrobić sobie liposukcję, od pasa aż do kolan. Potęgę swoich piersi odkryła równocześnie z urokami kokainy, w wieku dwudziestu dwóch lat, kiedy była stażystką w „New York Timesie”. Wyleciała z pracy po pół roku, oficjalnie za notoryczne spóźnienia, a faktycznie za to, że spała ze swoim szefem; kiedy jego żona odkryła romans, zmusiła go, żeby zwolnił Dodo. Od tego czasu Dodo opanowała swój nałóg kokainowy, ale już nigdy nie przemogła żądzy, jaką budzili w niej mężczyźni mający władzę. Podświadomie starała się dorównać wyglądem modelkom z reklam, lecz jednocześnie przerażało ją to, jak wielki wpływ na facetów mają słodkie idiotki. Książka „Piękność: Jak oczekiwania mężczyzn zrujnowały kobietom życie” należała do jej ulubionych lektur; często cytowała ją w towarzystwie, przytaczając zdania w stylu: „Obserwowana od niedawna obsesja mężczyzn na punkcie kobiecej urody jest jednym z powodów upadku współczesnej rodziny”. Ale Dodo nie mogła oprzeć się fantazjom o mężczyźnie u szczytu władzy, ogarniętego obsesją na punkcie jej urody...

Stała przed lustrem w łazience, żeby umalować usta. Dotknęła górnej wargi; kilka zastrzyków z kolagenu i nie musiałaby już zazdrościć Janey

Wilcox... A czego ja jej właściwie zazdrozczę, zastanowiła się. Janey Wilcox to manekin, a w tym środowisku nawet najpiękniejsza kobieta, jeśli nie jest wykształcona, nie zna się na biznesie i polityce, a do tego właściwie nic nie robi, zwykle szybko traci zainteresowane mężczyzn. Ale nawet te wszystkie umiejętności nie dawały gwarancji utrzymania faceta przy sobie, pomyślała Dodo z goryczą. Już od pół roku czuła, że jej mąż zaczyna się nią nudzić; do tej pory codziennie oglądał o piątej jej materiał, ale ostatnio przyznał się, że „zapomniał” o nim. Musiała zwrócić mu uwagę, nie przebierając w słowach, że własna żona to nie są klucze, o których można zapomnieć. Zwykle takie wybuchy przynosiły pożądane efekty, ale coraz częściej zdarzało się, że Mark tylko przewracał oczami i szedł oglądać telewizję. Można więc powiedzieć, że winę za romans Dodo z jego najlepszym przyjacielem, Paulem Loveladym, ponosił nie kto inny jak on sam.

Paul Lovelady i jego żona Carolina, pianistka (podawała się za jakąś rosyjską księżniczkę, w co Dodo ani trochę nie wierzyła), byli zaproszeni dziś na kolację. Dodo miała więc tego popołudnia dwa zmartwienia: Janey Wilcox i Paula, który mógł się czymś zdradzić. Zaczęło się przed miesiącem i od tej pory spali ze sobą dwukrotnie. Za każdym razem spotykali się w weekend, kiedy Mark był na siłowni, a Carolina miała próbę w Lincoln Center. Codziennie około godziny rozmawiali przez telefon; Paul prawił jej, że jest „błyskotliwa” i „piękna”, a choć Carolina należała do jej najlepszych przyjaciółek, to jednak Dodo nie czuła wyrzutów sumienia. Już dawno temu doszła do wniosku, że sumienie tylko

utrudnia życie, a zdrada męża to problem żony, nie kochanki.

Rozprowadziła na ustach błyszczący i wyszła z łazienki. Wychodząc z pokoju, usłyszała nieubłagany zew torebeczki z działką kokainy.

Zapowiadał się długi wieczór; pozwoliła sobie jeszcze na dwa małe strzały, żeby poprawić samopoczucie i łatwiej przez niego przebrnąć.

Obiecała sobie, że więcej już nie weźmie. Dziś.

W tym samym czasie Mark podkradał się do kuchni z duszą na ramieniu, wyczulony na wszelkie oznaki nieszczęścia. Trzy lata małżeństwa z Dodo nauczyły go być zawsze gotowym na wszystko; kilka razy zdarzyło się, że musiał gasić ogień w kuchni. Śmiertelnie bał się pożarów, ale Dodo to nic nie obchodziło. Oświadczyła mu, że dla dyplomowanego kucharza (za jakiego się uważała) ogień w kuchni to rzecz zwyczajna. Mark wątpił, czy dwutygodniowy kurs gotowania czyni z człowieka kucharza, ale Dodo postawiła na swoim, a on zdążył się już nauczyć również tego, że pobażanie żonie ułatwia życie – nawet jeśli kłamie ona w żywe oczy.

Dziś jednak do katastrofy nie doszło. Oczywiście, w kuchni panował chaos, ale to akurat była normalka. Mark zastał tam Sally, przemiłą dziewczynkę (wyrośniętą jak na dziewczynkę, pomyślał) sąsiadów. Sally miksowała coś w rondelku, a z piekarnika dochodził aromat pieczonego jagnięcia.

– Dobry wieczór panu – powiedziała Sally.

– Posłuchaj – Mark podszedł do lodówki i wyjął butelkę białego wina – możesz mi mówić Mark. Nie jestem twoim ojcem...

– Wiem, proszę pana – odparła.

Mówili to sobie przy każdym spotkaniu. Mark wyjął z szuflady specjalistyczny korkociąg i uśmiechnął się do Sally. Pomyślał sobie, jacy mili i kulturalni są mieszkańcy przedmieść w porównaniu z ludźmi z miasta.

Carolina i Paul Lovelady zjawili się dokładnie o wpół do ósmej.

Carolina, całując Dodo na powitanie, szepnęła jej do ucha:

– Masz coś?

Dodo skinęła głową i odrzekła, też szeptem:

– W szufladzie z bielizną.

Dodo przyjaźniła się z Carolina już od dwóch lat. Połączyła je namiętność do kokainy, skrzętnie skrywana przed mężami.

Paul, widząc tę konspirację, nagle przeraził się, że Dodo powiedziała

Carolinie o ich romansie. Zapytał, łypiąc okiem na Marka:

– A o czym wy tak szepczecie?

– O niczym – odparła Dodo. – Obgadujemy tę modelkę.

– Paul myśli o niej od rana – powiedziała Carolina. – Nie przyzna się, ale ja zawsze dokładnie wiem, co mu chodzi po głowie. Prawda, że wiem, najdroższy? – Poklepała go po policzku.

Paul znów wpadł w panikę i po raz kolejny zaczął żałować, że przespał się z Dodo. Dla niego to miał być przyjacielski numerek po sąsiedzku, tymczasem po drugim razie Dodo zaczęła wydzwaniać do niego do biura. Codziennie! Postanowił raz na zawsze z tym skończyć, ale zmienił zdanie, kiedy tylko rzucił okiem na jej cycki. Pod marynarką miała sam stanik, a



biust prężył się w rozcięciu pomiędzy klapami. Paul widział dokładnie niebieską koronkę stanika, tego samego, który zdjął z niej, kiedy pierwszy raz poszli do łóżka. W jednej chwili przypomniał sobie pokrzepiający ciężar tych pełnych piersi i zdecydował, że jeszcze jeden raz nikomu nie zaszkodzi. A żona? Natura nie wyposażyła jej nawet po części równie szczerze. Carolina była kobietą ze wszech miar elegancką, ale przestała go podniecać już po roku małżeństwa.

– Jestem amerykańskim samcem pełnej krwi. Czy to moja wina... – powiedział.

– ... że ptaszek rwie się z klatki? – dokończyła Dodo ze znaczącym uśmiechem.

– Idę do łazienki – powiedziała Carolina, wchodząc na piętro.

Ross i Constance Jaredowie dotarli kilka minut później. Zdaniem Dodo, Constance jak zwykle była w dziwnym stroju; niebieska marszczona koszula i welwetowa spódnica upodabniały ją do niewinnej nastolatki, którą była, kiedy po raz pierwszy wystąpiła w American Ballet Theatre. Carolina twierdziła, że Constance jest jakaś dziwna, ale Dodo zawsze jej broniła, mówiąc, że to zwyczajna, miła dziewczyna, a że ma trochę pomieszane w głowie... Trudno się dziwić komuś, kto przez całe życie wciskał stopy w baletki. Najbardziej jednak Dodo lubiła Constance za to, że nigdy nic nie mówiła, a tym samym nie odwracała uwagi ogółu od niej samej.

Trzy pary przeszły do salonu, gdzie stały miski pełne orzechów i oliwek oraz taca z miękkimi serami francuskimi. Przez blisko kwadrans

mężczyźni dyskutowali o taktykach walki o pozycję w pracy, a Dodo i Carolina analizowały osobowość nowej współpracownicy Dodo, młodej dziewczyny z naboru, która podobno krzywo na nią patrzyła. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi; rozmowy na moment ucichły, po czym wszyscy z udawaną obojętnością powrócili do dyskusji.

Drzwi otworzyła Sally. Po przybyciu pierwszych gości Dodo zawsze „pozwalala” jej otwierać drzwi; mówiła, że „robi to specjalnie dla niej”, żeby Sally zyskała więcej doświadczenia potrzebnego pani domu. Nie zmieniało to faktu, że Sally czuła się jak służąca. Dziś jednak z wielką chęcią zabawiła się w kamerdynera – dzięki temu pierwsza miała zobaczyć Janey Wilcox. Nie mogła się już doczekać.

Według Dodo Janey miała być „zabójczą laską”. Sally, która uczęszczała do prywatnej szkoły, wiedziała, co to jest zabójcza laska, ale nigdy jeszcze nie spotkała się z dorosłym okazem tego gatunku. Nigdy też nie widziała z bliska modelki. Dodo ostrzegła ją, że wyglądają one dobrze tylko na zdjęciach, ale Sally jakoś nie mogła w to uwierzyć, a już w żadnym razie nie była przygotowana na wizję, która spłynęła na nią, kiedy otworzyła drzwi. Zdjęta nabożnym podziwem, cofnęła się o krok, nieomal wywracając się na orientalnym dywaniku.

Sally był wysoka i wiedziała o tym – w wieku szesnastu lat miała ponad metr siedemdziesiąt pięć – lecz Janey, wydawało się, była zbudowana jak Amazonka. Tak idealnej figury Sally nie widziała dotąd u nikogo i nie podejrzewała nawet, że na świecie żyją tacy ludzie. Kiedy zaś Janey przemówiła, jej głos był jak ożywczy deszcz.

– Czy zastaliśmy twoich rodziców?

– Właściwie... – wyjąkała Sally, szarpiąc nerwowo za klamkę – to nie są moi rodzice... Mieszkam po sąsiedzku... – Zabrakło jej słów.

– To bardzo miło. – Janey rozejrzała się wokół, a jej spojrzenie wydało się Sally rozbawione i pełne pogardy. W hollu wisiał olbrzymi portret przedstawiający Dodo w peniuarze i perłach, niezbyt udany, bo malowany na podstawie fotografii. Na jego widok twarz Janey rozjaśnił leciutki uśmiezek, a Sally nagle poczuła, że wstydzi się za Dodo.

– Wszyscy czekają w salonie. – Z zapartym tchem odprowadziła Janey i Seldena wzrokiem, po czym wróciła do kuchni w radosnych podskokach.

Dodo się wścieknie: Janey Wilcox była dokładnie taka sama jak na fotografiach! Sally nalała sobie lampkę białego wina (państwo Macadu piją tak dużo, że na pewno tego nie zauważą) i pomyślała, że idealny obraz Janey psuje tylko ten jej mąż. Kobieta z taką urodą powinna wyjść za aktora, a nie za przeciętniaka, który wygląda jak jej ojciec, pan Macadu albo pierwszy lepszy sąsiad.

– Mark! – zawołał Selden od progu.

Zebrani w salonie spojrzeli w stronę drzwi, a następnie równie szybko odwrócili głowy – wszyscy z wyjątkiem Marka, który podszedł do Rose'ów z otwartymi ramionami. Chwycił dłoń Seldena w obie ręce, po czym obaj pokleпали się po plecach.

– To moja żona, Janey – przedstawił Selden.

Mark przywołał na twarz wyważony uśmiech i podał jej rękę.

Dodo od razu zauważyła, że wszyscy mężczyźni starają się nie patrzeć

na Janey, a ich wysiłki, pomyślała z irytacją, przynoszą odwrotny efekt; tym wyraźniej przez to widać, że marzą o tym, aby pożreć ją wzrokiem. W oczach Dodo Janey była ucieleśnieniem męskich pragnień: pospolitą, seksowną idiotką. Nie spiesząc się, wstała z kanapy i przeszła przez pokój.

– Witam. Ty pewnie jesteś Janey.

– Zgadza się. A ty... ?

– Dodo Blanchette, żona Marka. – Głos Dodo był chłodny, ale w środku aż gotowała się z wściekłości. Czy Selden nie przedstawił jej nikogo, nawet gospodyni? Wy tłumaczyła sobie jednak, że zapewne to zrobił, ale Janey była zwyczajnie zbyt głupia, żeby to zapamiętać. –

Trafiliście bez problemów do tej naszej pustelni? – zapytała.

– Prawdę mówiąc, kierowca zgubił drogę – wyznała Janey.

– Wybaczcie nam – powiedział Mark. – Dodo nie ma za grosz orientacji przestrzennej... Nawet w torbie na zakupy nie potrafi niczego znaleźć.

Dodo rzuciła mu złe spojrzenie, nie wiedząc już, komu bardziej życzy śmierci: mężowi czy... Janey Wilcox.

– Proponuję wznieść toast. – Dodo uderzyła nożem w szklanekę na wodę. Wstała chwiejnie, ryzykownie balansując kieliszkiem czerwonego wina. Zdążyła już sporo wypić, a koki też poszło więcej, niż planowała.

Czuła, że jest na niezłym haju. – Za nowego członka naszej małej rodziny! Witamy Janey Wilcox!

– Witamy!

Janey wyprostowała się na krześle, pociągając łyk wina. Zmusiła się do

uśmiechu, myśląc jednocześnie, że nigdy nie zostanie członkiem tej rodziny, choćby nie wiedzieć jak bardzo się starała. Była jak cudzoziemiec, który nie zna tutejszego języka; siedząc przy tym stole, czuła się samotna jak bezpański pies.

Na przykład ta Dodo, pomyślała. To jakaś wariatka! Zanim zasiedli do kolacji, Dodo niemalże siłą oprowadziła Janey po całym domu. Co chwilę przy tym zaznaczała, że oczywiście, mogliby mieszkać w mieście, ale za pięć milionów w Greenwich można kupić większą posiadłość... W sypialni Janey odmówiła działki kokainy, ale i tak musiała przesiedzieć z Dodo blisko kwadrans w łazience. Dowiedziała się wtedy wszystkiego o praktykowanej przez Dodo metodzie antykoncepcyjnej, polegającej na stosowaniu testu owulacyjnego i powstrzymywaniu się od współżycia w dni płodne.

– Wyobrażasz sobie mnie z dzieckiem? – dopytywała się Dodo. – A facetom tylko to w głowie. Mamy im dawać ciała i rodzić dzieci. A ja pracuję, i to ciężko! Do tego muszę się zajmować domem i Markiem, bo on przecież nic nie robi...

Była jeszcze Carolina. Jej twarz cechowały arystokratyczne rysy, które dwieście lat temu uznano by za szczyt piękności. Pod tą piękną maską kryły się jednak złe, czujne oczy kobiety, która wie, że mąż ją zdradza, ale nie zdobyła na to jeszcze niezbitych dowodów. Ale pójdzie jej szybko, pomyślała Janey, patrząc, jak Dodo klei się do Paula, szepcze mu na ucho żarciki i trąca go kolanem...

No i jeszcze ta biedna mała Constance, tak chuda, że w każdej chwili

mogła zemdleć z wycieńczenia. Nikt nie zwracał na nią uwagi, jakby była wielką lalką posadzoną przy stole.

Całe towarzystwo było zarozumiałe i bardzo z siebie zadowolone.

– Nadal uważam, że republikanie rozwałą nam gospodarkę – gorączkował się Ross.

– Wiesz dobrze, że to bzdura – przekonywał go Selden. – Gospodarka idzie własnym kursem bez względu na to, czy prezydent jest republikaninem, czy demokratą...

– Jako jedyna osoba w tym gronie, która naprawdę pracuje w telewizji, oświadczam, że niedługo obroty giełdy powrócą do dawnego poziomu – powiedziała Dodo.

– Ross, kochany, zupełnie zapomniałeś o Reaganiu – zauważyła Carolina.

Janey kłuła widelcem swoją porcję jagnięciny i milczała. Mięso było o wiele za krwiste jak na jej gust; zaczęła się obawiać, że niedosmażoną jagnięcina można się zatruć. Nagle Ross ją zapytał:

– Zainwestowałaś pieniądze na giełdzie?

– Trochę – odpowiedziała.

– Janey pewnie ma agenta do spraw finansowych – powiedziała Dodo.

– Tak robią modelki, prawda? Nie muszą się znać na giełdzie.

– Wiele modelek osobiście obraca swoimi pieniędzmi – odparła Janey.

– Rozmawiałem ostatnio z jednym gościem związanym z tym biznesem

– wtrącił Paul. – Według niego sekret sukcesu wielu top-modelek polega na tym, że są one bystre. Inaczej nie zaszłyby tak wysoko.

– Daj spokój, Paul – nie wytrzymała Carolina. – Bystre w porównaniu z kim? – Zapadła martwa cisza i Carolina musiała szybko dodać: – Nie mówię o tobie, Janey.

Ktoś szybko zmienił temat, wspominając górską wycieczkę podczas wspólnej podróży do Indii w zeszłym roku.

Janey nie mogła słuchać tej rozmowy. Szczerze nie znosiła wszelkich sportów i nigdy nie była w Indiach. Ukradkiem rzuciła okiem na zegarek; było dopiero wpół do dziesiątej. Co za dziwaczna zbieranina, pomyślała. Ktoś, kto ich nie zna, nigdy nie zgadnie, kto tu jest czyim mężem, kto czyją żoną. Między małżonkami zasiadającymi przy tym stole nie istniała żadna głębsza więź. Wyglądali jak nastolatki bawiące się w dorosłych...

– Co robimy w tym roku? – zapytała Carolina.

– Obstawiam przy swoim: wsiadamy do naszych ferrari i śmigamy do Montany pościgać się – powiedział Mark.

– Masz ferrari, prawda, Rose?

– Mam coś lepszego – odparł Selden. – Jaguara XK 120.

– Ile wyciągnie?

Selden wzruszył ramionami.

– Sto sześćdziesiąt, sto dziewięćdziesiąt?

– To nałykasz się naszych spalin – podsumowała Dodo.

– Dlaczego akurat do Montany? – Janey zapragnęła włączyć się wreszcie do rozmowy.

– Bo tam nie ma ograniczeń prędkości? – W głosie Caroliny zabrzmiało szyderstwo, ale było ono akurat na tyle subtelne, aby nie zauważyli go

mężczyźni.

– Jesteś tylko modelką, Janey? – zapytała Dodo i natychmiast, jakby się przestraszyła, że strzeliła gafę, dodała: – Bo wiele top-modelek ma też inne zajęcia, prawda? Ta elegancka dziewczyna, ta z idealnie piękną twarzą... Jak ona się nazywa? – zwróciła się do Caroliny.

– Christy Turlington – odpowiedziała przyjaciółka. – Prowadzi własną spółkę, firmuje linię odzieżową... Chyba nawet kręci filmy wideo z ćwiczeniami jogi.

– No właśnie, Janey – odezwał się Paul, wlepiając w nią zapite oczka. – Opowiedz nam wszystko o sobie.

Nagle Janey znalazła się w centrum uwagi. Poczowała narastającą panikę; kręciło jej się głowie i miała duszności. Kompletnie zdrętwiała i nawet strój, na którym opierała poczucie własnej tożsamości, nie mógł jej pomóc. Jeżeli teraz nic nie powie, wyjdzie na idiotkę. Prędzej mnie szlag trafi, pomyślała, niż dam wam tę satysfakcję...

Popiła wina z kieliszka.

– Zajmuję się produkcją filmów – oświadczyła bez zmruczenia oka.

– Tak? – Dodo była pod wrażeniem.

– Nad czym teraz pracujesz? – Carolina wyjęła papierosa z torebki.

– Nie pal, bardzo cię proszę – powiedział Paul.

– Pocałuj mnie w dupę – zaproponowała, zapalając.

– W zeszłym roku napisałam scenariusz – Janey nie po raz pierwszy przekonała się, że najtrudniejsze jest pierwsze kłamstwo – i teraz będę go realizować.



Wypiła kolejny łyk wina. Nie śmiała spojrzeć na Seldena, widziała tylko kątem oka, że jego twarz wyraża kompletne zaskoczenie, jakby nie mógł uwierzyć, że jego żona jest zdolna do takiego oszustwa. Ale co miała robić?

– O czym jest twój scenariusz? – zapytała Carolina.

– O modelce, którą wszyscy chcą wykorzystać – oznajmiła Janey.

– Historia stara jak świat – mruknął Selden lekceważąco.

– Selden się gniewa, bo nic o tym nie wiedział – wyjaśniła Janey

Carolinie i Dodo. Odwróciła się do męża: – Nie powiedziałam ci,

kochanie, bo to miała być niespodzianka. Myślałeś, że na czym spędzam popołudnia?

Ostatnie pytanie wywołało salwy śmiechu.

– Chyba nie sądziłeś, że twoja żona całe popołudnia spędza w sklepie?

– Dodo zachichotała.

– Ja w ogóle nie wiem, czym wy się zajmujecie – skwitował Selden i

szybko zmieniając temat, zapytał Rossa: – Jak tam dziadek?

„Dziadkiem” nazywali Victora Matricka, posuniętego już w latach dyrektora koncernu Splatck Verner.

– Wariuje na starość – odpowiedział Ross.

– Podobno kupił samolot – dodał Mark.

– Samolot? – Paul zaśmiał się drwiąco. – Masz nieścisle informacje.

Kupił jumbo jeta, Boeinga 727...

– Czy któryś z was wie, co się naprawdę dzieje z tymi wszystkimi wpływami? – zapytał Selden.

Dodo, siedząca z drugiej strony Seldena, nachyliła się do Janey przed samym jego nosem.

– Wiesz, ja też byłam modelką – szepnęła.

– Naprawdę? – Janey udała zainteresowaną.

– Przez dwa miesiące – zadrwiła Carolina. – A ja przez cały rok.

– Halo? Mylisz się, moja droga – oznajmiła Dodo. – Przez dwa lata reklamowałam kostiumy kąpielowe Tropicana.

– Nieważne. Okropny zawód – rzekła Carolina.

– Nie wiem, jak ty to znosisz – zawtórowała jej Dodo. – To takie nudne. No i każdy fotograf przystawia się do ciebie...

– Macie rację – przyznała Janey. – To okropny zawód. Ale wiecie, co jest najdziwniejsze? – Upiła wina z kieliszka. – Prawie każda ładna dziewczyna, jaką w życiu poznałam, była kiedyś modelką albo chciała nią zostać.

– No cóż – powiedziała Janey z przekąsem, kiedy już siedzieli w samochodzie. – Ta córeczka sąsiadów była miła.

– Wszyscy byli mili. To świetni ludzie – powiedział Selden.

Janey zachnęła się. Nie wiedząc czemu, poczuła nagły gniew.

Kłótnia wisiała w powietrzu.

– Constance była słodka jak zawsze – powiedziała – ale chyba coś z nią nie tak. Może ma zaburzenia pokarmowe?

– To bardzo ciekawa osoba, trzeba tylko spróbować z nią porozmawiać – rzekł Selden.

– Aha. Jasne... – Janey wbiła wzrok w okno. Ciekawe, kiedy zaczną się

kłócić. Jeśli zdążą dojechać do domu, być może wszystko rozejdzie się po kościach.

Selden uznał tę zdawkową odpowiedź za ustępstwo.

– Dodo, żona Marka, to dusza towarzystwa.

– Racja – przyznała Janey bez entuzjazmu – za to nie umie gotować.

Myślisz, że od surowej jagnięciny można się rozchorować?

– Robi świetną karierę – ciągnął Selden. – To jedna z najlepszych dziennikarek.

Nie mógł zrozumieć, czemu Janey nie odnalazła się w tym gronie. Jego pierwsza żona, Sheila, miała mnóstwo przyjaciółek i nigdy najmniejszych problemów w kontaktach z żonami jego znajomych z pracy.

– Prawdę mówiąc – rzekł, rozluźniając krawat – to żadnej z nich nie pozwoliłaś się dziś do siebie zbliżyć.

– Ja? – Janey odwróciła się do niego z wyrazem zdumienia na twarzy.

Ale głupi ci mężczyźni! – To one od samego początku mnie znienawidziły. Widziałeś, jak ta Dodo na mnie spojrzała, kiedy przyszedliśmy? A nie słyszałeś, co wygadywały o modelkach?

– Może to przez tę sukienkę! – wybuchnął Selden. Stało się. Powiedział to na głos. Zapewne był to błąd, ale przynajmniej nareszcie mu ulżyło...

Janey potrząsnęła głową z niesmakiem.

– Twoim kolegom się podobała – zauważyła cierpko.

Tego już za wiele, pomyślał. Skąd te ciągłe kłótnie? Za każdym razem, kiedy próbował z nią kulturalnie porozmawiać, kończyło się bezsensowną szarpaniną, do złudzenia przypominającą ich pierwszą rozmowę na

bankiecie u Mimi Kilroy. Do tej pory uważał, że były to tylko uwodzicielskie zaczepki, kokieteryjna gadka, która miała skończyć się łóżkiem, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem jej wrogość już wtedy nie była sygnałem poważnej różnicy poglądów i wartości. I do tego to kłamstwo o produkowaniu filmów...

– Wydaje mi się, że musimy porozmawiać – oświadczył.

– Tak? – zadrwiła. – A o czym? Może uważasz, że miałam siedzieć cicho i znosić tę ich bezczelność?

– Dobrze – odpowiedział – na ich zachowanie nie mam wpływu. Ale dlaczego im naplotłaś, że produkujesz filmy?

– A dlaczego nie? – W jej oczach błysnął ogień.

– Bo to nieprawda – niemalże krzyknął.

Kiedy Selden tracił cierpliwość, Janey zwykle już miała go w garści.

Tak było i tym razem. Założyła ręce na piersi i powiedziała zimno:

– Nikt nie będzie mnie łajał jak małą dziewczynkę. Nawet pan, panie Rose.

I skończyło się na tym, że musiał się tłumaczyć.

– Nie łajam cię. Chcę tylko wiedzieć, po co to było. Jesteś moją żoną, do cholery...

– I pewnie sądzisz, że będę ci się ze wszystkiego spowiadać? – To był manewr, który miał go odciągnąć od sedna całej rozmowy. Ale on znał już tę sztuczkę, przynajmniej tę jedną.

– Janey – westchnął – przecież ty nie produkujesz filmów. A ten scenariusz? Co to za brednie?

Scenariusz! Mało brakowało, a wydałby się jej sekret! Trzeba było się bronić:

– Być może jeszcze niczego nie wyprodukowałam ani nie napisałam.

Ale wszystko do czasu. Dowiedz się, że wiązę z tym bardzo, bardzo poważne plany na przyszłość. Więc jeśli ci to nie odpowiada, najlepiej powiedzmy to sobie od razu.

Przez jedną chwilę Selden nie wiedział, czy ma się śmiać, czy chwycić ją za ramiona i potrząsnąć jak dzieckiem – może udałoby mu się wytrząsnąć z niej prawdę. Bo Janey nie miała zielonego pojęcia, jak wygląda praca producenta ani jak robi się film; po kilku dniach zabawy w filmowca znudziłaby się tym i wróciła do swojej ulubionej czynności – kupowania.

– Rób, jak uważasz.

– Dziękuję – odpowiedziała. Wsunęła palec do ust i odwróciła wzrok.

Prawdę mówiąc, nie miała żadnych planów związanych z produkcją filmów; gdyby Selden nie drążył tematu, nigdy by o tym nie wspomniała.

Ale teraz ten pomysł wydał jej się dobry. Reakcje Dodo i Caroliny wskazywały na to, że producent cieszy się szacunkiem, którego Janey tak pragnęła. Oczywiście tamto kłamstwo było niezamierzone, ale właściwie, skoro już zdecydowała, że będzie to robić, to nie było już kłamstwo... I niech Selden myśli sobie, co chce.

Wyjrzała przez okno. Wyjechali już na autostradę i mknęli z powrotem do miasta. Samochód mijał stacje benzynowe, billboardy, domy z tandetnych materiałów. Co to za życie w takim miejscu, pomyślała, czując

nagłą ulgę, że ma już ten wieczór za sobą.

– Proszę cię – dotknęła dłoni męża w pojedynczym geście – nie kłóćmy się już. Szczególnie o jakichś tam ludzi, których pewnie nigdy więcej nie spotkam...

Wyrwał rękę ze złością. Czy to możliwe, że między nimi nie było żadnego porozumienia?

– Oczywiście, że jeszcze ich spotkasz – oświadczył. – Zwłaszcza jeśli zamieszkamy w Greenwich. Będiesz ich widywać codziennie...

– Mamy tam mieszkać? – wykrzyknęła przerażona.

– Nie inaczej – powiedział, siląc się na cierpliwość. – Od początku to planowaliśmy.

– Naprawdę? – Wpadła w panikę. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek rozmawiali o Greenwich, jak tylko przy okazji tej dzisiejszej kolacji u znajomych. Przeprowadzka tam oznaczała śmierć, tego Janey była pewna. Zostałaby zwykłą kurą domową – mogłaby nawet skończyć jak ta Dodo...

– Mark słyszał, że do kupienia jest świetny dom na ich ulicy, nad samą wodą. Moglibyśmy trzymać tam łódź. Pamiętasz, jak fajnie było w lecie na łodzi?

Spojrzała mu w oczy. Była w nich nieustępliwość i wyzwanie do kolejnej walki. Jego twarz była niewzruszona. Kobięcy instynkt podpowiedział Janey, że to nie pora na następną kłótnię; poddała się.

– Jasne – mruknęła wymijająco. – Byłoby super.

Selden natychmiast się uspokoił. Najwidoczniej pomyślał, że kryzys

został zażegnany, bo wziął ją za rękę.

– Nie wiem, czy jest tam przystań, ale możemy ją zbudować, a w tym domu zmieści się wszystko, czego nam trzeba. Jeśli chcesz, możemy urządzić nawet salę do ćwiczeń...

Ćwiczenia fizyczne należały do jej najmniej ulubionych rozrywek, ale mimo to przyznała:

– To brzmi nieźle...

– Zadzwoń jutro do Marka i zapytam o tego agenta nieruchomości.

Ziewnęła, żeby pomyślał, że jest śpiąca. Przytuliła się do niego, kładąc głowę na jego ramieniu. Po chwili Selden zaczął gładzić jej włosy.

Zamknęła oczy, choć wcale nie była zmęczona. Jej umysł pracował gorączkowo, obmyślając sposoby wybrnięcia z tej sytuacji. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że małżeństwo z Seldenem Rose'em może się okazać poważnym błędem. Przed oczyma stanął jej George i jego apartament.

Powiedziała, że nie potrafiłaby mieszkać w takim miejscu, ale teraz kiedy wyobraziła sobie życie w Greenwich, zrozumiała, że to nieprawda, że niczego bardziej nie pragnie, niż mieszkać w najwspanialszym apartamencie w Nowym Jorku. Gdyby miała choć odrobinę oleju w głowie, zainteresowałaby się George'em i wyszłaby za niego już dawno temu.

George... Ta myśl ją pobudziła. George – pieniądze i władza. To był mężczyzna dla niej.

## **Rozdział 9**

Nad skrzyżowaniem Piątej Alei i Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy wisiała

gwiazda wigilijna o ramionach trzymetrowej długości. Latarnie przybrano wieńcami, a na wystawach sklepowych pyszniły się odświętnie wystrojone manekiny. Grudzień roku 2000 był dojmująco zimny. Średnia temperatura wynosiła minus cztery stopnie, ale sklepy i restauracje były pełne klientów pragnących wydać jak najwięcej. Działo się tak z dwóch powodów: do łask powróciły futra i zapanowała moda na rozrzutność. Kupowano wszystko: od plastikowych zegarków wysadzanych prawdziwymi brylantami po buty z czerwonej krokodylej skóry za pięć tysięcy dolarów. Najważniejszą strefą erogenną ogłoszono brzuch, który bez względu na chłód obowiązkowo musiał być odsłonięty, natomiast kalifornijscy chirurdzy plastyczni reklamowali nową usługę: za pewną opłatą kobiety mogły poddać się zabiegowi odmłodzenia narządów płciowych.

– A po co to komu? To grzech poprawiać dary od Boga! –

zawyrokowała Pippi Maus z oburzeniem. Wychodziły właśnie we trójkę z restauracji Ciprianiego. Pippi była lekko wstawiona; Janey poznała ją już trochę i wiedziała, że nigdy nie bywa ona zupełnie trzeźwa. Dawało jej to poczucie wyższości nad Pippi, chociaż akurat tego dnia też co nieco wypila.

– Tak uważasz? – zapytała, myśląc jednocześnie, że u Pippi jest to prawdopodobnie jedyna część ciała, która zachowała swój pierwotny kształt.

– Mimi nic nie rozumie – parsknęła Pippi. – Z wiekiem tam na dole wszystko się zmienia.

– Co konkretnie? – spytała ostro Mimi.



– No, wiesz. Wargi... rozciągają się! – Pippi wybuchnęła śmiechem,

łapiąc Janey za ramię. – Ja spałam już z tyloma facetami, że mam tam rozpadlinę jak Wielki Kanion!

– W życiu nie słyszałam podobnej bzdury. – Mimi naciągnęła rękawiczki. – Ale zaczynam się martwić. Chcesz powiedzieć, że jeśli... ktoś... mi tam zajrzy, to pomyśli, że jestem stara?

– Ktoś, to znaczy Zizi? – palnęła Pippi i zakryła usta, jakby nagle dotarło do niej, że wypaplała sekret. – Oczywiście, że dla niego jesteś stara. – Pippi była na bakier z dobrym wychowaniem. Brakowało jej manier tak samo jak wdzięku; nie nauczyła się nawet dobrze chodzić na szpilkach, skutkiem czego zawsze niezdarnie kuśtykała. Jej niepewny chód i głośne gadanie zaczynały zwracać uwagę przechodniów, rozpoznających w niej aktorkę.

– Przestań, Pippi – poprosiła Janey, usiłując opanować sytuację. – Chcesz znów trafić do gazet na strony z plotkami?

– Ja z nich nigdy nie znikam – pochwaliła się Pippi. – I oświadczam, że gazety zawsze kłamią.

– Idziemy na piechotę czy jedziemy samochodem? – zapytała Mimi.

– Jedziemy – zdecydowała Janey, spoglądając na Pippi. Nauczyła się ją „kochać” i „uwielbiać”, a nawet potrafiła przyznać rację Mimi, kiedy mówiła, że Pippi to „histeryczka”. Jednak w skrytości ducha miała serdecznie dość niańczenia Pippi Maus, która folgowała sobie we wszystkim: piła, brała kokainę, lubiła zamykać się w łazience z ledwie co poznanym facetem i często kończyła imprezy pod stołem. Kiedy znikwała,

trzeba było jej szukać, a szczęśliwy znalazca musiał koić jej napady hysterii. Trudno było przewidzieć, czego będą one dotyczyć: Pippi równie łatwo płakała z powodu urojonej zniewagi, jak snuła plany morderczej zemsty na kimś, kto ją skrzywdził. Janey wcale nie pragnęła jej towarzystwa, ale nie dało się go uniknąć, bo ostatnimi czasy Pippi przykleiła się do Mimi.

– W każdym razie – ciągnęła dalej Pippi (kiedy była pijana albo na haju, robiła się nachalna i uparcie kontynuowała temat, nawet gdy nikt już nie chciał jej słuchać) – ty, Mimi, jesteś od niego starsza o dwadzieścia lat. Nie można spać z facetem o dwadzieścia lat starszym i nie uważać go za obrzydliwego dziada.

– Można – sprzeciwiła się Janey.

– Ty gustujesz w starszych panach – zbyła ją Pippi. Janey musiała się bronić:

– Selden nie jest stary.

– Ma co najmniej piętnaście lat więcej od ciebie, o ile podajesz swój prawdziwy wiek...

– Pippi! – ostrzegła ją Mimi, dając ręką znak swojemu kierowcy.

– Co? – Pippi wzruszyła ramionami. – Nie myślcie, że ja nie odejmuję sobie lat...

– Nie musisz – przypomniała jej Mimi. – Nie zapominaj, że poznałam cię, kiedy byłaś dziesięciolatką.

Przy chodniku zaparkował czarny mercedes. Wysiadł z niego

Muhammad i otworzył tylne drzwi.

– Dziękuję – powiedziała Mimi. Wsiadły we trójkę i samochód włączył się w świąteczną procesję pojazdów pełznących Piątą Aleją. Przejechanie dziesięciu przecznic mogło zająć kwadrans, ale Janey to nie przeszkadzało. Bo przecież jaki to szyk jeździć prywatnym mercedesem z szoferem! Jak wspaniale być bogatą i chodzić w futrach, jadać w najbardziej ekskluzywnych restauracjach w mieście, upijać się na wesoło szampanem, być piękną i mieć piękne i sławne przyjaciółki. A w dodatku ten dzień był szczególnie, bo jechały do Christie's na aukcję. Janey przesunęła palcem po szybie, uśmiechając się na myśl o tym, jak cudownie jej się wiedzie. W grudniu trafiła na okładkę świątecznego katalogu Victoria's Secret.

Prezentowała komplet bielizny wysadzany brylantami, dostarczony do studia przez uzbrojonego ochroniarza; w tym samym komplecie wystąpiła później na konferencji prasowej, a ochroniarz przez cały czas stał nie dalej niż metr od niej. Ale ostateczny cios zadała wszystkim okładka „Maxima”, na której Janey pojawiła się w stroju składającym się zaledwie z kilku pasków czarnej skóry nabitych srebrnymi ćwiekami. Kontrast pomiędzy obydwoma wizerunkami z okładek – anielska dobroć kontra wyuzdane zło – przysporzył jej niesłychanej reklamy; wspomniały o niej wszystkie programy rozrywkowe.

Siedząca obok niej Pippi zaczęła się wiercić, szukając papierosów w torebce.

– A jak tam Selden? – zapytała.

– Idealnie nam się układa – oświadczyła Janey. Nie była to do końca prawda, ale nie zamierzała skarżyć się na męża akurat Pippi Maus. Można

powiedzieć, że odkąd jej zdjęcia trafiły na te dwie okładki, zawarli jakiś milczący pakt i Selden przestał wspominać o domu w Greenwich. Janey podejrzewała, że zmienił zdanie, kiedy zrozumiał, że jego żona jest obiektem pożądania milionów mężczyzn, niemniej wołała nie wiedzieć zbyt wiele. Ostatnio Selden zrobił się uległy jak mały piesek i był na każde jej zawołanie, tak jak w pierwszych dniach po ślubie, a kiedy czasem wspominał o wyprawdzie, Janey wzdychała ze smutkiem i mówiła:

– Bardzo bym chciała, ale mam tyle zajęć... Co robić?

Ale uwagi Mimi – to już było coś innego.

– Janey, czy dzwoniłaś już do Brendy Lish? Zapewniam cię, że jeśli twoje małżeństwo się rozpadnie, to tylko dlatego, że dostaniecie fioła od mieszkania w hotelu.

Janey wybuchnęła dźwięcznym, radosnym śmiechem.

– Selden rzadko bywa w domu, a poza tym nie zwraca uwagi na to, co go otacza.

Pippi zaciągnęła się mocno. Janey uchyliła okno, zdenerwowana paleniem w samochodzie. Do środka wtargnęło zimne powietrze.

– Ale nie tak dawno zwrócił jednak uwagę na Wendy Piccolo w Dingo's – zauważyła Pippi. – Dziwne... Ona jest taka niska, że nikt by jej nie zauważył.

Janey nie przestawała się uśmiechać, ale w jej oczach błysnęło wyzwanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała. – Że Selden ma romans?

– Wiemy dobrze, że nie – ucięła dyskusję Mimi. – Jesteście dopiero

trzy miesiące po ślubie, ale jeśli nie znajdziecie sobie w końcu własnego mieszkania...

– Znam mnóstwo facetów, którzy zdradzali narzeczone ostatniej nocy przed ślubem. – Pippi nie dała sobie przerwać. – Znam nawet jednego, który wyjechał z żoną w podróż poślubną, a w pokoju obok zamelinował kochankę.

– Wydaje ci się, że to jest powszechne, bo wszyscy twoi znajomi to aktorzy – odparła Janey.

– Ja też jestem aktorką. – Pippi uniosła się zawodową solidarnością. Janey zaśmiała się ubawiona jej arogancją. Pomyślała, że nigdy nie zdoła polubić Pippi, choćby spędziła z nią pół życia. Pippi rywalizowała ze wszystkimi, co dla Janey było żalosne, zwłaszcza że nie uważała jej za godną przeciwniczkę. Kiedyś w rozmowie z Mimi wytknęła jedną z wad urody Pippi.

– Przecież ona ma nos jak szpikulec!

– Wiem – odparła Mimi – ale dla mężczyzn to jest seksowne.

Janey uśmiechnęła się wtedy znacząco. Jej zdaniem jedyną seksowną rzeczą, jaką mężczyźni widzieli w Pippi, była jej nieustająca ochota na pieprzonko.

– Poza tym Selden nie jest z tych, którzy zdradzają – oświadczyła twardo Mimi. – Możecie mi wierzyć, że to Janey pierwsza będzie miała romans.

Odniesienie do jej związku z Zizim wydawało się oczywiste, choć nie padło jego imię. Po chwili Janey rzuciła bez troski:

– Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym zdradzić Seldena. Mam to szczęście, że wyszłam za mąż z miłości.

Nie było to do końca zgodne z prawdą, bo zbyt często Janey wyrzucała sobie, że pod tym względem się oszukuje. Ale tyle razy już wyznała publicznie miłość do męża – na konferencjach prasowych, na czerwonym dywanie, na przyjęciach, kiedy gratulowano jej z okazji ślubu – że zaczęła robić to machinalnie.

– A ja nie! – oznajmiła Mimi stanowczo, jakby chciała dowieść, że miłość się nie liczy.

– Przecież go kochasz – powiedziała Janey.

– Kocham, ale nie jestem zakochana – odparła Mimi i dodała szybko: – Nie mówmy o George'u.

– Dobrze – zakwiliła Pippi. – W takim razie pogadajmy o Zizim. Co mu kupisz na gwiazdkę?

– Zegarek. – Mimi była zdecydowana. – Ostatnio mówi tylko o tym, że chciałby mieć porządny zegarek. Czuje się gorszy i trudno mu się dziwić.

Wszyscy faceci w tym mieście noszą zegarki za piętnaście tysięcy.

Janey chciała z czystej złośliwości parsknąć szyderczym śmiechem, ale powstrzymała się. Odwróciła twarz do okna i włożyła palec do ust, ssąc rękawiczkę. Odkąd Zizi zamieszkał w Nowym Jorku, zmienił się bardzo, i to na gorsze. Janey widziała to już setki razy. W Hamptons Zizi był wzorem dobrego zachowania: zawsze uprzejmy, o nienaganej reputacji.

Nowy Jork to jednak co innego niż Hamptons; na człowieka czyha tutaj więcej pokus. Bardzo szybko Zizi zdobył sławę hulaki, którą zawdzięczał

częstym balangom do białego rana. Sławie tej towarzyszyła opinia łajdaka.

Jego urokowi nie mogła się oprzeć żadna kobieta – krążyły plotki, że co noc miewa ich kilka – a Janey nawet słyszała od Patty, że każda, która go zaliczyła, dołącza do tajnego „klubu Ziziego”.

Co z tego, kiedy Mimi była głucha na te wieści! Janey wspomniała ze złością, jak nieraz próbowała ją przekonać, że Zizi jest inny, niż się jej wydaje, ale Mimi nie chciała słuchać, uważając, że Janey jest zazdrosna.

Nic bardziej mylnego: za każdym razem, kiedy Janey słyszała o nowej przygodzie Ziziego albo widziała go z jakąś czarującą panienką, była zadowolona, że się go „wyrzekła” (tak to sobie tłumaczyła). Tymczasem Mimi wciąż płaciła czynsz swojego kochanka, a Janey tylko czekała, kiedy znajdzie on sobie stałą bogatą partię. Uwielbiał pieniądze ponad wszystko, więc na pewno połaszczy się na jakąś rodzinną fortunę, a Mimi oszaleje z rozpaczy... Janey wyobrażała już sobie, jak Mimi Kilroy, kobieta o nienagannych manierach, toczy pianę z ust...

Minęli sklep Tiffany'ego, przed którym stała długa kolejka

zniecierpliwionych turystów. Janey przygryzła koniuszek rękawiczki.

Zawsze szczyliła się tym, że potrafi rozpracować każdego faceta, a także tym, że nigdy nie wmawiała sobie, że któryś z nich chce od niej czegoś innego, kiedy w rzeczywistości myślał o jednym. W skrytości ducha nie znosiła kobiet, które, tak jak Mimi, celowo się okłamywały. Przyjaźń z

Mimi wymagała jednak od Janey, aby przemilczała także prawdę o Zizim.

Tylko co się stanie, kiedy nie będzie mogła już dłużej kłamać?

– A wujaszek George? Co mu kupisz? – zapytała Pippi. Janey zawsze

raziła zupełnie niestosowna poufałość Pippi, ale Mimi niczego nie zauważyła.

– Parę spinek do koszuli – rzuciła niedbale. – Byle były stare i oryginalne. Może platynowe, z Asprey's? Będzie zadowolony, jeśli tylko okaże się, że są niepowtarzalne i że nikt takich nie ma.

– Uważam, że George ma doskonały gust – powiedziała Janey. Mimi parsknęła głośno i poklepała ją po dłoni.

– Tylko mi nie mów, że wpadł ci w oko mój mąż. Chociaż właściwie... pasujecie do siebie. Chcesz go – próbuj szczęścia, nie wiem tylko, po co ci dwóch mężów... Przy George'u będziesz musiała wiele się nauczyć o dekoracji wnętrz!

Śmiech Mimi nie ustawał i był zaraźliwy; nawet Pippi zaczęła się śmiać. Samochód zatrzymał się i wysiadły. Janey czuła, że jest cała w pąsach. Od czasu rozmowy w apartamencie jej myśli błądziły wokół George'a, gdy spotykała go przypadkiem na przyjęciach, była przekonana, że „coś” ich łączy, choć do niczego nigdy nie doszło, bo nie byli przecież sam na sam.

– Moim zdaniem George jest bardzo miły – mruknęła pod nosem.

Mimi zaśmiała się ponownie.

– Jest najlepszy na świecie, moja kochana, bez dwóch zdań. A ja naprawdę go uwielbiam...

Weszły do domu aukcyjnego. Janey była bardzo ciekawa, co George sobie pomyśli, kiedy porówna spinki od Mimi ze swoim prezentem dla niej...



Minęły dwie godziny. Janey stała przy stanowisku kasjera w domu aukcyjnym Christie's, płacąc kartą American Express za naszyjnik z czarnych pereł. Naszyjnik kosztował pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a karta należała do Seldena. Janey wciąż jeszcze nie ochłonęła po licytacji; wygrała targ na aukcji! Śmiałą ręką podpisała rachunek: „Janey Wilcox Rose”, z rozmysłem nie patrząc na sumę, która po doliczeniu podatku wynosiła około pięćdziesięciu czterech tysięcy. Dom aukcyjny zaproponował jej wysłanie naszyjnika poza granicę stanu, aby uniknąć płacenia podatku obrotowego, ale Janey roześmiała się tylko, mówiąc, że skoro Seldena stać na klejnoty, to stać go i na podatek.

– I tutaj się mylisz – ofuknęła ją Mimi. – Mężczyźni chętnie wydają pieniądze, jeśli wiedzą, że coś z tego będą mieli, ale nie znoszą niepotrzebnej rozrzutności.

– Zrobisz mu laskę i po kłopotcie – wtrąciła Pippi, żegnając się z nimi.

Pokuśtykała do taksówki. Jej płaszcz z lisów przy każdym kroku rozchyłał się i widać było duże, ciężkie piersi wypychające cienki, zielony sweterek z kaszmiru.

Janey i Mimi stanęły na krawężniku.

– Nie przejmuj się nią – powiedziała Mimi. – Pippi to miła dziewczyna, ale zazdrosna jak diabli. Tobie idzie teraz dobrze, a jej kariera zmierza donikąd... Nawet nie wiesz, jak się wściekła o tę okładkę w „Maximie”.

– Co konkretnie mówiła? – zapytała Janey.

– To, co zwykle: dlaczego ciebie wzięli na okładkę, a nie ją.

– Przecież od trzech lat nie zagrała w prawdziwym filmie –

zaprotestowała Janey – a jej ostatnią produkcję skierowano od razu na wideo.

– To bez znaczenia. Jej się wydaje, że jest wciąż tak samo sławna jak dziesięć lat temu. A my, jako przyjaciółki, pozwalamy jej tak myśleć.

– Ona może nam zaszkodzić – powiedziała Janey, ale Mimi tylko się zaśmiała.

– Pippi jest za głupia, żeby komuś zaszkodzić, chociaż tych twoich perełek nie dałabym jej do ręki. Czasami myślę jej się właściciele różnych rzeczy.

Janey parsknęła śmiechem i odruchowo dotknęła obróżki z czarnych pereł. Była tak zachwycona nowym nabytkiem, że postanowiła założyć go od razu. Po raz kolejny zastanowiła się, dlaczego Mimi przyjaźni się z kimś pokroju Pippi Maus. Mimi, jakby czytając w jej myślach, powiedziała szybko:

– Wiem, że Pippi jest męcząca i pomyłona, ale znam ją od dziecka i jest dla mnie jak młodsza siostra. Jej matka chrzestna przyjaźniła się z moją matką, a Pippi i jej siostra właściwie nie miały rodziny, więc spędzały u nas każde lato. Poza tym nikt nie jest doskonały – ja jestem świadoma swoich wad i w tym wieku wolałabym już, żeby przymykano na nie oczy.

Coś dziwnego dzieje się z człowiekiem po czterdziestce. Bycie uprzejmym dla innych zaczyna mieć wartość.

Janey zachichotała, żeby pokryć zażenowanie. Było jej wstyd, że tak się zdradziła ze swoimi myślami.

– Nie zamierzałam... – zaczęła.

– Wiem – przerwała jej Mimi. – Chciałam powiedzieć tylko tyle:

bądźmy miłe dla Pippi, bo wiemy, co ona przeżywa. Jest u kresu sił, boi się, jest zrozpaczona, a do tego nie ma pieniędzy ani mężczyzny, który by się nią zajął. Nic dziwnego, że czuje się podle.

– Masz rację – przyznała Janey. Mimi uśmiechnęła się i uścisnęła jej ramię.

– Muszę lecieć – powiedziała. – Obiecałam odebrać dzieciaki George'a z lotniska. Zobaczymy się jeszcze dzisiaj?

Janey skinęła głową, obserwując Mimi spieszącą do samochodu.

Podziwiała jej małe, eleganckie gesty: pojedyncze stuknięcie w szybę, żeby zwrócić uwagę kierowcy, a potem wdzięczne skłonienie głowy w oczekiwaniu, aż wysiądzie i otworzy jej drzwi. Mimi zebrała poły swojego futra, lecz zanim wślizgnęła się na tylne siedzenie, zawołała do Janey:

– Jeśli Selden będzie marudził, kiedy pokażesz mu perły, powiedz, że to ja siłą cię na nie namówiłam!

– Tak zrobię! – odkrzyknęła Janey. Odprowadziła samochód Mimi wzrokiem i podążyła w górę Madison Avenue. Cieszyła się spokojnym, szarym niebem i mroźnym grudniowym powietrzem, w którym wisiała ta szczególna, napięta cisza, zwiastująca śnieg. Twarze przechodniów jaśniały szczerą radością, jakby sama zapowiedź śniegu oznaczała prawdziwy początek sezonu świątecznego.

Pierwszy śnieg zawsze był dla Janey szczególnym momentem. W tym dniu mogło zdarzyć się wszystko. Ponownie dotknęła pereł na szyi, myśląc, że to dobry znak, iż kupiła je, gdy spadł pierwszy śnieg, ale już po

chwili jej radość przygasła na myśl, co powie Selden. A powie to, co zwykle. Choć opływał w pieniądze – dyskretnie go wypytyjąc, doszła do wniosku, że jest wart co najmniej trzydzieści milionów – to w kwestii ich wydawania miał poglądy rodem wprost z klasy średniej. Kiedy dowiadywał się o jej nowych zakupach, jego ulubione powiedzonko brzmiało:

– Jesteś pewna, że to ci potrzebne?

Pewnego razu, mając już tego dość, odgryzła mu się:

– A czy tobie jest potrzebny wóz za pół miliona?

Na co on odparł zimnym tonem:

– Jeśli pytasz o jaguara, to jest on dziełem sztuki. Nigdy go nie sprzedam.

Janey postanowiła, że właśnie to mu powie, kiedy zapyta o perły: one też są dziełem sztuki! Jednak kiedy lawirowała wśród świątecznego tłumu, znów przyszło jej na myśl, że świat jest niesprawiedliwy, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Mimi wydała o wiele więcej niż ona. Kupiła za dwadzieścia tysięcy dolarów złoty zegarek dla Ziziego, a do tego jeszcze brylantowy naszyjnik dla siebie – za sto pięćdziesiąt tysięcy. Kiedy tylko zobaczyła go za szkłem, na granatowym aksamicie, zawołała, że musi go mieć.

Janey stała obok niej, dręczona myślą o kupnie pereł. Jak bardzo żałowała, że to nie ona jest żoną George'a! Jak wspaniale musi czuć się kobieta, która może sobie pozwolić na wszystko, czego zapragnie...

– Takie perły to dziś rzadkość. – Mimi poleciła wyjąć naszyjnik z

gabloty. Perły miały głęboki kolor grafitu i opalizowały mlecznym poblaskiem. Każda z nich miała jedenaście milimetrów średnicy, akurat tyle, żeby olśnić patrzącego, ale nie sprawiać wrażenia sztucznej. – W każdym razie nowe – ciągnęła wykład Mimi, przykładając perły do szyi. – Te są całkowicie naturalne. Wyhodowanie ich musiało trwać całe lata, szczególnie że każda ma jednakowy rozmiar. Czarne perły są bardzo eleganckie. I do wszystkiego pasują... Moja babcia miała sznur czarnych pereł. Założyła go na wizytę na dworze angielskim, kiedy przestawiono ją królowej Elżbiecie. – Janey poczuła nagły strach, że Mimi dokupi sobie jeszcze te perły do brylantowego naszyjnika. Postanowiła, że musi je mieć. – Naprawdę są piękne. – Wzięła naszyjnik od Mimi i założyła go, zachwycając się ich pyszną szarością na tle swojej mlecznej szyi. O ile lepiej wyglądały tutaj, na młodej skórze, niż u Mimi... Oczywiście brylanty przyjaciółki przebijały wszystko, ale perłami też nie można pogardzić.

– Kupię je – zdecydowała.

– Świetnie – ucieszyła się Mimi. – Jeśli cena nie przekroczy pięćdziesięciu tysięcy, to będzie zupełny bezcen...

Janey zasiadła więc w trzecim rzędzie krzeseł na dusznej sali aukcyjnej, imponując wyglądem – miała na sobie koronkową bluzkę z aksamitnymi aplikacjami, obcisłą tweedową spódnicę i zamszowe buty – i raz po raz unosiła numerek. Jej przeciwnikiem w licytacji był elegancki mężczyzna o wyglądzie geja. Reprezentował zapewne żonkę jakiegoś nuworysza; nowobogaccy nie mają dość gustu, żeby docenić wartość takich pereł.

Janey, ogarnięta wirem licytacji, to czuła strach, to znów podniecenie, w miarę jak stawka zbliżała się do pięćdziesięciu tysięcy. Nie uświadamiała sobie ironii faktu, że sama należy do nowobogackich i właśnie lekką ręką wydaje nuworyszowskie dolary swojego świeżo poślubionego bogatego męża. Myślała jedynie o tym, jak wytwornie będzie wyglądać w gustownych czarnych perłach i że jeśli to okaże się konieczne, chętnie odda się Seldenowi, mając je na szyi...

– Sprzedane! Kupuje piękna dama! – zawołał nareszcie licytator. Janey poczuła, jak zalewa ją radość zwycięstwa. Była bliska omdlenia. Poczucie triumfu zagłuszyło wyrzuty sumienia – przecież walczyła tak długo i dzielnie, że zasłużyła na tę nagrodę. W końcu są na świecie takie kobiety (na przykład Mimi), dla których podobne aukcje to chleb powszedni...

Janey kroczyła niespiesznie Pięćdziesiątą Ulicą, wciąż ogarnięta euforią zwycięstwa, rozkoszując się nim, czując niemalże jego smak, metaliczny posmak bogactwa. Nagle pomyślała o biednej Pippi, której na nic nie stać.

Przystanęła przed pasażem handlowym na Park Avenue, podziwiając dekorację, drucianego renifera przybranego białymi światełkami. Ze wstydem przypomniała sobie, jak niemiłosiernie zakpiła z Pippi.

Postanowiła wziąć przykład z Mimi i naśladować jej spokój, ciepło i umiejętność spojrzenia na ludzi z dystansu; jeśli nauczy się oceniać motywy zachowań innych osób bez patrzenia przez pryzmat własnych kompleksów, to lepiej będzie sobie radzić w życiu. Ale już po chwili powróciła jej odwieczna zazdrość: gdyby wychowała się w takim domu jak Mimi, wolnym od wszelkich trosk, byłoby jej łatwiej być miłą dla

innych. Zwalczyła jednak w sobie to uczucie. W obecnej sytuacji nie miała już powodów, żeby zazdrościć Mimi, a poza tym była ona jedyną osobą, którą Janey szczerze podziwiała.

Minęła róg Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. W oddali zamajaczyła jej znajoma szkocka krata na logo sieci Burberry. Postanowiła wpaść do sklepu i kupić jakiś drobiazg dla Seldena – portfel albo brelok do kluczy. Może mały prezent odwróci jego uwagę od pereł, zwłaszcza że jeszcze nigdy nic od niej nie dostał.

Sprawa prezentu przypomniła Janey o zegarku, który Mimi kupiła dla Ziziego. Biedna Mimi! Janey nie wyobrażała sobie, że mogłaby kiedykolwiek utrzymywać mężczyznę. Nawet na myśl o zapłaceniu za wspólny obiad dostawała mdłości. Zdarzyło jej się przed kilkoma laty (miała wtedy pod trzydziestkę), że zgodziła się umówić na „randkę” z niesamowicie przystojnym początkującym aktorem; szczytem jego dotychczasowej kariery była rólka w najnowszym filmie Woody'ego Allena. Wybrali się w sobotni wieczór do jednej z tych okropnych hamburgerowni na Trzeciej Alei, gdzie na stolik trzeba czekać trzy kwadransy. Kiedy przyniesiono rachunek, on otworzył portfel i z zakłopotaniem oświadczył, że nie ma przy sobie pieniędzy. Poprosił ją o pożyczkę i obiecał oddać wszystko następnego dnia. Janey też była wtedy spłukana – ostatnie czterdzieści dolarów miało jej starczyć na dwa dni. Zapłaciła za posiłek, w myślach wyrzucając sobie, jak nisko upadła; nie dość, że sama do niczego nie doszła, to jeszcze umówiła się z nieudacznikiem.

Lecz to nie był koniec nieszczęść tego wieczoru. Przyszły gwiazdor chciał być szarmancki (to miał pewnie być rewanz za pustą kieszeń) i uparł się, że odprowadzi Janey do domu. Kiedy doszli na miejsce, wszedł za nią do mieszkania i tam jego ogłada raptownie wyparowała. Próbował ją pocałować, a kiedy go odepchnęła, zwyzywał ją ordynarnie, krzycząc, że jest „bogata dziwką”, która „patrzy na niego z góry” (w tym jednym się przynajmniej nie mylił). Potem odstawił żalosną scenę: próbował ją zgwałcić, ale jego penis był mały i nie chciał mu porządnie stanąć. Kiedy zrozumiał, że nic mu z tego nie wyjdzie, wyszedł wściekły, a na odchodnym uderzył ją w twarz tak mocno, że upadła na podłogę. Następných kilka godzin Janey spędziła w łóżku, przykładając do policzka woreczek lodu. Oszalałaby chyba ze strachu o swoją twarz, gdyby nie to, że od dłuższego czasu już nigdzie nie pozowała, a następny kontrakt miała dopiero za dwa tygodnie. Dzwonić na policję nie było w zasadzie po co; samotna dziewczyna bez stałej pracy, bez nikogo, kto by się zainteresował, gdzie jest i co robi, musi być gotowa na takie wypadki i umieć sama się obronić. Najbardziej było jej szkoda wydanych czterdziestu dolarów, bo to oznaczało, że jeśli następnego dnia nie chce głodować, musi zadzwonić do jednego ze swoich „przyjaciół” i naciągnąć go na obiad. Przy odrobinie szczęścia być może uda się mu wmówić, że jest zmęczona i wykręci się od pójścia z nim do łóżka...

Przed sklepem Burberry stał uśmiechnięty portier w uniformie.

Otworzył przed Janey drzwi i grzecznie ją powitał. Kiedy tylko znalazła się w środku, przypomniała sobie, jak bardzo uwielbia zakupy w



markowych sklepach, z miłą i fachową obsługą... Wystrój wnętrza był utrzymany w tonacjach beżu i w zagadkowy sposób kojarzył się z ciepłym kocem. Rozglądając się w poszukiwaniu stanowiska z dodatkami, Janey zauważyła parę wysokich do kolan butów na obcasie, wykonanych z materiału w firmową szkocką kratę Burberry. Ogarnęło ją przyjemne podniecenie, bliskie seksualnej ekstazie. Podeszła wolnym krokiem do półki, gdzie stała upatrzona para butów, wzięła jeden z nich do ręki i głośno zawołała:

– Muszę je mieć!

U jej boku natychmiast pojawił się przystojny młody sprzedawca.

– W czym mogę pomóc, pani Wilcox? – zapytał porozumiewawczym tonem.

– Drogi panie – jej podniecenie wzmógł przyjemny fakt, że została rozpoznana – szalenie mi zależy na tym, żeby nabyć u państwa parę tych butów w moim rozmiarze. Numer dziewięć. Musicie je mieć, inaczej nie wiem, co zrobię...

Sprzedawca oddalił się do magazynu. Janey usiadła na beżowej skórzanej sofie. Prezent dla Seldena całkiem już wypadł jej z głowy.

Ucieszyła się jak dziecko, widząc, że sprzedawca niesie pudełko, ale jego słowa wprawiły ją w rozpacz:

– To już ostatnia para. Bardzo mi przykro, ale to numer osiem i pół...

– To nic, jakoś je dopasuję. – Zdjęła stare buty.

– Zadzwońię do innych sklepów naszej sieci – obiecał. – W Los

Angeles chyba jeszcze mają ten rozmiar...

– Chcę je kupić natychmiast – oświadczyła Janey stanowczo. – Jeśli

będę musiała czekać, stracę całą przyjemność.

– Absolutnie się z panią zgadzam. – Sprzedawca skinął głową.

Janey rozpięła suwak i wcisnęła stopę do środka. Poczwała delikatny

ucisk – po godzinie prawdopodobnie stanie się on nie do zniesienia – ale

przecież buty można rozciągnąć... Nie chciała odmawiać sobie tej

przyjemności. Wsunęła na nogę drugi z pary i wolnym krokiem, kołysząc

biodrami, podeszła do lustra, doskonale świadoma faktu, że podziwiają ją

inni klienci, którzy też pewnie chcieliby mieć takie buty...

Zaczęła fantazjować, jak zwykle kiedy stawała przed lustrem w nowym

stroju. Zobaczyła siebie w tych nowych butach, przechodzącą przez ulicę

jakiegoś egzotycznego miasta, gdzie rosły palmy, a domy miały

oślepiająco białe ściany... Była zupełnie sama i musiała mieć się na

baczności. W torebce spoczywał pistolet...

Nagle usłyszała zmysłowy męski głos:

– Nie ma nic bardziej seksownego niż kobieta w za ciasnych butach...

Obróciła się błyskawicznie. Nie była bynajmniej zachwycona, widząc

Ziziego w kosztownym zamszowym płaszczu koloru czekolady, Ziziego,

który nie stracił absolutnie nic ze swojego powabu. Co on robi w takim

sklepie? Wyjaśnienie było oczywiste: kupuje sobie prezenty za pieniądze

Mimi. Uniosła wyzywająco głowę.

– Wcale nie są ciasne. Leżą idealnie.

– W twoich oczach dostrzegłem ból. – Uśmiechnął się drwiąco.

– To nie dlatego... – Przypomniała sobie swoją fantazję. Czy on ma

specjalny dar wpadania na nią w niezręcznych sytuacjach?

– Przyjmij moje gratulacje – powiedział. – Słyszałem, że wyszłaś za  
mąż.

– To prawda – odparła zimnym tonem. Wróciła na sofę. Nie wiedzieć  
czemu, poszedł za nią i usiadł obok, jakby był jej starym przyjacielem. –  
Jestem bardzo szczęśliwa – poinformowała go. – Mam cudownego męża.

– Selden Rose. Pamiętam go. Robił wrażenie przyjemnego faceta.

– Bo taki właśnie jest. – Janey nagle poczuła irytację. Nazwanie  
Seldena „przyjemnym facetem” zabrzmiało lekceważąco.

– Dobrze wyglądasz. – Zizi zmierzył ją wzrokiem, jakby oceniał klacz.

Janey poczuła, że od tego spojrzenia przechodzi ją dreszcz; jak to  
możliwe, żeby na jego widok ożyły wszystkie wspomnienia minionego  
lata? Lekko drżącą ręką rozpięła buty, wstydząc się trochę, bo miała  
odciski. Nie było ich jednak widać pod beżowymi rajstopami.

– Dlaczego miałabym wyglądać źle? – Skinęła na sprzedawcę. –

Kupuję. – Szeptem przypomniała mu, że ma prawo do

trzydziestoprocentowej zniżki. Zerknęła na Ziziego wyzywająco, w razie  
gdyby śmiał powiedzieć coś niemiłego na ten temat. Prawie wszystkie  
firmowe sklepy udzieliły jej rabatu, jak wszystkim znanym osobom ze  
świata mody, które mogą zostać sfotografowane w strojach pochodzących  
z ich markowych kolekcji. Zizi jednak milczał, toteż powiedziała  
znacząco:

– Słyszę, że też dobrze się bawisz. Piszą o tobie w plotkarskich  
magazynach...

Roześmiał się – w jej oczach wyglądało to, jakby iskra życia nagle

została tchnięta w grecki posąg – i odparł:

– To o tobie mówią wszyscy. Twoje nazwisko jest wszędzie...

– Tak, ale... – Nie dokończyła. Z jednej strony chciała mu porządnie

nagadać, ale z drugiej pochlebiało jej, że Zizi śledzi jej karierę. Co

właściwie miała mu powiedzieć? Że przejrzała jego zwodniczą grę wobec

Mimi? Przecież nie powinna nawet wiedzieć o ich romansie, a w dodatku,

jeśli teraz oskarży go o sypianie z innymi kobietami, wyjdzie na to, że żal

jej tego, co mogło ich połączyć latem.

Sprzedawca przyniósł buty i jej kartę kredytową. Podpisała rachunek,

przypominając sobie nagle o prezencie dla Seldena. To musi poczekać,

zdecydowała, rzucając okiem na Ziziego. W tej chwili chciała tylko

zniknąć mu z oczu. Poczowała nagłą wściekłość na myśl, że odtrącił jej

zaloty. Nie mogła zrozumieć dlaczego. Może jego pokrętna argentyńska

dusza nie potrafiła jej docenić?

– Miło było cię zobaczyć, Zizi – powiedziała chłodnym tonem,

wyciągając rękę na pożegnanie.

– Tylko tyle? – Podniósł się powoli z sofy, jakby nigdzie mu się nie

spieszyło. – Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

To była cholerna obelga, ale Janey nie mogła pokazać po sobie niczego,

bo zdradziłaby swoje uczucia. Przechyliła więc lekko głowę i szepnęła:

– Oczywiście, że jesteśmy przyjaciółmi...

W tej chwili wiedziała już wyraźnie, co trzeba zrobić.

Plan był isticie diabelski, ale zdecydowała się go przeprowadzić, żeby

raz na zawsze uzmysłowić Mimi, jaki naprawdę jest Zizi. Otworzyła torebkę i wyjęła swoją różową szminkę Pussy Pink, po czym stanęła przed lustrem i ułożyła usta jak do pocałunku. Poszukała wzrokiem oczu Ziziego i rzuciła mu nieme zapytanie. Tak jak się spodziewała, odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem.

Wiedziała już zatem wszystko, co trzeba. Zamknęła szminkę jednym wprawnym obrotem. Więc to tak! Przez całe lato jej unikał, a teraz kiedy tylko Mimi nie patrzy, zaczyna się do niej przystawiać!

Biedna Mimi, pomyślała Janey ponownie. Jak większość kobiet, Mimi zapewne nie uświadamiała sobie, że nie można ufać mężczyznom. Janey wiedziała o tym, i to dobrze: przez całe życie musiała odpierać awanse różnych zalotników, którzy ślinili się do niej, ale „kochali” swoje kobiety, mieli żony, dzieci... Jej poglądy na temat związków kształtowały się pod wpływem tych niewesołych doświadczeń – czy można się więc dziwić, że była cyniczna? Nagle przypomniała sobie biedną Patty i postanowiła nie dopuścić, żeby to samo spotkało Mimi. Jako przyjaciółka musi uświadomić jej prawdę. Odwróciła się do Ziziego i obdarzyła go pięknym uśmiechem.

Jeżeli zdoła udowodnić Mimi, że Zizi nie jest godny zaufania, oszczędzi jej tym samym wielu cierpień w przyszłości. Niekoniecznie musi w tym celu iść z nim do łóżka... Prześlizgnęła się wzrokiem po jego szczupłej sylwetce, zatrzymując się nieco dłużej na kroczu opiętym spranym niebieskim dżinsem. Zatem jeśli sprawy zajdą aż tak daleko, to fakt, że Zizi przespał się z jej najlepszą przyjaciółką, chyba wystarczy,

żeby Mimi przejrzała na oczy i zerwała z nim raz na zawsze.

Zbliżyła się do niego o krok.

– W ogóle cię już nie widuję, Zizi. Jak ci się podoba moje mieszkanie?

– Bardzo ładne...

– Nie masz pojęcia, jak za nim tęsknię. – Westchnęła. – Tyle

wspomnień...

Spodziewała się, że połknie haczyk i zaprosi ją tam, ale on tylko wziął

jej torbę z nowymi butami i odprowadził do drzwi, pytając:

– Dokąd się wybierasz? Sprowadzić ci taksówkę?

Jego obojętność na chwilę ją dezorientowała. Zaczęła myśleć, że

jednak się przeliczyła. Ale równie bezpieczna okazja, kiedy Mimi była w

drodze na lotnisko, a Selden w pracy, mogła się nie powtórzyć. Przygryzła

wargę i powiedziała z wahaniem:

– Sama jeszcze nie wiem... A dokąd ty się wybierasz?

– Pójdę na piechotę do domu. Uwielbiam spacerować po tym mieście.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Ja też! – Prawdę mówiąc, było wręcz

odwrotnie. W pierwszych latach spędzonych w Nowym Jorku Janey

musiała wszędzie chodzić na piechotę, bo nie stać jej było na taksówki, a

bała się jeździć metrem. Ale skoro on mają uwieść akurat na spacerze, to

trudno, poświęci się. – Idę w twoją stronę – powiedziała. – Przejdźmy się

razem.

Ruszyli w górę Madison Avenue. W szybie jednej z wystaw

sklepowych Janey zobaczyła ich wspólne odbicie. Jak wspaniale wyglądali

razem! Gdyby była z Zizim, nie z Seldenem, jej życie nabrałoby

splendoru, bo nic nie znajduje większego uznania publiki niż para pięknych, młodych ludzi. Wszędzie by ich zapraszano, podróżowaliby po całym świecie wraz z międzynarodową śmietanką młodych, pięknych i bogatych. Gościliby w angielskim zamku Eltona Johna i na śródziemnomorskim jachcie Valentina...

Nagle Janey zaśmiała się w duchu: przecież Zizi nie ma grosza!

Wspaniałe życie u jego boku to tylko wytwór jej wyobraźni. Gdyby się z nim związała, koczowaliby w jej starym mieszkaniu, gnieźdząc się na trzydziestu siedmiu metrach kwadratowych jak dwie myszy w pudełku. To ona własnymi pieniędzmi płaciłaby za jego ubrania i złote zegarki po dwadzieścia tysięcy sztuka... No ale przy niej, pomyślała, obserwując go kątem oka, nie miałby najmniejszej okazji do zdrady. W tym momencie na nowo uderzyła ją jego podłość. Powinien umieć zachować się równie przyzwoicie jak kobieta w takiej samej sytuacji, dochować wierności osobie, która mu pomaga...

Jak zwykle szybko zabrakło im tematów do rozmowy. Zaciągnięcie go do łóżka nie będzie zatem aż takie proste. Zapytała, starając się dotrzymać mu kroku:

– Co właściwie robisz w Nowym Jorku oprócz imprezowania? Koni tutaj raczej nie ma...

– Niedługo wyjeżdżam. *El patron* organizuje zawody – odparł. Po chwili dodał żartobliwie, ale z wyraźnym podtekstem erotycznym: – Będiesz za mną tęsknić?

Te słowa całkowicie uspokoiły Janey. Widziała już wyraźnie, że Zizi to

typ faceta, który uważa się za ideał każdej kobiety.

– O, tak – odpowiedziała tym samym tonem co on. – Będę tęsknić.

Bardzo.

– To dobrze – oświadczył. – W takim razie na pewno tutaj wrócę.

Aha, pomyślała. Chyba nie uwierzył, że dała się nabrać na tak

prymitywny tekst? Ale przecież nie znali się zbyt dobrze. Najwidoczniej nie mógł już wytrzymać...

– Wiesz, że zawsze będę na ciebie czekała – zapewniła go. Jej głos był obojętny, ale oczy mówiły wiele. Była pewna, że już za chwilę...

Ale Zizi patrzył tylko przed siebie, marszcząc brwi, jakby dostrzegł w oddali coś niezmiernie interesującego. Po chwili milczenia zapytał:

– Gdzie teraz mieszkasz?

– W hotelu. – Postarała się, żeby w jej głosie nie było znać rozgoryczenia. – Na Sześćdziesiątej Trzeciej.

– Zatem jesteśmy na miejscu – powiedział szarmancko. – Tutaj się pożegnamy.

Z irytacją zauważyła, że faktycznie doszli już do rogu jej ulicy. Po

drugiej stronie widać było znajomą wystawę sklepu Roberta Cavallego, z

manekinami wystrojonymi w pyszne futra i jedwabie. Musiała zyskać na

czasie, a w żadnym wypadku nie mogła zaprosić go do hotelu. Odeszła

kilka kroków w stronę stoiska z gazetami, wołając przez ramię:

– Poczekasz chwilę? Chcę kupić gazetę.

Nie mogła dać mu się wymknąć, a widziała, że zaczyna się już

niecierpliwić. Oczywiście było to czyste wyrachowanie – musiał udawać,



że wcale mu nie zależy, w końcu Janey była przyjaciółką Mimi.

Zrozumiała, że Zizi, jak typowy facet, chce mieć czyste sumienie i w tym celu potrzebuje jakiejś wymówki, która pozwoli mu uwierzyć, że nie miał żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Na stoisku wisiał numer magazynu „Star”, z wielkim nagłówkiem na pierwszej stronie: Żona rockera rozbija zespół. Był to kolejny rozdział dramatu Diggera i Patty; magazyn „Star” zaczął prowadzić kronikę ich życia, którą czytało się jak scenariusz opery mydlanej. Janey знаła już ten artykuł. W tym tygodniu podali, że Patty pojechała za Diggerem w trasę (prawda) i zaczęła go pilnować jak cerber, nie pozwalając mu włóczyć się nigdzie z chłopakami z zespołu (raczej nieprawda). To było to, czego Janey szukała. Wydała okrzyk zaskoczenia i zerwała gazetę ze stojaka. Przez chwilę czuła wyrzuty sumienia na myśl, że wykorzystuje nieszczęście siostry dla własnych celów, ale szybko je zdusiła, powiedziawszy sobie, że w ten sposób oszust pomoże zdemaskować oszusta.

Podstęp się udał. W jednej chwili Zizi stanął obok niej, objął i zapytał, co się stało. Odwróciła się od niego i powiedziała głosem bliskim płaczu:

– To okropne... Tak mi wstyd...

– Płaci pani czy nie? – wtrącił się kioskarz.

– Skoro to takie okropne, to lepiej nie czytaj – poradził Zizi,

odprowadzając ją na bok.

– Muszę. – Janey łypnęła na niego. Wzrok miała oszołomiony. – Piszą o mojej siostrze. Biedna kochana dziewczyna. Nigdy w życiu nie zrobiła nic złego...

Zizi był bardzo przejęty. Nie spuszczał oczu z Janey, wysupłał

drobne za gazetę.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, biorąc ją za rękę.

Potrząsnęła głową.

– Chyba zaraz zemdleję. Muszę usiąść...

– Odprowadzę cię do hotelu. To pewnie niedaleko...

– Nie mogę tam iść – zaprzeczyła stanowczo. – Tam wszyscy są tacy sztywni i oficjalni... Będą wypytywać, co się stało, a kiedy to przeczytają...

Każą nam się wyprowadzić...

– Z powodu jednego artykułu? – Nie chciał uwierzyć. – Raczej niemożliwe. To nie jest poważna gazeta.

Chce mnie pocieszyć, pomyślała Janey. Co za tępy kretyń! Dlaczego jest taki oporny? Przytrzymała się kurczowo jego ramienia:

– Później ci wszystko wytłumaczę... Muszę usiąść i pomyśleć.

– Znajdziemy jakąś kawiarenkę. – Poklepał ją po ręce.

– Chodźmy gdzieś, gdzie jest spokój... i nie ma ludzi. – Dotknęła jego dłoni i spojrzała mu w oczy tęsknym wzrokiem. – Może do ciebie? Chyba że spodziewasz się gości...

Upłynęło dziesięć minut. Janey wspinała się za Zizim po wąskich, nieposprzątanym schodach na trzecie piętro starej kamienicy z elewacją z piaskowca, stojącej na Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, na wschód od Piątej Alei. Pożerając wzrokiem jego muskularne pośladki, nie mogła się nadziwić skuteczności starych, wypróbowanych kobiecych sposobów. Najlepiej działały, jak się zdawało, na mężczyzn pokroju Ziziego, który

zdaniem Janey nie był specjalnie bystry. Choć wiedziała, że w dzisiejszych czasach kobiece sztuczki nie znajdują uznania kobiet, to sama stosowała je bez skrpułów, zwłaszcza że dzięki nim każdy cel stawał się dziecinnie prosty do osiągnięcia. Zizi nie namyślał się wcale: bez słowa zatrzymał taksówkę i zawiózł Janey do siebie. Jechali krótko. Janey, siedząc obok niego i dotykając udem jego nogi, opisała mu całą sytuację, w której znalazła się Patty. Bardzo go to poruszyło; kiedy weszli na klatkę schodową, szedł po schodach z przejęciem, jak człowiek nawiedzony. Na drugim piętrze nagle przystanął i mało brakowało, żeby Janey wpadła na niego. Jego piękną twarz wykrzywił bolesny grymas, jakby myślenie przychodziło mu z wielką trudnością.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Co skąd wiem? – Nie rozumiała.

– Że Digger naprawdę zdradził Patty. A jeśli on mówi prawdę, a tamta dziewczyna kłamie?

O Boże, pomyślała Janey. Jeśli on teraz zacznie drążyć sprawę Diggera i Patty, to nigdy nie da się zaciągnąć do łóżka.

– Patty w każdym razie mu wierzy. – Minęła go i miała nadzieję, że pójdzie za nią. Męczyło ją przecucie, że jeśli nie pociągnie go dalej, utkną na klatce schodowej. – Ale pamiętaj, że ona go kocha.

– A może to między nimi coś jest nie tak? – Zastanowił się, zmarszczywszy brwi. – Może to jakiś małżeński sekret...

Łypnęła na niego rozzłoszczona. Czy chce jej coś powiedzieć na temat swojego związku z Mimi? Zrobiła urażoną minę, żeby pomyślał, że

dotknął ją tym komentarzem:

– W tym właśnie cały problem, że to już przestał być sekret. A jeśli dziewczyna nie kłamie... Cóż, nie da się dojść prawdy, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat. – Odwróciła głowę, szepcząc z żalem:

– Biedna Patty. Tak marzyła, żeby zająć w ciążę i urodzić Diggerowi dziecko...

– Racja. – Rozmarzył się, myśląc najwidoczniej o kimś innym. – Dla kobiety nie ma nic piękniejszego niż macierzyństwo...

Ohyda, pomyślała Janey. Nie ma nic bardziej odpychającego niż facet, który wierzy, że jedynym celem życia kobiety jest prokreacja. Mimo to przyznała:

– O, tak. To coś wspaniałego...

Stanęli przed drzwiami do mieszkania. Zizi przekręcił klucz w zamku i gestem zaprosił Janey do środka. Zaskoczył ją widok tej ponurej klitki.

Nie mogła uwierzyć, że mieszkała tutaj przez tyle lat.

Przy bardzo optymistycznym nastawieniu to mieszkanie było dobre na początek dla młodej osoby, która nie zarabia najlepiej i spędza praktycznie cały dzień poza domem. Pokój dzienny był wąski, a jego okno wychodziło na Sześćdziesiątą Siódmą Ulicę. Cały lokal składał się kiedyś z jednego pomieszczenia, ale przedzielono go ścianką działową na dwie części. Była tam także mikroskopijna kuchnia rozmiarów jachtowego kambuza i łazienka z kabiną prysznicową zamiast wanny. W pokoju stał płytki kominek, który zresztą nie nadawał się do użytku, z gzymsem ze sklejki, oklejonym glazurą imitującą cegłę – taką fantazję miał poprzedni lokator.

Janey zawsze marzyła o tym, żeby wyrzucić tę starość i założyć gzyms z marmuru, ale nigdy nie mogła sobie na to pozwolić, a teraz kiedy wynajmowała mieszkanie, przestała widzieć taką potrzebę.

– Lepiej ci już? Stare kąty poprawiły nastrój? – Zizi pomógł jej zdjąć futro.

– O, tak. Od razu mi lepiej – odpowiedziała.

– Zrobię ci herbaty.

– A nie masz wódki? – zapytała. – Mam ochotę na kropelkę wódki z odrobiną soku z cytryny.

Spojrzał podejrzliwie, ale nic nie powiedział. Powiesił swój płaszcz w szafie i poszedł do kuchni.

Janey usiadła na kanapie, zrzuciwszy z niej jakieś papiery. Kanapa, obita drogim czerwonym aksamitem, była jedynym przyzwoitym meblem w tym mieszkaniu. Janey dostała ją od Harolda Vane'a, kiedy zmieniał wystrój swojego domu. Była pedantką i zawsze dbała o porządek. Tym bardziej rzucał jej się w oczy typowo męski – czy raczej chłopięcy – bałagan, który obecnie tutaj panował. Widać było, że gospodarz nie lubi sprzątać i nie odkłada niczego na miejsce. Na telewizorze stała popielniczka pełna niedopałków – pamiątka po wieczorze z kumplem.

Trzy zabłocone buty do konnej jazdy zalegały w kącie. Z oparcia krzesła zwieszały się koszula i kurtka, a pod oknem stał składany stolik do kart, na którym stała brudna filiżanka po kawie. Janey zerknęła do sypialni; pościel leżała zmięta na łóżku, poduszka, wywleczona z powłoki – na podłodze.

Na komodzie leżał stos nieposkładanych ubrań. Jak Mimi mogła w ogóle

tutaj wejść? Janey wzdrygnęła się na myśl, że tak mogło wyglądać jej własne życie...

Co nie zmieniało faktu, że gospodarz był zabójczo przystojny. Janey śledziła wzrokiem, jak Zizi krząta się po malutkiej kuchni. Miał na sobie czarny kaszmirowy golf, który świetnie na nim leżał, uwydatniając kontur jego męskiej piersi. Golf był najprawdopodobniej firmowy, z Prady lub Dolce & Gabbana. Taki młody i piękny facet, pomyślała Janey, wszędzie może pójść w czarnym golfie i dżinsach.

– Nie mam cytryny – zawołał Zizi z kuchni.

– Spodziewałam się tego – odparła.

Wrócił do pokoju i podał jej wysoką szklankę z wódką i kostkami lodu.

Janey przyjrzała się jego dużym, gładkim dłoniom modela, o palcach smukłych, ale bez przerośniętych, kulistych stawów. Wyobraziła sobie te dłonie na swoich piersiach.

Usiadł obok niej i przyglądał się, jak niespiesznie popija drinka.

– Już ci lepiej? – zapytał. Jego głos był miły, ale słysząc w nim było zniecierpliwienie. Chciał się od niej uwolnić, ale nie mogła pojąć dlaczego.

– Troszeczkę. – Upiła jeszcze łyk i spojrzała mu w oczy. Był wyraźnie zakłopotany, jakby nie do końca pojmował sytuację i nie wiedział, jakim sposobem znalazła się na jego kanapie.

– Przepraszam na chwilę. – Wstała i poszła do łazienki.

Sprawdziła w lustrze, czy dobrze wygląda, a potem rozejrzała się

dookoła. Umywalki nie czyszczono od miesięcy: były w niej zaschnięte

plamy z pasty do zębów, a wokół kranu zebrał się mydlany osad. Na szklanej półeczce stał pojemnik kremu do golenia – bez kołpaczka – a obok niego doszczętnie wytarta szczoteczka do zębów i dawno nieczyszczona szczotka do włosów. Janey wzięła ją do ręki, próbując zrozumieć człowieka, który kompletnie nie dba o czystość i ani trochę się tego nie wstydzi. W życiu miała raczej do czynienia z innymi mężczyznami; Zizi był od nich wszystkich młodszy, a w dodatku niebogaty. To sprawiało, że zachowywał się bardziej naturalnie, żył zgodnie z pierwotną męską naturą, czego wyrazem, pomyślała, był chociażby ten śmierdzący ręcznik zarzucony na drzwi kabiny prysznicowej. Mężczyźni Janey – przynajmniej większość – byli zadbani i dobrze ułożeni, jak starannie hodowana rasa psów domowych. Wraz z bogactwem wzrastało ich umiłowanie porządku. Dbali o usuwanie wszelkich śladów swojego bałaganiarstwa (od tego mieli pokojówki), a w łóżku byli metodyczni i nastawieni na sukces. Janey odłożyła szczotkę na półeczkę. Ciekawe, jaki w tych sprawach jest Zizi. Na pewno dziki i bez zahamowań, ma niespożytą energię i lubi ostrą jazdę. Wsadziłby w nią język, a potem rozchylił pośladki i lizał odbyt...

Usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Nic ci nie jest? – Zizi się niepokoił.

Ogarnęła ją panika. Rozejrzała się wokół; jej wzrok przykuł egzemplarz

„Maxima” rzucony za muszlę klozetową. Podniosła go z podłogi.

– Zaraz wychodzę! – zawołała.

Był to numer grudniowy, z nią na okładce. Widząc siebie samą,

uwodzicielsko mrużącą oczy i zarzucającą biodrem w stronę obiektywu (talię, biodra i uda wygładzono aerografem, a tułów nieco wydłużono, żeby wydawała się wyższa), wpadła na pewien pomysł. Zafunduje Ziziemu przygodę jego życia: urzeczywistni jego erotyczne fantazje. Poczwała obezwładniający dreszcz podniecenia. To będzie niezapomniane przeżycie dla obojga. Drżącymi ze zniecierpliwienia palcami zdjęła bluzkę i spódnicę, wspominając innych mężczyzn, z którymi próbowała tej samej sztuczki w tej samej łazience, w tym samym mieszkaniu. Pamiętała dobrze, jaka to przyjemność. Zsunęła z nóg rajstopy. Kiedy to ostatni raz pozwoliła sobie na podobne wybryki? Chyba na wiosnę w domu pewnego właściciela restauracji. Upiła się wtedy (lepiej powiedzieć, że miała dobry humor), wspięła na gzyms kominka i kazała mu lizać się od dołu.

Brakowało jej trochę takiego seksu. Faceci, z którymi sypiała, całowali na ogół bez polotu, a repertuar ich pieszczot był zbyt skąpy, aby ją rozpalić. Bardzo często nic nie czuła, jakby jej zmysły straciły połączenie z mózgiem. Ten brak rekompensowało jednak poczucie absolutnej władzy nad podnieconym mężczyzną. To było dla niej najmocniejszym afrodyzjakiem, czuła, że za pomocą seksu może panować nad mężczyznami. Uwielbiała patrzeć, jak pod jej dotykiem tracą kontrolę nad sobą. Czasami, uniesiona tym przemożnym poczuciem siły, zaczynała sobie wyobrażać, że sięga do szyi kochanka i dusi go, napawając się wyrazem zaskoczenia w jego oczach. Innym razem, kiedy robiła facetowi dobrze, zastanawiała się w duchu, czy on zdaje sobie sprawę, że bez większych problemów mogłaby teraz chwycić nóż i wbić go gdzie



popadnie. Niekiedy zaś, bardzo rzadko, zapytywała samą siebie, czy jest możliwe, żeby kiedykolwiek do tego doszło. Ale wiedziała dobrze, że nie; nigdy nie straciła panowania nad sobą.

W kuchni zadzwonił telefon. Usłyszała, jak Zizi odbiera, mówiąc z lekkim obcym akcentem: „Allo?”. Ponownie przejrzała się w lustrze. Czy może dzwoni Mimi? Właściwie to nie miało znaczenia. Nawet gdyby Zizi powiedział jej, że jest u niego Janey, wytłumaczenie było proste i logiczne: jako oficjalna właścicielka tego mieszkania miała pełne prawo przyjść tu od czasu do czasu. Oczywiście Janey nie zamierzała od razu informować Mimi, że jej kochanek ją zdradził. Nadejdzie właściwy moment, kiedy ich związek będzie przechodził kryzys. Wtedy rewelacje Janey wbiją ostatni gwóźdź do trumny. Przesunęła bezwiednie dłońmi po piersiach i brzuchu; przyszło jej do głowy, że być może Mimi nigdy o niczym się nie dowie, bo jeśli przygoda z Zizim okaże się na tyle dobra, żeby ją powtórzyć, trzeba będzie trzymać wszystko w tajemnicy.

– Nie ma sprawy, będę za pół godziny – usłyszała głos Ziziego. Ostatni raz spojrzała w lustro, zadowolona, że akurat dziś nałożyła skąpy koronkowy stanik i takie same stringi. Na nogach miała lawendowe sandałki na obcasie. Noszenie lekkich butów w zimie było szczytem mody, bo dzięki temu można było pokazać, że ma się dość pieniędzy, by wszędzie jeździć. Perły na jej szyi płonęły blaskiem polerowanego grafitu. Przez krótką chwilę pomyślała o Seldenie, ale szybko odpędziła tę myśl.

W takim momencie... ?

Odczekała, aż Zizi odłoży słuchawkę i otworzyła gwałtownie drzwi.

Oparła się o framugę, a wolną rękę położyła na biodrze. Zmysłowym głosem, dobrze znanym z reklamówek Victoria's Secret, oznajmiła:

– Nigdzie nie pójdziesz.

Zizi był w kuchni, nalewał sobie do szklanki wody z kranu. Jego zaskoczenie było pełne. Mało brakowało, a upuściłby naczynie do zlewu.

Był zupełnie skonsternowany; Janey spodziewała się, że po chwili otrząśnie się szoku i uśmiechnie ze zrozumieniem, ale on cofnął się tylko o krok i drżącą ręką odstawił szklankę na krawędź zlewu.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał z przerażeniem w głosie.

– A jak ci się wydaje? – zaszcebiotała melodyjnie, postępując krok naprzód. Mała kuchnia była jak pułapka, a Zizi został przyparty do muru.

Janey objęła go jedną ręką za szyję i wpiła się ustami w jego usta.

Wargi miał kurczowo zaciśnięte. Była pewna, że wciąż jeszcze nie może otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobił na nim widok jej prawie nagiego ciała, które podała mu jak na tacy. Ugięła powoli kolana i z wdziękiem ukucnęła przed nim, przesuwając dłońmi po jego piersi.

Spojrzała w górę; z twarzy Ziziego nie zniknął wyraz zaskoczenia i niedowierzania. Oczekiwała, że to się w końcu zmieni, kiedy dobierze się do jego członka. Rozpięła mu guzik u spodni i na mgnienie oka zatrzymała palce na zamku rozporka, przedłużając chwilę słodkiego oczekiwania.

Wtedy dopiero zareagował. Z jego ust wydobył się głośny ryk.

Myślała, że chciał krzyknąć „nie”, ale ten dźwięk był bardziej gardłowy, jak głos zwierzęcia broniącego własnego terytorium. Sięgnął w dół, chwycił Janey pod pachy i odepchnął. Klapnęła boleśnie na siedzenie

i odczołgała się na bok, ale nie zdążyła wstać. Zaszarżował na nią jak futbolista, chwycił w pasie i poniósł w stronę kanapy. Pewna, że nareszcie zapłonął długo tłumionym pożądaniem, zarzuciła mu ramiona na szyję, wskutek czego upadł na kanapę razem z nią. Walczył z całych sił, żeby się uwolnić z jej śmiertelnego uścisku, ale oplotła go także nogami i zaczęła całować w szyję. Wreszcie udało mu się wyrwać. Usiadł na niej, złapał ją za nadgarstki, przycisnął je do poduszki i wrzasnął:

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Oboje ciężko dyszeli. Janey nie mogła powiedzieć ani słowa, czując jego ciężar na sobie, spragniona, choć upłynęła dopiero chwila, dotyku jego miękkiej, śliskiej skóry. Jej na co dzień uśpione żądze rozgorzały pod wpływem tej chwili gwałtownego wyuzdania. Czula się jak nietknięta nastolatka. Wiła się pod nim i myślała tylko o tym, żeby w końcu ją pocałował. Pragnęła, żeby ją wziął, za wszelką cenę...

Zizi przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, a potem skrzywił się z obrzydzeniem, odepchnął jej ręce i wstał.

– To tak postępujesz z facetami? – Oskarżycielsko wycelował w nią palec. Górna warga drżała mu z gniewu, odsłaniając twarde białe zęby z ostrymi siekaczami. Janey żałowała, że przerwał tę upojną chwilę, ale jednocześnie była bardzo zadowolona, że wywołała taką reakcję. Uniosła się na kanapie.

– Chodź do mnie, kochany. – Wyciągnęła rękę.

Potrząsnął głową i cofnął się do łazienki. Po chwili wrócił, niosąc jej ubranie.

– Wkładaj to – syknął.

Zaśmiała się i położyła na wznak. Wiedziała, że w tej pozycji, w takiej bieliźnie, przedstawia kuszący widok. Na swoim nieodpartym uroku cielesnym – i na jednej czy dwóch innych rzeczach – Janey opierała poczucie własnej wartości. Nadal była pewna, że uda jej się zaciągnąć Ziziego do łóżka.

– A jeśli ja wcale nie chcę się ubierać? – Leniwym ruchem ręki nakreśliła kółko w powietrzu. – Bądź co bądź, jestem u siebie. Chyba mogę robić, na co mam ochotę?

– Ubieraj się! – powtórzył, rzucając na nią jej rzeczy.

Ta zniewaga podziałała jak kubeł zimnej wody, burząc jej szampański nastrój. Chwyliła spódnicę i cisnęła w niego, ale nie trafiła; niefortunny pocisk upadł, łopocząc, u jego stóp. Janey była tak napalona na ostry seks, że przełknęła wszystko, co do tej pory powiedział, ale to już była śmiertelna obelga.

– Jak śmiesz? – zawołała, zrywając się na nogi. Rzuciła się na niego z dziką furją, gotowa bić, walić na odlew prosto w twarz. Odsunął się na bok, chwycił ją za nadgarstek, wykręcił rękę i zaraz odepchnął.

Zatoczyła się kilka kroków, łapiąc się dla równowagi gzymsu kominka.

Zauważyła, że postawił tam fotografię ciemnowłosej kobiety o egzotycznej urodzie, zapewne matki.

– Co z tobą, do diabła? – wrzasnęła na niego, ocierając usta.

– A z tobą? – odpowiedział wściekłym głosem, jakby to on był tutaj pokrzywdzony. – Jeszcze do ciebie nie dotarło, że nie mam ochoty iść z

tobą do łóżka?

Zaskoczył ją do tego stopnia, że w pierwszej chwili w ogóle nie rozumiała, co powiedział. To, że mu się nie podobam, nie wchodzi w grę, pomyślała, musiałby być homo.

– Nie wygłupiaj się – parsknęła zarozumiale, odzyskując nieco pewności siebie. – Nie ma takiego faceta, który by tego nie chciał.

Spojrzał na nią ze współczuciem, jakby była dla niego całkowicie aseksualna. Pod tym spojrzeniem zaczęła tracić rezon.

– Właśnie – powiedział łagodnie. – W tym cały twój problem.

Podniósł z podłogi jej spódnicę. Janey nagle poczuła obezwładniający strach. Pobladła, choć nie do końca zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

– Przecież chciałeś się ze mną przespać... latem. – Głos rwał się jej z przejęcia.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Ubierz się. – Podał jej spódnicę. – Bardzo cię proszę. Nie rób z siebie pośmiewiska.

Spódnica zawisła między nimi jak flaga. Janey nie mogła przyjąć z jego ręki tego symbolu własnej porażki. Co za impertynent, pomyślała.

Nienawidziła go z całego serca, a jednocześnie płonęła żądzą. Czowała, że musi wygrać to starcie, za wszelką cenę postawić na swoim.

– Chciałeś pójść ze mną do łóżka – oświadczyła twardo. – Przyznaj to.

Przez chwilę w jego spojrzeniu błysnęła obawa; zaczął podejrzewać, że Janey oszalała z wściekłości. Nie spuszczał z niej wzroku, położył spódnicę na kanapie.

– Nie ubieraj się, skoro nie chcesz. Zmuszać cię nie będę – powiedział

– ale ja wychodzę. Jestem umówiony.

– Z Mimi? – Prawie wypluła te słowa.

– Z Haroldem Vane'em – odparł. – Musimy obgadać sprawę koni.

– Koni! – zadrwiła bezlitośnie. – Więc to jest twój problem. Wolisz konie od kobiet...

– Bywa, że tak. – Zmierzył ją wzrokiem i wyszedł do sypialni.

W głębi duszy słyszała nikły głos rozsądku, każący jej przywołać resztki godności osobistej, ubrać się i wyjść. Ale było już za późno. Janey osiągnęła ten irracjonalny stan emocjonalny, kiedy była gotowa na poniżenie i poświęcenie kobiecej dumy i szacunku do samej siebie, bo zaczęło jej się wydawać, że jeśli to zrobi, to Zizi ją pokocha. Dawno temu, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat, spotykała się przez pewien czas z bogatym chłopakiem, który rzucił ją bez żadnego wytłumaczenia po tym, jak przypadkiem wpadli w restauracji na jego rodziców. Niedługo potem rozpoznała na ulicy jego jeepa, zaparkowanego przed klubem Conscience Point Inn w Hamptons i w akcie ślepej zemsty opryskała jego siedzenia błotem. Jak się można było spodziewać, chłopak nazwał ją wariatką, ale ona chciała tylko, żeby wytłumaczył swoje zachowanie. Słyszała, że podobno dotarły do niego niepochlebne plotki na temat jej przeszłości; niepewność doprowadzała ją do szaleństwa, budziła pragnienie zemsty... To samo czuła w tej chwili, patrząc, jak Zizi krząta się po malutkiej sypialni. Nie mogła puścić mu tego płazem! Weszła śmiałym krokiem do środka i stanęła za nim. Zmieniał właśnie koszulkę i miała przed samym

nosem jego nagie bary, smukłe i umięśnione.

– Wytłumacz się! – wrzasnęła. Odwrócił się, podniósł z łóżka koszulę i zarzucił ją na siebie.

– Nie bądź głupia – powiedział.

Uderzyła go w ramię.

– Dlaczego wybrałeś Mimi, a nie mnie?

– To nie był żaden wybór. – Minął ją i wyszedł. Ruszyła za nim do pokoju.

– Masz mi powiedzieć – krzyknęła – bo inaczej stąd nie wyjdę!

– O czym tu mówić? – odparł z tym typowo męskim uporem, który doprowadza kobiety do szału. Wyjął z szafy krawat i poszedł do łazienki, żeby zawiązać go przed lustrem.

– Może ona ma coś, czego mi brakuje? – wrzasnęła, bijąc go na oślep.

W tym momencie Janey straciła dla Ziziego wszelki powab; posunęła się za daleko, choć właściwie był przyzwyczajony do kobiet, które zachowują się w ten sposób. Wcisnęła się w kąt łazienki i płakała, a potem odwróciła do niego załzawioną, napuchniętą twarz, powtarzając „dlaczego?”. Patrzył na nią jak na mokrą, brudną ścierkę rzuconą na podłogę. Przcisnął się obok niej i wyjął z szafy kaszmirową sportową bluzę. Włożył ją, a na wierzch narzucił długi tweedowy płaszcz. Wszedł do pokoju, żeby zabrać rękawiczki leżące na kominku. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że zagroziła mu wyjście, stając w lekkim rozkroku i biorąc się pod boki.

– Masz mi powiedzieć, bo nie wyjdę! – wrzasnęła histerycznie.

Zizi westchnął. Dlaczego kobiety zawsze muszą robić takie sceny?

Wcale nie chciał być niemiły, ale proszę, okazał jej trochę ludzkich uczuć i od razu pomyślała, że się zakochał. W lecie był nią przelotnie zainteresowany – puszyła się jak paw, aż dziw było na nią patrzeć – ale dowiedział się o niej co nieco i zdecydował, że nie chce takiej kobiety.

– Bardzo cię proszę, daj mi wyjść – powiedział opanowanym głosem.

– A ja bardzo cię proszę, wytłumacz się – odparła wyzywająco, zaczynając całą dyskusję od nowa.

Chwycił ją za rękę i odciągnął od drzwi. Chciała go zatrzymać, musiał ją więc odepchnąć. Zatoczyła się kilka kroków w bok, a on wykorzystał okazję: szarpnął za klamkę i wypadł na zewnątrz, zatrzasnął drzwi za sobą.

Na klatce schodowej przystanął na chwilę, łapiąc oddech i przeczesując włosy palcami. Potem zaczął schodzić, pewny, że nawet Janey nie ma aż tyle pomieszane w głowie, żeby gonić go w staniku i majtkach. Kiedy spotkają się przy następnej okazji, będzie go unikać ze wstydu. On ze swojej strony nie zamierzał nikomu mówić, co dziś zaszło. Nie przypuszczał też, żeby Janey ośmieliła się puścić parę z ust: sytuacja była niezręczna, a sława niedoszłej uwodzicielki groziła ośmieszeniem, a co gorsza, doszczętnym zrujnowaniem reputacji. Zizi doszedł do wniosku, że nic mu nie grozi – sprawa nie pójdzie w zapomnienie, ale nie ujrzy też światła dziennego.

Nagle usłyszał za sobą stukot obcasów na schodach. Odwrócił się i zmartwiało; nie mieściło mu się w głowie, że mogła ubrać się tak szybko.



Na jej widok poczuł mdłości. Nie zadała sobie trudu, żeby doprowadzić włosy do ładu ani nawet żeby zapiąć bluzkę; miała groteskowo nabrzmiąłą twarz, a podpuchnięte oczy płonęły gniewem. A więc tak, pomyślał, wygląda Janey Wilcox w chwilach prawdy, kiedy jej prawdziwe oblicze skrzeczącej wiedźmy przebija przez maskę sztucznej piękności. Z początku chciał jej uciec, ale potem ogarnęła go furia. Nie był zwierzęciem tresowanym do seksu na zawołanie ani też nie miał obowiązku zaspokajać wszystkich kobiet, które „płonęły do niego uczuciem”.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nie chcę się z tobą przespać?! – ryknął. Ta nagła gotowość do odpowiedzi na jej pytanie zbiła Janey z tropu.

Przystanęła trzy stopnie nad nim i wzięła się pod boki.

– Dlaczego?

– Bo jesteś kurwą – rzucił jej w twarz. – A ja nie sypiam z kurwami.

Zeszła stopień niżej, biorąc zamach, żeby go spoliczkować, ale on odwrócił się i zbiegł na dół. Ruszyła za nim najszybciej, jak mogła, kuśtykając niezgrabnie na wysokich obcasach.

– Głupi jesteś! – krzyczała. – Niezły dowcip... Wszyscy wiedzą, że to Mimi jest największą kurwą w mieście. Znosi George'a, bo jest bogaty...

Zizi dotarł w końcu do drzwi, otworzył zamek i wyszedł na ulicę.

Zdążył tylko rozejrzeć się za taksówką, kiedy go dopadła.

– Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho – zasyczała. – Powiem Mimi, że próbowałeś mnie uwieść i co zrobisz bez garnuszka swojej kochanki? To ty jesteś tutaj jedyną prawdziwą kurwą...

Założył rękawiczki i rzekł zimno:

– Dopiero teraz naprawdę cię znenawidziłem.

Janey odstąpiła o krok. W tym momencie oboje usłyszeli kobiecy głos pytający z wahaniem:

– Janey? Janey Wilcox?

Janey nie oderwała oczu od twarzy Ziziego, ale mimo to momentalnie zaszła w niej zmiana. Uspokoiła się, jedną ręką przygładziła włosy, drugą zebrała poły płaszcza i dopiero wtedy się odwróciła.

– Tak? – zapytała, uśmiechając się upiornie.

Zizi zauważył tylko, że nieznajoma była ładną, ale nieciekawą blondynką, jakich pełno na Upper East Side. Nie wyróżniała się niczym. W jej oczach było widać radość z niespodziewanego spotkania, którą po chwili zastąpiło zakłopotanie, kiedy zorientowała się, że Janey jej nie poznaje.

– To ja, Dodo. Dodo Blanchette... – odpowiedziała.

– O Boże... Dodo... ! – jęknęła Janey.

– Nie przeszkadzam? – spytała Dodo, wodząc oczami od Janey do Ziziego z domyślnym uśmiechem na ustach.

– Muszę już iść – rzekł twardo Zizi, postanawiając skorzystać z okazji.

Zrobił w tył zwrot i szybko się oddalił.

Obie kobiety odprowadzały go wzrokiem. Janey zauważyła, że Zizi ma szczególny rodzaj nieuchwytej wytworności, dzięki któremu na jej starej ulicy, pełnej niszczejących kamienic, wygląda jak przybysz z innego, lepszego świata. O mało znów się nie rozplakała, myśląc o nim w ten sposób. Nie wiedziała dlaczego, ale miała dojmującą świadomość straty,

jakby odebrano jej coś najcenniejszego na świecie.

– Ale kąsek – szepnęła Dodo takim tonem, jakby Zizi naprawdę był apetyczną potrawą. – Wspaniały facet. Wiesz, gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że to była kłótnia kochanków!

Dodo jest wścibska, pomyślała Janey, należy do tych kobiet, które wszędzie polują na plotki. Spojrzała na nią; starannie wyskubane brwi wyglądały jak dwie kolumny mrówek maszerujące w poprzek jej czoła, a tlenione włosy rozdawały się na końcach. Mimo to przez chwilę Janey miała wielką ochotę opowiedzieć Dodo całą tę żalną historię. Odniosła wrażenie, że Dodo potrafi jej współczuć – przynajmniej dopóki nie wróci do domu i nie rozpowie o żonie Seldena Rose'a całej tej ferajnie ze Splatch Verner. W tym momencie Janey uświadomiła sobie, że nie ma na świecie nikogo, komu mogłaby się z tego zwierzyć, ani jednej przyjaciółki, której mogłaby zaufać.

– Mówisz o Zizim? – Jej głos miał zabrzmieć obojętnie, ale zbyt mocno drżał i był zbyt piskliwy. – To mój lokator. Przyszłam odebrać komorne. Dodo była wyraźnie rozczarowana, ale nie dopytywała się dłużej.

– Dobrze, że cię spotkałam – powiedziała. – Postanowiliśmy jechać na helirafing do Wielkiego Kanionu. W marcu. Mamy nadzieję, że wybieriecie się z nami.

Janey musiała jeszcze przez kilka minut poplotkować z nią o niczym.

Dodo właśnie wybierała się do salonu pedykiuru. Kiedy Janey w końcu uwolniła się od niej, zaczął padać śnieg. Momentalnie zmarzły jej nogi i dotarł do niej cały absurd noszenia sandałów w zimie. Wiedziała, że

powinna wsiąść do taksówki, ale czuła w głowie wielki zamęt... Nie mogła iść do domu w takim stanie, ale nie potrafiła się w żaden sposób pozbierać. Schowała się w wąskiej bramie wyłożonej czarnym marmurem i wyjęła z torebki telefon. Męczyły ją tak okropne wyrzuty sumienia, że chciała zadzwonić do Mimi, tylko po to, żeby usłyszeć jej głos; jeśli Mimi będzie mówić z nią normalnie (a dlaczego miałyby być inaczej?), Janey będzie mogła zapomnieć o całym zajściu z Zizim. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Wspomnienie tego, jak rzucił ją na podłogę i nazwał kurwą, paliło żywym ogniem. Zranił ją do żywego i – jak się jej wydawało – z wyrachowanym okrucieństwem, a do tego chciał pobić! Czy powinna powiedzieć o tym Mimi? Zawahała się, ale po chwili wstyd przerodził się w gniew. Wybrała numer.

Od razu domyśliła się, że u Paxtonów coś się dzieje, bo Mimi była bardzo roztargniona. Okazało się, że chłopcy przywieźli ze sobą psa, który nasikał na dywan.

– Georgie i Jack ciągle pytają o ciebie, kochanie – poinformowała ją Mimi – a Jack chce wiedzieć, kiedy do nas przyjdiesz. Odwiedzisz ich, prawda?

– Oczywiście – powiedziała Janey. Oparła się o ścianę i przetarła ręką oczy. Było jej niedobrze. Zapragnęła znaleźć się w ciepłym, eleganckim domu Mimi, o ileż przytulniejszym niż ten w East Hampton, popijając gorącą czekoladę i bawić się z chłopcami...

– Pokazałaś Seldenowi perły? – zapytała Mimi, a zaraz potem krzyknęła na psa: – Sadie, do pokoju! Jack, zabierz Sadie na górę...

– Jeszcze nie – odpowiedziała Janey.

– Jak to? – zdziwiła się Mimi. – To gdzie ty byłaś?

– Na zakupach. W Burberry... – Kiedy to mówiła, uprzytomniła sobie, że zostawiła u Ziziego swoje nowe buty. Ucieszyła się, że będzie miała pretekst, aby tam wrócić i wyrównać z nim rachunki. Czuła teraz wyraźnie, że między nimi legł jakiś cień. Zizi musi zostać ukarany, musi pożałować, że jej nie zechciał, musi poznać, czym jest gniew Janey...

– Wszystko w porządku? – zapytała Mimi. – Jesteś jakaś nieswoja...

– Posłuchaj... – Janey wyszła z bramy i ruszyła przed siebie Madison Avenue. Na wystawie sklepu Prady zauważyła niezłą sukienkę i przystanęła. Po takim pytaniu mogła powiedzieć Mimi wszystko, tak jak chciała, ale nagle uświadomiła sobie, że nie ma odwagi.

– Coś się stało Seldenowi? – zaniepokoiła się Mimi.

– Nie chodzi o Seldena – powiedziała Janey – tylko o... – Nie wiedziała, jak zacząć. Zizi mnie przejrzał, myślała gorączkowo. Czy opowie o wszystkim Mimi? Jak często oni się widują? Gdyby tylko można było jakoś utrudnić im spotkania...

– O Patty? – pytała dalej Mimi.

– Właśnie. – Janey odetchnęła z ulgą, widząc nagle rozwiązanie wszystkich swoich kłopotów. – Przed chwilą rozmawiałam z Patty. Ona i Digger wracają w przyszłym tygodniu... Nie układa im się najlepiej. Zdaje się, że Patty będzie musiała przeprowadzić się na jakiś czas do mnie.

– Rozumiem. – Głos Mimi wyraźnie ochłódł.

– Strasznie mi przykro, ale nie mam wyjścia. – Janey odzyskiwała

pewność siebie. – Ona tyle ostatnio przeszła...

– To twoje mieszkanie, Janey – powiedziała Mimi. – Skoro jest ci potrzebne, Zizi znajdzie sobie coś innego, chociaż na tydzień przed świętami...

– Może zamieszka w East Hampton, w waszym domu dla gości? –

Janey dziwiła się, że od razu nie pomyślała o Patty; to było świetne kłamstwo. Zizi będzie miał teraz same kłopoty, a do tego świadomość, że to ona za wszystkim stoi, że ma nad nim władzę...

– Nie przejmuj się, kotku. Coś wymyślimy. – Mimi nagle powróciła do życzliwego tonu, a Janey poczuła wyrzuty sumienia, ale zaraz je stłumiła, myśląc: z jakiej racji? Skoro Mimi chce się pieprzyć z Zizim, niech go umieści w hotelu, jeśli znajdzie gdzieś wolny pokój w okresie świąt. Od razu poczuła się lepiej. Postanowiła zakończyć rozmowę:

– Chciałam tylko, żebyś o tym wiedziała. Pa, kochanie. Ucałuj ode mnie chłopców.

Zatrzasnęła triumfalnie klapkę telefonu. Plan był doskonały i przebiegły. Kiedy w domu są synowie George'a, Mimi nie może się widywać z Zizim. Potem on się wyprowadzi z mieszkania Janey, a ona wyjedzie z George'em na święta do Aspen, na całe dwa tygodnie. Janey się uspokoiła. Wyglądało na to, że nic jej nie grozi. Całe zajście należy wymazać z pamięci, tak jak wiele innych wstydliwych incydentów z przeszłości. Kątem oka złowiła swoje odbicie w szybie. Wyglądała okropnie: włosy, mokre od śniegu, kleiły się do głowy, a twarz pokrywały plamy. Nie mogła pokazać się Seldenowi w takim stanie; on zawsze

bacznie się jej przygląda i zauważy, że coś się stało. Pewnie już wrócił z pracy i zachodzi w głowę, gdzie podziewa się jego żona.

Janey wstąpiła do wykwintnej kawiarenki w pobliżu. W takich lokalach cheeseburger kosztuje dziesięć dolarów, ale toalety są zawsze czyste.

Uczesała się i spięła włosy spinkami, które zawsze nosiła przy sobie na wszelki wypadek. Potem zaczęła poprawiać makijaż; kiedy pudrowała twarz, jej wzrok zatrzymał się na opinającej szyję obróżce z pereł.

Westchnęła z rezygnacją, przewidując, że wobec Seldena będzie trzeba zastosować ten sam chwyt, którego próbowała z Zizim. Różnica polegała na tym, że Selden z całą pewnością jej ulegnie.

## **Rozdział 10**

Na północnym skraju placu Columbus Circle rozpięra się bezceremonialnie olbrzymi czarny wieżowiec, przypominający marmurowy nagrobek. Jest to nowy firmowy biurowiec Splat Verner. Swoje powstanie zawdzięcza genialnemu pomysłowi Victora Matricka, który przed pięcioma laty rzucił hasło zjednoczenia całej firmy pod jednym dachem, wiedziony ideą zwiększenia wydajności dzięki skoordynowanemu współdziałaniu. Budowę zakończono w terminie. Obiekt od dwóch lat był w użyciu, ale niewiadomym sposobem prace wykończeniowe nad architekturą zieleni nie mogły dobiec końca. Budynek był osnuty siecią rusztowań, a żeby dostać się do środka, trzeba było kluczyć w labiryncie ścianek ze sklejki. Z daleka wyglądało to tak, jakby gmach wznosił się pośrodku nędznej wioski składającej się z drewnianych chałup.

Był wysoki na czterdzieści pięć piętér i miał osiem wind. Bufet dla zwykłych pracowników działał na trzecim piętérze. Na czterdziestym drugim znajdowała się kantyna dla kadry kierowniczej, a na samym szczycie, gdzie swoje biuro miał Victor Matrick (jego „biuro” mieściło także sypialnię i łazienkę z prysznicem i jacuzzi), była jadalnia reprezentacyjna, lokal z własną kuchnią i kucharzem. Tutaj Matrick trzykrotnie podejmował prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Gabinet Seldena Rose'a znajdował się na czterdziestym piętérze. Z okien roztaczał się widok na śródmieście i Central Park. Widać stąd było Empire State Building, a w pogodny dzień – World Trade Center. Pomieszczenie miało wymiary dziewięć na osiemnaście metrów; zmieściłoby się w nim niejedno nowojorskie mieszkanie. Stało tam masywne mahoniowe biurko, które Selden kupił za ciężkie pieniądze dwadzieścia lat temu, kiedy zaczynał karierę. Mebel ten wędrował razem z nim do coraz większych i wyżej położonych gabinetów. Jego biuro w Splatc Vernier miało dwa wyjścia: jedno prowadziło przez pokój sekretarki, drugie, „tajne”, wprost na korytarz. Pan dyrektor korzystał z niego, kiedy potrzebował wymknąć się ukradkiem.

Selden Rose zawsze szczyił się swoją pracowitością, ale dziś, o godzinie zaledwie piątej po południu, stał w oknie i obserwował śnieg pokrywający Central Park białą pierzyną. Co chwilę poklepywał się po głowie, jakby chciał sprawdzić, czy nie wypadły mu wszystkie włosy. Nie mógł skupić się na pracy, która sama w sobie była źródłem nieustającej konsternacji; myślał o żonie. Przed chwilą odebrał telefon z American



Express. Poinformowano go, że dziś po południu, w znanym domu aukcyjnym, za pomocą jego karty kredytowej dokonano zakupu za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Początkowo był pewien, że ktoś ukradł Janey kartę, którą dostała od niego, ale „uprzejma” pracownica American Express szybko wyprowadziła go z błędu, wyjaśniając mu, że ponieważ na rachunku podpisała się „pani Rose”, obowiązkiem firmy jest sprawdzić, czy pan Rose jest żonaty.

Niech ją szlag trafi, pomyślał Selden. Te pięćdziesiąt kawałków to mogła być spora część zaliczki na kupno posiadłości; można było za to wybudować basen albo zaprojektować zieleń wokół domu; posłać dziecko do prywatnej szkoły (starczyłoby co najmniej na kilka lat) albo wynająć dla niego nianię. Do niedawna Selden myślał, że Janey po prostu nie zna się na finansach, ale teraz zaczął podejrzewać, że ona celowo nie chce przyjąć do wiadomości sytuacji, w jakiej znajduje się jej mąż. Był bezsprzecznie bogaty, lecz nie zmieniało to faktu, że pozostawał etatowym pracownikiem korporacji. Jego fortunę stanowiły głównie opcje na zakup akcji, co wcale nie oznaczało, że miał nabite konto. A listopadowy spadek na giełdzie też w niczym nie pomógł...

Tłumaczył to wszystko Janey, ale widocznie zbyt ogólnikowo. Jedli wtedy obiad w restauracji we dwoje, co rzadko się zdarzało. Selden mówił, a Janey patrzyła na niego nieobecny wzrokiem i kiwała głową. Potem „zauważyła” kogoś „znajomego” i rozmowa się urwała. Żałował, że nie zmusił jej do wysłuchania do końca; żałował, że przestraszył się jej niezadowolenia; żałował nade wszystko, że nie potrafi rozmawiać z nią o

pieniądzach. Nie wiedzieć czemu, gdy poruszał z nią ten temat, zawsze czuł się niezręcznie. Janey nie uznawała, że oboje w tym związku mają równe prawa. Z jej zachowania wynikało (choć nigdy nie przyznała tego wprost), że mąż ma być dla niej niewyczerpanym źródłem gotówki, a kiedy to źródło wyschnie, znajdzie sobie następne. Selden zawsze miał tę niejasną świadomość, że Janey może go zostawić, jeśli uzna, że on na nią nie zasługuje. Usiłował wtedy udowodnić jej, że tak nie jest. I proszę: skończyło się na rachunku na pięćdziesiąt tysięcy. Nie wiedział, co teraz począć.

Mógł oczywiście zapłacić. Problem w tym, że to były jego pieniądze i nie chciał zrzekać się prawa do decydowania o tym, jak je wydać. Wyjść z tej sytuacji było kilka: mógł kazać Janey zwrócić to, co kupiła (cokolwiek to było), ale to oznaczało, że będzie scena, a Selden, jak większość mężczyzn, wolałby stracić palec u ręki, niż wysłuchiwać wrzasków i patrzeć na łzy. Drugim wyjściem było zapłacić, nie wspomnieć ani słowem o całej sprawie, a potem odebrać kartę. Ale jak to zrobić? Jeśli każe Janey ją zwrócić, też skończy się to awanturą. Mógłby ukradkiem wyjąć jej kartę z portfela i poczekać, aż to zauważy (zajęłoby to mniej więcej minutę). Na pytanie, dlaczego to zrobił, odpowiedziałby: „Sama się domyśl”. Trzecim wyjściem było zapłacić i milczeć. Selden żywił niewesołe przypuszczenie, że właśnie tak to się skończy.

Wiedział jednak, że nawet postępując w ten sposób, nie poprawi swojego podłego nastroju. Czuł się obrabowany i zdradzony. Przyglądając się drobnym płatkom śniegu, proszącym z zasnutego szarymi chmurami

nieba, Selden nagle zaczął żałować, że w ogóle poznał Janey. Wiele oddałby za to, żeby pozbyć się jej raz na zawsze. Poczłł niepokojącą chęć, żeby rzucić się z okna, a następnie pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby Janey zginęła w wypadku; nie musiałby wtedy ani jej znosić, ani opłacać jej zachcianek.

Z natłoku myśli wyrwało go wejście Gordona White'a i jego bez troskie: „Cześć, Rose”. White, jego zastępcza, prywatnie podawał się za „lojalnego poplecznika dyrektora Rose'a”, ale Selden wiedział dobrze, że Gordon szykuje się na jego stanowisko i wygryzie go bez skrupułów, jeśli tylko dostanie szansę.

– Witaj, Gordon – odpowiedział. White zajął jeden ze skórzanych foteli stojących przed biurkiem, siadając na nim jak nastolatek, bokiem, z nogami przerzuconymi przez poręcz. W opinii Seldena był to typowy okaz nowojorskiego mężczyzny: czterdziestojednoletni chłopak, który przez całe życie nie miał ani jednego związku z prawdziwego zdarzenia. Od dorastającego nastolatka różniło go tylko to, że miał własne pieniądze, mieszkanie i porsche – no i jeszcze to, że nikt nie krzychał na niego, kiedy wracał do domu nad ranem. Z drugiej strony, pomyślał Selden, przyglądając się kosztownemu włoskiemu garniturowi z czarnej wełny, który miał na sobie White, może to właśnie ubranie jest jedyną prawdziwą różnicą...

– Słyszałem, że nicy z kontraktu z Paradorem – rzucił Gordon, dłubiąc w zębach.

– O co chodzi? – zapytał Selden z roztargnieniem. Nazwa Parador

skojarzyła mu się z Comstockiem Dibble'em, a Dibble z Janey.

– Mają jakieś problemy z księgowością – poinformował go Gordon.

– Filmowcy zawsze mają z tym problemy – parsknął Selden.

– Ale nie aż takie – powiedział Gordon z naciskiem. – Jeszcze nie wiem dokładnie, ale podobno twój kumpel George węszy koło tego. Przewiduje wyprzedaż aktywów.

– Taką ma pracę.

– Słyszałem, że Comstock za wszelką cenę chce sprzedawać, dopóki rynek znów nie siądzie.

– Wszyscy mówią, że rynek wróci do dawnego poziomu – zauważył Selden.

– Oby. – Gordon strzepnął pyłek z nogawki. – Muszę w tym roku kupić dom w Hamptons.

– Jak planujesz architekturę zieleni? – zapytał Selden, a Gordon wybuchnął śmiechem. W firmie krążył dowcip, że to właśnie spadek na rynku opóźnia prace wykończeniowe terenu wokół biurowca.

Zadzwoił wewnętrzny telefon. Selden odebrał.

– Przyszedł pan Nick Vole – powiedziała June, jego sekretarka.

– Wpuść go – polecił.

Gordon wstał i wycelował w Seldena palec, składając dłoń w kształt pistoletu.

– Pamiętaj o naszej rozmowie, dobra, Rose? Jeśli twoja żona ma jakieś przyjaciółki...

Moja żona nie ma żadnych przyjaciółek, pomyślał Selden.

Gordon poszedł do siebie, a do gabinetu wszedł Vole. Od momentu kiedy zobaczył go po raz pierwszy, Selden w myślach przezywał go „Wołek”.

Pan Wołek był facetem tak stereotypowym, że nie sposób było pomylić się w jego ocenie. Na oko dobiegał czterdziestki, ale mógł być w dowolnym wieku, nawet po pięćdziesiątce. Nosił czarne, podkręcone do góry wąsy – farbowane – i rzadkie włosy sięgające ramion. Chodził w dżinsach i taniej brązowej kurtce skórzanej, ale widać było, że jest pewny siebie, czuje się w formie i nie da się łatwo pobić.

To ostatnie akurat Seldena nie dziwiło – typ podawał się za byłego członka służb specjalnych.

Przyniósł ze sobą szarą kopertę z papieru pakowego, którą wsunął pod ramię, kiedy podawał Rose'owi rękę.

– To pan jest Selden Rose? – zapytał. Głos miał szorstki i nieokrzesany, co także było do przewidzenia.

– Zgadza się. – Selden uściśnął podaną mu dłoń. – Spocznie pan? \_  
Wskazał gestem fotele.

– Mogę klapnąć – odparł Wołek, sadowiąc się. – Dziwne ma pan imię – zauważył, rozglądając się po gabinecie. Miał brązowe, zawsze półprzymknięte oczy i sprawiał wrażenie człowieka, którego niełatwo oszukać.

– Rodzinna tradycja – wyjaśnił Selden. – Możemy przejść do rzeczy?

– Nasz klient nasz pan – oznajmił Wołek. – Będzie pan raczej zadowolony. – Przesunął kopertę w jego stronę. Selden nie mógł się

oprzeć wrażeniu, że uczestniczy w scenie z filmu. I to nie najlepszego.

– Dlaczego? – zapytał, unosząc brwi. Otworzył kopertę.

– Cóż. – Wołek rozsiadł się wygodnie i skrzyżował ręce na piersi. – Na przykład dlatego, że babeczka ma legalnego męża.

– Aha. – Selden wyjął z koperty plik czarnobiałych fotografii i rozłożył je na biurku. Zobaczył na nich Marielle Dubrosey w towarzystwie chorobliwie chudego mężczyzny o wyglądzie przestępcy. Był młody, miał ciemne oczy i bladą, ospowatą twarz. Zdjęcie zrobiono prawdopodobnie na Brooklynie; on i Marielle stali na schodach starego, zniszczonego domu. Sądząc po ich minach, kłócili się zawzięcie. Selden uniósł fotografię i spojrzał pytająco na swojego gościa.

– To ten jej ślubny – wyjaśnił Wołek. – Nazywa się Tim Dubrosey.

Pracuje na targu rybnym w Fulton.

– Skoro to mąż... – zaczął Selden.

– Podają się za rodzeństwo. Tak przynajmniej powiedzieli właścicielowi domu.

– Rodzeństwo? – zdziwił się Selden. – Ani trochę nie są do siebie podobni.

– A od kiedy to koniecznie? – Wołek wzruszył ramionami. Ci bogacze to nic o świecie nie wiedzą, pomyślał, przyglądając się Rose'owi spod półprzymkniętych powiek.

Selden wrócił do fotografii. Jego uwagę zwróciła zwłaszcza jedna, ciemna i ziarnista, na której Marielle tańczyła przed mężczyzną w jakimś ponurym lokalu. Miała na sobie tylko stringi i stanik, a jej brzuch był już

trochę zaokrąglony. Patrzyła przed siebie zupełnie nieobecny wzrokiem, jakby chciała za wszelką cenę uwierzyć, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Seldenowi zrobiło się jej żal.

– Mój Boże – jęknął – to ona do tego jest striptizerką?

– Od czasu do czasu dorabia sobie w klubie, ale wszystko idzie na to jej piosenkarstwo – wyjaśnił Wołek. – Chce zostać drugą Jennifer Lopez, a szanowny Timmy ma być jej menedżerem... Widać rybki już mu śmierdzą.

– Zatem cała ta sprawa to szwindel – podsumował Selden. – Czego oni chcą? Pieniądzy?

– Chcą tego, co wszyscy: fortuny i sławy. Oglądają „Entertainment Tonight” i też chcą się zobaczyć na czerwonym dywanie – powiedział Wołek.

Selden bezwiednie poklepał się po głowie.

– W tym cały problem – zastanowił się głośno. – Każdy chce być sławny i bogaty, ale tak żeby się nie napracować.

– Jak na giełdzie – powiedział Wołek. Bardzo go ciekawiło, ile taki Selden Rose wyciąga rocznie. Milion? Dwa?

Telefon wewnętrzny zadzwonił jeszcze raz. Selden odebrał.

– Słucham?

– Dzwoni pan Craig Edgers – powiedziała June. – Umówił się pan z nim na drinka dziś wieczorem w pańskim hotelu. Pyta, czy to aktualne.

– Powiedz mu, że tak – polecił Selden.

Wołek wstał.

– Proszę przeczytać moje sprawozdanie. Nie ma żadnych dowodów, że

dziewczyna mówi nieprawdę. Faktem jest, że była tamtej nocy w tym samym hotelu co pański szwagier i że go tam poznała. Musi pan wiedzieć, że kobiety jej pokroju potrafią zajść w ciążę, kiedy chcą... i dobrze sobie wybrać ojca dziecka.

– W tym wypadku wybór nie należał do najlepszych. – Selden zmarszczył brwi.

– Każdy musi ponieść konsekwencje – rzekł Wołek.

– Ile jestem panu winien? – zapytał Selden.

Wołek jeszcze raz rozejrzał się po gabinecie.

– Pięć tysięcy.

To rozbój w biały dzień, pomyślał Selden, wyjmując książeczkę czekową. Co gorsza, tym razem też nic nie mógł na to poradzić.

Selden Rose szedł pospiesznie po drewnianej kładce prowadzącej z budynku Splatc Verner na Broadway. Nie chciał przemoczyć butów, a pod kładką robiły się już kałuże ze stopniałego śniegu. Stanął wreszcie na ulicy i rozejrzał się. Z pozoru wszystko wyglądało tak jak zwykle. Na przykład jego samochód stał tam, gdzie zawsze, na rogu Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy, a za kierownicą siedział Peter, jego osobisty kierowca, i pił kawę. Selden wyczuwał jednak, że coś wisi dziś w powietrzu. Ulicą przejechał radiowóz na sygnale, lawirując pomiędzy pojazdami. Jakaś zaniedbana kobieta w długim czarnym płaszczu rzuciła Seldenowi gniewne spojrzenie – bez konkretnego powodu. Domy na Broadwayu były szare i bez życia, jak na zdjęciach ze Związku Radzieckiego. Ni stąd, ni zowąd Selden Rose przypomniał sobie podobny dzień sprzed prawie



trzydziestu lat. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat i przyjechał do Nowego Jorku na prośbę matki, żeby wyciągnąć swojego młodszego brata z sekty. Jako dziecko Selden wyobrażał sobie, że jest komiksowym superbohaterem. Tylko on mógł dokonać heroiczych czynów (na przykład ukraść szczepionkę dla śmiertelnie chorej mamy). Zdarzyło się raz, kiedy był w trzeciej klasie, że obronił brata przed tłustym łobuzem nazwiskiem Wiley; bał się strasznie, ale przyłożył draniowi pięścią w brzuch. I stał się cud: grubas padł. Leżał na ziemi i płakał (w szkole mówiło się: „ryczał”), a Selden trafił na dywanik do dyrektora. Musiała przyjść po niego mama, która jednak wcale się nie gniewała, przeciwnie: przez całą drogę do domu tuliła go, próbowała całować i wciąż nazywała swoim małym Supermanem. To zdarzenie ustaliło pozycję Seldena w domu: był odtąd najlepszym synkiem, złotym chłopcem, na którym można polegać i który zawsze zrobi to, co trzeba, żeby ratować honor rodziny. Selden zdawał sobie sprawę, że ten rodzinny status już w dzieciństwie motywował go do odnoszenia sukcesów. W szkole chciał mieć najlepsze stopnie i dopiął swego – był prymusem. Potem wymarzył sobie Harvard. Dostał się. Wheaton, jego młodszy brat, nie miał szans – takiemu wyzwaniu nie mógł sprostać. W wieku piętnastu lat przyłapano go na sprzedaży skręta dwóm trzynastolatkom. Mama zawsze powtarzała, że najgorszą zmorą Wheatona jest to, że nie wierzy, że może dorównać bratu. Z tego powodu, tłumaczyła Seldenowi, należy traktować go szczególnie. Jednak Selden, jak większość głodnych sukcesu młodych ludzi o nieposkromionej ambicji, nie miał zbytnej wyrozumiałości dla słabostek

swojego brata; uważał je za głęboko zakorzenione skazy na charakterze.

Kiedy więc pewnego grudniowego dnia na przedostatnim roku studiów na Harvardzie Selden odebrał telefon i usłyszał głos rozhisteryzowanej matki, nie zdziwił się zbytnio. Wheatonowi udało się dostać w tym roku na uniwersytet stanowy na Florydzie, ale od dwóch miesięcy słuch o nim zaginął. Lecz nagle w grudniu spotkała go jedna z przyjaciółek matki, herod-baba Mary Schekel, która jak co roku wybrała się do Nowego Jorku, żeby zobaczyć zapalenie świateł na choince w Rockefeller Center. Wpadła na Wheatona na Piątej Alei (!), przed sklepem Tiffany'ego (!), w towarzystwie małej grupki wyznawców Hare Krysza (!). Zebrał razem z nimi, miał ogoloną głowę i nosił pomarańczową szatę zarzuconą na czerwoną bluzę z kapturem. Nie poznał chyba pani Schekel, bo podszedł do niej i poprosił o pieniądze.

– Wstydz się za siebie, Wheatonie Rose! – wrzasnęła energiczna kobieta. Wheaton uciekł, a za nim pozostali krysznowcy. Pani Schekel o mało nie dostała zawału.

Selden uczył się wtedy ciężko do sesji, ale „sprawa rodzinna” miała absolutny priorytet. Była ważniejsza nawet od jego własnej przyszłości, bo przecież rodzina jest na pierwszym miejscu. Niezależnie od tego, co czuł w głębi serca, Selden zawsze przyznawał przed samym sobą, że kocha rodziców i brata. Opuszczenie rodziny w potrzebie było niczym herezją. Pierwsze pozytywne uczucia, których człowiek doznaje w życiu i które stanowią o jego człowieczeństwie, są skierowane właśnie do najbliższych. Selden Rose poczuł się jak mroczny mściciel. Nie bacząc na nic,

następnego ranka pojechał pociągiem do Nowego Jorku. Dzień był mroźny.

Zatrzymał się wtedy w hotelu Christopher na Columbus Circle. Poleciała mu go pani Schekel (dla niej jego główną zaletą była bliskość Lincoln Center). Idąc w kierunku czekającego nań samochodu, Selden poszukał wzrokiem znajomego budynku. Hotel wciąż jeszcze stał. Wyglądał jeszcze bardziej nędznie niż wtedy, jeśli to możliwe. Nad oknami trzepotały podarte markizy w białozielone pasy, a na ścianie jarzył się neon z nazwą hotelu. Przed laty ten neon wydawał się Seldenowi szykowny; dziś był już tylko tandetny i przypominał podstarzałą tancerkę rewiewą, która nie chce odejść ze sceny.

Rose doszedł do swojego samochodu i zastukał w okno. Peter odwrócił głowę, ale nie ruszył się z miejsca. Selden wsiadł.

– Znasz prognozę pogody, Peter? – Było to jego zwykłe zagajenie w rozmowie z kierowcą.

– Śnieg ma padać przez całą noc, panie Rose, ale będzie go najwyżej pięć centymetrów. Wie pan, co to oznacza?

– Chłapa od samego rana. – Selden kiwnął głową. Tego dnia, kiedy przyjechał do Nowego Jorku z Cambridge, też padał śnieg, ale gęsty. Był to piątek. Z niewiadomego powodu w pociągu był tłok. Selden musiał stać w przejściu pomiędzy wagonami, gdzie przez szparę w niedomkniętych drzwiach sypał śnieg. Podróż trwała pięć godzin, które Selden spędził na rozważaniu swojej misji, marznąc przy okazji do szpiku kości. Choć w Nowym Jorku mieszkało osiem milionów ludzi, nie przyszło mu nawet do

głowy, że może się nie udać. Młodość cechuje tajemnicza, niemalże nadprzyrodzona moc sprawcza.

I znów stał się cud. Już drugiego dnia po przyjeździe Selden znalazł brata. Spotkał go na ulicy w towarzystwie innego krysznowca. Wheaton był wycieńczony. Jego brązowe oczy zdawały się wychodzić na wierzch. Wciąż miał na sobie tę samą brudną czerwoną bluzę. Selden bez większego trudu przekonał brata, żeby poszedł razem z nim do hotelu, a następnego ranka lecieli już samolotem do domu. Po raz kolejny bohater zwyciężył...

Wydawało mu się, że zapamięta to na całe życie. Okazało się jednak, że z biegiem czasu zapomniał o wszystkim i to niemalże całkowicie. Od lat już nie wspominał tamtych wydarzeń. Wyjrzał przez okno samochodu, lustrując wzrokiem korek pomiędzy Piątą Aleją a Madison. Usiłował przypomnieć sobie, kiedy to ostatni raz w ogóle o tym myślał. Dziesięć lat temu? Może piętnaście? Jego brat został prawnikiem, pracował teraz w Chicago, był po rozwodzie i ponownym ślubie. Czy on o tym pamięta? Czy wspomina czasem, jaki kiedyś był głupi? A może jemu również wszystko wyleciało z głowy? Selden nie mógł się nadziwić temu fenomenowi: całe fragmenty przeszłości potrafią bez śladu zniknąć z pamięci.

A skoro człowiek ich nie pamięta, to może faktycznie nigdy nic nie zaszło? A jeśli zaszło, to jaki był cel tych zajęć? Selden pograżył się we wspomnieniach. Jaki on sam był dwadzieścia pięć lat temu? Z pewnością bardziej gniewny i cyniczny niż teraz. A także bezlitośnie krytyczny.

Pamiętał dobrze, jak pewnego razu ojciec oskarżył go, że nie ma ani krzty współczucia dla innych; było to po ukończeniu studiów i jego wyjeździe do Los Angeles. Poza tym wszystko wtedy wydawało mu się ważne. Życie – to było coś wielkiego. Każde zdarzenie miało olbrzymią wartość. Ale czas płynął i przychodziły nowe rzeczy, a stare odpływały w niebyt. Czas pożerał wszystko. Nawet tchnienie śmierci nie mogło powstrzymać rozpadu pamięci; kiedy umierał ktoś znajomy, lecz nie z kręgu najbliższych, to już trzy dni później wspomnienie o nim ulatywało, jakby się nigdy nie urodził.

Selden rozmyślał. Czy za dziesięć lat będzie pamiętał o dzisiejszym dniu? O tej chwili, o jeździe samochodem przez zatłoczony Broadway, o tym Świętym Mikołaju z Armii Zbawienia, stojącym na rogu i wymachującym dzwoneczkiem? Czy przypomni sobie, że pogniewał się na żonę, bo wydała pięćdziesiąt tysięcy dolarów, albo o tym, że wynajął prywatnego detektywa do zebrania informacji o kobiecie, która chciała, aby mąż siostry żony Seldena uznał ojcostwo jej dziecka? Z zalem pomyślał, że odpowiedź na te pytania brzmi: nie. Zdawało się mu, że jego życie rozplywa się w nieistnieniu. Za dwadzieścia lat przejdzie na emeryturę – i nie będzie miał już nawet wspomnień...

Wziął do ręki szarą kopertę, tknięty nagłą potrzebą powrotu do rzeczywistości. Może w przyszłości nie będzie miał wspomnień, ale na razie wciąż jeszcze żył i był kimś ważnym. Mógł działać, do jasnej cholery! Przecież wciąż działał, wciąż coś robił, załatwiał setki spraw i rozwiązywał problemy. Z tego powodu właśnie w jego umyśle brak było

miejsca na wspomnienia.

Przyjrzał się ponownie fotografii Marielle robiącej striptiz. To naturalne, że kobiety rodzą dzieci, ale to, pomyślał, to już jakaś parodia. Jeśli faktycznie Digger jest ojcem, to nie ujdzie mu to na sucho, obiecał sobie Selden. Był mocno rozgniewany. Przyjął na siebie rolę głowy swojej nowej rodziny i podjął się pośrednictwa pomiędzy Patty i Diggerem. To on poradził Patty, żeby pojechała za mężem do Europy, i polecił własnej sekretarce załatwić wszystkie formalności związane z podróżą, tak aby oszczędzić Patty dodatkowego stresu. Janey była przeciwna wyjazdowi siostry, ale Patty posłuchała Seldena; istniała między nimi jakaś nić porozumienia. Ta garść nowych informacji będzie dla niej znakiem, że powinna walczyć o swoje małżeństwo. Selden, choć sam był po rozwodzie, nie wyzbył się wiary w świętość związków małżeńskich. Nadal był przekonany, że dla dwojga ludzi jest to wyzwanie, które umożliwia im doskonalenie wzajemnej miłości i zrozumienia. Z taką myślą wysiadł z samochodu przed swoim hotelem. Znowu czuł się jak bohater.

Przede wszystkim chciał opowiedzieć wszystko żonie. Obrócił klucz w zamku i wszedł do przedpokoju, oczekując, że powita go jej melodyjny głos, ale wszędzie panowała cisza. Selden poczuł się dotknięty i zawiedziony. Wszedł do salonu.

Rzucił kopertę na biurko i wyjął papierosa z małego srebrnego pudełka stojącego na gzymsie kominka. Usiadł ciężko na obitej perkalem sofie, uświadamiając sobie, że brak mu Janey, że nudno mu bez niej. Miała swoje wady, to prawda, a ich małżeństwo dotąd nie było pasmem

sukcesów. Ale jako osoba Janey była bezsprzecznie interesująca ze względu na swoją nieprzewidywalność.

Czasami, kiedy Selden wracał z pracy, brała prysznic i sennymi ruchami mydliła swoje wspaniałe ciało. To mu mówiło, że drzemała na kanapie albo po prostu przez cały dzień nie wstała z łóżka i żeby jej nieróbstwo się nie wydało, wskoczyła pod prysznic, kiedy tylko usłyszała, że mąż wchodzi. Myślała, że Selden nabierze się na ten dziecinny fortel, a jego tymczasem cała ta maskarada tak bawiła, że nigdy nie miał serca zdemaskować Janey. Jeśli zaś nie była pod prysznicem, zwykle zastawał ją w salonie. Trzymała w ręce jakiś tom klasyki, a z głośników sączyła się muzyka Mozarta albo Beethovena. Był to kolejny podstęp, mający na celu zrobienie na nim wrażenia. Chciała mu się pokazać taka, jaką on chciał ją zobaczyć, i udowodnić, że stara się sprostać jego oczekiwaniom. Jej wysiłki były pretensjonalne aż do bólu, ale jednocześnie czarujące. Tak przynajmniej je odbierał.

Zdaniem Seldena ich małżeństwo mogło albo skończyć się spektakularną porażką, albo triumfalnym sukcesem. Musiał jednak przyznać, że wciąż jeszcze czuł się jak świeżo upieczony małżonek; wiele cech żony drażniło go, ale z drugiej strony mnóstwo było bardzo zabawnych, od zaskakującej urody, wymykającej się wszelkim kanonom piękności, przez jej dziki entuzjazm w łóżku, aż po nieskrywaną satysfakcję ze swojej nowej pozycji w świecie. Selden musiał także przyznać, że jego męskie ego czerpało zadowolenie z faktu, że jako mąż może obdarzyć żonę szczęściem, które omijało ją przez całe życie, aż do

chwili kiedy go poznała.

Poczuł nagły przypływ energii. Wstał i podszedł do okna. Prawdę mówiąc, był z siebie zadowolony. Niewielu mężczyzn potrafiłoby poradzić sobie z taką kobietą jak Janey Wilcox, ale przecież, pomyślał, to nie jej wina. W jego oczach Janey miała zdolność nieomyłnej oceny ludzkiej natury (podobną do tej, jaką wykazuje człowiek dotknięty autyzmem) w połączeniu z mistrzowskim, godnym kurtyzany, opanowaniem sztuki manipulacji. Selden potrafił przejrzeć jej naiwne fortele na wylot, ale zdawał sobie sprawę, że większość mężczyzn, zapatrzonych w siebie i własny status, nie potrafi tego dokonać. Nawet mężczyzna o wielkim obyciu w świecie mógł paść ofiarą wdzięków Janey, choć w krótkim czasie zazwyczaj uświadamiał sobie z gniewem, że jej wdzięk jest jedynie częścią misternego planu.

Selden patrzył na śnieg, który rozpadał się na dobre. Nie przejmował się zbytnio innymi mężczyznami. Pochlebiał sobie nawet, że jest odwrotnie; w końcu to on zdobył pożądane przez wszystkich trofeum...

Zerknął na zegarek – było już po wpół do siódmej. Pomyślał z rozbawieniem, co też mogło zatrzymać Janey tak długo poza domem.

Nagle uderzyła go myśl: na pewno boi się wrócić, bo wydała pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ale Selden już się na nią nie gniewał, przeciwnie, zaczynał się niepokoić. Chciał, żeby była w domu, kiedy przyjdzie Craig Edgers...

Zadzwonił na jej komórkę, ale od razu włączyła się poczta głosowa.

Poczuł wyrzuty sumienia. Czy to możliwe, że instynktownie wyczuła jego



intencję popisania się nią i dlatego tak długo nie wraca? Miała o sobie wysokie mniemanie – czasem nieco bezpodstawnie – i czuła się urażona, kiedy zaczynała podejrzewać, że traktuje się ją przedmiotowo, że ma służyć komuś na pokaz, jak klacz na wybiegu. Ale tego dnia Selden nie mógł oprzeć się pokusie zaimponowania piękną żoną swojemu staremu kumplowi.

Craig Edgers przez ostatnie dwa lata studiów dzielił z Seldenem pokój w akademiku. Choć nie utrzymywali stałego kontaktu, Selden nie zdziwił się, kiedy w zeszłym tygodniu Craig zadzwonił pod pretekstem „nadrobienia zaległości”. Wiedział z gazet o przejściu Seldena do Movie-Time, jak również o jego ślubie (o pierwszym pisały magazyny biznesowe, o drugim kolorowa prasa). Wyznał, że marzy o tym, żeby poznać modelkę Victoria's Secret. Perspektywa zaimponowania Edgersowi była zbyt kusząca i Selden zaprosił go na drinka razem z żoną, na co jednak Craig odparł, że wolałby przyjść sam. Było to zrozumiałe: przy Lorraine, swojej żonie, nie mógłby bezkarnie gapić się na Janey. Jakkolwiek Selden też nie był bez winy, ponieważ celowo „zapomniał” powiadomić Janey o odwiedzinach kolegi ze studiów.

Gdy usiadł na kanapie, zauważył otwartą książkę leżącą na podręcznym stoliku; wyglądała jak kobieta, którą ktoś zaliczył i natychmiast zniknął. Było to ekskluzywne wydanie „Państwa” Platona. Obok leżał różowy, szkolny marker. Janey podkreślała nim fragmenty, które w szczególny sposób docierały do tajemnych głębi jej duszy. Selden troskliwie podniósł książkę i zamknął ją, wkładając flamaster pomiędzy kartki. W

zwyczajnych okolicznościach mogłaby leżeć na stoliku, ale nie dziś.

Pozostawienie książki w tak widocznym miejscu w połączeniu z tym wszystko mówiącym różowym markerem pachniało na kilometr stwarzaniem pozorów erudycji. Craig miał zbyt dobre oko: zauważyłby to natychmiast i bezlitośnie wykpił.

Selden rozejrzał się. Postanowił schować tom w szufladzie biurka.

Otworzył ją. Było tam pełno szpargałów: zabazgrane karteczki z numerami telefonów, paragony, puste koperty i kilka, na oko, urzędowych listów. Położył książkę na wierzchu tej sterty, przycisnął i zatrzasnął szufladę. Poczuł się lepiej, kiedy zniknęła z widoku. Wiedział, że jeśli Janey przyszłoby do głowy wciągnąć Craiga w intelektualną dyskusję, skończyłoby się to katastrofą; zniszczyłby ją bez chwili wahania, obnażając jej braki z chirurgiczną precyzją.

Craig Edgers należał do tego typu mężczyzn, dla których jedynym źródłem satysfakcji w życiu jest niezachwiana pewność, że przerastają intelektem każdego innego człowieka. Zawsze chciał zostać „wielkim pisarzem”; już na studiach do wszelkich twórców literackich odnosił się ze zgorzkniałą zazdrością. Nosił to wszelkie znamiona kompleksu nieodkrytego geniuszu. Po studiach zrobił się jeszcze gorszy. Selden wyjechał do Los Angeles i od razu znalazł posadę; został zbieraczem materiałów w znanej firmie produkującej filmy. W pierwszym tygodniu pracy odkrył książkę „Odrzucony kraj”. Na jej podstawie nakręcono film, który przyniósł firmie miliony, a Seldenowi pierwsze sto tysięcy oraz bezpieczną pozycję w przemyśle rozrywkowym. Tymczasem Craig

zamieszkał w Nowym Jorku, gdzie zarabiał grosze jako weryfikator faktów w „New Yorkerze”. Płynęły lata; Selden szedł w górę, a Craig wciąż się szarpał. Jego twórczość mijiała bez echa, pomimo trzech wydanych powieści i licznych opublikowanych esejów. Etykieta „obietującego talentu literackiego”, którą nosił w wąskich kręgach ludzi ceniących podobne miana, była wszystkim, czego się dorobił.

Nagle, trzy miesiące temu, wszystko uległo zmianie po wydaniu opus magnum Craiga, zatytułowanego „Konsternacje”. Książka z miejsca skoczyła na szczyt listy bestsellerów „New York Timesa”, a autora okrzyknięto drugim Tolstojem. Craig zaczął pojawiać się w telewizji, zapraszano go na dyskusje panelowe, a jego zdjęcie było wszędzie (Selden podejrzewał, że jest to stare zdjęcie, zrobione, kiedy nie miał jeszcze trzydziestki).

Do apartamentu zadzwonił portier. Selden polecił wprowadzić Craiga na górę. Stał przy drzwiach, niecierpliwie wyczekując gościa. Po raz pierwszy miał zobaczyć Edgersa jako człowieka sukcesu i był ciekawy zmian, jakie w nim zaszły. Po chwili usłyszał pukanie do drzwi. Craig wszedł, roztaczając woń mroźnego powietrza i papierosów. Objęli się serdecznie. Jak zwykle fatalnie ubrany, pomyślał Selden, a w dodatku ma już dobre piętnaście kilo nadwagi. Craig wszedł swobodnym krokiem do salonu, rozglądając się dookoła.

– Bój się Boga, Rose. – W jego głosie brzmiało skrywane szyderstwo, które po dwudziestu latach walki o uznanie innych było zapewne zrośnięte z nim na stałe. – Myślałem, że jesteś teraz wielką szychą, a ty mieszkasz w

hotelu?

– A ja myślałem, że ceniony pisarz potrafi się ubrać tak, żeby można go

było odróżnić od mniej cenionych pisarzy – odciął się Selden.

– Cóż, jak zawsze brak mi stylu, w odróżnieniu od ciebie. – Craig

przysiadł na kanapie i ściągnął znoszony tweedowy płaszcz. – Na dworze

prawdziwa zamieć.

– Co ci podać? – zapytał Selden. – Może być wódka?

– Lorraine poczuje, że piłem, ale co tam. Chciałbyś ożenić się z kobietą

kubek w kubek jak twoja matka?

– Miałem jedną matkę. – Selden się zaśmiał. – Wystarczy.

– I stąd w twoim życiu modelka młodsza o dziesięć lat?

– Zgadza się – odparł Selden spokojnie, myśląc, że nie może dać się

Craigowi wkurzyć zaraz na wstępie.

– Jasne... – Craig podrapał się po głowie. Selden zauważył, że mógłby

umyć włosy. – A propos – powiedział – nie wiesz, co tam u Sheili?

Selden zamarł.

– Wyszła za mąż tego samego dnia, w którym otrzymała dokumenty

rozwodowe.

Poszedł do kuchni i nalał wódki do dwóch szklanek z lodem. Ostatnią

rzeczą, o jakiej miał dziś ochotę rozmawiać, była Sheila i powody rozpadu

ich związku.

– Hej, Edgers – zawołał – nie boisz się, że sukces stępi ostrze twojego

pióra? – Wrócił do pokoju, podał Craigowi szklankę i zasalutował mu

własną. – Wiesz o tym, że forsa i sława zamykają oczy na okropności tego

Świata...

– Nie musisz mi mówić. – W głosie Craiga pobrzmiwał żal. –

Codziennie uświadamiam każdego, kogo spotkam, że ma mnie nienawidzić, bo jestem mądry, a on to debil, ale teraz nagle wszyscy się ze mną zgadzają. Wszyscy oprócz Lorraine, która wciąż mi powtarza, że mogę sobie być na liście bestsellerów, ale i tak jestem palantem.

– Pewne rzeczy są niezmiennie – rzekł Selden.

Craig skoncentrował się na swoim drinku. W końcu odetchnął głęboko i powiedział:

– Muszę oddać ci honor, Rose. Ja narobiłem niezłego zamieszania tą moją książką, ale twój ślub przebił wszystko.

Selden uśmiechnął się, siadając na fotelu.

– Zawsze byłem krok przed tobą, Edgers.

– Wszyscy szaleją. – Alkohol zdążył już zagrzać Craiga do podjęcia nurtującego go tematu. – Każdy mówi tylko o tym. Faceci zazdroszczą ci jak diabli, a babki wariują z nerwów. Mówią sobie: skoro Selden Rose mógł poślubić supermodelkę, to mój mąż też, a mężczyźni nie zaprzeczają.

Sam zacząłem ostatnio przyglądać się Lorraine i tak sobie myślałem...

Selden roześmiał się, pociągając ze szklanki. Craig był teraz jeszcze bardziej obleśny niż na studiach, bo miał już w sobie coś ze sprośnego starucha.

– Nie oszukuj się – poradził mu z wymuszonym uśmiechem, zastanawiając się, ile jeszcze potrwa, zanim będzie go mógł spławić. –

Gadasz jak normalny amerykański frajer, który ogląda panienki w

telewizji i myśli: gdybym miał dojście do tych sfer, od razu bym sobie taką przygruchał... A to niemożliwe, tak samo jak grubas nigdy nie będzie dżokejem.

– Daruj sobie te porównania – powiedział Craig z goryczą.

– Poza tym myślałem – ciągnął Selden, rozsiadając się wygodnie w fotelu i krzyżując nogi przed sobą – że dobrze ci się układa z Lorraine. We wszystkich wywiadach opowiadacie o szczęśliwym małżeństwie z sześcioletnim stażem...

– Nie jest źle – przyznał Craig – jak na wygasłą wielką miłość. Ale powiedz szczerze, kto by nie chciał być z kimś innym, zwłaszcza z dziewczyną z reklamówki? Przecież to jest właśnie motor działań mężczyzny-konsumenta: kobieta jako produkt.

– Lorraine nie zgodziłaby się z tym – powiedział Selden, przypominając sobie żonę Craiga, niewysoką, energiczną kobietę z wieczną obsesją na punkcie całkowitej kontroli nad każdym szczegółem własnego życia, włączając w to kolor papieru w toalecie.

– Tylko dlatego, że kiepski z niej produkt – prychnął Craig.

– Cóż – Selden musiał się zgodzić – ciesz się, że z ciebie jest lepszy.

– Walczę z tym. – W głosie Craiga zabrzmiał sarkazm, a Selden nagle sobie przypomniał, że czytał niedawno o tym, jak to Craig Edgers odrzuca kolejne propozycje sprzedania praw do scenariusza. – Pozostało mi jeszcze trochę artystycznych ideałów. A ty się ich wyzbyłeś. – Wyjął z kieszeni tweedowej marynarki paczkę papierosów i położył ją na stole, jakby miał zamiar jeszcze trochę posiedzieć. – Ale i tak obaj ulegliśmy stereotypom:

ja zostałem autorem bestsellerów walczącym o wolność artystyczną, a ty jesteś hollywoodzkim producentem żonatym z blond lalunią...

Selden odebrał to jak policzek. Wiedział, że poczucie humoru Edgersa opiera się na agresywnym, ciętym języku, ale tego już było za wiele. Co innego obrazić jego, a co innego – jego żonę. Roześmiał się szyderczo, odstawiając z hałasem szklankę na stolik.

– Przyznaję, że brak ci polotu Janey, ale za to ona dorównuje inteligencją Lorraine.

– A wewnątrz ma równie bogate? – Craig triumfalnie wymierzył palec w Seldena, zadowolony z efektu, jaki wywołały jego słowa. – Lorraine nie jest piękną, ale przynajmniej ma coś w głowie, a kiedy patrzę na te dziewczyny w telewizji, myślę sobie: Poszedłbym z nią do łóżka, ale śniadania rano już bym nie chciał z nią jeść.

– Zazdrość przez ciebie przemawia...

– Daj spokój, Rose...

– Każdy mężczyzna zaczyna w końcu doceniać kobiety pełne wdzięku i słodyczy...

– Przestań! – Craig niemal krzyknął. – Gadasz jak stary zboczony angielski profesor. Powiedz mi jedno: czy wy w ogóle macie o czym rozmawiać? Czy może tak naprawdę nudzisz się przy niej wszędzie oprócz łóżka?

– Nudziłem się przy Sheili – odparł Selden, mierząc Craiga spojrzeniem, które mówiło, że tak samo nudziłby się przy Lorraine.

W tej chwili dobiegł ich szcęk klucza w zamku i odgłos zamykanych

drzwi, a po chwili melodyjny tryl Janey, dobiegający z przedpokoju.

– Selden?

Selden wyprostował się dumnie w fotelu, przypomniawszy sobie z zadowoleniem, jak piękny głos ma jego żona. Ciekawe, czy Edgers też to zauważył.

– Wróciła moja żona – oznajmił, zerkając na gościa z ukosa. Craig patrzył wprost przed siebie, jak dziecko, które upiera się, że nie będzie na coś patrzeć. Kiedy podniósł szklankę do ust, Selden spostrzegł, że nieznacznie drżą mu ręce. Denerwuje się jak uczeń, pomyślał z wyższością, wołając:

– Jesteśmy w salonie...

Janey stanęła w progu, oświetlona blaskiem lamp stojących na stole.

Świadoma tego, że przykuwa uwagę wszystkich obecnych, jak aktorka wchodząca na scenę, zamarła na moment, po czym powoli zdjęła futro kryjące jej idealne kształty. Selden był zadowolony, widząc, że ma na sobie drogie, eleganckie rzeczy, w których wygląda seksownie, a jednocześnie naprawdę wytwornie. Weszła do salonu, spoglądając ze zdziwieniem.

– Nie jesteś sam... ?

– To mój kolega ze studiów.

– O! – Była wyraźnie zaskoczona. Selden znał ją wystarczająco dobrze, aby domyślić się, że coś jest nie tak. Wyglądała na wyczerpaną, była podenerwowana i nieobecna duchem, jakby myślami krążyła gdzie indziej. Miała lekko obrzmiałą twarz – płakała? Postąpiła jeszcze krok do przodu i



Selden domyślił się przyczyny tej odmiany: szyję Janey opinał sznur pysznych szaroczarnych pereł. Więc na to poszły te pieniądze! Z daleka było widać, że klejnoty są wspaniałe, prawdopodobnie rzeczywiście warte swojej ceny. Biedna dziewczyna bała mu się powiedzieć i dlatego płakała...

Janey podeszła do niego; wstał.

– Bardzo cię przepraszam. – Nadstawiła mu policzek. – Miałam totalnie zakręcony dzień. Wydawało mi się, że wyskoczył mi pryszcz, więc pobiegłam do dermatologa i zrobiłam lekki peeling. Dasz wiarę? –

Pocałowała go w usta, strosząc delikatnie jego włosy. Potem zwróciła się do Craiga: – Wiem, że to brzmi niemądrze, ale tak właśnie wygląda życie modelki. Najmniejszy feler wywołuje histerię i przesłania cały świat. Nic dziwnego, że ludzie myślą, że modelki są głupie! – Wyciągnęła rękę. –

Przy okazji: jestem Janey Rose.

Była absolutnie urocza, co zrobiło duże wrażenie na Craigu. Wstał i ucałował podaną mu dłoń.

– Kochanie, to jest Craig Edgers. Na studiach mieszkaliśmy w jednym pokoju. Pomyślałem sobie, że chciałabyś go poznać – powiedział Selden, myśląc, że lepiej będzie przedstawić rzeczy w tym świetle, niż otwarcie ogłosić, że Craig przyszedł obejrzyć modelkę Victoria's Secret.

– Craig Edgers? – zapytała z niedowierzaniem. – Selden! – ofuknęła męża. – Dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś, że znasz Craiga Edgersa? –

Po czym dodała tonem tak ewidentnie pochlebny, że Selden poczuł lekkie zakłopotanie: – Jesteś świetnym pisarzem. Znam wszystkie twoje

książki od dawna, czytałam je, zanim jeszcze wydałeś ten bestseller. Dla mnie jesteś geniuszem...

Z jednej strony Selden był pełen uznania dla Janey: zaskoczyła Edgersa kompletnie, co było zresztą widać. Cała jego agresywna zaczepność, zwykle buzująca tuż pod powierzchnią, nagle przygasła, opadła jak sflaczały penis. W tym momencie Selden zrozumiał, dlaczego Craig musi się tak zachowywać. Gdyby nie cięty język, widać by było jak na dłoni, że jest niczym więcej, jak tylko zaszczutym kujonem. Edgers podniósł rękę do twarzy, jakby chciał poprawić okulary, ale w porę przypomniał sobie, że ma szkła kontaktowe i tylko potarł nos.

– No cóż – odrzekł – od niedawna dociera to także do innych.

– Bardzo się cieszę z twojego sukcesu – powiedziała Janey. – To musi być wspaniałe, kiedy wszyscy w końcu docenią twój talent!

Selden wtrącił się szybko:

– Tylko go nie przeceniaj, Janey. Gdybyś знаła Craiga tyle lat co ja, byłby dla ciebie tylko drażniącym...

Janey i Craig spojrzeli na niego jak na natręta, który przerwał im miłą pogawędkę we dwoje.

– Kotku możesz mi zrobić drinka? – poprosiła Janey słodkim głosem.

– Jasne. – Poszedł do kuchni, myśląc: Z drugiej strony... Właśnie. Z drugiej strony co? Miał być zazdrosny? O Craiga Edgersa? Cóż, gdyby nie znał Janey, pomyślałby, że stara się go uwieść. Była nim tak zaprzątnięta...

Do tej pory zachowywała się w ten sposób tylko wobec niego. A może, pomyślał, mieszając wódkę z sokiem pomarańczowym, to całe

przedstawienie było właśnie dla niego? Oczywiście – na pewno chciała spodobać się jego staremu kumplowi ze studiów. Seldenowi nigdy nie przyszło do głowy, że Janey potrzebuje czegoś więcej: żeby Craig się w niej zakochał.

Niemniej nie spodziewał się po niej tej długo tajonej, wieloletniej pasji do książek Edgersa. Mimo że Craig doczekał się wreszcie sławy, której zawsze pożądał, Selden wciąż nie mógł zrozumieć zachwyków publiczności i krytyki nad jego „lirycznym stylem”. Zapoznał się z jego twórczością (Craig przesłał mu dwie pierwsze powieści i kilka opowiadań w nadziei, że uda mu się sprzedać je do filmu), ale nie znalazł w niej nic oprócz pretensjonalności i zapatrzenia w siebie. Nie powiedziałby tego Craigowi prosto w oczy, ale w rozmowach z innymi bez ogródek wygłaszał takie sądy.

Możliwe jednak, że zbyt surowo oceniał jego pisarski talent. Dlaczego – z zazdrości? Opamiętał się szybko; nie było takiej rzeczy, której mógłby zazdrościć Craigowi Edgersowi, a już na pewno nie była nią jego praca. Ostateczne kryterium – pieniądze – przekonało go; Craig nigdy nie zdoła dorównać mu na tym polu. Źródłem irytacji Seldena było co innego.

Denerwowało go po prostu to, że Craig wcale nie był wielkim pisarzem, a mimo to Janey, jego własna żona, nie była dość odczytana, żeby to dostrzec. Jestem niesprawiedliwy, pomyślał, wręczając jej zmieszany koktajl, przylepiwszy do twarzy sztuczny uśmiech. Janey nie była wykształcona, skończyła zaledwie szkołę średnią. Trudno było od niej wymagać takiej przenikliwości umysłu. Ale kiedy Selden spojrzał na nią, przeszył go

dreszcz. Przycupnęła na samym brzegu kanapy, wbijając w Craiga

zachwycone spojrzenie. Nawet nie odwróciła głowy, kiedy Selden podał jej szklankę.

– To skandal – powiedziała. – Czy oni w ogóle nie rozumieją, kim jest autor? Kto zna książkę lepiej niż on? Kto lepiej rozumie jej znaczenie i wie, jak to powinno wyglądać?

Selden postanowił przerwać te pogaduszki. Usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy. Podobne wypowiedzi słyszał już nieraz od znajomych „intelektualistów”, stąd wiedział, że obecna rozmowa dotyczy upokorzeń, jakie autor musi znosić w Hollywood. W dziwny sposób w ustach Janey znajome słowa brzmiały jak wyświechtane slogany.

– Już dość, kochanie – odezwał się zdecydowanym tonem. – Craig pewnie już to wszystko wie...

Natychmiast pożałował swoich słów, kiedy Janey zwróciła na niego wzrok pełen wyrzutu; jakim prawem próbuje jej dyktować, o czym ma rozmawiać? A jednak to był żenujący widok: Janey wymądrzająca się na temat, o którym nie miała pojęcia, i Craig bujający w siódmym niebie z radości, że ładna dziewczyna raczyła zwrócić na niego uwagę. Jeśli Janey chce się rozwijać intelektualnie, pomyślał Selden, to najpierw powinna skorzystać z moich wskazówek, a nie od razu porywać się na rozmowę z literatem...

Rozterki Seldena nie uszły uwagi Craiga; oparł się o poręcz kanapy, krzyżując ramiona na piersi, i uśmiechnął się, wskazując głową w jego stronę.

– To szczerza prawda, Janey – przyznał – ale pretensje powinnaś

kierować do męża, który jest częściowo odpowiedzialny za obecny kształt przemysłu rozrywkowego.

– Grubo mnie przeceniasz – parsknął Selden.

– Ależ, Selden! – Oburzenie w głosie Janey przybrało na sile. – Kto ma coś z tym zrobić, jak nie ty? Wiesz, że o prawa do nowej książki Craiga zabiega także Comstock Dibble?

– To jest facet, który wie, co robi.

– A kimże on jest? – wykrzyknęła Janey. – Czy wiesz – zwróciła się do Craiga – że jego ojciec był hydraulikiem, a on sam zaczynał od handlu pornografią na wideo? Co taki człowiek może wiedzieć o sztuce?

Selden zaśmiał się, potrząsając mechanicznie szklanką, żeby rozpuścić lód.

– To tylko plotka. – Mówiąc to, czuł się jak adwokat diabła. – Skoro Comstock Dibble zechciał kupić książkę Craiga, to znaczy, że potrafi z nią zrobić, co należy.

– Ale nie chce się zgodzić, żeby Craig napisał scenariusz – upierała się Janey.

– To dowodzi, że ma pomysłuńek.

– Och, Selden – westchnęła – przecież błyskotliwy autor powinien sam napisać scenariusz na podstawie własnego bestsellera.

Selden wodził gniewnym wzrokiem od Janey do Craiga. Czuł, że za chwilę wybuchnie, ale wiedział, że wtedy straciłby twarz. Dlaczego

Comstock – tak samo jak każdy inny producent – nie pozwoli Craigowi

napisać scenariusza? Powód był prosty: jego powieści nie zawierały ani krztyny konkretnej akcji, a film, niestety, opiera się na akcji, czego tak zwani artyści nigdy nie potrafili zrozumieć. W tej chwili jednak nie można było rozpoczynać rozmowy na ten temat, bo Craig zasiedziałyby się tu na dobre, a Selden nagle zapragnął się od niego uwolnić.

– Cóż – powiedział powoli, grzechocząc kostkami lodu w szklance – Craig powinien się cieszyć, że w ogóle ktoś chce kupić od niego prawa do scenariusza. Hollywood ostatnio niewiele kupuje.

– Co za bzdury opowiadasz! – rozzłościła się Janey. – To samo zawsze mówią te bubki z Hollywood. Kłamią jak z nut! – Nagle zmieniła taktykę i spojrzała na Seldena zalotnie: – Kochanie, przecież masz taki talent... A ja już obiecałam Craigowi, że kupisz jego książkę i zrobisz z niej film dla Movie-Time!

W głosie Janey brzmiała niezachwiana pewność, że oto poddaje mężowi genialny pomysł, na który on nigdy sam by nie wpadł. Selden zbaraniał. Janey była dziś inną kobietą; do tej pory nigdy nie zabierała głosu w dyskusjach o interesach, przysłuchiwała się tylko (Selden miał nadzieję, że słucha naprawdę i czegoś się przy tym uczy).

– No i co ty na to, Rose? – zapytał Craig.

– Zastanowię się – odparł Selden chłodno.

Spojrzelili sobie w oczy jak dwaj przeciwnicy stojący do walki. Janey nagle podniosła się z kanapy i roześmiała radośnie. Jej śmiech przypominał ćwierkot małego ptaka. Selden zauważył z lekką irytacją, że bez wysiłku zwróciła tym na siebie uwagę zarówno jego, jak i Craiga.

Świadoma ich spojrzeń Janey podeszła do fotela, na którym siedział Selden, i wślizgnęła się obok niego, tak że praktycznie usiadła mu na kolanach. Najwyższy czas, żeby pokazać, kto tu jest kim, pomyślał, robiąc jej miejsce obok siebie. Spojrzał Craigowi w oczy, uśmiechając się całkowicie beznamiętnie. Craig skinął powoli głową, a jego zawiedziona mina mówiła, że z jakiegoś niejasnego powodu czuje się oszukany. Dla Seldena jednak nie było żadnych niejasności: Craig uwierzył, że życzliwość Janey wobec niego coś oznacza, a teraz zobaczył ponad wszelką wątpliwość, że nie ma dla niej innego mężczyzny niż Selden...

– Niech twój agent prześle mi książkę. – Selden uznał, że skoro porządek rzeczy został przywrócony, może sobie pozwolić na gest.

Craig zrozumiał aluzję.

– Będę się zbierać – powiedział, wstając. – Lorraine niedługo wypuszcza psy.

Janey podniosła się leniwie, jakby cała sytuacja przestała ją już interesować, i uścisnęła Craiga, całując w oba policzki.

– Zobaczymy się jeszcze, prawda? Moglibyśmy zjeść obiad we czwórkę. Chętnie poznam twoją żonę...

– No, nie wiem... – Craig nagle przypomniał sobie, jak wielka przepaść życiowa dzieli jego rodzinę od Rose'ów. – Lorraine rzadko bywa w tych restauracjach, do których Selden cię zabiera...

– Nie wygłupiaj się – skarciła go serdecznie, odprowadzając do drzwi.

– Gdyby to od nas zależało, jadalibyśmy tylko hot dogi, prawda, Selden? –

Obejrzała się na męża.

Selden poczuł wielką ulgę, jakby ominęło go nieznane zagrożenie.

– Jasne...

Kiedy za Craigiem zamknęły się już drzwi, podszedł do Janey i przytulił ją.

– Przepraszam – mruknął porozumiewawczo. – Craig to śmiertelny nudziarz. Od czasu studiów nic a nic się nie zmienił.

Zamiast mu przytaknąć, Janey wyslizgnęła się z jego ramion i wróciła do salonu.

– Nudziarz? – Zastanowiła się. – Wcale nie wydawał mi się nudny. To było jedno z ciekawszych spotkań.

– Tak uważasz? – Był autentycznie zaskoczony; znów przypomniał sobie o ich odmiennej ocenie twórczości Craiga. Zmarszczył brwi. –

Widać było, że cię polubił... A trzeba ci wiedzieć, że Craig Edgers nie lubi nikogo.

– No cóż! – Zaśmiała się. Podeszła do okna i wyjrzała na zaśnieżoną Sześćdziesiątą Trzecią Ulicę. – Szkoda...

– Czego ci szkoda?

Odwróciła się i ciężko oparła o parapet. Wyglądała, jakby nagle poczuła wielkie zmęczenie.

– Moglibyśmy częściej spotykać się z takimi ludźmi jak Craig. On jest taki inteligentny... i naprawdę wie, o co chodzi w życiu...

– Ha! – rzucił lekceważąco. Temat Craiga Edgersa nagle zaczął go nudzić. Wziął do ręki szarą kopertę i oparł się o skraj biurka. – Pozwól, mamy ważniejsze rzeczy do omówienia. Wynająłem prywatnego



detektywa...

Na słowa „prywatny detektyw” spojrzała na niego z takim przerażeniem, że aż go to zastanowiło. Pokazał jej szarą kopertę.

– Dowiedziałem się zdumiewających rzeczy...

– O kim!? – krzyknęła.

– O Patty i Diggerze. – Nie potrafił zrozumieć jej reakcji. – Będziesz ze mnie zadowolona. Ta dziewczyna, Marielle Dubrosey, ma męża...

Janey patrzyła na niego zdumiona, a na jej twarzy znać było olbrzymią ulgę.

– Naprawdę?

– To wspaniała wiadomość – oświadczył Selden. – Może się okazać, że to nie Digger jest ojcem...

Zamiast się ucieszyć, Janey zmarszczyła czoło i odwróciła się z powrotem do okna.

– A ja myślałam...

– Może zadzwonimy do Patty? – zaproponował. – Razem jej o tym powiemy.

– Nie. – Zrobiła krok w jego stronę. – W Europie jest już po północy...

– Przygryzła palec, jakby miała się zaraz rozpłakać.

Selden rozczulił się na ten widok. Podszedł do Janey i objął ją.

– Co się stało? – zapytał. – Myślałem, że będziesz zadowolona. Szkoda, że nie widziałas tego detektywa. Wyglądał jak z agencji statystów...

– Nie o to chodzi. – Odwróciła głowę. – Powiedziałam Mimi, że Zizi musi zwolnić moje mieszkanie dla Patty... Myślałam, że nie układa im się

z Diggerem... Mimi pogniewa się na mnie...

– A dlaczego Mimi interesuje się, czy Zizi ma gdzie mieszkać? –

Selden ujął Janey za podbródek i odwrócił jej twarz do siebie. – Nie chcesz chyba powiedzieć...

– Boże, nie! – zaprotestowała Janey gwałtownie. – Przyjaźnią się tylko... – Cofnęła się, zasłaniając dłonią naszyjnik.

Selden zaśmiał się, pewny, że wreszcie przejrzał jej dziwne zachowanie.

– Boisz się, tak? – zapytał, kiwając głową. – Boisz się, że gniewam się o te perły...

Oczy Janey napełniły się łzami.

– Nie mogłam się powstrzymać – załkała. – Mimi kupiła sobie brylanty za trzy razy tyle...

– Mogę chociaż zobaczyć, za co zapłaciłem? – Odsunął jej dłonie od szyi. Wykręciła dziwacznie głowę, unosząc lekko podbródek. Wyglądała jak dziewczynka, która spodziewa się kary i chce za wszelką cenę znieść ją z godnością.

Przesunął palcem po perłach i przygarnął żonę do siebie.

– Coś ci powiem – szepnął jej do ucha. – Możesz je zatrzymać, jeśli mi obiecasz, że obejrzysz ten dom w Connecticut...

W oczach Janey błysnęła niechęć, jakby ta propozycja pokrzyżowała jej jakieś plany. Po chwili jednak westchnęła i skinęła potakująco głową.

Selden pomyślał, że byłby w pełni zadowolony z takiej odpowiedzi, gdyby nie to, że na jej twarzy nie znać było żadnych uczuć.

Janey Wilcox naprawdę potrafi zachować się jak suka, myślała Mimi, wkładając krótkie zamszowe buty obszyte futrem z norki. Usłyszała, że w sypialni obok krząta się pokojówka, i zawołała ją.

– Słucham, pani Paxton? – Gerda zajrzała do garderoby.

– Czy chłopcy są gotowi do snu? Jestem umówiona z panem Paxtonem.

– Grają na komputerze – powiedziała Gerda.

– Świetnie. – Mimi otworzyła torebkę z wężowej skóry od Fendi i sprawdziła, czy w środku jest szminka i grzebień. – Wrócimy za kilka godzin. Połóż chłopców do łóżka.

– Dobrze, proszę pani – odpowiedziała Gerda, dziwiąc się ostremu tonowi Mimi.

Mimi wyszła z garderoby i udała się korytarzem do salonu i dalej do hollu, skąd drugi korytarz prowadził do kwater dla służby i dwóch niewielkich pokojów przeznaczonych dla synów George'a. Zajrzała do jednego z nich. Georgie i Jack przycupnęli przed nowiutkim komputerem. Wyglądali jak para małych zwierząt (prawdę mówiąc, pomyślała Mimi, jak jedno małe i jedno bardzo duże zwierzątko) skulonych przy ognisku. Prawie nie zwrócili na nią uwagi.

– Dobranoc, chłopcy – powiedziała Mimi. – Wrócimy dziś późno. Nie czekajcie na nas.

– Dobranoc – wymamrotał Jack. Mimi czuła, że powinna pocałować ich przed snem, jak dobra macocha, ale nie odważyła się na to, widząc zaciętą wrogość na twarzy Georgiego. Wyszła z pokoju, zamykając drzwi nieco mocniej niż trzeba. Ni stąd, ni zowąd przypomniało jej się, jak

bardzo malcy przepadają za Janey.

Cholerna Janey, myślała Mimi, narzucając na ramiona płaszcz z soboli.

Na pozór nie można jej było nic zarzucić: siostra to siostra, trzeba ją

gdzieś podziąć. Jednak Mimi wietrzyła w tym jakiś podstęp. Jej

podejrzliwość wzbudził sposób, w jaki Janey oznajmiła o wszystkim: bez

słowa ostrzeżenia, z nutą wyższości w głosie, jakby chciała się za coś

odegrać. Mimi nie miała pojęcia, o co jej może chodzić, dlatego nie miała

argumentów w rozmowie z nią i musiała dać za wygraną.

Wsiadła do windy, myśląc ze złością, ile problemów przysporzy ta

niespodziewana zmiana sytuacji. Na miły uśmiech windziarza

odpowiedziała zaledwie zdawkowym skinieniem głowy, zamiast jak

zwykle z nim pogawędzić. Za dwa tygodnie ona i George wybierali się do

Aspen. Zizi mógłby wprowadzić się do hotelu, ale to by zwiększyło

ryzyko zdemaskowania. Zaletą obskurnego mieszkania Janey (pierwsza w

nim wizyta była dla Mimi szokiem; nie mogła uwierzyć, że Janey tu żyła i

odtąd wyobrażała ją sobie jako feniksa powstającego z prochu i kurzu w

czterech ścianach tej brudnej klitki) była dyskrecja: żadnych portierów

obserwujących, kto wchodzi i wychodzi z budynku, a lokatorzy byli albo

zbyt starzy, albo zbyt biedni, żeby znać Mimi Kilroy. Cóż, trzeba będzie

coś wymyślić, myślała Mimi, naciągając rękawiczki gniewnymi ruchami.

Tymczasem należy dać Janey odczuć swoje niezadowolenie, na przykład

wymawiając się od spotkań; musi zrozumieć, że nigdy więcej nie wolno

jej odezwać się do Mimi tak wyniosłym tonem...

Wysiadła z windy i skierowała się do wyjścia. Portier otworzył przed

nią drzwi. Na dworze padał już całkiem gęsty śnieg, ale Piąta Aleja wyglądała jak uśpiona, a ćmiące światła latarni nadawały pobliskiemu Central Parkowi wygląd zakłętego lasu. Mimi ruszyła szybkim krokiem do samochodu, lecz nagle usłyszała, że ktoś ją wola. O mało nie wyskoczyła ze skóry, bo poznała głos Ziziego.

Przez chwilę stała jak wryta, ale kiedy zdała sobie sprawę, że w jasnym świetle bijącym od drzwi widać ją jak na dłoni, szybko wycofała się do cienia. Zizi był cały obsypany śniegiem. Wyglądało na to, że czeka tu już długo. Mimi natychmiast domyśliła się, że zaszło coś strasznego.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – zapytała teatralnym szeptem. Bardzo chciała otrzepać śnieg z jego głowy, ale nie śmiała, wiedząc, że każdy jej gest może zostać zauważony i odpowiednio zinterpretowany przez portierów.

– Musimy porozmawiać – oznajmił. Widać było, że jest wściekły, jakby z jej powodu doznał śmiertelnej zniewagi.

– Tutaj nie możemy. – Rozejrzała się nerwowo. – Może jutro? – poprosiła. – Umówiłam się z George'em...

– Zawsze mieliśmy z tym kłopot – rzekł z niesmakiem. W tym momencie Mimi już wiedziała, co zaraz nastąpi. Przyszedł tu, bo postanowił z nią zerwać.

Odeszła kilka kroków w bok, chcąc go odciągnąć od niebezpiecznego miejsca.

– Proszę cię, kochany – odezwała się rozsądnie, świadoma, że tylko spokój może uratować sytuację – porozmawiajmy o tym jutro. Przyjdę do

ciebie po obiedzie, może około drugiej...

Potrząsnął głową z uporem; najwyraźniej podjął już decyzję.

– Nie możemy się więcej spotykać – oświadczył z okrutną prostotą.

Mimi spodziewała się, że ten moment kiedyś nastąpi, a mimo to cofnęła się o krok, czując bardzo niemiłe sensacje w żołądku. Wiedziała, że nie wolno jej zrobić tutaj sceny, a jednocześnie miała pewność, że nie odwiedzie Ziziego od podjętej decyzji. Był on młodym człowiekiem, który nie miał konkretnych planów życiowych, dlatego zawsze trzymał się twardo raz obranej ścieżki, jakby chciał na siłę zagłuszyć swoją niepewność.

Mimi chciała krzyknąć, pytać czemu, wyc jak ranne zwierzę, ale lata obycia w towarzystwie zrobiły swoje. Opanowała się i zapytała z całkowicie obojętną twarzą:

– Gdzie będziesz mieszkać?

Zobaczyła na jego twarzy ulgę, że udało mu się uniknąć sceny, i to zraniło ją najmocniej.

– Jadę do Europy – powiedział. – Rozmawiałem dziś z Haroldem Vane'em. Wyjeżdżam jutro.

Uśmiechnęła się do niego jak do nieznanego spotkanego na przyjęciu, mając poczucie oderwania, jakby patrzyła na tę scenę oczami trzeciej osoby. Podała mu rękę.

– Więc trzeba się pożegnać.

Ujął wyciągniętą dłoń, szukając w jej twarzy oznak głębszego uczucia, którego nie potrafiła w tym momencie mu okazać. Zawrzała w nim

namiętność; chwycił ją niezgrabnie za ramiona i pocałował w policzek.

– Pewnego dnia będę bogaty – rzekł z żarem. – Wtedy cię odnajdę.

Była zbyt wstrząśnięta, żeby mu odpowiedzieć. Zizi puścił ją i cofnął się. Mimi czuła, że zaraz zemdleje, że padnie jak kłoda na chodnik, jeśli on natychmiast nie odejdzie, jeśli znów się do niej zbliży, jeśli będzie chciał jej jeszcze coś powiedzieć...

Ale on stał w miejscu. Rzucił jej ostatnie, pełne tęsknoty spojrzenie, po czym odwrócił się gwałtownie i ruszył przed siebie, skręcając w najbliższą boczną ulicę, jakby bał się, że nie wytrzyma i spojrzy za siebie.

Przez kilka chwil Mimi odprowadzała go wzrokiem. Potem powróciło opanowanie. Co dziwne, nie czuła się źle. W tym momencie sztuka polegała na tym, żeby usunąć z pamięci to, co zaszło, aż do czasu kiedy będzie można wszystko przemyśleć i wypłakać się w samotności. Jej nogi poruszyły się same. Nieświadomie zrobiła kilka kroków w stronę samochodu. Muhammad wysiadł i otworzył przed nią drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie był żaden natręt, proszę pani – powiedział.

Mimi wślizgnęła się na tylne siedzenie. Drzwi zamknęły się za nią z twardym, metalicznym szczękiem.

– Nie, nie – odparła spokojnie, kiedy kierowca usiadł już na swoim miejscu. – To mój stary przyjaciel... Przyszedł powiedzieć, że jego matka umarła.

– Straszne nieszczęście – zgodził się Muhammad. – Jak to znosi?

– Chyba... jest bardzo przygnębiony – odrzekła, zastanawiając się, jak mogła dać się wciągnąć w tę nedorzeczną konwersację z kierowcą.

Samochód skręcił w Madison Avenue. Muhammad się nie spieszył.

Zatrzymali się przed hotelem Carlyle, gdzie Mimi wysiadła. Zastała tutaj

George'a w towarzystwie znajomych spoza miasta, jego współników w interesach. Przedstawienie się i przywitanie ze wszystkimi było męką.

Zaproponowano jej drinka; odmówiła w roztargnieniu, myśląc o śniegu, że jest piękny, ale sprawia mnóstwo kłopotów. Na szczęście było raczej mało

prawdopodobne, żeby kogoś rano zasypało – śnieg miał padać tylko do północy. George nareszcie się pożegnał i poszli. W obrotowych drzwiach

puścił ją przodem – nigdy nie rozumiał niuansów *savoirvivre*'u, prostych zasad kładących mężczyźnie wsiadać pierwszemu do limuzyny, żeby

kobieta nie musiała przesuwać się w głąb, a w drzwiach obrotowych

zawsze iść przodem, żeby nie musiała sama ich pchać. Kiedy wyszli na

ulicę, rozejrzał się i zapytał:

– Jedziemy z Pikiem czy z Muhammadem?

Mimi stanęła jak wryta, uderzona bezsensownością tego pytania.

Faktycznie, mieli dwa samochody i dwóch kierowców. Kiedy była

dzieckiem, wszyscy znajomi mieli samochody i własnych szoferów,

niemniej zatrudnianie dwóch byłoby poczytane za zbytek i źle widziane.

Zwykle takie problemy śmieszyły Mimi, ale teraz zrozumiała, jakie to przygnębiające...

– Z Muhammadem. – Poczła nagle dziwną miękkość w kolanach i

obawiała się, że nie da rady wsiąść do wysokiego samochodu

prowadzonego przez Pike'a.

– Ty tutaj rządzisz – powiedział George, otwierając drzwi.



Wsiadł za nią i kiedy już usadowił się obok, Mimi zauważyła, że jest bardzo zadowolony. Miał ten sam wyraz twarzy, który towarzyszył mu po ubiciu świętego interesu. Kiedy zadzwonił do niej, prosząc o spotkanie w hotelu Carlyle, obiecał jakąś niespodziankę. Zaintrygowało ją to, ale w obecnym momencie nie czuła się na siłach, żeby temu sprostać.

– George – ujęła męża za rękę – czy nie możemy poczekać z tą niespodzianką do jutra? Czuję się trochę... chora.

George odruchowo cofnął dłoń, a wtedy Mimi poczuła, że naprawdę czuje się niedobrze. Ogarnęły ją mdłości, które na szczęście po chwili przeszły. Opadła na siedzenie.

– To potrwa najwyżej kilka minut – obiecał George, nie spojrzawszy nawet na nią, po czym wdał się z Muhammadem w rozmowę na temat giełdy.

Mimi wyłączyła się, co ostatnio często czyniła. Zaczęła marzyć o łóżku, – w którym przy odrobinie szczęścia miała nadzieję znaleźć się już za pół godziny. Nie była to jednak wielka pociecha, bo w tym samym łóżku spał George. Spojrzała z ukosa na jego okrągłą twarz pozbawioną wyrazu i nagle poczuła ogromny żal, że nie może od niego uciec.

Wyobraziła sobie, że każe Muhammadowi zatrzymać samochód, wyskakuje z niego i biegnie do najbliższego baru utopić smutek w szklance whiskey. Ale to było niemożliwe... Dojeżdżali już na miejsce.

Limuzyna zatrzymała się przed budynkiem na rogu Park Avenue i Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

Na widok ciężkich drewnianych drzwi Mimi wpadła w konsternację.

Rozpoznała je natychmiast. Bardzo dobrze знаła apartament, do którego wiodły – w dzieciństwie mieszkała tu jedna z jej koleżanek. Potem lokal kilkakrotnie zmieniał właścicieli, ale Mimi nieraz bywała tutaj zapraszana.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Idziemy na przyjęcie? Finchbergowie wyprowadzili się stąd przeszło rok temu...

George ujął ją za ramię i wyciągnął z samochodu.

– Nie idziemy na przyjęcie. – Jego twarz skrzywiła się w grymasie radosnej satysfakcji. – Ale spodziewam się, że sami kilka tutaj wydamy...

Zamarła, wstrzymawszy oddech. Momentalnie zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

– George – brakło jej tchu, choć nie wiedziała dlaczego – czy ty...

– W rzeczy samej. – Nacisnął przycisk dzwonka. – Sprzątnąłem go wszystkim sprzed nosa, zanim jeszcze pojawił się na rynku.

Wsiedli do ciasnej windy na końcu hollu. Mimi poczuła nagle, że krew odpływa z jej twarzy. Była pewna, że nie zdoła zapanować nad wywracającym się żołądkiem. George zaś niczego nie zauważył; on w ogóle mnie nie zauważa, pomyślała bezradnie. Jestem dla niego jak pracownica dla szefa...

Drzwi windy otworzyły się na wspaniałą przedpokój. Mimi usiłowała mu się przyjrzeć, ale czuła w głowie zamęt. Przyłożyła dłoń do czoła, próbując odegnać wzbierającą przed oczami ciemność. Renowacja tego wnętrza i prace dekoracyjne potrwać mają całe miesiące, kiedy zaś dzieło będzie już gotowe, to na nią spadnie obowiązek organizowania wystawnych przyjęć. George tego właśnie od niej oczekuje, przecież

ożenił się z nią wyłącznie w celach reprezentacyjnych. Zamęt w głowie narastał. Kogo ja chcę oszukać, pomyślała Mimi z rozpaczą. Takie jest moje życie, sama je sobie wybrałam, a teraz kiedy George kupił ten apartament, już nigdy, przenigdy nie zdołam niczego zmienić...

Chwyciła George'a za rękaw płaszcza. Był to jej ostatni, desperacki gest. Poczwała, jak jej palce ześlizgują się po miękkim kaszmirze i padła bez zmysłów na podłogę wyłożoną osiemnastowieczną marmurową mozaiką.

## **Rozdział 11**

Minęła już połowa grudnia. Dla Janey był to świetny miesiąc, jeśli nie liczyć tej jednej niemiłej przygody z Zizim.

Uwagę całego kraju zaprzętał skandal wokół wyborów prezydenckich, a plotki na ten temat przekazywano sobie jak najlepsze dowcipy. Jednak pewna grupa nowojorskiej socjety miała na głowie ważniejsze sprawy, a mianowicie pokaz mody Victoria's Secret. W tym roku po raz pierwszy miał być transmitowany przez telewizję; już na tydzień naprzód wszystkie czasopisma w mieście były pełne reportaży o modelkach, a „New York Times” zamieścił nawet artykuł rozważający celowość pokazywania kobiecej nagości w telewizji ogólnokrajowej. Skutkiem tych zabiegów Janey rozpoznawano prawie wszędzie, gdzie tylko się pojawiła; choć nie rozdawała autografów, to jednak była to „sława” na tyle głośna, żeby zapewnić jej osobisty stolik w nowej, modnej restauracji Dingo's, otwartej w końcu listopada.

Nagłą popularność tego lokalu można wyjaśnić w taki sam sposób, w

jaki tłumaczy się zjawisko rojenia się pszczoł. Restauracja Dingo's z dnia na dzień stała się miejscem, gdzie trzeba wpaść na lunch; goście tłoczyli się przy wejściu niczym kury przy misce z ziarnem. Przez dwie godziny każdego dnia, od wpół do pierwszej do wpół do trzeciej po południu, to miejsce stawało się państwem w państwie, zaprzątniętym własnymi intrygami, szantażami i podbojami. Było to pasjonujące dla jego stałych bywalców, lecz koszmarne dla nieszczęśników, którzy przypadkiem zbłądzili w progi Dingo's i dowiedzieli się, że wolnych stolików brak, a te zajęte zwolnią się najwcześniej za dwie godziny.

Pokaz Victoria's Secret miał się odbyć w czwartek. We wtorek Janey jadła lunch w Dingo's, zresztą już po raz trzeci w tym tygodniu. Najpierw przysła tutaj z Seldenem, potem z Patty (która po powrocie z Europy była gotowa bronić swojego męża jak lwica, co przyprawiało Janey o mdłości), a teraz znów odwiedziła ten lokal, tym razem w towarzystwie Craiga Edgersa. Obok małej szatni wypełnionej po brzegi futrami i płaszczami z kaszmiru stał szef sali, przedwcześnie posiwiwały Szkot nazwiskiem Wesley. Zauważył Janey już od drzwi i pomachał, a kiedy podeszli, zabrał dwie karty dań i poprowadził ich przez zatłoczoną salę do jednego z pięciu stolików zarezerwowanych dla sław i najbardziej wpływowych osobistości w mieście. Pojawienie się Janey Wilcox oczywiście wzbudziło małą sensację, co uświadomiło jej po raz kolejny, że uroda jest nagrodą sama w sobie. W tak ekscytujących chwilach jak ta Janey była bardzo bliska uznania, że zbędne są jej wszelkie „prawdziwe” osiągnięcia, skoro i bez nich ma do dyspozycji najlepszy stolik w

najbardziej ekskluzywnej restauracji na Manhattanie.

Do tego dziś miała podwójną przyjemność, jako że widziano ją w

Dingo's w towarzystwie Craiga Edgersa. Był on obecnie bezdyskusyjnie

największym autorytetem literackim Manhattanu, żywym dowodem na to,

że mogą powstawać powieści zarazem głębokie i komercyjne. Sukces

Edgersa położył nareszcie kres dyspucie, która od dwudziestu pięciu lat

dręczyła światek wydawniczy: czy to możliwe, żeby prawdziwa powieść

sprzedawała się równie dobrze jak popularne czytała? Janey słyszała o

Craigu i jego książce niemalże wszędzie i od wszystkich. Większość tych

ludzi była zachwycona powieścią, ale o autorze wyrażała się bez

przekonania; mówiono, że jest zarozumiały, arogancki, a w dodatku

złośliwy.

– Można się było tego spodziewać – powiedziała mu Janey przez

telefon; dzwoniła, żeby zdać relację z jednej z takich rozmów. – Kto

odmienia oblicze amerykańskiego rynku wydawniczego, musi się liczyć z

ludzką zawiścią.

Zawiść jednak nie wpłynęła w najmniejszym stopniu na nową pozycję

Craiga. W Dingo's, dokąd przyszli na lunch, zewsząd dawały się zauważyć

spojrzenia pełne ciekawości i niedowierzania. Janey była z nich bardzo

zadowolona. Craig paradował z czterodniowym zarostem, popularnym

wśród niektórych aktorów pięć lat temu, lecz nie mógł pozostać

nerozpoznany – co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Goście

Dingo's nie tylko sami dostarczali prasie materiału, ale też szcycili się

tym, że znają najświeższe plotki i wiedzą, kto obecnie jest na topie, zanim

jeszcze wieści te dotrą do masowego odbiorcy. Craig Edgers, nowa gwiazda, był nieuchwytny, a już sam fakt, że umówił się akurat z Janey, że on, prawdziwy intelektualista, spotyka się właśnie z nią, . nadawał jej status erudytki, który był dla niej absolutną nowością. Pomyślała z zadowoleniem, że wymiana jest uczciwa: jej splendor za jego intelekt. Usiedli. Craig zmierzył Janey złośliwym spojrzeniem; zdążyła się już nauczyć, że jest to jego sposób obrony w sytuacjach, kiedy nie czuje się bezpiecznie lub znajduje się poza własnym, dobrze znanym środowiskiem. Niezgrabnym ruchem rozłożył serwetkę, położył ją na kolanach i rozejrzał się dookoła, nie kryjąc ciekawości.

– Więc tak żyje Janey Wilcox – odezwał się. – To jest jej dzień powszedni.

– Tak żyją też znajomi Janey Wilcox – odparła. Jej twarz, jak zawsze w miejscu publicznym, miała bardzo ożywiony wyraz; był on obliczony na to, żeby przyciągać uwagę, a jednocześnie Janey udawała całkowicie nieświadomą ludzkich spojrzeń. – Nie wygłupiaj się, Craig. Byłeś tu już chyba, przecież jesteś najważniejszym pisarzem ostatniego dwudziestolecia.

Jak na faceta, który szczyli się własnym intelektem, Craig był dziecinnie podatny na najbardziej trywialne pochlebstwa. Momentalnie się odprężył, pochylił w jej kierunku i wyznał, że faktycznie, był już raz w Dingo's ze swoim agentem, ale kazano im usiąść przy małym stoliku w sali na tyłach. Janey dobrze wiedziała, jak zareagować: przybrała wyraz oburzenia na wieść o „podłości” obsługi restauracji wobec genialnego,

choć dotąd nieodkrytego pisarza. Był to ulubiony konik Craiga, oprócz utyskiwania na powierzchowność nowojorskiego społeczeństwa, które marnuje czas na głupstwa. Janey w zasadzie nie miała nic przeciwko powierzchowności i głupstewkom, ale dostrzegła natychmiast, że w ten sposób może porozumieć się z Craigiem. Podsycala więc umiejętnie jego zawziętość, opowiadając mu o własnych strasznych przeżyciach sprzed okresu, kiedy została modelką Victoria's Secret; posunęła się tak daleko, że wspomniała o swoich przejściach z Comstockiem Dibble'em, przysięgając, że nie wie o tym nikt, nawet Selden.

A Craig Edgers momentalnie zakochał się w niej po uszy.

Uwiodła go po mistrzowsku, usprawiedliwiając się swoim niezachwianym przekonaniem, że jej pokrewnymi duszami są właśnie tacy mężczyźni jak Craig Edgers, artyści o głębokim wnętrzu, którzy „rozumieją” potrzeby ludzkiej psyche; tylko oni nadają się na jej towarzyszy. Flirt z Craigiem był dla niej zupełnie czymś innym niż na przykład romans z George'em. Mężczyźni pokroju George'a interesowali ją tylko dlatego, że mieli pieniądze, tymczasem Craig nie potrzebował pieniędzy, żeby być interesujący.

Zaczęła subtelnie. Najpierw zadzwoniła do niego kilka razy pod pretekstem omówienia książki, którą Selden miał sfilmować. Efektem tych rozmów był lunch w obskurnej meksykańskiej restauracji na Drugiej Alei (Craig mieszkał niedaleko), a następnie, już nazajutrz, wizyta w jego rozpaczliwie ciasnym mieszkanku, mieszczącym się w wieżowcu zbudowanym dla klasy średniej pod koniec lat pięćdziesiątych. Było ono

zaniebane i umeblowane tanimi szwedzkimi sprzętami, zakupionymi pewnie jeszcze w latach osiemdziesiątych. Na kredensie stał rząddek fotografii przedstawiających kolejne etapy małżeństwa Craiga i Lorraine, a jedną ścianę zajmowała w całości biblioteczka. Janey przyjrzała się dokładnie zdjęciom, jako że była szczerze zainteresowana małżonką Craiga Edgersa. Nie zawiodła się: zobaczyła kobietę równą mu mniej więcej wiekiem, wysportowaną, o prostej urodzie. Lorraine przez lata nie zmieniała uczesania: nosiła kręcone włosy, równo obcięte na wysokości ramion, wyglądające jak skrzydła wyrastające ze skroni. Janey zmusiła się do stwierdzenia, że żona Craiga jest „ładna”; celowo wypowiedziała to sztucznym, lekko pogardliwym tonem. Rozbawiło ją także, że większość fotografii zrobiono w głośnych kurortach, takich jak Martha's Vineyard czy Aspen, co bardzo wyraźnie świadczyło o tym, że choć państwo Edgers nie mają pieniędzy, to nie gardzą przyjaźnią z tymi, którzy je mają.

Pretekstem do wizyty u Craiga miała być chęć obejrzenia jego kolekcji powieściowej klasyki. Janey wyznała, że powieść to jedna z jej ukrytych pasji; dzięki temu następna godzina była pełna erotycznego napięcia. Choć właściwie Janey nie planowała iść z Craigiem do łóżka, nie wykluczała takiej możliwości, jeśli mogłaby coś na tym zyskać, a moment byłby odpowiedni. Przeglądając najcenniejszy eksponat w kolekcji, wczesne wydanie „Wielkiego Gatsby'ego” z autografem autora i oryginalną okładką przedstawiającą kobiece oczy na tle nocnego nieba, przypomniała sobie, jak łatwo usidlić mężczyznę. W jej głowie zrodził się plan. Krótki czas spędzony z Craigiem był jak przebudzenie; uświadomiła sobie, że jedyną



rzeczą, której jej brak w życiu, bez której nie może być naprawdę

szczęśliwa, był prestiż intelektualny. Ten nowy plan nie tylko uświęcał wszelkie środki służące jego realizacji, ale miał także zmienić wszystkie opinie krążące na jej temat. Wiedziała, że ludzie uważają ją za piękność; teraz mieli się dowiedzieć, że jest też niegłupia.

Pomysł był prosty: Janey postanowiła wyprodukować ekranizację powieści Craiga „Konsternacje”. Z początku wydało jej się to szaleństwem, ale im dłużej nad tym myślała, tym więcej widziała w tym sensu. Dotąd Craig nie sprzedał praw Gomstockowi Dibble'owi, który wciąż nie chciał słyszeć o tym, żeby to autor napisał scenariusz. Janey uznała, że Craig wcale nie potrzebuje Dibble'a ani żadnego studia filmowego, bo pieniądze właściwie leżą na ulicy. Znała osobiście wielu bogatych mężczyzn, którzy mogliby sfinansować produkcję, zachęceni okazją do pokrzyżowania szyków Dibble'owi; wystarczy, że namówi do inwestycji George'a Paxtona, a wtedy Craig napisze scenariusz, a ona znajdzie aktorów, reżysera i może nawet sama zagra jedną z ról kobiecych. Ależ to będzie zaskoczenie dla Seldena!

Umówiła się z Craigiem na lunch, żeby krok po kroku przedstawić mu swój plan. Kelnerzy uwijali się wokół ich stolika jak muchy, a zblazowani goście Dingo's rzucali im ukradkowe spojrzenia. Janey miała też nadzieję, że plotkują zawzięcie na temat nowej, niezwyklej pary. Odrzuciwszy włosy na ramię, pochyliła się do Craiga, śmiejąc się cicho.

– Teraz już nikt nie ośmieli się posadzić cię na tyłach.

Uśmiechnął się triumfująco.

– Szczególnie teraz. Mówiłem ci, że „Time” chce zamieścić o mnie artykuł? – Przewrócił oczami, jakby od dawna tego oczekiwał i dodał: – Nareszcie.

– Och, Craig! – wykrzyknęła Janey. Ta wiadomość wywołała u niej zupełnie nowe emocje. W Nowym Jorku patrzy się na ludzi przez pryzmat ich znajomych: im bardziej oni są sławni, tym lepiej samemu się wygląda. Janey wprost nie mogła sobie wyobrazić, jak artykuł o Craigu w „Timie” wpłynie na jej własne życie. – Będziesz na okładce?

– Była o tym mowa, ale i tak mam pewne obawy, co jest zrozumiałe. – Posłał jej znaczące spojrzenie. – Wiesz, jak to jest, Janey. Nie ma się żadnego wpływu na to, co o tobie napiszą ani jaki przyjmą punkt widzenia. A ja nie chcę skalać mojej pisarskiej reputacji, pojawiając się w piśmie dla motłochu.

– Musisz się zgodzić – upierała się Janey, marszcząc brwi. – Zrozum, to jest bardzo ważne.

– Wytłumacz mi dlaczego – powiedział, a Janey znów nie mogła się temu nadziwić: Craig Edgers, gwiazda literatury, prosi ją o radę!

– Pomyśl o tym, do ilu ludzi możesz dotrzeć. – W jej głosie była taka żarliwość, jakby przez całe życie nie obchodziło ją nic innego.

– Do jednostek, które nigdy nie miały w ręku wspaniałej powieści, dla których literatura jest po prostu nudna! – Spuściła wzrok. – Mój Boże, Craig – powiedziała łagodnie – masz szansę przemówić do rzeszy ludzi bez żadnego wysiłku... To prawdziwy zaszczyt. Marzę o tym, że pewnego dnia spotka mnie coś podobnego. Takie rzeczy liczą się w życiu. Jak w

tym powiedzeniu... „Życie człeka bezrozumnego jest niewiele warte”?

Craig uśmiechnął się protekcyjnie.

– Niedokładnie tak, ale wiem, o co ci chodzi.

– No pewnie, że tak. – Spojrzała mu zuchwale w oczy. – Będziesz musiał zdać się trochę na łaskę dziennikarzy, ale pomyśl, ile na tym zyskasz.

Craig zamyślił się głęboko.

– Jesteś jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać na te tematy – powiedział. – Moja żona nie chce o tym słyszeć...

– Tylko dlatego, że czuje się zagrożona. Wiesz czym? Twoim sukcesem. Z dnia na dzień życie jej męża uległo zmianie i ona nie ma pojęcia, jak to wpłynie na wasz związek.

– Ale co mi po żonie, która nie wykazuje odrobiny dobrej woli i celowo nie chce mnie zrozumieć? – zapytał Craig, bawiąc się widelcem.

Janey uśmiechnęła się tajemniczo, lecz milczała. Większość kobiet wykorzystałaby to pytanie, aby wykazać, że potrafią zrozumieć Craiga lepiej niż jego żona. Janey wiedziała jednak, że ta technika rzadko kiedy się sprawdza – facet zaczyna myśleć, że kobieta odda wszystko, żeby tylko z nim być. Tymczasem, aby mieć władzę nad mężczyzną, kobieta musi doprowadzić do tego, żeby to on jej się sprzedał, nie na odwrót.

I rzeczywiście, po kilku chwilach Craig nachylił się do niej i szepnął:

– Myślałem o tobie. – Widać było, że nie jest przyzwyczajony do tego typu wyznań.

– Ja też o tobie myślałam – odpowiedziała, zauważając, że nadarza się

doskonała okazja, aby przedstawić mu jej plan.

– To głupio zabrzmiało, ale... postanowiłem umieścić cię w mojej kolejnej książce. – Wyprostował się i napił się wody ze szklanki, patrząc na nią w zadumie.

– Och, Craig. – Janey była lekko zaskoczona i musiała poświęcić chwilę na zaplanowanie całej strategii od nowa. Nagle spojrzała na niego okiem kogoś, kto nie wie, kim jest Craig Edgers i nie zna jego książek. Zobaczyła, pominąwszy nawet kraciatą koszulę z rodzaju tych, jakie noszą drwale, człowieka, który nie dba przesadnie o czystość, potrafi całymi dniami nie myć zębów i ma płatki łupieżu w brwiach, a na plecach krosty.

Wtem Craig zrobił coś nie do pomyślenia w miejscu takim jak to:

niezręcznym gestem położył dłoń na jej dłoni. Zamarła na moment, ale szybko zdała sobie sprawę, że jeśli on teraz pomyśli, że jest dla niej odpychający, to już na zawsze wymknie jej się z rąk. Położyła zatem drugą dłoń na jego dłoni i szepnęła zalotnie:

– Wiem, że powinno mi to pochlebić, ale tak naprawdę jestem przerażona. W swoich książkach czasem opisujesz ludzi w sposób... nie mogę znaleźć na to lepszego określenia... makiaweliczny. Potrafisz być cyniczny i cała drzę na myśl, że przedstawiłbyś mnie jak jakąś modliszkę! Craig się roześmiał.

– Chyba domyślasz się, jak bym cię opisał. Wiesz przecież, że świata poza tobą nie widzę!

– Wiem... ? – spytała głosem na pozór niewinnym, w którym jednak

brzmiała nutka ostrzeżenia. Craig nie dostrzegł tego.

– Gdybyś nie była żoną mojego, niech go wszyscy diabli, najlepszego przyjaciela, zabrałbym cię gdzieś na weekend.

– Craig! – wykrzyknęła, udając zdumienie. – A twoja żona?

– Powiedziałbym jej, że pojechałem do Chicago odwiedzić starych przyjaciół.

Wydał się Janey uroczy, choć był śmiertelnie poważny. Było to niemal... urzekające.

– Moglibyśmy powiedzieć Seldenowi, że piszesz książkę o mnie – podpowiedziała, zastanawiając się, jak daleko Craig jest gotów się posunąć – i że musimy spędzić razem trochę czasu, żebyś mógł mnie... lepiej poznać.

Połknął haczyk; podniecił się tak, że oczy prawie wyszły mu na wierzch, ale zdołał wydyszeć:

– Nie mogę zrobić tego Seldenowi. – Napił się wody i mówił dalej: – Poza tym on nigdy w to nie uwierzy. Nie jest aż taki głupi. Wie, co do ciebie czuję, i pewnie wyśmiewa się ze mnie za moimi plecami!

Janey lekko wyduła wargi.

– Oczywiście, masz rację – powiedziała. – Gdybyśmy jednak wymyślili jakiś pretekst, żeby móc spędzać więcej czasu razem... – Musiała uważać, żeby nie obiecać mu jednoznacznie, że pójdzie z nim do łóżka, ale jednocześnie należało dać mu do zrozumienia, że w przyszłości nie jest to wykluczone. – Mam taki zwariowany pomysł – zaczęła bawić się widelcem – aż wstydzę się powiedzieć ci o nim, bo będziesz się śmiał.

– Nigdy w życiu nie zaśmiałbym się z ciebie – zapewnił.

Spojrzała mu prosto w oczy, a jej twarz nagle spoważniała.

– A gdybym chciała... wyprodukować ekranizację „Konsternacji”?

Przez chwilę Craig nie mógł zrozumieć, co usłyszał. Czegoś takiego na pewno się nie spodziewał. Zanim zdążył zaprotestować, Janey powiedziała pospiesznie:

– No proszę. Wszystko popsułam. Wiedziałaś, że będziesz się śmiać. –

Odwróciła głowę.

– Nie, nie. Ten pomysł jest... ciekawy.

– Pomyśl tylko o tym – zaszczebotała słodziutkim głosem. – Chcesz napisać scenariusz i zawojować Hollywood? Pomogę ci. Wszystko, czego ci potrzeba, to pieniądze, czyli w praktyce ktoś, kto sfinansuje produkcję. Tutaj ja się włączam. Jednym z najlepszych przyjaciół Seldena jest George Paxton. Ja też dobrze go znam. Inwestował już w filmy. George... George robi prawie wszystko, o co go poproszę. Nawet pytał mnie, czy słyszałam o jakimś projekcie... – skłamała bez mrugnięcia okiem.

Craig zmrużył oczy.

– A co z Seldenem?

– Selden! – parsknęła Janey bez troski. – W tym cały urok. Selden mógłby kupić twoją książkę, ale oboje wiemy, że tego nie zrobi, bo brak mu wrażliwości, żeby ją zrozumieć. Wyobraź sobie jego zaskoczenie, kiedy się dowie. Będzie miał niezłą nauczkę.

– Janey – tłumaczył Craig cierpliwie. – Jesteś piękna i nigdy nie posądziłbym cię o brak rozumu, ale nie masz żadnego doświadczenia. Ci z

Hollywood to bandyci, wszyscy o tym wiedzą. Nie będziesz dla nich przeciwnikiem.

– Bo jestem modelką, tak? – Janey przygryzła wargę. – Ma to swoje zalety, na przykład taką, że nikt nie odmówi mi spotkania. Ale skoro to wszystkim przeszkadza... to przerwę karierę, bo chcę zrobić w życiu coś ważnego! – wykrzyknęła. – Zwłaszcza jeśli wierzę w ten projekt i w tego, kto dał mu początek.

Spojrzała na Craiga roziskrzonym wzrokiem. Wiedziała bardzo dobrze, że dla mężczyzny nie ma nic bardziej pociągającego niż namiętny zapach.

Zawołała znowu:

– Jeśli nie zechcesz ze mną współpracować, to nie wiem, co zrobię!

Dopięła swego. Craig w jednej chwili siedział obok niej, poklepywał ją po ręce i mamrotał pocieszająco:

– Nie ma sprawy, Janey. Skoro tak bardzo tego chcesz... Jeżeli tak właśnie czujesz, to... do dzieła.

Za kulisami panował gwar. Setka ludzi pracowała w pocie czoła, żeby pokaz Victoria's Secret poszedł zgodnie z planem. Czynili przy tym niemały harmider, przez który jednakże wyraźnie przebijał się wysoki, dziecinny głos:

– Już nie wystarczy być piękną i dysponować własną forszą. Dziś trzeba dobrze robić laskę i mieć pociąg do perwersji. Zapytałam go raz, co dla niego znaczy „perwersja”? A on na to: seks analny co najmniej raz w tygodniu. Potem mówił jeszcze coś o obroży...

Próba nagłośnienia zagłuszyła tę relację. Od strony wybiegu zagrzmiał

fragment rytmicznej muzyki. Janey zwróciła się z pełnym wyższości uśmiechem w stronę właścicielki dzieciennego głosu: Seraphina, ciemnowłosa piękność bez nazwiska, siedziała dwa krzesła dalej przed ustawionym naprędce lustrem do makijażu. Jej łagodne brązowe oczy były szeroko otwarte z oburzenia. Próby przed pokazem trwały tylko dwa dni, ale Janey zdążyła wyrobić sobie o niej zdanie: głupia gęś – potrafi rozmawiać tylko o facetach, którzy chcieli się z nią przespać, albo o rodzinie mieszkającej na farmie gdzieś w Ameryce Południowej. Janey zastanowiła się przez chwilę, czy w tym wieku była taka sama jak ona, ale uznała, że nie i starała się nie zwracać na nią uwagi, co nie było łatwe. Seraphina, choć nie mogła mówić, bo wizażystka właśnie próbowała namalować kontur wokół jej ust (tak pełnych, że przypominały wargi sromowe), nie przestawała zawzięcie gestykulować.

Osobista wizażystka Janey, Contadine, stała za jej plecami i przygotowywała podkład, mieszając różne odcienie na grzbiecie dłoni. Spotkały się wzrokiem w lustrze. Contadine na każdy temat pod słońcem miała własne zdanie i czuła nieustającą potrzebę dzielenia się z bliźnimi swoją mądrością.

– To wszystko prawda. – Skinęła głową w kierunku Seraphiny. – Ileż ja takich historii słyszałam... – Zaczęła delikatnie nakładać podkład na twarz Janey. – Mężczyźni zawsze są górą, niezależnie od tego, czy cackamy się z nimi, czy podkręcamy im śrubę. Kiedy tylko spróbujemy pomyśleć, że mamy odrobinę wolności czy niezależności, co oni robią? Zwijają się! Szlag by to trafił... A wszystko przez ten Internet, wiesz? Przez tę



pornografię na każdym kroku. Kiedyś facet był cały szczęśliwy, jak zrobiło mu się laskę, a teraz? Każdy chce trzech panienek i małpy na łańcuchu, a wszystkie mają bić pokłony przed jego świętym fiutem...

Tak ją rozbawił własny żart, że zanosła się głośnym śmiechem. Janey przywołała na usta zimny uśmiech. Te rozmowy, niezmiennie od lat, zawsze ją męczyły, ponieważ trzeba było udawać „koleżankę” i tryskać sztuczną wesołością; nic dziwnego, że gwiazdy filmowe zakazywały wizażystom i fryzjerom się odzywać. Ona nie mogła tego zrobić, bo natychmiast podniósłby się szum, że stroi fochy. Pozostawało milczeć jak głaz i mieć nadzieję, że Contadine zrozumie aluzję.

Przymknęła oczy, a Contadine od razu zapytała:

– Chyba nie masz tremy, co?

Janey spojrzała na nią w lustrze, unosząc brwi z niedowierzaniem.

Wizażystka poklepała ją po ramieniu.

– Tak myślałam. Ty nigdy nie masz tremy. – Pochyliła się ku Janey, zniżając głos i prześlizgując się wzrokiem po jedenastu modelkach Victoria's Secret, oczekujących na dokończenie fryzur i makijażu. –

Oprócz ciebie i paru innych osób nikt tutaj nie ma pojęcia o tej robocie.

Szlag by to trafił... Połowa tych dziewczyn w życiu nie była na wybiegu. I co zrobią? Gołym tyłkiem będą świecić? To jest śmiech na sali, jeśli chcesz znać moje zdanie...

Cały wywód był czysto retoryczny, toteż Janey tylko wzruszyła ramionami. Jednak Contadine była niezmordowana.

– Słyszałam, że tobie też w końcu się powiodło? W gazetach pisali, że

wyszłaś za mąż.

– Zgadza się – powiedziała Janey. – Za Seldena Rose'a. – Obróciła się na krześle, mierząc swoje odbicie krytycznym wzrokiem. Choć była tutaj najstarsza (wiekiem doganiała ją tylko Evie, trzydziestoletnia modelka z Niemiec), to patrząc na siebie zawodowym okiem, musiała przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie wyglądała tak dobrze. Osiągnęła pełnię urody; biła od niej pewność siebie i coś jeszcze – inteligencja, wskazująca na to, że jej życie nie kończy się na wybiegu. Czegoś takiego próżno by szukać u młodszych, dopiero na wpół rozwiniętych dziewczyn. A jednak wystarczył kwadrans spędzony w tym środowisku, a już Janey zaczęła odczuwać znajomą, przejmującą nudę, która groziła wymazaniem całej jej wyjątkowej osobowości, zredukowaniem do manekina złożonego z twarzy, włosów i ciała, do pustej skorupy, która chodzi i mówi, ale wewnątrz jest martwa...

– No jasne. – Contadine strzeliła palcami. – Selden Rose. Przypominam sobie. – Skinęła głową jak dziecko, które rozwiązało równanie. – To ten... fotograf?

– Nie. – Janey poczuła przelotną irytację. Jakie to typowe, doszła do wniosku, ludzie zawsze myślą, że wszystkich znają i o wszystkim wiedzą. Jest w tym jakaś ironia, zważywszy na to, jak ciasne są granice ich małych światków. – Selden jest dyrektorem Movie-Time.

– To jeszcze lepiej – ucieszyła się Contadine. – Biznesmen. Mama zawsze mi powtarzała: wyjdź za biznesmena. Oni są stali w uczuciach. Janey zerknęła na nią, zastanawiając się, czy powinna sprostować jej

niewłaściwe informacje na temat zawodu i pozycji Seldena. Ostatecznie, czy to było warte zachodu?

– Problem z tymi biznesmenami polega na tym, że potrafią być nudni – ciągnęła Contadine. – Znałam raz dziewczynę, która oświadczyła, że ma dość tych tak zwanych twórczych jednostek, co to nigdy nie mają grosza i zaczęła się umawiać z jednym takim bankierem...

Janey miała dość. Posłała Contadine pełen wyższości uśmiech:

– Selden nie jest zwykłym biznesmenem. Ostatnio był prezesem Columbia Pictures.

Contadine zamilkła na chwilę. Wprawnym ruchem strząsnęła nadmiar pudru z koniuszka pędzelka do makijażu, wzbijając iskrzący obłoczek baśniowego różowego pyłku.

– No tak. – Kiwnęła głową z mądrą miną. – To stąd znam to nazwisko. Jedna moja znajoma kiedyś się z nim spotykała.

Janey zamknęła oczy, aby Contadine mogła nałożyć puder na powieki.

Była zaskoczona, ale nie dała tego po sobie poznać. Kulisy sceny na pokazach mody były jedną wielką wylęgarnią plotek; gdyby Janey okazała zbyt duże zainteresowanie, Contadine następnego dnia rozniosłaby swoją opowieść po całym mieście.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne. – Oschły, ironiczny ton jej głosu miał na celu zdławienie plotki w zarodku. – Selden mieszka w Nowym Jorku dopiero od pół roku, od trzech miesięcy jest moim mężem, a zanim się tu sprowadził, był żonaty przez dwanaście lat. Jak zatem mógłby...

– Wiem, co mówię – upierała się Contadine, choć bez nacisku. –

Wszystko sobie przypomniałam, kiedy powiedziałaś o Columbia Pictures.

Mówiła mi o tym Estie, moja przyjaciółka. Jest piosenkarką, a

przynajmniej tak o sobie mówi. – Skrzywiła się. – Nie, jestem

niesprawiedliwa. Dziewczyna ma talent i jest niesamowicie zabawna,

tylko uroda jej przeszkadza.

– Kto by pomyślał – mruknęła Janey.

– Chodzi o to, że szaleją za nią wszyscy faceci. – Contadine zniżyła

głos do konspiracyjnego szeptu. – Podobno miał na nią oko jakiś angielski

książę, tylko nie pamiętam który. Zabrał ją na Karaiby, na wyspę St.

Barthelemy. Miało się to odbyć po cichu, w tajemnicy przed wszystkimi,

ale Estie zamknęła się w łazience i zadzwoniła do mnie. Powiedziała, że

facet ma takiego małego fiucika... – Contadine złowiła pogardliwe

spojrzenie Janey, lecz mówiła dalej beztroskim tonem: – Polubiłabyś ją.

Jestem pewna na dziewięćdziesiąt procent, że słyszałam od niej, jak po

tym księciu spotykała się z Seldenem Rose'em. Zapadło mi w pamięć jego

śmieszne imię. Nie obraż się, ale to brzmi, jakby gość był dentystą.

Janey obróciła się do Contadine z wyrazem irytacji na twarzy.

– To tylko dowodzi, że ta twoja Estie wcale nie zna Seldena. –

Zaśmiała się jej w twarz. – Nikt by go nie nazwał dentystą...

– Ona go wcale tak nie nazwała. – Upór Contadine zaczynał być

denerwujący. – To tylko mnie to imię tak się kojarzy. Estie mówiła, że

facet już chciał się z nią zenić, chociaż jej się do tego nie spieszyło; znasz

te babki, co czekają na swojego Toma Cruise'a. Podobno miał rozwieść się

z żoną i ożenić z Estie, ale pokłócili się o jakiś naszyjnik...

– Naszyjnik! – parsknęła Janey.

– Właśnie. Estie jest z tych dziewczyn, które faceci obsypują prezentami. Jeden dał jej raz ferrari tylko za to, że zgodziła się pójść z nim na randkę. Zazdrość mnie zżera, ale prawdę mówiąc, ona potrzebuje tych pieniędzy. Jest za niska na modelkę, a chociaż śpiewa dobrze, aktorka z niej żadna...

– Już widzę, że nie jest w typie Seldena – oświadczyła Janey z niezachwianą pewnością. – Znam mojego męża i wiem, że nie znosi takich kobiet. Z drugiej strony, gdyby to ta cała Estie uganiała się za nim...

– Ona nigdy nie musiała się uganiać za facetem – wtrąciła szybko Contadine, ocierając smuzkę brązowego pudru z policzka Janey. – W każdym razie nie przejmuj się tym. W końcu to nie Estie wyszła za pana Rose'a, tylko ty.

Janey milczała. Musiała przetrwać te nowe wiadomości. Bardzo możliwe, że nie było w nich krztyny prawdy, bo Contadine pomyliła Seldena z kimś innym, ale niewykluczone, że jednak coś się zgadzało. Janey nigdy się nie dowiedziała, dlaczego Selden rozwiódł się z żoną; pytała go o to kilka razy, ale on zamiast odpowiedzieć, uśmiechał się tylko z lekkim zakłopotaniem i zbywał ją ogólnikami w stylu: „Niektóre małżeństwa nie mają szans na przetrwanie”.

Na dłuższe rozmyślenia nie było już czasu. Contadine wyprostowała się, mówiąc:

– Gotowe. Wyglądasz bosko.

W jednej chwili Janey porwała garderobiana do przyimiarki pierwszego „stroju” – niebieskiego stanika wyszywanego cekinami. Janey podążyła za nią, przeciskając się z trudem przez tłum stylistów, modelek, dziennikarzy, kamerzystów, fachowców od reklamy i innych ludzi, którym w niewyjaśniony sposób udało się zdobyć przepustkę za kulisy. Zanim zdążyła dotrzeć do wieszaka oznaczonego wielkim kartonem z jej nazwiskiem wypisanym czarnym flamastrem, dopadł ją niewysoki człowieczek w garniturze w szkocką kratę.

– Moja droga! – zawołał. – Masz wywiad dla „E! Entertainment”!

Natychmiast!

– Za chwilę, Walterze – nie pozwoliła się tyranizować agentowi od reklamy. – Evie jest gotowa, niech najpierw porozmawiają z nią.

– Evie nie jest gotowa. – Walter pokręcił głową. – Pożarła się z wizażystą, że niby zrobił jej tłuste policzki. Jakby musiał im czegoś dodawać! Z drugiej strony też byłbym przewrażliwiony, gdyby gazety przezwały mnie niemiecką kiełbasą...

Ktoś nagle kogoś rozpoznał, ktoś się ucieszył, ktoś krzyknął, a Walter momentalnie zapomniał o całej sprawie i poszedł sobie. Janey zaczęło śmieszyć całe to cyrkowe zamieszanie. Wydało jej się, że ludzie dają z siebie wszystko tylko wtedy, kiedy pełnią odpowiedzialną funkcję przy jakimś zupełnie niepoważnym przedsięwzięciu. Ni stąd, ni zowąd stanął jej przed oczami Craig Edgers. Choć twierdził coś wręcz przeciwnego, Janey nie mogła uwierzyć, że w powierzchowności jest coś złego, skoro dzięki niej można się dobrze zabawić. Zresztą, jeśli to właśnie jest

ulubiona rozrywka nowojorskiego towarzystwa, to dlaczego ona, Janey Wilcox, nie może zająć należnego jej miejsca w samym centrum uwagi? Jeśli nawet jako modelka „nie jest przeciwnikiem” dla rekinów biznesu, prawda była taka, że gdyby nie była modelką, nikt by nie chciał z nią rozmawiać...

Dopasowała wyszywane cekinami ramiączka niebieskiego stanika i stanęła przed małym lustrem. Jej garderobiana, Marie, podała parę silikonowych wkładek powiększających biust.

– O, nie – zaprotestowała Janey. – To mi niepotrzebne.

– Wszyscy to noszą.

– Ja noszę miseczkę C – powiedziała Janey. – Nie potrzebuję powiększania piersi.

– Więc będziesz miała mniejsze od wszystkich innych dziewczyn.

Chcesz mieć najmniejszy biust na wybiegu?

– Marie – uśmiechnęła się Janey wesoło – czy uważasz, że istnieje ścisły związek pomiędzy wzrostem kursów giełdowych a rozmiarem kobiecych piersi? – Takie samo pytanie zadał jej niedawno Craig i skończyło się to piętnastominutową dyskusją na temat: mężczyźni i kobiety a pieniądze. Janey przedstawiała swoje racje, a Craig słuchał jej w nabożnym skupieniu; jak wiele różniło go od Seldena, który nigdy się tak nie zachowywał! Ale czego można było się spodziewać po Seldenie? To Craig był prawdziwym intelektualistą, rozumiejącym, że każdy człowiek jest mądry i ma własne zdanie, którego warto wysłuchać. A Selden... Craig widział w nim duszę sprzedawczyka, chociaż Janey nie do końca się z tym

zgadzała.

Marie wyrzuciła ręce w górę na znak wzburzenia.

– A czyja się znam na giełdzie? – wykrzyknęła. – Myślisz, że mogę szastać pieniędzmi? – Z tymi słowy natarła na Janey z wkładką w każdej ręce. Nie było wyjścia: Janey pozwoliła jej wsunąć pod piersi poduszeczki wypełnione chłodnym silikonem. Jej biust podskoczył do góry i na boki, wyrywając się z miseczek stanika.

– No i wyglądam jak lala z kreskówki. – Janey się skrzywiła. Po chwili dodała ze złośliwym uśmiechem: – Chyba każę wyjąć sobie implanty z piersi. Co o tym sądzisz, Marie?

Marie pobladła, jakby miała paść trupem.

– Ani się waż! – huknęła na Janey. – Zrzuńujesz sobie karierę! A pomyślałaś, jaki przykład dasz innym kobietom?

– Janey, już? – Walter Speck wyjrzał zza wieszaka ze strojami. Janey spojrzała pytająco na Marie, a ta przewróciła oczami, ale w końcu skinęła głową.

– Wiesz, co mówić. – Walter podał jej różowy jedwabny szlafroczek. – Kocham Victoria's Secret i tak dalej, Victoria's Secret pozwala kobietom czuć się dobrze we własnej skórze...

– Naprawdę? – zapytała Janey.

– Ty też zaczniesz mi robić sceny? – Walter poprowadził ją pospiesznie w róg sali, gdzie stała ekipa filmowa. – Wystarczy, że Evie szaleje... Ze starszymi modelkami zawsze jest problem. Po trzydziestce zaczyna się wam wydawać, że w tajemniczy sposób wypączkowały wam mózgi.



– A jeśli to prawda? – Janey się zaśmiała. Usiadła na wskazanym krześle i odchyliła głowę w tył, żeby wizażystka mogła przypudrować jej twarz. – W każdym razie nie masz się czym martwić. Zastanawiam się nad odejściem z branży. Mam w życiu inne cele.

– Boże, tylko nie to – wymamrotał Walter.

– Czy to oficjalne oświadczenie? – zapytał ktoś z boku.

– W żadnym razie – warknął Walter.

– Janey – zagadnęła reporterka, żywa blondynka w wieku około dwudziestu pięciu lat i o urodzie tak pospolitej, że gdyby nie praca w telewizji, nie wyróżniałaby się absolutnie niczym – mniej więcej za piętnaście minut wychodzisz na wybieg. Pokażesz się na nim tysiącom ludzi praktycznie naga!

– Zgadza się. – Janey wyglądała na lekko znudzoną tym, co ją czeka.

– Ani trochę się nie denerwujesz? – zakwiliła podniecona dziewczyna.

– Ja bym tego nie zrobiła za żadne pieniądze!

Janey uśmiechnęła się z politowaniem. W tym cały problem, pomyślała, nikt by ci za to nie zapłacił... ale powiedziała:

– Uważam moje ciało za dzieło sztuki. Modelka uprawia sztukę własnego ciała, w ten sam sposób, jak malarz tworzy obrazy.

– Boże drogi! – wykrzyknęła reporterka. – Nigdy bym nie pomyślała, że modelka może być artystką! Dziś wzrósł mój szacunek dla modelek!

Janey łaskawie obdarzyła ją fałszywym uśmiechem.

– Jest jedno pytanie, które zadajemy wszystkim modelkom – ciągnęła dalej dziewczyna. – Czy przygotowywałaś się specjalnie do dzisiejszego

pokazu?

– Raczej nie. – Janey wzruszyła ramionami. Czy ta durna lala musi wiedzieć, że dwa dni temu miała zabieg wstrzyknięcia kolagenu do ust i krańców górnej wargi, w linii łączące nos z ustami? Czy trzeba ją informować o hydrokolonoterapii i depilacji miejsc intymnych, które zrobiła sobie wczoraj? Spokojnie mówiła dalej: – Zrobiłam tylko to, co zwykle, ponieważ dziś rano miałam spotkanie z agentem, a potem zjadłam lunch z Craigiem Edgersem, z którym się przyjaźnię.

Nazwisko Edgers wywołało oczekiwany skutek.

– Craig Edgers? – zapiszczała reporterka. – Ten pisarz? A o czym rozmawialiście?

– O korelacji pomiędzy wahaniami na giełdzie a sposobem postrzegania piękna kobiecego ciała – rzuciła Janey.

– Biedna dziewczyna osłupiała. Zareagowała dopiero po chwili, starając się zatrzeć niekorzystne wrażenie:

– Czego jak czego, ale pięknych ciał dziś tutaj nie zabraknie! Janey, dziękuję ci za wywiad, za twój wkład w obalanie stereotypu niemądrej modelki i za przykład, który dajesz dzisiejszym kobietom.

– Ładnie. Bardzo ładnie – mruknął Walter, biorąc Janey pod ramię. – Szczególnie podobał mi się ten fragment o Edgersie. – Nagle przystanął, marszcząc brwi. – Chyba sobie tego nie wymyśliłaś? Niech to tylko trafi do plotkarskich gazet...

– Nie wygłupiaj się – uspokoiła go Janey. Pomyliła daty, ale to nie był żaden problem; w końcu naprawdę zjadła lunch z Craigiem, a przecież

wiadomo, że prasa zawsze musi wszystko pokręcić.

– Janey Wilcox przyjaźni się z Craigiem Edgersem. – Walter był niezwykle przejęty. – Napiszą o tym w dziale „Co nowego w mieście”, jak nie lepiej. A gdzie się spotkaliście?

– W Dingo's – odparła Janey. – Gdzież by indziej?

Przyjęcie po pokazie odbyło się w nocnym klubie Lotus. Janey wkroczyła tam dumnie, w blasku fleszy, trzymając pod ramię Seldena. Za nimi postępowali Mimi i George Paxtonowie. Nadszedł moment jej wielkiego triumfu, triumfu, na który czekała całe życie. Była przekonana, że żadna inna kobieta nie zbiera dziś takich laurów i rozkoszowała się myślą, że nikt inny, tylko ona cieszy się specjalnym uznaniem wszystkich. Po wejściu do klubu natychmiast otoczył ją szybko rosnący krąg sympatyków. Kątem oka widziała swoją siostrę, która przyszła na przyjęcie w towarzystwie Diggera. Plotki w mediach na temat ich kłopotów małżeńskich zdążyły już przycichnąć, zapewne dlatego, że ze sobą nie zerwali. Kilka kroków dalej stał Comstock Dibble. Od czasu rozmowy z George'em ani Comstock, ani jego prawnicy nie odezwali się do Janey słowem; postanowiła wykorzystać sytuację, odurzona nieco sukcesem, jaki dziś odniosła. Dodatkowo ośmieliła ją świadomość, że na przyjęciu, a zwłaszcza na takim, gdzie to ona jest gwiazdą, Comstock nie odważy się robić scen. Mówiąc krótko: Janey zdecydowała się na konfrontację.

Znalazła go przy barze, rozmawiał z aktorką Wendy Piccolo. Wendy była bardzo niska – miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu – co w

oczach Janey czyniło ją niemalże niewidzialną. Janey stanęła bokiem do niej i zwróciła się wprost do Dibble'a, udając szczere, dzieciinne zaskoczenie:

– Comstock! Od lat cię nie widziałam! Dlaczego do mnie nie dzwonisz?

Comstock odwrócił się, a w jego oczach błysnęła wściekłość. Pamiętał jednakże, gdzie się znajduje, i szybko się opanował. Ochłonawszy z zaskoczenia, warknął w odpowiedzi:

– Nie dzwonię, bo nigdy nie można cię złapać. Jesteś teraz wielką gwiazdą i nie masz czasu dla starych przyjaciół.

– Dla ciebie zawsze znajdę czas. Dobrze o tym wiesz.

Comstock odwrócił się w stronę baru, na którym stała jego szklanka.

Miał najwidoczniej nadzieję, że Janey przez ten czas zniknie, bo nie mógł uwierzyć, kiedy po chwili zobaczył ją w tym samym miejscu. Janey uśmiechnęła się z wyższością, aby pokazać mu, że wcale się go nie boi. Tę potyczkę wygrała; Comstock zapytał, co u niej słychać.

– Muszę powiedzieć, że małżeństwo to coś wspaniałego. – Janey zerknęła w stronę Wendy, nie chcąc wyłączać jej z rozmowy.

– Aha! Teraz już wiem, z kim rozmawiam – powiedziała Wendy, jakby do tej pory Janey była dla niej nikim. Mówiła z charakterystycznym akcentem, przeciągając sylaby. – Jesteś żoną Seldena Rose'a.

– Zgadza się. – Janey udała, że cieszy się, że Wendy ją rozpoznała. – A skąd ty znasz Seldena?

– Z różnych przyjęć. – Wendy wzruszyła chudymi ramionami. – Kilka

razy zjedliśmy też razem lunch. Zawsze opowiadał o Janey, swojej pięknej żonie, ale dopiero kiedy cię zobaczyłam, połączyłam te dwa fakty.

Janey roześmiała się, choć nie całkiem szczerze. Ta odpowiedź, zamiast rozwiać jej podejrzenia co do relacji Wendy z Seldenem, sprawiła, że poczuła niejasne obawy. Wendy była z pozoru przemiła, ale w jej słowach kryła się złośliwość. Przypominała kota, który potrafi ni stąd, ni zowąd zaczepić człowieka pazurem.

– Powiem Seldenowi, że cię spotkałam – powiedziała zimnym tonem.

– Selden planuje podkraść mi Wendy. – Comstock zerknął na Janey sponad krawędzi uniesionej do ust szklanki.

– Naprawdę? – zdziwiła się Janey.

– Proponuje mi główną rolę w nowym serialu, ale wciąż mi powtarzam, że jestem aktorką filmową. Chociaż z drugiej strony Selden jest naprawdę błyskotliwy, a jego produkcje są zawsze takie inteligentne...

– Wendy delectowała się tym ostatnim słowem jak wybornym smakołykiem. – Ale po co ja ci to mówię? Przecież to twój mąż. –

Uśmiechnęła się, przekrzywiając lekko głowę, a Janey poczuła nagłą chęć, żeby rozdeptać Wendy na miazgę. – Znajdę go tutaj? Muszę się z nim przywitać. Nie chcę, żeby pomyślał, że go unikam. Oddaliła się szybkim krokiem. Janey nachyliła się do Comstocka z pobłażliwym uśmiechem na twarzy.

– Nawet nie podejrzewałam – szepnęła lekceważąco – że ona jest aż tak niska.

– Nie jest wysoka – przyznał Comstock – ale to jeden z największych

talentów w tym kraju.

– Kto by pomyślał – prychnęła Janey.

– Wendy to chodząca skromność. Faktem jest też, że przez ostatnie pięć lat jej kariera nie rozwijała się dobrze. Dlatego między innymi postanowiłem jej pomóc.

– A jak już jej pomożesz... to twoi prawnicy wyślą jej list z żądaniem zwrotu kosztów?

Janey nie zmieniła tonu; wciąż mówiła swoim zwykłym głosem, łagodnym i pełnym niewinności. Z początku zdawało jej się, że Comstock nie dosłyszał jej słów, ale po chwili jego twarz stężała w tak okropnym wyrazie, że Janey poczuła nagły atak paniki. Wzrok Dibble'a mówił: „Łeb ci rozwałę”. Wiedziała, że jeśli teraz stchórzy, Comstock zniszczy ją bez chwili wahania. Aby dać mu do zrozumienia, że czuje się zupełnie niewinna, zapytała wyniośle, z oburzeniem w głosie:

– No, słucham?

Comstock parsknął z obrzydzeniem.

– Ciekawiło mnie, kiedy zbierzesz się na odwagę, żeby sama się tym zająć. Wydawało ci się pewnie, że możesz nie reagować i udawać, że nic się nie stało. No i nasłałaś na mnie prawników George'a Paxtona. To był błąd. Trzeba było zgłosić się do mnie osobiście.

Janey z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Poczowała przypływ niepohamowanego gniewu, przez który zapomniała o strachu przed Dibble'em.

– Wybacz, ale gadasz od rzeczy – odcięła się bezczelnie, sama nie

wiedząc, skąd bierze odwagę, żeby zadzierać z nim w ten sposób. – To ty napuściłeś na mnie swoich prawników. Jak śmiałeś zrobić mi coś takiego?

Zarobiłam te pieniądze i to całkiem uczciwie.

– Nie wątpię, że szczerze w to wierzysz. – Comstock uśmiechnął się

złowrogo. – Takie jak ty są do tego zdolne. A nie pomyślałaś

przypadkiem, że to wcale nie ja napuściłem na ciebie prawników?

– Więc nawet się do tego nie przyznasz? – Janey dobrze wiedziała, że

tak właśnie zachowują się bogaci, wpływowi mężczyźni w sytuacjach

podbramkowych: udają, że o niczym nie wiedzą.

– Otóż to.

– I pewnie teraz mi powiesz, że nie masz pojęcia, o czym mówię?

– Wiem doskonale, o czym mówisz. – Comstock się ożywił. – A

gdybyś była mądra... przyszła byś najpierw do mnie. Z tym nie poradzą

sobie nawet prawnicy Paxtona. Uwierz mi, że bardzo nie chcą się do tego

mieszać. – Nachylił się do niej i uśmiechnął się upiornie, a ton jego głosu

zmienił się całkowicie. Niemniej postronny obserwator nie zauważyłby nic

dziwnego w tej swobodnej pogawędce dwojga przyjaciół. – Narobiłaś mi

od cholery kłopotów, Janey – syknął – i nigdy ci tego nie zapomnę. Ja

sobie ze wszystkim poradzę, ale wątpię, czy tobie się uda.

Serce Janey zabiło żywiej ze strachu i wściekłości.

– Jak śmiesz mi grozić?

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało – odrzekł wykrętnie Comstock.

– Potraktuj to jako ostrzeżenie.

Już miała mu odpowiedzieć, gdy nagle jak spod ziemi wyrosła obok

nich Mimi.

– Cześć, Comstock – przywitała się ciepłym głosem, podsuwając mu oba policzki do pocałowania. – Na pewno podobał ci się pokaz. Janey była wspaniała, prawda?

– Wręcz zjawiskowa. Kto by pomyślał, że komuś płacą ciężkie pieniądze za chodzenie tam i z powrotem?

Janey mogła tylko uśmiechnąć się zimno. Pocieszała się myślą, jakie zaskoczenie przeżyje Comstock i jak strasznie się wkurzy na wieść, że to ona wyprodukuje „Konsternacje”, a nie on.

– A gdzie Mauve? – zapytała Mimi.

Comstock spojrział na nią zaskoczony.

– Myślałem, że macie lepszy kontakt. Wyjechała do Palm Beach.

– Racja – przypomniała sobie Mimi. – Ucałuj ją ode mnie, dobrze?

– Na pewno odezwie się do ciebie wcześniej niż do mnie. – Mówiąc to, Comstock zabrał swojego drinka i odszedł.

– No? – Mimi zwróciła się do Janey z chłodnym uśmiechem. – O co poszło?

– Kto go tam wie? – Janey wzruszyła ramionami, ale w środku aż wrzała z niepokoju, ile Mimi mogła usłyszeć. – Comstock to wariat...

– Tak samo jak połowa ludzi w tym mieście – zauważyła Mimi. Janey przyjrzała się jej. Nie widziały się już od kilku dni – za każdym razem, kiedy dzwoniła, żeby się spotkać, Mimi mówiła, że jest bardzo zajęta i szybko kończyła rozmowę. Teraz też zachowywała się dziwnie... Janey poczuła ukłucie strachu na myśl, że Mimi domyśla się, co zaszło pomiędzy



nią a Zizim, ale szybko odpędziła te obawy. Bardziej prawdopodobne, że obraziła się, ponieważ Janey kazała Ziziemu się wyprowadzić, a tymczasem wszystkim było wiadomo, że Patty i Digger wciąż są razem.

– Posłuchaj, Mimi – zaczęła. – Głupio wyszło z tym mieszkaniem. Nie spodziewałam się, że Patty i Digger się pogodzą...

– Ależ wierzę ci – powiedziała Mimi i odeszła.

Janey już chciała iść za nią – należało dbać o dobre stosunki z Mimi, szczególnie że planowała pozyskać jej męża do swojego projektu – ale zapomniała o wszystkim, ujrawszy Wendy Piccolo pomiędzy Seldenem a George'em.

George siedział sztywno, a przed nim stał nietknięty kieliszek martini.

Było wyraźnie widać, że z trudem tutaj wytrzymuje i czeka tylko, kiedy będzie mógł wymknąć się do domu. Jego przeciwieństwo stanowił Selden, prowadzący ożywioną, wesołą rozmowę z Wendy Piccolo. Nachylał się do niej tak blisko, że prawie stykali się głowami; duże brązowe oczy Wendy lśniły w półmroku, a jej krótko obcięte ciemne włosy leżały na głowie niczym hełm, odbijając różowawe oświetlenie klubu.

Pierwszą reakcją Janey był niepohamowany gniew. Była oburzona na Seldena, że odważył się zrobić jej coś takiego w dniu jej wielkiego triumfu, w takim miejscu, przy tylu ludziach. Szybko się jednak opanowała; w końcu na pozór wyglądało to zupełnie niewinnie. Selden dojrzał ją i uśmiechnął się, a w tym samym momencie Wendy zauważyła jej obecność. Także w tych spojrzeniach nie było nic niepokojącego, ale dla Janey były one niczym znaki ostrzegawcze przed wjazdem do

długiego, ciemnego tunelu – z rodzaju tych, które prowadzą głęboko pod ziemię, a na których końcu zawsze czeka mało przyjemna niespodzianka. I nie myliła się: Selden i Wendy nie zaszczylicili jej niczym więcej jak przelotnym spojrzeniem, po czym wrócili do rozmowy, jakby Janey była naprzykrzającą się smarkulą.

Janey wiedziała, co musi zrobić: znaleźć najprzystojniejszego faceta na sali i bezwstydnie zacząć z nim flirtować. Niestety, dostrzegł ją George i przywołał niezgrabnym machnięciem ręki. W ciężkim westchnieniu osunęła się na kanapę obok niego, a Mimi usiadła obok Seldena i gładko włączyła się do jego rozmowy z Wendy. Selden na chwilę oderwał wzrok od Wendy, ale Janey z rozmysłem unikała jego spojrzeń. Udając wyczerpaną, oparła głowę na ramieniu George'a i nawet pozwoliła mu poufale pocałować się w czoło.

– Napij się ode mnie, Janey. – George posunął w jej stronę kieliszek z martini. – Wyglądasz na wykończoną.

– A ty wcale nie pijesz.

– Pijam alkohol tylko w weekend – wyjaśnił. – Nigdy nie zrozumiem, po co nowojorczyści balują co wieczór. Albo na przykład dlaczego największe imprezy są zawsze w poniedziałek? To rozbija cały tydzień.

– Jakby nie mieli nic lepszego do roboty...

– I widocznie nie mają. – Uśmiechnął się, rozbawiony własnym dowcipem. – A ty, Janey? Chociaż jesteś supermodelką, to sprawiasz wrażenie osoby poważnej. Nadal uważam, że potrafisz i powinnaś robić w życiu coś więcej.

Janey rozpromieniła się i powiedziała szybko:

– Prawdę mówiąc, mam pewien projekt, nad którym moglibyśmy pracować razem...

– Tak? – zaciekał się.

– Ale nie chcę mówić o tym tutaj. – Spojrzała na niego znacząco. –

Może zjemy razem obiad?

– Kiedy tylko zechcesz, jeśli Mimi akurat nie zaplanuje dla nas czegoś.

– Widziałeś się z Comstockiem? – zapytała swobodnie.

– Widziałem, jak ty z nim rozmawiałaś. Po co? Czy to nie jest nasz zaprzysięgły wróg?

Konfidencjonalny ton George'a sprawił Janey wielką przyjemność; w jednej chwili przypomniała sobie, jak przystojny wydawał się jej podczas tamtego spotkania w nowym apartamencie, dwa miesiące temu.

– Oczywiście, że tak – przyznała gorliwie – ale w takich kręgach nie sposób go uniknąć. – Nachyliła się do niego tak blisko, że niemalże szeptała mu do ucha. – Mówił mi straszne rzeczy. Boję się, George.

Zastanawiam się, czy nie oddać mu tych pieniędzy.

– Ani się waz! – złajał ją sykliwym szeptem, odsuwając się nieco i patrząc jej prosto w oczy. – Nie rozumiesz, w jakim świetle mnie to postawi?

– Ciebie? – Zaśmiała się z niedowierzaniem. – Wybacz, ale w jaki sposób to może zaszkodzić tobie?

– Otóż może. Przez ciebie wmieszałem się w tę sprawę. Długo musiałem przekonywać moich prawników, zanim zgodzili się zabrać do

tego, a zdaje się, że poszło im całkiem nieźle. Widzisz więc chyba, że gdybyś teraz oddała Dibble'owi pieniądze, to ja i moi ludzie wyszlibyśmy na głupców. Kpisz sobie z nas?

Janey była przerażona; bardzo rzadko zdarzało jej się do tego stopnia pomylić w ocenie sytuacji. Przecież to oczywiste – teraz to do niej dotarło – że nie miała najmniejszego zamiaru oddawać Comstockowi pieniędzy.

Powiedziała tak tylko po to, żeby przypomnieć George'owi o ich wspólnej sprawie, a on, ma się rozumieć, potraktował jej słowa poważnie.

– Boże – jęknęła, kładąc rękę na sercu, co natychmiast przykuło jego wzrok do jej piersi – masz absolutną rację. Jestem kompletnie zielona w tych sprawach. Dobrze, że zanim cokolwiek zrobiłam, przyszłam poradzić się ciebie. Dzięki temu nic złego się nie stało.

George zmrużył podejrzliwie oczy, a Janey, przerażona, że zaprzepaściła wszelkie szanse na robienie z nim interesów, spojrzała na niego błagalnym wzrokiem.

– Proszę cię, George, nie gniewaj się na mnie – szepnęła. – To był tylko żart. Chciałam zobaczyć, jak zareagujesz...

Nie wyglądał na całkowicie przekonanego, ale po chwili roześmiał się w głos, jakby usłyszał doskonały dowcip.

– Jesteś jedną wielką zagadką, Janey... – Pokręcił głową.

Janey odetchnęła. Niebezpieczeństwo minęło i powrócił cały jej animusz. Wsunęła rękę pod stół i ścisnęła udo George'a.

– Ty też... – szepnęła uwodzicielsko.

Nagle do ich rozmowy wtrąciła się Wendy, która chwilowo została na

łodzie, bo Mimi zajęła Seldena nieznanym jej tematem; w tej sytuacji jej oczywistą reakcją było zagarnięcie dla siebie George'a. Janey pomyślała ze złością, że Wendy należy do tych kobiet, które zawsze muszą przyciągać uwagę mężczyzn – chociaż patrząc na nią, dziwiła się, skąd u niej taki tupet.

– Rozmawiacie o interesach? – zagadnęła z zupełnie niezrozumiałym przejęciem. – Uwielbiam ten temat. Codziennie czytam „Wall Street Journal”.

Janey z trudem powstrzymała wybuch śmiechu, a jednocześnie poczuła ukłucie zapiekłej zazdrości. Ona też przeglądała „Wall Street Journal” – może nie codziennie, ale przynajmniej kilka razy w tygodniu – a fakt, że to małe nic czytało jej gazetę, w jakiś sposób umniejszało jej własne zasługi, czyniąc z nich żalosne wysiłki stworzenia pozorów osoby inteligentnej.

Niemniej odparła z wyższością:

– Oczywiście, że rozmawiamy o interesach. George jest biznesmenem.

Wendy nie odpowiedziała jej, ale zwróciła się wprost do George'a:

– Wiem, wiem... Często piszą o tobie w gazetach!

Jednakże George, w odróżnieniu od Seldena, nie dał się omotać i burknął tylko lekceważąco:

– Mam nadzieję, że niezbyt często.

Janey wykorzystała tę okazję, żeby zagadnąć męża.

– Kochanie – powiedziała – jestem już bardzo zmęczona. Może wrócimy do domu?

– Cały wieczór czekałem, aż to powiesz. – Uśmiechnął się. –

Obiecałem Wendy, że podrzucimy ją cło domu – dodał. – Mieszka po drodze.

Jak się okazało, dom Wendy na Lower East Side, stara kamienica z brunatnego piaskowca, wcale nie był „po drodze”. W dodatku Janey musiała biernie przysłuchiwać się nudnej dyskusji o wadach i zaletach jakichś tam sztuk teatralnych, które Selden i Wendy mieli okazję oglądać w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wendy w końcu chyba wyczuła jej znudzenie, bo zapytała pogodnie:

– Czy nie myślałaś kiedyś o aktorstwie?

Janey spojrzała na nią zaskoczona, po czym odrzekła chłodno:

– Przecież jestem aktorką.

Wendy przybrała zmieszany wyraz twarzy, który jednak był tak dalece wystudiowany, że Janey nabrała pewności, że pytanie o aktorstwo było celowe. Ale Selden nie zauważył jej przewrotnego zachowania i wzięwszy Janey za rękę, oświadczył z dumą:

– Janey zagrała w tym filmie przygodowym, pamiętasz...

– Aha, rzeczywiście – powiedziała Wendy. – Przepraszam. Nie chodzę na takie filmy.

– Miała po nim tłumy fanów – kontynuował Selden. – W większości małych.

– Nie wątpię. – Wendy siliła się na uprzejmość. – Dużi chłopcy pewnie też się trafiali!

Zaśmiali się oboje, a Janey aż zawrzała ze złości, ale nic nie odparła.

Limuzyna dotarła na miejsce i Wendy wysiadła, zegnając się wesoło i

obietując spotkanie na wspólnym obiedzie. Kiedy zamknęły się drzwi,

Janey zwróciła się do Seldena chłodnym tonem:

– Śmieszna osóbka.

Lecz Selden albo nie zauważył, albo nie chciał zauważyć ironii.

Odpowiedział po prostu:

– O, tak. Ma wyjątkowe poczucie humoru. Niezwykła dziewczyna...

– Niezwykła? – zdziwiła się Janey. – Nie ma w niej nic niezwykłego.

– Mylisz się. Ma umysł jak brzytwa i do tego jest kompletnym samoukiem. Jej rodzina mieszka w Kentucky, wysoko w Appalachach, i chyba mało kto z nich potrafi czytać i pisać. Mimo to nikt by nie powiedział, że Wendy pochodzi z rodziny górników...

– Górników! – prychnęła Janey. – Chyba w to nie wierzysz? To troszeczkę zbyt piękne...

– Dlaczego mam w to nie wierzyć? – zapytał.

– W każdym razie Wendy kocha się w tobie. Sama to przyznała, kiedy rozmawialiśmy przy barze.

Zapadła krótka cisza. Janey siedziała wściekła; gdyby to była kompletna bzdura, Selden przynajmniej by się roześmiał. Tymczasem on odwrócił się do niej, a na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania i całkowitego niezrozumienia.

– Janey – zapytał – czy ty jesteś zazdrosna?

Janey, choć wciąż była w gniewnym nastroju, nagle zrozumiała, jak głupio się zachowuje. Selden był ostatnim mężem na świecie, który zdradziłby swoją żonę. Mimo to postanowiła dać mu do zrozumienia, że z

jej uczuciami nie wolno igrać. Pokręciła głową i zaśmiała się z

wyższością.

– Ja mam być zazdrosna o Wendy Piccolo?

– A jak sądzisz – ścisnął ją za rękę – jak ja się czułem, kiedy szłaś po wybiegu, a tłum facetów ślinił się na twój widok?

– Sądzę, że miałeś wtedy wszelkie prawo czuć się jak ktoś bardzo wyjątkowy – odpowiedziała łagodniejszym już tonem, jako że rozmowa powróciła na właściwe tory, to znaczy skupiła się wokół jej osoby.

Selden pocałował Janey w policzek i przytulił się do niej.

– Cieszysz się na święta? – zapytał z przejęciem.

– Chyba tak – odparła przekornie, drocząc się z nim jak mała dziewczynka, tak jak to mieli w zwyczaju, kiedy byli świeżo po ślubie. –

Ale wolałabym wiedzieć, dokąd mnie pan zabierze, panie Rose. Jak mam się spakować, jeśli tego nie wiem?

– Mówiłem ci, żebyś zabrała ciuchy na lato. – W głosie Seldena brzmiała duma. Janey zachnęła się nieznacznie, słysząc takie określenie; o letnich ubraniach nie mówiło się inaczej jak „stroje wakacyjne”. Ale skąd ktoś taki jak Selden miał o tym wiedzieć?

– Mam nadzieję, że pojedziemy na St. Barthelemy... – Rozmarzyła się.

– Możliwe. – Żartobliwie wzruszył ramionami. – Ale nie możesz być niczego pewna. To niespodzianka, pamiętaj.

Janey zachichotała, wślizgując mu się pod ramię. Przypomniała sobie o własnym tajnym planie; jeśli wszystko się uda, ona też będzie miała dla Seldena małą niespodziankę.



## Rozdział 12

W piątkowy rano po pokazie Victoria's Secret Mimi siedziała w jadalni, na krańcu czterometrowego mahoniowego stołu i próbowała zmusić się do śniadania. Pełnym obrzydzenia wzrokiem wpatrywała się w talerz z jajecznicą. Zaczynała podejrzewać, że coś jest z nią nie tak: była głodna jak wilk, lecz mimo to już od kilku dni, a dokładnie, odkąd tak raptownie zakończył się jej romans z Zizim, sam widok, a zwłaszcza zapach jedzenia przyprawiał ją o mdłości. Nabrała odrobinę jajecznicę na koniuszek widelca, ale breja miała tak ohydny, szarożółty kolor, że szybko zrezygnowała i otarła tylko usta rąbkiem serwetki. Bez wątpienia była to wina kucharki, niezadowolonej, że musiała dziś przyjść wcześniej do pracy i przygotować śniadanie dla czterech osób, a nie, jak zwykle, dla dwóch. Mimi jednak się uparła...

George nalegał, żeby zjedli dziś śniadanie razem z chłopcami, wiedziony chęcią stworzenia choćby pozorów życia rodzinnego; co dziwne, sam zdawał się w nie wierzyć. Posiłek składał się z jajecznicy, parówek, bekonu i tostów. Wszystko było wyłożone na podgrzewanych półmiskach zamontowanych w blacie kredensu. Stały tam też dwa dzbanki ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym i grejpfrutowym, słoiki z dżemem i salaterka marmolady. Przy kredensie stał Georgie i ukradkiem pakował całe parówki do ust.

– Georgie... – napomniał go George, wskazując mu miejsce przy stole.

– Ale ja chcę jeszcze... – wyjęczał chłopiec.

– Dość już zjadłeś. – George zmarszczył brwi, rozwijając serwetkę.

Ostatnio nareszcie dotarło do niego, że Georgie ma problem z nadwagą.

Drażniła go ta myśl, ale wciąż jeszcze wierzył, że w Aspen, dzięki ruchowi na świeżym powietrzu, syn w cudowny sposób zrzuci zbędne kilogramy. Mimi nie miała podobnych złudzeń: już od dwóch lat jeździli na święta w góry i wykupywali dla chłopców całodzienne zajęcia jazdy na nartach, ale Georgie zawsze potrafił się gdzieś zawieruszyć. Nie raz i nie dwa odnajdywali go potem w miejscowym supermarkecie...

– To co mam robić, skoro nie mogę jeść? – zapytał Georgie.

– Siadaj i patrz, jak myjemy śniadanie – odparł George.

Mimi wydało się to zbyt okrutne, ale nie odezwała się ani słowem.

Rzuciła okiem na Jacka, który stał przy kredensie, pieczołowicie krojąc swój tost na sześć kawałeczków. Jeden z nich posmarował pomarańczową marmoladą. Nie przepadał za nią, ale najwidoczniej dziś wyjątkowo się skusił.

– Kiedy lecimy do Aspen? – zapytał Georgie, jakby już nie mógł się doczekać.

– Przecież wiesz – odpowiedział mu ojciec. – Jutro rano.

– Polecimy learem? – dopytywał się chłopiec.

– Tak – powiedziała Mimi.

– A dlaczego nie G5? – nie ustawał Georgie.

– Bo jest za duży, żeby tam wylądować – wyjaśnił George. – Przecież o tym wiesz.

– Tak? – zdziwił się mały.

Nie mogę uwierzyć, że tak wygląda moje życie, pomyślała Mimi i o

mały włos nie powiedziała tego na głos.

Jack podszedł do stołu, wdrapał się na dwustuletnie krzesło w stylu chippendale i usiadł na nim, podwijając nogi pod siebie (Mimi przypomniała sobie, zupełnie mimo woli, że takie krzesło kosztuje blisko piętnaście tysięcy dolarów). Odgryzł kawałek tostu z marmoladą i przeżuł dokładnie kilka razy. Nagle jego twarz wykrzywił paniczny grymas i chłopiec wypluł wszystko na swój talerz z sewrskiej porcelany. Mimi spojrzała bezradnie na męża.

– Jack! – zagrział George. Malec podskoczył jak oparzony i spadł z krzesła. – Siadaj przy stole – rozkazał mu ojciec.

– Nie... – Jack spojrzał na niego wyzywająco.

– W takim razie pójdziesz do pokoju.

– Gerdo! – zawołała Mimi, a kiedy służąca stanęła w drzwiach, wskazała jej zabrudzony talerz Jacka. Gerda szybko go sprzątnęła.

– Nie cierpię tego pokoju! – krzyknął Jack. – Jest za mały!

Niezdolny mały gówniarz, pomyślała Mimi. Oby tylko nie był taki w Aspen. W przeciwnym razie obawiała się, że może w końcu nie wytrzymać...

– Kiedy następnym razem do nas przyjedziesz, dostaniesz inny pokój – obiecał mu George, uważając widocznie, że w ten sposób rozwiąże wszystkie problemy. – Tatus i mama kupili nowy apartament...

– Wróciłeś do mamy? – zapytał Georgie zaskoczony, wodząc złośliwym spojrzeniem po obojgu dorosłych.

– Wasza mama – powiedział George – to teraz Mimi.

Jack potrząsnął głową, mrużąc pod nosem:

– Ile razy mam ci powtarzać... – Jego głosik brzmiał nienaturalnie, jakby malec parodiował dorosłą osobę. – Ile razy mam ci powtarzać, że to nie jest nasza mama?!

Mimi uniosła głowę, urażona jego słowami. Nagle straciła panowanie nad sobą i wybuchnęła płaczem.

Pięć godzin później, dokładnie o wpół do pierwszej, Mimi czekała niecierpliwie na Janey przy najlepszym stoliku w najlepszym boksie w restauracji Dingo's. Czowała się wytrącona z równowagi porannymi przejściami, a do tego nie mogła sobie darować, że okazała słabość przed synami swojego męża. Oczywiście George kazał chłopcom przeprosić Mimi, ale wiadomo, dzieci są złośliwe i potrafią to zrobić tak, żeby nie okazać ani cienia skruchy...

Mimi napiła się wody, prześlizgując się wzrokiem po tłumie gości. W boksie obok siedział redaktor naczelny słynnego magazynu o modzie, zajadając krwisty stek; po drugiej ręce miała znanego prezentera lokalnej stacji telewizyjnej. Pomyślała ze znużeniem, że musi chyba mieć już dość wszystkiego, bo goście Dingo's nagle wydali jej się podobni do wymęczonej zastępczej obsady środowiska broadwayowskiej popołudniówki. Odniosła wrażenie, że ich twarze widziała już setki razy. Jak długo to potrwa, zapytała samą siebie. Czy doczeka się jeszcze jakiegś odmiany, czy już do końca będzie skazana na śmiertelnie nudne życie towarzyskie, na bywanie i organizowanie przyjęć, na oglądanie wciąż tych samych twarzy, coraz starszych i bardziej pomarszczonych... ?

Zaczęła przeglądać menu, usiłując oderwać się od tych czarnych myśli.

Wszystko przecież jest w porządku, pocieszyła się, jej życie jest wspaniałe i toczy się tak, jak powinno. Jedyne problem w tym, że odkąd Zizi z nią zerwał, zrobiła się absurdalnie wrażliwa. Zaczęła przejmować się rzeczami, które do tej pory były dla niej bez znaczenia, przez co jej zachowanie stało się wysoce niewłaściwe; na przykład niedawno zrobiła Gerdzie awanturę o szmatkę do kurzu pozostawioną za firanką w salonie. Gerda patrzyła na nią jak na wariatkę. Mimi oczywiście ją przeprosiła, a na koniec usłyszała jeszcze zuchwałą uwagę, że być może to już „ten wiek”.

Ukryła twarz w dłoniach. Czy to możliwe, że to początek menopauzy?

Miała dopiero czterdzieści dwa lata, ale przecież takie rzeczy się zdarzają... A gdyby to jednak była prawda, to w sumie dobrze się złożyło: koniec romansu z Zizim zbiegł się z końcem jej kobiecości. Od tej pory oficjalnie będzie się ją uważać za starą krowę, a żaden mężczyzna nie zechce jej do łóżka. Plusem tej sytuacji było to, że już nigdy nie przeżyje tego, co przeszła, rozstając się z Zizim..

Do stolika Mimi podszedł kelner, żeby zapytać, czy życzy sobie czegoś jeszcze. Zamówiła kieliszek szampana. Przypomniła sobie, że choć od początku miała świadomość, że ten romans nie potrwa wiecznie, to nie spodziewała się jednak takiego poczucia pustki, kiedy będzie już po wszystkim. Być może zawinił tu fakt, że Zizi odszedł od niej tak nagle; gdyby wtedy nie zemdląca, mogłaby wymyślić jakiś pretekst, żeby wymknąć się George'owi i spotkać z kochankiem jeszcze raz. A gdyby

George nie uparł się, żeby wezwać lekarza, który zaaplikował jej tak mocny środek uspokajający, że spała po nim do piątej po południu, odwiedziłaby go następnego dnia w jego mieszkaniu. Lecz zanim jako tako doszła do siebie, było za późno – Zizi prawdopodobnie leciał już do Europy, a ona pozostała z uczuciem, jakby wycięto jej wszystkie żywotne narządy...

Dopóki się nie rozstali, Mimi nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na to, że Zizi odmieni jej życie na lepsze. Był jak zawór bezpieczeństwa, dzięki któremu mogła beztrudnie znosić trudy swojego małżeństwa i udawać, że niczego jej nie brakuje. Zizi wniósł w jej życie czystą miłość, wolną od wszelkich pozorów, taką miłość, która poraża młodych ludzi doświadczających jej po raz pierwszy. A Mimi była naprawdę zakochana, w dodatku spadło to na nią w momencie, kiedy straciła już wszelką nadzieję na miłość w swoim życiu.

Kelner postawił przed nią kieliszek szampana. Mimi pociągnęła łyżeczkę – nadziei, że podniesie ją to na duchu. Zawiodła się; bąbelki drapały ją w gardło, a po chwili znów poczuła falę mdłości. Odstawiła szybko kieliszek i podniosła do ust serwetkę, pragnąc tylko jednego: nie wymiotować. Dotąd, pomimo mdłości, jakoś jej się to udawało... Weź się w garść, nakazała sobie. Nie mogła się doczekać wyjazdu do Aspen – jej mama zawsze powtarzała, że na złamane serce nie ma nic lepszego niż zmiana otoczenia.

Oparła skroń o zagłówek kanapy obitej różowym zamszem, czując nagłą chęć, żeby zamoczyć serwetkę w szklance z wodą i zrobić sobie

zimny okład na czoło. Taki gest tchnąłby jednak całkowicie

niepotrzebnym dramatyzmem, zamiast tego spojrzała więc na zegarek.

Janey spóźniała się już dziesięć minut. W normalnych okolicznościach

Mimi byłaby zdenerwowana, że każe się jej czekać, ale dziś musiała

przymknąć na to oko. Ostatnio była dla Janey zbyt surowa. Przecież to nie

z jej winy Zizi zerwał z Mimi, a sprawa mieszkania to czysty przypadek –

Patty była w Europie, na tournée z Diggerem, skąd więc Janey mogła

wiedzieć, że się pogodzili?

Do wszystkich tych wniosków Mimi doszła dziś rano, siedząc w

garderobie i płacząc. Postanowiła, że musi w końcu z kimś porozmawiać.

Wybór padł na Janey. Mimi wyliczyła sobie wszystkie dobre strony jej

charakteru. To prawda, że Janey była arogancka, zarozumiała i czasami

wydawało jej się, że ma prawo robić, co zechce – ale taka jest właśnie

młodość. Mając trzydzieści trzy lata człowiek czuje, że całe życie jeszcze

przed nim. Mimi nie wydawało się, żeby w tym wieku była lepsza, poza

tym wierzyła, że Janey ma dobre serce... Czuła, że może jej zaufać. Janey

była świadkiem początku romansu, jej powierniczką i nie puściła pary z

ust, a poza tym Zizi nie był jej obcy – przynajmniej nie całkiem. No i

miała też za sobą przejścia z facetami... Tak, Janey potrafiła ją zrozumieć;

Mimi zadzwoniła więc do niej z propozycją wspólnego lunchu i szczerze

mówiąc, poczuła ulgę, słysząc głos Janey, przyjacielski jak zawsze, bez

cienia urazy za wczorajsze zachowanie Mimi na bankiecie...

– Cześć, skarbie – zamruczała Janey, nachylając się, żeby pocałować

Mimi, która była tak zatopiona we własnych myślach, że aż drgnęła,

wystraszona nagłym pojawieniem się przyjaciółki. Zauważyła, że Janey wygląda dziś wyjątkowo pięknie, a jej twarz jaśnieje, jakby rozświetlał ją wewnętrzny blask. Janey zawsze wyglądała dobrze, co było Mimi wiadome, ale jak każda kobieta miała swoje najlepsze momenty, kiedy była szczęśliwa.

– Widzę, że jesteś w dobrym nastroju – zagadnęła Mimi ostrożnie.

– To przez ten pokaz – zbagatelizowała sprawę Janey, wślizgując się za stół. Ona także poczuła ulgę po porannej rozmowie z Mimi; nie widziała przyjaciółki już od wielu dni i bardzo się za nią stęskniła. Zauważyła jednak od razu, że Mimi jest dziwnie posępna i natychmiast zapragnęła ją pocieszyć. Jutro, w sobotę, zaczynał się tydzień świąteczny i wszyscy gdzieś wyjeżdżali, toteż dziś była ostatnia okazja, żeby pokazać się z kimś w mieście; Janey zamierzała wykorzystać ją do końca.

– Pokaz był wszędzie, w prasie i w telewizji – podniosła głos akurat na tyle, żeby zwrócić na siebie uwagę – a że zrobił się z niego mały skandal, to wszyscy teraz o nim mówią...

– Skandal? – Mimi uniosła brwi.

– No, wiesz – powiedziała Janey – pokazali go w sieci krajowej, więc cała republikańska prawica szaleje... Oni by chcieli dyktować ludziom, co mają myśleć... – Widząc wyraz twarzy Mimi, dodała szybko: –

Oczywiście nie mówię o twoim ojcu...

– Oczywiście – zgodziła się Mimi. Jej ojciec został niedawno wybrany przez nowy republikański reżym na stanowisko sekretarza do spraw handlu.



– Och, Mimi... Powiedz, jak się czujesz? – Janey uznała, że wszyscy goście dowiedzieli się już, że Janey Wilcox przyszła do Dingo's, więc może nareszcie poświęcić trochę czasu przyjaciółce.

Mimi wzruszyła ramionami, obracając w palcach szklankę.

– Dowiedziałaś się już, dokąd Selden zabiera cię na święta?

Janey potrząsnęła głową. Zamówiła u kelnera wódkę z lodem i odrobiną soku z cytryny. Czowała, że między nią a Mimi wciąż wisi cień nieporozumienia, ale to była świetna okazja, żeby nareszcie dotrzeć do jego źródła.

– Selden i te jego niespodzianki! – wykrzyknęła, udając oburzenie. –

Powoli zaczyna mnie to drażnić. Wiesz, że nie powiedział mi nawet, że wynajął prywatnego detektywa?

– Selden wynajął detektywa? – zdziwiła się Mimi.

– Nic nie wiedziałaś? – zapytała Janey. – Kazał mu śledzić tę Marielle Dubrosey czy jak jej tam i okazało się, że dziewczyna ma męża. Dlatego właśnie Patty wróciła do Diggera...

– Jakoś nie słyszałam, żeby się z nim rozstała – zauważyła Mimi.

– Patty mówiła, że w Europie raczej się unikali i że planowała go zostawić, kiedy tylko wrócą do domu.

Janey odrzuciła włosy na plecy. Oczywiście Patty była daleka od takich twierdzeń, ale Janey wiedziała, że Mimi nigdy nie poda jej słów w wątpliwość.

– I wtedy – dodała dramatycznie, żeby jej relacja zabrzmiała bardziej wiarygodnie – do Patty zadzwonił Selden. – Przynajmniej to się zgadzało.

Janey uśmiechnęła się niewinnie. – Chciałam powiedzieć ci o tym już dawno, ale zawsze kiedy dzwoniłam, musiałaś opiekować się chłopcami...

– No... tak – powiedziała Mimi z naciskiem, czując lekkie wyrzuty sumienia. Teraz, kiedy dowiedziała się wszystkiego, zrozumiała, jak głupie były jej podejrzenia wobec Janey. – Kiedy chłopcy są w domu, zawsze mam urwanie głowy...

– Oczywiście, skoro Patty została z Diggerem, Zizi nie musi się wyprowadzać... – ciągnęła Janey. To imię z ledwością przeszło jej przez gardło; miała nadzieję, że Mimi niczego nie zauważyła.

– To już bez znaczenia. – Mimi znów wzruszyła ramionami. Wypiła łyk wody, bojąc się próbować szampana. – Rozstaliśmy się. – Zaśmiała się sucho. – Ściśle mówiąc, Zizi mnie rzucił.

Dwie godziny później, kiedy Janey wróciła już do swojego hotelu, wciąż kręciło jej się w głowie na myśl o nagłym końcu romansu Mimi. Wysłuchiwała smutnej opowieści przyjaciółki o tym, jak bardzo kochała Ziziego i jak ciężko jej teraz, kiedy go zabrakło. Była wzorem współczucia: taktownie zwróciła Mimi uwagę, że ten związek i tak nie miał wielkiej przyszłości, zwierzyła się jej, że słyszała, jakoby Zizi spotykał się z innymi (młodszyimi) kobietami, i oświadczyła, że dla niej było oczywiste, że chodziło mu wyłącznie o pieniądze i wpływy Mimi. Na koniec dodała starą formułkę: takie rzeczy lepiej kończyć wcześniej, kiedy ma się jeszcze resztki godności osobistej, bo później rany mogą być naprawdę głębokie...

Prawdziwe uczucia Janey były mniej życzliwe. Raz czy dwa razy

przemknęła jej przez głowę głęboko ludzka refleksja, że Mimi zasłużyła sobie na taki los, bo zabrała jej wymarzonego kochanka. Stwierdziła też z satysfakcją, że ani trochę nie pomyliła się w ocenie Ziziego. Nic więc dziwnego, że wyobraziła sobie, jakoby to właśnie jej ostatnie spotkanie z Zizim poruszyło tę lawinę wypadków; poczuła dumę na myśl, jak genialnie wszystko przeprowadziła. Chciała powiedzieć Mimi, że Zizi próbował ją uwieść, ale nie zdecydowała się na to. Nie mogła pozbyć się myśli, że Zizi zostawił Mimi, bo skrycie pragnął być z nią...

– Już wróciłeś, kochanie? – Janey zdziwiła się, zobaczywszy Seldena w salonie, zajętego pakowaniem. – Co robisz w domu tak wcześnie? – Pocałowała go w usta.

– Pakuję się. – Selden ucieszył się, widząc ją w dobrym nastroju.

– Ale wyjeżdżamy dopiero jutro rano – zauważyła.

– O siódmej – uściślił. Poszedł do sypialni po skarpetki, a Janey podążyła za nim.

– Nie znoszę wstawać tak wcześnie – zaczęła się droczyć jak dziecko.

– Wstaniemy bladym świtem, a w południe będziemy już na plaży – powiedział Selden. – Miła odmiana, prawda?

– No, nie wiem... – rzekła dziecinnym głosem, który uwielbiał.

– Ty też powinnaś zacząć się pakować. Mam zdjąć twoje walizki?

– Tak, bardzo cię proszę. – Ucieszyła się. – Wezmę ten duży worek marynarski od Louisa Vuittona, jedną torbę na ramię i oczywiście kuferek do makijażu...

– Oczywiście. – Uśmiechnął się. Podeszła do niego od tyłu, kiedy

otwierał szafę, i objęła go w pasie, trącając nosem w ucho.

– Dokąd jedziemy, kochanie? – zapytała. – Musisz mi w końcu powiedzieć...

Roześmiał się i zrobił kilka kroków wstecz, tak że oboje upadli na łóżko. Błysnęła mu szczęśliwa myśl, że dobrym sposobem na rozpoczęcie świątecznego urlopu byłby przedświąteczny seks.

– Dobrze – zgodził się. – Ale nikomu o tym nie powiesz...

– Obiecuję – odpowiedziała tym samym tonem.

– Lecimy na Mustique!

– Na Mustique? – Poderwała się gwałtownie, przygryzając palec.

Wyspa Mustique była bardzo sławna, ale żeby w pełni skorzystać z jej splendoru, należało tam jechać we właściwym towarzystwie. Tymczasem

Janey nie słyszała, aby w tym roku ktoś się tam wybierał. – Ale co my będziemy tam robić? Bez żadnych znajomych...

– Aha! – zawołał Selden, wciąż jeszcze przekonany, że jego niespodzianka przypadnie jej do gustu. – I tu się mylisz. Będziesz miała znajomych. Cały klan Rose'ów zjedzie tam na święta. Świetnie, prawda?

Janey poderwała się z łóżka.

– Przecież ja ich wcale nie znam! – zawołała, kiedy udało jej się złapać oddech.

– Najwyższy czas się poznać – oświadczył.

– No wiesz. – Janey nie kryła rozdrażnienia. Moment spotkania z rodziną Seldena musiał kiedyś nadejść, ale spodziewała się, że zostanie o tym ucziwie uprzedzona. A w porównaniu z rodzinnymi świętami nawet

wyjazd we dwójkę byłby lepszy... Cofnęła się do łazienki i zamknęła za sobą drzwi z lekkim trzaskiem. Selden opadł z powrotem na łóżko.

Usłyszawszy szcęk przekręcanego zamka, nabrał złego przeczucia, że nadzieje na przedświąteczny seks były raczej płonne.

Nieustanne, rytmiczne odgłosy uderzeń piłki tenisowej działały usypiająco. Wielkim wysiłkiem woli Janey powstrzymała opadające powieki i zmusiła się do stworzenia choćby pozorów zainteresowania grą.

Siedziała na małym pagórku wznoszącym się ponad kortem. Widać stąd było prawie całą wyspę. Przed nią rozciągał się uroczy obrazek: zielone pola poprzecinane czarnymi wstążkami asfaltowych szos, a zupełnie

niedaleko szerokim kręgiem roztaczało się Morze Karaibskie. Ścieżką

wiodącą do kortu wspinały się powoli dwie pokojówki w

wykrochmalonych szarych uniformach. Gawędziły wesoło, jakby zupełnie im nie przeszkadzało, że ich życie to nieskończony ciąg dni podobnych do siebie jak dwie krople wody...

Na korcie Selden zmagił się ze swoim ojcem, Richardem Rose'em, a

jego brat Wheaton sędziował. Cała trójka była w białych strojach do

tenisa, zgodnie z tradycją sportową, której hołdowały władze wyspy

Mustique. Wheaton, stojący przy linii końcowej pola Seldena, nagle

skrzyżował ramiona.

– Aut! – zawołał. – Piłka była na aucie. Przykro mi, tato.

– Nie przejmuj się. Jeszcze dołożę skurczybykowi... – sapnął Richard

Rose, podrzucając piłkę i zamierzając się rakieta.

– Richard! – krzyknęła ostrzegawczo matka Seldena, Paula Rose,

siedząca na trawie obok Janey. Wszyscy panowie drgnęli i obrócili się w jej kierunku.

– Staruszek dostaje baty i zaczyna gonić w piętę! – zawołał z dumą

Selden do Janey, która uśmiechnęła się blado w odpowiedzi. Pani Rose upomniała go – i męża – ostrym tonem:

– Tylko nie zapominajcie o dobrym wychowaniu! – Po czym zwróciła się do Janey, kręcąc głową: – Chłopcy uwielbiają tenisa. Popełniłam chyba największy błąd mojego życia, pozwalając Richardowi wybudować kort u nas w Chicago.

Janey podrapała się w nogę, w miejsce, gdzie ugryzł ją moskit.

– Doprawdy? – zapytała, udając zainteresowanie. Przylecieli tutaj trzy dni temu, a Selden z miejsca powitał ojca słowami: „No, tato, znalazłeś już kort?”. Podrapała ranę mocniej, aż do krwi i dopiero wtedy poczuła ulgę.

Na wyspie roiło się od moskitów. Moskitiery nie były dostatecznym rozwiązaniem, bo wściekle bzyczenie owadów i tak nie dawało Janey spać. Selden czuł się świetnie, ale ona była półżywa. Gdybym tylko mogła się porządnie wyspać, pomyślała, to może nie zwariuję przed końcem tego wyjazdu...

– Pogoda w sam raz na grę w tenisa, prawda? Nie za ciepło... –

zauważyła żona Wheatona, Isabelle. Isabelle stanowiła ucieleśnienie zalet charakteru cenionych na środkowym zachodzie Stanów: była serdeczna, miła i absolutnie nijaka. Jej osobowość nie miała ciekawych stron ani nawet żadnych kantów.

– I dzięki Bogu – powiedziała pani Rose. – Na Karaibach można grać

albo wcześniej rano, albo dopiero późnym wieczorem. Sześć lat temu pojechaliśmy do Round Hill... – I popłynęła długa opowieść o problemach z zarezerwowaniem kortu w klimacie, w którym gra jest możliwa wyłącznie w ciągu dwóch, trzech godzin dziennie. Janey szybko przestała słuchać. O wiele bardziej interesowała ją mrówka ciągnąca listek, którą wypatrzyła w trawie obok swojej stopy. Jak się okazało, dekoncentracja była błędem, bo nagle Paula zagadnęła ją:

– Co o tym sądzisz, Janey?

– Hm? – Janey z trudem zdobyła się na uśmiech. Po trzech dniach sztucznych uśmiechów bolały ją już wszystkie mięśnie twarzy. – Co sądzę... ?

– Richard dostał udaru – poinformowała ją pani Rose, zerkając na Isabelle.

– Dzięki Bogu, że nic mu się nie stało. – Janey podjęła ryzykowną próbę włączenia się do rozmowy.

– W końcu, oczywiście, poczuł się lepiej – pani Rose spojrzała na nią jak na ostatnią idiotkę – ale już byłam pewna, że to zawał. W dwie godziny objechaliśmy wszystkich lekarzy na Jamajce. Prosiłam Richarda: „Jeśli chcesz umierać, to przynajmniej poczekaj, aż wrócimy do Chicago”. Tak więc teraz, kiedy wyjeżdżamy na urlop, zawsze mi obiecuje, że będzie na siebie uważał aż do powrotu do domu...

Isabelle zaśmiała się usłużnie, ale Janey nie potrafiła zdobyć się na żadną reakcję. Naprawdę bardzo usilnie starała się zgrać z rodziną Seldena, ale byli to ludzie tak całkowicie od niej różni, że czasami miała

wrażenie, że łatwiej byłoby się z nimi porozumieć, gdyby pochodzili z innego kraju, chociażby ze Szwecji...

Ich maniery były rzecz jasna nienagane – na pozór. Janey spojrzała ukradkiem na panią Rose, która skończyła już opowiadać swoją anegdotkę i teraz najzwyczajniej w świecie ją ignorowała, udając pochłoniętą meczem. Paula była kobietą z rodzaju tych, o których mówi się, że „dobrze się trzymają”. Co rano pojawiała się w białej, świeżo wyprasowanej koszulce z krótkim rękawem i w szortach khaki, z apaszką od Hermesa na szyi, starannym makijażem oraz umyтыми i wysuszonymi włosami. Była atrakcyjną kobietą i cieszyła się poważaniem całej rodziny, ponieważ pomimo wieku zachowała stanowisko w redakcji dziennika „Chicago Sun-Times”. Pierwszego dnia była dla Janey niezwykle uprzejma, pokazała jej swój pokój, pochwaliła jej „prześliczną” garderobę, buty i torebki, a zachowywała się przy tym z takim wdziękiem, że Janey wydawało się nawet, że zostaną przyjaciółkami, a pani Rose zastąpi jej matkę, której nigdy nie miała... Przy obiedzie Janey siedziała obok ojca Seldena, miłego mężczyzny o nieco zbyt wyrazistej twarzy. Zanim Richard Rose przeszedł na emeryturę, pracował w tej samej firmie prawniczej co Wheaton; obecnie głównym jego zajęciem były dieta i ćwiczenia, dzięki którym, jak się chwalił, dotąd „nie capnął go rak”. Janey, czując się niepewnie w nowym towarzystwie, poświęciła mu chyba zbyt wiele uwagi, bo następnego dnia atmosfera stała się wyraźnie chłodniejsza...

Mecz zakończył się raptownie; Selden zakończył mecz z ojcem silnym



forhendem, rzucił rakieta na ziemie i ogłosił sie zwyciezca. Cała trójka weszła na pagórek, na którym siedziały panie. Janey wstała, mając cichą nadzieję, że na dziś mają już dość tenisa i że uda jej się wyrwać dokądś z Seldenem – podobno w okolicy był niezły bar, w którym pojawiał się sam Mick Jagger...

– Kort mamy opłacony jeszcze przez godzinę. – Selden dyszał ciężko. –

Kto chce teraz zagrać? Może ty, Janey?

– Wiesz, że nie gram w tenisa. – Chciała zaproponować wspólny wypad we dwójkę, ale uprzedził ją Richard.

– Na naukę nigdy nie jest za późno – oświadczył. – Selden, musisz udzielić jej kilku lekcji.

– Nie mam kondycji... – zaprotestowała bezradnie.

– Isabelle zaczęła grać dopiero po trzydziestce – poinformował ją Wheaton – a już doszła do niezłej formy. Czasami wygrywa nawet ze mną.

– Kiedy masz dzień dobroci dla mnie. – Isabelle się roześmiała.

– Paula, zagrasz? – zapytał Richard.

– Muszę wrócić do domu i dopilnować, żeby kucharka przyrządziła jak należy pieczeń wołową na świąteczną kolację. – Pani Rose pokręciła głową. – Czy supermarket jest jutro czynny?

– Do południa – powiedział Selden.

– To bardzo dobrze. – Paula westchnęła z ulgą.

Janey miała dość.

– Zagraj z Wheatonem – powiedziała do Seldena. – Ja chyba wrócę do domu. Jestem zmęczona....

– Zmęczona! – zdziwił się Richard. – Jesteś młodsza od nas

wszystkich.

– To przez te moskity – wyjaśniła. – Nie dają mi spać.

– U nas też był w nocy jeden wielki moskit – poskarżyła się Isabelle. –

Przedostał się przez siatkę i narobił takiego hałasu...

– Moskitiery są wyjątkowo" dokuczliwe – Richard się skrzywił. –

Trzeba włączyć te elektryczne urządzonek...

– Nie wiemy, jak to się robi – powiedziała Isabelle.

– Pokażę ci – obiecała Paula. – Najpierw trzeba wyjąć urządzenie z

opakowania...

Selden zbliżył się do Janey, obejmując ją ramieniem. Wzdrygnęła się

odruchowo, bo był spocony.

– Na pewno nie chcesz zobaczyć, jak skopię Wheatonowi tyłek?

– Selden... – ostrzegła go matka.

– Obejrzę to jutro – powiedziała Janey zmęczonym głosem.

– Chodźmy, dziewczęta – zakomenderowała pani Rose. – Richardzie, a

ty?

– Zostanę jeszcze trochę.

Janey zeszła ze wzgórza w towarzystwie Pauli i Isabelle.

– Selden dużo gra w tenisa – zaryzykowała żart. – Oby nie dostał

zawału...

Oczywiście pani Rose zrozumiała ją całkiem opacznie. /

– Selden? – sapnęła nerwowo, patrząc na Janey z niedowierzaniem. –

Selden ma serce jak dzwon...

– Wiem, ja tylko... – Janey nie miała sił się tłumaczyć.

U stóp pagórka stał biały jeep. Isabelle usiadła za kierownicą. Janey przez chwilę mocowała się z siedzeniem dla pasażera, czując zniecierpliwienie pani Rose stojącej tuż za nią. Wreszcie udało jej się złożyć oparcie. Wślizgnęła się na tylne siedzenie, a Paula usadowiła się z przodu.

– Na pewno chcesz prowadzić, Isabelle? – zapytała.

– Jasne. Uwielbiam to.

– Tutejsze drogi są dla mnie zbyt wąskie i kręte. – Pani Rose się zaśmiała, a przypomniawszy sobie najwidoczniej, że nie są same, zerknęła w tył przez ramię. – Umiesz prowadzić, Janey?

– Tak. Jeżdżę porsche.

– Porsche! – wykrzyknęła pani Rose. – W takim razie to ty powinnaś usiąść za kółkiem.

– Dostałam wóz od Victoria's Secret. – Janey podrapała się w nogę.

Paula spojrzała na nią w lusterku wstecznym:

– Będziesz musiała go oddać?

– Nie – zaprzeczyła Janey. – W każdym razie nie sądzę... I tak go nie oddam.

– Nie? – zdziwiła się Isabelle, wymieniając spojrzenie z Paulą.

– Nie – ucięła Janey, nie panując już nad irytacją. – Z jakiej racji?

Na tak postawione pytanie nie sposób było odpowiedzieć taktownie, dlatego Paula czym prędzej zmieniła temat.

– Czy twoim rodzicom nie jest przykro, że nie spędzasz świąt razem z

nimi?

– Nie – odparła Janey. Jeep przejeżdżał właśnie przez niewielką, malowniczą osadę złożoną z domków pomalowanych w jaskrawe kolory. Mieściły się w nich sklepy, gdzie można było kupić koszulki, lody i sarongi.

– Naprawdę? – Paula była zaskoczona. – Gdyby moich chłopców zabrakło na święta, to nie wiem, co bym poczęła...

– Mnie nie układa się tak dobrze z rodzicami – wyjaśniła krótko Janey.

– Moja matka nigdy za mną nie przepadała...

– To okropne! – zawołała pani Rose, poruszona do głębi.

– Nie aż tak bardzo – uspokoiła ją Janey. – Nie ma o czym mówić.

Kiedy wyjechały z miasteczka, minęły mikroskopijny port, w którym stały na kotwicy dwa olbrzymie jachty. Janey wiele by dała, żeby wiedzieć, kto jest na pokładzie. Po raz setny pożałowała, że Selden nie powiedział jej, dokąd pojedą. Mogłaby przynajmniej znaleźć kogoś, kto zna tę wyspę, kto by wprowadził ich do towarzystwa... W takim miejscu muszą być ciekawi ludzie... Tymczasem, zamiast ich poznać, trzeba było siedzieć z Seldenem i jego rodziną, a co gorsza, istniało niebezpieczeństwo, że jeśli pani Rose postawi na swoim, każde kolejne święta będą wyglądały tak samo.

Jeep pokonał strome zbocze, a następnie jeszcze bardziej stromy podjazd do domu, w którym mieszkali. Była to białą tynkowana willa, położona na urwisku, z którego rozciągał się widok na port. Janey podobał się ten dom, jeden z najlepszych na wyspie. Uważała go za jedyną udaną

rzecz na tym wyjeździe, chociaż to wrażenie psuł nieco fakt, że w okolicy nie było nikogo ważnego, kto by mógł ją tam odwiedzić.

– Za godzinę będę musiała wrócić po chłopców – powiedziała Isabelle.

Janey zachnęła się; te dziwaczne kolokwializmy zaczynały działać jej na nerwy. Drażnił ją podział grupy dorosłych ludzi na „chłopców” i „dziewczeta”.

– Być może warto wynająć jeszcze jednego jeepa – zasugerowała – żeby nie...

– To samo powiedział Selden – przerwała jej pani Rose kategorycznym tonem – ale zabroniłam mu wyrzucać pieniądze. Podczas wyjazdów rodzinnych zawsze wystarczał nam jeden samochód... Poza tym – dodała – milutko tak wszystko robić razem. Zupełnie jak wtedy, kiedy chłopcy byli mali...

To koniec; za chwilę zwariuję, pomyślała Janey, wchodząc do domu.

Położyła się na łóżku. Nie minęło dziesięć minut, kiedy do drzwi zapukała Isabelle.

– Spisz? – zapytała, wchodząc do pokoju.

– Jakoś nie mogę – odparła Janey.

– Wybieram się na małe zakupy, zanim pojedę po chłopców. Chcesz jechać ze mną?

– Jasne. – Janey westchnęła. Zakupy, bądź co bądź, to odrobinę lepsza rozrywka niż gapienie się w sufit.

– Spotkajmy się przy samochodzie za pięć minut – powiedziała Isabelle i wyszła.

Janey przejrzała się w oprawionym w wiklinową ramę lustrze, stojącym na szklanym blacie białej wiklinowej toaletki. Pomimo wyczerpania wyglądała dobrze, a jej skóra przybrała już lekko złotawy odcień; ciepły klimat zawsze jej służył. Przebrała się w krótką letnią sukienkę od Pucciego i złote sandałki na płaskiej podeszwie. Trzeba wykorzystać pobyt tutaj bez względu na to, jak źle będzie...

Janey czuła się nieco zawiedziona. Niepotrzebnie zabierała na ten wyjazd wszystkie piękne stroje wakacyjne, zwłaszcza że garderoba Isabelle składała się w całości z workowatych sukienek w drukowane wzorki i kolorowych plażowych sandałów. Gdyby nawet spotkały jakichś eleganckich ludzi, Janey nigdy nie zdobyłaby się na to, żeby przedstawić ich szwagierce. Nie wiadomo który już raz zapragnęła znaleźć się gdzie indziej – byle dalej od rodziny Seldena. Nawet Patty i Digger pojechali do Aspen, tłumacząc, że po tak ciężkim roku muszą odizolować się od wszystkich znajomych...

Isabelle czekała przy jeepie, obracając w palcach klucze. Z jej ramienia zwisał wysłużony skórzany plecak.

– Wyglądasz wspaniale – powiedziała, siadając za kierownicą. –

Zapytałabym, gdzie kupiłaś te sukienkę, ale pewnie kosztowała milion...

– Wcale nie – odparła Janey. – To sukienka od Pucciego, warta może ze dwieście dolarów.

– Dla mnie to i tak majątek jak na letnią sukienkę. – Isabelle się roześmiała.

– Przecież Wheaton jest prawnikiem – zdziwiła się Janey – a ty też

pracujesz... ?

– Rekrutuję pracowników do firmy. – Isabelle skinęła głową. – Tak poznałam Wheatona. Lubię tę pracę, bo każdy dzień jest inny. Nie znoszę monotonii – wyjaśniła – tak samo jak Wheaton, dlatego tak dobrze nam razem.

Janey nie wiedziała, co powiedzieć, bo jej zdaniem Isabelle i Wheaton wprost przepadali za monotonią; dotąd za całą rozrywkę wystarczał im tenis i spacer po plaży. Czuła jednak, że oczekuje się od niej odpowiedzi.

– Wheaton to wspaniały człowiek – powiedziała.

– Tak uważasz? – Isabelle ostrożnie minęła ostry zakręt. – Po kilku latach małżeństwa nie wiem już nawet, jak naprawdę wygląda mój mąż.

W gruncie rzeczy Janey wcale nie uważała Wheatona za kogoś wyjątkowego. Miał blisko osadzone oczy, zakrzywiony, lekko zaokrąglony nos i tak samo jak Selden robił wrażenie fajtłapy, przez co trudno było dostrzec w nim choć cień męskiego wdzięku. Niemniej nie mogła już cofnąć raz wypowiedzianych słów.

– Jasne, że tak – powiedziała z naciskiem. – Jest... uroczy.

– W każdym razie za takiego się uważa. – Isabelle roześmiała się radośnie, parkując samochód obok nadmorskiego deptaka. Janey odruchowo opuściła daszek przeciwsłoneczny i przejrzała się w lusterku. Sięgnęła po szminkę.

– Zdradź mi, jak nazywa się twoja szminka – poprosiła Isabelle. – Ma przepiękny odcień...

– Prawda? – Janey lekko podmalowała usta. – Trochę czerwony i

trochę różowy...

– Jakby oba naraz – przyznała Isabelle.

– Nazywa się Pussy Pink – powiedziała Janey, zamykając szminkę i chowając ją do torebki. – Od lat jej używam. Odkryłam ją w Paryżu...

– Mieszkałaś w Paryżu? – zapytała Isabelle.

– Jasne – odrzekła Janey. – Większość modelek tam zaczyna.

– Zawsze chciałam mieszkać w Paryżu – rozmarzyła się Isabelle. – Na pewno masz fascynujące wspomnienia.

– Było całkiem... ciekawie – rzekła Janey powściągliwie. Jej wspomnienia z Paryża były w większości bardzo niemiłe i wołała ich nie przywoływać. Zmieniła temat.

– Macie dzieci?

– Nie. – Isabelle spięła długie, ciemne, kręcone włosy plastikową spinką. Gdyby tylko je ufarbowała, żeby ukryć te siwe pasemka, pomyślała Janey, i dała sobie wstrzyknąć botox w te dwie głębokie bruzdy pośrodku czoła, wciąż jeszcze mogłaby wyglądać ładnie. Isabelle mówiła dalej: – Ale Wheaton ma córkę z pierwszego małżeństwa.

– Nie wiedziałam, że Wheaton był już żonaty – zdziwiła się Janey.

Zostawiły samochód i ruszyły w stronę sklepów.

– To było już dość dawno temu – powiedziała Isabelle. – Mandy, bo tak miała na imię, była miejscową dziwką, a Wheaton, zdaje się, jej współczuł. W każdym razie zaszła w ciążę i urodziła mu córeczkę... Teraz mała ma już piętnaście lat...

– Trudny wiek. – Janey kiwnęła głową ze zrozumieniem.



– To prawda – zgodziła się Isabelle. – W dodatku dziewczyna jest zupełnie szalona. Powtarzam Wheatonowi, że ona musi na siebie uważać, bo skończy jako młoda mama, ale znasz facetów. Nigdy nie rozumieją rzeczy, które dla kobiet są oczywiste. – Przystanęła przed wystawą, zachwycona parą japoniek przybranych plastikowymi kwiatkami. – Muszę jednak przyznać, że Paula jest niesamowita. Odwiedza małą co tydzień, choćby nie wiem co...

– Chcecie mieć własne dzieci? – zapytała Janey, kiedy wchodziły do sklepu.

– Próbowaliśmy. – Isabelle podniosła parę upatrzonych japoniek i odwróciła je, żeby sprawdzić cenę. – Mój lekarz mówi, że być może trzeba będzie zastosować sztuczne zapłodnienie, ale ja tak nie lubię zastrzyków...

Ale czasem, kiedy patrzę na Wheatona, myślę sobie: chwileczkę, przecież mam już jedno dziecko...

Janey przytaknęła. Zdążyła już zauważyć, że tak właśnie większość kobiet postrzega swoich mężów. Isabelle najwidoczniej też sądziła, że jest to rzecz, która łączy ją z Janey, jako żoną drugiego z braci Rose'ów. Dla Janey było to jednak przygnębiające.

– Powinnaś je kupić – poradziła Isabelle, nadal stojącej z japonkami w ręku.

– Tak uważasz?

– Czemu nie? Skoro ci się podobają...

– Kosztują tylko osiem dolarów – zastanowiła się Isabelle.

– Tym bardziej powinnaś je kupić – zdecydowała Janey.

Zapłaciwszy za buty, wyszły ze sklepu. Na ulicy Isabelle odwróciła się do Janey z uśmiechem.

– Na pewno byłaś zaskoczona, kiedy Selden powiedział ci, dokąd jedziecie... – zagadnęła ostrożnie.

– O, tak – przyznała Janey.

– Paula kazała mu powiedzieć ci wcześniej, ale nie chciał jej słuchać. – Isabelle wsunęła japonki do plecaka. – Coś mi się zdaje, że on czasem potrafi być uparty jak osioł. Ale mogło przecież być i tak – jej nagła przenikliwość przeraziła Janey – że bał się, że nie będziesz chciała tu przyjechać.

– Otworzymy prezenty teraz czy później? – zapytała podekscytowana pani Rose. Był dzień Bożego Narodzenia. Cała rodzina zasiadła do śniadania na świeżym powietrzu, przy stole ustawionym pod kratownicą obrośniętą winną latoroślą.

– Teraz – poprosił Wheaton dziecięcym głosem.

– Poczekajmy przynajmniej do końca śniadania – powiedziała Paula.

Janey, przysłuchująca się tej krótkiej rozmowie, doszła do wniosku, że musi mieć ona co najmniej czterdziestoletnią tradycję.

– Trochę to dziwne, nie mieć choinki na święta – doszła do wniosku Isabelle.

– Zupełnie jak w LA – zgodził się Wheaton.

– Nieprawda – zaprzeczyła Paula. – Selden i Sheila zawsze mieli choinkę w Los Angeles.

– Ale niedużą – wtrącił Richard.

- Widziałeś ją kiedykolwiek, tato? – zapytał Selden.
- Byliśmy u was raz na święta. Nie pamiętasz?
- To było wtedy, kiedy Sheila... – zaczął Wheaton.
- Nie mówmy o tym – przerwał mu szybko Selden.
- Właśnie – poparła go matka.
- Gdzie otworzymy prezenty? – zaciekawiała się Isabelle. – W salonie?
- Skoro i tak nie ma choinki – rzekł Richard – to otworzmy je tutaj. Raz się żyje, co, Selden?

Janey wypła łyk soku pomarańczowego i potoczyła ponurym wzrokiem dookoła stołu. Upłynęło czterdzieści pięć minut, a oni wciąż jeszcze otwierali te swoje prezenty. Obok jej łokcia błyszczał starannie złożony kolorowy papier; pani Rose uparła się, żeby go nie wyrzucać i poleciła Janey, żeby się nim „zajęła”. Nieco dalej leżały dwa prezenty, które dziś dostała: składana parasolka firmy Totes od Wheatona i Isabelle (tłumaczyli się, że nie wiedzieli, co mają jej kupić, a parasolka musi się znaleźć w torebce każdej kobiety) oraz apaszka firmy Hermes od Pauli i Richarda. Janey ucieszyła się z tego drugiego prezentu, po czym schowała go do pudełka. Selden dostał od niej parę sandałów, wytłaczany skórzany portfel i kosmetyczkę na przybory do golenia – wszystko od Prady; Janey wyjaśniła pani Rose, że kupiła wszystko z trzydziestoprocentową zniżką, ale i tak usłyszała, że takie prezenty są „zbytrowne”.

Kiedy Isabelle zaczęła się zachwycać parą grubych wełnianych skarpet, które zrobiła dla niej Paula, Janey nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy. Ponieważ Selden nie uprzedził jej, że spędzą święta z jego rodziną, nie

miała dla nikogo prezentu i za każdym razem, kiedy ktoś otwierał pudełko, czuła wyraźnie, jak bardzo jest tutaj nie na miejscu...

– Prezent od nas już dostaliście. – Selden podniósł się z miejsca. Za cały wyjazd, łącznie z wynajęciem willi i przelotem dla całej rodziny, zapłacił z własnej kieszeni. Skinął na Janey, aby też wstała i objął ją ramieniem, wznosząc szklanekę z sokiem.

– Za rodzinny zjazd i za moją żonę. Obyśmy się spotkali jeszcze wiele razy przy tym świątecznym stole.

– Niech się spełni – powiedział Richard.

– Dziękuję, Selden. – Paula wyciągnęła rękę do syna. – I tobie też, Janey. Nie trzeba było...

– Ja... – Janey nie wiedziała, co powiedzieć.

– Byłbym zapomniał. – Selden strzelił palcami. – Mam jeszcze jeden prezent. Dla Janey.

Wyszedł do salonu, a Janey nagle znalazła się w krzyżowym ogniu pytających spojrzeń.

– Mam nadzieję, że on cię nie rozpieszca. – Paula Rose uniosła brwi, jakby chciała obarczyć Janey winą za ten „nadplanowy” prezent.

– Jest na to zbyt praktyczny – odparła Janey.

Selden powrócił, niosąc w ręku dużą białą kopertę. Podał ją uroczyście żonie i zasiadł obok niej. Na odwrocie koperty widniał adres zwrotny:

„Agencja Nieruchomości „Milioner”, Greenwich, stan Connecticut”.

– Co to jest, Selden? – zapytała Janey, czując dziwną mieszaninę ciekawości i przerażenia.

– Koperta! – odpowiedział Wheaton, którego bardzo rozbawił własny

żart. – Rozumiecie? Koperta... !

– Pusta? – zdziwiła się Isabelle.

– Oczywiście, że nie – uciszyła ją Paula.

– Otwórz! – powiedział Selden, podekscytowany.

Janey rzuciła mu wystraszone spojrzenie i wsunęła palec pod skrzydełko koperty. Wyjęła kolorową, sześciostronicową broszurę. Na jej okładce widniało skarłate, sękatte drzewo stojące na szczycie pagórka zarośniętego dzikimi chaszczami. Zbocze pagórka kończyło się brudną plażą otoczoną z trzech stron brązowozielonym morzem. U dołu strony biegł napis: „Witamy na Przylądku Piratów!”.

– O Boże... – jęknęła Janey. Do tej pory była pewna, że kwestia domu w Connecticut jest już dawno zamknięta, ale widocznie nie postawiła sprawy dostatecznie jasno, a Selden uznał jej milczenie za zgodę...

– Zobacz dalej. – Selden przysunął się do niej wraz z krzesłem i odwrócił stronę, jakby czytał dziecku bajkę na dobranoc. W środku znajdowała się mapa Greenwich, na której czerwonym kolorem zaznaczono ten „Przylądek Piratów”, wąski pas lądu przypominający szponiasty palec wbity w zatokę Long Island. Selden był tak podniecony, że zaczął czytać na głos:

*Przylądek Piratów to osiem akrów dziewiczego lądu położonego w najbardziej ekskluzywnej części miejscowości Greenwich w stanie Connecticut, nad samą zatoką Long Island. O takiej posiadłości marzy każdy milioner; zaciszna i ustronna, a przy tym oddalona o trzy kwadransy*

*jazdy samochodem od Nowego Jorku i cztery godziny od Bostonu. Jest jak*

*prywatna wyspa na obrzeżach wielkiego miasta...*

– Stać cię na taki wydatek, Selden? – przerwała mu pani Rose.

– Oczywiście, mam – powiedział i zaraz wrócił do czytania:

*Przylądek Piratów to miejsce tchnące historią, kąsek wyłącznie dla*

*najbardziej wybrednych nabywców. Wystawiamy je na sprzedaż po raz*

*pierwszy od stu dwudziestu lat...*

– Nie rozumiem. – Richard Rose wstał i zjrzał synowi przez ramię. –

Kupiłeś tę ziemię?

– W zeszłym tygodniu dopełniłem formalności – odrzekł Selden z

dumą, biorąc Janey za rękę. – Zbudujemy tam dom naszych marzeń, z

basenem, przystanią, jachtem albo dwoma, no i obowiązkowo z kortem do

tenisa...

Wheaton gwizdnął cicho.

– Będziecie mieć mnóstwo gości. – Isabelle zachichotała.

– Jak ci się to podoba, skarbie? – Selden delikatnie uściśnął dłoń Janey.

I znów znalazła się w centrum spojrzeń.

– Tak się cieszę... – wyjąkała. – Chyba zaraz się rozplaczę...

Nastąpiła krótka pauza.

– No, dobra. – Richard klepnął Seldena w plecy. – To co robimy?

– Och, Richardzie – westchnęła Paula – daj im ochłonać. Kupno domu

to bardzo dużo jak na jeden dzień.

– Chcesz powiedzieć: daj im się nacieszyć – poprawił ją Richard.

– Nie kupili domu, tylko gołą ziemię. Jak zaczną budowę, skończy się

radość.

– Zatrudnimy firmę budowlaną, tato – wtrącił Selden.

– Ee. – Richard machnął tylko lekceważąco ręką. – Pamiętasz, jak my budowaliśmy dom? – zwrócił się do żony.

– Nie „my”, tylko ja – zwróciła mu uwagę. – Ty nie ruszyłeś palcem.

Nie mogłam nawet od niego wyciągnąć – zwierzyła się Janey – jakie chce gałki do drzwi.

– Nie myśl, że się wtedy objąłem – powiedział Richard Seldenowi. –

Pracowałem po piętnaście godzin na dobę.

– Czy na pewno starczy ci na to czasu? – zapytała Paula syna.

– Janey wszystkim się zajmie. – Selden znów ścisnął rękę żony.

– Nie macie pojęcia, jaka ona jest pedantyczna. A co ze sobą wyprawia przed wyjściem na przyjęcie...

– Można się domyślić... – rzekła Paula łagodnie.

Janey wyrwała rękę z dłoni Seldena.

– Nie do końca jest tak, jak mówisz – syknęła.

– Co? – Spojrzał na nią zdezorientowany.

Janey wstała i poszła do łazienki. Popatrzyła sobie w oczy w lustrze; nagle dotarło do niej, że jej życie zaczyna toczyć się właśnie takim torem, którego do tej pory wystrzegała się jak ognia.

Kiedy wyszła, cała rodzina oglądała kasetę z pokazu Victoria's Secret.

W podkładzie słychać było piosenkę „Baby don't hurt me”.

– Nie obrazisz się? – Selden zauważył Janey i wskazał jej miejsce przy sobie na kanapie. – Chciałem pokazać cię rodzicom.

– Puszczali to w telewizji – szepnęła mu gniewnie do ucha.

– Nikt nas nie uprzedził – powiedziała Isabelle.

W salonie panowało wyczuwalne napięcie. Twarz Richarda Rose'a wyrażała niewzruszoną obojętność, jakby nie ufał sobie na tyle, żeby zdradzić choćby cień zainteresowania pokazem. Paula oglądała nagranie z dezaprobatą, Wheaton z rozbawieniem.

– Uwaga – Selden oczywiście z niczego nie zdawał sobie sprawy – zaraz będzie Janey...

Janey wyszła zza kulis. Miała na sobie niebieski komplet bielizny, wyszywany cekinami. Przystanęła, mierząc zebrany tłum pełnym wyższości spojrzeniem, po czym ruszyła rozkołysanym krokiem wzdłuż wybiegu. Widząc siebie na ekranie, Janey skrzywiła się z zażenowaniem; jej piersi wyglądały monstrualnie, a wszyscy mężczyźni na widowni gwizdali i wyli na jej widok niczym wyrostki w obskurnym klubie ze striptizem. Isabelle chyba wyczuła jej frustrację, bo poklepała ją po kolanie.

– Wyglądasz bosko. – Uśmiechnęła się. – Prawda, Wheaton?

– Aha – mruknął jej mąż, wbijając wzrok w podłogę.

Nagle pani Rose wstała z kanapy i wyłączyła telewizor, nie bacząc na zdziwiony okrzyk Seldena.

– Janey wygląda prześlicznie, najdroższy – oświadczyła zdecydowanym tonem – ale chyba nie wypada oglądać takich rzeczy w Boże Narodzenie, nie sądzicie? – Po czym, jakby nigdy nic, zapytała wesoło: – Dziś robimy to, co zwykle? Plaża, a potem tenis?



Wszyscy wstali. Selden klepnął Wheatona po ramieniu.

– A może tak szybki meczyk przed pójściem na plażę?

– Jasne – zgodził się Wheaton. Pokój szybko opustoszał. Janey została sama, mając bolesną świadomość, że podczas całej tej nieprzyjemnej wymiany zdań nikt nie odważył się nawet spojrzeć w jej kierunku.

– Idziesz z nami? – zawołała pani Rose od progu, nie odwracając głowy.

– Za chwilę – odskrzyknęła Janey. Brakło jej tchu; czuła, że musi uciec z tego domu, uwolnić się od tych ludzi. Teraz było już jasne dla wszystkich: nie pasowała do nich ani trochę. Po co udawać, że jest inaczej...

W sypialni zastała Seldena wkładającego pośpiesznie szorty do tenisa, jakby chciał wyjść jak najszybciej.

– Cześć, kotku. – Uśmiechnął się do niej, kręcąc siedzeniem przy wciąganiu spodni na biodra.

– Dawno nie czułam się tak głupio! – naskoczyła na niego.

– Daj spokój, kotku. – Podszedł do niej, dopinając spodnie, i pocałował ją w policzek. – Mamą się nie przejmuj. Ona ma bardzo konserwatywne poglądy. Rozumie, że taka jest twoja praca, ale woli o tym nie pamiętać, to wszystko. Nie martw się. – Przytulił ją. – Na pewno nie przestała cię kochać...

– Ona mnie nie znosi. – Janey wyrwała mu się i wyjęła z szafy swój worek marynarski.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Selden.

– Pakuję się – odparła. – Uciekam stąd pierwszym samolotem.

– Nie wygłupiaj się. – Wciąż nie mógł uwierzyć.

– Mówię absolutnie serio – wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Selden złapał ją za rękę.

– Mama nie chciała cię urazić, uwierz mi – powiedział pojednawczo. –

Jeśli chcesz, to cię przeprosi...

– Myślisz, że chodzi tylko o to?!

– A o co jeszcze?

– O wszystko – syknęła jadowicie. – Do dupy z takim wyjazdem. Nie możemy nawet wyskoczyć do baru na drinka...

– Tylko to ci w głowie? – Cofnął się o krok. – Już chcesz iść na imprezę?

– Nie na imprezę – powiedziała łamiącym się głosem. – Chciałabym poznać kogoś ciekawego...

– To jest wyjazd rodzinny – przypomniał jej chłodno. – Raz na rok spotykam się z rodziną i jeśli pozwolisz, chciałbym spędzać czas z nimi, a nie z bandą obcych ludzi, których widzę pierwszy i ostatni raz w życiu.

– Łatwo ci mówić – prychnęła Janey – bo to twoja rodzina...

– Tak się składa, że od niedawna także twoja – powiedział Selden, biorąc do ręki rakietę – i byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciała nie robić scen. Zachowujesz się jak dziecko...

– A ty może nie? – wybuchnęła.

– Możliwe – uciął szorstko – ale to ja płacę za ten wyjazd i za trzydzieści tysięcy dolarów spędzę go tak, jak będę chciał.

– Więc co ja mam robić?

– Idź na plażę i wyrównaj opaleniznę – wypalił. – Przyjdę tam za godzinę. – I już go nie było.

Janey usiadła wzburzona na łóżku Przyjrzała się swojemu workowi i nagle zdała sobie sprawę, że nie starczy jej energii, żeby teraz wyjechać, że brak jej sił, żeby zarezerwować bilet, spakować się, zamówić taksówkę na lotnisko, a potem lecieć do Nowego Jorku z przesiadką w Miami...

Nieoczekiwanie wpadła jej w oczy biała koperta, którą Selden położył na poduszce; nie pozwoli jej zapomnieć, że ma się zabrać do budowy tego domu. Chwyciła ją nagła wściekłość. Porwała kopertę i cisnęła nią przez cały pokój. Twarda broszura trafiła w lustro, odbiła się ze stukotem i opadła na podłogę. Zza cienkiej ściany dobiegł głos pani Rose:

– Co tam się u was dzieje?

– Nic – zawołała Janey. – Coś mi upadło.

Podparła głowę rękami, zadając sobie pytanie, czy ten dzień może skończyć się gorzej, niż się zaczął.

Minęła godzina. Janey leżała na plaży na pasiastym ręczniku i przesypywała garść piasku. Miała już serdecznie dość Seldena i jego rodziny. Obok niej siedziała Isabelle w tanim słomkowym kapeluszu tkwiącym na samym czubku głowy. Milczała, być może domyślając się, że nie dzieje się najlepiej, i udawała, że czyta powieść sensacyjną, którą przypadkiem znalazła na kwaterze. Paula i Richard wybrali się na spacer; było ich widać w oddali, tam gdzie kończyła się plaża.

W końcu milczenie stało się nie do wytrzymania. Isabelle odłożyła

książkę i zagadnęła w pierwszy lepszy sposób, jaki przyszedł jej do głowy:

– Masz świetną figurę. Dużo ćwiczysz?

– Prawie wcale – burknęła Janey.

– Żartujesz! – Isabelle zapatrzyła się w ocean. – Ja musiałabym katować się codziennie.

Nic by ci to nie pomogło, pomyślała Janey. Nagle zaczęło ją drażnić to, że ludzie, których poznawała, zawsze zdawali się mieć obsesję na punkcie jej ciała.

– Każdy mnie o to pyta – wybuchnęła, nie zważając na dobre wychowanie – i mam już tego po dziurki w nosie. Każdy ma takie ciało, jakie ma. To tak, jak z inteligencją: nie działa się tutaj zbyt wiele.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziała Isabelle. – Nie chciałam cię urazić... – Podniosła książkę i zagłębiła się z powrotem w lekturze.

– Nie ma za co. – Janey westchnęła, gdyż poczuła wyrzuty sumienia.

Wyciągnęła się na plecach i zamknęła oczy. Wyrzucała sobie, że obraziła jedyną osobę, która przynajmniej starała się być dla niej miła. – To nie twoja wina. Pokłóciłam się z Seldenem.

– O jakąś głupotę. – Isabelle była domyślna.

– Właściwie... tak. – Janey miała nadzieję, że nie będzie szczegółowych pytań.

– Ja na wyjazdach zawsze kłócę się z Wheatonem. Nadchodzi taki dzień, że rozpętujemy okropną awanturę, naprawdę o byle co, a potem dociera do nas, jakie to głupie i wtedy się godzimy. – Isabelle spojrzała na Janey, odkładając książkę. – Moim zdaniem takie rzeczy wpływają

dodatkowo na związki, nie uważasz? Działają... oczyszczająco.

Janey uniosła się na łokciach.

– Znałaś pierwszą żonę Seldena? – zapytała swobodnym tonem.

– Jaka ona była? On nie wspomina o niej ani słowem...

– Och! – Isabelle zmarszczyła brwi. – Cóż. Była bardzo sprytna i

bardzo wiele osiągnęła. Została prawniczką gwiazd rozrywki, a podobno

jej klientami było wielu topowych aktorów. W końcu jednak...

– Urwała, patrząc Janey w oczy. – Obiecuj mi, że nie powiesz

Seldenowi, że wiesz o tym ode mnie. On nie cierpi o tym mówić, a poza

tym Wheaton by mnie zabił...

– Obiecuję. – Janey przewróciła się na bok i uśmiechnęła promiennie.

– Pod koniec ich związku... Selden, jak mi się wydaje, stracił

zainteresowanie Sheilą, bo zaczęła chodzić na zabiegi plastyczne. Nie

twierdzą, że chirurgia plastyczna to coś złego – dodała szybko Isabelle,

jakby nie chcąc obrazić Janey – ale w jej przypadku stało się to już manią.

Powiększyła piersi, poprawiła nos, ale tego było jej mało, więc

podciągnęła sobie oczy i chyba nawet zrobiła ten zabieg z odsysaniem

tluszczu...

– Liposukcję – odpowiedziała Janey.

– Właśnie – przytaknęła Isabelle. – Wyglądała całkiem w porządku,

tylko tak jakoś dziwnie. A kiedy doszła do tego ta druga sprawa... Poszło o

jakiś naszyjnik, a potem Selden zaczął podejrzewać, że Sheila go

zdradza... Nie znam szczegółów, ale wyszedł z tego niezły galimatias.

– Naprawdę? – Janey miała nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

– Naprawdę – powiedziała Isabelle. – Dlatego teraz Seldenowi tak

bardzo zależy na tym, żeby mieć normalne życie. Zanim jeszcze poznał ciebie, mówił tylko o jednym: że chce się ponownie ożenić i zostać ojcem...

– Wiem. – Janey skrzywiła się sarkastycznie.

– Nie cieszysz się chyba zbyt z tego domu nad morzem – zauważyła Isabelle łagodnie.

Janey westchnęła, nabierając garść piasku i przesypując go pomiędzy palcami.

– Cieszę się – mruknęła – ale nie mam czasu się tym zająć. Selden jeszcze nie wie, że niedługo zaczynam produkcję filmu.

– Poważnie? – Isabelle była pod wrażeniem.

– Tak. – Janey skinęła głową. – Kupiłam prawa do najnowszego bestsellera „Konsternacje”. Musiałaś o nim słyszeć. Mam teraz na głowie zbieranie funduszy, szukanie reżysera, odtwórcy głównej roli...

– Ciekawe – powiedziała Isabelle. – A o czym jest ta książka?

– Powinnaś ją sama przeczytać – odparła Janey. – Zastanawiałam się nad zagraniam jednej z ról. Kiedyś całkiem sporo grałam...

– Naprawdę? – zdziwiła się Isabelle. – Selden nigdy nie mówił, że masz tyle talentów.

No pewnie, że nie, pomyślała Janey, rozzalona. Rozmowę nagle przerwał powrót państwa Rose. Paula przysiadła na skraju ręcznika Isabelle.

– Cudowny spacer – powiedziała z lekką zadyszka. – Przejdźcie się też,

dziewczęta...

– Za chwilę. – Isabelle kiwnęła głową. – Na razie rozmawiamy.

– O czym? – zapytała Paula. – Dziewczyńskie pogaduchy?

– Właśnie się dowiedziałam – Isabelle zerknęła na Janey – że Janey będzie produkować film.

– Naprawdę? – Pani Rose spojrzała z niedowierzaniem. – Co to będzie za film?

– Na razie trwają przygotowania – powiedziała szybko Janey. – Pracujemy nad sfinansowaniem budżetu...

Do grupy dołączył Richard Rose, stając nad głową żony.

– Janey zostanie producentem filmowym – poinformowała go Paula.

– Przecież Selden jest producentem – zdziwił się.

– Zgadza się – powiedziała – ale Janey twierdzi, że też potrafi. –

Posłała mężowi znaczące spojrzenie.

– Ciekawi mnie jedna rzecz – powiedział Richard. – Jak długo trwa kariera modelki?

– Cóż, Lauren Hutton... – zaczęła Janey, ale Paula natychmiast jej przerwała:

– Lauren Hutton to wyjątek, nieprawdaż? – i zaraz dodała: – A ty na pewno chcesz niedługo urodzić dzieci...

– Myślę o tym. – Janey czuła narastającą frustrację.

W tym momencie na ścieżce prowadzącej na plażę pojawił się Selden ze zwycięskim uśmiechem na twarzy.

– Mamo – rzucił ręcznik na piasek – jak sądzę, ucieszy cię wieść, że

złoiłem bratu... pupę.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała Paula.

– A gdzie Wheaton? – Isabelle rozejrzała się wokół.

– Podrzucił mnie i pojechał do domu – odparł Selden. – Zapomniał kąpielówek...

– Cały on! – Isabelle się zaśmiała.

– Muszę skoczyć do wody – oświadczył Selden. – Kto ze mną?

– Idź, Janey... – powiedziała Paula.

– Nie lubię...

– Woda jest ciepła. – Richard nie dał jej dojść do słowa. – Nawet za bardzo...

– Chodź, kotku. – Selden wyciągnął dłoń.

Nie było wyjścia. Janey wzięła go za rękę i pozwoliła, by pomógł jej wstać. Ruszyli w stronę oceanu.

– Nie chcę wchodzić do wody – oświadczyła Janey. – Patrz, jakie wielkie fale...

– Nie wygłupiaj się – rzucił Selden przez ramię. – Trochę wody jeszcze nikomu nie zaszkodziło...

Pociągnął ją do linii przyboju. Janey odskoczyła, kiedy tylko pierwsza fala obmyła jej stopy.

– Zimna! – krzyknęła.

– Co ty gadasz. – Selden wszedł do wody po kolana, a następna fala rozbiła się o jego pierś. – Chodź! – Wyskoczył na plażę, parszając wodą. –

Jest w sam raz!



– Selden! – dobiegł ich krzyk pani Rose. Janey odwróciła się; Paula machała do nich jak oszalała. Na ten widok Selden wyskoczył z wody niczym wielki mokry buhaj i pozostawiwszy Janey na brzegu, pospieszył do matki.

– Co się stało? – zapytał po chwili, kiedy dotarł na miejsce.

– Coś niedobrego – odpowiedział mu Wheaton, który właśnie dojechał.

– Zabierz Janey i jedźcie do domu...

– Ale co się stało? – Selden podniósł ręcznik i otarł twarz.

– Siostra Janey...

: – Patty!?! – krzyknęła Janey, podbiegając do nich pędem.

– Spokój – nakazał Selden. – Co z nią? Nic jej nie jest?

– Nie umiem ci powiedzieć. Dzwonił jakiś Digger...

– To szwagier Janey...

– Prosił, żebyś do niego oddzwonił. Podobno Patty jest w więzieniu.

– O, Boże. – Pani Rose złapała się za serce.

– Zajmę się tym, mamó – uspokoił ją Selden, naciągając koszulę.

– Lepiej wszyscy wracajmy do domu. – Paula zaczęła zbierać rzeczy.

– Zostańcie tutaj – polecił jej. – Po co psuć sobie dzień... Idziemy. –

Skinął na Wheatona i Janey, po czym pomknął ścieżką w stronę samochodu. Janey pospieszyła za nim, potykając się na kamieniach – w tym pośpiechu zapomniała o butach. Usiadła z przodu, a Selden wskoczył za kierownicę.

– Zapisaleś jego numer? – zapytał brata, który usadowił się z tyłu.

– Nie – odparł Wheaton. – Myślałem, że wiesz, gdzie go szukać.

– Wheaton, do jasnej cholery! – Selden uderzył dłonią w kierownicę. –

Wiesz, gdzie się zatrzymali? – zwrócił się do Janey.

– Nie bardzo... – wykrztusiła. – W Four Seasons... Może w Ritzu?

– W Aspen nie ma Four Seasons – powiedział Selden. – Muszą być w Ritz-Carlton.

Jeep przemknął jak błyskawica po zwirowym podjeździe. Spod kół we wszystkie strony tryskały drobne kamienie. Selden zahamował ostro przed samym domem i wbiegł do środka. On jest w swoim żywiole, uświadomiła sobie Janey z przerażeniem. Napawa się każdą chwilą...

Zanim weszła do domu, Selden już zdążył dodzwonić się do Aspen i połączyć z Diggerem.

– Daj mi z nim porozmawiać. – Wyciągnęła rękę. – Selden potrząsnął głową i odpędził ją niecierpliwym machnięciem ręki. – To moja siostra! – syknęła. – Rzucił jej rozłoszczone spojrzenie, nakazując siedzieć cicho.

– Aha, aha. – Skinął głową. – Rozumiem. W którym areszcie? Dobrze...

Zatrzymali je obie? Nie, nie pozwolą ci się z nią zobaczyć... Musisz mieć prawnika... Tym się nie martw. Bądź tylko pod telefonem. Podzwonię do różnych ludzi i skontaktuję się z tobą. – Odłożył słuchawkę.

– Co się stało? – krzyknęła Janey.

Selden usiadł na krześle.

– Dotąd dowiedziałem się tyle: Patty i Digger stali w kolejce do kasy w supermarkecie. Nagle podeszła do nich Marielle Dubrosey, która widocznie dowiedziała się, dokąd wyjechali na święta. Zaszła Patty od tyłu...

– W sklepie?

– W sklepie – przytaknął Selden. – Powiedziała coś, a wtedy Patty uderzyła ją w twarz.

– Brawo, Patty – powiedziała Janey.

– Brawo, brawo, ale Marielle jej oddała. Patty dostała w brzuch, popchnęła ją, a ona upadła. Wtedy zjawiła się policja i aresztowała obie.

– Wszystkie gazety będą o tym pisać. – Janey się skrzywiła.

– Bardzo możliwe – zgodził się Selden – ale w tej chwili najważniejszą rzeczą jest wyciągnięcie Patty z aresztu.

– Lepiej wracajmy do Nowego Jorku – powiedziała Janey.

– Nic tam nie działyśmy – sprzeciwił się Selden.

– Tutaj też nie – warknęła.

Selden uniósł ręce, jakby nakazywał Janey trzymać się na dystans.

– Pozwól, że ja się tym zajmę – poprosił. – Zadzwoń do Jerry'ego Grabawa.

– Po co ci spec od public relations? – zakpiła. – Poza tym jest Boże Narodzenie...

– Jerry'emu to nie przeszkadza – zapewnił Selden. – On uwielbia takie awantury.

Po trzech godzinach Selden skończył dzwonić, a w tym czasie reszta rodziny zdążyła wrócić z plaży i zażądać wyjaśnień. Obecnego zajścia nie sposób było wytłumaczyć bez opowiedzenia całej tej wstrętnej historii od początku. Podczas gdy Janey mówiła, Paula Rose wciąż zerkała na męża, a jej zaciśnięte usta były nieomylną oznaką dezaprobaty. W końcu Janey nie

wytrzymała. Uciekła do swojej sypialni i rzuciła się na łóżko, jak szalona obgryzając paznokcie.

– Na razie to tyle. – Selden wszedł do pokoju i padł na łóżko obok niej.

Przyłożył dłoń do czoła. – Jerry znalazł kogoś, kto znał tamtejszego sędziego i zdołał go przekonać, żeby poszedł do sądu i załatwił dla Patty wyjście za kaucją. Będzie musiała stawić się za miesiąc na przesłuchaniu, chyba że sąd odstąpi od zarzutów, co jest prawdopodobne, zważywszy na fakt, że Patty jest sławna, a wszystko działo się w Aspen, gdzie takie rzeczy to codzienność...

– To dobrze – powiedziała Janey chłodno. Cieszyła się, że Selden poradził sobie z tym nagłym problemem, ale drażniło ją to, że wziął sprawy w swoje ręce, nie spytawszy jej nawet o zdanie. W końcu Patty to jej siostra, a on nie pozwolił jej nawet porozmawiać z Diggerem...

Zachował się tak samo jak w przypadku tego domu w Connecticut albo choćby wyjazdu na święta – sam podjął wszystkie decyzje, nie biorąc pod uwagę, że ona może mieć inne zdanie...

– Cholera. – Selden usiadł na posłaniu. – Muszę opowiedzieć wszystko mamie. Takie rzeczy zawsze ją denerwują...

– Lepiej to zrób – zgodziła się Janey.

Selden wstał i poszedł do sypialni obok.

– Mamo? – Janey usłyszała jego głos, a potem bolesne westchnienie

Pauli. – Nie martw się. Wszystko już załatwione – powiedział Selden.

Janey wstała i podeszła na palcach do ściany, która była tak cienka, że słychać było przez nią wyraźnie każde słowo.

– Nie podoba mi się to – powiedziała pani Rose.

– Wszystko w końcu przycichnie – pocieszył ją syn. – Zrozum, Digger to rockman...

– No właśnie – przerwała mu. – Wszyscy wiedzą, że rockmani biorą narkotyki i Bóg jeden wie, co jeszcze wyprawiają...

– Tak się składa, że Digger to przesympatyczny facet z Des Moines – uspokoił matkę Selden.

– A ta siostra?

– Urocza dziewczyna.

Zapadła cisza. Wreszcie Selden zapytał: , – Mamo, czym naprawdę tak się martwisz?

– Nie chcę psuć ci radości, kochanie – powiedziała zatroskana Paula – ale to twoje małżeństwo...

– Co ci się w nim nie podoba?

– Janey wygląda na bardzo miłą dziewczynę, ale ma zupełnie niepokładane życie. Do tego ta siostra w więzieniu... A wiesz, kiedy ona ostatni raz rozmawiała z własną matką? Chodzi mi tylko o twoje szczęście, kochany. Nie chcę, żeby znów stała ci się krzywda...

– Mamo... – Selden się zaśmiał. – Nie histeryzuj...

– Wcale nie histeryzuję – zaprzeczyła Paula. – A ta jej kariera modelki... To nie jest odpowiedni zawód dla twojej... żony. Takie dziewczęta mają inne cele...

– A ty masz staroświeckie poglądy. – Uśmiechnął się. – To nie jest zawód na całe życie. Jeszcze najwyżej rok i będzie po wszystkim, a potem,

kto wie? Może zostaniesz babcią?

– Nie wydaje mi się, żeby Janey tego chciała. Mam wrażenie, że ją pociąga zupełnie inny styl życia...

– Janey chce mieć dom i dzieci – oświadczył Selden pewny swego. –

Spójrz na siebie. Która kobieta nie chciałaby być taka jak ty?

– Cieszę się, że tak myślisz, ale Janey przez całe popołudnie mówiła tylko o tym swoim filmie...

– Mamo – Selden machnął lekceważąco ręką – to tylko gadanie. Janey zawsze ma sto pomysłów na minutę, a zapomina o nich szybciej, niż przychodzą jej do głowy. W przyszłym tygodniu będzie po całej sprawie, zapewniam cię.

– Obyś się nie mylił. – Ton pani Rose był złowróżbny.

Janey, podsłuchująca pod ścianą, osunęła się bezsilnie na podłogę, zakrywając dłonią szeroko otwarte usta. Była w szoku. W takiej pozycji zastał ją Selden, który wrócił od matki chwilę później.

– Kochanie, co się stało? – zapytał zaniepokojony, ujrawszy Janey na podłodze.

– Nic! – odparła szybko, rozglądając się i szperając dookoła. – Kolczyk mi wypadł. – Wstała, trzymając się za ucho.

– Przepraszam cię, Janey – powiedział Selden. – Byłem dziś dla ciebie nieprzyjemny. Muszę się napić... Mówiłaś, że wiesz, gdzie tutaj jest bar. Pojedźmy tam, może spotkamy kogoś ciekawego...

– Możemy jechać. – Uśmiechnęła się drwiąco. W jej uszach wciąż dźwięczały słowa podsłuchane przez ścianę. – Ale co z resztą rodziny?

Bez samochodu jak bez ręki...

– Będą musieli jakoś sobie radzić przez te kilka godzin. – Selden wyszczerzył zęby. – W sumie samochód jest mój. Ja za niego płacę, zapomniałaś?

Dni pozostałe do końca wyjazdu wlokły się nieubłaganie wolno. Janey ze wszystkich sił starała się być miłą; teraz kiedy wiedziała już na pewno, że nie przypadła do gustu matce Seldena, nie zamierzała utwierdzać jej w przekonaniu, że nie pomyliła się co do niej. Nie oznaczało to bynajmniej, że postanowiła podlizywać się Pauli Rose: już wieczorem pierwszego dnia Bożego Narodzenia namówiła Wheatona i Richarda na partię pokera, a kiedy oni się zgodzili, naturalnie zaraz przyłączył się też Selden. Paula była przeciwna, ale panowie nie dali jej dojść do słowa. Janey spodziewała się tego; kiedy już raz usiedli do gry, nie można było ich od niej oderwać. Paula gotowała się ze złości, a Janey sprytnie prowadziła partię, wygrywając co trzecie rozdanie. Grali na drobne, ale za to przez trzy wieczory z rzędu i codziennie Janey rozbijała bank, zgarniając do torebki stosy monet. Dzięki temu czuła się odrobinę lepiej...

Tak naprawdę jednak wrzała z gniewu. Za każdym razem, kiedy patrzyła na Seldena, przypominała jej się tamta podsłuchana rozmowa, co dolewało jeszcze oliwy do ognia. Janey obiecała sobie, że mu pokaże, że zmusi go, żeby wszystko odszczekał. Żeby pożałował tego, co powiedział...

Opuścili Mustique w sylwestrowy ranek, ale do swojego nowojorskiego hotelu dotarli dopiero o dziewiątej wieczorem; wszystkie loty były

przeładowane, a w Miami samoloty startowały z opóźnieniem. Janey marzyła tylko o tym, żeby się położyć, miała nadzieję, że sen odpędzi okropne wspomnienia minionego tygodnia. Selden jednak nie chciał słyszeć o spaniu w Nowy Rok. Podłożył na kominku ogień pod brzoszowe polana i zamówił dwie butelki szampana Cristal, a do tego kawior z białymi.

– Nie mam nastroju na szampana. – Janey znów zdenerwował fakt, że Selden robi to, co mu się podoba, nie zważając na nią.

– W sylwestra trzeba się napić szampana – upierał się – inaczej będzie się miało pecha...

Pociągnął ją w stronę kanapy. Usiedli. Selden wyciągnął się z zadowoleniem, a Janey przycupnęła sztywno obok niego.

– To najlepszy sposób spędzania sylwestra – oświadczył. –

Romantyczny wieczór w domu.

Janey milczała, wpatrując się w ogień. Wieczory w domu nie miały dla niej ani trochę romantyzmu. Kiedy nie mogła dokądś wyjść, najbardziej lubiła oglądać telewizję i jeść w łóżku. Budowanie sztucznej romantycznej atmosfery było jej zdaniem bez sensu.

– Mam świetny pomysł – ożywił się nagle Selden. – Pojedziemy jutro do Connecticut. Na cały dzień. Pokażę ci naszą działkę, zjemy obiadek gdzieś nad wodą, obejdziemy wszystkie kąty... A potem może wpadniemy do Marka i Dodo...

Ta kropla przepełniła czarę. Janey wstała z kanapy i podeszła do biurka.



– Musimy porozmawiać o tej działce, Selden.

– To świetna inwestycja – zaprotestował. – Nad samą wodą... Trudno dziś o coś takiego.

– Jeżeli chodzi o mnie, to możesz ją sprzedać – oznajmiła zdecydowanym tonem, mrużąc oczy.

– Jak to? – zapytał z irytacją. – Dopiero co ją kupiłem. Nie będę od razu się jej pozbywać.

– A ja nie będę miała czasu, żeby zajmować się budową domu. Będę teraz bardzo zajęta... przez kilka miesięcy, może nawet przez rok lub dwa.

– Naprawdę? – Selden wstał, żeby otworzyć kelnerowi, który zadzwonił do drzwi. – A czym, jeśli wolno spytać?

Kelner wniósł tacę, na której stały dwa wiaderka ze schłodzonym szampanem i cztery kieliszki. Zabrał się do ustawiania ich na stoliku, co trwało niemiłosiernie długo.

– Czy mam otworzyć butelki, proszę pana? – zapytał.

– Dziękuję, sam to zrobię – odpowiedział Selden.

Kiedy kelner wyszedł, odkorkował jedną z butelek, po czym nalał szampana do dwóch kieliszków. Najwyraźniej to go uspokoiło. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał rozsądek:

– Posłuchaj, jeżeli boisz się ciąży... Zapewnię ci wszelką pomoc. A kiedy dziecko już się urodzi, wynajmiemy nianię.

Janey zaśmiała się okrutnie.

– Nie chodzi o dzieci.

– Więc o co? – zniecierpliwił się.

– Zabieram się do produkcji ekranizacji książki Craiga. – Uśmiechnęła się. – Craig już się zgodził...

Selden był tak zaskoczony, że o mało nie zakrztusił się szampanem, po chwili jednak wybuchnął szczerym śmiechem.

– Nie rozumiem, dlaczego tak cię to bawi. – Janey rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

Podszedł do niej, wciąż się uśmiechając, i chciał ją objąć, ale cofnęła się przed nim.

– Nie wygłupiaj się – powiedział. – Produkcja filmów to mnóstwo roboty. Wymaga wieloletniego doświadczenia. Nigdy tego nie skończysz...

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Po prostu wiem – odparł. Odwrócił się, wziął żelazny pogrzebacz i poprawił polana na kominku. – Nie bierz tego do siebie – rzucił od niechcienia – ale robię w tym od lat. Znałem wielu ludzi o aspiracjach producenckich i wiem, że mało kto z tych nielicznych, którzy dostali szansę, sprostał wyzwaniu...

– Dobrze – przerwała mu Janey. – Spróbuję i jeśli przegram, to przegram. Ale nie sądzę, żeby tak się stało.

Selden spojrzał na nią i aż cofnął się o krok, uderzony nienawiścią płonąącą w jej oczach.

– Janey! – wykrzyknął, zaszokowany.

– Spierdalaj – powiedziała łagodnie. Zostawiła go w salonie, poszła do sypialni i zaczęła rozpakowywać bagaże. Po chwili przyszedł tam za nią.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Widzę, że nie wyraziłem się

dostatecznie jasno. Nie chcę, żebyś brała się do ekranizacji książki Craiga.

– Dlaczego? – Nie odwróciła nawet głowy. – Boisz się, że mi się uda?

– Nie. – Postawił ostrożnie kieliszek na stoliku obok łóżka, a następnie splótł ramiona na piersi. – Boję się, bo nie może ci się udać. Ta powieść nie da się opowiedzieć językiem filmu. W niej w ogóle nie ma nic do opowiedzenia...

– Jesteś zwyczajnie zazdrosny! – wybuchła. – Zazdrościsz Craigowi talentu... – Przestraszyła się, że posunęła się zbyt daleko, i zamilkła, przygryzając wargę. Była jednak przekonana o swojej racji. Może już czas, żeby ktoś mu o tym powiedział, pomyślała...

Powiesiła w szafie sukienkę od Pucciego, unikając wzroku Seldena.

Kiedy nachyliła się nad torbę podróżną, zobaczyła jego stopy tuż obok.

Wyprostowała się i spojrzała mu wyzywająco w oczy.

Twarz Seldena była całkowicie beznamiętna. Odezwał się cicho, kołysząc kieliszkiem szampana:

– Jeśli ktoś pokroju Craiga Edgersa odpowiada ci bardziej niż ja, to nie będę ci przeszkadzał.

– Nie przejmuj się – prychnęła. – Wcale mi nie przeszkadzasz.

Przecisnęła się obok niego i weszła do łazienki, zamykając się na klucz.

– Janey – powiedział Selden – wyjdź. Porozmawiajmy o tym.

– Nie mamy o czym rozmawiać – usłyszał jej głos zza drzwi.

– Janey! – krzyknął. Cisza. Walnął pięścią w drzwi. – Janey, wyjdź stamtąd!

Nie było odpowiedzi, tylko odgłos lecącej dużym strumieniem wody.

– Janey, do jasnej cholery! – wrzasnął. – Tak chcesz zacząć Nowy

Rok?!

## CZEŚĆ TRZECIA

### Rozdział 13

O jedenastej piętnaście G5 wylądował na lotnisku de Gaulle'a i kołując, dotarł do pasa dla prywatnych odrzutowców. Tutaj czekał na nie mercedes oraz dwaj francuscy celnicy. Była połowa lutego 2001 roku. Janey spojrzała przez okno na dżdżyste francuskie niebo i westchnęła. Nadal nie mogła przeboleć, że została wyprawiona do Paryża w charakterze towarzystwa dla Mimi, jak niegrzeczna dziewczynka odesłana za karę do łóżka...

Naciągnęła parę miękkich, szarych rękawiczek. Zmarszczyła brwi, myśląc o tym, że ta podróż nie mogła wypaść w gorszym momencie.

George był już bliski podpisania listu intencyjnego w sprawie ekranizacji.

Wydawało się, że lada dzień podejmie ostateczną decyzję, a tu nagle ten wyjazd! Mimi wybierała się do Paryża na przymiarkę kreacji haute couture, które zamówiła w październiku u Diora, i poprosiła Janey, żeby jej towarzyszyła. Obiecała przedstawić jej Raumonda, francuskiego dekoratora, który, co prawda, obsługiwał stałe, zamknięte grono klientów, ale przy wstawiennictwie Mimi mógł zrobić wyjątek dla Janey. Problem polegał na tym, że trzeba było przyjechać do Paryża w lutym, kiedy Raumont miał odrobinę mniej zajęć.

– To bez sensu – wypominała Janey Seldenowi. – Szczególnie że nie mamy domu do urzędu.

Tym zdaniem dotknęła drażliwego tematu. Selden obdarzył ją wyważonym spojrzeniem.

– Kiedyś będziemy mieli – powiedział ostrożnie.

Janey wytrzymała jego wzrok. Nie sprzedał działki w Connecticut ani nie porzucił planów budowy domu – po prostu przestał o tym wspominać, tak jak przestał zwracać uwagę na spotkania Janey z George'em.

– Wiesz co, Janey – powiedział w końcu – tylko bogaci ludzie mają takie problemy jak ty.

Tym zamknął jej usta. Niemniej Janey przez cały czas czuła, że wyjazd do Paryża miał stanowić pretekst, żeby pozbyć się jej na jakiś czas z Nowego Jorku. Przed tygodniem Mimi zaproponowała jej wspólną podróż. Niedługo potem Selden usłyszał o tym pomysle od George'a. Wrócił do domu wieczorem bardzo rozradowany, a Janey momentalnie ogarnął strach, bo widziała się z George'em nie dalej jak tego samego popołudnia i nie było to czysto oficjalne spotkanie w interesach. Z początku bała się, że George powiedział o tym Seldenowi, i postanowiła zaprzeczyć wszystkiemu. Wymyśliła szybko własną wersję wydarzeń: George zaczął się do niej przystawiać, a ona się nie zgodziła, żeby więc się zemścić, nakłamał Seldenowi...

Jednak Selden nie był na nią zły. Przeciwnie, wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca, co ostatecznie przekonało Janey, że George trzymał język za zębami. Właściwie to Selden był teraz jej największym zmartwieniem, nie George. Od czasu tej straszliwej kłótni w sylwestra Selden zaczął ją traktować protekcjonalnie. Z jego zachowania wynikało,

że uważa Janey za mało rozgarniętą lub zbyt niedoświadczoną, żeby zrozumieć zasady rządzące dziedziną, którą on się zajmuje. Nieświadomy niczego obserwator powiedziałby, że w związku państwa Rose'ów panuje całkowita demokracja, ale do Janey zaczynało już docierać, że Selden widzi w niej tylko maskotkę. Piękna modelka Victoria's Secret była mu potrzebna jedynie do potwierdzenia jego statusu samca alfa. Zaczynała mieć tego dosyć. Kiedy w towarzystwie wygłaszała swoje opinie na temat showbiznesu, polityki czy mody, widziała, że Selden bacznie przygląda się, czy słuchacze nie są znudzeni lub zażenowani jej słowami; jeśli miał choćby cień takiego podejrzenia, przerywał jej w pół słowa, nie pozwalając dokończyć myśli.

Szczytem wszystkiego był obiad u Harolda Vane'a, który odbył się w połowie stycznia. Goście siedzieli przy dwóch dziesięcioosobowych stołach. Sąsiadem Janey był Mike Matthews, republikański senator z Nowego Jorku, przystojny mężczyzna po sześćdziesiątce, wpływowy i pełen uroku osobistego. Kiedy mówił, zwykł chwycić swoją szponiastą ręką osobę znajdującą się najbliżej; zastosował ów chwyt na Janey i długo jej nie puszczał, choć nie zwracał się bezpośrednio do niej, ale do wszystkich przy stole. Janey uwielbiała przyjęcia tego rodzaju, towarzystwo ludzi z pozycją oraz toczony przy takich okazjach rozmowy, które nazywała „dyskusjami o doniosłych kwestiach”. Pod koniec obiadu, jak to było do przewidzenia, rozmowa zesłała na temat plusów i minusów (głównie minusów – co Nowy Jork to Nowy Jork) Partii Republikańskiej. Janey wdała się w zjadliwą, gwałtowną dysputę dotyczącą największego

mankamentu republikanów – odmawiania kobietom prawa do aborcji.

Oprócz niej przy stole siedziały jeszcze cztery kobiety. Jedna z nich, powszechnie szanowana pięćdziesięcioletnia dziennikarka telewizyjna, zawołała: „Proszę posłuchać!”, i nagle wszystkie rozmowy ustały jednocześnie, jak to się czasem dzieje na przyjęciach. W ciszy, która zapadła, głos Janey zabrzmiał głośno i wyraźnie:

– Doprawdy, panie senatorze! Jeśli nie popiera pan aborcji, to musi pan być hipokrytą. Od trzydziestu lat żyje pan samotnie. Nie przekona mnie pan, że przez tyle czasu nie zrobił pan dziecka żadnej dziewczynie!

Zapadła jeszcze głębsza cisza, spotęgowana konsternacją. Janey zaczerwieniła się ze wstydu. Selden siedział przy drugim stole, tyłem do niej, ale zauważyła, że zeszywniał, słysząc jej słowa. Nagle milczenie przerwał wybuch pełnego aprobaty śmiechu, jak po dobrze opowiedzianym dowcipie. Janey poczuła, że urosła w oczach wszystkich gości. Do tej pory była tylko piękną lalką bez większego znaczenia. Teraz stała się jedną z nich: była piękna, ale także błyskotliwa i obdarzona ciętym poczuciem humoru. Senator Matthews złapał ją swoim zwyczajem za rękę, oświadczając wszem wobec:

– Ta oto młoda dama uosabia wszystkie cechy, których brakuje Partii Republikańskiej!

Po tych słowach rozradowany tłumek udał się do salonu na kawę.

Senator towarzyszył Janey. Salon był wytwornym pokojem, urządzonego przez Harolda w amerykańskiej odmianie stylu empire, odpowiadającej okresowi, kiedy zbudowano dom. Stały tam obite

jedwabiem kanapy z nóżkami w kształcie zwierzęcych łap oraz stoliki z misternie inkrustowanymi marmurowymi blatami. Kto tam wszedł, odnosił wrażenie, jakby cofnął się w czasie; Janey nie byłaby zdziwiona, gdyby wyjrzawszy przez okno, zobaczyła powozy na Park Avenue.

W rogu salonu stał fortepian, przy którego akompaniamencie miały wystąpić dwie młode artystki operowe. Janey zajęła miejsce na długiej ławie z niebieskim obiciem i przyjęła z rąk służącej filiżankę kawy.

Uśmiechnęła się do patrzącego na nią senatora, przez chwilę zastanawiając się nad tym, jak czułaby się jako jego żona – szczególnie że wedle szeroko krążących plotek miał on startować w wyborach prezydenckich. Pierwsza dama – może to by było coś dla niej?

– Proszę spocząć; panie senatorze – powiedziała. – Umieram z ciekawości, czy to, co o panu mówią, to prawda.

Senator chętnie przystał na tę propozycję.

– Większość pogłosek zawiera ziarno prawdy – zażartował – ale jeśli chce pani wiedzieć, czy będę startował...

– Miałam na myśli raczej opowieści dotyczące pańskich podbojów. –

Uśmiechnęła się Janey.

W tym momencie jak spod ziemi wyrósł obok nich Selden. Janey nie miała nic przeciwko temu, żeby przyłączył się do rozmowy, ale jego zacięty, chłodny uśmiech nie był zachęcający.

– Przepraszam pana, senatorze – powiedział. – Moja żona często zabiera głos bez namysłu. – Przysiadł na brzegu kanapy i wziął Janey za rękę. – Ma też nawyk rozprawiania o rzeczach, na których kompletnie się



nie zna – rzekł tonem na poły żartobliwym.

– Doprawdy? – zapytał senator, wolno cedząc słowa. – A mnie się wydaje, że pani Wilcox dorównuje inteligencją większości zebranych tu osób, a niektóre nawet przewyższa. Miała odwagę wyrazić głośno poglądy, które oni w skrytości ducha podzielają.

Selden musiał ulec.

– O ile tylko nikogo nie uraziła...

– Na pewno nie mnie. – Senator spojrział na Janey wzrokiem pełnym współczucia. – Jeśli będzie pani miała go kiedyś dość – zwrócił się wprost do niej, ignorując Seldena – proszę pamiętać, że jestem wolny.

Roześmiali się wszyscy troje. W tym momencie zabrzmiała muzyka, kładąc kres rozmowie. Janey skłoniła lekko głowę, przywołując na twarz wyraz podziwu i uznania dla sztuki. Wewnątrz jednak gotowała się ze złości. Nagle, w jednej chwili potwierdziły się jej wszystkie podejrzenia co do protekcyjnej postawy Seldena; ujrzała ją w tak jaskrawym świetle, że nie sposób było przymknąć na to oczu. W drodze do domu żal do męża wziął górę.

– Nie waż się więcej tego robić – syknęła. Przez chwilę Selden milczał, patrząc wprost przed siebie. Wreszcie potarł ręką podbródek i odezwał się doskonale obojętnym głosem:

– Przyniosłaś mi wstyd tym, co powiedziałaś do senatora.

– To ty narobiłeś mi wstydu swoim zachowaniem – odgryzła się.

– Czy możemy porozmawiać o tym w domu? – Wskazał głową kierowcę.

Kłótnia, która wybuchła w hotelu, była gwałtowna, lecz bardzo monotonna: Janey raz po raz oskarżała Seldena o protekcjonalność i brak szacunku, a on wciąż powtarzał, że nie wie, o co jej chodzi. Widząc, że Selden kompletnie nie liczy się z jej uczuciami, Janey wpadła w furję. Doprowadzona do ostateczności, rzuciła się na niego z pięściami. Odepchnął ją i posadził siłą na kanapie. Rozpłakała się ze złości, ale i jemu puściły nerwy. Janey po raz pierwszy widziała jego gniew i była przerażona.

– Chcesz znać prawdę? – zapytał zimnym, drżącym z wściekłości głosem. – Wstydzę się za ciebie. Co wieczór jestem świadkiem, jak wymądrzasz się na tematy, o których nie masz zielonego pojęcia, jak pouczasz ludzi, którzy górują nad tobą latami doświadczenia. Uchodzi ci to na sucho, bo jesteś piękna, ale uwierz mi, gdyby nie twoja uroda, nikt nie chciałby cię słuchać!

Janey zabrakło tchu. Po raz pierwszy słyszała takie słowa pod swoim adresem i nie wiedziała, jak zareagować. Bo czy to możliwe, żeby Selden mówił prawdę? Nigdy. Wolałaby umrzeć, niż przyznać mu rację.

– Nie słyszałeś, co powiedział senator?! – wrzasnęła. – Jestem inteligentniejsza niż większość tamtych ludzi!

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tak powiedział? – Nachylił się do niej z szyderczym grymasem. – To polityk, specjalista od mówienia ludziom tego, co chcą usłyszeć. On ma gdzieś prawdę. Nie zauważyłaś, jak gapił się na twój dekolt? Jak łąpał cię za rękę? Ja widziałem to doskonale, tak samo jak wszyscy wokół. Chciał cię przelecieć i żeby zrobić swoje,

powiedziałaby ci, co tylko zechcesz. A ty się dziwisz, że wstyd mi za ciebie? Dziwi cię mój brak szacunku? To ty nie masz szacunku dla nikogo oprócz samej siebie.

Selden zaczął przechadzać się nerwowo po pokoju, poklepując się po głowie; ten śmieszny odruch oznaczał u niego zdenerwowanie. Wydawało się, że z każdym ruchem ręki rośnie jego złość. W końcu podjął swoją przemowę.

– Słyszałem, jak pouczasz światowej sławy reżyserów, jak mają kręcić filmy. Słyszałem, jak mówisz producentom, kogo mają obsadzić i w jakiej roli. Udzielasz instrukcji biznesmenom, jak mają prowadzić interesy, a sama nie dokonałaś w życiu niczego...

– Więc nie mam żadnego prawa do własnego zdania, bo brak mi osiągnięć?

– Nie chodzi o osiągnięcia. – Wycelował w nią palec. – Chodzi o szacunek dla ciężkiej pracy i codziennego ryzykowania w tym pierdolonym wyścigu szczurów. – Przerwał, żeby wziąć głęboki wdech. – Swoim durnym przyjaciółeczkom możesz mówić, co chcesz, tak samo tej twojej koterii byłych kochanków, którzy ganiają za tobą jak psy. Ale moi współnicy, ludzie, którzy przez całe życie starają się do czegoś dojść...

– Co ty powiesz? – Zaśmiała się. – To Mimi i George, twoim zdaniem, są durni? A jeśli chodzi o moich byłych kochanków, to masz jakieś urojenia...

– Chcę ci tylko poradzić, żebyś przestała się wymądrzać przed wszystkimi. Dlaczego musisz się wybijać w każdej dyskusji? Trochę

pokory ci nie zaszkodzi. Zamknij się raz na jakiś czas i zacznij słuchać, zamiast ciągle pytlować, to może się czegoś nauczysz!

Mierzyl się w milczeniu nienawistnym wzrokiem. Janey zastanawiała się, jak to możliwe, że potrafi wykazać pokorę wobec innych bogatych i wpływowych mężczyzn, ale nigdy wobec własnego męża. Nagle uświadomiła sobie, że faktycznie nie szanuje Seldena i nie potrafi powiedzieć, czy kiedykolwiek miała dla niego szacunek. Ta myśl przejęła ją takim strachem, że poczuła, iż czym prędzej musi odwrócić kota ogonem i postawić się w roli niewinnej ofiary.

– Teraz cię rozumiem. – Jej usta drżały, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Ty nie chcesz, żebym się rozwijała. Czujesz się wtedy zagrożony. Ale ja pracuję nad sobą od lat, staram się, żeby moje życie miało jakiś głębszy sens. Jeżeli myślisz, że zgodzę się być małą szarą myszką u twojego boku, to grubo się mylisz. A skoro moje zachowanie sprawia, że tracisz grunt pod nogami, to już twoje zmartwienie. Jak śmiesz rzucać to na mnie! – Z tymi słowami wybuchnęła płaczem i pobiegła do sypialni.

Mniej więcej po godzinie Selden położył się do łóżka i prawie natychmiast zaczął cicho chrapać. Janey udawała, że śpi, ale przez długi czas nie mogła zasnąć. Biła się z myślami; zraniona duma walczyła w niej z wrodzonym cynizmem. Duma nakazywała natychmiast rozwieść się z Seldenem, lecz cynizm podszeptwał, że za wszelką cenę należy uniknąć powrotu do życia, jakie wiodła sprzed ślubem. W końcu Janey zasnęła; obudził ją szmer wody pod prysznicem. Czowała się absolutnie wyczerpana.

Selden wyszedł z łazienki owinięty w pasie ręcznikiem. Przysiadł na skraju łóżka i zaczesawszy włosy do tyłu, nachylił się ku Janey.

– Posłuchaj... – zaczął. Janey spodziewała się, że ją przeprosi, jak zwykle po burzliwej kłótni, ale on powiedział tylko: – Nie chcę, żeby taka... scysja kiedykolwiek się powtórzyła. Dobrze?

Nie to chciała usłyszeć, ale zdobyła się na zrezygnowany uśmiech.

Selden pochylił się i musnął ustami jej usta.

– Do zobaczenia.

– Do zobaczenia. – Westchnęła boleśnie.

– Nie wygłupiaj się, Janey – powiedziała Mimi dwa dni później.

– George jest dokładnie taki sam. To ty nie wiesz, że mąż do męża podobny?

Jadły razem lunch w Dingo's. Atmosfera była równie ciężka i nużąca jak długa nowojorska zima.

– Zgadzam się – mówiła dalej Mimi ze złośliwym błyskiem w oku – że małżeństwo, obok macierzyństwa, jest jednym z wielkich życiowych rozczarowań. Kobieta wyobraża sobie, że jej wybranek jest kimś wyjątkowym, a co się okazuje po fakcie? Że wyszła za przeciętniaka, gatunek: mąż. Bo tak naprawdę, moja droga, nie ma mężów lepszych ani gorszych. Czasami nawet wydaje mi się, że oni są jak części zamienne!

Janey uśmiechnęła się słabo. Zauważyła, że Mimi zmieniła się od czasu rozstania z Zizim. Zrobiła się zgorzkniała i zaczęła przypominać typową kobietę po czterdziestce rozczarowaną swoim życiem, które nie ułożyło się tak, jak się spodziewała. Niczego jej nie brakowało, a mimo to była

rozzalona, jakby czuła się oszukana. Janey pomyślała, po raz nie wiadomo który, że za wszelką cenę musi uniknąć takiego losu.

– Uwierz mi. – Szarpnęła nerwowo pierścioneł zaręczynowy, który przypomniał teraz bardziej ogniwo łańcucha niż symbol prawdziwej miłości. – Nie przeszkadza mi to, że Selden jest jak każdy żonaty facet.

Nie mogę tylko ścierpieć, że mnie nie szanuje. Jak tak można?

– Brak szacunku to standard. – Mimi wzruszyła ramionami. – Zaraz po ślubie mężczyzna zaczyna gardzić kobietą. Dlaczego? Właśnie dlatego, że za niego wyszła. On zna swoje wady i uważają za głupią, bo się z nimi pogodziła.

– Ale Selden chce mnie sobie podporządkować! – krzyknęła Janey.

– Tak? – zapytała Mimi z powątpiewaniem. – On na pewno myśli o tym inaczej. Po prostu dochodzi swoich męzowskich praw, do których, na całe nieszczęście, należy prawo do mówienia tobie, co masz robić.

– Ale tobie mąż nie mówi, co masz robić – zauważyła Janey przebiegle.

Jej podziw dla George'a Paxtona wzrósł od czasu, kiedy zaczęła się z nim spotykać w sprawie ekranizacji. George był zawsze w dobrym nastroju, można się było z nim pośmiać...

– Mówi, nie bój się. – Mimi zmarszczyła brwi. – George okropnie lubi rządzić. Podejrzewam, że Selden jest taki sam. Ale w końcu gdyby nie to, nasi panowie nie byliby dziś tym, kim są, a my nigdy w życiu byśmy za nich nie wyszły. – Mimi przeszła Janey świdrującym spojrzeniem. –

Różnica pomiędzy tobą a mną jest taka, że kiedy George zaczyna przesadzać, ja upominam go łagodnie. Takich facetów lepiej nie

provokować do walki, bo z nimi nie da się wygrać. Ich ego jest nastawione na pobicie przeciwnika. Nie cofną się przed niczym, byle tylko zwyciężyć. Wiem, że jesteś twarda, Janey – zaśmiała się Mimi – ale uwierz mi, nie aż tak. W przeciwnym razie byłabyś dziś dyrektorem korporacji albo prowadziłaś studio filmowe.

– Dlaczego zamężna kobieta nie może być dyrektorem? – zaperzyła się Janey.

– A powinna, prawda? – Mimi się uśmiechnęła. – Ale czy znasz choć jedną taką? Prawda jest taka, że takich kobiet nie ma, a jeśli są, to najwyżej dwie, trzy. Mężczyźni, którzy mają władzę, nie tolerują kobiecej determinacji i żenią się, aby wyeliminować zagrożenie.

– Ja nie odgrywam twardej, zdeterminowanej baby – zaprotestowała Janey. – Chcę tylko, żeby Selden zaczął mnie szanować. Nie ma żadnego powodu, żeby trzymał mnie tak krótko...

Mimi uniosła brwi, śmiejąc się szczerze.

– Janey – powiedziała, jakby tłumaczyła dziecku. – Masz trzydzieści trzy lata. Wiem, że twoim zdaniem to dużo, ale tak nie jest. W twoim wieku ja też snułam wielkie życiowe plany: kim zostanę, za kogo wyjdę...

Wiem, że masz wyższe aspiracje – ciągnęła – ale dobrze ci radzę, przypatrz się temu, co już osiągnęłaś. Wyrządziłabym ci niedźwiedzią przysługę, gdybym cię teraz nie ostrzegła, że działasz na szkodę twojego małżeństwa. Choćby ten wspólny projekt z George'em...

– Co w tym złego, że robię interesy z George'em? – Janey z miejsca przerwała Mimi. Wspomnienie o George'u wzbudziło u niej wyrzuty

sumienia, a jednocześnie nie mogła pozwolić, żeby Mimi zaczęła podejrzewać, że łączą ją z George'em stosunki pozazawodowe. – Mimi – powiedziała – jeśli chcesz powiedzieć, że nie powinnam tego robić, bo on jest twoim mężem, to równie dobrze możesz twierdzić, że nie mam prawa robić interesów z żadnym żonatym mężczyzną. Faktycznie, mam wspólny projekt z George'em, a George, tak akurat się składa, jest twoim mężem.

Mimi roześmiała się.

– Kochanie – pogładziła Janey po rękę – dalej nic nie rozumiesz. To, z kim pracujesz, jest zupełnie nieważne. Chodzi o to, że próbujesz konkurować z Seldenem.

– Ile on wie? – zapytała Janey, bawiąc się szklanką z wodą.

Mimi westchnęła.

– Ode mnie niczego się nie dowiedział. O ile wiem, George też nie rozmawiał z nim o tym. Ale w końcu Selden musi się dowiedzieć, a kiedy to nastąpi, będzie bardzo zły.

Janey spróbowała zbyć całą sytuację śmiechem, który jednak był nieco zbyt głośny.

– A niby dlaczego Selden ma być zły? – zapytała niewinnym głosem.

– Powinien raczej być ze mnie dumny.

Mimi przyjrzała jej się w zamyśleniu.

– Zrozum, że on nie będzie dumny, bo uzna, że próbujesz podkopać jego pozycję, że chcesz pokazać, że mu dorównujesz i to w dziedzinie, która naprawdę się dla niego liczy: w jego zawodzie.

– Widocznie trzeba mu pokazać, że w rodzinie może być więcej niż



jeden talent – odparła Janey.

Mimi ponownie westchnęła.

– On nie wątpi w twoje zdolności, ale gdyby chciał mieć żonę, która robi to samo co on, to już dawno by taką znalazł. Był żonaty z kobietą z branży i nic z tego nie wyszło. Teraz pragnie odmiany. Na pewno bardzo mu się podoba twoja osobowość i to, że masz własne zdanie, ale kiedy się zenił, widział w tobie przede wszystkim miłą, ładną dziewczynę, która mu współczuła. Poza tym on uważa się za twojego dobroczyńcę.

– Dobroczyńcę? Tak powiedział?

– Nie użył dokładnie tego słowa, ale... Spójrzmy prawdzie w oczy: nie miałaś najlepszej reputacji...

– A Selden uwierzył tym plotkom!

– Nie, oczywiście, że nie. Przecież by się z tobą nie ożenił. – Mimi odwróciła głowę, by ukryć kolejne westchnienie. – Selden podejrzewał, że to, co o tobie mówią, to... nieprawda. Ja też tak myślałam i dotąd tak myślę. Ale on był przeświadczony, że zeniąc się z tobą, daje ci szansę na takie życie, o jakim marzyłaś i na jakie zasługujesz. No, a poza tym wydawało mu się, że chcesz mieć rodzinę, że marzysz o dzieciach...

– Jesteśmy dopiero pół roku po ślubie – zaprotestowała Janey.

– On potrzebuje odrobiny zrozumienia, Janey. Chce, żebyś była dumna z jego osiągnięć. Więc jeśli teraz ty zaczniesz pchać się do jego branży, odbierze to, że uważasz, że nie jest dobry w tym, co robi.

– Przecież tak nie uważam – powiedziała Janey ze złością, rzucając serwetkę na stół. Dlaczego, pomyślała, dlaczego wszyscy próbują mnie

utemperować, pokazać, gdzie jest moje miejsce? Nagle powróciły wszystkie jej odwieczne kompleksy dotyczące własnej wiedzy i umiejętności. Było to uczucie znajome, a do tego bardzo przykre, ponieważ uświadamiało Janey, jaka jest bezsilna, co było dla niej nie do zniesienia. Groziło to także tym, że doprowadzona do ostateczności może zrobić coś głupiego albo kogoś zranić...

Tymczasem Mimi, myśląc o małżeństwie, przypomniała sobie o swojej matce.

– Życie wymaga poświęceń – powiedziała miękko. – Bez poświęceń trudno cokolwiek osiągnąć...

Janey wiedziała, że Mimi ma rację, ale była zbyt rozłoszczona, żeby jej to przyznać.

– Jeśli chodzi ci o przeprowadzkę do Connecticut – oświadczyła – to nie ma o tym mowy.

Mimi odpowiedziała spojrzeniem, które, jak zdawało się Janey, było pełne współczucia.

– Myślałam raczej o Patty – szepnęła.

Janey wbiła wzrok w serwetkę, zastanawiając się, czy Mimi umyślnie chce ją sprowokować. Doskonale przecież wiedziała, że drażni ją ta kwestia, z tej prostej przyczyny, że, jak się okazało, to Patty miała rację, a nie Janey. Po zejściu w Aspen, o którym Patty i Digger opowiadali teraz anegdoty (szczególnie bawił ich incydent z aresztowaniem), Marielle Dubrosey wyznała, że Digger nie jest ojcem jej dziecka. Temat momentalnie zniknął z gazet, a Patty i Digger „zeszli do podziemia” i

cieszyli się własnym towarzystwem. Chętnie jednak spotykali się z Janey i jej mężem na obiedzie we czwórkę. Selden, jak się zdawało, uważał się za osobę „czuwającą” nad ich związkiem. Patty przy każdym spotkaniu dziękowała mu za pomoc, a siostrze zwierzała się, że ona i Digger są teraz sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Janey zawsze działało to na nerwy, zwłaszcza że jej małżeństwo było dalekie od wymarzonego ideału...

Patrząc na Mimi, Janey pocieszyła się, że nie tylko ona przeżywa takie rozterki. Przypomniawszy sobie swoją przygodę z Zizim, uznała, że Mimi jest głupia. A do tego ostatnio wyraźnie zbrzydła – jakby jej uroda po prostu się ulotniła. Było to bardzo smutne, ale być może należało się tego spodziewać. Koniec końców, za całą pociechę Mimi miała tylko George'a, a wzięwszy pod uwagę niedawne zachowanie George'a wobec Janey, już wkrótce mogła zostać nawet bez tej pociechy...

Janey przesunęła palcem po szybie iluminatora, goniąc kroplę deszczu spływającą po szkle. Przygryzła wargę. Od czasu lunchu w Dingo's upłynęły dwa tygodnie, podczas których doszło do pewnych wydarzeń z jej udziałem. Nie były to jakieś szczególne katastrofy, ale lepiej było o nich zapomnieć, przynajmniej na razie.

Mimi rozpięła pas bezpieczeństwa.

– Nareszcie! – zawołała. – Dobrze mieć własny samolot, ale tęsknię trochę za starym concorde'em. – Przeciągnęła się i zagadnęła Janey wesoło: – Uwielbiam Paryż, a ty?

Janey uśmiechnęła się pobłaźliwie. Miała stąd zbyt wiele przykrych wspomnień, aby podzielać bezkrytyczną miłość, którą cały świat obdarzał

Miasto Światła, niemniej cieszył ją widok uradowanej Mimi. Odkąd narodził się pomysł podróży do Francji, Mimi odżyła. Znow była taka jak dawniej, pełna energii i życzliwa ludziom, a nawet wyglądała tak jak kiedyś. Jej uroda obudziła się ze snu zimowego i powróciła ze zdwojoną siłą. Twarz Mimi jaśniała, jej cera stała się gładka i delikatna, a nowe uczesanie – lekko falujące włosy przycięte równo wokół twarzy – upodobniło ją do gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych.

– Chodź. – Mimi niecierpliwie pociągnęła Janey do wyjścia. – Zostaw bagaże, stewardzi odeślą je do hotelu. Przejedziemy się limuzyną wokół wieży Eiffla. Mam taki zwyczaj – wyjaśniła po drodze do czekającego na nie mercedesa. – Zabawimy się trochę. Miło będzie na tydzień zapomnieć o mężach, prawda?

Janey skinęła głową i roześmiała się, w głębi duszy myśląc jednak, że będzie to dość proste. Zapomnieć o Seldenie przyjdzie jej z łatwością, ale jeśli chodzi o George'a, to nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić, aby wymknął się jej z rąk.

Na początku snu był bezkresny ocean zalany blaskiem księżyca.

Spienione szczyty olbrzymich szarozielonych fal i słony wiatr na twarzy to były pierwsze rzeczy, które zapamiętała. Potem uświadomiła sobie, że stoi na grzbiecie ogromnego delfina, trzymając się jego płetwy, większej od niej samej. Nikt nie potrafił okiełznać czarodziejskiego delfina, tylko ona: szczupła, gibka, opalona walkiria nie z tego świata. Płynęła na ratunek mężczyźnie, ale w momencie, gdy już wyciągała do niego rękę, nagle rozdzieliła ich niebotyczna fala, która uniosła mężczyznę

na brzeg. Kiedy toń na powrót się wygładziła, nie było już śladu po dziewczynie i jej morskim wierzchowcu. Janey zrozumiała z bólem serca, że dziewczyna – czyli ona – nie żyje.

Mężczyzna – właściwie młody chłopak w wieku najwyżej dwudziestu czterech lat – trafił do małej nadmorskiej wioski zamieszkaanej przez tubylców i małowniczą zbieraninę młodych Amerykanów. Miał złamaną nogę. Dwa dni później odnalazł się delfin. Był mocno poraniony, dlatego wieśniacy zbudowali dla niego boks w wodzie, mając nadzieję, że tam dojdzie do siebie. Następnego dnia w wiosce pojawiła się młoda kobieta. Była to Janey – nie ta amazonka na delfinie, ale jej młodsza siostra, choć nie Patty, tylko pewnego rodzaju samoistna bliźniaczka. Dorównywała tamtej urodą, lecz była pełna obaw, czy zdoła udźwignąć ciężar heroicznej legendy swojej poprzedniczki. Musiała jednak spróbować. Bohaterska siostra nie żyła, a jej zadaniem było odkrycie, jak do tego doszło.

Stała na plaży, palcem u nogi kreśląc Unię na piasku. Całym sercem żałowała rannego delfina i poległej bohaterki, ale wzywała ją misja. Nagle pojawił się młody mężczyzna, spojrzał na nią i od pierwszego wejrzenia oboje zapalali do siebie głębokim uczuciem.

Zabrał ją do baru „Kon-Tiki”. Nie wiedziała, czy zanim wyruszy w samotną, pełną niebezpieczeństw podróż, może pozwolić sobie na miłość ten ostatni raz. Czy on nie zapomni? Na wyspie było wiele kobiet, a każda piękniejsza od niej. Ale to nie miało żadnego znaczenia, bo on pragnął tylko jej.

Długo tańczyli w barze, a potem on wziął ją za rękę i poprowadził z

dala od tłumu. Widziała, że to miłość. Pocałowali się, a potem zaczęli się kochać, nie mogąc się nadziwić, jak idealnie do siebie pasują. Zatracili się w sobie bez reszty. Porwała ich obezwładniająca rozkosz czystego seksu, której nie było końca. Próbowali każdej pozycji i nie było strachu, złości ani zagubienia, tylko ich nieskazitelna miłość i całkowite zrozumienie...

Nadszedł wreszcie czas rozstania. Czekają na nią zadanie. Zeszła na brzeg, tam gdzie wieśniacy zbudowali boks dla delfina. Wyciągnęła rękę, a delfin spojrzał na nią oczami przepełnionymi bezbrzeżnym smutkiem...

Budziła się powoli, słysząc własny głęboki szloch. Delfin przemienił się w kanciaste kontury stojącej pod przeciwległą ścianą komody, a fale przyboju rozlały się słonecznym blaskiem po grubych zasłonach z czerwonego jedwabiu. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, ale drogą eliminacji doszła w końcu do wniosku, że musi być w Paryżu, w hotelu Plaža Athenee, w którym zatrzymała się dwa dni temu wraz z Mimi. Jednak całym sercem była jeszcze w swoim śnie; pragnęła wrócić tam, gdzie miała cel w życiu i poczuć na nowo tę miłość... Opadła na puchowe poduszki, myśląc z frustracją, jak bardzo brakuje jej tych uczuć w prawdziwym życiu. Gdyby choć raz udało jej się je odnaleźć...

Budzik wskazywał dziesiątą rano; w tym momencie Janey przypomniała sobie, że był jeden człowiek, który mógł zaspokoić jej tęsknoty. Zizi. Dlaczego jej nie chciał? Nie знаła odpowiedzi. Przypomniała sobie koszmarne finał ich ostatniego spotkania i uderzyła ją straszna myśl: w przeszłości musiała popełnić jakiś błąd, który wypaczył całe jej życie. Wyobraziła sobie, jak wspina się na drzewo, które nagle wypuszcza

krzywą gałąź. Janey pięła się po niej i choć wiedziała, że to zła droga, brnęła dalej, mając nadzieję, że w końcu trafi z powrotem na właściwą ścieżkę. Żałowała, że nie udało jej się zapanować nad własnym życiem, że bała się podjąć ryzyko, aby zrealizować swoje plany i pragnienia. Gdyby wtedy starczyło jej odwagi, nie musiałaby siedzieć teraz w Paryżu, a jej mężem nie byłby mężczyzna, który jej nie kochał – a jeśli kochał, to nie taką miłością, jakiej chciała. Opadły ją upiorne wspomnienia tygodnia spędzonego na Mustique. Usłyszała rozmowę Seldena z matką tak wyraźnie, jakby stali tuż obok i naśmiewali się z niej:

„... ma zupełnie niepokładane życie. Do tego ta siostra w więzieniu...”

„Janey zawsze ma sto pomysłów na minutę...”

Janey zakryła uszy rękami. Chciało jej się wyc. Muszę wrócić na właściwą drogę, pomyślała rozpaczliwie. Zasługuję na szacunek i muszę go zdobyć. Wszystko mi się uda, niech tylko George wreszcie się zdecyduje!

Spojrzała ponownie na budzik. Dochodziło dziesięć po dziesiątej, czyli w Nowym Jorku była dopiero czwarta rano, zbyt wcześnie na telefon.

Przez dwa dni pobytu w Paryżu Janey trzykrotnie dzwoniła do George'a.

Za każdym razem jego sekretarka prosiła, żeby poczekać, a po chwili informowała, że pan Paxton ma teraz spotkanie i obiecał oddzwonić.

Dotąd nie oddzwonił. Janey zaczęła się obawiać, że rozmyślnie unika z nią rozmowy. Przyprawiało ją to o frustrację. Gdyby nie musiała siedzieć w Paryżu, mogłaby zaaranżować przypadkowe spotkanie w restauracji albo

choćby na ulicy. George miał pewne niezmiennie zwyczaje, które Janey rozpracowała niejako przy okazji: w środy jadał lunch w Dingo's, we czwartki w Patroon, a trzy razy w tygodniu punktualnie o wpół do szóstej po południu odwiedzał siłownię New York Athletic Club na Central Park South.

Zmusiła się do wyjścia z łóżka i chłodnej kąpieli pod prysznicem, aby odegnać znużenie spowodowane lotem przez Atlantyk, najgorzej odczuwalne drugiego i trzeciego dnia pobytu. Jej umysł musiał być jasny, jeśli miała przekonać George'a, że w kwestii ekranizacji może zrobić tylko jedno: podpisać kontrakt i czekać. Należało także dać mu do zrozumienia, że Janey nie można się pozbyć, wysyłając ją do Paryża...

Orzeźwił ją chłodny strumień wody. Wytarła się grubym ręcznikiem, rozważając obiektywnie „sprawę George'a". Gdzie tkwił błąd?

Wtajemniczyła go w swoje plany na początku stycznia i do tej pory rozgrywała partię po mistrzowsku; kusila, ale powstrzymywała się przed pójściem na całość. Jej nieustające, choć subtelne, podszepty odniosły wreszcie oczekiwany skutek: George zaakceptował Janey jako producenta ekranizacji książki Craiga, a nawet uznał zalety takiego układu. Jego prawnicy spisali kontrakty i starannie je zredagowali. Dopiero wtedy, pewna własnego powabu i przekonana o tym, że seks ostatecznie przypieczętuje umowę, Janey „uległa" George'owi podczas jednego ze spotkań w jego biurze.

Janey zakładała, że tak właśnie się to skończy, odkąd tylko pomyślała o wykorzystaniu George'a do tego projektu. To była jej decyzja,



wyrachowana i podjęta na zimno: sukces liczy się bardziej niż cnota, która i tak sama w sobie jest błędnym pojęciem. Na dodatek George jej się podobał: był przystojny i wesoły. Janey czasem nawet snuła fantazje na temat, jak by się czuła jako jego żona. Jednak kiedy już było po wszystkim, a George zapinał spodnie, nagle nabrała podejrzeń, że coś się zmieniło. Pocałował ją wprawdzie serdecznie w policzek, ale to, co potem powiedział, napełniło ją niepokojem.

– Dziękuję – zabrzmiało to tak, jakby chwalił kelnera za smaczny obiad. – Było mi bardzo miło.

– Miło? – zdziwiła się, lekko urażona taką oceną. Miał zapamiętać na całe życie, jak Janey Wilcox umie robić laskę, więc dołożyła wszelkich starań, łącznie z drażnieniem prostaty palcem wskazującym przez odbyt.

– Niech będzie – poprawił się, widząc jej rozczarowanie. – Dobra robota. Wystarczy?

A potem odprowadził ją do drzwi, poświęcając jej tyle uwagi co pierwszemu lepszemu księgowemu. Przez chwilę opadły ją potworne wyrzuty sumienia z powodu Mimi...

– A kontrakty? – zapytała swobodnym tonem, udając, że nic nie zaszło.

– Ach, kontrakty. – Przewrócił oczami. – Porozmawiamy o nich jutro. – Otworzył drzwi, więc chcąc nie chcąc, musiała wyjść. – Miłego dnia! – zawołał w ślad za nią.

O kontraktach nie porozmawiali jednak ani następnego dnia, ani dwa dni później. George odbierał telefony Janey, owszem, ale kiedy próbowała poruszyć ten temat, szybko ją zagadywał, a po chwili, jak na zawołanie,

przerywała im jego sekretarka, informując, że na drugiej linii czeka ważny interesant. Tymczasem nadszedł dzień wyjazdu do Paryża, a George nadal nie podpisał kontraktów i nie powiedział nawet, kiedy planuje to zrobić. A Craig dzwonił codziennie...

Kontrakt zakładał trzysta tysięcy dolarów dla Craiga za napisanie scenariusza i kolejne siedemset pierwszego dnia realizacji. Janey miała otrzymać sto tysięcy z góry i dodatkowe czterysta w dniu zakończenia zdjęć. Na napisanie scenariusza i sprzedanie go studiu filmowemu przewidziano osiemnaście miesięcy. Oczywiście George także figurował jako producent (choć jego wkład ograniczał się tylko do wyłożenia pieniędzy) i miał otrzymać największy udział w zyskach. To niesprawiedliwe, pomyślała Janey, rzucając mokry ręcznik na podłogę i otulając się szlafrokiem frotte; cała praca, jaką miał wykonać George, sprowadziła się do wypisania czeku na czterysta tysięcy dolarów. W dodatku dla niego była to śmieszna suma – Mimi prawdopodobnie wyda więcej na te swoje kreacje od Diora...

A na domiar wszystkiego wysłali ją do Paryża, gdzie od George'a dzieliły ją tysiące kilometrów. Janey nie miała wątpliwości, że gdyby tylko mogła się z nim zobaczyć, z łatwością doprowadziłaby do podjęcia decyzji. Źle się stało, co prawda, że wyłożyła na stół ostatnią kartę; męczyło ją teraz dokuczliwe przecucie, że gra jest już skończona. Przed oczami, niby scena z kiepskiego filmu, stanął jej finał ostatniego spotkania z George'em. Wzburzona, rzuciła się na łóżko, bijąc pięścią w poduszkę. Szybko jednak odpędziła czarne myśli. Wymazała z pamięci te fatalne

dziesięć minut, zabraniając sobie kiedykolwiek o nich wspominać. Jeśli to się uda, będzie tak, jak gdyby nic nie zaszło i w końcu wszystko powróci do normy. Tymczasem należało skoncentrować się na projekcie i doprowadzić do podpisania kontraktów. Byle tylko to załatwić, a już będzie dobrze.

Janey rozejrzała się po pokoju. Bogato urządzone apartament, który w pierwszej chwili zachwycił ją swoim osiemnastowiecznym wystrojem, teraz wydał jej się ciasny i duszny. Poczwała, że potrzebuje świeżego powietrza, które oczyści jej myśli i pomoże lepiej ogarnąć sytuację. Uczesła się i przypudrowała twarz. Włożyła luźne spodnie od Versacego, a do tego jedwabną zawiązywaną bluzkę. Na ramiona narzuciła płaszcz i sięgnęła po torebkę. Była gotowa do konfrontacji ze znieawidzonym miastem.

– *Pardonnez moi* – zagadnęła recepcjonistę, przystojnego, łysiejącego Francuza. – *Est qu'il y a un message pour moi?* – zapytała łamaną francuszczyzną z wyraźnym amerykańskim akcentem; przechodząc przez holi postanowiła sprawdzić, czy czekają na nią jakieś wiadomości, bo przecież całkiem możliwe, że George dzwonił w nocy i nie chciał jej budzić.

– *Oui, madame* – padła natychmiastowa odpowiedź (jak to się dzieje, pomyślała Janey, że we Francji łysawy facet może być elegancki, a w Ameryce zawsze wygląda jak Bruce Willis?). – Jest wiadomość dla pani. Janey kamień spadł z serca. Jednak wszystko szło dobrym torem.

Niecierpliwie rozerwała kopertę, która, jak się okazało, zawierała jedynie

kilka słów od Mimi: „Spotkajmy się u Diora o pierwszej”.

Zaskoczony recepcjonista, widząc rozczarowanie i złość malujące się na twarzy Janey, zapytał:

– Czy wszystko w porządku, madame?

Już miała na końcu języka gniewny okrzyk: „Nie!”, ale powstrzymała się w porę. Nie mogła pozwolić, żeby strach nad nią zapanował; jeżeli George to wyczuje, będzie zwlekać z podpisaniem kontraktów...

– *C'est d'accord.* – Uśmiechnęła się do recepcjonisty. Wytłumaczyła sobie tę sytuację inaczej: George, twardy biznesmen, chce ją po prostu sprawdzić. I przekona się, że Janey Wilcox także potrafi być twarda...

Do spotkania z Mimi pozostało jeszcze półtorej godziny. Janey postanowiła wpaść do znanego sklepu z kosmetykami i kupić kilka sztuk swojej ulubionej szminki Pussy Pink. Przed wejściem do hotelu stał rząd taksówek. Skinęła na jedną z nich, decydując się nie dzwonić do George'a ani dziś, ani jutro, ani nawet pojutrze. Na pewno zaniepokoi go jej milczenie, tym bardziej że przecież wyjechała do Paryża z jego żoną...

Poleciała taksówkarzowi zawieźć się na bulwar Saint Germain na lewym brzegu Sekwany. Miasto nie zmieniło się nic a nic, odkąd je opuściła. Na bulwarze biegnącym obok ogrodów Tuileries, wiodącym spod hotelu Crillon na drugi brzeg rzeki, wciąż panował ten sam wariacki tłok. Nawet urocze staroświeckie sklepiki na Saint Germain wyglądały identycznie jak piętnaście lat temu. Janey dostrzegła ten, którego szukała, i na jej znak kierowca się zatrzymał.

Otwarcie drzwi towarzyszył dźwięk dzwoneczków. Janey weszła do

środku. Było tu bardzo ciasno. Większość miejsca zajmowała długa lada, biegnąca w poprzek pomieszczenia. W sklepach takich jak ten klient musi wiedzieć, czego szuka. Janey podeszła do młodej sprzedawczynie stojącej za ladą.

– *Vous avez la rouges a leures, Pussy Pink?* – zapytała.

Dziewczyna skinęła głową i wyszła na zaplecze.

Janey pomyślała cierpko, że skorzysta na tym wyjeździe przynajmniej

tyle, że uzupełni zapas ulubionej szminki. Czekąło ją jednak

rozczarowanie. Sprzedawczynie wróciła po chwili, kręcąc głową.

– Bardzo mi przykro, madame, ale nie ma już Pussy Pink.

– Nie ma... ? – Janey nie mogła znaleźć słów.

– Nie, madame...

– A kiedy... kiedy przyjdzie dostawa? – Janey przypomniała sobie, że

jest w Paryżu i dodała: – *Encore... ?*

– *Finis.* – Sprzedawczynie wzruszyła ramionami, jakby ta rozmowa już ją znudziła.

– Co *finis*? – nie zrozumiała Janey.

– Cała linia. Przestali produkować. Nie ma więcej.

– Ale w Barneys jeszcze ją mają – powiedziała Janey, jakby tym

argumentem chciała udowodnić, że dziewczyna kłamie.

– *Oui*, zostały im może dwie albo trzy sztuki – zgodziła się dziewczyna,

znów wzruszając lekceważąco ramionami. – Ale potem to już koniec.

– To znaczy...

– Zgadza się – powiedziała sprzedawczynie. – Ten kolor jest... Jak to się

mówi? Zadowolony?

Janey opuściła sklep przygnębiona. Od przyjazdu do Paryża piętnaście lat temu nie używała innej szminki niż Pussy Pink... To Estella, koleżanka, z którą dzieliła mieszkanie, poradziła jej, żeby zawsze malowała usta jednym kolorem. Dzięki temu, jak mówiła, fotografowie łatwiej zapamiętują dziewczyny. I to faktycznie pomagało, choć nie zawsze zgodnie z intencjami Janey...

A teraz... Wprost nie mogła w to uwierzyć. Stała na ulicy, kompletnie zagubiona. Odgryzła koniuszek paznokcia i wypluła go na trotuar. Koniec linii Pussy Pink oznaczał śmierć jakiejś części osobowości Janey Wilcox. Trudno będzie zapełnić tę wyrwę. Niewątpliwie był to jakiś znak, ale co takiego miało się pod nim kryć? Pograżona w myślach Janey skręciła bezwiednie w boczną uliczkę. Nogi same zniosły ją pod dobrze znane drewniane drzwi.

No tak, pomyślała. Ta sama czerwona, nierzucająca się w oczy tabliczka na ścianie, te same złote litery układające się w napis: ZOLLO MODELS, ta sama mosiężna klamka i ciężkie drzwi z drewna orzechowego. Janey wiedziała, że za nimi jest mały dziedziniec, na jego przeciwległym krańcu znajdują się wydeptane schodki prowadzące do Międzynarodowej Agencji Modelek Zollo. Na zawsze zapamiętała dzień, kiedy po raz pierwszy otworzyła czerwone drzwi u szczytu tych schodów. Był rok 1985, a ona miała wtedy osiemnaście lat.

– Dlaczego Nowy Jork ciągle przysyła mi ładne dziewczęta? – zawołał na jej widok Jacques Zollo, jeden z właścicieli agencji.

Janey nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc wręczyła mu swoje portfolio.

– Wysoka i szczupła, *oui*. – Kiwnął głową, przerzucając błyskawicznie luźne kartki. – Ale twarz – nie. Cała zła. Za dużo amerykańska. Dwa lata temu, popatrz. – Wskazał galerię oprawionych w ramy okładek różnych magazynów, zajmującą całą ścianę. Na okładkach widniały zdjęcia niebieskookich blondynek. – Wtedy wszyscy na to lecieli. A teraz? – Wzruszył ramionami.

– Proszę. – Janey poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Była w rozpaczliwym położeniu. Właśnie przyjechała do Paryża z Mediolanu, gdzie przez cztery miesiące bez większego powodzenia usiłowała znaleźć pracę jako modelka. Agencja w Nowym Jorku zdecydowała się wysłać ją do Francji w nadziei, że tam powiedzie się jej lepiej. Janey nie znała ani słowa po francusku, a każda minuta spędzona w Paryżu była męką: w sklepie nie mogła kupić jedzenia bo zawsze znajdowało się za szklm i wszystko trzeba było zamawiać osobno; nie wiedziała, jak w aptece poprosić o pastę do zębów; nie znała się na walucie, choć pieniędzy akurat jej nie zbywało. Była zmęczona, załamana i głodna. Gdyby nie znalazła pracy w Paryżu, czekał ją powrót do domu, gdzie matka powitałaby ją szyderczym: „A nie mówiłam.. ? Wiedziałam, że nie zrobisz kariery!”. – Proszę – powtórzyła szeptem. – Wezmę wszystko...

Jacques Zollo, przystojny trzydziestolatek – Janey wydał się nawet odrobinę zbyt przystojny – obrzucił ją zagadkowym spojrzeniem.

– Bieliznę też? – zapytał.

– Bieliznę? – Janey się spłoszyła. Była to jedyna kategoria, przed którą ostrzegano ją w Nowym Jorku, w macierzystej agencji. Nie wahała się jednak długo. Załamana i przybita, spojrzała na Jacques'a Zollo i wzruszyła ramionami, udając, że wcale się nie boi.

– Jasne – powiedziała swobodnie. – Czemu nie.

Ale to go jeszcze nie przekonało.

– Nie robiłaś sobie... – Przyłożył dłonie do klatki piersiowej.

– Powiększenia biustu? – zapytała Janey. – Nie. Do głowy by mi to nie przyszło...

– To dobrze – ucieszył się. – W Ameryce lubią duży biust, ale Francuzi chcą patrzeć na kobiety, a nie na krowy...

– Bez obaw – uspokoiła go. – Nie zrobiłabym sobie czegoś takiego.

Nigdy.

Janey oderwała wzrok od drewnianych drzwi i spojrzała w dół ulicy.

Skłamała wtedy Jacques'owi, bo w końcu powiększyła biust. Nie było jednak czemu się dziwić; rzadko kiedy dotrzymywała słowa danego samej sobie. Zresztą wkrótce po nawiązaniu współpracy z agencją Zollo zaczęła robić rzeczy, o których nigdy nawet nie śniła...

Skarciła się w myślach za wspomnianie tamtych czasów, zwłaszcza w takim momencie. Skierowała kroki do Dzielnicy Łacińskiej, żeby zająć oczy i umysł zwiedzaniem małych galerii, których jest tam pod dostatkiem. Ale jej umysł, jak się okazało, miał coś na kształt własnej woli: kiedy jedna kropla przelała się przez tamę wspomnień, natychmiast podążyły za nią inne, grożąc potopem...



Przed oczami stanęły jej targi modelek, na które przyjeżdżało po pięćset dziewczyn z całego świata, rozpaczliwie szukających pracy...

Przypomniała sobie wysoko postawionych facetów ze świata mody; każdy z nich zawsze miał jakiegoś „krewniaka” albo „kumpla”, który wymyślił sobie randkę z modelką... Zobaczyła twarze agentów, gotowych obcinać pensje krnąbrnym dziewczynom, kiedy nie chciały im iść na rękę. Ten biznes ma to do siebie, że stwarza nieustanne zagrożenie dla cnoty.

Najlepiej wiodło się tym, które miały taki *look*, jaki w danej chwili był na fali; powstawał wokół nich szum, a potem dawały się poderwać jakiemuś fotografowi, dzięki czemu miały zapewnioną pracę, a do tego protekcję podejrzanych typów, którzy kręcili się wszędzie. Te dziewczyny mogły mówić o szczęściu – po roku lub dwóch wracały do Nowego Jorku, a niektóre zostawały supermodelkami...

Były też inne dziewczyny, te, o których słuch szybko ginął; te, które podcinały sobie żyły lub trafiały do szpitala po przedawkowaniu prochów.

Opowieści o takich wypadkach krążyły szeroko w światku modelek, agentów i fotografów, ale każdą z nich szybko wyciszano, a wkrótce z Nowego Jorku przychodziła przesyłka dla takiej dziewczyny, zawierająca bilet pierwszej klasy do jej rodzinnej, zabitej dechami miejsciny.

Do jednego z takich incydentów, skandalu z udziałem niejakiej Donny Black, doszło już w drugim tygodniu pobytu Janey w Paryżu. Wieści dotarły do niej podczas sesji zdjęciowej bielizny firmy LaBaby, odbywającej się w studiu w Le Marais. Było to jej pierwsze zlecenie z prawdziwego zdarzenia, a materiał miał być wykorzystany w kampanii

reklamowej, co oznaczało, że Janey zarobi nareszcie jakieś konkretne pieniądze. Pomysł na reklamę był taki, że zdjęcia miały przedstawiać dwie czule obejmujące się dziewczyny, uchwycone jakby na chwilę przedtem, zanim zdejmą swoją (drogą) bieliznę LaBaby i zaczną się kochać ze sobą. Partnerka Janey w tej sesji miała na imię Estella. Zupełnie przypadkowo wynajmowała mieszkanie razem z Donną Black.

Donna i Estella pochodziły z Indiany, lecz na tym podobieństwa się kończyły; ojciec Donny był lekarzem, natomiast ojciec Estelli pokątnie handlował narkotykami, a jej matka podobno była kelnerką. Jednak Estella mówiła o tym zawsze ze znaczącym błyskiem w oku, dlatego Janey doszła w końcu do wniosku, że „kelnerka” znaczy w tym wypadku „kurewka”.

Estella była typowym przykładem dziewczyny, która nie ma nic do stracenia. Zawód modelki pozwolił jej w krótkim czasie zrobić karierę, o jakiej w rodzinnej Indianie mogłaby tylko marzyć, zatem wszystko traktowała jak prezent od życia. Była wyszczekana i miała poczucie humoru; poznawszy ją, matka Janey na pewno powiedziałaaby, że jej córka wpadła w złe towarzystwo. Tego dnia Estella nabijała się w studiu z fotografa, który znał angielski piąte przez dziesiąte. Małpowała jego gesty, za pomocą których starał się wyjaśnić modelkom, co mają robić, a potem zapytała klienta, ile zapłaciłby im obu za jeden numerek. Gość nie speszył się wcale i odpowiedział, że „płacić kobiecie za seks to rzecz piękna”.

Estella i Janey dostały czkawki ze śmiechu i powtarzały ten tekst do znudzenia przez całe popołudnie, szokując fotografa i cały zespół.

Pod koniec dnia do Estelli zadzwonił Jacques Zollo. Kiedy wróciła na

plan, była wstrząśnięta.

– Donna Black sprzedała kosę Antoine'owi DuBourgeyowi – oznajmiła prosto z mostu.

Antoine DuBourgey był dyrektorem firmy kosmetycznej. Jak się okazało, Donna miała z nim romans i przyłapała go w łóżku z inną modelką. Taka afera nie była w Paryżu niczym niezwykłym, niemniej z studiu zapanował chaos i zdjęcia trzeba było przełożyć na następny dzień; plotka tak pikantna wybiła całą ekipę z rytmu pracy.

Obie modelki wyszły, zabrawszy swoje rzeczy. Na schodach Janey, widząc drżące ramiona Estelli, pomyślała, że to od płaczu. Na ulicy spostrzegła jednak, że myliła się, i to grubo: Estella zanosila się śmiechem.

– Zawsze wiedziałam, że Donnie w końcu kiedyś odwali – parsknęła, łapiąc Janey za rękę. – Wiesz, że ona nie wyrzucała pustych słoików, zupełnie jakby chciała robić przetwory?

Janey była przerażona, ale w ciągu tych kilku miesięcy spędzonych w Europie zdążyła się już nauczyć, że jej instynktowne reakcje często są źle odbierane bądź uznawane za oznakę ciasnych poglądów. Zamiast ujawnić to, co czuła, zastosowała sztuczkę, którą niedawno opanowała: przyjrzała się Estelli i wiernie powtórzyła jej zachowanie. Obie wybuchnęły zgodnym śmiechem, a Janey pomyślała, że Antoine jak mało kto zasłużył sobie na taki los.

– Myślisz, że on... nie żyje? – zapytała.

– Wątpię – odpowiedziała Estella z taką pewnością w głosie, jakby miała doświadczenie w tych sprawach. – Nie tak łatwo zabić kogoś

nożem. Trzeba podciąć gardło albo dźgnąć kilkanaście razy. – Przerwała na chwilę i odgarnęła włosy. – Donna nie miałaby na to siły – dodała. – W ogóle nie ćwiczyła. Między innymi dlatego Jacques planował ją odesłać. Spojrzały na siebie i znów się roześmiały. Prawda była taka, że modelki nie uprawiają żadnych ćwiczeń, a sylwetkę utrzymują dzięki diecie złożonej z szampana i papierosów.

– Ale teraz mam problem – ciągnęła dalej Estella. – Muszę znaleźć współlokatorkę. Donna nigdy nie pracowała, ale przynajmniej jej stary płacił za nią czynsz.

I wtedy Janey, oszołomiona faktem, że jest na ty z takimi osobistościami i rozumie ich pełen splendoru, dekadencji styl życia, zaproponowała Estelli, że chętnie z nią zamieszka.

Estella zajmowała przestronny i wysoki apartament na lewym brzegu Sekwany, w kamienicy, do której wchodziło się przez podwórze.

Amfiladowy układ wnętrza wydał się Janey pozbawiony sensu – pierwszy raz widziała pokoje, czyli *chambres*, leżące na jednej osi – ale w porównaniu z jej dotychczasowym mieszkaniem był to i tak wielki postęp.

Apartament Estelli oficjalnie wynajmowała inna modelka, która mieszkała w Paryżu przed pięcioma laty, ale zdążyła już wrócić do Nowego Jorku, gdzie pracowała obecnie jako „twarz” dużej firmy kosmetycznej. Stały w nim drogie francuskie antyki, tak przynajmniej zdawało się Janey; w rzeczywistości były to mebelki, jakie w Paryżu można dostać na każdym pchlim targu. Największe wrażenie zrobił na niej jednak mały pokój przylegający do sypialni Estelli. Ten *chambre* przypominał skarbiec

współczesnego pirata, czy raczej piratki, pełen butów, torebek, walizek od Louisa Vuittona, kurtek, sukienek, sweterków i biżuterii – każda rzecz była markowa i wyraźnie za droga, jak na skromne zarobki modelki. Janey chłonęła te bogactwa szeroko otwartymi oczami. Czowała wręcz namacalnie, jak poszerzają się jej horyzonty, jak jej zastały świat wypełnia powiew świeżego powietrza. Skromne, surowe wychowanie, które odebrała, uczyło w zbytku widzieć grzech. Wystarczyło jej jednak rzucić okiem na łąpy zgromadzone przez Estellę, aby wszystkie wartości wyniesione z dzieciństwa roztrzaskały się na kawałki niczym stłuczone lustro. Nagle zrozumiała, że sięgnęła wzrokiem na jego drugą stronę.

– Możesz pożyczać, co tylko zechcesz – rzuciła Estella, widząc osłupienie malujące się na twarzy Janey. – Tylko najpierw mnie spytaj, dobrze? Nie znoszę, jak ktoś bierze bez pytania...

– Ale skąd ty to... ?

– Mój facet mi kupuje. – Estella wzruszyła ramionami. – Obsypuje mnie prezentami.

Janey nie mogła wyjść ze zdumienia. Francuzi to znani dusigrosze, dlatego są tacy wylewni; wydaje im się, że słowami nadrobią to, na co żal im franków.

– Arab – wyjaśniła Estella, gładząc palcem zamszową torebkę Chanel, obowiązkowy gadżet tego sezonu, warty, jak Janey dobrze wiedziała, nawet dwa tysiące dolarów. – Są dziewczyny, które nie lubią Arabów.

Boją się ich olbrzymich fortun. Ale Arab zabierze cię w podróż i zawsze kupi, co zechcesz. Sajed ma własny jacht. W tym roku płyniemy w lecie

na południe Francji. Wszyscy tam będą. Wiesz, o co chodzi – roześmiała się na widok konsternacji koleżanki – Saint-Tropez, Cap d'Antibes, Monaco... Sajed obiecał, że przedstawi mnie księciu Albertowi...

Janey wiedziała, że Estella lubi zadzierać nosa, ale pomimo to nonszalancki ton jej słów sprawił, że oniemiała z wrażenia. Świat, o którym była mowa, nie istniał dla niej do tej pory, ale teraz zobaczyła go całkiem wyraźnie. Był prawie na wyciągnięcie ręki, jaśniejący jak pyszna brylantowa bransoleta.

– Arabowie mają to do siebie – wspomniała mimochodem Estella – że lubią, kiedy otacza ich mrowie pięknych kobiet. Może namówię Sajeda, żeby zaprosił cię na swój jacht. A jeśli nie on, to na pewno ktoś inny zechce...

W głowie Janey zawyła syrena alarmowa, którą pospiesznie wyłączyła.

– Zobaczymy – rzuciła, stwarzając pozory tajemniczości, udając, że może mieć lepsze propozycje na to lato...

Ale kiedy poszła do swojego pokoju, żeby się rozpakować, i spojrzała na dwie niebieściutkie walizki firmy Samsonite, które dostała od matki na wyjazd (w rodzinie mówiło się, że to był hojny prezent), zrozumiała, dlaczego wstydzi się samej siebie: była obdartą amerykańską prostytutką, a na domiar wszystkiego dziewczyny, które poznała, na starcie miały o wiele mniej, a szybko zawędrowały o wiele wyżej niż ona. Z zamyślenia wyrwało ją wejście Estelli, wystrojonej w dżinsy i kolorową kurtkę od Chanel, z torebką tej samej firmy przerzuconą niedbale przez ramię. Dokładnie tak w pojęciu Janey wyglądała młoda, modna kobieta.

– Idę *popain*. – Estella złożyła usta w ciup, wymawiając francuskie

słowo oznaczające chleb. – Kupić ci coś? Papierosy?

– Nie palę. – Janey pokręciła głową.

– Nie? – Estella aż roześmiała się ze zdziwienia. – To musisz zacząć.

W Paryżu wszyscy palą. – Wyszła miękkiem krokiem z mieszkania,

gwiżdżąc modny przebój francuskich dyskotek.

Janey w milczeniu powróciła do swoich walizek, ale kiedy tylko za

Estellą trzasnęły ciężkie drzwi, wślizgnęła się z powrotem do jej komnaty

skarbów. Nie pomogło powtarzanie sobie, że jest dziewczyną z dobrej

rodziny, której od dzieciństwa wpajano, żeby nie zazdrościła innym. Teraz

zaczęła zastanawiać się, czym właściwie są te zasady. Czy przypadkiem

nie wymyślili ich ludzie, którym się nie powiodło, po to, aby nie żałować

zmarnowanego życia? Janey z całą świadomością czuła w tym momencie

wszelkie możliwe rodzaje zazdrości i wiedziała już, co chce osiągnąć. Czy

to była jej wina, że nauczono ją oczekiwać od życia co najwyżej jakiejś

tam posady i pierwszego lepszego faceta za męża, a do tego nie wiadomo

jak licznej gromadki dzieci? Jak w takiej wegetacji można dopatrzeć się

głębszego sensu?

Przesunęła ręką po chłodnym, gładkim jedwabiu przepięknej sukienki.

To jest prawdziwy świat, pomyślała. Wiele razy ostrzegano ją przed

nadmiernym pożądaniem rzeczy materialnych. Na próżno; dla niej

zdobywanie tych rzeczy było osiągnięciem. Wiedziała, że są na świecie

wybrańcy, których Bóg czy może los, obsypuje bogactwami; oni sami nie

muszą się o nic starać. Błąkając się po pokoju w oszołomieniu bliskim

narkotykowemu, Janey zauważyła długi zakiet w prążki, z kołnierzem obszytym złocistym futrem. Zdjęła go z wieszaka. Futerko było cudownie miękkie; Janey jeszcze nigdy nie miała w ręku czegoś podobnego. Stała przed lustrem, zarzuciła zakiet na swój T-shirt i postawiła kołnierz. Futro muskało jej policzki. Nie wyglądała już jak ładna amerykańska studentka na zagranicznym stypendium. Z lustra spoglądała młoda kobieta o olśniewającej urodzie, dla której nie ma na tym świecie rzeczy niemożliwych. Czy coś mogło ją powstrzymać przed poślubieniem księcia Alberta i zostaniem prawdziwą księżną?

Przyjrzała się sobie ze wszystkich stron, zakochując się bez reszty we własnym odbiciu. Tak, pomyślała, pragnę mieć. Po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że spełnienie marzeń jest na wyciągnięcie ręki. Będzie mieć to, czego pragnie. I to już bardzo niedługo.

## **Rozdział 14**

Janey rozejrzała się wokół wystraszona. Zamyśliła się tak głęboko, że nawet nie zauważyła, jak przeszła mostem z powrotem na prawy brzeg Sekwany. Znajdowała się teraz niebezpiecznie blisko placu Vendome. Zatrzymała się, ale po chwili nogi poniosły ją same. Weszła na plac, przyciągana nieubłaganie, jak ćma do płomienia świecy. »

Przed sobą miała elegancką, a jednocześnie oszałamiającą przepychem fasadę hotelu Ritz, gdzie wszystko się zaczęło. To tutaj po raz pierwszy skręciła na niewłaściwą ścieżkę. Piętnaście lat temu stała dokładnie w tym samym miejscu, przyglądając się temu samemu budynkowi, i musiała podjąć decyzję, która miała nieodwołalnie określić jej los.



Nie dramatyzuj, usłyszała wewnętrzny głos, byłaś wtedy bardzo młoda.

Nie mogłaś tego przewidzieć. A co z innymi ludźmi, którzy nawet w młodym wieku potrafili ustrzec się przed tego rodzaju wypadkami, zapytał inny głos. Janey położyła wreszcie kres tej wewnętrznej dyskusji. Przecież to tylko epizod z jej życia. To prawda, że dał początek innym wydarzeniom, ale one także przeminęły i można było o nich zapomnieć.

Trzeba było tylko odrobinę się postarać i zawsze się to udawało. Czy jednak można naprawdę powiedzieć, że zapomniało się o przeszłości, skoro po dziś dzień co chwila robi się rzeczy, które potem trzeba wyrzucać z pamięci? A jeśli ktoś nigdy nie może pogodzić się ze swoją przeszłością, to w jaki sposób ma ułożyć sobie przyszłość?

Plac był dziwnie pusty jak na środowe popołudnie. Dostrzegłszy wolną ławkę, Janey podeszła do niej i ulżyła nogom. Ukryła twarz w dłoniach.

Przed oczami miała wspomnienie tego odległego dnia, kiedy Estella w końcu wróciła z wyprawy do sklepu po pain. Zabrało jej to trzy dni. Janey, która spędziła je samotnie w mieszkaniu, poczuła taką ulgę na widok koleżanki, że nie zauważyła nawet jej rozszerzonych źrenic i drżących rąk.

Nie zwróciła też uwagi na to, że Estella pali jednego papierosa za drugim i nie potrafi przytomnie odpowiedzieć na żadne pytanie. Znudzona w końcu przesłuchaniem Estella uciekła do kuchni, oznajmiając, że musi się napić.

Tak się spieszyła z otwieraniem wina, że złamała korek. Janey wyjęła jej butelkę z rąk i nożem wepchnęła resztkę korka do środka.

– Martwiłam się o ciebie – wyjaśniła przeproszającym tonem. – Bałam się, że zginęłaś albo miałaś wypadek. Myślałam też, że może to coś z

Donną...

– Donna już nie wróci. Nie pozwolą jej pokazać się w Paryżu. – Estella pociągnęła łyk prosto z butelki. – I krzyżyk jej na drogę. Pieprzona, nudna krowa...

– To gdzie ty byłaś?

– Spotkałam Sajeda i urządziliśmy sobie party.

– Trzydniowe?

– Kiedyś balowaliśmy przez cały tydzień. Teraz też to jeszcze nie koniec. Przyszłam po ciebie. W mieście jest wuj Sajeda i też chce się zabawić. Co ty na to?

– Czy oni mówią po angielsku? – Janey poszłaby wszędzie, gdzie ludzie mówili jej własnym językiem. Estella się zaśmiała:

– No jasne, kretynko. Wszyscy pokończyli Cambridge albo jakieś takie...

Janey poszła więc się przebrać. Kiedy wyszła z pokoju, Estella pokręciła głową z dezaprobatą.

– Źle, wszystko źle. Raszid lubi kobiety, które wyglądają jak damy.

Zabrała Janey do swojego pokoju, wybrała sukienkę z drukowanym wzorem i przyłożyła jej do ramion.

– Raszid i jak dalej? – zapytała Janey.

– Raszid al... – Estella dokończyła arabskie nazwisko. Janey zaparło dech w piersiach. Słyszała o tym człowieku i nie wiedziała teraz, czy ma się cieszyć, czy bać. – No, wiesz – ciągnęła Estella – to ten z czołówki najbogatszych ludzi na świecie...

Janey spodziewała się, że przyjęcie odbędzie się w prywatnym domu albo mieszkaniu, ale Estella poleciła taksówkarzowi jechać na plac Vendome. Wsiadły przed Ritzem. Janey nie mogła się napatrzeć na ogromną fasadę koloru musztardowego. Wydała jej się szczytem elegancji. Mimo to w jej głowie znów zabrzmiał sygnał alarmowy.

– Hotel? – zdziwiła się.

– On tutaj mieszka, głupia – powiedziała Estella, płacąc taksówkarzowi. – Stać go na kupno każdego domu w Paryżu, ale w hotelu mu wygodniej. Wszyscy bogaci ludzie tak mieszkają.

Stały na brukowanym chodniku przed wejściem do hotelu. Estella złapała Janey za ramię i patrząc jej prosto w oczy, powiedziała:

– Teraz mnie posłuchaj.

– Słucham – odparła Janey.

– Jesteś moją przyjaciółką, więc chcę, żebyś wiedziała, jakie tutaj są zasady. Jeśli Raszid zaciągnie cię do sypialni... cóż, w łóżku możesz leżeć jak kłoda. Ale jeśli nie będziesz zimną flądą, dostajesz dwa tysiące dolców albo coś z biżuterii.

Janey spojrzała w okna rzęście oświetlonego, tętniącego życiem hotelu. Była wstrząśnięta. Więc to tak, pomyślała. Po chwili jednak przestała się dziwić; ten hotel miał za wysokie progi dla kogoś takiego jak ona czy Estella. Jedynym słusznym wyjściem było podziękować i wrócić do domu.

Ale do domu było daleko, a ona nie miała na taksówkę i do tego była na obcasach. Poza tym w domu czekał ją tylko kolejny samotny wieczór.

Nagle stanęła jej przed oczami wizja jej własnej, dramatycznie szybko upływającej młodości jako ciągu długich, samotnych, bezsensownych wieczorów. Miną tygodnie, po nich miesiące, a ona wciąż nie posunie się w życiu nawet o krok do przodu. Odwróciła się do Estelli i starając się trzymać fason, powiedziała krótko:

– Może być.

Estella roześmiała się i wzięwszy Janey pod ramię, wprowadziła ją do holu hotelowego, obdarzając odzwiernych łaskawym uśmiechem, jakby była tutaj u siebie. Obie dziewczyny wyglądały jak zupełnie dorosłe kobiety; ich wysokie obcasy stukotały na marmurowej posadzce. W windzie było lustro. Estella przejrzała się w nim, a potem odwróciła się do Janey i przypomniała jej, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz w świecie:

– Pamiętaj: dwa tysiące albo jakiś klejnocik. Moim zdaniem lepiej brać gotówkę. Do kupowania biżuterii i ciuchów zawsze możesz sobie znaleźć faceta, a jak masz trochę gotówki, to nie musisz prosić go o pieniądze, więc nie pomyśli o tobie, że jesteś...

– Rozumiem – przerwała jej Janey. Rzuciła okiem w lustro, pamiętając, że dotąd nic się nie stało. Jeszcze nie dała się uwieść Raszidowi.

Postanowiła najpierw mu się przyjrzeć; w razie gdyby się jej nie spodobał, przeprosi i wyjdzie...

Drzwi windy się otworzyły. Długi korytarz o ścianach koloru kremowego i z czerwonym dywanem na podłodze prowadził do przedpokoju. Janey i Estella przystanęły przed dużymi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Estella pociągnęła za dzwonek. Nie upłynęła nawet sekunda,

kiedy w drzwiach stanął niewysoki i niepozorny człowiek odziany w dżellabę. Skłonił się lekko; nie był zaskoczony ich przybyciem, ale też nie wyglądał, jakby oczekiwał gości.

– Zastałyśmy Raszida? – śmiało zapytała Estella.

– Pan Raszid kończy właśnie spotkanie w interesach. Proszę spocząć tutaj.

Zaprowadził je do głównego salonu w apartamencie. Janey jeszcze nigdy w życiu nie oglądała takiego przepychu. Pokój wypełniały zabytkowe krzesła i kanapy, poustawiane w niewielkich grupach. Wielka przestrzeń sprawiała jednak przykre, przygnębiające wrażenie. Nie było tam nikogo oprócz nich. Janey, zdjeta nagłym strachem, zwróciła się do Estelli:

– A gdzie impreza?

– Spokojnie – uspokoiła ją koleżanka. – Jeszcze się doczekasz.

Rozsiadła się na obitej różowym jedwabiem kanapie, obserwując służącego. Kiedy skłoniwszy się, zostawił je same, Estella chwyciła Janey za rękę i nachyliła się do jej ucha.

– Chodź! – poleciła scenicznym szeptem.

– Ale nie wypada...

– Raszid wie, że ja zawsze robię to, na co mam ochotę – oświadczyła dumnie Estella, ciągnąc Janey do mniejszego pomieszczenia, sądząc z wystroju, biblioteki. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się bar z trunkami.

Estella zaczęła szperać po półkach nad barem. W końcu odwróciła się ze zwycięską miną, pokazując Janey małą srebrną tackę, na której leżał

nieduży kopczyk białego proszku.

– Szybko! – szepnęła.

– Ja nie...

– Raszidowi nie przeszkadza, że bierze się kokę, byle nie robić tego przy nim. – Estella położyła tackę na blacie i za pomocą srebrnej żyletki uformowała cztery kreski. Wzięła do ręki słomkę ze srebra i wciągnęła dwie z nich, a kiedy skończyła, podała słomkę Janey. Janey przez chwilę stała jak wryta. Wiedziała, co to jest kokaina, ale nigdy jej nie próbowała. Aż do tej chwili nie domyślała się, dlaczego inne dziewczyny tak często podczas sesji zdjęciowych wymykają się do łazienki, dlaczego ciągle ocierają nosy i mają napady niepohamowanego gadulstwa. Pewnie myślały, że jestem taka sama jak wszystkie, przemknęło Janey przez głowę, a żadna nigdy nie zbliżyła się do mnie na tyle, żeby dowiedzieć się, że nie...

– Tylko mi nie mów, że w życiu nie próbowałaś kokainy. – Estella przewróciła oczami. – Jezu... Wszystkiego mam cię uczyć?

– Ja nie... – powtórzyła Janey bez przekonania.

– Więc lepiej spróbuj – poradziła jej Estella. – To ci ułatwi wiele rzeczy, zobaczysz.

Janey wzięła od niej słomkę i ostrożnie wciągnęła ćwierć kreski, jakby to była trucizna.

– Boże jedyny, wszystko naraz – skarciła ją Estella. – Wiesz, ile to kosztuje?

Przyglądała się Janey rozbieganymi oczami, pilnując, żeby zażyła całą

porcję, którą dla niej przygotowała. Kiedy Janey skończyła, wyrwała jej tackę wraz ze słomką i na dokładkę wciągnęła jeszcze trochę kokainy prosto z kopczyka.

Z głębin rozległego apartamentu dobiegły męskie głosy. Estella odłożyła tackę na półkę, a potem, jakby nigdy nic, wyjęła butelkę różowego szampana z niewielkiej lodówki.

W drzwiach stanęli dwaj mężczyźni.

– Raszid! – zawołała Estella. Panowie weszli do pokoju.

Pierwszy z nich był młody, ledwie po trzydziestce. Drugi, starszy, mógł mieć czterdzieści kilka lub nawet pięćdziesiąt lat. Janey ciekawie przyglądała się Raszidowi, temu starszemu. Po raz pierwszy w życiu widziała Araba; podświadomie spodziewała się turbanu i powłóczystych szat, jak w „Opowieściach z tysiąca i jednej nocy”. Tymczasem zobaczyła mężczyznę średniego wzrostu, w nienagannie skrojonym garniturze. Jego skóra miała lekko żółtawy odcień beżu. Nosił małe wąsy, czarne, przetykane siwizną. Wywarł na Janey raczej korzystne wrażenie, choć jego twarz nie zdradzała żadnych emocji; był to człowiek, który zachowuje swoje myśli i uczucia wyłącznie dla siebie.

Zatrzymał się kilka kroków za progiem. Zimny uśmiech uniósł kąciki jego ust.

– Widzę – jego wymowa nosiła ślad angielskiego akcentu – że obsłużyły się panie same.

– To jest Janey Wilcox. – Estella z mocno przesadzoną skwapliwością dokonała prezentacji. Janey nagle poczuła, że jej gardło zalewa się śliną, a

dłonie robią się lepkie od potu. Poczwała, że zbiera jej się na wymioty.

Zerknęła na Raszida wybałuszonymi oczami, zastanawiając się, czy widać po niej te sensacje, ale on tylko skinął jej głową, mierząc wzrokiem od stóp do głów. Jego towarzysz także przyjrzał się Janey i Estelli; widać było, że nie do końca rozumie, co się tutaj dzieje i jak powinien się zachować w takiej sytuacji. Niezręczna cisza zaczęła się dłużyć. W końcu młodszy mężczyzna postąpił naprzód, wyciągając rękę.

– Justin Marinelli – przedstawił się z amerykańskim akcentem.

Amerikanin nosił okulary w złotych drucianych oprawkach oraz żółty krawat. Janey zauważyła również, że z niewiadomych powodów miał na palcu obrączkę. Kiedy podawała mu rękę, nagle naszła ją wariacka myśl: rzuci mu się w ramiona, zda na jego łaskę i poprosi, żeby zabrał ją stąd, żeby odwiózł do domu. W tej chwili usłyszała głos Raszida:

– Odprowadzę pana Marinellego do wyjścia, a kiedy wrócę, pokażę paniom apartament.

Okazja minęła bezpowrotnie.

– Zaraz się porzygam – jęknęła Janey słabym głosem, chwytając się poręczy krzesła.

– Nie wygłupiaj się – powiedziała Estella, zdejmując tackę z półki i szybkimi ruchami formując kolejne cztery kreski. – Po pierwszym strzale zawsze jest nieprzyjemnie. Trzeba wtedy od razu wciągnąć drugą działkę.

Zaraz poczujesz się lepiej.

Janey wzięła od niej tackę i zażyła swoją porcję.

– Spodobałaś mu się, widziałam – powiedziała Estella.



– Nawet nie podał mi ręki – mruknęła Janey.

– To najbogatszy człowiek na świecie. – Estella spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Chyba nie sądzisz, że będzie zawracał sobie głowę takimi bzdurami. Ma inne rzeczy na głowie.

– Aż tyle, że nie może podać mi ręki?

– Posłuchaj – powiedziała Estella. – Nie możesz być przy nim taka onieśmielona. Bogaczy trzeba traktować jak zwyczajnych facetów. W tym cała sztuka, chwytasz? W skrytości ducha oni za tym przepadają, bo...

W tej chwili powrócił Raszid. Błyszczące spojrzenie jego ciemnych oczu spoczęło na nietkniętej butelce szampana. Odwrócił się i klasnął w dłonie.

– Muhammad! – zawołał.

Służący, który otworzył drzwi, zjawił się w mgnieniu oka, ale Estella była szybsza. Teatralnym gestem chwyciła butelkę, śmiejąc się:

– Bez przesady, Raszid. Ja to zrobię. Moja matka pracowała w barze.

Wiesz, co to jest? To takie miejsce, dokąd ludzie przychodzą się napić.

– Wiem, co to jest bar. – Raszid zmrużył oczy.

– Ale nigdy tam nie chodzisz – powiedziała Estella przekornie, jakby mówiła do dziecka. – On nie pije, wiesz o tym? – zwróciła się do Janey, wykręcając korek, który po chwili wystrzelił. Trysnęła biała piana.

Wybuchnąwszy śmiechem, Estella cofnęła się o krok, unosząc butelkę wysoko nad głową – imprezowiczka doskonała.

– Będzie szkło, Raszid, czy pijemy z gwinta?

– Z kieliszków, bardzo proszę. – Głos Raszida był bezbarwny.

Janey spojrzała na Estellę. Z żalem pomyślała, że jest to chyba najgłupsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek poznała. Nie była nawet pewna, czyją w ogóle lubi, ale doszła do wniosku, że nie jest to chyba najlepsza chwila, aby oceniać charakter koleżanki. Do tego czuła nieposkromioną chęć na alkohol. Drżącą ręką wzięła od Estelli kieliszek, łąpczywie wypila połowę zawartości, po czym dołała szampana po same brzegi. Raszid wyszedł z pokoju, a one podążyły za nim.

Zwiedzanie apartamentu było zapewne jedynie pretekstem do zaciągania dziewczyn do łóżka, ale mimo to Raszid zafundował im wykład o historii hotelu, umeblowaniu i obrazach wiszących na ścianach. Janey była wprost onieśmielona ogromem jego wiedzy; czuła, że gdyby nawet dożyła setki, to i tak nie dorównałaby mu poziomem. Jego erudycja uświadomiła jej tylko własne braki w wykształceniu, które były już raczej nie do nadrobienia. Zastanawiała się, czy naprawdę wygląda na taką głupią, jak się czuje, a Estella wciąż rzucała idiotyczne uwagi. Wywiązała się między nimi milcząca rywalizacja: na każdy durny komentarz Estelli Janey starała się odpowiedzieć inteligentnym pytaniem. Chciała się od niej odróżnić, pokazać Raszidowi, że jest inna, bystra...

Eskapada zakończyła się w olbrzymim, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu z basenem. Raszid poinformował Janey i Estellę, że jest to jedyny we Francji basen w apartamencie hotelowym. Kafelki pochodziły z Włoch i miały dwieście lat. Scena na dnie basenu przedstawiała Posejdona. Janey nie miała zielonego pojęcia, kim był Posejdon, ale zrobiła mądrą minę, zezując na postać dzierżącą trójzab. Raszid przeprosił

ją i udał się wraz z Estella na przeciwległy kraniec basenu. Po chwili rozmowy Estella skinęła głową i wróciła do Janey. Raszid nie ruszył się z miejsca. Stał blisko drzwi.

– Spodobałaś mu się. Chce ci pokazać swoją sypialnię – szepnęła Estella.

Janey drżała na myśl o tej właśnie chwili, ale kiedy już nadeszła, poczuła tylko dziwną śmiałość, jakby nagle runęły mury dzielące ją od prawdziwego życia. Uśmiechnęła się do Estelli. Do tej pory sądziła, że odmówi Raszidowi, tymczasem w zagadkowy sposób zaczęło ją to pociągać. Podeszła do niego niespiesznym, długim krokiem, a on skinął głową. Wyszli. Na korytarzu Raszid szarmanckim gestem ujął Janey pod ramię.

Zaprowadził ją do wielkiej sypialni, w której stało olbrzymich rozmiarów łóżko z baldachimem. Bez słów pokazał, że ma zdjąć majtki.

Janey przypomniała sobie nagle, że w gruncie rzeczy jest dziewicą; odbyła w życiu dokładnie trzy stosunki, wszystkie z amerykańskim studentem z Rutgers University, poznanym w Mediolanie. Nie było to najciekawsze przeżycie. Akt był bolesny, a do tego, zdumiewająca rzecz, nie czuła się w żaden sposób emocjonalnie związana z tym, co się działo. Za każdym razem wydawało jej się, że unosi się ponad własnym ciałem, obserwując całe zajście z oddali, znudzona i obojętna. Nie uszło to uwagi studenta. Jej oziębłość uraziła go i doprowadziła do szewskiej pasji, aż w końcu wykrzyczał jej to w twarz. Przydarzyło się to na tarasie restauracji, gdzie siedzieli, pijąc kawę. Janey nieomal spaliła się ze wstydu. Przez swój brak

doświadczenia w tych sprawach uwierzyła mu i wprost zaniemówiła z przerażenia. Wstała od stolika i odeszła, a kiedy zobaczyła, że on został i nie poszedł za nią, rozplakała się. Po chwili zastanowienia doszła jednak do wniosku, że przyczyną wszystkiego było to, że on w żaden sposób jej nie pociągał. Był obsesyjnie wręcz pedantyczny. Nieustannie mył ręce, a w kawiarni zawsze wycierał sztućce wilgotnymi chusteczkami, które specjalnie nosił w plecaku.

W tej chwili Janey czuła tę samą zagadkową obojętność. Siedziała bez majtek na łóżku, krzyżując nogi w kostkach i patrzyła, jak Raszid rozpina spodnie. Zastanawiała się beznamiętnie, jak się to odbędzie. Może zostanie związana i wzięta siłą? Nie przestraszyła się tej myśli, bo była dla niej zbyt nieprawdopodobna, szczególnie kiedy zobaczyła, jak Raszid zdejmuje angielskie bokserki i kładzie je, starannie złożone, na niskiej ławie w nogach łóżka. Zbliżył się do niej. Janey zauważyła, że ma już wzwód, a jego penis jest większy niż studenta, ciemnobrązowy i z czubkiem koloru kawy. Raszid wyciągnął ręce. Wydawało jej się, że chce ją pocałować, ale on tylko rozpiął trzy górne guziki jej bluzki. Rozchylił ją i obnażył piersi Janey. Przyjrzał się im z namysłem, ale nawet nie dotknął. Następnie podciągnął jej sukienkę i delikatnie rozchylił nogi. Janey położyła się na plecach.

Jej uwagę zwrócił baldachim, starannie plisowany i marszczony pośrodku. Janey zastanowiła się, w jaki sposób udało się splisować taką grubą tkaninę. Czuła, jak Raszid obmacuje jej srom i wkłada palce do pochwy. Usłyszała, jak powiedział: „Ciasno – bardzo ładnie”, ale jakoś nie

więzała tego ze swoją osobą. W końcu położył się na niej i pchnął. Wcale nie było miło. Poczwała lekki ból i znów nie mogła zrozumieć, dlaczego wszyscy robią tyle hałasu wokół seksu; przecież Raszidowi też nie mogło to sprawiać wielkiej przyjemności. Janey zapatrzyła się w plisowany materiał, rozciągający się nad jej głową. Rozmyślała o tym, ilu ludzi nad nim pracowało i czy mogli przypuszczać, że trafi ostatecznie nad łóżko bogacza, który płaci młodym kobietom za to, żeby rozłożyły przed nim nogi.

Po minucie, najwyżej dwóch, było po wszystkim.

Janey poczuła, jak członek Raszida wysuwa się z niej. Usiadła. Raszid poklepał ją po udzie i uśmiechnął się – szczerze, choć chłodno.

– No to już – powiedział. – Było bardzo dobrze.

Oburzyła się. Czy to całe zajście nie było dla niego niczym więcej niż przerwą na kawę? Chciała krzyknąć: „To ma być wszystko?“, ale coś w jego zachowaniu kazało jej ugryźć się w język, pomimo tego, co mówiła Estella.

Wyskoczyła z łóżka i wciągnęła majtki. Raszid niespiesznie założył bokserki i spodnie. Wkładając koszulę za pasek, podszedł do biurka, na którym leżała zwyczajna skórzana walizka. Otworzył ją. Janey zaniemówiła z wrażenia. Walizka była pełna pieniędzy.

Takie rzeczy widuje się na filmach, ale nikt nie spodziewa się zobaczyć ich na własne oczy. Nie mogła rozróżnić nominałów, ale natychmiast rozpoznała walutę – amerykańskie dolary, porządnie poukładane w równych plikach. Janey wydało się teraz, że sam ten widok wart był

przyjścia tutaj. Chciała krzyczeć z radości. Błysnęło jej w głowie, że mogłaby powalić Raszida i uciec z walizką. Było w niej na pewno co najmniej czterdzieści albo pięćdziesiąt tysięcy, ale co to jest dla najbogatszego człowieka na świecie. Absolutnie nic, a dla niej – fortuna... Raszid wyjął jeden pliczek banknotów, a kiedy go odłożył, podszedł do Janey, taktownym gestem wyciągając rękę. Przyjęła pieniądze. Nie chciała wyjść na materialistkę, ale nie mogła się powstrzymać, żeby się im nie przyjrzeć.

Trzymała w dłoni trzy banknoty tysiąc dolarowe.

Nigdy w życiu nie miała przy sobie takiej sumy. Przez chwilę bała się, że zemdleje. Raszid wziął ją za ramiona i przytulił, całując w oba policzki, a potem powiedział najdziwniejszą rzecz na świecie:

– Mam nadzieję, że było ci przyjemnie.

Janey spojrzała mu prosto w twarz, a jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Chciała roześmiać się w głos, ale nie pozwoliła sobie na to; gapienie się na Raszida z miną pełną niedowierzania było już i tak wystarczająco niewłaściwe. Nie mogła pojąć, jak mężczyzna tak bogaty i tak inteligentny może być jednocześnie na tyle głupi, żeby wierzyć, że ją zadowolił. Nagle wszystkie elementy układanki złożyły się w spójną całość. Więc o to chodzi! Nie mogła uwierzyć, że to aż takie proste. Zalało ją obezwładniające poczucie władzy. Zerkając ponownie na trzymane w ręku pieniądze, skłamała bez wysiłku, jak zdemoralizowane dziecko, wypowiadając po raz pierwszy słowa, które odtąd będzie często powtarzać:

– O tak, Raszid – zamruczała. – Byłeś cudowny.

Twarz Raszida zajaśniała dumą. Ujął Janey za rękę i szepnął jej do ucha:

– To może następnym razem będziesz bardziej aktywna, żeby mnie też było miło?

Zatem miał być następny raz. Czemu nie? Ścisnęła lekko jego ramię.

– Oczywiście.

– Możemy zatem wrócić do twojej przyjaciółki.

Wrócili do dużego salonu. Raszid zwrócił się do Janey:

– Mam nadzieję, że mój apartament przypadł pani do gustu, panno

Wilcox – po czym dodał z wytwornym ukłonem: – Zechce pani wybaczyć.

Mam pilne interesy, ale proszę się rozgościć i korzystać z moich zapasów.

– Dziękuję – powiedziała Janey. Złowiła wzrokiem płonące

ciekawością spojrzenie Estelli. Na całe szczęście do przesłuchania nie mogło dojść, ponieważ w salonie byli teraz oprócz nich dwaj młodzi mężczyźni zajęci szampanem i kokainą.

Janey obudziła się wieczorem następnego dnia o siódmej. Ledwie

mogła oddychać. Gardło miała wyschnięte na wiór, a jedno nozdrze

kompletnie zatkane. Kiedy spróbowała dmuchnąć drugim, usłyszała świst i

bulgot. Była bardzo osłabiona; czuła się tak, jakby złapała grypę i leżała w gorączce. Z trudem wstała z łóżka i chwiejnym krokiem poczłapała do

łazienki. Z salonu dobiegały dźwięki muzyki. Zajrzawszy tam, Janey

zobaczyła dwóch młodych mężczyzn poznanych wczoraj, zgrabionych nad

niskim stolikiem. W powietrzu wisiał odór potu i dymu papierosowego, a

wszędzie stały popielniczki i szklanki pełne niedopałków. Janey wstrząsnęła się z obrzydzenia i uciekła do łazienki, zatrzasnąwszy drzwi.

Przede wszystkim wyczyściła nos, usuwając z niego stwardniałe, żółtawe grudki, które wyglądały jak kawałki śluzówki. Ugasiła palące pragnienie wodą z kranu, chociaż powszechnie było wiadomo, że lepiej jej nie pić, a następnie przemyła twarz. Za nic w świecie nie mogła sobie przypomnieć, jak zakończył się wczorajszy wieczór. Nie pamiętała, jak trafiła do własnego łóżka, ale przynajmniej wciąż miała na sobie majtki i koszulkę. Nagle przypomniała sobie, co zrobiła z Raszidem. Poczowała mdłości i zgiąwszy się wpół, opadła na kolana, płonąc wstydem. Jak mogła do tego dopuścić, a co gorsza, zgodzić się na powtórkę?

Stopniowo jednak jej umysł, w samoobronie, zaczął wysuwać zdroworozsądkowe argumenty: pomyślała, że w końcu wcale nie było tak źle, nie doznała uszczerbku na ciele, a na dodatek w zapinanej kieszonce taniej torebki, która pamiętała jeszcze czasy szkoły średniej, czekały na nią trzy nowiutkie, szeleszczące banknoty tysiąc dolarowe. Stacją teraz było na nową torebkę, na wspaniałą Chanel, taką, jaką miała Estella. Napiła się jeszcze trochę wody z kranu, a potem uważnie przejrzała się w lustrze.

Wyglądała dokładnie tak samo, jak poprzedniego dnia.

Wróciła do swojego pokoju i położyła się do łóżka. Po chwili weszła Estella. Miała na sobie tylko stanik i majtki. Chichocząc, rzuciła się na łóżko Janey.

– Boże, co za noc! – wykrzyknęła. – Fajnie było, nie?

Janey zaśmiała się słabo.



– Co dokładnie się wydarzyło? – zapytała.

– Byłaś duszą całego towarzystwa – oznajmiła Estella z nutką zazdrości w głosie.

Janey wybałuszyła na nią oczy. Nigdy wcześniej nikt nie nazwał jej

„duszą towarzystwa”. Widząc jej niedowierzanie, Estella ciągnęła dalej:

– Naprawdę. Tańczyłaś na stole w Le Jardinese.

– W Le Jardinese? – Janey się rozkaszała. Powoli wracała jej pamięć.

Impreza u Raszida z biegiem czasu się rozkręciła. Przyszło wielu młodych,

śniadych mężczyzn, z których każdy miał europejski akcent i wyglądał jak

nabab. Razem z nimi zjawiły się tłumy pięknych kobiet – Janey

rozpoznała nawet dwie lub trzy sławne modelki. Całe towarzystwo

przeniosło się do klubu – chyba był to Le Jardinese; Janey pamiętała, że

przesiedziała długi czas w toalecie z jakąś młodą Amerykanką, która

wciąż powtarzała: „Nie pozwól im zawładnąć twoją duszą”. Tego, co

działo się później, nie mogła sobie przypomnieć.

– A potem, jak już wyszliśmy? – zapytała.

– Zwaliliśmy się tutaj około szóstej nad ranem – ziewnęła Estella. – Ale

nic się nie bój. Byłaś na takim hajju, że Sajed dał ci halcion i usnęłaś na

podłodze. Pewnie ktoś potem zaniósł cię do łóżka.

– O, Boże. Nigdy więcej nie wezmę koki...

– Zgłupiałaś? A co cię lepiej postawi na nogi niż mała poranna

kreseczka? – Estella otworzyła zaciśniętą dłoń, w której trzymała

niewielkie papierowe zawiniątko. Nabrała szczyptę proszku na paznokiec i

podsunęła Janey pod sam nos.

– To teraz mów – zagadnęła chytrze. – Ile ci dał?

– Co? – zapytała Janey, pociągając nosem.

– Ile forsy dostałaś od Raszida?

Janey spojrzała na nią.

– To chyba moja sprawa.

– Tak tylko pytam. – Estella wzruszyła ramionami. . – .

– Trzy tysiące.

Estella przez chwilę zastanawiała się nad tym w milczeniu, spoglądając na trzymaną w ręce paczuszkę, po czym starannie złożyła papier.

– To więcej niż on zwykle daje dziewczynom. Pewnie dostałaś też moją część.

– Twoją część? – Janey nie mogła uwierzyć własnym uszom. – To ja wszystko...

– Ale taka jest z nim umowa. Przyrowadzasz mu laskę, on się z nią kładzie, a ty dostajesz za to pięć stów.

Janey nie chciała przyjąć do wiadomości tych potwornych słów. Jak to możliwe, żeby ktoś, kto podaje się za przyjaciela, był na tyle wyrachowany, żeby sprzedać ją komuś jak... jak zwierzę? Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na Estellę i wytarła nos.

– Nie mam zamiaru sprowadzać mu dziewczyn – oświadczyła dobitnie.

Estella przekręciła się na bok, mierząc Janey twardym spojrzeniem błyszczących oczu.

– A ja mam – powiedziała. – Zrozum, jestem bez wyjścia. Nie mogę sypiać z Raszidem, bo jestem z Sajedem i staram się zaciągnąć go do

ołtarza. Poza tym naprawdę nie wiem, o co robisz takie halo. Ja pomogłam tobie, a teraz twoja kolej. Powinnaś mi jeszcze podziękować.

– Dostałam trzy razy po tysiąc dolarów – syknęła Janey. – Mam dać ci połowę banknotu?

Estella podniosła się i usiadła po turecku.

– Może być cały tysiąc.

– Nie!

– Daj spokój, Janey. Nie bądź głupia. Jesteśmy kumpele. W tych sprawach musimy trzymać się razem. No i chyba nie chciałybyś, żeby ktoś się o tym dowiedział, co?

Janey pobladła jak trup. Nie mogła zrozumieć, jakim sposobem wplątała się w tę kabałę. Miała wrażenie, że spada w czeluść, z której nie ma ucieczki. Odruchowo zakryła ramiona kołdrą.

– Nie zrobisz tego... – szepnęła urywanym głosem.

– Zrobię, wszystko zrobię – oznajmiła Estella pogodnie. – Taka już jestem. Nikt mnie nie wykiwa.

Spojrzały sobie głęboko w oczy. Janey zrozumiała, że nigdy w życiu nie uwolni się od Estelli i od skutków swojego czynu. Popelniła błąd, że jej zaufała. Estella nie nadawała się na przyjaciółkę, ale cóż było robić, kiedy oprócz niej Janey nie знаła w Paryżu praktycznie nikogo. Czowała teraz, że zajście z Raszidem połączyło je obie nierozzerwalnym węzłem, że Estella będzie dla niej ciężarem przez całe życie. Janey nie miała wyjścia: musiała udawać, że nic nie zaszło i nadal jest jej przyjaciółką. Sięgnęła po torebkę, tłumiąc drzenie, które czuła w całym ciele.

Rozpięta ukrytą kieszonkę i wysupławszy z niej jeden banknot, podała Estelli, która porwała go z jej palców, złożyła równiutko i schowała w staniku.

– Te dodatkowe pięć stów możesz liczyć jako czynsz za następny miesiąc – oznajmiła bez emocji.

– O Jezu... – jęknęła Janey. – Przecież my...

Estella poklepała ją po nodze.

– Skoro chcesz tak o sobie myśleć, to twoja sprawa – powiedziała spokojnie. – Aleja nie zamierzam. Zacznij myśleć rozsądnie – dodała uprzejmym tonem. – Te pieprzone Arabusy siedzą na kasie. Dlaczego dla nas nie może coś z tego skapnąć? Przecież i tak sypiamy z facetami, więc co nam szkodzi zarobić na tym? Czy to nasz problem, że facet to świnia?

A Raszid chyba ani cię nie skrzywdził, ani niczego nie pozbawił, co? Na świecie są tysiące takich gości, z którymi mogłabyś spać i wmawiać sobie, że ich kochasz, a oni traktowałiby cię dokładnie w ten sam sposób. –

Estella wstała, przeciągając się. – Mam też dla ciebie dobrą wiadomość.

Spodobałaś się Sajedowi. Powiedział, że możesz popłynąć z nami jachtem.

Byłaś kiedyś w Saint-Tropez?

Janey potrząsnęła głową.

– Spodoba ci się! – zawołała Estella. – To najfajniejsze miejsce pod słońcem. Wczorajsza impreza to nic w porównaniu z La Voile Rouge... –

Z tymi słowami wyszła z pokoju.

Janey patrzyła za nią, przysięgając sobie, że za nic w świecie nie

pojedzie do Saint-Tropez razem z Estellą i Sajedem. Postanowiła od jutra

zacząć rozglądać się za mieszkaniem; jeśli Estella zapyta dlaczego, powie, że jej brat przyjeżdża do Paryża na wakacje i że przeprowadza się do niego. W razie gdyby spotkały się na ulicy, Janey będzie miła, lecz powściągliwa, a w końcu cała sprawa umrze śmiercią naturalną.

Ale następny dzień nie przyniósł nic oprócz kolejnej serii przygnębiających castingów. Dzień po nim było tak samo, a w środę Janey była bliska płaczu, kiedy Jacques powiedział jej, że jedna kampania reklamowa to za mało i że musi znaleźć więcej pracy, bo inaczej wróci do Nowego Jorku. Tym sposobem w czwartek Janey była zbyt wyczerpana i zdezorientowana, żeby odmówić przyjęcia biletu lotniczego do Nicei. Postąpiła tak, jak to miała w zwyczaju: poszła po linii najmniejszego oporu.

Saint-Tropez nie zawiodło, przynajmniej na początku: jego splendor dorównywał w każdym calu opisom Estelli. Każdy dzień „oficjalnie” zaczynał się o drugiej po południu. Całe towarzystwo zbierało się wtedy na lunch w plażowej restauracji 55 (wymawiało się to z francuska: Cinquant-Cinq). Po posiłku balangę kontynuowano w La Voile Rouge, gdzie szampan lał się litrami, a kobiety tańczyły półnago na stołach.

Następnie krótkie interludium w postaci drzemki na jachcie, a wieczorem dalszy ciąg imprez, które kończyły się w jakimś klubie. Nikt nie kładł się wcześniej niż o szóstej, a do tego obowiązywała zasada, że kobiety nie płacą za siebie. Pobyt na Riwierze Francuskiej był nieustającym pasmem przyjemności. Janey szybko odkryła, że nie ma nic przyjemniejszego niż towarzystwo młodych, pięknych ludzi. Inteligencja nie była wymagana, a

nawet wręcz przeciwnie, stanowiła cechę raczej niepożądaną. Wystarczyła niezbyt głęboka i łatwa do zdobycia wiedza ogólna w stylu orientacji w modzie, a do tego nieustający dobry humor. Przydawały się też zdolność do przymykania oka na niedyskrecje (albo komentowania ich celnym dowcipem) oraz umiejętność skrywania swoich prawdziwych uczuć.

Mimo to, po kilku dniach spędzonych na jachcie Sajeda z Estella i paczką innych potępieńców, Janey zrozumiała, że nie stanowią oni szczytu tej elitarnej kasty. Choć Sajed uchodził za bogacza, to jednak on i jego imprezujący znajomi wcale nie byli tutaj najbogatsi. Janey wszędzie widziała ludzi bardziej eleganckich i wyrafinowanych. Zaczęła się zastanawiać, czy istnieje sposób, żeby wspiąć się o szczebel lub dwa wyżej na tej drabinie.

W drugą sobotę ich wyjazdu, około południa, do portu Saint-Tropez zawinął jacht rzadko spotykanych rozmiarów. Janey i Estella siedziały wtedy na dziobie jachtu Sajeda, opalając się topless. Przegapiły moment przybycia olbrzyma, ponieważ były pogrążone w zaciętej dyskusji. Estella malowała sobie paznokcie u nóg, a każde pociągnięcie pędzelkiem było jak uderzenie pięścią w stół. Powodem jej irytacji była Janey i jej „opieprzanie się”.

Janey dobrze wiedziała, o co chodzi. Dotrzymała jednej – przynajmniej jednej – ze złożonych sobie obietnic: ani razu nie tknęła kokainy.

Abstynencja miała jednak swoje złe strony: Janey wyobcowała się z towarzystwa, a atmosfera na jachcie powoli stawała się napięta.

– Nie możesz być chociaż trochę... miłsza? – zapytała Estella. Janey

wiedziała, że ma to oznaczać sypanie ze znajomymi Sajeda.

– Nie będę brać koki tylko po to, że by pójść z kimś do łóżka – uparła się.

– Żałosne. – Estella się skrzywiła. – Trzeba się nakręcić przed seksem, inaczej można się zanudzić na śmierć. Poza tym – dodała – jak poszłaś z Raszidem..

– To było *co* innego – przerwała jej Janey. Nie była pewna, co to miało dokładnie oznaczać, ale nieźle brzmiało.

– I po co ja tyle dla ciebie robiłam? – zapytała Estella ze złością, zakręcając buteleczkę z lakierem. – Wiem jedno: jeśli się nie poprawisz, nie będę mogła ci pomóc. Każdy facet miałby w końcu dość płacenia za łaskę, która nie chce dawać, i szczerze mówiąc, nie dziwię się.

Janey spuściła głowę, marszcząc brwi. Nie o to chodzi, że nie była chętna; po prostu znajomi Sajeda nie wydawali jej się warci poświęcenia.

– Więc jak będzie? – zapytała Estella, przebierając palcami u stóp.

– Ja... – zaczęła Janey, ale przerwał jej przeciągły, niski i dostoyny sygnał syreny okrętowej.

Estella zerwała się na równe nogi i podbiegła do relingu. Trzy stanowiska cumownicze dalej do mołu przybijał powoli ogromny jacht. Na jego rufie widać było łodzie motorowe i skutery wodne, a na górnym pokładzie stał helikopter. Jacht Sajeda wyglądał przy nim jak czółno.

– Raszid przyплыł – wycedziła Estella z namysłem, mrużąc oczy. –

Powiem o tym Sajedowi. Niech tam idzie i przekaże wujowi, że my też tu jesteśmy.

Zeszła po wąskich schodkach i zniknęła z widoku. Janey opadła na poduszki rozłożone na pokładzie. Oczy miała zamknięte, ale była niezwykle rozemocjonowana. Przeczucie mówiło jej, że coś się wydarzy, że Raszid musi ją w jakiś sposób wyróżnić. I nie zawiodła się: upłynęło najwyżej pół godziny, kiedy Estella wróciła, niosąc w ręce kopertę. Nie wyglądała na zadowoloną.

– Masz – rzuciła krótko, podając kopertę Janey.

– Co to? – zapytała Janey niewinnym głosem.

– Dobrze wiesz, co to jest. – Estella posłała jej gniewne spojrzenie i usiadła obok po turecku.

Koperta była ciężka, jak z kartonu. Rozkleiwszy ją ostrożnie, Janey wyjęła bilet wizytowy. Wytłoczono na nim miniaturę wielkiego jachtu, a pod spodem widniała jego nazwa: Mamouda. Janey przeczytała, co do niej napisano, czując, że kamień spadł jej z serca. Była już praktycznie bez grosza, a teraz, za jeden krótki stosunek będzie ją stać co najmniej na bilet do Paryża i miesięczne utrzymanie.

– Co ci tam napisali? – Estella usiłowała zajrzeć jej przez ramię.

Janey wsunęła bilet z powrotem do koperty.

– To od Raszida. Zaprasza mnie o drugiej na lunch na swoim jachcie.

– Czyli nie wybierasz się z nami do Cinquant-Cinq.

– Na to wychodzi – odparła Janey.

– Pamiętaj tylko, że nieważne, ile dostaniesz od Raszida, mam u ciebie pięć stów – powiedziała Estella groźnie.

– Jasne. – Janey uśmiechnęła się drwiąco. Przysięgła sobie, że tym



razem zrobi wszystko, żeby Estella nie dostała złamanego grosza z jej pieniędzy.

Janey domyślała się, że lunch, o którym była mowa w zaproszeniu, to tylko zgrabny eufemizm kamuflujący prawdziwy cel jej wizyty, czyli seks. Nic bardziej mylnego: kiedy tylko weszła na pokład, zobaczyła, że słowo „lunch” zostało użyte bez żadnych podtekstów. Na pokładzie rufowym stał olbrzymi stół nakryty biały obrusem i zastawiony kryształami oraz srebrem. Wokół niego krzątała się obsługa: ładna młoda blondynka obnosząca srebrną tacę z kawiozem i przystojny blond młodzieniec w białej koszuli i spodniach khaki, nalewający szampana i mieszający koktajle. Kilkoro gości stało lub siedziało w sztywnych pozach na ustawionych dookoła kanapach. Byli to ludzie elegancy, lecz ich maniery robiły wrażenie wymuszonych i starannie dopracowanych, wskutek czego całe towarzystwo przypominało grupkę dzieci bawiących się w gości. Tylko Raszid wydawał się inny. Kiedy tylko Janey pojawiła się na pokładzie, wyszedł jej na spotkanie i uścisnął rękę w oficjalnym geście powitania.

– Witam, pani Wilcox. – Skłonił się lekko. – Miło mi, że znalazła pani czas.

– To mnie miło, że zechciał mnie pan widzieć – odrzekła Janey, zwracając uwagę na otyłego mężczyznę w średnim wieku, który wyłonił się zza pleców Raszida. Jego tłusty, spieczony słońcem kark wylewał się zza kołnierza letniej koszuli w szkocką kratę, a oczy pożerały Janey głodnym wzrokiem. Raszid uśmiechnął się nieznacznie.

– Pani pozwoli, że przedstawię: pan Dougrey, pani rodak, jeśli się nie mylę.

– Paul Dougrey. – Grubas wyciągnął tłustą łapę. Miał łzawiące, wodniste oczy i mocno przerzedzone siwiejące blond włosy. Czesał się na pożyczkę, znad samego ucha. Pomimo oczywistych fizycznych niedostatków widać było, że człowiek ten uważa się za szalenie atrakcyjnego.

– Pani też z Ameryki? – zapytał, po czym dodał, nie czekając na odpowiedź: – Zawsze miło spotkać ziomka. Za dużo tu żabojadów, w tej Francji.

Roześmiał się serdecznie z własnego dowcipu. W tej chwili do Raszida podszedł wysoki, zabójczo przystojny blondyn z włosami spłowiałymi od słońca i szepnął mu coś do ucha. Raszid skinął głową i powiedział:

– Przepraszam na moment. Zaraz wrócę, a państwo tymczasem mogą powspominać środkowy zachód Stanów Zjednoczonych, który bez wątpienia jest niezmiernie fascynującym miejscem. – Po tych słowach zszedł pod pokład.

– Pani pochodzi stamtąd? – zapytał Paul.

– Nie, z Massachusetts.

– A ja z Indianapolis. Narzeczona mnie wyciągnęła do Francji, bo mówią, że tak trzeba. – Wskazał głową kobietę pod czterdziestkę, o figurze wyrzeźbionej aerobikiem, siedzącą sztywno w towarzystwie drugiej, ciemnowłosej kobiety i Justina Marinello, którego Janey poznała u Raszida w Ritzu. – No i dobrze – zaśmiał się. – Ona się pobawi

w towarzystwie, a ja zrobię interesik z panem Al...

Janey kiwnęła głową, czekając na okazję, żeby mu się wymknąć.

Spędziła w Europie zaledwie sześć miesięcy, ale w tej chwili zadziwiła ją

subtelna, lecz wyraźna zmiana, jaka się w niej dokonała: zaczęła rozumieć,

dłaczego Europejczycy postrzegają Amerykanów jako hałaśliwych i

głupkowatych. Zrobiła krok w bok, ale Paul zastąpił jej drogę.

– A czym się pani zajmuje? – Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając

mocne, pożółkłe zęby jak u golden retrievera.

– Jestem... modelką.

Nachylił się do niej z obleśnym uśmiechem.

– Więc jako Amerykanka pracująca tutaj zarobkowo może pani mi

wytłumaczyć tutejszy układ?

– Jaki układ? – Janey się przestraszyła.

– Na przykład te panny – szepnął Paul, wskazując na trzy piękne, lecz

najwyraźniej znudzone dziewczyny zajmujące jedną z kanap i popijające

szampana w milczeniu. – Czy to są... no, wie pani? – Wyjaśnił gestem, o

co mu chodziło.

Janey cofnęła się o krok.

– Nie mam pojęcia – powiedziała cicho. – Spotkałam się z Raszidem

dopiero raz, a dziś zaprosił mnie na lunch...

– Krążą różne plotki. Te panienki nie umieją po angielsku, a nawet jeśli

umieją, to nie wolno się do nich...

– A czym pan się zajmuje? – zapytała szybko Janey.

– Amunicją – oznajmił, krzyżując ręce na piersi. – Będę robić z

Raszidem interesy. Moja firma produkuje łuski do nabojów, a on, ten cały Raszid, choć ma jachcik i takie tam, jest tylko zwykłym handlarzem bronią...

Janey zatkało ze zdziwienia. Na szczęście uwagę Dougreya odwróciło przybycie sławnego gwiazdora filmowego, mężczyzny po sześćdziesiątce. Zjawił się wraz z żoną, która słynęła z elegancji; dziś zaprezentowała się w błękitnym jedwabnym turbanie. Jak spod ziemi pojawił się Raszid, witając nowo przybyłych z powściągliwym entuzjazmem.

– Facet ma chody, trzeba przyznać. – Paul pochylił się do ucha Janey. – Chociaż Kim liczyła na to, że spotka tu jakąś europejską arystokrację... Janey uśmiechnęła się półgębkiem i uciekła od niego na przeciwległy kraniec pokładu. Oparła się o barierkę, ogarniając wzrokiem dobrze już sobie znaną panoramę portu Saint-Tropez: malownicze żółte domy i szereg błękitnych daszków ocieniających tanie kafejki. Ten egzotyczny widok wciąż jeszcze ją zachwycił, ponieważ pomagał pamiętać o tym, że pomimo trudów ostatnich dwóch tygodni udało jej się coś osiągnąć. Tym razem jednak podziwianie tętniącego życiem portu było tylko kamuflażem; Janey obserwowała skrycie gości zebranych na jachcie. Dla wszystkich było oczywiste, że trzy „modelki” są na usługach Raszida; ich wdzięki zdawały się nikogo nie interesować. Po krótkiej lustracji Janey stwierdziła, że nie stanowią dla niej żadnej konkurencji. A jednak ich widok służył jako ostrzeżenie przed tym, co może czekać tutaj człowieka. Janey, choć przyjęłaby pieniądze od Raszida – tłumaczyła sobie, że byłby to prezent, nic więcej – nie miała zamiaru stać się

dziewczyną do towarzystwa, zapewniającą puste miejsce przy stole i świadczącą usługi erotyczne na zawołanie. Po raz pierwszy w życiu fakt bycia Amerykanką i wszystkie jego konsekwencje stanowiły dla Janey pociechę. Przesunęła wzrok na Paula i jego narzeczoną, Kim, pochłoniętych rozmową z gwiazdorem filmowym i jego żoną. Ich mimika i gesty zdradzały niecodzienne ożywienie, które udziela się zwykłym ludziom, kiedy nagle spotkają znane osobistości. Od pierwszego spojrzenia Kim nie spodobała się Janey. Nie była ani trochę elegancka: miała włosy farbowane w jasne pasemka, ale przy skórze widniały ciemne odrosty, a jej sukienka była droga, lecz źle dobrana. Niemniej patrząc, jak Kim bez wysiłku, z typową dla Amerykanów łatwością nawiązuje poufałą rozmowę ze słynnym aktorem, Janey zapalała do niej nagłą sympatią. Kim, kobieta pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym rokiem życia, nie próbowała nawet udawać, że jest kim innym, niż tylko osobą starającą się wywalczyć sobie lepszą pozycję w życiu, chociażby za cenę małżeństwa z Paulem. Cenę niewygórowaną, zważywszy na fakt, że przypuszczalnie naprawdę go kochała. Janey doszła do wniosku, że Kim także jej nie zagraża, ale nie mogła już tego powiedzieć o czarnowłosej piękności, która, jak wszystko wskazywało, była żoną Justina. Jej pogardliwe zachowanie świadczyło o tym, że pochodzi z dobrej, szanowanej francuskiej rodziny i to najprawdopodobniej szczytującej się starym szlacheckim tytułem... Janey ogromnie bawił widok tej kobiety, która wyglądała, jakby z najwyższym trudem znosiła towarzystwo osób będących dla niej z całą pewnością jakimś

podejrzaną zbieraniną. Jej surowe uczesanie – włosy ściągnięte do tyłu w ciasny kok – wydawało się stanowić zaporę mającą chronić jego posiadaczkę przed niegodnymi aluzjami. Prowadziła przyciszoną rozmowę ze stojącym obok niej Justinem. Skupienie na jego twarzy zdradzało frustrację człowieka, który pogodził się już z faktem, że nigdy nie zdoła dogodzić swojej żonie, ale pomimo to wciąż ją kocha. Obserwując tę parę, Janey nagle poczuła bolesne ukłucie niepokoju. Przecież wcale nie była pewna własnej sytuacji...

Spuściła ich na chwilę z oka; w oddali, na końcu trzydziestometrowego przejścia mignęły jej dwie białe odziane postacie znikające za rozsuwanymi drzwiami bezszelestnie jak duchy. Szybko jednak wróciła do przerwanej obserwacji. Żona Justina, odwróciwszy się od męża, odgryzła delikatnie kęs tostu przybranego maleńkimi czarnymi jajeczkami.

Towarzystwo nie było w jej guście, lecz to najwidoczniej nie przeszkadzało jej raczyć się kawiozem. Justin spojrzał na nią groźnie, po czym wyraźnie zirytowany odwrócił się od niej. Podchwycił spojrzenie Janey, która, nie wiedząc czemu, zaczerwieniła się, ale nie spuściła wzroku. W jej oczach było to samo zaciekawienie co w jego; zakłopotany Justin odwrócił się z powrotem do żony, a Janey udała, że bardzo interesuje ją majtek szorujący pokład na sąsiednim jachcie.

Kiedy ponownie spojrzała w stronę gości, Justin zmierzał właśnie w kierunku grupki złożonej z Kim, gwiazdora i jego żony. Był swobodny i pewny siebie; z jednej strony cechował go polor młodego Amerykanina obytego w towarzystwie, z drugiej europejskie zamiłowanie do życia z

pasją. Janey momentalnie zobaczyła w nim idealnego kandydata na męża, ze złością jednak musiała przyznać, że sama nie może uchodzić za kandydatkę na żonę dla takiego mężczyzny. Na jacht Raszida przywiodły ich podobne aspiracje; różnica polegała na tym, że nią kierowała desperacja, a jego ambicja wynikała z zajmowanej wysokiej pozycji społecznej. Janey uświadomiła sobie, że jest zbyt pospolita, zbyt przeciętna, żeby mężczyzna pokroju Justina zechciał się jej oświadczyć. Bo nie ulegało wątpliwości, że przez odpowiednie małżeństwo Justin dążył do podniesienia swojego statusu; choć takie postępowanie można krytykować, nie sposób było zaprzeczyć, że cel został osiągnięty. W nagłym przebłysku zrozumienia Janey odkryła smutną prawdę: bez względu na to, co się mówi, tym światem rządzą mężczyźni. Wszelkie zasady są pisane w taki sposób, aby mężczyzna mógł zawsze zdobyć to, co zechce, a kobiecie pozostaje pełne nadziei oczekiwanie lub mozolna samotna wędrówka...

Janey rozejrzała się bezradnie za Raszidem. Dostrzegła go, pogrążonego w cichej rozmowie z Paulem i dwoma Arabami, bez wątplenia swoimi pomocnikami. Nie mogła zrozumieć, po co została zaproszona na ten lunch, który najwidoczniej był tylko przykrywką dla spotkania w interesach. Przyszedł jej do głowy tylko jeden powód: wśród zaproszonych gości było o jedną kobietę za mało i ona miała wyrównać różnicę. Raszid nie zwracał na nią zbyt dużej uwagi. Janey straciła już nadzieję, że będzie chciał się z nią przespać i nagle zaczęła żałować tych dwóch lub trzech tysięcy, które miała szansę zarobić. Przyglądając się

zebranemu towarzystwu, w pewnym momencie poczuła, jak zalewają ją fala tak wielkiej samotności, jakiej nie doznała od dawna. To uczucie było jak zwiewny obłok oddzielający ją od wszystkiego wokół. Przez chwilę Janey miała wrażenie, że stała się niewidzialna, lecz jednocześnie była absolutnie świadoma, że każdy, nawet najmniejszy jej gest widać jak na dłoni.

Niezgrabnym ruchem odgarnęła włosy. Żałowała, że nie posłuchała rady Estelli i nie zaczęła palić – miałyby przynajmniej co zrobić z rękami.

Nagle uświadomiła sobie, że tuż obok niej stoi przystojny blondyn, którego wcześniej zauważyła. Poczula niewypowiedzianą ulgę.

– Wszystko wskazuje na to, że powinna pani wziąć kurs na barek. –

Zasalutował jej żartobliwie. Jego wesołość kontrastowała z jej smutkiem.

Mówił z akcentem angielskim, lecz nie do końca czystym. – Czy nikt nie proponował pani szampana?

– Nie wiem.. – wykrztusiła, świadoma tego, jak głupio to zabrzmiało.

Na całe szczęście nieznajomy wziął jej słowa za dobrą monetę.

– Z braku kieliszka w pani dłoni Wnoszę, że nie. – Spojrzeniem przywołał kelnera w białym uniformie. Po chwili Janey popijała już szampana, serdecznie wdzięczna swojemu wybawcy.

– Pan nie pije? – zagadnęła, wbijając w niego spojrzenie swoich błękitnych oczu.

– Nie mogę – padła odpowiedź. – Jestem na służbie.

– Na służbie? – zdziwiła się.

– Może mi pani nie uwierzy, ale jestem kapitanem tego jachtu. –

Skłonił się ku niej z figlarnym błyskiem w oku. – Ian Carmichael –



przestawił się, wyciągnąwszy rękę.

– Janey Wilcox – odpowiedziała.

– Co sprowadza Janey Wilcox, niewątpliwie przemiłą Amerykankę, na pokład Mamoudy? – zapytał z uśmiechem, lecz jego wzrok był poważny, co sugerowało, że darzy ją życzliwością.

– Nie mam pojęcia! – zawołała Janey w przypiływie rozpaczliwej szczerości.

In spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem, jakby oceniając, czy rozpacz w jej głosie jest udawana. Nachylił się do niej, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu:

– Nikt na tym jachcie nie wie, dlaczego się tutaj znalazł. Nikt oprócz pana Raszida. On wie wszystko, a oni – skinął w stronę gości – nie wiedzą nic. Ale widocznie odpowiada im to, skoro godzą się wziąć udział w tej grze. – Umilkł na chwilę, po czym zapytał, powracając do swojego beztroskiego tonu: – Zna pani pana Roberta Russella?

– Tego aktora? Nie. – Janey potrząsnęła głową. – Nie znam nikogo sławnego.

– To bardzo miły człowiek. Jego żona również. Powinna się pani im przedstawić.

– Nigdy w życiu!

– To konieczność. – Uśmiechnął się. – Nie może pani przecież przez całe popołudnie rozmawiać ze mną, jakkolwiek bardzo bym tego sobie życzył.

Janey spojrzała mu w oczy. Czy to miało być ostrzeżenie, czy tylko

przyjacielska rada? Przez jej ciało przebiegł dreszcz podniecenia. Była ciekawa, czy podoba mu się tak samo jak on jej, lecz jego oczy były równie spokojne jak błękitna woda w doku. Pożegnała się z nim i podeszła do gości, odnosząc niepokojące wrażenie, że pozostawia za sobą rzeczywistość i wchodzi na plan filmowy.

Robert Russell zauważył ją już z daleka i zawołał: „Halo, młoda damo!”. Janey pomyślała, że jest taki uprzejmy, ponieważ ma już dosyć rozmowy z Kim. Nie minęła jednak chwila i odnalazła się w tej niewielkiej grupie, a już po kilku minutach Zara, żona Roberta, która okazała się tak czarująca, jak o niej mówiono, obiecała, że zapisze jej nazwę sklepu, w którym kupiła swój turban...

W trakcie uroczystego lunchu towarzystwo podzieliło się na dwie części: jeden koniec stołu zajmował Raszid, jego pomocnicy, modelki oraz Paul, na drugim zaś siedziała Janey wraz z Zarą, Robertem Russellem, Kim, Justinem i żoną Justina, która miała na imię Chantal. Posiłek składał się z pięciu dań. Podano także mnóstwo wina, a przy każdym nakryciu leżał cały zestaw sztuców. Przy stole Janey się rozluźniła; choć w jej wychowaniu nie położono żadnego nacisku na rozwój umysłowy ani na zdobycie jakichkolwiek cennych lub cenionych umiejętności, to jednak wpojono jej maniery, dzięki czemu wiedziała przynajmniej, którego widelca użyć. Świadomość tej odrobiny wiedzy, w połączeniu z wypitym szampanem, podbudowała ją na tyle, że zdołała sobie poradzić w sytuacji, do której była niewątpliwie źle przygotowana. Uspokoila się zupełnie, widząc, jak do wędzonego łososia, którego podano na pierwsze danie, Kim

bierze widelec do sałatki; ucieszył ją także wyraz niesmaku na twarzy Chantal. Nie zmieniało to jednak faktu, że Chantal, Kim i Zarę łączył fakt posiadania dzieci (Chantal urodziła niedawno, a miała dopiero dwadzieścia trzy lata). Janey odniosła wrażenie, że w kulturalnym towarzystwie istnieją tylko dwa typy kobiet: matki i bezdzietne. Doszła też do wniosku, że kobiety, które doświadczyły cudu macierzyństwa, tworzą ligę ponad wszelkimi podziałami.

I nie myliła się: Chantal, zagadnięta przez Kim o sprawy związane z porodem (Kim nie odczekała nawet do końca pierwszego dania), potrząsnęła tylko głową i wbiła gniewny wzrok w talerz.

– Żaden mężczyzna tego nie zrozumie, choćby się zaklinał, że jest inaczej – wycedziła, spoglądając ostro na Justina. Janey zaciekawiło, czy macierzyństwo jest głównym powodem jej nienawiści do męża, czy może stanowi ono tylko jedną pozycję na długiej liście zarzutów. Po chwili jednak konwersacja w zagadkowy sposób zeszła na temat kotar okiennych; Kim wyznała, że planuje zakupić za dwadzieścia tysięcy dolarów draperie do nowojorskiego apartamentu, w którym mieszkała razem z Paulem.

Janey przysłuchiwała się tej rozmowie, wyrażając aprobatę za pomocą stosownej mimiki i cichych pomruków, w rzeczywistości jednak nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Nie mieściło jej się w głowie, iż na tym świecie krąży tyle pieniędzy, że istnieją ludzie, których stać na wydanie dwudziestu tysięcy na dekorację okien. W jej rodzinnym mieście wszyscy grali w tenisa i w golfa, ale też nikt nie wstydził się zbierać bonów na różne produkty ani kupować mięsa w promocji za pół ceny. Czowała się w

tym świecie jak intruz, ale jednocześnie widziała w nim miejsce i dla siebie. Przypatrzywszy się uważnie Chantal, uznała, że dorównuje jej urodą, choć musiała przyznać, że elegancją znacznie ustępuje Francuzce. Elegancja to jednak rzecz nabyta; Janey, prawie nieświadomie, zaczęła naśladować gesty Chantal, jej sposób trzymania widelca i delikatne dotykanie kącików ust serwetką.

Justin siedział po prawej stronie Janey. Była pewna, że on czuje coś do niej, pomimo czynionych przez niego usilnych starań, by ją ignorować.

Fakt, że Chantal była jego żoną, rozbudził zainteresowanie Janey. Zaczęła się zastanawiać, czy trudno byłoby zaciągnąć go do łóżka. Nie miała żadnych złych zamiarów. Kierowała nią zwykła ciekawość, typowa dla młodych ludzi; chciała sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

Uśmiechnąwszy się lekko, zapytała Justina:

– Czy pan także ma jacht?

Spojrzał na nią spłoszonym wzrokiem, jakby nie był pewny, czy mówi poważnie, i odparł:

– Nie. Rodzina Chantal ma rezydencję w Mougins.

Spojrzał na drugi koniec stołu, gdzie siedział Raszid, pogrążony w konwersacji z Paulem i jednym z Arabów. Janey, śledząca jego wzrok, zapytała:

– Pracuje pan dla Raszida?

– Jestem inwestorem bankowym.

– Rozumiem. – Janey kiwnęła głową z mądrą miną. Choć nie miała pojęcia, gdzie leży Mougins ani czym zajmuje się inwestor bankowy, to

jednak uznała, że nie ma to większego znaczenia. Była jak kamienna tablica, którą można zapełnić dowolną treścią. Zasypała Justina pytaniami dotyczącymi jego profesji. Pomimo zadziwiająco nikłego doświadczenia z mężczyznami zdołała sprawić, że jej rozmówca ożywił się i chętnie udzielał odpowiedzi; postanowiła to sobie zapamiętać jako skuteczny manewr w celu przyciągnięcia uwagi mężczyzny.

Zanim dokończono główne danie, towarzystwo u jej końca stołu było już lekko podchmielone. Robert okazał się mistrzem w opowiadaniu sprośnych historii. Janey dowiedziała się, że Justin pochodzi z Buffalo („Buffalo? To raczej mało wytworne miasto!”), jest najmłodszym wspólnikiem w swojej firmie i skończył Yale. W pewnym momencie przypadkowo otarła kolanem o jego kolano. Nie cofnął nogi, więc przycisnęła nieco silniej, czując jego podniecenie i zakłopotanie z powodu własnej reakcji. Tak jak po stosunku z Raszidem znów zalało ją odurzające poczucie władzy, prawie tak silne jak narkotyk.

Na deser podano maliny na olbrzymiej paterze. U boku Janey nagle zjawił się In. Pochyliwszy się, szepnął jej do ucha, że jest proszona do telefonu. Janey spojrzała na niego lekko rozbieganym wzrokiem. Już miała odmówić pójścia z nim, ale poważne spojrzenie kapitana zamknęło jej usta. Zerknęła na Raszida i spostrzegła, że ją obserwuje. Skinął jej lekko głową.

Wstała, przytrzymując się oparcia krzesła. Więc jednak ten moment miał nadejść? Jeśli tak, to była gotowa obsłużyć Raszida. Nikt się o niczym nie dowie, a ona będzie o trzy tysiące bogatsza. Zdziwił ją tylko

fakt, że zamiast mieć poczucie, że popełnia, jak to się mówi, czyn występny, cieszyła się ze spodziewanego zysku, In zaprowadził ją do wielkiej sali, w której stały długie kanapy i niskie stoliki. W końcu sali znajdował się bar, a jej podłogę stanowił parkiet. Balowego wystroju dopełniała lustrzana kula zawieszona u sufitu.

– In – szepnęła, chichocząc – kto do mnie dzwoni?

– Ja tutaj nie zadaję pytań – odpowiedział z lekkim zakłopotaniem.

Z sali balowej nie przeszli do sypialni; In poprowadził Janey długim korytarzem, a potem kręconymi schodami pod pokład, do pomieszczenia, które wyglądało jak prywatny gabinet. Tutaj kapitan pożegnał się i wyszedł, zamykając drzwi.

Za bogato zdobionym francuskim biurkiem siedział jeden z Arabów obecnych przy stole podczas lunchu. Gestem wskazał Janey krzesło.

– Pan Raszid zagustował w pani – zaczął. – Chce zaprosić panią w rejs swoim jachtem. Będzie pani jego gościem.

Janey była całkowicie zaskoczona. Czegoś takiego nigdy by się nie spodziewała, choć słyszała, że Raszid ma na jachcie dziewczyny, a także, że daje im pieniądze. Nie mogła jednak przypuszczać, że spodobała mu się aż do tego stopnia. Przecież przez cały lunch nawet na nią nie spojrział.

Zaśmiała się.

– Ale dlaczego?

– To nie moja rzecz odpowiadać na takie pytania – mruknął Arab. –

Pan Raszid proponuje dziesięć tysięcy dolarów tygodniowo.

Janey z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Śmieszność tej sytuacji

była wprost uderzająca. Jak to się mogło stać, że trafiła na jacht jakiegoś bogatego Araba, który zaproponował jej dziesięć kawałków tygodniowo za seks? Było to tak absurdalne, że chciała już wstać z krzesła i wyjść. Oczywiście jedynym słusznym wyjściem była odmowa, powrót do Paryża i dalsze poszukiwanie pracy jako modelka. Janey przypomniała sobie jednak, że nie ma pieniędzy na bilet do stolicy. Zaczęła kalkulować w myślach. Na życie wydawała około dwóch tysięcy dolarów miesięcznie – dziesięć tysięcy oznaczało co najmniej pięć miesięcy spokoju. Gdyby została na jachcie przez tydzień, mogłaby potem wrócić do dawnego życia, kto wie, może nawet znalazłaby sobie kogoś takiego jak Justin?

– Czy zgadza się pani? – zapytał Arab.

– Jasne – odrzekła, czując, że na tę śmiałą decyzję miało wpływ wino wypite podczas lunchu.

– Bardzo dobrze – usłyszała. – Zatem proszę to podpisać. – Przesunął w jej stronę kartkę papieru. – To nic takiego. Zobowiązanie do dyskrecji. Nie wolno pani będzie rozmawiać z dziennikarzami na temat pana Raszida ani kiedykolwiek o nim pisać. W razie złamania umowy...

– Co wtedy? Zabijecie mnie? – zapytała Janey. To miał być żart, jakkolwiek podyktowany nagłym strachem, który ją ogarnął. Mężczyzna milczał, mierząc ją spojrzeniem czarnych oczu.

Janey nie namyślała się ani chwili. Oferta dziesięciu tysięcy dolarów była zbyt kusząca, a poza tym nie wyobrażała sobie, żeby kiedykolwiek mogła zdradzić prasie bądź osobiście opublikować informacje dotyczące Raszida. Srebrnym piórem, które podał jej Arab, czytelnie wypisała swoje

nazwisko na wręczonym dokumencie. Patrząc na podpis, stwierdziła, że ma charakter pisma jak uczennica.

Rozsiadłszy się wygodnie na krześle, spróbowała kolejnego żartu:

– To kiedy zaczynam?

– W tej chwili, panno Wilcox.

– Pójdę więc po swoje rzeczy.

– Nie ma takiej potrzeby. Mamy ludzi, którzy się tym zajmą.

– Ale przecież... Muszę pożegnać się ze znajomymi. Muszę im powiedzieć, dokąd się wybieram – zaprotestowała, czując nagłą panikę.

Arab uśmiechnął się zimno, składając dłonie tak, że stykały się koniuszkami palców.

– Obawiam się, że nie starczy pani czasu – oznajmił.

To, co powiedział potem, sprawiło, że serce Janey zatrzymało się na moment, jakby ściśnięte olbrzymią szponiastą łapą.

– Za pół godziny wypływamy na wyspy u wybrzeża Turcji.

## **Rozdział 15**

Na kolorowe domy stojące na nabrzeżu małego portowego miasta lał się z nieba niemiłosierny żar. Upał sięgał trzydziestu pięciu stopni, lecz nie zniechęciło to małej grupki zaprzysięgłych turystów do przechadzki wąską brukowaną uliczką wiodącą z jednego końca portu na drugi. Uliczka prowadziła na wzgórze, u którego stóp przytuliła się malutka kawiarenka. Stało przed nią kilka stolików ocienionych rozeschłym drewnianym daszkiem. Przy jednym z nich siedziała Janey Wilcox, popijając coca-colę i wachlując się starym numerem „Time'a”.



Niecałe pół metra od niej, na sterwie desek, siedział żółtopomarańczowy kocur, wlepiając w nią spojrzenie ogromnych orzechowych oczu. Miał naderwane ucho i szramę nad jednym okiem. Kiedy się przekonał, że kobieta nie zamierza zamówić posiłku, by go nakarmić, zaczął niespiesznie czyścić pyszczek. Janey przyglądała mu się, sącząc colę przez słomkę. W całym porcie roiło się od kotów, oblegały każdego, kto siadał przy stoliku ustawionym na dworze. Niektóre z nich ośmielały się nawet wskakiwać na puste krzesła przy tym samym stole.

Janey westchnęła, podpierając podbródek dłonią. Oddała się obserwacji portu. Było to czarujące miejsce, ale minęły już trzy dni, odkąd rzucili tu kotwicę i egzotyczna sceneria dawno już się jej opatrzyła. Pozostałe dziewczyny też nie wiedziały, dlaczego muszą tkwić przez trzy dni w takim miejscu, ale były zbyt głupie, żeby ruszyć głową i poszukać odpowiedzi. Nie dziwiły się niczemu, nawet poleceniom, które im wydano pewnego ranka, zaraz po przybiciu w małej zatoce u brzegu jakiejś z pozoru niezamieszkaney wyspy: zasłonić okna i nie ruszać się na krok z kabin.

One, oczywiście, zastosowały się do rozkazów bez szemrania, ale nie Janey. Wszedłszy na łóżko, odchyliła ostrożnie rąbek zasłony i wyjrzała przez okno. Zobaczyła, jak po zboczu skalistego wzgórza schodzą trzej uzbrojeni w karabiny maszynowe żołnierze w panterkach. Rzuciła się na łóżko i zatykała usta dłonią, z wielkim wysiłkiem powstrzymując się od krzyku. Już tego dnia, kiedy zgodziła się popłynąć *Mamoudą*, domyśliła się, co zamierzają z nią zrobić. Kiedy tylko wróciła na pokład i zobaczyła,

że nie mam tam już nikogo oprócz trzech małomównych dziewczyn, a cała załoga krząta się, wybiera cumy i podnosi kotwice, zaczęła podejrzewać, że porwano ją na sprzedaż. Następane trzy godziny spędziła w swojej kabynie, tysiąc razy lepszej niż kajuta, którą zajmowała na jachcie Sajeda; w łazience była marmurowa wanna, a do tego do wyboru szamponów, mydeł i kosmetyków. Nie mogła pozbyć się przekonania, że zostanie sprzedana w niewolę.

Wszystko było oszustwem. Zaproszenie na lunch i propozycja dziesięciu tysięcy tygodniowo miały tylko zamydlić jej oczy. Janey wyrzucała sobie głupotę, jęcząc z rozpacz, zwinięta na łóżku w pozycji płodowej. Przecież Paul mówił, że Raszid handluje bronią, może więc ma w ofercie także dziewczyny. Na domiar złego nikt na całym świecie nie wiedział, gdzie podziwia się Janey – nikt z wyjątkiem Estelli, której raczej nie przyszłoby do głowy wezwać pomocy dla koleżanki.

Janey zmrużyła oczy, wpatrując się w płytkie wody zatoczki portowej. Na brudnej plaży po przeciwległej stronie bawiły się dzieci, a dalej, w głębi, dwaj cieśle postukiwali leniwie w deskę ułożoną na kozłach. Oczywiście, dotąd Janey nie stało się nic złego. Jednak tamtego dnia widok żołnierzy przekonał ją, że miała całkowitą rację. Nagle wszystko ułożyło się w logiczną całość: bezludna wyspa to najlepsze miejsce do przeprowadzenia takiej transakcji. Nie będzie tu żadnych świadków, a Janey zniknie bez śladu, jakby nigdy się nie urodziła. Bóg jeden wie, co z nią zrobią... Czeka ich jednak mała niespodzianka: Amerykanka postanowiła, że nie da się wziąć żywcem.

Mała portowa kafejka była przyjemnym miejscem, lecz Janey nudziła się śmiertelnie z braku jakiegokolwiek zajęcia. Żeby zająć czymś umysł, zaczęła analizować swoje zachowanie tamtego strasznego dnia. Człowiek ogarnięty paniką jest zdolny do naprawdę ciekawych reakcji. Janey przypomniała sobie, że przez dziesięć minut była półprzytomna i kompletnie dezorientowana. Straciła poczucie przestrzeni; gdyby nie siła grawitacji, nie umiałaby określić, gdzie jest góra, a gdzie dół. Następnie, nie wiedząc czemu, wpełzła do marmurowej wanny i przykryła się ręcznikami. Co dziwne, choć przerażona, to jednak zwróciła uwagę na to, że ręczniki są wyjątkowo grube i puszyste. Przyszło jej też do głowy, że mogłaby wziąć kąpiel, ale szybko porzuciła ten zamiar. Skoro szli po nią, nie było sensu ułatwiać im zadania, rozbierając się. Po jakimś czasie Janey wyszła z wanny. Jej umysł pracował już nieco sprawniej. Postanowiła przygotować się jak najlepiej na wypadek, gdyby nadarzyła się okazja ucieczki handlarzom. Włożyła szorty khaki, a kieszenie wypchała przeróżnymi gadżetami, które w razie potrzeby mogły posłużyć jako broń: były tam nożyczki do paznokci, przybornik na igły i nici, a nawet niewielka, podróżna pianka do golenia. Tak wyekwipowana podkrađła się do okna i znów ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

Trzej żołnierze stali na brzegu, rozmawiając z Raszidem. Janey nie widziała jego twarzy, lecz była pewna, że to on. Poznała go po stroju: od chwili opuszczenia francuskiego wybrzeża Raszid nie ubierał się inaczej jak tylko w tradycyjne, powłóczyste szaty arabskie, do których nosił odbłaskowe okulary przeciwsłoneczne. Razem z nim na brzeg zeszli dwaj

jego pomocnicy, także uzbrojeni w karabiny maszynowe. Sądząc po energicznej gestykulacji, rozmowa była ożywiona. Następnie cała grupka ruszyła wąską ścieżką w głąb wyspy, znikając Janey z oczu.

Opadła bezsilnie na łóżko, kłując się boleśnie nożyczkami w kieszeni.

Niepotrzebnie dała się ponieść panice – okazało się, że nie handluje się tu żywym towarem, ale bronią. Raszid był sprytny; kiedy dwie godziny później pozwolono dziewczętom wyjść z kabin, zastały salon przybrany na kształt zimowego krajobrazu. Na podłodze leżał sztuczny śnieg, a na ścianach wisały pomalowane na biało gałęzie, udekorowane choinkowymi światełkami. Pośrodku parkietu stał ogromny biały tort urodzinowy z napisem *Bon Anniuersaire Irina*. Dwudziestoosobowa załoga jachtu zebrała się w komplecie i odśpiewała „Happy Birthday” Irinie, wysokiej brunetce o dużych piersiach i fenomenalnie wąskiej talii. Irina wyglądała na zaskoczoną.

– Ja nie mam dziś urodzin – zaprotestowała. Mówiła po angielsku z ciężkim obcym akcentem.

– Panie Carmichael – powiedział Raszid do Iana (do nikogo nie zwracał się po imieniu) – czy to prawda? Panna Stepowa powiada, że nie ma dziś urodzin.

– Sprawdziłem datę w jej paszporcie, proszę pana. – In był absolutnie pewny swego.

– A może to ja się pomyliła? – zastanowiła się Irina. Sytuacja się wyjaśniła, a Raszid obdarował wszystkie dziewczęta brylantowymi bransoletkami.

- Tak naprawdę to Irina wcale nie ma dziś urodzin – szepnęła później Sallie, jedna z dziewczyn, kiedy opalały się we czwórkę na pokładzie. Sallie była Angielką i codziennie po sto razy przypominała koleżankom, że pochodzi z dobrego rodu spokrewnionego z rodziną królewską. Zachowywała się tak, jakby miała święte prawo przebywać na jachcie Raszida.
- Irina... pomyłka? Tak? – zapytała Conchita, Brazylijka, która знаła tylko kilka słów po angielsku i przynajmniej raz dziennie płakała za mamą. In mówił, że w Monako planowano wysadzić ją na brzeg.
- A co ty o tym sądzisz, Janey? – zapytała Sallie. Jej angielski akcent był twardy i skrzypiący jak zatarte łożysko. Gdyby Janey wiedziała cokolwiek o Anglikach, szybko zdemaskowałyby jej fałszywe pretensje do arystokratycznych korzeni. Nie zastanawiała się jednak nad tym, bo i tak nie mogła znieść Sallie. Przekręciła się na brzuch i odparła obojętnie:
- Co za różnica?
- A u mnie bransoletka. – Irina radośnie przesunęła dłonią w powietrzu.
- Ty coś wiesz, Janey. – Sallie położyła się obok niej. – Pewnie gadałaś o tym z łanem.
- Z łanem?
- Nie myśl, że nie widzimy, że robisz do niego słodkie oczy. Dajesz mu po cichu? Pamiętaj, że w każdej kabinie jest kamera.
- Więc wystarczy obejrzyć kasetę.
- A co to kasetę? – zapytała Irina.

In! Warkot helikoptera wyrwał Janey z zamyślenia. Znów była w

kafejce na końcu uliczki. Lśniący śmigłowiec Raszida przemknął nisko nad portem, a potem, zwiększając pułap, zniknął za górą, której strome zbocza wznosiły się nad miasteczkiem. Skoro Raszida nie ma, nadarzała się okazja, żeby In zbliżył się do niej; Janey sama stworzyła tę sposobność, oznajmiając przy lunchu, że chce wybrać się do miasteczka po gazety.

Wywołała tym zdziwienie Raszida, który powiedział wtedy z ledwie widocznym uśmiechem:

– Nie wiedziałem, że zna pani turecki, panno Wilcox. Czy oprócz tego ma pani jeszcze inne ukryte talenty?

– O, tak. – Uśmiechnęła się figlarnie. – I to niejeden.

– Nie trzymaj nas w niepewności, Janey – odezwała się Sallie z pełnymi ustami. – Może wiesz, jak sprawić, żeby piersi urosły większe?

– A co to piersi? – zapytała Irina.

Janey nastawiła uszu. Była prawie pewna, że słyszy w oddali silnik motorówki. Osłoniwszy oczy trzymanym w ręce magazynem, zdołała dojrzeć smukłą sylwetkę szarego lazera okrążającego cypel na skraju portu. Prowadził go wysoki blondyn. Z takiej odległości wszyscy marynarze z Mamoudy wyglądali identycznie – załoga składała się z Australijczyków i Anglików, a każdy z nich był szczupłym blondynem.

Jednakże In górował nad nimi wzrostem; Janey była pewna, że to właśnie on. Kiedy łódź wpłynęła do portu, prześlizgując się na wysokości kafejki, Janey z bijącym sercem podbiegła na skraj nadbrzeża, machając ręką. In powitał ją szerokim uśmiechem i skierował łódź w stronę moła w samym środku portu.

Janey powróciła do stolika, nerwowo szarpiąc brylantową bransoletkę na przegubie. Nie wiedziała, jak do tego doszło, ale była szaleńczo zakochana w Ianie. Kiedy nie szukała okazji, żeby choć otrzeć się o niego, spędzała czas na fantazjach, w których najpierw szli do łóżka, a potem uciekali z jachtu Raszida i zakładali wspólny dom. Prawda jednak była taka, że Janey przebywała na pokładzie już od siedmiu dni, a w tym czasie nie spędziła z Ianem więcej niż trzydzieści sekund sam na sam. Ale choć pół minuty to niewiele, wystarczyło jej to, aby dostrzec w jego oczach głębokie zrozumienie; to był człowiek, który poznał się na niej.

In zacumował i ruszył w kierunku kafejki. Janey przypomniała sobie początek swojej miłości do niego. Zaczęło się już pierwszego wieczoru, który spędziła na jachcie. Roztrzęsiona i przerażona Janey szła na kolację. W drodze na rufę wpadła na kapitana.

– Oni chcą nas sprzedać w niewolę – syknęła mu gniewnie do ucha.

In był tak zaskoczony, że nie mógł powstrzymać się od głośnego śmiechu.

– Coś pani powiem – oświadczył. – Jeśli to prawda, to ja panią obronię.

Przelicytuję wszystkich, słowo honoru.

Roześmiał się ponownie, trzęsąc z niedowierzaniem głową. Od tej pory był to ich stały żart; za każdym razem, kiedy się spotykali, Janey mówiła: „Mam nadzieję, że coś pan już odłożył”, na co In odpowiadał: „Chowam gotówkę w materacu”, mrugając przy tym porozumiewawczo.

Był już o krok od kafejki, gdy nagle skręcił, znikając w białym budynku, na którego drzwiach widniała mosiężna tabliczka o oficjalnym

wyglądzie. Mieścił się tam urząd celny. Janey pociągnęła jeszcze łyk coli, usiłując uspokoić bijące szaleńczo serce. Wiedziała, że musi do niej przyjść. Była „gościem” na jachcie jego pracodawcy, a ponieważ już wcześniej ją zauważył, miał obowiązek przynajmniej podejść i przywitać się. Janey jednak od razu zaczęła snuć fantazje: zabierze ją z powrotem na jacht, a skoro Raszida nie ma, być może uda jej się wślizgnąć do jego kajuty. Sallie mówiła, że wszędzie są kamery, ale na pewno nie w prywatnych pomieszczeniach dla załogi. Janey nie mogła uwierzyć, że ktoś taki jak In zniósłby obecność kamery w swoim pokoju. Ktoś tak przystojny i mądry...

Minął kwadrans, In wyszedł z biura celnego i pomachawszy do Janey, podszedł do jej stolika.

– Jak tam tureckie gazety? – zagadnął.

– Chyba jednak nie znam tego języka – odparła beztróska.

– Zatem ucieszy panią wiadomość, że po południu wyruszamy do

Monako. Była pani kiedyś w Monako?

– Nie, ale być może Raszid zechce mnie tam wysadzić...

– Wątpię – rzekł In, przekrzywiwszy głowę. – Polubił panią.

– Pewnie dlatego, że dobrze gram w pokera... Czy musimy natychmiast wracać na jacht?

– Poczekam, aż skończy pani pić.

– Zatem nie będę się spieszyć. – Uśmiechnęła się do niego. Szalała na punkcie jego głosu, nawykłego do wydawania rozkazów. Kiedy mówił do niej w ten sposób, czuła się jak dziecko, które słyszy od ojca zapewnienie,



że wszystko będzie dobrze. – A pan się nie napije? Dlaczego? – zapytała niewinnym głosem.

– Ponieważ – odrzekł, pochylając się nad jej stolikiem – lepiej, żeby nie widziano nas razem.

– Więc wejdźmy do środka.

– To by było jeszcze gorsze. Pomyślą, że chcemy się ukryć.

– Czy ktoś nas obserwuje?

– Jasne. – Nie mogła zgadnąć, czy żartuje, czy mówi poważnie. –

Widzi pani tego faceta? – wskazał potężnie zbudowanego mężczyznę z ogoloną głową. – Zna go pani?

– Niee...

– A on płynie z nami. To jeden z goryli Raszida.

– Mam to w nosie!

– O Boże, Janey. – In westchnął, tracąc cierpliwość. – Czy ty wiesz, co oni w swoim kraju robią z cudzołożnicami? Wrzucają je do pustego basenu i kamienują na śmierć.

Janey wciągnęła powietrze, patrząc z przerażeniem, jak łysy olbrzym usiłuje kopnąć kota, który nieopatrznie zbliżył się do niego.

– Nie wierzę ci – oświadczyła, In wzruszył ramionami.

– Właściwie mogę napić się coli. – Poszedł do baru i po chwili powrócił, niosąc szklankę i butelkę. Usiadł tak, żeby rozdzielał ich blat, dodatkowo odsuwając krzesło od stołu. – Porozmawiamy o Monako – oznajmił.

– Nie chcę rozmawiać o Monako.

– Spodoba ci się tam – pociągnął łyk prosto z butelki. – Sklepy, no i kasyna...

Janey pochyliła się ku niemu, opierając łokcie na stole.

– Nie obchodzą mnie sklepy ani ciuchy. Ani nawet to! – Potrząsnęła ręką, na której lśniła bransoletka.

Wypił kolejny łyk, przypatrując się jej zmrużonymi oczami.

– Nie ma takiej dziewczyny, której by nie obchodziły ciuchy. I forsa.

– In – powiedziała Janey miękko – zakochałam się w tobie.

Nigdy wcześniej nie wyznała tego żadnemu mężczyźnie; nie spodziewała się, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Jednak w obecnej sytuacji, na poły nierzeczywistej, słowa same wymknęły się jej z ust.

Wyznanie prawdy przyniosło jej ulgę. Gdyby ich dwoje połączyła miłość, jej położenie w jednej chwili uległoby całkowitej zmianie, a ohydne upodlenie zmieniłoby się w romantyczny zawrót głowy. Pobyt na jachcie Raszida stałby się niczym więcej jak anegdotą, którą opowiadaliby swoim dzieciom...

In odwrócił wzrok, a kiedy znów spojrzał na nią, zapytał:

– Co ty robisz na tym jachcie, Janey?

– Nie wiem...

– Kiedy tylko cię ujrzałem, zadałem sobie pytanie: „Czego ona tu szuka?”. Rozumiem inne kobiety i wiem, co je tutaj przyciąga. Ale ty, Janey – potrząsnął głową – tobie to niepotrzebne. Uroda urodą, ale ty do tego jesteś inteligentna. Masz coś w głowie. Wracaj do Stanów i zostań lekarzem...

– Lekarzem?

– Czy ktoś wie, gdzie jesteś?

– Mówiłam ci, że praktycznie zostałam porwana...

> – Czy w razie czego ktoś by cię szukał?

– Jasne. Mam rodzinę...

– Większość dziewczyn, które trafiają na ten jacht, nie ma nikogo, kto zauważyłby ich zniknięcie, a jeśli nawet, to nikt by się tym nie przejął.

– In – Janey szarpnęła nerwowo bransoletkę – a co ty robisz na tym jachcie?

– Radzę ci zejść na ląd w Monako. – Nie odpowiedział na pytanie. – Tam będzie to proste. Wróc do rodziny.

– Widziałam, jak Raszid handluje bronią.

In powoli odstawił pustą butelkę na stół. Podniósł się niespiesznie.

– Udam, że tego nie słyszałem. A tobie radzę udawać, że nigdy tego nie powiedziałaś.

– In – szepnęła – jeśli zejdem na ląd w Monako, to czy pójdziesz ze mną? Czy możemy być razem?

Zaśmiał się. Napięcie prysło.

– Lepiej wracajmy już na pokład.

– Możemy być razem? – powtórzyła z uporem. – Wiem, że za mną szalejesz. Widziałam, jak na mnie patrzysz...

– Czyżby? – Zrobił zabawną, skonsternowaną minę. – Muszę się postarać, żeby więcej tak na ciebie nie patrzeć.

W Monako Janey nie zeszła na ląd.

Ta niebezpieczna gra wciągnęła ją bez reszty. Najbardziej fascynowało ją to, że była jednocześnie reżyserem i głównym aktorem własnego przedstawienia. Wmówiła sobie, niczym głupia podfruwajka, że nie zniesie rozstania z Ianem. Świącie przekonana, że jest obiektem jego pragnień (zwłaszcza że wcale temu nie zaprzeczył), Janey ze wszystkich sił starała się wzbudzić jego zazdrość. Codziennie wracała na pokład obładowana torbami z logo Diora i Christiana Lacrobe, paradując przed samymi oknami rufówki, gdzie przesiadywał In.

– Jak tam, Janey? – pytał wtedy, przeciskając się obok niej w wąskim przejściu.

– Nie najgorzej – odpowiadała.

– Na zewnątrz, być może, ale oboje wiemy, jak jest naprawdę.

– Jesteś moją miłością, In – szeptała wtedy z ciężkim westchnieniem.

Przed Raszidem, rzecz jasna, musiała skrywać swoje prawdziwe uczucia, ale to tylko dodawało pieprzu całej zabawie. Dzięki tej dwulicowości Janey czuła, że żyje; jej zmysły były tak wyostrzone, że każda chwila wydawała się wyjątkowo udaną sceną z pięknego filmu. Gdy zawitali do Monte Carlo, Janey, wystrojona w długie suknie, towarzyszyła Raszidowi w kasynie. Wszędzie, gdzie się pojawiła, zwracała uwagę mężczyzn, którzy wodzili za nią wzrokiem, próbowali zagadywać, aż w końcu, z właściwą młodości arogancją, Janey uwierzyła, że jest piękna. Dziękowała Bogu za ten dar, nie mogąc wyobrazić sobie okropniejszego losu niż los brzyduli.

Jednej nocy zdarzył się jednak mały wypadek, który nieco nią

wstrząsnął.

Było to w klubie Jimmy's, gdzie bawiła się wraz z Raszidem i grupą innych kobiet. Szła właśnie do toalety, kiedy nieznajomy mężczyzna popchnął ją i przyparł do ściany. Czuć było od niego alkohol. Rzucił jej w twarz szyderczym tonem:

– Musisz być niezła, skoro Raszid cię trzyma. Podobno on ma tylko najlepszy towar...

Janey odepchnęła go i uciekła do łazienki. Drżącymi rękami otworzyła torebkę i wyjąwszy szminkę Pussy Pink, starannie umalowała usta.

Ulubiona czynność i kolor uspokoiły ją trochę. Była w szoku; na południu Francji roiło się od podobnych kobiet, bez widomych środków utrzymania, lecz w tym kraju nikogo to nie dziwiło. Janey nie dopuszczała do siebie myśli, że aż tak bardzo po niej widać, czym się zajmuje. Obok niej przed lustrem stały dwie atrakcyjne młode kobiety, Amerykanki, sądząc z wyglądu; zauważyła, że ich stroje, choć drogie, nie mogą się mierzyć z jej suknią. Kątem oka dostrzegła, że bacznie ją obserwują, a potem szepczą coś między sobą.

Odwróciła się błyskawicznie, mierząc je wyzywającym spojrzeniem.

– No? – zapytała drżącym z wściekłości głosem. – O co chodzi?

– O nic. – Jedna z Amerykanek wzruszyła ramionami, po czym obie wyszły. Kiedy mijały Janey, dobiegło ją jedno słowo wypowiedziane szeptem: puta, czyli po włosku kurwa.

Na chwilę kompletnie ją zatkało. Czując narastającą panikę, cofnęła się o krok i spojrzała w lustro. A więc było już widać na odległość, kim się

stała. Dzisiejszego wieczoru miała na sobie bardzo drogą suknię z kolekcji Thierry'ego Muglera, a do tego złotą bransoletę od Chanel. Ta kreacja do tej pory wydawała jej się elegancka, lecz teraz widziała w niej tylko szyk luksusowej prostytutki. Napęliło ją to takim wstrętem, że omal nie zdarła z siebie wszystkiego. Powstrzymał ją głos rozsądku: piękne stroje i biżuteria są bardzo drogie, dlatego kto chce się w nie stroić (a Janey chciała), musi płacić za to własnym ciałem i urodą, skoro nie może inaczej. Zbudził się też w niej drugi głos, buntowniczy: czym różni się jej zachowanie od postępowania kobiet pokroju Kim, które wychodzą za bogaczy, żeby kupować sobie domy i wieszać w oknach kotary za dwadzieścia tysięcy dolarów? Różnica polega praktycznie na tym, że tamte kobiety mają mężów, a Janey nie...

Wróciła na jacht ponura i w złym humorze.

W salonie spotkała Iana, nadzorującego porządku. Impreza, rozpoczęta w mieście, bez wątpienia miała zakończyć się na jachcie.

– Och, In – załkała. – Spotkałam dwie okropne baby...

Ianowi wystarczyło jedno spojrzenie, żeby domyślić się, co zaszło.

– Stare przysłowie mówi – potrząsnął głową – że apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Niepostrzeżenie Upiec dobiegł końca, a w sierpniu nagle wszystko z wielkim hukiem legło w gruzach.

Było to w Cannes. Raszid, Janey i jeszcze dwie dziewczyny (przez Mamoudę przewijało się wiele kobiet, a Janey tak świetnie opanowała sztukę patrzenia na nie z góry, że nie pamiętała nawet jednego imienia)

spacerowali bulwarem de la Croisette, w drodze do restauracji w hotelu Carlton. Janey miała na sobie sukienkę od Ungaro, bez rękawów, z grubymi poduszkami na ramionach. Włosy upięła z tyłu głowy, a na szyi wisiał ciężki naszyjnik z perłami, od Chanel. Rozmowa toczyła się w najlepsze; poprzedniego dnia cała czwórka bawiła się na przyjęciu w domu pewnej bogatej wdowy, Amerykanki. Nagle Janey poczuła, że ktoś łapie ją za ramię i usłyszała nieprzyjemnie znajomy męski głos:

– Janey?

Zatrzymała się, a wraz z nią Raszid i dziewczęta. Bez pośpiechu, jakby w zwolnionym tempie wszyscy odwrócili się, patrząc z ciekawością na młodego, brodatego mężczyznę w szortach khaki i prostych zamszowych sandałach, z ciężkim plecakiem zarzuconym na ramię.

To był jej brat, Pete.

Dwa kroki za nim stała ładna młoda kobieta, podobna nieco do Ali MacGraw. Janey poznała Annę, dziewczynę Pete'a jeszcze z czasów liceum i studiów. Anna przypatrywała się jej z ustami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Janey? – powtórzyła za Pete'em.

Pete spojrział na Janey, potem na dziewczyny, a wreszcie zatrzymał wzrok na Raszidzie. Na jego twarzy, obok zaskoczenia, odmalował się wstręt.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? – wrzasnął, zaciskając palce na ramieniu Janey.

Na plac Vendome spadły rzadkie krople deszczu. Janey spojrzała w

górze; czas najwyższy złapać jakąś taksówkę i pojechać do Diora na spotkanie z Mimi. Deszcz groził zniszczeniem jej fryzury i drogiego ubrania. Mimi będzie się martwić... Ale Janey miała to w nosie. Bolesne wspomnienia paliły ją żywym ogniem, a lekki, chłodny deszczyk przynosił ulgę.

Upłynęły dwa dni, zanim mogła zejść na ląd. In doradził jej, by się nie spieszyła; Raszid musiał sam o tym zdecydować. Przyzwoitość nakazywała, żeby ta propozycja wyszła od gospodarza, a poza tym Janey chciała dostać swoje pieniądze.

Rankiem trzeciego dnia wezwano ją ponownie do gabinetu. Za biurkiem siedział ten sam Arab co poprzednio.

– Pan Raszid jest wdzięczny za pani miłe towarzystwo, uważa jednak, że powinna pani opuścić jego jacht. Bagaże będą czekać przy trapie.

Kierowca zawiezie panią, dokądkolwiek pani sobie zażyczy.

Wręczył Janey niewielką walizeczkę od Louisa Vuittona.

– W imieniu pana Raszida pragnę przekazać pani ten dowód uznania.

Najlepiej będzie, jeśli wyruszy pani niezwłocznie.

Janey wyszła z gabinetu, ściskając kurczowo walizeczkę. Minąwszy salon, wyszła na pokład rufowy, gdzie przed sześcioma tygodniami odbył się ów pamiętny lunch. Na końcu trapu dostrzegła swoje walizki,

porządnie poustawiane przy bagażniku czarnego mercedesa z

przyciemnianymi szybami. Obok samochodu stał kierowca, także Arab.

Janey rozejrzała się błędnym wzrokiem za łanem. Na pewno wiedział, że ma zejść ze statku. Czyżby nie chciał się z nią nawet pożegnać?



Przystanąła obok schodków prowadzących na trap. Sierpniowe słońce zaczynało grzać na dobre. Janey poczuła zawroty głowy, a w następnej chwili zobaczyła obok siebie Iana.

– Pomóc pani, panno Wilcox? – zapytał, biorąc ją delikatnie pod ramię.

– O, tak! – zawołała, patrząc mu prosto w oczy.

– Uważaj – mruknął, zerkając w stronę kierowcy.

Janey chciała powiedzieć mu tyle rzeczy, a czasu praktycznie nie było wcale. Łzy napłynęły jej do oczu. Nagle poczuła się kompletnie wyczerpana. Skąd to wielkie zmęczenie?

– In... – zaczęła.

– Cieszę się, że odchodzisz, Janey. Już czas.

Dotarli na koniec trapu i zeszli na betonowe nadbrzeże.

– Czy to cały pani bagaż? – spytał In oficjalnym tonem. Janey spojrzała z konsternacją na cztery walizki od Vuittona, ustawione w piramidkę, jak bagaże jakiejś sławnej aktorki. Nie spodziewała się...

Przez chwilę znów myślała, że się rozplacze. Otworzyła torebkę i wyjęła parę ciemnych okularów. Arabski kierowca włożył walizki do bagażnika.

– In...

– Słucham, panno Wilcox?

Janey nie wiedziała, co powiedzieć. Kierowca otworzył drzwi, In cofnął się o krok. Spojrzawszy na niego, Janey trzema szybkimi krokami przemierzyła dzielącą ich odległość.

– Dlaczego ty jesteś na tym jachcie?

Spojrzał jej w oczy i smutno potrząsnął głową.

– Z tego samego powodu co ty, Janey. Dla pieniędzy.

– Ale...

– Moja była żona mieszka razem z naszym dzieckiem w Australii.

Janey odetchnęła z ulgą. Żonaty? Czemu nie?

– Czy zobaczymy się jeszcze?

– Nie wiem.

– Powiedz, że mnie kochasz, In. Proszę cię. Bo ja wciąż cię kocham.

Jego uśmiech był bardzo smutny. Wyciągnął rękę i poprawił jej

okulary, które zsunęły się z nosa.

– Jedź już. I nie płacz. Pamiętaj, duże dziewczynki nie płaczą.

Uścisnął jej dłoń.

– Zegnam, panno Wilcox. Przyjemnej podróży.

Janey rozplakała się na dobre dopiero wtedy, kiedy samochód powoli ruszył. Spod ciemnych szkieł łzy ciekły po policzkach. Po kilku minutach przypomniała sobie jednak o małej walizeczce leżącej tuż obok, na siedzeniu. Sprawdziła, czy kierowca nie patrzy. Położywszy walizkę na kolanach, ostrożnie nacisnęła zamek.

Wieczko otworzyło się powoli. Na widok tego, co było w środku, Janey opadła bez sił na siedzenie. Serce waliło jej jak młot. Momentalnie zapomniała o łanie, zapomniała o całym świecie. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o plikach banknotów tysiąc dolarowych wypełniających walizeczkę. W głowie dźwięczała jej jedna jedyna myśl: udało się! I choć Janey nie potrafiłaby powiedzieć, co jej się udało, ani też

jak tego dokonała, to z całą pewnością nie było to nic przykrego...

Samochód przetoczył się w żółwym tempie przez zatłoczony bulwar, a następnie skręcił na drogę prowadzącą na wzgórze. Janey ukradkiem przeliczyła pieniądze. W walizce było wszystko co do grosza: jej „wypłata” plus wygrane w pokera... Przyszło jej do głowy, że mając tyle, nie musi wcale wracać, jest wolna! Może pojechać, dokąd tylko sobie życzy, może robić to, na co ma ochotę – kto jej zabroni zamieszkać na Tahiti i zająć się pisaniem książek? Czemu nie? Od dawna wyobrażała sobie, że zostanie słynną powieściopisarką... Ludzie będą przychodzić do niej i dziękować za słowa, które pomogły im odmienić własne życie... Chciała powiedzieć kierowcy, żeby natychmiast zawrócił i zawiózł ją na lotnisko. Tam kupi sobie bilet zgodny z jej kaprysem, wsiądzie do samolotu i zniknie, wolna i swobodna... Nie zrobiła tego jednak. Być może spowodował to strach, być może wyrzuty sumienia. Samochód wjechał na wzgórze, mijał stacje benzynowe, supermarkety i sklepy z meblami, aż w końcu zatrzymał się przed schroniskiem turystycznym. Był to stary, zniszczony budynek, o ścianach pomalowanych łuszczącą się niebieską farbą. Janey pomyślała, że w środku na pewno roi się od pluskiew... Pete i Anna siedzieli w pobliskiej kawiarence i pili kawę. Na widok samochodu Pete wstał, marszcząc brwi. Kierowca otworzył drzwi i Janey wysiadła, czując się nagle okropnie głupio na wysokich obcasach i w kosztownej sukni od Lacrobe. Kiedy kierowca wyładował jej bagaże, Pete parsknął:

– Więcej nie miałaś?

– Nie podróżuję z plecakiem – odcięła się Janey.

– Rozmawiałem z mamą. Chce, żebyśmy natychmiast wracali. Mamy polecieć prosto z Nicei, nie przez Paryż. Wysłała mi forszę na bilety.

– Mam własne pieniądze – powiedziała.

Pieniądze! Trzeba je schować w walizkach. W formularzu wjazdowym było coś o zakazie wwożenia do kraju sum większych niż dwadzieścia tysięcy dolarów. Janey poczuła zawroty głowy na samą myśl, że mogłaby zostać aresztowana.

– Mamy samolot o trzeciej. Trzeba się zbierać.

– Mogę iść do łazienki?

Pete patrzył niechętnie, jak Janey taszczy wszystkie walizki, jedną po drugiej, do łazienki, typowej francuskiej toalette, składającej się praktycznie tylko z dziury w betonowej podłodze. Miała ona jednak tę zaletę, że była pusta. Drżącymi rękoma Janey podzieliła pliki banknotów i porozkładała je po wszystkich czterech walizkach, dla pewności jeszcze raz przeliczając całą sumę. Wszystko się zgadzało – była właścicielką stu nowiutkich banknotów tysiąc dolarowych.

Na lotnisko pojechali taksówką. Kiedy ruszyli, Pete odwrócił się do Janey, skulonej na ciasnym tylnym siedzeniu taniego samochodu. Jego głos zdradzał ledwie hamowaną wściekłość.

– Wiesz, że otarłaś się o śmierć? Nikt nie wiedział, gdzie cię szukać.

Mama już miała powiadomić francuską policję...

– Nic mi się nie stało – powiedziała Janey. – Co, źle wyglądam?

– Wyglądasz jak...

– Co takiego?!

– Nie bądź dla niej taki ostry – powiedziała Anna ciepłym głosem. –

Przecież to jeszcze dziecko.

– Teraz już nie jest dzieckiem...

– Nie macie większych zmartwień? – przerwała mu Janey. – Was to nie dotyczy.

– Ale mama umrze z rozpacz. Rozumiesz? W ogóle cię to obchodzi?

Czy myślisz już tylko i wyłącznie o sobie?

– To jej nie mówcie.

– Na to już chyba za późno – warknął Pete.

Kiedy dojechali na lotnisko, Janey zapłaciła za taksówkę. Przez całą drogę do domu zamienili ze sobą tylko kilka słów.

W Bostonie, na lotnisku imienia Logana, czekali rodzice. Na widok stroju Janey i jej bagaży matka zacisnęła usta w wąską kreskę. Na drugi dzień zabrała ją do lekarza.

Badanie wykazało mononukleozę. Matka powiedziała, że Janey powinna się cieszyć, że to nie syfilis. Kiedy wracały już do domu, matka nagle zjechała na pobocze.

– Muszę to wiedzieć, Janey – oświadczyła. Janey spojrzała na nią, czując, jak budzą się w niej wszystkie kompleksy z dzieciństwa. Od kiedy sięgała pamięcią, matka nigdy za nią nie przepadała. Zamiast normalnych rozmów Janey musiała wysłuchiwać jej lekceważących uwag i bronić się przed złośliwą krytyką. Matka opuściła daszek przeciwsłoneczny i zaczęła malować usta.

– Spałaś z nim? – zapytała.

– Z kim?

– Aleś ty głupia.

– Z kim, mamó? Powiedz wyraźnie, o kogo ci chodzi.

– Z tym... Raszidem. – Głos matki był jak syk węża. – Z tym zbrodniarzem.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Co za głupia gęś. Po kim ty to masz? Gdzie popełniłam błąd?

Uruchomiła silnik i ruszyła dalej. Nie był to jednak koniec rozmowy.

– Czy choć przez chwilę pomyślałaś o mnie? O ojcu? O tym, co powiedzą znajomi w klubie?

– Dobrze! – krzyknęła Janey. – Wyprowadzę się. Wyjadę i zniknę wam z oczu. Nigdy więcej mnie nie zobaczycie i będziecie mogli udawać, że mnie nie ma.

– Jesteś chora.

– To się zabiję.

– Nie bądź durna! – wrzasnęła matka. Dojechały już do domu. Matka niezręcznie wprowadziła samochód na podjazd. – Zawsze wiedziałam, że to się tak skończy. Ostrzegałam cię: jak dziewczyna jest brzydka, mężczyźni będą ją wykorzystywać...

– Byłam z Raszidem, ponieważ mu się podobałam. A podobałam mu się, bo jestem piękna! – Janey wyskoczyła z samochodu, trzaskając drzwiami. – Ale ty nie możesz tego ścierpieć. Nie potrafisz pogodzić się z faktem, że już nie jesteś najpiękniejsza!

Przez dwa kolejne miesiące Janey praktycznie nie wychodziła z łóżka.

Siedziała w swoim starym pokoju, czując się jak Alicja w Krainie Czarów; w czarodziejski sposób wszystko wokół niej wydawało się kurczyć, a ona sama rosła. Czasami bała się, że eksploduje i rozsadzi cały dom. Matka zapisała ją na kursy przygotowawcze na wyższą uczelnię; ze wstydu Janey nawet nie próbowała się sprzeciwić.

W końcu jednak powrócił jej hart ducha. Nie bez znaczenia był tu fakt, że wciąż miała swoje sto tysięcy, schowane w szafie, za starym domkiem dla lalek. Była jesień. Janey przesiadywała całe dni w pokoju, w którym mieszkała jako dziecko, i myślała o tym, że może zapomnieć o przeszłości i zacząć wszystko od nowa. Była młoda; w wieku dziewiętnastu lat ciężkie przejścia nie pozostawiają trwałych śladów. Ale ziarno zostało już zasiane i padło na podatny grunt – a może tkwiło ono w niej od zawsze i tylko splot odpowiednich okoliczności zbudził je do życia? Tak czy inaczej zaczęło kiełkować i coraz częściej dawało o sobie znać.

Cztery miesiące później spotkała się ponownie z Ianem. Mieszkała w Nowym Jorku, w mieszkaniu, które wynajmowała do tej pory. Pewnego wieczoru zadzwonił telefon.

W słuchawce zabrzmiał nieznajomy męski głos.

– Janey! Nareszcie! Od kilku dni próbuję się dodzwonić!

– Kto mówi? – zapytała chłodnym tonem.

– Nie poznajesz mnie po głosie? Zgadnij.

– Nie wiem.

– To ja, In. In Carmichael. Jestem w Nowym Jorku...

Umówili się w barze na rogu jej ulicy. Przez te pół roku Janey wciąż o nim myślała, lecz zobaczywszy go, nie mogła zrozumieć dlaczego. Jej serce nagle ostygło. Zrozumiała, że In pasuje tylko i wyłącznie do swojego środowiska. W jasnym, bezlitosnym świetle Nowego Jorku miał tyle finezji co turysta ze środkowego zachodu Stanów: nosił akryłowy sweter, a jego wielka duma – czarne skórzane buty świeżo kupione na Trzeciej Alei – były absolutnie nie do przyjęcia. Wypili trzy kolejki tequili. Janey usiłowała wzbudzić w sobie dawne uczucie do niego. Bezskutecznie.

Latem jego zęby wydawały się lśniąco białe – teraz widziała wyraźnie, że są żółte i poszczerbione. Oczy – te błękitne oczy, w które wpatrywała się z taką tęsknotą – były osadzone zbyt blisko siebie. Nawet fryzura była zła: bujna blond czupryna, niezręcznie przycięta, niepotrzebnie eksponowała nos. In wyjaśnił, że przyjechał do miasta na dwa tygodnie, żeby zamówić wyposażenie dla Mamoudy. Wciąż powtarzał, jak się cieszy, że w końcu się spotkali. Kiedy wziął ją za rękę, Janey odruchowo chciała ją cofnąć.

W końcu nadeszło to, czego nie sposób było uniknąć; zaprosiła go do siebie. Całowali się, stojąc przed kominkiem, ale kiedy poczuła jego język, z trudem powstrzymała się od krzyku. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje; przecież tak długo czekała na tę chwilę. Zaczęli się kochać. Janey z całego serca pragnęła, żeby ożyła w niej na nowo ta żarliwa namiętność, która przepełniała ją latem. Tak się jednak nie stało. Kiedy robił jej dobrze językiem, drażniło ją to tylko i nie mogła się doczekać, aż jej wsadzi, byle szybciej skończył. W końcu doczekała się i tego, ale przyjęła to tak obojętnie, że nie zamknęła nawet oczu. W pewnym momencie In



powiedział:

– Dochodzę. Mogę?

– Tak – westchnęła. – Proszę bardzo.

Skończył i przez chwilę leżał na niej. Potem on także lekko westchnął, potrząsnął głową i wstał z łóżka, sięgając po ubranie. >

– Dokąd idziesz? – zapytała Janey.

– Wychodzę. Już po wszystkim.

– Nie rozumiem.

– Ależ rozumiesz.

– Aleja...

– Posłuchaj mnie, Janey. – Wciągnął sweter przez głowę. – Nie chcę słyszeć od ciebie, że mnie kochasz, bo tak nie jest.

– Skąd możesz to wiedzieć?

In przysiadł na skraju łóżka.

– Nigdy nie byłaś we mnie zakochana. Nie widzisz tego?

Janey chciała zaprotestować, ale In położył jej rękę na ustach.

– Wmówiłaś to sobie, żeby nie zwariować. Bo gdybyś chociaż przez chwilę zastanowiła się nad tym, co ze sobą robisz...

– Naprawdę cię kochałam! – uparła się Janey, siadając na łóżku i okrywając się prześcieradłem.

In wstał.

– Jesteś zimna. Zbyt zimna, żeby kogoś kochać.

Te słowa zapiekły ją jak policzek. Oparła się ciężko plecami o ścianę, nie mogąc złapać tchu. Nie zważając na jej zachowanie, In odwrócił się i

ruszył do drzwi. Pobieгла za nim, zostawiając prześcieradło na łóżku.

– Jak śmiesz tak mówić?! To nieprawda!

Nie słuchał jej. Otworzywszy drzwi, odwrócił się, a na jego twarzy malowała się nienawiść.

– Jesteś jak pajęczycyca – rzucił jej w twarz i zaczął schodzić po schodach.

– In, zaczekaj...

– Ohydna czarna wdowa – dobiegły ją jego słowa z półpiętra.

Janey zamknęła drzwi i oparła się o nie, łkając. Dlaczego zawsze musi ją spotykać to samo? Dlaczego nikt jej nie rozumie?

Lecz po kilku minutach łzy obeschły. Janey stanęła przed lustrem.

Przez długi czas przyglądała się sobie, a w końcu wybuchnęła histerycznym śmiechem. Cóż to za farsa, że była tak zjawiskowo piękna!

Na ulicy ludzie zatrzymywali ją i głośno zachwycali się jej urodą.

Mężczyźni oglądali się za nią z samochodów. Dwa miesiące temu los się do niej uśmiechnął: zadzwonili ludzie z agencji Eileen Ford. Janey miała

dostać pracę przy zdjęciach do katalogu. Na cały miesiąc! Matka już nie wspominała nawet o kursach na studia; sama odwiozła ją na dworzec

kolejowy w Bostonie. Na pożegnanie pocałowała córkę w oba policzki.

– Odezwij się od czasu do czasu. – Uśmiechnęła się z ociąganiem.

Janey odeszła na krok od lustra, krzywiąc usta w uśmiechu pełnym złośliwej satysfakcji. Była uratowana, a tym, co ją ocaliło, była jej najdroższa, najwspanialsza uroda.

Przelotna mżawka zamieniła się w zimną, gęstą mgłę, która spowiła plac Vendome. Janey otarła moką twarz, zastanawiając się, czy uroda wtedy rzeczywiście ją ocaliła, czy może odwrotnie – skierowała na złą drogę. Gdyby od samego początku, po incydencie z Raszidem, starała się zrobić coś ze swoim życiem, zamiast wciąż tylko liczyć na urodę i szczęśliwy traf, to być może naprawdę by do czegoś doszła. Bo jaki sens ma bycie piękną, jeśli nosi się w sobie pustkę? Wszyscy wokół mieli jakieś życie wewnętrzne, jakiś zasadniczy element powodujący, że to, co robili, budziło w nich emocje. Janey brakowało takiego elementu. Pomimo niezliczonych kochanków, w całym życiu przeżyła tylko sześć orgazmów. Miłość? To zjawisko było jej kompletnie obce. Wydawało jej się, oczywiście, że kocha Seldena, ale w gruncie rzeczy czuła do niego dokładnie to samo co do innych swoich mężczyzn – przywiązanie, które miało szansę trwać tylko tak długo, jak długo związek przynosił korzyści. Już In to zauważył, piętnaście lat temu. A Raszid... ? Dla niego musiało to być równie oczywiste jak czerwona latarnia zawieszona przed domem złej sławy.

Janey nie wiedziała tylko, czy jest taka z natury, czy też stała się taka, podejmując w życiu niewłaściwe decyzje. Nikt przecież nie może się urodzić z taką pustką wewnętrzną; ta wiara była wszystkim, co jej pozostało. Janey zrozumiała, że nigdy nie zazna prawdziwej miłości, nie zdoła jej odnaleźć, jeśli od każdego mężczyzny będzie czegoś oczekiwać, a przede wszystkim – pieniędzy...

Usłyszała głos, który mówił, że jeszcze nie jest za późno, trzeba tylko

natychmiast, w tej chwili, zacząć inne, nowe życie. Kontakty z George'em dadzą się jeszcze naprawić; zamiast starać się go uwieść, można złożyć mu konkretną propozycję biznesową. Można opowiedzieć Seldenowi o swoich planach. Kto wie, przecież możliwe jest nawet to, że Selden naprawdę ją kocha...

Tknięta wewnętrznym poczuciem czasu, Janey spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Czas jechać do Mimi. Nagle olśniła ją myśl: gdyby opowiedziała Mimi o wszystkim (oczywiście pomijając fragment, w którym zrobiła dobrze jej mężowi), to być może Mimi zgodziłaby się porozmawiać z George'em i go przekonać. Najważniejszą rzeczą w tym momencie było zapełnienie tej życiowej pustki, tak by już nigdy nie przeżyć tego, co teraz...

Nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pośród mgły pojawił się wysoki blondyn, który zmierzał szybkim krokiem w stronę Janey. W pierwszej chwili nie chciała wierzyć własnym oczom. Wydawało jej się, że nawiedził ją duch przeszłości, widmo Iana Carmichaela. Lecz kiedy mężczyzna podszedł bliżej, poznała go. Był to Zizi. Nagle wszystkie elementy połączyły się w logiczną całość: Mimi nalegała na wyjazd do Paryża, bo wiedziała, że Zizi tutaj będzie, a Janey miała z nią jechać dla niepoznaki...

Zizi zatrzymał się wprost przed nią. To, co powiedział, sprawiło, że Janey momentalnie porzuciła wszystkie wnioski, do których doszła przed chwilą.

– Chodź ze mną. – Jego ton był stanowczy.

Janey wstała jak we śnie i podążyła za nim. Weszli do hotelu Ritz, kierując się do windy. Czowała się tak, jak gdyby cofnęła się w czasie do tego brzemiennego w skutki dnia, kiedy po raz pierwszy znalazła się tutaj; pomyślała gorączkowo, że dziś otrzymała szansę naprawienia tego, co wtedy zepsuła. Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Zizi wyprowadził ją na korytarz, ciągnąc za sobą jak dziecko. Tak też się czuła: była teraz nową osobą, gotową do rozpoczęcia nowego życia z Zizim...

I wtedy piękny sen zamienił się w koszmar.

Weszli do apartamentu z jedną sypialnią. Zaraz za progiem czar prysł: szalone marzenia o życiu z Zizim legły w gruzach na widok Harolda Vane'a. Co on tutaj robi, pomyślała Janey z irytacją, ale kiedy Harold odwrócił się od okna, wyraz jego twarzy powiedział jej, że stało się coś strasznego.

– Zobaczyłem cię przez okno – powiedział – i wysłałem Ziziego na dół, żeby cię przyprowadził.

– Dlaczego? Co się stało? – zapytała Janey ostrożnie.

– Wszyscy cię szukają – powiedział Zizi.

– Szukają? – Janey zmarszczyła gniewnie brwi. – Nie rozumiem.

Harold zbliżył się do niej, wyciągając ręce.

– Janey – powiedział. – Przyjaźnimy się od lat, więc myślę, że mogę ci o tym powiedzieć...

– Czy ktoś umarł? – przerwała mu rwącym się głosem. – Selden... ?

Kiedy tylko padło to imię, usłyszała złośliwy głos wewnętrzny, mówiący, że jeśli to prawda, jeśli Selden nie żyje, oznacza to koniec jej

problemów: jest wolna i bogata, może robić, co zechce...

– Nie chodzi o Seldena – rzekł Harold.

– Więc może mi wyjaśnisz – zdenerwowała się, lekko zawiedziona – co ja właściwie tutaj robię?

Harold otworzył usta, ale nie powiedział nic. Janey wodziła wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego, czując narastającą panikę. Dopiero teraz spostrzegła, że Zizi ma na czole dziwny znak, wyglądający jak wielka plama czarnej sadzy. Nagle przypomniała sobie, że widziała dziś wielu ludzi naznaczonych w ten sam sposób. Irracjonalne przerażenie ścisnęło ją za gardło: oto nadszedł koniec świata, a jej pisana jest zagłada...

Utkwiła spojrzenie w znaku na czole Ziziego, nie mogąc złapać tchu...

– Dziś jest środa popielcowa – powiedział miękko Zizi, biorąc ją za rękę.

Selden Rose brał właśnie prysznic. W Nowym Jorku minęła siódma rano.

Mydlił się niespiesznie, myśląc jak zwykle o żonie. Od jej wyjazdu upłynęły trzy dni, a on już uwierzył w prawdziwość powiedzenia „Rozłąka powoduje, że bardziej kochamy”. Poprzedniego dnia, czy może już przedwczoraj, doszedł do wniosku, że był zbyt surowy dla Janey. Nie znaczyło to bynajmniej, że zaczął pochwalać ten idiotyczny pomysł ekranizacji powieści Craiga, ale z całą pewnością mógł wykazać się większym poparciem dla ambicji żony... Do tego męczyły go wyrzuty sumienia, ponieważ uświadomił sobie, że Janey miała trochę racji, wytykając mu, że zazdrości Craigowi talentu... Zakręcił wodę i wyszedł

spod prysznic. Uznał, że skoro Janey naprawdę chce zostać producentką, to należy jej w tym trochę pomóc – na przykład podzwonić po znajomych z branży i spróbować znaleźć kogoś, kto przyjąłby ją jako asystentkę.

Kiedy wycierał włosy, zadzwonił telefon.

Był pewny, że to Janey dzwoni do niego i ucieszył się, że myślała o nim w tym samym momencie, kiedy on myślał o niej. Chciał jej powiedzieć, że już się za nią stęsknił i poprosić, żeby wróciła wcześniej.

Owinął ręcznik dookoła bioder i odebrał telefon w sypialni.

– Cześć, skarbie. – Nie mógł się doczekać, kiedy ją usłyszy.

– Rose? – zapytał zaskoczony męski głos.

– George! – Selden był nieco zawiedziony. Wiedział nie od dziś, że George wstaje wcześniej, ale nie mógł zgadnąć, jaki to ważny powód skłonił go do zadzwonienia o takiej porze.

– Selden. – Głos George'a był ponury, a Selden natychmiast wyobraził sobie, że coś złego stało się Mimi. – Nie jest dobrze. Chodzi o twoją żonę.

Rozmowa trwała jeszcze kilka minut. Selden, zaniepokojony nie na żarty, narzucił coś na siebie i wbiegł pędem do hollu.

– Proszę „Post” – zwrócił się do portiera.

Portier zrobił zakłopotaną minę, świadczącą o tym, że miał nadzieję nigdy nie znaleźć się w tej niezręcznej sytuacji, po czym sięgnął pod kontuar i z ociąganiem podał Rose'owi gazetę.

Nogi ugięły się pod Seldenem, kiedy tylko przeczytał nagłówek. Złożył gazetę na pół, pragnąc z całego serca, żeby to, co zobaczył, okazało się przywidzeniem.

Ze strachu serce było mu jak oszalałe. Cofnął się do windy (powstrzymał się od biegu tylko dlatego, że portier patrzył) i nacisnął przycisk. Czekał długo. Kiedy winda przyjechała, wszedł do środka. Był sam, rozłożył więc gazetę. Nagłówek składał się z trzech słów, które były jak trzy ciosy na odlew w twarz. Selden aż się zatoczył, uderzając boleśnie ramieniem o ścianę. Nic to jednak nie dało; nagłówek nie zniknął. Tłusty czarny druk bił po oczach, a pod spodem widniało kolorowe zdjęcie Janey na pokazie Victoria's Secret. Miała na sobie błękitny komplet z cekinami; pochylała się w stronę obiektywu z rękami na biodrach i ustami złożonymi jak do pocałunku.

Trzy słowa nagłówka układały się w pytanie:

MODELKA – AUTORKA – DZIWKĄ?

Brzmiało to jak szydercze skandowanie tłumu domagającego się egzekucji.

Selden, wstrząśnięty, opuścił gazetę. Nie ogarniał tego umysłem. Nie mógł pojąć... Trzy słowa rozlegały się dokuczliwym echem w jego głowie niczym złośliwa dziecięca wyliczanka złożona z trzech zniechędzonych przezwisk: modelka-autorka-dziwka cha, cha, modelka-autorka-dziwka cha, cha... Podniósł gazetę z powrotem do oczu, czując rozdarcie wewnętrzne: rozsądek za nic nie chciał dopuścić, że to może być prawda, tymczasem drzenie, które nim wstrząsało, mówiło coś dokładnie przeciwnego...

Dopiero teraz dostrzegł podtytuł, umieszczony na samym dole strony:

„Comstock Dibble przyłapany na romansach z niedoszłymi



scenarzystkami".

Z początku Selden nie wierzył własnym oczom, a potem nie mógł zrozumieć, jak to możliwe.

Drzwi windy się otworzyły. Selden stał jak wryty, czytając pierwsze zdanie artykułu na następnej stronie: „Comstock Dibble to”... Skurwiela, dokończył w myślach, a widząc, że drzwi zamykają się, dźgnął palcem przycisk. Gazeta wypadła mu z rąk i upadła na podłogę, kilka stron poleciało aż na korytarz. Drzwi znów zaczęły się zamykać. Selden rozepchnął je łokciami i pozbierał strony. Drżąc z bólu i wściekłości, zaniósł hiobowe strony, poskładane byle jak, do swojego apartamentu. Klucz nie pasował do zamka. Selden wparł się ramieniem w drzwi, podnosząc bezradnie oczy. Po chwili przyszło mu do głowy sprawdzić numer apartamentu – okazało się, że po wyjściu z windy zamiast w prawo skręcił w lewo.

Pospieszył z powrotem i dotarł w końcu do właściwych drzwi. Starał się opanować. Przypomniawszy sobie, że rozwiązywanie problemów to jego specjalność; ta sytuacja najprawdopodobniej także nie była tak straszna, na jaką wyglądała, a on przecież potrafi poradzić sobie ze wszystkim...

Nie był tego do końca pewien. Nagle poczuł mdłości. Cisnął plik makulatury na kanapę i zaczął przerzucać luźne kartki w poszukiwaniu artykułu. Na wierzchu leżały wiadomości sportowe, całe strony o sporcie – kto by pomyślał, że nowojorczyki tak się tym pasjonują – potem dział biznesowy, potem trzy strony o jedzeniu i lokalach w mieście... W końcu, na samym dnie stosu, Selden odnalazł tekst, który bał się przeczytać,

zilustrowany kolejnymi fotografiami z pokazu Victoria's Secret. Widać na nich było Janey i – przeraził się – Comstocka Dibble'a siedzącego w pierwszym rzędzie i uśmiechającego się chytrze. Zdjęcie było podpisane „Ratlerek Dibblerek”. W rzeczy samej Dibble przypominał zwierzaka na krótkich łapach. Jego baryłowaty korpus rozsadzał fotel, a cztery wątle kończyny wyglądały jak przypięte szpilkami: ramiona sterczały na boki, a nóżki ledwie sięgały podłogi.

Selden nie mógł na to patrzeć.

Po chwili jednak powrócił do artykułu. W życiu nie wolno uciekać przed takimi rzeczami. Wcześniej czy później i tak trzeba będzie to przeczytać, a ignorowanie problemu nie sprawi, że on zniknie. Pierwsze zdanie brzmiało: „Comstock Dibble to geniusz branży filmowej, który lubi się zabawić i chętnie czerpie na to środki z kasy firmowej”.

Dziwnym zrządzeniem losu wczoraj wyszło na jaw, że Ratlerek Dibblerek płacił z funduszy spółki swoim licznym kochankom, wśród których figuruje także supermodelka Janey Wilcox. Czeki oficjalnie były wystawione tytułem wynagrodzenia za „napisanie scenariusza”. Problem w tym, że żadna z wymienionych pań nie jest scenarzystką.

Wytwórnia Parador Pictures zamawiała i zamawia scenariusze pewnych przebojów kasowych u czołowych autorów, takich jak Jay McInerney. Tymczasem, jak się okazało, Dibble miał także na koncie podejrzane zlecenia. W ciągu trzech lat wypłacił on piętnastu kobietom po trzydzieści tysięcy dolarów za scenariusze, które nigdy nie zostały dostarczone. Rzecznik Parador Pictures wyraził zdziwienie, że ktoś taki

jak Comstock Dibble, o ustalonej pozycji w kręgach towarzyskich

Manhattanu, a do tego wyróżniony przez burmistrza miasta za działalność humanitarną, utrzymuje płatne kochanki. Od rzeczonoego przedstawiciela Paradam usłyszeliśmy, że Dibble „zawsze był w dobrych stosunkach z płcią przeciwną”, a wypłacane wymienionym kobietom pieniądze mogły być jedynie „wyrazem sympatii”.

Dibble miał równie szeroki gest jak gust. Opłacał panienki na telefon, dziewczyny poderwane na imprezach, początkujące aktorki, a nawet supermodelki. Była wśród nich także olśniewająca Janey Wilcox, lat 33, gwiazda grudniowego pokazu Victoria's Secret. Dwa lata temu Wilcox przechwalała się swoim znajomym, że pisze scenariusz dla Ratlerka, co nie przeszkadzało im spotykać się w miłosnym gniazdku wynajętym przez niego w Hamptons. Zeszłego lata Janey Wilcox (przyjaciele mówią o niej „ambitna”) ustrzeliła potentata filmowego Seldena Rose'a, lat 45, dyrektora kanału kablowego Movie-Time. Ślub odbył się we wrześniu, szybko i po cichu. Dibble natomiast jest zaręczony z...

Selden Rose cofnął się o krok, zdruzgotany. Nie mógł czytać dalej.

Więc to prawda: Janey spała z Dibble'em... Zaciśniętą pięścią uderzył się w ciemność, jakby chciał wbić sobie do głowy tę niewiarygodną wiadomość.

Chodziła z nim do łóżka. Co robili, zastanawiał się Selden gorączkowo.

Ciągnęła mu druta? A może dawała mu go włożyć tam, gdzie potem

pozwalala jemu? Sama myśl o tym była obrzydliwa, tak jak obrzydliwe

było to, że go oszukała. Zapewniała, że mówi prawdę, a kłamała w żywe

oczy. To chyba najgorsze. Janey skłamała z rozmysłem, patrząc na niego

ze świętą niewinnością, jak na głupiego naiwniaka!

Mój Boże, pomyślał Selden. Mama miała rację...

Znalazł się w kropce. Nie wiedział, co ma robić, dokąd iść, do kogo zadzwonić. Otworzył okno: powiew zimnego powietrza uderzył go w twarz. Po drugiej stronie ulicy stali dwaj mężczyźni ubrani jak żołnierze na froncie, w spodnie panterki i ciężkie kurtki z wypchanymi kieszeniami. Po chwili dopiero Selden dostrzegł ich broń: olbrzymie aparaty podobne do karabinów maszynowych. Szakale się zbierają, pomyślał. Pewnie całe miasto wie już o wszystkim i śmieje się z Rose'a. Wkrótce dowie się o tym jego matka, potem była żona, a w przyszłości, jeśli kiedykolwiek będzie miał dzieci, to i one wygrzebią tę historię z głębin jakiegoś elektronicznego wysypiska informacyjnego... Na oczach Seldena przed hotelem zatrzymała się taksówka, z której wysiadł kolejny fotoreporter. Przerażony Rose cofnął się od okna. Poszedł do kuchni i wbił bezmyślny wzrok w ekspres do kawy.

Usiłował ustalić, co ma teraz robić.

Nagle zbudził się w nim nikły głos nadziei: może to wszystko nieprawda? Prasa zawsze coś pokręci; wszyscy wiedzą, że czasopisma zmyślają swoje historie. A może ktoś się pomylił i nazwisko Janey znalazło się w tym artykule przez przypadek? Jeśli jednak cała ta afery jest prawdziwa, musiał istnieć na to jakiś dowód. Selden przypomniał sobie francuskie biurko, w którym Janey trzymała papiery...

Pobiegł do salonu i szarpnięciem otworzył szufladę. „Państwo” Platona nadal leżało na wierzchu, nietknięte od czasu wizyty Craiga Edgersa – a

może to miało tylko oznaczać, że Janey postanowiła chować książkę w szufladzie, żeby się nie zniszczyła? Rzucił tom na krzesło, a następnie wyjął szufladę i wysypał całą jej zawartość na podłogę. Upadłszy na kolana, zaczął grzebać nerwowo w stercie papierów. Czy Janey byłaby na tyle głupia, żeby zachowywać dowody swojej winy? Często tak się dzieje: ludziom, którzy mają coś na sumieniu, wydaje się, że są na tyle sprytni, że wszystko ujdzie im na sucho. Nagle Selden zauważył kopertę o oficjalnym wyglądzie, która wpadła mu w oko tego wieczoru, kiedy Craig był u nich. Spojrzał na adres zwrotny i serce w nim zamarło, kiedy odczytał: „Parador Pictures”.

Wyjął Ust z koperty. W nagłówku widniała data – 15 października 2000 roku. Z kamienną twarzą Selden przeczytał pierwszy akapit.

*Droga pani Wilcox Od 15 czerwca 2000 roku usiłujemy się z Panią skontaktować w kwestii dotyczącej zamówionego przez wytwórnię Parador Pictures niezatytułowanego scenariusza. Jest to obecnie już czwarta nasza próba...*

Zatem każde słowo tego artykułu to prawda. Janey oszukiwała go od samego początku. Zaskoczyła go tylko suma, którą była winna Paradorowi. Mogła przecież poprosić go o pomoc albo przynajmniej spłacić dług, nie wspominając mu o tym ani słowem. Selden wiedział, że jest pazerna, ale nie mieściło mu się w głowie, że przez skąpstwo mogła zaryzykować tak wiele. Bo przecież na szali leżała przyszłość jej i Seldena.

Znów jego umysł zaczął gorączkowo szukać wytłumaczenia. Może nie

miała tyle pieniędzy? Przecież mogła wysłać je do domu chorej babci albo opłacić nimi chesne młodszej bratanicy czy siostrzeńca w jakiejś prywatnej szkole. Może była bez grosza i wstydziła mu się przyznać... Selden zaczął przerzucać papiery jak w transie, szukając wyciągu z konta. Porwał do ręki wydruk komputerowy i odsunął go od oczu, żeby łatwiej odnaleźć rubrykę z saldem.

Janey miała na koncie czterysta tysięcy dolarów.

Miała pieniądze, pomyślał, zaciskając pięści. Nie brakowało jej ani centa.

Raptem Selden poczuł, że jego gniew się wypalił. Miejsce złości zajęła bezdenna rozpacz. Schował twarz w dłoniach i po raz pierwszy od wielu lat zapłakał.

## **Rozdział 16**

SCENARIUSZE PORUBSTWA! – krzyczał szyderczo nagłówek

„New York Post”.

Krzesło było niewygodne. Mimi Paxton zaczęła się wiercić. Pod jej nagimi pośladkami chrzęściła papierowa podkładka higieniczna.

Obok, na identycznym twardym plastikowym krześle leżał numer

„Post”, pozostawiony przez jej litościwą poprzedniczkę. Nagłówek

przyciągał wzrok, dopraszał się uwagi, błagał o lekturę. Do tej pory Mimi

się opierała, ale lekarz tak długo się nie zjawiał... Jeżeli w Nowym Jorku

istnieją jakieś reguły, pomyślała zniecierpliwiona, to chyba tylko taka, że

nawet najbogatsi muszą czekać na lekarza...

Przechyliła się lekko na jeden pośladek, usiłując wciągnąć pod siebie

rąbek góry od piżamy. Gazeta znów wskoczyła jej przed oczy. Upłynęły już dwa tygodnie od dnia, kiedy historia wyszła na jaw. Mrozący krew w żyłach tytuł MODELKA – AUTORKA – DZIWKĄ? zrobił wielką karierę, zdaniem niektórych przebijając nawet osławione „Stracił głowę w barze topless”, do tej pory uważane za najlepszy tytuł w dziejach „New York Post”. Lecz ten temat był nośny, jak mówią dziennikarze – były tam pieniądze, seks, władza i filmy, a w pierwszoplanowej roli występowała zniewalająco piękna modelka reklamująca bieliznę. Prasa codziennie podawała nowe szczegóły skandalu, historia ciągnęła się niczym telenowela, a ludzie wciąż nie mieli dość, jakby brakowało im własnych zmartwień. To dawała znać o sobie druga reguła miasta Nowy Jork, mówiąca, że nieszczęście jednych jest radością drugich (nawet jeśli nie chodzi o nic więcej niż złapanie taksówki w godzinach szczytu, kiedy leje jak z cebra), a upokorzenie jednego człowieka może być rozrywką dla milionów.

Zwykle każdy artykuł był ilustrowany zdjęciem Janey, codziennie innym. Nigdy ich nie brakowało, a raz nawet ukazała się wkładka pełna fotografii z początków jej kariery w świecie mody; zdaniem Mimi musiało być to dla niej jeszcze bardziej upokarzające niż same artykuły. Dziś jednak zdjęcie przedstawiało młodego ciemnoskórego mężczyznę o nieco głupkowatym wyglądzie, noszącego modne okulary. Mimi zmrużyła oczy, żeby odczytać nazwisko. Zgadza się. Scooter Mendelsohn.

Mimi nie musiała właściwie czytać tego artykułu. Przenosząc ciężar ciała na drugi pośladek, przypomniała sobie wszystko, co z taką radością

wyjawił jej George, dla którego był to Jeden z wielkich momentów w życiu biznesmena". Prawdziwym bohaterem tej historii był młody Scooter Mendelsohn z Brooklynu. George zdążył go już wypchnąć na stanowisko menedżera niższego stopnia w Parador Pictures. Była to dla Scootera nie lada gratka, zwłaszcza że miał dopiero dwadzieścia jeden lat. Jednak George wiązał z nim wielkie plany: jego zdaniem Scooter reprezentował te zalety moralne, których tak bardzo brakowało w wytwórni Parador Pictures.

George wyjaśnił Mimi, że powodem upadku Comstocka Dibble'a było nie to, że płacił firmowymi pieniędzmi za nieistniejące scenariusze, lecz to, w jaki sposób starał się to ukryć. Co dziwniejsze, według słów George'a, gdyby Comstock zapłacił każdej z „autorek" więcej – sto, a nawet trzysta tysięcy – to sprawa nigdy nie wyszłaby na jaw. Cena scenariusza w tej branży mieści się zwykle pomiędzy stoma a trzystoma tysiącami dolarów, a przypadki, kiedy nieuczciwy autor wykiwał firmę i nie dostarczył zamówionego dzieła, nie należą wcale do rzadkości. Kłopoty zaczęły się, kiedy Comstock chciał sprzedać część spółki. Księgowi, porządkując rachunki, zauważyli niecodzienne kwoty – trzydzieści tysięcy zamiast trzystu – i wpadli w panikę. Dział prawny zaczął wysyłać listy z upomnieniami, ale żadna z domniemanych scenarzystek nie zwróciła honorarium. George powiedział, że nie dziwi się temu; w końcu każda z nich myślała, że bierze pieniądze za seks... Wtedy, wyjaśnił George, nadymając się jak balon, Janey zwróciła się do niego z prośbą o pomoc. Pokazała mu list, który dostała od Paradom, i



to właśnie podsunęło George'owi pomysł, aby wykupić firmę Dibble'a – każdy wie, że interesy idą najlepiej wtedy, kiedy kupujący dysponuje tajnymi informacjami, których sprzedający nie ma najmniejszej chęci ujawniać. George dał jednak Mimi słowo, że nikt nigdy się o tym nie dowie – nie postawiłoby go to w dobrym świetle, gdyby ludzie dowiedzieli się, że wykorzystał biedną idiotkę pokroju Janey Wilcox, której swoją drogą ogół w obecnej sytuacji niejako współczuł. Jedynymi osobami, które wiedziały o spotkaniu Janey z George'em, byli zatem oni oboje, no i Mimi. Fakt, że prawda o „scenariuszach porubstwa” ujrzała światło dzienne, nie był bynajmniej zasługą George'a. Całą odpowiedzialność ponosił Comstock Dibble; gdyby zamiast próbować wykiwać George'a Paxtona, przyznał się w porę do wykroczenia, sprawa nigdy nie trafiłaby do gazet. Szczegóły zdradził George'owi właśnie Scooter Mendelsohn. George opowiedział o wszystkim Mimi, a potem jeszcze kilku innym osobom. Według relacji Scootera, Comstock wezwał go do siebie na dwa dni przed głównym spotkaniem w sprawie wykupu. Mendelsohn był wtedy jeszcze kimś w rodzaju pomocnika asystenta. Podobno Dibble pocił się tak obficie, że używał chusteczki higieniczne całymi pudełkami. Zawsze był postrachem pracowników, lecz od dwóch tygodni nastał terror, jakiego nie pamiętał nikt, osiągając apogeum, kiedy Comstock doprowadził do załamania i łez swojego specja od kontaktu z mediami, twardziela, który zjadł zęby w tej branży, miał pięćdziesiąt pięć lat i, jak mówili, sam kiedyś zasiadał w zarządzie. Scooter słyszał, jak facet szlocha, zamknąwszy się w kiblu; wiedział, że to

na pewno on, bo zajrzał pod drzwiami i zobaczył jego charakterystyczne półbuty w stylu swingujących lat trzydziestych. Trudno się zatem dziwić, że szedł do gabinetu szefa jak na ścięcie.

– Przypomnij mi, jak ci na imię – polecił Comstock.

Scooter pracował w firmie od pół roku, ale był zbyt przerażony, żeby się obrazić.

– Scooter.

– Wiesz, jak wygląda okładka scenariusza? – warknął Dibble.

– Jasne... – bąknął Scooter, nie mając bladego pojęcia, dlaczego szef o to pyta.

– Bardzo dobrze. Tu masz listę nazwisk i tytułów. – Comstock wręczył mu kartkę z kilkunastoma żeńskimi nazwiskami. – Weź te scenariusze – wskazał na stosik leżący na biurku – i pozamieniaj okładki. Chwytasz?

Scooter oczywiście nie chwycił, ale bał się przyznać. Wziął scenariusze i szybko wyszedł z gabinetu.

– Te nowe okładki mają być w innych kolorach! – rzucił za nim Dibble.

Mendelsohn wrócił do swojego biurka i wykonał polecenie szefa. Z początku nie zastanawiał się nad tym zbyt wiele, zwłaszcza że w biurze zaczęły już krążyć plotki, że Dibble zwariował. Jego uwagę zwróciło dopiero ostatnie nazwisko: Janey Wilcox. Z listy wynikało, że napisała ona scenariusz pod tytułem „Zycie modelki”. Zabierał się właśnie do przerobienia w ten sposób okładki scenariusza „Chinatown”, kiedy nagle zaczął kojarzyć. Przypomniał sobie Janey Wilcox, modelkę Victoria's Secret. Scooter był absolutnie pewien, że nie ma ona nic wspólnego z

pisaniem scenariuszy. To była ciężka kpina z całej branży filmowej, że na okładce tak wspaniałego dzieła jak „Chinatown” kazano mu umieścić fałszywe nazwisko i tytuł scenariusza, który nigdy nie powstał. Zwierzył się potem George'owi, że dopiero to go naprawdę ruszyło. Gdyby miał umieścić lipny tytuł na okładce, dajmy na to, „Showgirls”, to pewnie w ogóle by się tym nie przejął...

Wychodząc z pracy, Scooter zostawił spreparowane scenariusze na biurku asystentki szefa. Nie mógł przestać myśleć o filmie „Chinatown”, toteż wypożyczył go po drodze do domu, a wieczorem objadł się pizzą z mikrofalówki. Przemyślał całą rzecz na nowo. Całe jego życie kręciło się wokół kina. Film był rzeczą świętą; Scooter po prostu żył filmem. Kiedy był małym chłopcem, mam zabrała go po raz pierwszy do kina.

Wyświetlano „Wall Street”. Od tego momentu Scooter wiedział, że chce pracować przy filmach. Teraz, kiedy myślał o tym, co zrobił na polecenie Comstocka Dibble'a, czuł wyrzuty sumienia, jakby popełnił przestępstwo. Scooter obejrzał w życiu dość filmów, żeby wiedzieć, że ta sytuacja wymaga od niego podjęcia konkretnej decyzji. Tych, którzy nie postąpili słusznie, w filmie zawsze spotykała kara. W jego przypadku mogło to być zwolnienie albo – co było sto razy gorsze – rozstanie na zawsze z wymarzonym zawodem. Miał więc moralny obowiązek powiedzieć komuś o wszystkim. Tylko... komu?

Siedział w domu, oglądał „Chinatown” i myślał. Nagle olśniło go: przypomniał sobie, że Parador ma być sprzedany. Oficjalnie była to tajemnica, ale całe biuro o tym mówiło, bo każdy bał się stracić pracę.

Scooter nie mógł przypomnieć sobie nazwiska faceta, który kupował Parador, ale pamiętał nazwę spółki – Smagma. Zapadła mu ona w pamięć, bo brzmiała złowieszczo, jak żywcem wyjęta z filmu z Bondem...

Przez całą noc nie zmrużył oka. Wstał wcześniej rano i o wpół do ósmej zadzwonił do informacji. Faktycznie, w Nowym Jorku znajdowało się biuro firmy Smagma Enterprises. Scooter zapisał numer i zadzwonił tam na próbę, choć nie spodziewał się o tej porze zastać kogoś w pracy.

Ku jego zaskoczeniu telefon odebrała uprzejma pani o bardzo miłym głosie.

– Smagma Enterprises, słucham?

– Chciałbym... chciałbym rozmawiać z dyrektorem naczelnym – wydukał nerwowo Scooter.

– Z panem George'em Paxtonem? – upewniła się sekretarka. – A czy mogę wiedzieć, kto mówi?

– Dzwonię do państwa po raz pierwszy... – Zająknął się. – Pracuję w Parador Pictures...

– Proszę poczekać. – Sekretarka nie wydawała się ani trochę zdziwiona faktem, że on, Scooter Mendelsohn, chce rozmawiać z panem Paxtonem.

Po chwili telefon odebrał sam szef. Scooter opowiedział mu o wszystkim...

Przełomowa chwila nadeszła już nazajutrz. Rankiem w biurze Paradom zjawił się George Paxton w towarzystwie sześciu bardzo poważnie wyglądających mężczyzn w garniturach. Comstock Dibble i jego ludzie przeszli z nimi do sali konferencyjnej.

Około czwartej po południu przy biurku Scootera pojawiła się asystentka Dibble'a. Rzuciła na blat stos scenariuszy, tych spreparowanych oraz prawdziwych, zamówionych przez wytwórnię w ciągu ostatnich kilku lat.

– Tyje zrobiłeś – syknęła – to sam je teraz zanieś. Ja się boję.

Chcąc nie chcąc, Scooter musiał wziąć te scenariusze i zapukać do sali konferencyjnej. To, co wydarzyło się później, było jak scena z filmu, lecz o tyle lepsza, że prawdziwa.

– Dziękuję, ee... Scooter – powiedział Comstock, kiedy Scooter położył przed nim scenariusze. To, że przypominał sobie imię pracownika, świadczyło o tym, jak bardzo stara się zachowywać kulturalnie. Scooter był już przy drzwiach, kiedy zatrzymał go mężczyzna siedzący po przeciwnej stronie stołu konferencyjnego. Był to George Paxton, czego można się było łatwo domyślić, ponieważ siedział na krześle jak na tronie, czując się tu już najwyraźniej jak u siebie.

– Poczekaj, Scooter – powiedział George. – Zostań chwilę i popatrz. Spodoba ci się.

Scooter zerknął na Comstocka. Oczy szefa płonęły furją. Wszyscy w biurze wiedzieli, co oznacza takie spojrzenie: uciekać, gdzie pieprz rośnie. Było jednak jasne, że na tym spotkaniu rządzi George, a Comstock jest bezsilny.

– Bardzo proszę. – Paxton skinął Dibble'owi głową.

– Tutaj mamy – odchrząknął Comstock, pokazując trzymaną w ręce listę – wykaz zamówień z ostatnich trzech lat, a to są – położył dłoń na

stosie przyniesionych scenariuszy – gotowe produkty...

– Tak mówisz? – przerwał mu George, studiując uważnie kopię listy zamówień, którą rozdano uczestnikom spotkania. – Jeśli można, chciałbym rzucić okiem na scenariusz autorstwa Janey Wilcox.

– To nie jest wielkie dzieło – uprzedził go Dibble. – Prawdę mówiąc, to kompletne dno. Chciałem dać szansę damie, która oprócz swych szeroko znanych zalet zdradzała jeszcze innego rodzaju, hm... talenty.

Wszystkich to rozbawiło, a Dibble skorzystał z okazji, żeby odwrócić uwagę George'a.

– Scooter – powiedział – bądź łaskaw pokazać panu Paxtonowi scenariusz, który napisał dla nas Darren Star. Ten scenariusz, George – zaznaczył – jest absolutnie genialny...

– Z pewnością. – George uśmiechnął się sympatycznie, składając dłonie. – Ale mnie interesuje scenariusz Janey Wilcox.

– Darren napisał... – Comstock się zająknął.

– Janey Wilcox? – powtórzył George z naciskiem, unosząc brwi.

Wtedy nastąpiła scena, która do tej pory zdążyła już obrosnąć legendą:

George wstał, otworzył scenariusz opisany nazwiskiem Janey Wilcox i odczytał z niego słynną kwestię z filmu „Chinatown”: „Moja córka, moja siostra, moja córka, moja siostra... ”.

Czysta farsa, pomyślała Mimi, patrząc na leżącą na krześle gazetę. Do tej pory nikt nie potrafił zrozumieć, jakim sposobem Comstock mógł postąpić aż tak głupio. George tłumaczył to wszystkim zainteresowanym na niezliczonych obiadach w kameralnym gronie, które zastąpiły obecnie

duże imprezy towarzyskie w kalendarzu Paxtonów. Dowodził, że nagłe upadki ludzi, którym do tej pory świetnie się wiodło, nie są niczym niezwykłym, zwłaszcza jeśli mają oni na sumieniu jakieś machlojki. Tacy ludzie, mówił George, kuszą los, podejmując coraz większe ryzyko, a im dłużej to trwa, tym mniej dbają o zacieranie śladów po swoich potknięciach. Wygląda to tak, jakby sami podświadomie chcieli się zdemaskować. Zdaniem George'a, przypadek Comstocka Dibble'a miał wiele niesławnych pierwowzorów w historii, a jeśli się weźmie pod uwagę obecne załamanie na giełdzie, na następców „Ratlerka Dibblerka” nie będzie trzeba zapewne długo czekać...

Mimi spojrzała z westchnieniem na zegarek, zastanawiając się, kiedy wreszcie doktor raczy się zjawić. Czekala już blisko pół godziny...

Ostrożnie uniosła górę od pizamy. Było już co nieco widać; wkrótce trzeba będzie się przyznać, w końcu to już trzeci miesiąc. Dla kobiet w wieku Mimi nie było wskazane rozgłaszać, że jest się w ciąży, dopóki nie zrobiło się pierwszego badania USG – na wypadek gdyby okazało się, że dziecko nie rozwija się prawidłowo i ciążę trzeba usunąć (Mimi nie dopuszczała nawet takiej myśli). Mimo to Janey wiedziała o wszystkim już dwa tygodnie temu, kiedy doszło między nimi do ostatecznej rozgrywki w salonie Christiana Diora.

Mimi spojrzała tęsknym wzrokiem na drzwi w kolorze szpitalnej szarości. Ani drgnęły, choć tak bardzo chciała, żeby w końcu ktoś je otworzył. Żeby się czymś zająć, obejrzała paznokcie. Nie widziała Janey od czasu tamtej kłótni w Paryżu, ale mówiono, że nadal mieszka w

Nowym Jorku. Cała Janey; każda rozsądna osoba natychmiast by wyjechała, tak jak Mauve Binchely, która zaszła się u mamy w Palm Beach, gdzie obie razem odchodziły od zmysłów. Matka Mauve wyznawała staroświecką zasadę, że nazwisko damy pojawia się w gazetach trzy razy: z okazji jej narodzin, zamążpójścia i śmierci.

Tymczasem Mauve zaledwie w ciągu dwóch tygodni przekroczyła ten limit o dziesięć. Jako narzeczona (teraz już była narzeczona) Comstocka Dibble'a pojawiała się w prawie każdym artykule, a „Post” ochrzcił ją mianem „apetycznego kąska”. Był to dla Mauve kolejny gwóźdź do trumny; zamęczała znajomych pytaniami, co też „oni” chcieli przez to powiedzieć. Zdaniem Mimi dziennikarze, prawdę mówiąc, byli dość łaskawi.

Mimi oparła się o krawędź stołu do badań i zamknęła oczy. Najgorszy los spotkał Janey Wilcox: prasa przezwała ją „modelową prostytutką”, choć w zasadzie nie odpowiadało to prawdzie. Janey nie była, ściśle rzecz biorąc, dziwką, a incydent z Comstockiem mógł być wyjątkiem. Jednak ani ona, ani Selden nie mogli nic na to poradzić: jako osoba publiczna Janey musiała znosić wszystko.

A jednak Mimi współczuła jej trochę. Codzienne mieszanie z błotem przez prasę to wątpliwa przyjemność; nie zasługuje na nią nikt oprócz tych osób, które z własnej woli wybrały zawód określany właśnie takimi epitetami. Przykładem była niejaka Sydney Biddle Barrows, znana pod pseudonimem Madame Mayflower. Każdy jednak by się zgodził, że „madame” to ktoś lepszy niż zwykła prostytutka, bo taki przydomek



sugeruje głowę do interesów. Tymczasem prawdziwym problemem Janey było to, że nie miała głowy do niczego...

Tak przynajmniej Mimi odpowiadała, kiedy ją pytano, jaka naprawdę jest Janey Wilcox.

Mimi знаła ją wystarczająco, żeby domyślić się jej reakcji. Janey prawdopodobnie niczym się nie przejęła i wytłumaczyła sobie zaistniałą sytuację w taki sposób, że wyzwiska zyskały w jej oczach wartość komplementów...

Mimi spojrzała jeszcze raz na zegarek, wspominając ich ostatnie spotkanie u Diora. Janey w żadnym wypadku nie zachowywała się jak normalna osoba, choć właściwie trudno powiedzieć, że w takiej sytuacji istnieje jakaś norma zachowania. Mimi wiedziała jedno: gdyby to ona przed chwilą dowiedziała się od Harolda Vane'a, że na pierwszej stronie „New York Post” nazwano ją dziwką, to wpadłaby w taką histerię, że z całą pewnością nie miałaby siły wsiąść do taksówki i pojechać do Diora. Janey z początku również wyglądała na przerażoną, ale szybko w jej oczach pojawił się ten dziwny, beznamienny wyraz. Wyglądało to tak, jakby prawdziwa Janey nagle się rozplynęła, a jej miejsce zajęła mechaniczna lalka...

– Mimi. – Kiedy Janey stanęła w progu przymierzalni, jej głos brzmiał melodyjnie jak zawsze, ale był sztuczny, zbyt wysoki, a w jej oczach czaiło się szaleństwo. Mimi wystraszyła się tak bardzo, że aż podskoczyła, przez co krawcowa wykonująca poprawki, niewysoka Francuzka imieniem Colette, wbiła sobie szpilkę w palec.

Mimi była wstrząśnięta, widząc Janey tutaj. Zerknęła na zegarek i

wykrztusiła:

– Janey... !

Stały tak bez słowa, mierząc się spojrzeniem. Każda z nich próbowała odgadnąć, jak dużo wie ta druga...

Mimi wzdrygnęła się na samo wspomnienie tej ohydnej sceny.

Położyła dłoń na brzuchu, myśląc o tym, co Janey próbowała zrobić z Zizim. Potrafiłaby wybaczyć jej dosłownie wszystko, łącznie z aferą scenariuszową. Wybaczyłaby jej nawet, gdyby Janey zaciągnęła do łóżka George'a, co, jak podejrzewała, było tylko kwestią czasu, jeśli już nie nastąpiło. Ale Zizi – tego nie mogła jej wybaczyć. Ziziego kochała naprawdę...

Mimi spotkała się potajemnie z Zizim w dniu poprzedzającym wybuch skandalu. Było to w jej pokoju w hotelu Plaža Athenee. Choć Janey sądziła inaczej, Mimi niczego nie zaplanowała. O tym, że Zizi jest w Paryżu, dowiedziała się od Harolda Vane'a, spotkanego przypadkiem tego samego dnia w salonie firmy Hermes, gdzie kupował nowe siodło. Mimi wybrała się tam sama, ponieważ Janey została w hotelu, wymawiając się koniecznością wykonania ważnych telefonów. Harold powiedział, że zatrzymał się razem z Zizim w Ritzu. Za dwa dni mieli wyjechać do Deauville, żeby obejrzeć konie.

Mimi przysięgła sobie, że nie będzie uganiać się za Zizim, ale poczucie honoru nakazało jej poinformować go, że może być ojcem jej dziecka. Nie oczekiwała niczego, nie miała też zamiaru rozstawać się z George'em,

jednak, niespodziewanie dla niej, ta wiadomość spowodowała, że w Zizim coś pękło. Wyznał jej, dlaczego ją opuścił. Janey Wilcox nazwała go męską kurwą; nie chciał skończyć tak jak ona...

Wydało się także, jakim sposobem Janey wprosiła się do mieszkania Ziziego i jak potem usiłowała go uwieść. Mimi była przerażona; nie faktem, że Janey chciała przespać się z Zizim, ale tym, że z zimnym wyrachowaniem najpierw udała histerycznie przejętą losem Patty, a potem skłamała, że siostra musi zająć jej stare mieszkanie. Było to tym bardziej obrzydliwe, że wszyscy wiedzieli, jak mało Janey troszczy się o Patty, kiedy nie potrzebuje wykorzystać jej do własnych celów.

Mimi była zaskoczona mściwością Janey. Z początku nie chciała w to uwierzyć. Tłumaczyła sobie, że na pewno zaszła jakaś pomyłka, ale kobiecy instynkt podszeptował, że to prawda. Mimi doświadczyła wszelkich możliwych uczuć: od czystej nienawiści do Janey Wilcox – która nagle wydała jej się zdolna do wszystkiego, łącznie z morderstwem – kończąc na politowaniu dla własnej łatwowierności, która skłoniła ją do wzięcia Janey pod swoje skrzydła. Uparcie jej broniła, nie chcąc słuchać plotek o tym, że Janey brała pieniądze od facetów, że rozbiła kilka małżeństw, a nawet, że na przyjęciach obsługuje mężczyzn w łazienkach. Zdaniem Mimi Janey była nieszczęsną ofiarą złośliwych języków, miłą dziewczyną, która musi cierpieć, bo jest ładna. Tym sposobem Mimi wpadła we własną starą pułapkę. Już od czasów dzieciństwa zawsze przyjaźniła się z dziewczynami nie do końca normalnymi: najpierw z Mauve Binchely, szkolnym pośmiewiskiem, potem z Pippi Maus, która

miała problem z alkoholem, narkotykami i do tego była nimfomanką.

Janey Wilcox, osoba o mocno wątpliwej reputacji, dobrze pasowała do tej serii. Mimi przypomniała sobie nawet, że dawno temu słyszała historię o tym, jak Janey pływała na jachcie jakiegoś arabskiego miliardera... Ale kto mógł wiedzieć, jak było naprawdę? Mimi miała dwie wady: była dumna i uparta. Wybierając sobie takie kobiety na przyjaciółki, chciała tym samym pokazać ich wartość i udowodnić wszem wobec, że to ona miała rację.

Co do Mauve i Pippi faktycznie się nie pomyliła. Pomimo swoich dziwactw przyjaźniły się one z Mimi od lat i nigdy jej nie zawiodły.

Natomiast Janey z rozmysłem chciała ją zranić, a to bolało równie mocno jak zdrada kochanka. Właściwie nawet bardziej, bo po przyjaciółce nikt nigdy nie spodziewa się takiego zachowania, a w związku z mężczyzną zdrada zawsze stanowi wkalkulowane ryzyko...

Ostatecznie Mimi postanowiła rozmówić się z Janey i zerwać znajomość. Okazyjnych spotkań oczywiście nie da się uniknąć; Janey była przecież żoną Seldena. Musiała się jednak dowiedzieć, że Mimi nie ma ochoty przyjaźnić się z nią. Przynajmniej w tej chwili...

Ale planowana rozmowa potoczyła się zupełnie inaczej, niż Mimi oczekiwała.

Mimi wyszła z hotelu o dwunastej trzydzieści. Mżyło, a powietrze było ostre, wilgotne i tak zimne jak jej serce. Idąc szybkim krokiem wzdłuż bulwaru, Mimi w duchu przeklinała Janey Wilcox, która najwyraźniej miała ją za słabą, bezbronną i niezdolną do pomszczenia własnych krzywd. Było to dziwne; Janey musiała przecież wziąć pod uwagę, że Zizi

może powiedzieć Mimi o wszystkim. Nagle uświadomiła sobie, że to właśnie dlatego Janey chciała pozbyć się Ziziego ze swojego mieszkania! Było to zagranie tak niezręczne, że nieomal żałosne. Co jednak zrobić w takiej sytuacji? Może lepiej byłoby o tym nie wspominać... Co się stało, to się nie odstanie, a poza tym upłynęły dwa miesiące. Mimi przestała już cierpieć z powodu rozstania z Zizim, a przyjaciołom wybacza się różne przewinienia... To prawda, ale też żaden z jej przyjaciół nie miał na sumieniu czynu tak haniebnego. Uświadomiwszy to sobie, Mimi zrozumiała, że kłopot nie w tym, co Janey zrobiła, ale w tym, co może zrobić.

– *Bonjour madame Paxton* – powitał ją recepcjonista u Diora. –

Przyszła pani do przymiarki?

– *Oui* – odparła Mimi. – O pierwszej spodziewam się przyjaciółki.

Proszę ją do mnie przyprowadzić.

– Oczywiście, madame. – Recepcjonista wstał i otworzył przed Mimi drzwi. – Krawcowa czeka w sali Yves'a Saint Laurenta...

– Dziękuję, sama trafię – powiedziała Mimi.

Szybkim krokiem podążyła korytarzem o ścianach w różowym odcieniu beżu do sali, w której odbył się pokaz pierwszej kolekcji Yves'a Saint Laurenta. Choć Mimi nie zdawała sobie wtedy z tego sprawy, to była w tym jakaś ironia, że wyznaczono jej akurat tę salę. Kiedy Yves Saint Laurent zademonstrował swoją pierwszą autorską kolekcję mody, ulice pękały w szwach od jego wielbicieli i paparazzich. Był to jeden z tych historycznych momentów, kiedy człowiek zdobywa sławę...

Sala imienia Yves'a Saint Laurenta nie jest jednak niczym szczególnym. Długa, wąska i wysoka, ma wzdłuż jednej ściany lustro, a zamiast okien rząd przeszklonych drzwi z żaluzjami. Ściany i wykładziny są w tym samym kolorze co prowadzący do sali korytarz – w kojącym różowym odcieniu beżu, który znamionuje pieniądze i klasę.

Na Mimi czekał już stojak obwieszony przepięknymi kreacjami, które zamówiła zeszłej jesieni. Pośrodku sali stał drewniany podest z dwoma stopniami. Mimi zdjęła ubranie, pozostając w staniku bez ramiączek i rajstopach. Colette, krawcowa, zdjęła z wieszaka niebieską szyfonową suknię i pomogła Mimi wślizgnąć się w nią.

Mimi denerwowała się, ponieważ kreacje z założenia miały być nieco obcisłe. Nie wiedziała, co począć. Czy kazać wszystko poszerzyć, czy zachować cały komplet na przyszły rok? Colette delikatnie pociągnęła suwak, próbując zapiąć górę sukni. W końcu się udało; krawcowa i klientka odetchnęły z ulgą.

Colette spojrzała na Mimi z naganą.

– Czy mi się wydaje, czy madame...

– O, nie. – Mimi potrząsnęła głową, kładąc dłonie na brzuchu.

Na twarzy Colette zajaśniało zrozumienie.

– Aha – pokiwała głową – czyli wszystko *tres bien, n'estcepas?*

– *Oui* – przytaknęła Mimi. – *Je suis tres heureuse.*

Po niedługiej chwili, mniej więcej za pięć pierwsza, do przymierzami wstąpił Francois, uroczy szef firmy Christian Dior.

– Wydaje mi się, że zainteresuje to panią – powiedział, podając jej

wydruk z faksu.

Na widok krzyczącego, jadowitego nagłówka Mimi nie potrafiła powstrzymać okrzyku grozy.

– *Excusez moi* – przeprosił Francois. – Nie chciałem pani przestraszyć.

Wydawało mi się, że to pani przyjaciółka?

– Można powiedzieć, że była przyjaciółka – wyjaśniła Mimi z zakłopotaniem. – Umówiłam się z nią tutaj...

– Nie spodziewałbym się jej dziś w tym miejscu. – Francois pokręcił głową. – Cały świat mody o tym mówi. Podobno kiedyś ta pani pracowała w Paryżu jako modelka.

– Możliwe – odparła Mimi wymijająco, nie chcąc być dla Francuza źródłem informacji, które natychmiast powędrowałyby dalej.

Francois wyszedł. Pierwszą reakcją Mimi było głębokie współczucie; Janey z całą pewnością zasłużyła na karę za swoje zachowanie, ale nie na aż tak surową! Kiedy jednak przeczytała faks ponownie, stwierdziła, że wcale nie jest zaskoczona. Ani trochę. O tej porze Nowy Jork budzi się po nocy. Sensacyjna wieść prawdopodobnie krąży już po całym mieście, a jednocześnie faksy zdążyły dotrzeć do Paryża, Londynu i Mediolanu... No i oczywiście Internet, który zapewne aż huczy od plotek. Janey musi już o wszystkim wiedzieć i z całą pewnością nie przyjdzie do Diora spotkać się z Mimi. Było więc całkiem możliwe, że uda się uniknąć konfrontacji...

Mimi poczuła, jak kamień spada jej z serca.

Kwadrans później w progu stanęła Janey.

Mimi z początku pomyślała, że Janey o niczym nie wie i że to ona

będzie musiała jej powiedzieć.

– Janey! – wykrztusiła.

Janey spojrzała na nią dzikim wzrokiem, krążąc wokół podestu niczym wygłodniały tygrys.

– Na jaką okazję szykujesz tę suknię? – zapytała.

– Na galę w New York City Ballet – odrzekła Mimi, teraz już pewna, że Janey nie wie o niczym, w przeciwnym razie po co pytałaby o suknię. – Chciałam cię zaprosić do komitetu organizacyjnego...

– Doprawdy? – Janey uniosła brwi. – W takich okolicznościach to dość dziwaczna propozycja...

Wie, pomyślała Mimi gorączkowo. Janey potwierdziła jej przypuszczenia.

– O tak, wiem o wszystkim.

To, co potem powiedziała, zważyło Mimi z nóg.

– Udało ci się. – Jej głos był upiornie spokojny. – Teraz muszę wyjechać z Paryża...

– Janey! – krzyknęła Mimi, wstrząśnięta do głębi.

– ... a ty będziesz mieć Ziziego dla siebie! – dokończyła Janey triumfalnym tonem.

Mimi była tak zaskoczona, że niemal spadła z podestu. Z trudem odzyskała równowagę, bo trzęsa się ze strachu i obrzydzenia.

– Przed chwilą widziałam się z Zizim – oznajmiła Janey. – Opowiedział mi o wszystkim.

Mimi położyła drżącą rękę na piersi. Wydawało jej się, że oszalała. Jak



to możliwe, że słyszysz z ust Janey dokładnie te same słowa, które sama chciała jej powiedzieć?

– A ja miałam cię za przyjaciółkę – powiedziała Janey. – Wszyscy mówili, że jesteś kapryśną egoistką, że zawsze musisz postawić na swoim, że nie cofniesz się przed niczym, żeby osiągnąć swój cel. Ale ja w to nie wierzyłam – wbiła w Mimi spojrzenie oczu iskrzących się jak czarne szafiry. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile razy musiałam cię bronić? Ile razy powtarzałam ludziom, że wcale nie jesteś zła?

– Janey! – Mimi była przerażona. – O czym ty mówisz?

– Jak mogłaś mi to zrobić? – Janey zbliżyła się do niej. – Najpierw siłą cięgniesz mnie ze sobą do Paryża, bo potrzebujesz wymówki, żeby spotkać się tutaj z Zizim. Chcesz go odzyskać, ale kiedy nie udaje ci się zaciągnąć go do łóżka, dzwonisz do George'a i każesz mu wymyślić tę historię...

Mimi zakryła usta rękami, jakby bała się, że zaraz zacznie krzyczeć.

Wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że Zizi mówił prawdę. Janey poprzestawiała fakty w taki sposób, żeby wyszło, że to ona jest poszkodowana. Ale przecież chyba nie wierzyła, że tak było naprawdę... ?

Przyjrząwszy się Janey, Mimi zauważyła, że jej oczy lśnią, ale są pozbawione wyrazu. Kiedy zbliżyła się jeszcze o krok, Mimi skuliła się, coraz bardziej przestraszona.

– Nic ci z tego nie przyjdzie – wycedziła Janey. – Dziwi mnie, jak mogłaś wpaść na tak głupi pomysł. Oskarżyć mnie, że byłam utrzymanką Comstocka Dibble'a! Prawda jest taka, że napisałam scenariusz, a kiedy

prasa się o tym dowie, dobierze się i do ciebie...

Mimi opadła na kolana. Ze strachu zaczęła się krztusić. Colette podbiegła do niej; nie знаła oczywiście angielskiego na tyle, żeby dokładnie zrozumieć, o co chodzi, ale sytuacja była oczywista.

– *Madame Paxton* – zawołała. – *Vous etes...*

– *De l'eau, s'il uousplait...* – jęknęła Mimi.

Colette wybiegła z sali. Janey popatrzyła za nią, a potem podeszła jeszcze bliżej, stając nad Mimi. W ręce trzymała rękawiczki; zaczęła uderzać nimi po udzie, jakby chciała ją tym postraszyć.

– Janey – wydyszała Mimi – to wszystko nieprawda. Dowiedziałam się dopiero pięć minut temu, pięć minut przed twoim przyjściem. Z Zizim faktycznie spotkałam się wczoraj. Powiedział mi...

– Co ci powiedział? – W głosie Janey zabrzmiały groźne tony. – Że chciałam go uwieść? – odrzuciła głowę, wybuchając śmiechem. – A co innego miał powiedzieć? Każdy facet tak mówi, gdy kobieta go nie zechce...

– Nazwałaś go męską kurwą – wykrztusiła Mimi.

– Może niesłusznie? – zakpiła Janey. – A kim on jest? Męską kurwą, bo brał forszę za seks.

Mimi wstała na drżących nogach, myśląc tylko o tym, w jaki sposób pozbyć się jej stąd. Powoli podeszła do stojaka z ubraniami, przytrzymując się metalowego drążka. Wytężyła całą wolę, żeby się opanować.

Powiedziała spokojnym głosem:

– Możliwe, że masz rację, Janey. Może to wszystko prawda...

– Oczywiście, że to prawda – prychnęła Janey, ujęta nieco faktem, że Mimi przyznała jej rację. – Wiem, że to dla ciebie trudne, Mimi. Wiem, co do niego czułaś, ale rozmawiałam z nim pół godziny temu. Podobno chodziłaś za nim krok w krok, no a ten przyjazd do niego do Paryża... Musiał się z tobą rozstać, bo on pragnie mnie i tylko mnie. Sam mi wyznał, że gdyby nie Selden, już dawno byłby ze mną.

Mimi z trudem powstrzymała się od śmiechu. Wiedziała, że Zizi za nic w świecie by tego nie powiedział. Trzeba było jednak grać z wyczuciem, bo Janey wkładała już rękawiczki, istniała więc szansa, że za chwilę sobie pójdzie. Mimi kiwnęła głową w zamyśleniu.

– Rozumiem. A co z Seldenem? – zapytała, jakby to była najzupełniej zwyczajna pogawędka o mężczyznach i o związkach.

– Selden? – Janey wzruszyła ramionami. – Byłby zdruzgotany, gdybym od niego odeszła... Tak właśnie musiałam odpowiedzieć Ziziemu.

– Naturalnie – przytaknęła Mimi. To ostatnie wyznanie napełniło ją odrazą, ale nie dała po sobie niczego poznać. Najgorsze jest to, pomyślała, że ktoś, kto jej nie zna, uwierzyłby każdemu jej słowu.

– Chciałam cię ostrzec. – Janey ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się wpół drogi i z triumfalnym uśmiechem spojrzała na brzuch Mimi. – Ale widzę, że przychodzę za późno.

Mimi w milczeniu skinęła głową.

Janey położyła dłoń na mosiężnej gałce u drzwi.

– Naprawdę jestem twoją przyjaciółką, Mimi. Uwielbiałam cię już jako dziecko, gdy oglądałam twoje zdjęcia w magazynach. Marzyłam, żeby być

taka jak ty, kiedy dorosnę. Bardzo bym chciała, żebyśmy mogły dalej się przyjaźnić, kiedy to wszystko już ucichnie...

Mimi uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami.

– Oczywiście, Janey – powiedziała oględnie. – Bądź pewna, że nigdy nie przestaniemy się przyjaźnić.

Janey była już prawie za drzwiami, ale odwróciła się jeszcze w progu.

Ze złośliwym błyskiem w oku zapytała na odchodnym:

– A tak przy okazji, kto jest ojcem? – Jej głos był całkowicie niewinny.

Zanim Mimi zdążyła odpowiedzieć, do sali wbiegła Colette, niosąc szklanek wody. Mimi spojrzała na Janey z ukosa i potrząsnęła głową.

Janey wzruszyła ramionami, wychodząc na korytarz. Kiedy już jej nie było, Colette podała szklanek Mimi.

– *C'est tout d'accord?* – zapytała.

– *Non, Colette* – powiedziała Mimi wyczerpanym głosem, pijąc powoli.

– *Jesuis tres fatigue. Je prendrais un' autre appointment demain...*

– *Mais oui, hien sur* – zgodziła się Colette. – *C'est naturellement. C'est le bebe...*

– *Oui.* – Mimi skinęła głową. – *Lebebe... , Le bebe.*

Mimi powiedziała to na głos, kładąc dłonie na brzuchu. Doczekam się czy nie, pomyślała, zerknąwszy ponownie na zegarek. Poirytowana, zamknęła oczy. Przyplęnęło do niej wspomnienie straszliwego grymasu, który wypełził na twarz Janey, kiedy zadawała swoje ostatnie miażdżące pytanie. To już nie była piękna modelka, a raczej wijący się wąż, kłapiący szczękami i śmiejący się szyderczo. Mimi wciąż miała przed oczami jego

lśniące czarne łuski, ostre zęby i długi, czerwony język...

Trudno jej było zrozumieć, dlaczego Janey tak się zachowała. Dlaczego przeinaczyła całą historię jej romansu z Zizim? Czy to ten nagłówek w „New York Post” tak nią wstrząsnął, czy może kryło się za tym coś więcej? Początkowo Mimi chciała ostrzec George'a, a także Seldena, przed Janey, która teraz była po prostu niebezpieczna, ale opamiętała się, zrozumiawszy, że wymagałoby to wyznania własnych uczynków. Poza tym Janey otrzymała wystarczającą nauczkę; będzie musiała wyprowadzić się z Seldenem do Connecticut i trzymać z dala od wielkiego świata... A jeśli Selden się z nią rozwiedzie? Kto ją wtedy zechce? Znajdzie się amator, i to niejeden, zaśmiała się cierpko Mimi. Tak czy inaczej, Janey musi teraz zniknąć, przynajmniej na jakiś czas...

Jednak coś jej mówiło, że Janey nigdy tego nie zrobi. Otworzywszy oczy, uderzyła pięścią w stół do badań. Dość tego, dość myślenia o Janey Wilcox! W tej chwili najważniejsze jest dziecko i nic poza tym.

Mimi przesunęła dłońmi po brzuchu. Wciąż nie mogła się nadziwić, że w tym wieku otrzymała tak wspaniały dar, ze wszech miar wart wysokiej ceny, którą był stary jak świat problem ojcostwa. Sytuacja była bez wyjścia: Mimi musiała uznać George'a za ojca, choć w głębi duszy była przekonana, że jest nim Zizi. Skutkiem tego miała nieustające poczucie winy. Straszna tajemnica ciążyła jej po stokroć bardziej niż samo dziecko. We własnych oczach Mimi nie była w niczym lepsza od Janey Wilcox i tak samo jak ona zasługiwała na karę, która jej nie minie; jeśli dziecko okaże się Ziziego, do końca życia będzie musiała dźwigać brzemie

tajemnicy...

Nie miała jednak żadnego wyboru. Honorowym wyjściem z sytuacji byłoby usunięcie ciąży. Mimi poniosłaby zasłużoną karę i nie musiałaby okłamywać George'a. Ale zabić dziecko, żeby się ukarać?

– Dzień dobry! – powiedziała ginekolog, wchodząc do gabinetu. –

Przed badaniem muszę zapytać o jedną rzecz: czy chce pani znać płeć dziecka?

– Tak – powiedziała Mimi ostrożnie. Oparła się ciężko plecami o stół do badań; przypomniawszy sobie o swojej winie, poczuła nową falę wyrzutów sumienia. Czy lekarka może się czegoś domyślić? Skądże, w jaki sposób... ? Przecież George w dalszym ciągu może okazać się ojcem...

W głębi ducha Mimi miała jednak nadzieję, że tak się nie stanie.

Chciała, żeby to dziecko było owocem prawdziwej miłości, a jej miłością był Zizi, nie George. Czy można było zatem ją winić, że pragnęła urodzić chłopca, który byłby podobny do Ziziego jak dwie krople wody?

Janey Wilcox siedziała w swoim apartamencie w hotelu Lowell, starannie wyglądając stronę wyciętą z porannego wydania „New York Post”. Rozmawiała przez telefon, przytrzymując słuchawkę ramieniem. Od czasu do czasu kiwała głową i wydawała potakujące chrząknięcia. Strona z najnowszego numeru powędrowała na stos wycinków zalegający w kącie pokoju.

Janey rozmawiała z Wendy Piccolo. Życie jest pełne niespodzianek; jedną z nich była ta telefoniczna znajomość. Janey i Wendy dzwoniły do siebie codziennie, czasem nawet dwa razy w ciągu dnia.

Rozmowy ciągnęły się godzinami, do samego wieczora, kiedy Wendy wychodziła do teatru, gdzie grała Blanche DuBois w „Tramwaju zwanym pożądaniem”.

Ich nieprawdopodobna przyjaźń trwała już prawie od dwóch tygodni.

Zaczęła się w dniu, kiedy „Post” dał na pierwszej stronie nieco ziarniste zdjęcie Janey z katalogu Victoria's Secret, w przezroczystym peniuarze i pantoflach przybranych różowymi strusimi piórami. Nagłówek umieszczony nad zdjęciem krzychał: **MODELOWA PROSTYTUTKA!**

Nastąpiła akurat ta pora roku, kiedy wydaje się, że zima nigdy się nie skończy, a trzeba przyznać, że zima roku 2001 była wyjątkowo śnieżna.

Na ulicach zalegały zasy brudnego tającego śniegu, a na przejściach dla pieszych robiły się kałuże wielkości małych sadzawek. Każdy napotkany przechodzień miał mokro w butach i nie było nikogo, kto by nie zrzędził na taką pogodę.

Prawdę mówiąc, znajomość Janey i Wendy zaczęła się od tego, że Wendy się nudziła, a Janey nie mogła wyjść z hotelu.

Telefon zadzwonił o trzeciej po południu, tego dnia, kiedy „Post” nazwał Janey modelową prostytutką. W dniu jej powrotu z Paryża telefon dzwonił bez przerwy. Nie mogła odbierać – każdy by się domyślił, że to dziennikarze. Obsługa hotelowa była jednak dobrze zorientowana w specjalnych potrzebach gości z wyższych sfer; następnego dnia linię wyłączono. Od tej pory Janey nie rozmawiała z nikim oprócz Seldena i swojego nowego agenta Jerry'ego Grabawa. Selden przez cały ten czas zadzwonił około sześciu razy, żeby sprawdzić, czy Janey nigdzie nie

wyszła. Jerry pytał nieodmiennie, czy niczego jej nie potrzeba i za każdym razem powtarzał, że wszystko (w końcu) się ułoży. Janey dobrze o tym wiedziała; w końcu cała ta afera była jedną wielką (a właściwie monstrualną) pomyłką. Odebrała telefon, myśląc, że to Selden. Zdziwiła się, usłyszawszy Wendy Piccolo.

– Czy zastałam Seldena? – Janey natychmiast rozpoznała ten oszukańczo słodki głosik.

– Selden jest... w pracy – odpowiedziała tonem sugerującym, że każdy inteligentny człowiek powinien był się tego domyślić. To jednak nie zraziło Wendy.

– Janey? – zapytała.

– Tak – odparła Janey chłodno, nie wiedząc, jakim cudem Wendy mogła pomyśleć, że to ktoś inny.

– Właściwie – w głosie Wendy zabrzmiał ton zakłopotania, jakby miała coś na sumieniu – to chciałam porozmawiać z tobą, Janey. Byłam ciekawa, jak sobie radzisz.

Janey zareagowała błyskawicznie, łapiąc nadarzącą się okazję jak orzeł chwytającego zająca. Do tej pory absolutnie nikt nie wyraził zainteresowania tym, co ona czuje; wszyscy martwili się tylko, czy powstała sytuacja im nie zaszkodzi, .

– Koszmar – powiedziała płaczącym tonem. – Na ulicy czatuje chyba ze stu fotografów. Nie mogę wychodzić z hotelu... Zaczynam wariować.

Ten cały rozgłos, telefony... A najgorsze jest to – rzekła Janey, chyba po raz trzydziesty tego dnia wyglądając przez zasłonięte okno na ulicę, gdzie



kłębił się tłum fotografów – że to wszystko nieprawda, od początku do końca. Nikt nie chce słyszeć, że napisałam ten scenariusz...

– Wierzę ci. – W głosie Wendy brzmiało szczere oburzenie, podbudowane tradycyjną babską solidarnością; w zasadzie, to nie same fakty miały podstawowe znaczenie, ale to, kto odpowiadał za całą tę sytuację. – Nawet gdybyś go nie napisała, to przecież i tak to Comstock popełnił przestępstwo, a nie ty ani żadna z tamtych dziewczyn...

Żadna z tamtych dziewczyn. Janey dopiero teraz przypomniała sobie o nich. Kto to był? Dziwki na telefon, kelnerki, początkujące aktorki... Nikt o nich wcześniej nie słyszał. Nie były sławne i to nie ich zdjęcia trafiały codziennie na okładkę „New York Post”.

– Z nimi jest taki problem – zwierzyła się Wendy – że żadna z nich nie napisała scenariusza, więc prasa uczepliła się mnie...

– Bo jesteś piękna i sławna – zauważyła Wendy. – Taka jest prawda, pogódź się z tym. O tamtych dziewczynach nikt nie chciałby czytać...

Święte słowa, pomyślała Janey i na głos przyznała Wendy rację.

Była jednak nieco zaskoczona, kiedy nazajutrz Wendy zadzwoniła ponownie. Miała Janey wiele do opowiedzenia. Rozmawiała ze swoimi kolegami i koleżankami z obsady „Tramwaju”; wszyscy się zgodzili, że Janey jest postacią głęboko tragiczną, jak Hester Prynne, bohaterka „Szarłatnej litery”. Janey nie czytała tej książki, ale widziała film z Demi Moore. Faktycznie, teraz zauważyła, że wszystko pasuje idealnie. Wendy powiedziała też, że ktoś rzucił pomysł, żeby na znak współczucia dla Janey cała ekipa zrobiła sobie koszulki z napisem „Modelowa

prostytutka". Słyszając to, Janey zaśmiała się z zażenowaniem, ale mimo to było jej miło, że ktoś o niej myśli. Podobało jej się też, że Wendy używa skrótów „Tramwaj”, jakby rozmawiała z kimś z teatru.

Od tego czasu upłynęły dwa tygodnie. Janey siedziała, kołysząc nogą, na poręczu kanapy obitej kwiecistym perkalem. Była kompletnie znudzona; zgodnie z wielką tradycją babskiej przyjaźni rozmowa z Wendy codziennie miała niemalże identyczny przebieg.

– To strasznie nużące być uwięzaną w domu – poskarżyła się.

– Wiem, Janey – głos Wendy ociekał współczuciem – ale niedługo stąd wyjdiesz, wspomnisz moje słowa.

– Nie mogę. – Janey westchnęła z irytacją. – Selden by mnie zabił.

Zabronił mi nawet podchodzić do okien.

– A co on może ci zrobić? – zakpiła Wendy. – Rozwiedzie się z tobą?

Gdyby tego chciał, dawno już by było po sprawie.

– Pewnie masz rację – odparła Janey.

– A gdybyś mu powiedziała, że masz już dość? – zapytała Wendy przebiegle. – To znaczy, że chcesz w końcu wyjść z hotelu.

Wendy też już przejadła się wciąż ta sama gadka. Bardzo by się ucieszyła, gdyby wreszcie coś się wydarzyło, tak żeby Janey mogła przynajmniej uraczyć ją jakąś nowością. Miałaby wtedy co opowiadać kolegom z obsady „Tramwaju” – no i wszystkim swoim przyjaciołom.

– A może wyjdziemy gdzieś... razem? – zaproponowała Janey z ciężkim westchnieniem, jakby nie wierzyła, że to w ogóle jest możliwe.

Naturalnie była ona tak samo przebiegłym graczem jak Wendy; wiedziała,

że jeśli zostanie zobaczona z ulubienicą prasy, to położy tym samym solidny fundament pod odbudowę swojej pozycji towarzyskiej.

– Oczywiście. Niedługo się umówimy – obiecała Wendy, nie zamierzając dotrzymać słowa, w każdym razie w najbliższej przyszłości.

Wydzwanianie do Modelowej Prostytutki (tak za jej plecami nazywali Janey wszyscy znajomi Wendy i ona sama) to jedno, ale pokazywać się z nią na ulicy... Wendy nie była głupia, poza tym jej agent by ją zabił...

Nie chcąc jednak urazić Janey (musiała być dla niej miła, bo ktoś na pewno nakręci film na podstawie jej przeżyć, a Wendy była skłonna przyjąć główną rolę), dodała:

– Bardzo bym chciała się gdzieś z tobą wybrać, ale nie mogę, dopóki gramy. Sztukę wystawiają jeszcze przez sześć tygodni...

– Chciałabym cię w niej zobaczyć – powiedziała Janey.

– Byłoby cudnie! – ucieszyła się Wendy. – Przyjdźcie oboje z Seldenem.

– Gdyby tylko ludzie zechcieli uwierzyć, że naprawdę napisałam scenariusz... – wyjęczała Janey wracając do swojego ulubionego tematu, a Wendy natychmiast pospieszyła z wypracowaną odpowiedzią.

– Więc może po prostu idź po niego? – zasugerowała błagalnym tonem.

– Nie mogę – odparła Janey. – Mówiłam ci, że został w moim starym mieszkaniu, a ja nie mogę ruszyć się na krok z hotelu...

– Daj mi klucze – zaproponowała Wendy. – Ja po niego pójdę.

– Nigdy go nie znajdziesz. – Janey westchnęła głęboko. – Tam jest

bajzel nie z tej ziemi. Mój były lokator Zizi, wiesz, ten gracz w polo, żył

jak w chlewie. Nie wiem, czy mnie samej udałoby się go znaleźć, a przede wszystkim nie pamiętam, czy on tam w ogóle jest. Najbardziej się boję, że został w tym domku w Hamptons, który wynajmowałam dwa lata temu...

– Wiem, mówiłaś – wtrąciła szybko Wendy – ale jednak...

– Poza tym nigdy nie oddałam żadnej wersji do wytwórni – zakończyła Janey żałośnie – więc nie mam nawet egzemplarza z datą. Ludzie uznają, że napisałam wszystko teraz, po fakcie.

Mam też oczywiście inne powody, pomyślała.

– Cóż, chyba wiesz, co mówisz. – W głosie Wendy brzmiała już lekka irytacja.

Chwila napięcia minęła jednak szybko i telefoniczne przyjaciółki pożegnały się, obiecawszy sobie, że wkrótce skontaktują się ponownie.

Janey ze złością kopnęła stolik. A gdyby jednak dać Wendy klucze do mieszkania? Oczywiście, scenariusza tam nie znajdzie, najwyżej marne trzydzieści stron, ale sam fakt, że będzie go szukać, jest dowodem na to, że takie dzieło istnieje. Oczyma duszy Janey widziała, jak Wendy broni jej w obecności całej obsady „Tramwaju”: skoro nie ma żadnego scenariusza, po co Janey wysłała mnie po niego?

Było to jednak zbyt ryzykowne. Gdyby Wendy znalazła nieukończony scenariusz... Janey uznała, że ostrożności nigdy za wiele, a szczególnie w takiej sytuacji. Wstała i wróciła do okna, zerkając ostrożnie przez zasłoniętą firankę. Na ulicy zostało już tylko trzech zziębniętych fotoreporterów, przytupujących na mrozie. Cała trójka wyglądała jak męty: w szkole z takimi chłopakami nikt nie chciałby się przyjaźnić.

Codziennie z grupy paparazzich czających się pod hotelem ubywało trzech lub czterech. Po dawnych tłumach pozostało już tylko wspomnienie; w dniu powrotu z Paryża Janey zobaczyła po przeciwnej stronie ulicy co najmniej pięćdziesiąt obiektywów wycelowanych w siebie. Fotografowie czynili taki zamęt, że w końcu policja musiała ustawić barierki, ale to i tak było nic w porównaniu ze sceną na lotnisku...

Janey nie zdawała sobie sprawy, że jest bohaterką aż tak głośnej afery, dopóki nie przeszła przez odprawę celną i nie stanęła w korytarzu prowadzącym do wyjścia z terminalu. Wiedziała doskonale, że delikatnie mówiąc, wpadła w kłopoty, że Selden jest wściekły i może nawet grozić jej rozwodem, ale w tej ostatniej kwestii była akurat całkowicie pewna, że zdoła wybić mu to z głowy – jeśli tylko zechce.

Zatem kiedy w korytarzu, zamiast kierowców limuzyn szukających swoich pasażerów, zobaczyła kłębiący się tłum fotoreporterów, z początku nie domyśliła się, że wszyscy czyhają na nią. Wtem jeden z nich krzyknął: „Jest!” – i zaczęło się. Janey musiała sama pchać wózek z bagażem jak jakaś łajza z New Jersey i nie miała nawet czasu założyć ciemnych okularów...

Dziennikarze zaczęli wykrzykiwać jeden przez drugiego pytania w stylu: „Jaka była największa suma, którą zarobiłaś w łóżku?”. Było ich całe mrowie, a światła fleszy dosłownie oślepiały... Sytuacja była przerażająca, ale jednak było w niej coś ekscytującego; Janey pomyślała, że tak na pewno musiała czuć się księżna Diana... Reporterzy otoczyli ją ze wszystkich stron. Wózek utknął w ciżbie. W końcu Janey nie mogła

nawet drgnąć. Zasłoniła oczy ręką i zaczerpnęła tchu, żeby wrzasnąć z całych sił...

Wtedy zobaczyła przed sobą marynarkę w prążki i poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię i wyciąga z tłumu; jednocześnie drugi nieznajomy mężczyzna złapał rączkę wózka z jej bagażem i popchnął go przed sobą niczym kosiarkę do trawy, wycinając szerokie przejście przez zgraję paparazzich. W mgnieniu oka znaleźli się na zewnątrz. Stało tam pięciu policjantów, a przy krawężniku była zaparkowana długa czarna limuzyna z ciemnymi szybami. Mężczyzna w garniturze w prążki wepchnął Janey na tylne siedzenie, wsiadł za nią i zatrzasnął drzwi. Tłum fotografów okrążył samochód, nie przestając wrzeszczeć i pstrykać zdjęć. Nieznajomy – starszy facet, nawet przystojny, choć w ten tradycyjny, bezbarwny sposób, który sugeruje absolutny brak wyobraźni – pochylił się do kierowcy.

– Ruszaj, Chester! – rozkazał.

– A bagaż, proszę pana?

– Ronald się nim zajmie. Uciekajmy stąd, zanim zabiorą się do wybijania okien...

Samochód ruszył z piskiem opon. Janey opadła na siedzenie. Głosy ucichły, a nieznajomy odwrócił się do niej, wyciągając rękę.

– Przy okazji: jestem Jerry Grabaw, twój nowy agent – przedstawił się.

Mówił z lekkim brooklyńskim akcentem. – Wynajął mnie twój mąż. – Po chwili dodał, krzywiąc usta w ironicznym uśmiechu: – Gratuluję. Teraz jesteś naprawdę sławna.

Zamiast odpowiedzieć, Janey wbiła w niego wystraszony wzrok.

Wyrzawszy ponownie przez zasłonięte hotelowe okno, zauważyła, że na ulicy stoi już tylko dwóch fotografów, lecz mogło to oznaczać, że wysłali jednego po coś do jedzenia. Janey opuściła zasłonę i spojrzała na stos wycinków w kącie pokoju. To prawda; była teraz sławna i to bez najmniejszej zasługi Jerry'ego Grabawa.

Wiedziała, że Selden płaci mu mnóstwo forsy, jednak dotąd Jerry nie chciał wziąć pod uwagę żadnej z „teorii”, które podsuwała mu Janey. A były one przeróżne: jedna na przykład obarczała winą za jej nieszczęście George'a Paxtona.

– Ciekawa hipoteza – przyznał Jerry bez mrugnięcia okiem. W tym swoim prążkowanym garniturze wyglądał bardziej jak konserwatywny biznesmen niż jak agent gwiazdy, pomyślała Janey, i tak też się zachowywał. – Myślę jednak, że w świetle obecnych faktów lepiej zrzucić odpowiedzialność na Comstocka Dibble'a.

– George to mój przyjaciel, Janey – powiedział Selden z naciskiem, jakby naprawdę sądził, że mogła o tym zapomnieć. – Dlaczego miałby...

Janey już miała mu powiedzieć dlaczego, lecz na widok miny męża ugryzła się w język. Wyznanie mu całej prawdy w takim momencie nie byłoby najrozsądniejszym posunięciem. Gdyby się dowiedział, że od początku Janey za jego plecami prosiła George'a o pomoc, że chciała go nakłonić do wyłożenia funduszy... A gdyby zaczął się domyślać, jakich argumentów użyła... Na to nie mogła pozwolić.

Ponownie zerknęła przez firankę. Jerry polecił jej zasłaniać szczerze okna i nawet się do nich nie zbliżać. Ostrzegał, że paparazzi używają

teleobiektywów, którymi można zrobić zdjęcie ze stu metrów przez szybę. Niepotrzebnie się męczył; Janey nie miała najmniejszego zamiaru dać się sfotografować w takim stanie. Od dwóch tygodni chodziła w tym samym ubraniu. Po co się stroić, skoro nie ma komu się pokazać? Zaciekawilo ją, ilu fotografów zjawi się jutro. Dwóch? Jeden? Może żadnego? Powoli dają za wygraną. Nawet w dzisiejszym numerze „Post” nie napisano o Janey prawie nic. To może oznaczać, że jej historia zaczyna się ludziom nudzić... Odwróciła się od okna. Nie miała pojęcia, co ze sobą począć. Z nudów zaczęła przeglądać żurnal, choć czytała go już przynajmniej trzy razy i znała na pamięć nawet teksty reklamówek. Rzuciła ze wstrętem pismo na stolik. Selden wracał z pracy dopiero o szóstej.

Czym się zająć do tej pory? Mogła zadzwonić do Jerry'ego i poprosić, żeby kupił jej nowe czasopisma, a nawet – książkę. Jednak czuła się zbyt rozkojarzona, żeby skupić się na czymś tak wymagającym jak książka.

Telewizji też miała już po dziurki w nosie.

W ogóle wszystkiego mam dość, pomyślała z rozgoryczeniem.

Zaczęła przechadzać się po salonie, który wcale nie był duży. To nie było tak, że nie chciała wyjechać z Nowego Jorku; marzyła o podróży do Europy albo urlopie na ranchu w Montanie, nic z tego jednak nie wyszło, bo Selden, pomimo rodzinnych kłopotów, musiał codziennie być w pracy, a nie ufał jej na tyle, żeby puścić ją samą. Jak długo miał więc trwać ten areszt domowy? Dwa tygodnie? Miesiąc? Pół roku... ?

Wyjrzała przez okno jeszcze raz. Nagle naszła ją myśl: a może by wreszcie ruszyć się stąd? Fotografów już prawie nie ma... Wendy miała



rację: wcześniej czy później trzeba będzie wyjść. Czemu więc nie dziś?

Pytanie: dokąd i z kim? Spojrzała na zegarek – dochodziło południe.

Normalnie o tej porze wybierałaby się właśnie na lunch do Dingo's... Otóż to. Tak właśnie należało postąpić.

Restauracja Dingo's nadawała się idealnie dlatego, że przychodziło tam akurat tyle liczących się osób, ile było potrzeba Janey: nie za mało i nie za wiele, tak aby jej pojawienie się w mieście nie przeszło bez echa, a jednocześnie nie zostało odebrane jako manifestacja. Oczywiście był to ryzykowny manewr. Co będzie, jeśli Janey nie dostanie swojego stolika?

A jeśli w ogóle jej nie wpuszczą? O tym nie ma mowy – Wesley ją uwielbia; przecież to ona zapewniła lokalowi klientelę...

Ale z kim się tam wybrać? Janey myślała gorączkowo, drapiąc strup na palcu wskazującym. W grę wchodziła praktycznie tylko jedna osoba:

Patty. Na pewno spróbuje się wykręcić, trzeba więc będzie ją przycisnąć.

No i najważniejsza kwestia: w co się ubrać?

Osoba powracająca w kręgi towarzyskie musi wyglądać idealnie. Janey rzuciła się biegiem do szafy, myśląc o czerwonym tweedowym kostiumie Luca Luca z pięknym futrzanym kołnierzem... Do tego czarne perły, pierścionek zaręczynowy z sześciokaratowym brylantem i obrączka od Tiffany'ego, wysadzana brylancikami – czy komuś może przyjść do głowy, że tak wygląda prostytutka?

Nagle doznała olśnienia. Biel! Koniecznie musi wystąpić w bieli. Biel to kolor czystości. Biel oznacza niewinność i cnotę... Kłopot w tym, że wszystkie jej białe rzeczy to były stroje na lato – wszystkie z wyjątkiem tej

lateksowej mini od Korsy, tej, którą włożyła na kolację u Dodo i Marka Macadu... Janey na chwilę zamarła bez tchu, zaszokowana własną śmiałością. Czy starczy jej odwagi, żeby tak się pokazać? Szybko uznała, że tak, a radosne podniecenie zrobiło resztę. Pobiegnęła do szafy po sukienkę. To będzie szok. Kreacja była wręcz zuchwała, ale dzięki niej wszyscy zrozumieją, że Janey Wilcox nie dba o to, co się o niej myśli. Na wierzch będzie pasować biały wełniany płaszcz, a na głowę – biały kaszmirowy szal, do tego ciemne okulary...

Czas zająć się makijażem. Janey poszła do łazienki. Już tak dawno się nie malowała, że pokojówka upchnęła jej kosmetyczkę w szafce z lekarstwami. Janey wyszarpnęła ją z półki, a wtedy nastąpiła katastrofa: ostatnia szminka z serii Pussy Pink wpadła do wanny i pękła w zderzeniu z twardym marmurem. Janey aż krzyknęła ze zgrozy.

Podniosła połamaną różową zakrętkę, zastanawiając się, co też to może oznaczać. Szminka była do niczego: nie można jej tak nosić, bo na pewno się wysunie i pobrudzi wszystko w torebce. Janey wyrzuciła potrzaskane szczątki do małego kosza na śmieci. Uznała, że wcale nie musi to być zły znak. Można to przecież było odczytać jako koniec dawnego życia i początek nowego, lepszego.

Selden Rose siedział w swoim gabinecie, wpatrując się w leżący przed nim kontrakt.

Pracował nad nim od miesięcy. Kontrakt dotyczył scenariusza serialu o rodzinie prowadzącej nielegalne kasyno w piwnicy domu na Upper East Side. Autor, znany dramaturg, nie napisał na razie ani słowa, ale i tak

wokół projektu powstał już niemały szumek. Teraz, kiedy umowa była na ukończeniu, Selden zamierzał pozyskać do obsady Wendy Piccolo. Chciał zaproponować jej rolę córki: pięknej, nieposłusznej, wzbraniającej się przed małżeństwem. Ale praca ostatnio w ogóle mu nie szła. Nie mógł nawet skupić się na słowach, które miał przed samym nosem... Sam fakt, że umowa dotyczyła scenariusza, przypominał mu o kłopotach z Janey. Westchnął ciężko i odsunawszy dokument na bok, wstał zza biurka.

Wyjrzał przez okno. Śródmieście kryło się pod ciężkimi chmurami; w oddali ledwie majaczyły srebrzyste kontury bliźniaczych wież...

Selden spojrział na zegarek. Minęła już jedenasta trzydzieści. Był do tyłu z pracą, a musiał iść na lunch z szefem. Czekąło go prywatne spotkanie z Victorem Matrickiem w jadalni reprezentacyjnej. Żałował, że nie ma sposobu, aby je przełożyć. W zasadzie najchętniej w ogóle by się z tego wykręcił, ale to oczywiście było niemożliwe. Sekretarka Victora już tydzień temu ustaliła termin z jego sekretarką, a dziś rano dzwoniła, żeby potwierdzić spotkanie.

Od momentu przejścia do Splatca Verner Selden został zaproszony na lunch z szefem tylko dwa razy: kiedy Victor rozważał powierzenie mu kierownictwa Movie-Time i drugi raz, kiedy Selden przyjął to stanowisko.

Nie był jednak zdziwiony, że Victor zaprasza go akurat teraz. Splatca Verner zyskał ostatnio spory – i absolutnie niepożądany – rozgłos.

Nie miał pojęcia, co usłyszy od szefa, ale nie spodziewał się niczego przyjemnego.

Od rana nie dawało mu to spokoju. Rozważył każdy możliwy

scenariusz rozmowy z Dziadkiem, ale i tak ostatecznie doszedł do wniosku, że znów jest na straconej pozycji. Tak właśnie wyraził się w rozmowie z matką. Pani Rose dzwoniła do syna z dokładnością zegarynki co trzeci dzień o piątej po południu, żeby sprawdzić, czy zaszły jakieś „nowe komplikacje”, o których musiała wiedzieć z wyprzedzeniem.

Za dziesięć dwunasta Selden pojechał windą na czterdzieste drugie piętro, po czym przeszedł korytarzem do prywatnej windy, która była zarazem jedynym wejściem do orlego gniazda Victora na czterdziestym trzecim. W windzie zamiast przycisku był interkom. Selden nacisnął maleńką srebrną dźwigienkę u dołu urządzenia. Odebrała jedna z trzech sekretarek szefa.

– Słucham?

– To ja, Selden Rose. Victor zaprosił mnie na lunch...

– Dzień dobry, Selden – odpowiedziała wesołym tonem. – Wejdz.

Drzwi windy się otworzyły.

Jazda piętro wyżej trwała trzy sekundy. Sekretarka Victora czekała przy drzwiach windy.

– Cześć, Selden. – Uśmiechnęła się do niego. – Pan Matrick rozmawia przez telefon. Za pięć minut skończy. Zaprowadzę cię do jadalni.

Prowadził tam długi, wąski korytarz. Jego ściany były pomalowane na niebiesko i ozdobione malowidłami w złożonych ramach. W korytarzu było kilkoro drzwi w głębszym odcieniu błękitu, z wykończeniem odpowiadającym kolorystycznie ścianom. Sekretarka zatrzymała się w połowie korytarza i otworzyła jedno z błękitnych drzwi. Selden wszedł do

środka.

– Życzę smacznego – powiedziała. Już miała wyjść, kiedy nagle przypomniała sobie o czymś. – Twoje menu. – Podała mu niewielką białą kartę z konturem w kolorze błękitnych drzwi.

– Dziękuję – powiedział Selden. Wszedł dalej, rzucając okiem na kartę.

Na dzień dzisiejszy szef kuchni przygotował lodową sałatę z kalifornijskimi pomidorami w przybraniu z niebieskiego sera maytag, jako danie główne – świeżą angielską solę, smażoną, ze szparagami i młodymi ziemniakami, a na deser ciasto orzechowe i lody waniliowe domowej roboty.

Pyszności, pomyślał Selden ponuro. Rozejrzał się po jadalni, odruchowo składając kartę i chowając ją do kieszeni.

Dołożono wszelkich starań, aby gość miał wrażenie, że jest w europejskiej restauracji, a nie w niewykończonym budynku na skraju Columbus Circle. Rząd przeszklonych drzwi balkonowych ukazywał taras ze sztucznie kształtowanym ogrodem, w tej chwili zasypany śniegiem. Na ścianach pyszniła się boazeria, a środek sali zajmował długi stół otoczony rzeźbionymi krzesłami. Leżały na nim dwa nakrycia. Wyjątek stanowił olbrzymi płaski ekran plazmowy na ścianie naprzeciwko drzwi, umieszczony tam najwidoczniej po to, aby pokazywać gościom najnowsze produkty Splatch Verner podczas konsumpcji dań przygotowanych przez prywatnego pięciogwiazdkowego szefa kuchni.

Oba nakrycia znajdowały się na końcu stołu, w miejscach zwróconych do ekranu: jedno na wprost niego, u szczytu stołu, drugie nieco obok.

Selden zajął krzesło naprzeciwko tego drugiego.

Spojrzał na ekran, wzdychając głęboko.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ekran ożył. Oczom Seldena ukazało się studio telewizyjne, a w nim całkiem przyjemny facet w średnim wieku. Był to „The Jerry Springer Show”. Selden westchnął ponownie. Dziadek był znany ze swojej manii: zapraszał do siebie poszczególnych dyrektorów firmy i raczył ich odcinkami tego programu, po czym nieodmiennie następował wykład o miejscu i roli rozrywki telewizyjnej w kulturze amerykańskiej. Dziś padło na Seldena, który nie znosił programu Jerry'ego Springera, ale mimo wszystko zaczął oglądać, wiedząc, że zostanie później odpytany.

Na ekranie widać było odrażającego młodego mężczyznę o krostowatej twarzy i rzadkich długich włosach związanych z tyłu głowy. Po chwili pojawiła się niebrzydka blondynka (Selden momentalnie uznał, że jest ona za ładna dla Pana Krosty) i ni stąd, ni zowąd zaczęła wydzierać się na niego. Następnie dołączyła do nich dziewczyna w różowym topie bez rękawów, która z kolei zaczęła krzyczeć na blondynkę. Akcja była całkowicie niezrozumiała; nawet dialogi były nieczytelne, bo obie dziewczyny obrzucały się wyzwiskami, które realizator pracowicie zagłuszał.

Następnie Blondyna popchnęła Różową. Wtedy do akcji wkroczyli dwaj krzepcy panowie w typie ochroniarzy; po ich minach znać było, że brali udział w takim przedstawieniu zdecydowanie zbyt wiele razy.

Rozdzielili antagonistki – Blondyna natychmiast zaczęła od nowa

wrzeszczeć na Pana Krostę, a Różowa, zwróciwszy się w stronę publiczności, ściągnęła swój top. Nagie piersi zdążyły jednak tylko mignąć; szybko zakryto je czarnym paskiem. Selden westchnął raz jeszcze, poklepując się po głowie.

Po chwili zreflektował się i opuścił rękę. Bez względu na jego kłopoty, włosy długo nie zniosą takiego traktowania i wkrótce zaczną wypadać, jakby jeszcze tego mu brakowało.

Wtedy do jadalni wszedł Victor Matrick.

Selden wstał.

Victor Matrick był wysoki, średniej budowy ciała. Pomimo swoich lat (niektórzy dawali mu ponad osiemdziesiątkę) wyglądał jak okaz zdrowia, miał bujną siwą czuprynę i rumiane policzki. Był znany z tego, że potrafi być całkowicie bezceremonialny. Po wejściu do jadalni – chodził lekko zgarbiony, co jest typowym nawykiem u ludzi wysokich – poklepał Seldena po plecach, po czym ujął jego dłoń w obie ręce i potrząsnął.

– Selden. – Pokiwał głową. – Selden Rose. Dziękuję, że zechciałeś przyjąć moje zaproszenie.

Nie miałem specjalnego wyboru, pomyślał Selden z goryczą.

– Usiądziemy? – zapytał Victor, zajmując miejsce u szczytu stołu.

– Za chwilę podadzą pierwsze danie. Mamy tu punktualną obsługę...

– Bez wątplenia – bąknął Selden. Odczekawszy chwilę, usiadł.

Victor Matrick podniósł z talerza serwetkę i rozłożył.

– Jak podoba ci się ten program? – Skinął głową w kierunku ekranu.

– Właściwie...

– Na pewno uważasz, że to tragedia. Nie ty jeden. – Victor Matrick

pokazał w uśmiechu komplet idealnie białych, równiutkich zębów,

wyraźnie sztucznych. – Sam tak myślałem, więc wiem, co czujesz... Ale

przyszedł czas, kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać.

– Kiwnął swoją wielką, siwą głową; widać było jak na dłoni, że ta

przemowa nie jest wygłaszana po raz pierwszy. – Kiedy coś mnie gryzie,

zawsze dużo nad tym myślę, wiesz czemu? Ponieważ starając się

odgadnąć, dlaczego coś nie daje ci spokoju, można dokonać naprawdę

niezwykłych odkryć. I tak doszedłem do następujących wniosków. –

Victor oparł łokcie na stole, unosząc palce wskazujące obu dłoni. –

Chcesz, żebym cię z nimi zapoznał?

Selden pomyślał drwiąco, że nie wolno mu nie chcieć. Nie miał innego

wyjścia, jak tylko skinąć z zapalem głową.

– Sprośność – powiedział Victor.

– Sprośność? – Selden wolał się upewnić.

– Sprośność – przytaknął szef. – Najbardziej podstawowa forma

rozrywki. Liczy sobie miliony lat i zapewne pamięta czasy, kiedy człowiek

dopiero zaczął myśleć, jak by się tu rozerwać. Przyjrzyj się tej

publiczności. – Selden musiał ponownie zerknąć na ekran. – Cztery lata

temu, niedługo przed wybuchem rewolucji francuskiej, na widowni

zasiadali tacy sami wieśniacy i rzucali pomidorami w aktorów...

– Wydaje mi się – zaryzykował Selden – że rewolucja francuska była

dwieście...

– Nigdy nie byłem mocny z historii – odparł Victor Matrick – zresztą



jak większość współczesnych ludzi. Żadna różnica! Spójrz na nich – powiedział władczy tonem. – Dziwolągi, głupki, prostacy... Są wśród nas od zawsze i od zawsze odgrywają własną rolę w społeczeństwie. Przyjrzyj się tym facjatom – zachęcił. – Widzisz w nich choćby cień inteligencji? Jakąś głębię, ślad moralności?

Selden musiał przyznać, że faktycznie nic takiego nie znajduje.

– Nie przejmuj się. – Victor Matrick klepnął go pocieszająco po plecach, jakby był wyrozumiałym ojcem, a Selden synem, którego właśnie wyrzucono ze szkolnej drużyny. – Bóg stworzył najróżniejszych ludzi i nie nam ich osądzać.

Seldenowi zaczynała już świtać nadzieja, że oprócz wykładu na temat programu Jerry'ego Springera nic złego go nie czeka. Niestety, w tym właśnie momencie żarty się skończyły.

Victor wyprostował się na krześle i skrzyżował ramiona na piersi.

Selden skulił się w środku, oczekując kazania na temat efektywności swojej pracy w ostatnim okresie, ale szef najwidoczniej chciał jeszcze porozmawiać o programie.

– Wiesz, jaka jest różnica pomiędzy nimi, wygłupiającymi się do kamery, a nami, czekającymi na pyszny obiad w reprezentacyjnej jadalni koncernu Splat Verner?

Selden, tknięty przecuciem, że na to pytanie nie należy odpowiadać, wydał z siebie tylko wieloznaczne mruknięcie.

– Różnica nie polega na tym – pouczył go Victor – że my jesteśmy lepsi, a oni gorsi. Chodzi o to, że oni muszą robić to, co robią, a my nie.

Oni nie mają rozeznania, bo brakuje im inteligencji. Nam nie. Zatem dopuszczalne jest, że zajmują się dostarczaniem masowej publiczności, nazwijmy to, prostych form rozrywki. Tymczasem dla nas, pracowników reprezentujących firmę Splat Verner, jest to nie do przyjęcia. – Tu przerwał na chwilę. – Spodziewam się, że rozumiesz, o czym mówię?

Selden przełknął ślinę.

– Tak, panie Matrick, rozumiem.

Mimo wszystko czegoś jednak tu nie rozumiał.

– Tak też sądziłem – powiedział Victor.

W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł młody człowiek w stroju kelnera, niosąc talerze z sałatkami.

– Michael – powitał go Victor. – W samą porę.

Kelner imieniem Michael postawił talerze na stole. Selden spojrzał z rozpaczą. Nie czuł się na siłach, żeby wmusić w siebie choćby połowę tego, co mu podano. Wziął do ręki serwetkę i przyłożył ją do ust.

– Ale czy w takim razie ci ludzie są szczęśliwi? – zapytał, czując, że powinien coś powiedzieć.

– Słucham? – Victor spojrzał na niego. – Kto taki?

No to wpadłem po same uszy, pomyślał Selden.

– Tamci... – wyjaśnił. – Ci, którzy grają u Springera.

– Och, Selden... – Victor westchnął z zakłopotaniem, a potem, zupełnie niespodziewanie, w jego oczach błysnęło spojrzenie pełne tak bezbrzeżnego smutku, że Seldenowi zrobiło się słabo. – A jak sądzisz?

Selden nie odpowiedział. Przyglądał się, jak Victor nabiera na widelec

porcję lodowej sałaty i zaczyna przeżuwać, nie spuszczać z niego oka.

Spróbowałby coś zjeść, gdyby nie to niemiłe przeczucie, że szef jeszcze z nim nie skończył.

Jak się okazało, przeczucie go nie myliło.

Victor przełknął, popił wodą i rzekł prosto z mostu:

– Musisz coś zrobić ze swoją żoną.

– Z moją żoną? – zapytał Selden piskliwie.

– Z twoją żoną. – Victor skinął głową. Jego dziąsła były oblepione nitkami niebieskiego sera. Seldenowi zrobiło się niedobrze.

Przez chwilę trwała cisza. Selden gorąco pragnął zapaść się pod ziemię albo jeszcze lepiej, wyobraził sobie nagle, żeby Victor zjadł go zamiast obiadu. W całości. To mu się spodobało. Chciał, żeby Victor pożarł go jak lew. Nie, nie jak lew. Jak aligator. Lwy tylko rozszarpują zdobycz na sztuki, a aligatory najpierw topią ofiarę, a potem dopiero ją jedzą.

Tymczasem Victor na nowo powrócił do oglądania programu, a Selden, chcąc nie chcąc, musiał zrobić to samo. Wydało mu się to najokropniejszą z tortur. Wysokie piknięcia zagłuszające niecenzuralne słowa smagały go niczym elektrowstrząsy, dławiąc marne resztki inicjatywy, którą jeszcze odczuwał. Zastanawiał się, czy naprawdę upadł aż tak nisko, że będzie siedział tutaj jak kołek i nie odważy się wystąpić nawet słowem w obronie własnej lub Janey – bądź co bądź, jego żony?

– Panie Matrick? – zagadnął, odchrząknawszy.

– Słucham? – zapytał Victor. Jego twarz wyrażała czystą życzliwość, niczym współczesne obrazki przedstawiające Świętego Mikołaja.

– Moja żona... to znaczy Janey... twierdzi, że to ona jest poszkodowana

– powiedział Selden z ociąganiem. Faktycznie, usłyszał od niej coś

takiego, choć nie mógł się domyślić, czy to prawda, czy świadome

przeinaczenie faktów. – Mówi, że napisała scenariusz...

– Jeśli to prawda i twoja żona rzeczywiście jest niewinna – powiedział

Victor, swoim zwyczajem bez ogródek – to gdzie jest ten scenariusz?

Na to pytanie Selden nie miał odpowiedzi.

– Widzisz, Selden – kontynuował Victor – sytuacja jest prosta. Nie

potrafisz sobie poradzić z kobietą pokroju Janey Wilcox... – Na widok

miny Seldena podniósł rękę, dając znak, że jeszcze nie skończył. – To nie

jest zarzut – podjął szczerym tonem – ponieważ prawda jest taka, że firma

Splatch Verner też sobie z nią nie poradzi. – Przerwał. – To był zły wybór,

Selden – zakończył. – Będziesz musiał się jej pozbyć.

Selden milczał. Poczuvszy suchość w ustach, napił się wody. Victor

powrócił do jedzenia. Po chwili jednak odłożył widelec i otarłszy usta

serwetką, zwrócił się do Seldena z taką miną, jakby wręczał mu prezent

gwiazdkowy:

– Ma się rozumieć, dostaniesz dwa tygodnie do namysłu.

Dopiero wtedy do Seldena dotarło, co Victor chciał mu powiedzieć.

Został zmuszony do wyboru pomiędzy żoną a pracą.

Historia Janey Wilcox była oczywiście tylko jednym krótkim wątkiem

w nieustającej sadze ludzkich działań i ambicji, wysiłków i przedsięwzięć,

w nieskończonej opowieści o triumfie i porażce, którą snuje bez przerwy

miasto Nowy Jork. Jest to zarazem najwspanialsze miejsce na świecie i,

czasami, najbardziej przygnębiające; miasto, które w przedziwny sposób nigdy się nie zmienia. Tej właśnie osobliwości Nowego Jorku Janey zawdzięczała nagłe poczucie bezpieczeństwa, które ogarnęło ją, kiedy wkraczała dumnie do restauracji Dingo's o wpół do drugiej; miała wrażenie, że nic się nie zmieniło, że jest tak, jakby cały ten skandal nigdy się nie wydarzył.

U drzwi jak zwykle panował tłok. Słysząc było entuzjastyczne powitania znajomych, którzy widzieli się nie dalej jak zeszłego wieczoru na przyjęciu; całkiem otwarcie gapiono się na gości siedzących przy stolikach; nie brakło nawet nieodłącznych przyjezdnych, którzy przeczytali o Dingo's w słynnym dorocznym przeglądzie Tima Zagata, ale zobaczywszy lokal na własne oczy, mieli wrażenie, że omyłkowo trafili do przedsionków piekieł. Janey, w ciemnych okularach i kaszmirowym szalu skrywającym jej słynne blond włosy, wzbudziła tylko przelotną ciekawość kilku osób. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że słusznie postąpiła, przychodząc dziś tutaj.

Za to Patty długo nie dawała się namówić. Ze wszystkich sił usiłowała wyperswadować siostrze ten pomysł, aż w końcu Janey musiała zagrozić, że się zabije, jeżeli nie wyjdzie w końcu z hotelu. Patty oczywiście jej nie uwierzyła, ale skapitulowała, mówiąc, że skoro Janey naprawdę tak na tym zależy...

– To jest bez sensu – skomentowała, przedarłszy się przez tłum.

– Będzie bardzo miło – upierała się Janey. – Tutaj zawsze jest miło.

Zdjęły płaszcze i zostawiły je w szatni. Janey zerknęła przez szybę

oddzielającą holi wejściowy od pierwszej sali dla gości. W Dingo's były dwie sale, rozdzielone barem; pierwsza, od frontu, stanowiła to wyjątkowe miejsce, w którym trzeba się pokazać. Każdego dnia bar był obleżony przez podekscytowanych klientów czekających na miejsce w pierwszej sali. Nie doczekawszy się, musieli się zadowolić o wiele gorszym stolikiem w drugiej, gdzie można było zobaczyć tylko zwyczajnych ludzi, takich jak oni. Pierwsza sala była zarezerwowana dla śmietanki nowojorskiej: honorowych gości spoza miasta, znakomitości z towarzystwa, rekinów biznesu, magnatów medialnych, wydawców czasopism, ludzi z branży rozrywkowej i innych, o których aktualnie się mówiło i pisało. Lecz nawet to siódme niebo mieściło wydzielony eden, dostępny nielicznym: sześć boksów, po trzy po każdej stronie sali. Boksy po prawej, bliżej drzwi, były nieco mniej cenione niż te po lewej stronie, a znowu spośród tych po lewej największym presjtizem cieszył się boks środkowy. Janey gościła w nim kilka razy, ale najczęściej czekało na nią miejsce w pierwszym boksie od lewej, który uważała za własny.

Znajdował się najbliżej okna, co było dlatego korzystne, że można się w nim było pokazać również przechodniom.

Janey zdążyła zauważyć, oddając płaszcz i szal do szatni, że dziś w środkowym boksie po lewej stronie siedzi burmistrz w towarzystwie komisarza policji i senatora Mike'a Matthews'a. Jej boks na całe szczęście był wolny; Janey momentalnie poczuła się jak triumfatorka. Znała Mike'a na tyle dobrze, żeby podejść i przywitać się. Bez wątpienia mogła liczyć na to, że senator przedstawi ją burmistrzowi, co wypadnie doskonale w

rubrykach towarzyskich. No i sama przyjemność powrotu na swoje miejsce we własnym boksie – cóż to będzie za uciecha powiedzieć Seldenowi i temu męczyduszy Grabawowi, że nie mieli racji, że Janey może żyć tak jak dotąd...

Zobaczyła Wesleya, szefa sali. Szedł ku nim szybkim krokiem.

– Janey! – powiedział. Zauważyła, że lekko marszczy brwi i zaciera nerwowo ręce. Nie było to powitanie, którego oczekiwała. A jednak pocałował ją starym zwyczajem w oba policzki; Janey, idąc za ciosem, zaszczebiotała wesoło:

– Zdziwiony?

– W rzeczy samej, najdroższa. – Wesley skrzywił się lekko. – Szkoda, że nie uprzedziłaś mnie, że się zjawisz. Wszystko mamy dziś zajęte...

– Chodźmy stąd, Janey – szepnęła Patty. – Przyjdziemy jutro.. , – Nie bądź głupia – odparła Janey z wymuszonym uśmiechem. Ludzie zaczęli ją zauważać, poznała to po nagłym wzroście napięcia dookoła. Teraz już nie można było się wycofać; znaczyłoby to, że Janey Wilcox pozwoliła, aby ją z rozmysłem znieważono, a gdyby się rozeszło, że wolno ją tak traktować, to już nikt by jej nigdzie nie zaprosił... Żartobliwym tonem zwróciła

Wesleyowi uwagę:

– Kochanie, mój boks jest wolny...

– No właśnie – odpowiedział ze zmartwioną miną. – Mamy rezerwację.

Ale jest bardzo dobry stolik w drugiej sali...

– Janey, chodźmy – nalegała Patty.

Janey zdawała sobie sprawę, że to jest nic innego jak potyczka. Żeby

odzyskać swoje dawne miejsce, trzeba było ją wygrać.

– W drugiej sali nie ma dobrych stolików, tobie chyba nie muszę tego mówić – powiedziała twardo.

Wesley zaśmiał się z ociąganiem. Janey kamień spadł z serca.

– Poczekajcie. Zobaczę, co da się zrobić – obiecał. Podszedł do swojej zastępczyni, ładnej, młodej dziewczyny i zrobił wielki spektakl, udając, że się z nią naradza. Następnie ona demonstracyjnie zaczęła sprawdzać rezerwacje, a kiedy już skończyła, Wesley powrócił, niosąc dwa jadłospisy. Poprowadził Janey i Patty do pierwszej sali, mówiąc:

– Nie mogę dać ci twojego zwykłego miejsca. To będzie musiało dziś wam wystarczyć. – Jego głos, zauważyła Janey z satysfakcją, przybrał odpowiednio uniżony ton.

Już w holu Janey zauważyła, że goście na nią zerkają; teraz, kiedy weszli do sali, czuła na sobie wiele spojrzeń. Nikt nie próbował kryć ciekawości. Niektórzy patrzyli na nią z podekscytowaniem, inni zaś z rozbawieniem bądź pogardą. Przypominało to występ na scenie, ale przecież takie właśnie opinie krążyły o nowojorskich restauracjach: mówiono, że są one jak teatr. Skoro widownia chce przedstawienia, to je dostanie, pomyślała Janey niechętnie, podążając za Wesleyem (pamiętała jak przez mgłę, że Patty ciągnie się gdzieś z tyłu, ale przecież nie mogła pilnować siostry w takim momencie). Przypomniała sobie, że wciąż ma jeszcze swoją niezawodną urodę i nie tylko urodę; miasto było pełne urodziwych kobiet, ale tylko niektórym udało się znaleźć w samym centrum uwagi. Janey zawsze wiedziała, że jest skazana na ten sukces,



choć żałowała, że nie krąży o niej nieco bardziej pochlebne opinie.

Wesley prowadził je w kierunku małego stolika przytulonego u stóp podwyższenia, na którym znajdował się jej boks. Janey, nie zważając na szum, który powodowała jej obecność, ruszyła prosto w kierunku środkowego boksu, w którym siedzieli burmistrz oraz Mikę Matthews. Jej stolik znajdował się na tyle blisko nich, że mogła pójść okrężną drogą; Janey nie zamierzała przepuścić takiej okazji do zrehabilitowania się i to w obecności złośliwych bywalców Dingo's. Spostrzegła, jak burmistrz zerka na nią ciekawie dwa lub trzy razy, a Mikę rzuca jej przerażone spojrzenie, po czym szybko odwraca wzrok. Kiedy podeszła bliżej, do samego boksu, wszyscy trzej mężczyźni na moment zeszywnieli, a następnie ze zdwojoną energią powrócili do rozmowy, jakby w ogóle jej nie zauważyli.

Janey spodziewała się jednak, że Mikę, który był dla niej taki miły na przyjęciu u Harolda, nie zrobi jej publicznego afrontu.

– Mikę! – zawołała. Jej mimika była niezawodna: w tej chwili wyrażała subtelny mieszankę zaskoczenia i zadowolenia z nieoczekiwanego spotkania. . •

Stało się jednak coś dziwnego. Mikę nie przerwał rozmowy jakby Janey dla niego nie istniała.

– Mikę – powtórzyła z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Burmistrz spojrzał na nią pierwszy i Mikę musiał podążyć za jego wzrokiem. Janey spodziewała się, że przynajmniej raczy ją rozpoznać, ale on tylko zmarszczył brwi, zły, że ktoś go zaczepia.

– Słucham? – zapytał, udając zdziwienie, że obca osoba zwraca mu

głowę.

– Mikę. – Janey potrząsnęła głową, jakby wymawiając mu, że jej nie pamięta. – To ja, Janey. Janey Wilcox. Spotkaliśmy się kilka razy. Na przyjęciu u Harolda Vane'a...

– Oczywiście, przypominam sobie. – Mikę z obojętną miną skinął głową. Zapadła niezręczna cisza, aż w końcu Janey usłyszała zwrot, który w Nowym Jorku definitywnie kończy niepożądane spotkanie: – Miło cię znów widzieć.

Powiedziawszy to, Mikę podjął przerwana rozmowę.

– Ciebie także – odrzekła mu Janey jakby nigdy nic.

Patty zdążyła już usiąść przy stoliku. Nie mogła się zmusić, żeby spojrzeć na siostrę. Kiedy Janey usiadła, wbiła wzrok w serwetkę.

– No to słucham. – Janey ostentacyjnie zamaszystym ruchem rozłożyła swoją serwetkę i rozścieliła ją na kolanach. – Co nowego?

– Och, Janey... – Patty potrząsnęła głową.

Przy stoliku zjawił się kelner.

– Czy podać paniom coś do picia?

– Tak – odparła Janey stanowczo, jakby tylko na to czekała. – Dla mnie wódka z lodem i kropelką cytryny, a dla Patty...

– Woda – przerwała jej Patty z rozpaczą w głosie.

– Mineralna czy z kranu? – zapytał kelner.

– Mineralna. Gazowana – odpowiedziała mu Janey.

Usiadła wygodnie na krześle.

– No cóż – uśmiechnęła się – z całą pewnością to miła odmiana po

przymusowym pobycie w hotelu. Mikę bardzo się ucieszył na mój widok.

Zauważyłaś?

– Nie – szepnęła Patty.

– Wkurza mnie tylko, że nie chcieli dać mi mojego boksu –

powiedziała Janey.

– Ten stolik jest w porządku – uspokoiła ją Patty.

– Beznadziejny – nie zgodziła się Janey. – Na samym środku sali...

Kelner przyniósł zamówione napoje.

. – Jak się pan miewa? – zapytała uprzejmie Janey.

– Dziękuję, dobrze – odparł rzeczowo.

– Dziwne, że nie dostałam mojego boksu, prawda? – powiedziała

Janey.

– Dziś mamy specjalną rezerwację.

– Jak co dzień – rzuciła Janey nonszalancko – tylko zwykle

rezerwujecie go dla mnie!

Kelner skinął tylko głową.

– Janey, błagam cię... – jęknęła Patty.

– Co znowu? – zapytała Janey wyzywająco. – Mam siedzieć cicho jak

mysz pod miotłą? Jak ty? Nie zrobiłam nic złego. Zapamiętaj to raz na

zawsze...

– Już dobrze, wiem. – Patty rozejrzała się nerwowo.

– Boże. – Janey westchnęła. – Ty chyba powinnaś wierzyć, że jestem

niewinna. Napisałam ten scenariusz, przecież pamiętasz, jak nad nim

pracowałam...

– Ale to jeszcze nie znaczy...

– To wszystko przez George'a Paxtona – Janey nie dała siostrze

dokończyć. – Zostałam wykorzystana. To ja podsunęłam mu pomysł, żeby wykupić Parador, a potem poszłam pod młotek z całą resztą.

Wbiła w Patty twarde spojrzenie, oczekując przyznania jej racji. Była zła; zwrócenie się do George'a o pomoc okazało się jej jedynym błędem.

Gdyby Janey nie pokazała mu tego listu, nie zainteresowałby się firmą Comstocka, a jej dług nigdy nie wyszedłby na jaw, nawet gdyby go nie spłaciła. Spoglądając przez ramię na pusty boks, wyrzucała sobie głupotę, przez którą zaufała George'owi Paxtonowi. Gdyby była mądrzejsza, siedziałaby teraz tam, a nie tutaj i wszystko byłoby w porządku...

– Och, Janey – odezwała się Patty. – Zupełnie nie rozumiem, o czym ty mówisz. Czy to w ogóle ma związek?

– Oczywiście – burknęła Janey.

Do stolika podszedł kelner, lecz nie ten sam co poprzednio. Zamiast, jak oczekiwała Janey, przyjąć zamówienie, powiedział tylko:

– Przepraszam panie, ale muszę przestawić ten stół – po czym odsunął ich stół jeszcze dalej od boksów, jakby Janey i Patty były trędowate...

Siostry spojrzały po sobie.

– Porozmawiam z Wesleyem – oświadczyła Janey. Zaczęła wstawać z stolika, spodziewając się, że przykuje uwagę całej sali, ale nikt nawet nie spojrzał w jej stronę. Wszystkie rozmowy nagle stały się głośniejsze, a ludzie zrobili się weselsi i wyprostowali się przy swoich stolikach, tak jak

to się dzieje, kiedy zjawia się ktoś naprawdę sławny. Jedno spojrzenie w stronę drzwi wyjaśniło przyczynę tego poruszenia: do Dingo's zawitała Jenny Cadine, gwiazda filmowa.

Jeśli wierzyć plotkom, jej prawdziwe nazwisko brzmiało Jennifer Carrey. W wieku szesnastu lat Jennifer przybrała nazwisko aktorki z powieści Balzaka „Kuzynka Bietka”. Dwa lata temu zdobyła Oscara za najlepszą pierwszoplanową rolę żeńską, choć skończyła dopiero trzydzieści lat. Była wysoka i miała włosy złote jak statuetka Akademii. Wkroczyła na salę ubrana w przepiękną marszczoną koszulę od Yves'a Saint Laurenta, która miała być przebojem nadchodzącej wiosny. Na ten widok Janey natychmiast pożałowała, że nie włożyła tweedowego kostiumu zamiast tej niezakrywającej praktycznie niczego plastikowej sukienki. Był to strój idealny do nocnego klubu, ale teraz, w pełnym świetle dnia, sprawiał tandetne wrażenie i zdradzał, jak bardzo Janey zależało na tym, żeby dobrze wypaść. Nagle całkowicie przestała się sobie podobać. Wszystko z nią było nie tak, od fryzury (miała, jak zawsze, długie proste blond włosy, tymczasem Jenny zmieniała uczesanie bardzo często: dziś olśniewała rudozłotą burzą idealnie równych pukli) aż po czerwoną szminkę, którą zdecydowała się zastąpić zniszczoną Pussy Pink. Wesley z miną triumfatora prowadził Jenny do pustego boksu, usilnie unikając wzroku Janey. Nagle Janey zauważyła, że Jenny nosi różową szminkę i to w odcieniu niemal identycznym z jej ukochanym paryskim kolorem. Przyszedł jej do głowy zupełnie irracjonalny pomysł: będzie musiała zapytać Jenny, jak nazywa się ta szminka i gdzie można ją kupić.

Pomyślała tak, bo nagle poczuła wielką ulgę, wiedząc już, dlaczego

Wesley przyjął ją tak chłodno. Nie miało to związku z nią samą ani ze skandalem. Po prostu obiecał jej stolik sławnej aktorce...

Krok w krok za Jenny podążała kobieta w średnim wieku, niska, z usteczkami jak u ryby. Była to zapewne jej specjalistka od wizerunku.

Obie usiadły w boksie. Szmer rozmów na sali przybrał na sile, wskazując na to, że goście ze wszystkich sił starają się nie zwracać uwagi na fakt, że jedzą lunch w tej samej restauracji co zdobywczyni Oscara.

Janey była szczęśliwa. Co za wspaniałe sukces! Nagle wszystko powróciło do normy: jutro wiadomością dnia w kronikach towarzyskich będzie lunch Jenny Cadine w restauracji Dingo's.

Potem nastąpi lista znakomitych gości zauważonych w lokalu razem z nią: pan burmistrz, senator Mikę Matthews... Janey uśmiechnęła się do Patty. Z pewnością nie zabraknie też wzmianki o niej...

Wesley osobiście przyjął zamówienie od Jenny i jej towarzyszek.

Widząc, jak pochyla się nisko nad ich stołem, wskazując jakieś specjały figurujące w dzisiejszym menu, Janey momentalnie straciła dobry humor.

Jej nigdy nie traktowano tutaj w taki sposób, chociaż przez długie miesiące była stałym klientem sadzanym na najlepszych miejscach. Aż zagotowała się z wściekłości: z jakiej racji musi ustępować takim ludziom jak Jenny Cadine? Zerknęła na nią kątem oka i doszła do wniosku, że nie ustępuje jej urodą; większość ludzi powiedziałaby nawet, że jest wręcz odwrotnie.

Jenny była olśniewająca tylko na pierwszy rzut oka. Kto przyjrzał się jej bliżej, musiał zauważyć, że twarz gwiazdy jest w gruncie rzeczy nieco

asymetryczna, a nos krzywy i odrobinę za długi... Janey spojrzała na Jenny ponownie. Oscarowa dama rozkładała właśnie serwetkę, przesuając szybkim spojrzeniem po tłumie gości. Minę miała co najmniej królewską. Janey doznała olśnienia: ona także może zostać gwiazdą filmową!

Producentka? Co za głupota! Producentka nie zbiera laurów. A Janey w głębi serca zawsze chciała, by ludzie ją szanowali, by we wszystkich restauracjach zajmowała tylko najlepsze stoliki i wszędzie była gwiazdą, niekwestionowaną gwiazdą...

I wtedy wydarzyło się coś strasznego.

Towarzyszka Jenny Cadine, jej specjalistka od wizerunku, od dłuższej chwili rozglądała się po sali, raz po raz otwierając swoje usteczka zupełnie jak akwariowy gupik szukający pożywienia. Naraz dostrzegła Janey i jej twarz stężała. Szepnęła coś Jenny na ucho. Jenny zerknęła w stronę Janey, a w jej oczach błysnęło zrozumienie. Skinęła kilka razy głową, po czym obie wstały od stolika, zabrały swoje rzeczy i wyszły z sali.

Zapadła pełna konsternacji cisza. Jak to się zdarza w takich sytuacjach, ktoś jednak dalej rozmawiał i na całe nieszczęście dla Janey i Patty była to kobieta siedząca stolik dalej. Nie mówiła na tyle głośno, żeby słyszeli ją wszyscy, ale do nich dwóch dotarło każde jej słowo. Nie oszczędzono im niczego.

– ... zobaczyła tu te dwie siostrzyczki Wilcox. Obie to znane skandalistki. Janey, tę starszą, nazywają modelową prostytutką, a młodsza, Patty, była żoną rockmana, co to zrobił dziecko jakiejś piosenkarce. Do tego ta Patty trafiła niedawno za kratki.

– Idziemy stąd – powiedziała Patty, rzucając serwetkę na stół Janey

kręciło się w głowie. Dopóki Jenny Cadine nie wyszła czuła, że jest tutaj tolerowana; teraz w całej sali powiało wrogością i nikt nie krył pogardy dla niej. Wbiła wzrok w blat stołu, powstrzymując łzy. Zacisnęła zęby, mówiąc sobie, że musi to znieść. Są przecież ludzie, którzy wychodzili cało z gorszych opresji...

– Janey... – siostra ponagliła ją łagodnie.

– Jeśli mnie tutaj zostawisz, to umrę – jęknęła Janey.

Kelner przyniósł zamówione sałatki. Chłodny wyraz jego twarzy mówił wszystko.

– Zrezygnujemy z głównego dania – powiedziała miękko Patty. –

Prosimy o rachunek...

– Służę. – Kelner nie zaszczyił ich spojrzeniem.

– Janey – rzekła Patty. – Po co to ciągniesz? Nie rozumiesz, że wszystko skończone?

Janey nie odpowiedziała. Podniósłszy widelec, zaczęła nim skubać liść sałaty.

– Co cię tak ciągnie do tego miasta? – Siostra nie ustępowała. –

Dlaczego chcesz żyć w tym świecie?

– Patty... – Janey ciężko westchnęła.

– To już koniec – oznajmiła Patty. – Ani dla mnie, ani dla ciebie nie ma już życia w Nowym Jorku. Nie wiem, co teraz zrobisz, ale my przeprowadzamy się do Malibu. Kupiliśmy tam dom, a Digger na rok bierze wolne z kapeli.



– Fajnie... – bąknęła Janey apatycznie, jakby nie dotarło do niej ani jedno słowo.

– Janey... – Patty potrząsnęła ją delikatnie za ramię. – Musisz mnie posłuchać. Wyjedź z Nowego Jorku. Nie masz tu czego szukać, być może nigdy nie miałaś. Musisz znaleźć sobie jakiś prawdziwy cel w życiu. Bo ty żyjesz złudzeniami i to od dawna. Odkąd wróciłaś z tych wakacji w Europie...

Janey milczała. Kelner przyniósł rachunek. Patty otworzyła torebkę i poszperawszy w niej chwilę, wyjęła pięć banknotów dwudziestodolarowych. Położyła pieniądze na stole i wstała.

– To za dużo – szepnęła Janey.

Patty spojrzała na nią bez słowa.

Widok pieniędzy najwidoczniej pokrzepił Janey na duchu; udało jej się wstać od stolika i przemaszerować przez całą salę z wysoko podniesioną głową. Szatniarka już czekała z ich płaszczami. Podała im je w milczeniu, a kiedy się ubierały, do hollu wyszedł Wesley.

– Janey – powiedział cicho.

Janey odwróciła się. Zmrużyła oczy.

– Tak, Wesley? – zapytała zimnym tonem.

– Posłuchaj mnie, moja złota – rzekł, biorąc ją za rękę i odprowadzając do wyjścia. – Muszę ci coś powiedzieć, a ponieważ znamy się od dawna, liczę na to, że mnie zrozumiesz.

Janey nie odezwała się ani słowem. Czowała suchość w gardle, jakby nałykała się kurzu.

– Wiesz, jak jest. – Ton Wesleya był nienagannie uprzejmy. – Nasz

klient nasz pan. Lokal utrzymuje się z tego, że przyciąga tych gości co trzeba. Kiedy ten układ nawali, szef urwie mi głowę i to ja wylecę z pracy...

Janey przesunęła językiem po zębach i z trudem przełknęła ślinę.

– Przepraszam. – Minęła Wesleya, kierując się do wyjścia.

– Janey. – Szef sali wybiegł za nią na ulicę. – To nie moja wina.

Gdybym ja tu rządził, mogłabyś jadać u nas codziennie, ale ta babka, która zajmuje się wizerunkiem Jenny Cadine, to jędza. Nie pozwoli, żeby nazwisko jej klientki znalazło się w jednej kolumnie z „modelową prostytutką”.

– Więc od dziś nie musi się o to już martwić.

– Janey! – zawołał za nią Wesley, przytupując i zacierając ręce z zimna.

– Mnie też to się nie podoba, ale nie mogę stracić pracy.

– Rozumiem – powiedziała Janey.

Odwróciła się. Zupełnie straciła orientację. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie się znajduje ani jak trafić do domu, wiedziała tylko, że musi trzymać głowę wysoko, a oczy mieć szeroko otwarte. Ruszyła przed siebie, patrząc na wprost nieobecny wzrokiem. Po chwili dogoniła ją Patty, dysząc ciężko od szybkiego biegu.

– Och, Janey! – zawołała bez tchu.

Janey odwróciła głowę. Spojrzała na Patty zdziwiona, jakby zupełnie zapomniała, że przyszła tu z siostrą. Jej oczy błyszczały od łez. Patty współczuła Janey z całego serca. Nie miała więcej sióstr; chciała przytulić

tę jedyną, pocieszyć ją i zapewnić, że jakimś sposobem wszystko się jeszcze ułoży. Ale Janey nawet nie przystanęła. Szła dalej przed siebie jak ktoś, kto przemierzył bezkresną pustynię i nie potrafi już się zatrzymać, nie pamięta, jak się to robi. Po chwili odezwała się:

– Widzisz, Patty? To właśnie usiłowałam ci wyjaśnić przy obiedzie.

Nikt mnie nie powstrzyma. Nikt mnie nie pokona.

– Ale Janey... – jęknęła Patty rozpaczliwie.

– Zwłaszcza w takim momencie – zakończyła Janey.

\* \* \*

– Wyszłam dzisiaj z hotelu – oznajmiła Janey Seldenowi.

Leżała w wannie, pod grubą pierzyną gęstej piany. Na brzegu wanny stał rząd małych świeczek zapachowych.

– Wiem o tym – powiedział Selden obojętnym tonem. Bardzo się starał, żeby nie poniosły go emocje, ale nie wiedział, ile jeszcze wytrzyma.

Dzisiejszy dzień był najgorszy z długiej serii złych dni, które ostatnio przeżył. Jakby mało było samego lunchu z Victorem Matrickiem, to teraz jeszcze to... O trzeciej po południu Selden odebrał telefon od Jerry'ego Grabawa. Jerry powiedział, że dzwonił do niego znajomy z redakcji szóstej strony „New York Post”, na której zamieszczano plotki towarzyskie. Znajomy słyszał już o zajściu w Dingo's i poinformował Jerry'ego, że artykuł o tym pójdzie na pierwszej stronie jutrzejszego wydania.

– Wiesz? – zapytała Janey. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby wyrazić zdziwienie, zauważył Selden.

– Jerry zadzwonił – wyjaśnił.

– Aha.

Selden wyszedł z łazienki i poszedł przebrać się do sypialni. Ostatnio wszystkie wieczory stały się podobne do siebie. Jak na ironię, Selden dopiął wreszcie swego: zawsze marzył o tym, żeby spędzać wieczory w domu, zamawiać kolację do pokoju i oglądać telewizję.

– Na co masz ochotę? – zawołał.

– Nie wiem – odchrząknęła. – Może chińszczyznę?

– Jedliśmy to wczoraj.

– To może coś z kuchni hinduskiej?

– Wolę zjeść stek – powiedział Selden. – Zamówię u obsługi.

Prawdę mówiąc, wcale nie był głodny, ale wpojono mu zasadę, że trzeba jeść, żeby mieć dużo siły.

Zdjął garnitur i przebrał się w kaszmirowy sweter i dzinsy. Zdecydował się nie wspominać więcej o ostatnim incydencie. Było już za późno; co się stało, to się nie odstanie.

Usiadł na kanapie w salonie. Po chwili dołączyła do niego Janey.

Selden włączył telewizor. Podawano wiadomości. W Bronksie pękł rurociąg, a w piwnicy domu w Chinatown wybuchł pożar. Po wiadomościach wyświetlono reklamówkę prozacu, a po niej zapowiedź programu „Entertainment Tonight”. „Kto zabierze do domu złotą statuetkę? – pytał prowadzący, przystojny blondyn, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. – Dzisiejszy program poświęcamy oscarowej gali”.

– Wybierasz się w tym roku na rozdanie nagród? – zapytała Janey

Seldena.

– Victor Matrick uważa, że to nie jest najlepszy pomysł – odparł, nie odrywając oczu od ekranu.

– Aha. – W jej głosie nie było nawet śladu emocji.

Ta krótka, ledwie dwuzdaniowa rozmowa spowodowała, że Selden na nowo zaczął rozpamiętywać swój lunch z Victorem Matrickiem. Nie zapomniał ani jednego szczegółu, ale wciąż stawały mu przed oczami coraz to inne momenty całego zajścia; jedno wspomnienie wypierało drugie, jak jabłka niesione w koszyku.

Wstał z kanapy i poszedł do ciasnej kuchni. Zaczął mieszać drinka z wódką.

– Podać ci coś? – Wypadało o to zapytać.

– Pijesz wódkę?

– Tak.

– To ja też się napiję.

Selden wyjął z szafki drugą szklanekę i wrzucił do niej lód, myśląc gorzko, że tak właśnie zaczyna wyglądać ich życie: od tej pory będą chodzić wokół siebie na palcach jak stare małżeństwo i regularnie zagłuszać ból alkoholem.

Z całą pewnością doszłoby do tego, gdyby nie decyzja, którą Selden musiał teraz podjąć.

To niesprawiedliwe, pomyślał ze złością. Victor postawił go przed wyborem prosto z Biblii; Seldenowi przypomniał się Abraham, któremu

rozkazano złożyć w ofierze własnego syna, i król Salomon, który chciał przerąbać dziecko na pół, żeby rozstrzygnąć spór. Do tej pory Selden był przekonany, nie wiedzieć czemu, że pozwoli mu przeczekać to zamieszanie, aż w końcu wszystko powróci do normy. Poczł nagłą irytację, kiedy przypomniał sobie, jak bardzo się starał zachowywać normalnie: codziennie był w pracy o dziewiątej, tak jak zawsze, odbywał spotkania, jadał z klientami, nadzorował układanie ramówki. Jednak pomimo tych wysiłków wszyscy wiedzieli, że sytuacja nie wróci już do normy. Selden słyszał szepty na korytarzach, bardzo często też był kompletnie rozkojarzony; kiedy któryś z autorów przedstawiał mu nowe pomysły, sekretarka opowiadała o swoich dzieciach bądź też Gordon przechwalał się erotycznymi wyczynami, Selden przyłapywał się na tym, że zamiast słuchać, rozpamiętuje od nowa każdą chwilę swojej tragedii. Zaczynało się męczące wyliczanie: gdyby tylko Janey powiedziała mu o wszystkim, gdyby nie była taka skąpa, gdyby nie dała się tak łatwo oszukać... Aż wreszcie ten potok myśli zatrzymał się na pytaniu, na które nie było odpowiedzi: dlaczego?

Wtedy Selden nagle chwycił zdziwione spojrzenia swoich rozmówców.

I wpadał w panikę, bo nie wiedział, co przegapił.

Wrócił do salonu, niosąc drinki dla siebie i dla Janey. Podał jej szklankę, a ona wyciągnęła rękę, nie racząc nawet oderwać oczu od ekranu. Rzuciła mu tylko krótkie:

– Dzięki.

Selden spojrział na nią. Od dnia powrotu z Francji Janey ubierała się

praktycznie cały czas w to samo; dziś znów miała na sobie dzinsy (markowe) i bluzę z napisem VIXEN. Selden znał już na pamięć te jasnoniebieskie, rozmazane litery. Vixen. Diablica. Janey, jakby czując na sobie jego wzrok, podciągnęła spodnie. Kąpała się regularnie, Selden wiedział o tym aż za dobrze, ale ubranie było powyciągane i wyglądało na brudne. Przypomniało mu słynne zdanie z dramatu G. B. Shawa: „Uroda, na pierwszy rzut oka zachwyca; lecz któż się za nią obejrzy, kiedy przez trzy dni miał ją w domu na co dzień?”. Czując narastającą furję, musiał przyznać rację irlandzkiemu dramaturgowi. Co noc kładł się obok Janey, ale odrzucała go sama myśl o seksie. Kiedy tylko przychodziło mu to do głowy, widział szpetną gębę Comstocka Dibble'a, jego rzadkie rudawe włosy i szczerbę pomiędzy przednimi zębami. I ta maska śmiała się z niego.

Usiadł obok Janey na kanapie.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał.

– Co? – Nie zaszczycała go nawet spojrzeniem.

Selden pociągnął wódki.

– Dlaczego wyszłaś z hotelu?

– Ach, o to ci chodzi – powiedziała chłodno. – Tak mi poradziła Wendy Piccolo.

– Co? – Selden nie wierzył własnym uszom.

Janey odwróciła się do niego i odezwała się ciętym tonem, jakby powtarzała mu coś, o czym kiedyś już rozmawiali:

– Wendy Piccolo powiedziała mi, że wcześniej czy później będę

musiała wyjść, a ja się z nią zgodziłam.

Selden odstawił szklanę na stolik, mrużąc oczy. Był kompletnie zdezorientowany.

– Nie rozumiem. Widziałaś się z Wendy Piccolo? Kiedy?

– Nie widziałam się z nią – odparła Janey cierpliwie, jak małemu dziecku. – Rozmawialiśmy przez telefon.

– Zadzwoiła do ciebie – szepnęła Selden z niedowierzaniem.

– Tak – powiedziała Janey. – Zadzwoiła. Dzwoni do mnie codziennie.

– Przyjaźnicie się.

– Zgadłeś. – Janey podniosła szklanę do ust. – Zaskoczony? – zapytała z wyrzutem. – Uważasz, że jestem taka okropna, że już nie mogę mieć przyjaciół?

– Po prostu się dziwię – odrzekł Selden potulnie. To już stało się rutyną: rozmowa z Janey zawsze kończyła się tak, że musiał położyć uszy po sobie, żeby uniknąć...

– Więc się nie dziw – ucięła Janey. Wstała i skierowała się do kuchni.

Wszystko rozeszłoby się po kościach, gdyby nie dodała: – Nie sądziłam, że będziesz miał coś przeciwko temu. Przecież tak bardzo ją lubisz...

Selden spojrzał w jej twarz, niewyrażającą absolutnie nic poza chęcią wywołania awantury, i zadał sobie boleśnie szczere pytanie: Czy ona w ogóle potrafi pojąć, co zrobiła? Na tę myśl zawrzał w nim dziki gniew. Do tej pory trzymał się w ryzach; nigdy nie pozwolił sobie przy Janey na wybuch złości, nie krzyczał na nią, nie tknął jej nawet palcem, choć raz lub dwa przyszło mu to do głowy. Nie rozplakał się w jej obecności, choć



na to też miał ochotę. Ale teraz nagle przestał panować nad sobą.

– Odczep się od Wendy! – wrzasnął.

Janey cofnęła się o krok, raczej ze zdziwienia niż ze strachu. Selden nie mógł już dłużej powstrzymać słów, które cisnęły mu się na usta. Zaczął krzyczeć:

– Nie widzisz, co teraz ludzie o tobie myślą? Jesteś jak śmiertelny wirus, który zaraża każdego, z kim się zetknie. Zniszczyłaś moją karierę. Przez ciebie jestem pośmiewiskiem całej branży. A ten biedak, Craig Edgers? Przez twoje idiotyczne pomysły nie sprzedał książki Dibble'owi, a teraz Dibble wyleciał z interesu i Craig stracił – z twojej winy! – miliony dolarów.

Zachrypnął prawie od krzyku, twarz nabiegła mu krwią, ale mimo to nie milkł.

– Uważasz, że zasłużył sobie na to? Przez całe życie tyrał, żeby coś osiągnąć, a ty ot tak sobie pozbawiłaś go wszystkich szans. Nie myśl, że pozwolę ci teraz dobrać się do Wendy...

Janey dotąd nie powiedziała ani słowa. Selden nie mógł w to uwierzyć: nie próbowała się bronić ani odgryzać, stała tylko, patrząc, jak on się zapluwa. Sprawiała wrażenie, jakby bawił ją ten spektakl pod tytułem „Szalejący mąż”...

A po chwili odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu.

Selden wiedział, co teraz nastąpi: Janey pójdzie do łazienki, odkręci krany do oporu i wejdzie do wanny, wiedząc, że może zlekceważyć męża, który siedzi potulnie za drzwiami, wystraszony i skruszony. Zacznie myć

swoje cenne ciało, jak się myje figurkę z porcelany, a kiedy wyjdzie, będzie udawać, że nic się nie stało.

Zaczekał, pomyślał Selden z wściekłością. Zaczekał...

Mniej więcej po dziesięciu minutach usłyszał, że Janey zakręciła wodę.

Przekradłszy się do sypialni, przyłożył ucho do drzwi łazienki. Po plusku domyślił się, że weszła do wanny.

– Janey! – powiedział stanowczo. – To nie jest brudek, który można spłukać. Rozumiesz? Tego nie da się zmyć pachnącym płynem do kąpieli...

Nie odpowiedziała.

Selden westchnął ciężko i wrócił do salonu.

Gniew, jak zwykle, szybko mu przeszedł, pozostawiając po sobie tylko wielkie wyczerpanie. Selden nie miał usposobienia choleryka. Był twardy w interesach, ale jednak Victor Matrick się nie pomylił: Selden nie potrafił sobie poradzić z taką kobietą jak Janey Wilcox. Opadł na kanapę, ściskając skronie. Zrozumiał, że mimo wszystkiego, co zaszło, nie przestał jej kochać. Nie mógł przestać, bo gdyby kiedyś stwierdził, że jego miłość wygasła, musiałby poddać takiej samej chłodnej, rzeczowej ocenie całe swoje życie i nagle mogłoby się okazać, że to wszystko to jedno wielkie oszustwo...

W sprawach sercowych mężczyźni potrafią być zaskakująco

nieskomplikowani. Na całe nieszczęście Selden Rose właśnie taki był.

Zakochał się w Janey Wilcox od pierwszego wejrzenia, kiedy tylko usiadła obok niego na bankiecie u Mimi Kilroy. Kochał ją po męsku, z całkowitą

determinacją, kochał ją za to, że była, i za to, że nigdy nie mógł zdobyć jej bez reszty. Nie oczekiwał od niej wiele: chciał tylko, żeby i ona choć trochę go kochała, żeby od czasu do czasu robiła to, o co ją prosi, i żeby była dla niego wsparciem. W typowo męski, irracjonalny sposób Selden dał się zaślepić własnym wyobrażeniom na temat miłości. Dalej w nie wierzył i trwał w nadziei, że Janey jednak go kocha. Był święcie przekonany, że miłość pozwoli im pokonać wszelkie trudności.

Mężczyzna, który kocha w ten sposób, pozwoli kobiecie na bardzo wiele, co więcej, nawet jeśli ją w końcu znienawidzi lub uzna, że zwariowała, nic nie zdoła go przekonać, że to nie jest prawdziwa miłość.

Uczucia kobiety są jednak o wiele bardziej złożone. Kobieta rzadko kocha po prostu; częściej kocha ona to, co może wynikać z miłości, oraz, co jeszcze ważniejsze, to, co miłość może jej przynieść. Dlatego właśnie kobieta zniesie wiele poniżeń, dopóki spodziewa się konkretnych zysków. Lecz kiedy mężczyzna przestaje być użyteczny, kiedy zaczyna stwarzać zagrożenie jej niezależności, miłość potrafi zgasnąć dosłownie w jednej chwili i nie da się jej wskrzesić, tak jak nie da się zawiesić z powrotem jabłka, które spadło z gałęzi. Serce kobiety zamyka się przed mężczyzną raz na zawsze. To właśnie stało się z Janey: siedząc w wannie i chłodno, bez emocji rozważając swój związek z Seldenem Rose'em, doszła do wniosku, że to już koniec.

Selden stał się bezużyteczny. Jego nagły wybuch powiedział Janey wszystko, co musiała wiedzieć. Jej mąż był słabeuszem i tchórzem. Gdyby miał choć odrobinę ikry, sam zabrałby ją do Dingo's już dawno temu i nikt

nie odważyłby się skrzywić na widok dyrektora Movie-Time. Ale Selden nie mógł dla niej zrobić nawet tyle. Nie kiwnął palcem w jej obronie i dowiódł, że nie można na niego Uczyć. Nie wierzył nawet w jej niewinność. Odrobina uczucia, jakie Janey żywiła do Seldena, odpłynęła z jej serca jak woda spuszczana z wanny.

Czuła wyłącznie znużenie, nie było jej nawet smutno. Postanowiła sobie, że już nigdy w życiu nie pozwoli sobie na łzy z powodu mężczyzny – ani takiego jak Selden, ani nawet takiego jak Zizi. Teraz, pomyślała, pozostawało tylko czekać. Niech się dzieje, co chce – dopóki trwa jej uroda, zawsze może wydarzyć się coś ciekawego... A przynajmniej można liczyć na to, że znajdzie się jakiś adorator...

Następnym razem trzeba jednak będzie wybrać rozsądniej. W tym momencie Janey stanął przed oczami George Paxton. Gniewnym ruchem strzepnęła z siebie pianę, myśląc o tym, co mogłoby być, gdyby... George chciał ją zniszczyć, ale to jeszcze nie koniec.

Należało mu uświadomić, że jest jej coś winien. Należało znaleźć jakiś sposób, żeby zapłacił za to, co jej zrobił...

Tymczasem Selden wciąż siedział na kanapie sztywno jakby kij połknął, zastanawiając się, co począć z Janey i z ich małżeństwem. Nie potrafił jednak wymyślić nic konstruktywnego. Nagle wpadł mu w oko stos wycinków z gazet, które Janey odkładała w kącie. W tej samej chwili obojgu, Janey knującej intrygi w wannie pełnej piany i Seldenowi przeżuwającemu troski na obitej kwiecistym perkalem kanapie, przyszła do głowy ta sama gorzka myśl: jedyną osobą, która skorzystała na tej

katastrofie, był George Paxton.

## Rozdział 17

Selden Rose siedział w swoim gabinecie, wpatrując się w mały zegarek od Tiffany'ego stojący przed nim na biurku.

Upłynęła jedna minuta. Na wyświetlaczu godzina 10:03 zmieniła się w 10:04.

Selden przypomniał sobie scenę z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”:

Dorotka siedzi zamknięta w zamku złej czarownicy i patrzy, jak przesypuje się piasek w klepsydrze. Teraz już wiedział, jak to jest.

Pozostało mu dokładnie sześć godzin, pięćdziesiąt pięć minut i czterdzieści trzy sekundy życia.

Minęły już co do dnia dwa tygodnie od pamiętnego lunchu z Victorem

Matrickiem. Czas dany Seldenowi dobiegał końca. Za kilka godzin będzie po wszystkim.

A on nadal nie podjął decyzji.

Tego ranka, po przebudzeniu, przez kilka minut przyglądał się śpiącej żonie, pragnąc wyryć sobie w pamięci każdy szczegół jej twarzy. Skóra koloru kości słoniowej, gładka, bez jednej zmarszczki. Delikatny rumieniec na policzkach. Wargi koloru dojrzewających wiśni. Nigdy nie potrafił zrozumieć, po co Janey nieustannie maluje się tą różową szminką, skoro naturalny kolor jej ust jest taki piękny. Była to jednak jedna z wielu rzeczy, których Selden nie rozumiał u Janey... Jej oczy były mocno zaciśnięte, jakby nie chciała się obudzić, a dłonie stulone w dziecinne piąstki pod brodą.

– Kocham cię – szepnął Selden. – Jak ja cię kocham..

Bardzo chciał odgarnąć jej pyszne złote włosy, które opadły na czoło, ale bał się ją obudzić. Zastanawiał się, czy Janey chociaż przeczuwa, co jej grozi.

A teraz, siedząc przy swoim biurku, nagle zrozumiał, że nie zrobi tego.

Nie poświęci żony dla posady.

Istniały pewne granice. Człowiek, który podporządkowywał się Victorowi Matrickowi, był człowiekiem bez duszy. Selden w swojej karierze spotykał już takich ludzi. Nie brakowało ich ani w Los Angeles, ani tutaj, w Nowym Jorku. Zawsze określał ich mianem „pustaków” – byli to ludzie na pozór zwyczajni, lecz w głębi serca pozbawieni prawdziwych ludzkich uczuć. Często osiągnęli szczyty w swoich dziedzinach, ale Selden zawsze kpił sobie z nich. Z definicji uważał się za kogoś lepszego, ponieważ miał tę kojącą pewność, że nigdy nie będzie musiał poświęcić dla kariery tyle, co oni. Dlatego gardził takimi ludźmi.

Jeszcze dziesięć miesięcy temu, po przyjeździe do Nowego Jorku, Selden wierzył w to, że uda mu się wspiąć na sam szczyt firmy, że dzięki ciężkiej pracy i wrodzonej chęci czynienia dobra pewnego dnia zastąpi na stanowisku samego Victora Matricka.

Lecz teraz otworzyły mu się oczy. Zrozumiał, że tak się nigdy nie stanie.

Z drugiej strony, gdyby zrobił to, o co prosił Victor, i „pozbył się”

Janey, dałby tym samym do zrozumienia, że jest człowiekiem, który nie cofnie się przed niczym. Wszyscy zrozumieliby, że trzeba się z nim liczyć.

Zyskałby respekt u ludzi. Nie miał też żadnych wątpliwości, że dostałby awans. A potem wybrałby sobie trzecią żonę, lepiej „przystającą” do wizerunku firmy. Kobietę w typie, dajmy na to, Dodo Blanchette.

A gdyby nie wziął sobie do serca „rady” Victora? Co wtedy? Nie czekało go natychmiastowe zwolnienie – było to zbyt ryzykowne i stwarzało nawet podstawy do wytoczenia firmie procesu o dyskryminację (dyskryminacja żony pracownika – to byłoby coś nowego). Nie; zamiast zwolnienia Selden byłby stopniowo pozbawiany kompetencji, czemu w żaden sposób nie zdołałby zapobiec, aż w końcu pozostałyby mu tylko dwie rzeczy: biurko i sekretarka. Potem sekretarka zostałaby przeniesiona do innego działu, a on do mniejszego gabinetu, na stanowisko, któremu nie przysługiwała już osobista asystentka. A w końcu musiałby złożyć wypowiedzenie. Gdyby nie okoliczności, mógłby jeszcze znaleźć inną posadę. Wróciłby do Los Angeles i zatrudnił się na dyrektorskim stanowisku w jednej z dużych wytwórni filmowych. Z łatwością zarabiałby milion rocznie. Lecz Selden wiedział dobrze, że w obecnej sytuacji wszyscy mają go za frajera, który ożenił się z dziwką, zamiast jej zapłacić jak każdy normalny człowiek.

Całe życie tak ciężko pracowałem, pomyślał, kryjąc twarz w dłoniach. Praca była dla niego radością życia, wybawieniem. Przeżywał cudowne chwile, kiedy kończył przygotowania i pierwszego dnia zdjęć odwiedzał plan, kiedy film szedł do wyświetlania i osiągał wspaniałe wyniki kasowe, kiedy jego produkcje zdobywały nagrody. Za każdym razem, kiedy dostawał awans, czuł nieopisaną euforię, jakby cały kosmos był w zasięgu

ręki, jakby należał tylko do niego... Pierwsza żona Seldena oskarżała go, że jest pracoholikiem i popadł w uzależnienie od swoich osiągnięć. Dopatrywała się w tym przyczyn rozpadu ich małżeństwa i w końcu wytknęła mu, że gdyby poświęcał jej więcej uwagi, to być może nie doszłoby do jej romansu z kolegą z biura. Ta wiadomość na chwilę kompletnie poraziła Seldena. Był to dla niego szok, zwłaszcza kiedy dowiedział się, że przygoda pozamałżeńska jego żony trwała już od dwóch lat, a do tego Sheila nie miała nawet żadnych oporów, żeby ściągnąć swojego lubego na świąteczny wyjazd z Seldenem do Aspen. Zjedli nawet we trójkę lunch, a on nadal nic nie podejrzewał. Różnica polegała na tym, że Selden nie kochał Sheili tak jak Janey. Ożenił się z nią wyłącznie z poczucia winy – po pięciu latach znajomości postawiła mu ultimatum, a jemu było wtedy wygodniej ustąpić, niż szukać sobie nowej towarzyszki. Gdyby teraz miał wybierać pomiędzy Sheilą a pracą, nie zastanawiałby się długo. Z drugiej strony Sheila przenigdy nie postawiłaby go w takiej sytuacji – nie starczyłoby jej wyobraźni. Natomiast Janey z przedziwną łatwością wplątywała ludzi w afery, które sama wywoływała, i w rezultacie każdy coś na tym tracił. Była jak syrena, pomyślał Selden, wabiąca żeglarzy na ostre skały...

Spojrzał ponownie na zegarek. Była 10:43.

Jedyną osobą, która wyszła z tej katastrofy bez najmniejszego szwanku, był George, który do tego wykupił korzystnie firmę Comstocka.

Wydawało się niesprawiedliwością losu, że nie odniósł przy tym chociażby tak banalnych obrażeń jak złamana noga...



Wyświetlacz pokazywał godzinę 10:45. Selden podniósł słuchawkę i zadzwonił do George'a.

George Paxton lubił otaczać się pięknymi przedmiotami, lecz był zdania, że ich miejsce jest w domu, natomiast biuro służy do prowadzenia interesów, zatem z założenia powinno odpowiadać wystrojem biznesowej zasadzie „zero rozrzutności”. Zgodnie z tym założeniem jego gabinet był olbrzymi, lecz urządzony funkcjonalnie. George pozwolił sobie tylko na dwa odstępstwa od tej reguły: pierwszym był imponujących rozmiarów jedwabny indyjski dywan, specjalnie zamówiony przez Mimi, drugim zaś portret pędzla współczesnego malarza Damiena Hirsta przedstawiający George'a z lekko skonsternowaną miną. Obraz był prezentem ślubnym od Mimi. Miał wymiary półtora na trzy metry i kosztował pół miliona dolarów.

Długi szereg okien ukazywał widok na śródmiejskie wieżowce. Na samym środku pomieszczenia stała grupa twardych czarnych kanap i foteli firmy Le Corbusier. Na nich właśnie George przyjął Seldena.

Popijali kawę z niebieskich papierowych kubków ozdobionych logo lokalnej greckiej jadłodajni.

Spotkanie, zdaniem Seldena, nie przebiegało najlepiej.

– Nie masz wyboru – powiedział George. – Spójrz na to z logicznego punktu widzenia. Znasz ją od ośmiu, dziewięciu miesięcy, a pracujesz już ile – dwadzieścia lat?

George pociągnął łyk kawy, myśląc, że Selden w pewnych sprawach wykazuje zupełnie ślepy upór. Wybór był oczywisty, ale on cierpiał na

przerost ego i to go zgubiło. Jeśli teraz nie wyzwoli się spod wpływu ego, pogrąży się całkowicie.

Selden wyjrzał przez okno. Widział wyraźnie biura po drugiej stronie ulicy. W jednym pokoju przed komputerem siedział mężczyzna, rozmawiając przez telefon. Selden zastanawiał się, czy powinien powiedzieć George'owi, że nadal kocha Janey. Bał się, że wyjdzie na mięczaka. Podniósł swój kubek ze stolika.

– A jeśli cała ta sprawa to jedna wielka pomyłka? – zapytał. – Jeśli skazano nie tę osobę...

George westchnął.

– Przecież nikt tutaj nie umrze – powiedział, nieco już zdenerwowany.

– Sytuacja nie jest dobra, ale może powinieneś w końcu przejrzeć na oczy.

Dorośnij. Chcesz sam rozdawać karty czy dalej robić z siebie pośmiewisko?

– Gdyby można było... – zaczął Selden.

– Jezu... – George się skrzywił. – Wiesz chyba, bo wszyscy to wiedzą, że tak wygląda praca dyrektora. Trzeba umieć podejmować trudne decyzje. Reszta to pryszcz. Od łatwych decyzji ma się asystentów.

– Ona uważa, że ty też miałeś z tym coś wspólnego – powiedział

Selden, pozwalając sobie na nieco ostrzejszy ton.

George uśmiechnął się, przewracając oczami.

– Dziwisz się temu? Może uważasz ją za osobę, która weźmie odpowiedzialność za własne czyny?

– Nie ona jedyna w tej sytuacji unika odpowiedzialności – zauważył

Selden.

George podniósł kubek do ust, zerkając na Rose'a. Facet nie radzi sobie najlepiej, pomyślał, dostrzegając, że Selden wygląda na zmarnowanego i jakby na lekkim kacu. Domyślił się, że Rose wciąż jest zakochany. George nie miał wątpliwości, że Janey bez wahania pociągnie męża ze sobą na samo dno, co z całą pewnością rozumiał też Victor Matrick. Jedynym sensownym wyjściem było rozdzielenie tej pary; z tego powodu (choć nie tylko z tego) George postanowił nigdy nie mówić Seldenowi o tym, że widział list od Comstocka. Westchnął. Mógłby oczywiście zdradzić Rose'owi kilka dodatkowych szczegółów, które bardzo jasno uświadomiłyby mu, z kim ma do czynienia. Ale nie potrafił zrobić czegoś takiego staremu kumpłowi. Kopanie leżącego nie ma najmniejszego sensu, poza tym George'owi wydawało się, że Selden nie może już upaść niżej.

– Selden – odezwał się – to, czego szukasz, nie istnieje.

– Nie jestem tego do końca pewien, George.

– Takie dziewczyny jak Janey Wilcox nie nadają się na żony – odparł

George.

Selden odstawił kubek na szklany stolik.

– Co to ma znaczyć: takie dziewczyny jak Janey Wilcox?

– Daj spokój – powiedział łagodnie George. – Obaj dobrze wiemy, że są kobiety, które warto poślubić, i takie, których nie warto. Janey Wilcox należy do tej drugiej kategorii.

– Podaj mi jeden rozsądny powód – domagał się Selden. W jego głosie dała się słyszeć nuta desperacji. – Nie jestem zaślepionym durniem. Chcę

tylko zrozumieć, o co ci chodzi.

– Ona czegoś chce – oświadczył George. – To jest jasne dla wszystkich.

Chce czegoś, ale nikt nie wie czego. I ona sama też tego nie wie. A ludzie, którzy nie wiedzą, czego chcą, nie nadają się na partnerów. Ani w interesach, ani w ogóle.

– Dzięki, George – powiedział Selden, przybity.

Wstał. George też się podniósł. Żał mu było faceta, ale był pewien, że da sobie radę, jak wszyscy. Położył mu rękę na ramieniu.

– To jest tak jak z obcinaniem małego palca – powiedział pocieszająco.

– Należy to zrobić szybko, więc nie można piłować ręki nożem do steków.

A kiedy już jest po wszystkim, nagle okazuje się, że ten palec wcale nie był taki niezbędny...

– Jasne – odparł Selden. Uścisnęli sobie dłonie.

– Wpadnij do naszego nowego apartamentu w przyszłym tygodniu – zaproponował George. – Powiem Mimi, żeby coś przygotowała. Jej asystentka zadzwoni do ciebie...

Jeszcze chwila i Selden wyszedł.

George odetchnął z ulgą.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył tego samego mężczyznę co przedtem Selden. Facet nie ma własnego życia, pomyślał.

Cały dzień sterczy przed komputerem. George zastanawiał się obojętnie, co też takiego robi ten człowiek.

Wrócił do biurka, myśląc o Seldenie. Czuł lekkie wyrzuty sumienia.

Co jednak miał zrobić? Powiedzieć mu, że jego żona przyszła do niego

po pieniądze na ten jej głupi „projekt”, chcąc go naciągnąć w taki sam sposób jak przedtem Comstocka Dibble'a? A może jeszcze trzeba mu było powiedzieć, co zrobiła, żeby zdobyć tę forszę? George wspomniał dzień, kiedy Janey zjawiła się w jego biurze i tę żalospną farsę z klękaniem przed nim i robieniem mu dobrze. Nie uciekał przed nią – który facet by uciekł? – w końcu to nie był prawdziwy seks. Natomiast Janey, która jak wiele kobiet traktowała seks jako narzędzie do realizacji swoich planów, była święcie przekonana, że każdy mężczyzna to napalony dureń, który zrobi wszystko, byle tylko zechciała wziąć jego fiuta do ust.

George potrafił się zachować: bardzo grzecznie jej podziękował.

Na nic więcej od niego Janey Wilcox liczyć nie mogła.

Wiedział oczywiście, że to jeszcze nie wszystko i że Janey w końcu

zjawi się ponownie. Po takich kobietach zawsze należy się tego

spodziewać. Wydaje im się, że mężczyzna, którego obsłużyły, jest im coś winien i że mogą go zmusić, żeby się wywiązał.

George nie był zatem zaskoczony, kiedy mniej więcej przed tygodniem Janey złożyła mu wizytę.

– George – zaczęła, usiadłszy na czarnym fotelu Le Corbusier i zsunąwszy futro z ramion, jakby nie spieszyła się do wyjścia. – Sądzę, że wiesz, dlaczego tu przyszedłam.

– Sądzę, że wiem – odpowiedział, figlarnie unosząc brwi. – Niech zgadnę... Nie nasyciłaś się mną jeszcze.

– Nie próbuj udawać durnia, George – syknęła. – Może z Mimi to przejdzie, ale nie ze mną.

– Więc Mimi też gra w tym jakąś rolę?

– Mimi gra różne role – odparła zagadkowo.

– Wydawało mi się, że nie rozmawiacie ze sobą?

– Przecież nie rozmawiam teraz z Mimi – powiedziała Janey, kołysząc nogą, która, jak zauważył George, była goła, chociaż na dworze było najwyżej piętnaście stopni. W odkrytych sandałach jej nogi stanowiły wyjątkowo kuszący widok.

– Przyszłaś mnie prosić, żebym zamienił z nią...

– Przyszłam po pieniądze – wypaliła prosto z mostu, wstając z fotela.

– Każdy chce pieniędzy. – George uśmiechnął się sympatycznie. –

Zdradzisz mi, w jaki sposób planujesz je zarobić?

– Już je zarobiłam, dobrze o tym wiesz. – Podeszła do jego biurka,

opierając dłonie na blacie. Pochyliła się tak, że w głębokim dekolcie

swetra widać było cały jej biust. – To ja podsunęłam ci pomysł

wykupienia firmy Comstocka. Zasady prowadzenia biznesu mówią jasno,

że w takim wypadku jesteś mi winien przynajmniej znaleźne.

George wyprostował się w fotelu i spojrzał na nią uważnie. Janey po

raz kolejny zaskoczyła go tym, że nie była wcale taka głupia, na jaką

wyglądała. Wielka szkoda, pomyślał. Zamiast kombinować, powinna zająć

się czymś wartym zachodu. Wtedy naprawdę mogłaby dojść do czegoś w

życiu.

– Nie odmówiłbym ci racji – powiedział, opierając podbródek na

dłoniach – gdybym robił z tobą biznes według zwykłych zasad. A

konkretnie – wyjaśnił, unosząc brwi – gdybyś zamiast prosić mnie o

pomoc w sprawie Comstocka, przyszła do mnie z listem od niego i

zasugerowała, że warto by się zainteresować wykupieniem jego firmy...

– Przecież to żadna różnica!

– I tu się mylisz. – George pokiwał dobrotliwie głową. – Nasza umowa miała całkowicie odmienny charakter. Poprosiłaś mnie o małą przysługę.

Spełniłem twoją prośbę, a ty odwdzieczyłaś mi się na swój sposób. I na tym, moja droga, nasza znajomość się kończy.

– Zatem nic nie zrobisz? – zapytała ostrym tonem.

– Otóż właśnie – powiedział George, definitywnie kończąc rozmowę. –

Nic.

Janey zaczęła gniewnie sapać, mamrocząc coś o tym, że George jest jej coś winien. A George, patrząc na nią, pomyślał, że faktycznie nie ma najmniejszego zamiaru uznawać jej wydumanych roszczeń. Zrobiła swoje, spędził z nią kilka miłych chwil, a teraz należało zerwać wszelkie nici, które wiązały ich ze sobą. W przeciwnym razie nigdy się od niego nie odczepi. , .

Podniósł słuchawkę telefonu, poprosił sekretarkę, żeby go połączyła, i odwrócił się razem z fotelem tyłem do Janey. Kiedy po jakimś czasie spojrzął przez ramię, już jej nie było.

Tak wyglądało jego ostatnie spotkanie z Janey Wilcox. George miał nadzieję, że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Oparł łokcie na biurku, myśląc o biednym Seldenie, który dopiero co wyszedł.

Winda zatrzymała się na piętrze, gdzie mieściło się biuro George'a.

Drzwi rozsunęły się. Mimi Kilroy Paxton wydała stłumiony okrzyk,

całkowicie zaskoczona widokiem Seldena Rose'a.

Odruchowo pomyślała, że Selden przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz. Był niedogolony, jakby brakło mu chęci do codziennej toalety lub też nie miał do niej głowy. Sprawiał wrażenie człowieka, który długo znosił ciosy, lecz w końcu przyznał się do porażki i czeka na śmiertelne pchnięcie, wiedząc, że nie znajdzie już siły, aby je odeprzeć. Mimi najbardziej wstrząsnął jednak wyraz jego oczu, tych brązowych oczu, które do tej pory zawsze lśniły wręcz chłopięcą radością życia. Teraz te oczy były matowe i poszarzałe jak kawałek kartonu pozostawiony na dworze na łaskę wiatru i słoty.

Selden patrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Drzwi windy były otwarte, lecz on ani drgnął, jakby tknął go nagły paraliż.

– Selden! – zawołała Mimi.

Słyszając swoje imię, Rose nagle ją spostrzegł i postąpił krok naprzód, żeby się przywitać.

– Cześć, Mimi – powiedział.

Mimi wyszła z windy i ująwszy go pod ramię, pociągnęła w głąb korytarza.

– Selden – w jej głosie brzmiała szczerza troska – dobrze się czujesz?

– Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności – odparł zrezygnowanym tonem.

– Musisz mi o tym opowiedzieć – oświadczyła Mimi. – Czuję się w jakiś sposób odpowiedzialna za to wszystko...

– Ty? – Potrząsnął głową. – Przecież nic nie zrobiłaś...



– Przypomnij sobie – upierała się Mimi. – To ja przedstawiłam cię

Janey... To ja namawiałam ją do małżeństwa z tobą...

– Sam cię prosiłem, żebyś mnie przedstawiła – zaprotestował Selden. –

To miała być przyjacielska przysługa, pamiętasz?

– Więc co teraz zrobisz? – zapytała Mimi łagodnie. Wiedziała to i owo o kłopotliwym położeniu, w którym znalazł się Selden; George usłyszał o

tym od któregoś z dyrektorów ze Splatc Verner. Plotka o tym, że

Seldenowi Rose'owi polecono rozstać się z własną żoną, zdążyła już

rozejść się w wyższych sferach biznesu, nabierając charakteru

przypowiadki przestrzegającej przed niebezpiecznymi kobietami.

– Nie wiem, co mam zrobić. – Selden potrząsnął głową. – Janey

twierdzi, że jest niewinna, a nikt nie chce jej uwierzyć.

– Co dokładnie ci powiedziała? – zapytała Mimi.

– Że napisała scenariusz... i że George podobno ma coś wspólnego z jej nieszczęściem. Mówi, że to jego wina...

– Wyjaśniła ci, dlaczego tak uważa?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie potrafiła też powiedzieć, gdzie podziewa się zaginiony scenariusz. Pewnie zmyśliła to wszystko... – Spojrzał Mimi w oczy błagalnym wzrokiem. – Wszyscy mi mówią, że powinienem się rozwieść.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołała Mimi.

– Więc stracę posadę – odparł Selden. – Zaczynam myśleć, że to jedyne wyjście. Wciąż ją kocham.

Mimi przygryzła wargę.

– Rozmawiałaś z George'em?

– Przed chwilą od niego wyszedłem. Nie potrafił mi doradzić, zresztą nie dziwię mu się. To nie jego problem.

– Och, Selden. – Mimi westchnęła, podejmując decyzję, nad którą zastanawiała się od dawna. Obiecywała sobie wyrzucić Janey Wilcox z pamięci, ale mimo to nieustannie o niej myślała. Przeczytawszy z ciężkim sercem o jej straszliwym upokorzeniu w Dingo's, Mimi uznała, że Janey otrzymała już dostateczną karę. Dalsze przedłużanie jej cierpień było jak długi wyrok za drobne przestępstwo; człowiek potraktowany w ten sposób wychodzi z więzienia jako zatwardziały, żądny zemsty kryminalista. Mimi na własnej skórze poznała mściwość Janey i rozumiała już teraz, że im bardziej ludzie będą usiłowali ją stłamsić, tym większe będą jej pretensje. Można było ją zmusić do zejścia ze sceny, ale tylko na krótki czas. Janey była jak obca forma życia zamrożona w lodowcu – z całą pewnością w końcu by powróciła, jeszcze silniejsza niż przedtem. Trudno sobie nawet wyobrazić, do czego wtedy byłaby zdolna.

Mimi doszła do wniosku, że w interesie wszystkich najlepiej będzie, jeśli życie wróci na normalne tory. Rozwód Janey z Seldenem oznaczał katastrofę – kto mógł przewidzieć następny ruch zdesperowanej, rozwścieczonej kobiety? Mimi nagle zrozumiała, że Selden i Janey muszą pozostać razem i kupić dom gdzieś na przedmieściach, w Connecticut. Z dala od pokus sławy, pieniędzy i splendoru, Janey być może przestanie być groźna i stanie się jak zasuszone jabłko, które zostawia się na słońcu na całe miesiące, a potem domalowuje mu się oczy, nos i uśmiech...

– Selden – powiedziała Mimi, przyciągając go do siebie. – Nie wiem, czy Janey naprawdę napisała ten scenariusz, ale jeśli chodzi o George'a, to powiedziała prawdę. Przyszła do niego z prośbą o pomoc już kilka miesięcy temu, kiedy zaczęła dostawać te listy...

Selden raptownie się ożywił. Wyglądał jak pies gotowy skoczyć komuś do gardła.

– Więc zostałem oszukany – wyszeptał. – Mój najlepszy przyjaciel, przez tyle czasu...

– Wolnego – ofuknęła go Mimi. – Wiesz, że wcale tak nie było. George nic ci nie powiedział, bo nie chciał cię martwić...

– Dziękuję, Mimi – przerwał jej Selden ze złością. – Cieszę się, że w końcu odważyłaś się powiedzieć mi prawdę.

Ruszył szybkim krokiem w kierunku windy. Mimi pobięła za nim.

– To wcale nie jest powód, żeby zrywać z nami znajomość, wiesz? – próbowała go zagadnąć. Kiedy drzwi się otworzyły i Selden wsiadł do windy, Mimi zawołała za nim tonem pocieszenia: – Jesteś dobrym człowiekiem. Cokolwiek by się działo, zawsze pamiętaj, że postąpiłeś szlachetnie i honorowo...

Drzwi się zamknęły, a Mimi poszła na spotkanie z mężem. Nie miała najmniejszego zamiaru wspominać mu, że widziała się z Seldenem.

Kobiety wiedzą, że o pewnych sprawach należy milczeć. Mimi poklepała więc George'a po policzku, śmiała się z wszystkich jego żartów i powtórzyła mu po raz kolejny, jaki jest wspaniały. Zrobiła to, ponieważ podjęła już decyzję, że będzie go oszukiwać. A skoro miało tak być, czuła

się w obowiązku być dla niego kochającą żoną i jak najlepszą matką dla dziecka, które urodzi.

A więc Janey mówiła prawdę, pomyślał Selden, przyglądając się niskiemu budynkowi z poczerńiałej cegły. Przynajmniej raz nie skłamała. Całkiem możliwe, że także ten scenariusz, o którym tyle mówiła, naprawdę istnieje.

Spojrzał jeszcze raz na czarno pomalowane drzwi, sprawdzając numer domu. Zmarszczył brwi. Czy to na pewno dobry adres? Mógł się co prawda pomylić, ale miał dobrą pamięć do cyfr. Był całkiem pewien, że ten właśnie adres widniał na kopertach przesyłanych do hotelu.

Ulica Sześćdziesiąta Siódma numer sto dwadzieścia cztery, mieszkanie 3A.

Przyjrzał się jeszcze raz budynkowi.

Wejście mieściło się na wysokości ulicy, obok budki z chińskim jedzeniem. Kiedyś mogła tu mieszkać jedna bogata rodzina, ale widać było, że dawno temu dom został przebudowany: oryginalną fasadę zastąpiono płaskim frontonem. Z każdego piętra wyzierała smutno para wąskich okien.

Na pierwszy rzut oka adres był bez zarzutu. W Nowym Jorku jest wiele takich miejsc, których adresy nie budzą najmniejszych podejrzeń. Dom mieścił się w zupełnie przyzwoitym kwartale, pomiędzy Park Avenue a Lexington Avenue. Problem polegał na tym, że ulica Sześćdziesiąta Siódma łączyła się z aleją, która wiodła prosto przez Central Park, przez co zawsze była pełna ciężarówek i nieustannie panował tu hałas.

Rozejrzawszy się, Selden zauważył, że inne budynki wcale nie są w lepszym stanie. Najwidoczniej właściciele nie widzieli sensu w przeprowadzaniu remontów.

Obok drzwi znajdował się domofon z ośmioma przyciskami. Pod numerem 3A widniała maleńka karteczka z nazwiskiem Wilcox wypisanym czarnym wyblakłym flamastrem. Selden wiedział, że nie zastanie tam nikogo, dlatego doszedł do wniosku, że lepiej od razu zadzwonić do dozorca. Nie znalazłszy odpowiedniego guzika, zaczął wciskać wszystkie po kolei, mając nadzieję, że w końcu ktoś go wpuści. Po kilku sekundach usłyszał szcęk zamka. Otworzył drzwi i wszedł. Naprzeciwko wejścia znajdowała się ciemna, wąska klatka schodowa, a po lewej skąpo oświetlony korytarz wyłożony szachownicą z czarnych i białych plastikowych płytek. Jedne z drzwi były otwarte. Stała w nich kobieta w średnim wieku, z twarzą upstrzoną naroślami o tajemniczym wyglądzie.

– Pan sobie życzy? – zapytała podejrzliwie.

– Szukam gospodarza domu – powiedział Selden, przekładając swoje drogie czarne rękawiczki z ręki do ręki.

– Tam dalej, w głębi korytarza. – Wskazała głową. – Jak go nie ma w domu, to znaczy, że siedzi w pubie naprzeciwko.

Gospodarz jednak był w domu. Selden wyjaśnił mu, że jest mężem Janey Wilcox i chciałby wejść do jej mieszkania.

– Jasne – powiedział dozorca, podstarzały mężczyzna w wyciągniętym podkoszulku. Prawdopodobnie wyglądał na więcej lat, niż miał w

rzeczywistości. – Czytałem o panu w gazecie. Jak się miewa nasza lokatorka?

– Dziękuję, dobrze – powiedział Selden spokojnie.

– Niech jej pan przekaże, że musi się zdecydować, co robi z tym mieszkaniem. – Dozorca podał mu klucze. – Wynajmowała temu blondynowi, co to przychodziła do niego jedna babka...

– Janey? – wystraszył się Selden.

– Nie – odpowiedział z namysłem dozorca. – Starsza. Pod czterdziestkę. No, ale facet się wyprowadził i mieszkanie tyle czasu już stoi puste... Właściciel nie lubi pustych mieszkań, nawet jak ktoś za nie płaci.

– Przekażę – zapewnił go Selden, biorąc klucze.

Wchodząc na wąską klatkę schodową, nie mógł się nadziwić, że Janey Wilcox, piękna modelka Victoria's Secret, naprawdę wspinała się kilka razy dziennie po tych brudnych stopniach. Co ją zmusiło, żeby tutaj mieszkać? Na drugim piętrze zaleciał Seldena zapaszek przypalonego obiadu. Skrzywił się z odrazą i ruszył dalej. Po chwili zauważył, że podąża za nim olbrzymi karaluch. Chciał go rozdeptać, ale zrezygnował, widząc rozmiary owada, który z pewnością zapaskudziłby mu pół podeszwy.

W drzwiach były trzy zamki. Selden otworzył je po kolei, znów zachodząc w głowę, jak Janey mogła tu mieszkać.

Zaśmiał się, przypomniawszy sobie o jej skąpstwie.

Drzwi otworzyły się z upiornym zgrzytem. Selden zawahał się na moment. Nie był wcale pewien, czy chce tam wchodzić. Wewnątrz czuć

było śmieciami bądź zepsutą żywnością. Pierwszym określeniem, które przyszło mu do głowy, było „brud i nędza”.

Zreflektował się jednak szybko. Miał obowiązek przynajmniej spróbować ratować swoją żonę.

Przestąpił próg. Po lewej stronie znajdowała się lilipucia kuchenka.

Selden zauważył zardzewiałe sprzęty i drzwiczki od szafki wiszące krzywo na nadłamanych zawiasach. Wyglądało na to, że wiszą tak już dłuższy czas, a Janey nie chciało się ich naprawić. Po prawej stronie był pokój o rozmiarach trzy na cztery metry. Znajdował się w nim płytki kominek, a na wprost drzwi było okno. W prawo kolejne drzwi prowadziły do drugiego pokoju, który mógłby w ostateczności uchodzić za sypialnię. Było tam drugie okno oraz komoda. Łóżko znajdowało się na małej platformie wzniesionej na czterech słupkach, pod którą zamocowano dwa pręty do wieszania ubrań.

Dobrze, pomyślał Selden. Jestem w mieszkaniu Janey. Gdzie teraz zacząć poszukiwania?

Na łóżku dostrzegł firmową torbę Burberry. Wyglądała na nową; z ciekawości sięgnął po nią. W środku było pudełko, a w pudełku – para butów w szkocką kratę. W torbie Selden znalazł też paragon, z którego dowiedział się, że za buty zapłacono jego kartą kredytową, że Janey podpisała się jego nazwiskiem i że otrzymała trzydziestoprocentowy rabat.

Na paragonie widniała data ósmy grudnia; przypomniał sobie, że tego właśnie dnia Janey kupiła też naszyjnik z czarnych pereł. Spróbował zebrać fakty razem – data, buty, miejsce, w którym je zostawiła – ale nic

mu z tego nie wyszło, dał więc spokój i wrócił do pokoju. Pod oknem stało drewniane uczniowskie biurko. Nie było na nim nawet papierka, Selden zajrzał więc pod spód i ujrzał prawie nowy laptop firmy Apple leżący na stosiku różowych kartek.

Nagle wiedział już, że znalazł to, czego szukał.

Przyklękawszy, uniósł komputer i wyciągnął spod niego papiery.

Janey była osobą skrytą, lecz jeśli chodzi o chowanie rzeczy, nie należała do specjalistek; Selden przypomniał sobie, z jaką łatwością znalazł list od Comstocka.

Nagle coś go tknęło. Różowy papier? Scenariusz na różowym papierze?

Banalny, dziewczyniński pomysł.

Faktycznie, był to scenariusz. Na pierwszej stronie widniało: ZA

WSZELKĄ CENĘ?, a pod spodem: „Scenariusz. Autorka: Janey Wilcox”.

Jest! Selden drżał z podniecenia. Nagle powróciło poczucie czasu.

Sprawdził na ręcznym zegarku: dochodziła dwunasta trzydzieści. Jeszcze niecałe cztery godziny...

Nie, nie, pomyślał radośnie. Już nie. Teraz, kiedy trzyma w rękach dowód, ma tyle czasu, ile dusza zapragnie...

Usadowił się na kanapie obitej spłowiałym czerwonym aksamitem, odłożył stronę tytułową na bok i zagłębił się w lekturze...

Po dwudziestu minutach przerwał i odchylił głowę do tyłu, kryjąc twarz w dłoniach.

Niesamowita dziewczyna, pomyślał. Niepojęta i zagadkowa, a jednocześnie tak łatwa do rozszyfrowania. Cały jej „scenariusz” liczył nie



więcej jak trzydzieści stron, a jego forma pozostawiała wiele do życzenia – właściwie była to garść pomysłów na poszczególne sceny. Gdzieś tam tylko widniał strzępek dialogu, wtrącony dla zachowania proporcji. Selden miał wrażenie, że nareszcie zrozumiał swoją żonę. Znając jej wyrafinowane pojęcie o sztuce, nie dziwił się, że Janey wstydziła się pokazać swój scenariusz komukolwiek. W każdej scenie widać było, jak autorka w żenujący wprost sposób ucieka się do kalek i ogranych motywów.

Selden powrócił do pierwszej strony. Główna bohaterka nie miała nawet imienia; nazywano ją po prostu Dziewczyną lub (gdy była młodsza) Dziewczynką. W pierwszej scenie Dziewczynka miała cztery lata i tańczyła w szkolnym teatrzyku baletowym. Występowała w roli świeczki na torcie urodzinowym i przemierzała scenę raz po raz, kręcąc się jak fryga. Po skończonym przedstawieniu przyszli po nią rodzice. Tatuś (którego Dziewczynka kochała najbardziej na świecie) przytulił ją, a Matka (ona również nie miała żadnego nazwiska) odciągnęła córeczkę na stronę i nakrzyczała na nią za poplamioną baletową spódniczkę. W następnej scenie opowieść przeskakiwała sześć lat do przodu.

Dziesięcioletnia Dziewczynka małuje się ukradkiem podebraną Matce szminką. Nagle do łazienki wpada Matka i zobaczywszy, co się dzieje, „wyrywa Dziewczynce szminkę z rąk” (tak było w tekście).

**MATKA (gniewnie)**

Powiem ci tylko tyle: jeżeli rozwiodę się z twoim ojcem, to będzie to wyłącznie twoja wina!

DZIEWCZYINKA Nie mów tak, mamó, proszę cię.

MATKA Posiedzisz zamknięta w pokoju. Dopóki nie zmądrzejesz.

Spójrz na siebie. Wyglądasz jak zdzira!

DZIEWCZYINKA Jeśli tak, to ucieknę z domu.

MATKA Bardzo dobrze. Rodzina i tak ma przez ciebie same kłopoty.

Selden uśmiechnął się pobłaźliwie, przerzucając kilka stron. Znalazł fragment, który wydał mu się nieco bardziej interesujący. Dziewczyna, znów o dobre kilka lat starsza, znalazła się na jachcie jakiegoś Araba, porwana i zmuszona do świadczenia usług seksualnych za sprawą znajomej, noszącej w scenariuszu miano Tak Zwanej Przyjaciółki. Noc w noc kuliała się przerażona na koi, słuchając dobiegających zza ściany rozpaczliwych krzyków: „Niet! Niet!”. To pomocnicy Araba (zwanego w tekście po prostu Arabem) gwałcili Dziewczynę z Rosji. „Wtedy właśnie – wyjaśniał scenariusz – Dziewczyna postanowiła, że jej nie może spotkać to samo. Musiała znaleźć sposób, żeby uniknąć takiego losu”.

Po tym opisie następowała scena pokerowej rozgrywki pomiędzy

Dziewczyną a trzema pomocnikami Araba.

PIERWSZY ARAB Podnoszę stawkę o sto.

DZIEWCZYNA Podwajam. Dwieście i sprawdzam.

PIERWSZY ARAB Jakim sposobem... ?

DZIEWCZYNA Znowu wygrałam.

Selden nie miał pojęcia, skąd Janey wytrzasnęła tę historię. Była to oczywista kalka, oklepana opowiadka, której miło posłuchać, ale w którą nikt nie uwierzy. A jednak trzeba przyznać, że pomysł z wygrywaniem

własnego losu przy pokerowym stole był niezły i oryginalny. Brzmiały w nim echa opowieści o Sinobrodym. Autorka, jak widać, miała trochę wyobraźni...

Zresztą, pomyślał Selden, kogo obchodzi, jaki jest ten scenariusz?

Ważne było tylko jedno: że faktycznie próbowała go napisać, że od początku miała jak najlepsze intencje. No i oczywiście to, że powiedziała prawdę. A on nie chciał jej wierzyć, kiedy mu powtarzała, że napisała scenariusz...

Zalała go nagła fala wyrzutów sumienia.

Aby je ukoić, obiecał sobie szybko, że wynagrodzi Janey wszystko.

Spełni każde jej życzenie. Teraz, kiedy trzymał jej zapiski w ręce, przejrzał na oczy: to była prawda, że Janey została wrobiona. Jak mógł w to wątpić? Zwinąwszy luźne kartki w rulon, Selden wsunął je do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Prawie wybiegł z mieszkania. Pęk kluczy brzęczał mu w ręce.

Dziękował Bogu, że ani on, ani Janey nie będą musieli już więcej tutaj wracać; przekonają, żeby przestała płacić czynsz... Postanowił też rozgłosić swoją nowinę; zadzwoni do Jerry'ego Grabawa i powie mu, że znalazł scenariusz...

Powie też, oczywiście, Victorowi Matrickowi. Obracając klucz w zamku, wyobraził sobie ten wspaniały moment... Przypomniał sobie okrutne twierdzenie Victora, że Splat Verner nie poradzi sobie z dziewczyną pokroju Janey Wilcox. Cóż, tym razem będzie musiał uznać własną pomyłkę i przyznać, że jest dokładnie odwrotnie. Janey Wilcox jest

akurat taką żoną, jakiej potrzebuje firma: piękną, mądrą i utalentowaną.

Dokończy swój scenariusz dzięki wskazówkom Seldena, który pomógł już niejednemu autorowi ogarnąć jego dzieło. O ileż zyska na tym jego wizerunek, kiedy ludzie zobaczą, że uroda nie jest bynajmniej jedynym atutem pani Rose. Nawet mama będzie pod wrażeniem...

Nagle zamarł, wkładając klucze do kieszeni. A jeśli ludzie i tak mu nie uwierzą? Jeśli uznają, że Janey stworzyła te szkice po fakcie, już po wybuchu skandalu, żeby dowieść swojej niewinności?

Otrząsnął się z tych myśli. Nie to było ważne. Zbiegając po schodach, zrozumiał, że najważniejsze jest to, że on zna prawdę. Opinie innych ludzi nie obchodziły go ani trochę.

Janey Wilcox siedziała w łazience, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze.

Czuła radosne podniecenie, a jednocześnie była kłębkim nerwów. W takich sytuacjach zawsze niezawodnie uspokajało ją studiowanie własnej urody, kwitnącej i pełnej życia, niepoblądłej ani trochę, pomimo niedawnych przejść.

Dobrze było pomyśleć, że koniec kłopotów jest już bliski. Za dwadzieścia minut zjawi się samochód. Kierowca zawiezie Janey na lotnisko imienia Kennedy'ego, a po wejściu na pokład samolotu zacznie się dla niej nowe życie...

Oderwała się od lustra, przypomniawszy sobie, co musi jeszcze zrobić przed wyjściem. Na łóżku leżały cztery porządnie spakowane walizki od Louisa Vuittona, otwarte i gotowe do ostatniego przeglądu. Wszystko było

na miejscu; pozostało jeszcze tylko pudełko wyłożone granatowym aksamitem, w którym Janey trzymała swój naszyjnik z czarnych pereł, zakupiony jeszcze w czasach, kiedy Seldena i ją łączyło uczucie. Pudełko to zawierało teraz także drugi najcenniejszy skarb Janey: zaproszenie na oscarowy bankiet magazynu „Vanity Fair”.

Pudełko leżało na komódce. Janey uniosła wieczko, żeby jeszcze raz rzucić okiem na najbardziej pożądane zaproszenie na świecie. Z czułością przesunęła palcem po tłoczonych złotych literach układających się w tytuł „Vanity Fair” złożony tą samą słynną czcionką, którą co miesiąc można było podziwiać na okładce magazynu. Otworzyła zaproszenie. W lewym górnym rogu widniało jej nazwisko, ręcznie wypisane złotym atramentem, a pod nim w krótkich słowach informowano, że obecność Janey Wilcox będzie mile widziana na uroczystej kolacji, która odbędzie się po zakończeniu uroczystości wręczenia nagród Akademii, punktualnie o dwudziestej pierwszej. Kilkaset osób otrzymało zaproszenia na bankiet po oscarowej gali, ale na tej ekskluzywnej kolacji bawiło się absolutnie doborowe towarzystwo: największe gwiazdy, topowi reżyserzy i szefowie studiów filmowych. Na dodatek reporterów wpuszczano tam dopiero później, gwiazdy mogły więc bez obaw używać, ile dusza zapragnie. Janey od razu zrozumiała, że o tym zaproszeniu nie może powiedzieć nikomu, a zwłaszcza Seldenowi i Jerry'emu Grabawowi; nawet Wendy Piccolo była wykluczona. Szybko poczyniła odpowiednie przygotowania. Na szczęście przypomniała sobie, że ma kreację w sam raz na tę okazję: długą suknię wieczorową w stylu lat siedemdziesiątych, z odkrytymi

plecami, z kolekcji Roberta Cavallego. Janey kupiła ją w Mediolanie podczas podróży poślubnej. Planowała w niej wystąpić na wiosnę, na którymś z dużych przyjęć, ale przecież nic nie mogło się równać z galą Oscarów. Fryzura będzie prosta: niezwiązane włosy, rozczesane na dwie strony, z przedziałkiem pośrodku. No i oczywiście perły...

Odłożywszy zaproszenie na bok, Janey wyjęła naszyjnik z pudełka. A gdyby tak założyć go teraz? Dla uświetnienia tej chwili? Na szczęście? Janey zapięła klejnoty na szyi, strącając przy tym zaproszenie łokciem na podłogę.

Chciała je podnieść, lecz nagle zamarła, słysząc szcęk klucza w zamku. Co Selden robi w domu o tej porze? Ogarnęła ją panika. Samolot do Los Angeles startował o trzeciej, a Selden nigdy nie wracał z pracy przed piątą lub szóstą po południu; o tej porze Janey miała już być gdzieś nad Chicago. Nie było jednak czasu do namysłu, bo w tej chwili do sypialni wpadł Selden. Porwał ją w ramiona i obsypał jej twarz pocałunkami, wykrzykując „kochana, moja kochana” jak podrzędny aktorzyzna w tandetnym filmie.

I co teraz, do jasnej cholery? Janey była przerażona.

– Selden. Kochanie! – Starła się nadać swojemu głosowi równie serdeczne brzmienie, jednocześnie usiłując wykręcić się z objęć męża. – Co się stało? Dlaczego wróciłeś do domu? – Serce podeszło jej do gardła na myśl, że kiedy Selden zobaczy walizki, na pewno będzie starał się ją zatrzymać...

– Nie rozumiesz? – zawołał, chwyciwszy ją za ramiona. Jego oczy

płonęły uniesieniem. – Teraz wszystko już będzie dobrze. Wszystko się ułoży...

– Jak to? – Janey przestraszyła się na serio.

– Znalazłem scenariusz! – krzyknął.

Cofnęła się o krok, patrząc na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Naprawdę?

– W twoim mieszkaniu – wyjaśnił, szamocząc się z płaszczem. Wyjął z wewnętrznej kieszeni zwinięte w rulon różowe kartki i rozłożył je na łóżku. – Trudno to właściwie nazwać scenariuszem, ale w każdym razie jest to dowód, że się starałaś i że nigdy nie sądziłaś, że bierzesz pieniądze za seks. Patrz, kotku. – Wskazał na stronę tytułową. – „Za wszelką cenę?”, taki dałaś temu tytuł. Oczywiście tytuł nie może być pytaniem. Będziesz musiała to zmienić. Naszkicowałaś też sporo scenek i mniej więcej określiłaś, co się dzieje pomiędzy jedną sceną a drugą...

Janey zrobiło się słabo. Dwa lata temu, kiedy usiłowała napisać ten scenariusz, porzuciła pracę nie tylko ze względu na to, że był kiepski (czego bardzo się wstydziła), ale również dlatego, że wyszła z niego szczerą spowiedź z jej przeszłości...

– Selden... – wyjąkała.

W tym momencie Selden dostrzegł walizki na łóżku.

– Dokąd się wybierasz? – zawołał, nic nie rozumiejąc.

– Ja... – Janey zabrakło słów.

– Kochanie, nie rób tego! – Nagle dotarło do niego, co się dzieje.

Chwycił ją za rękę. – Nie musisz wyjeżdżać. Mamy już scenariusz i teraz

wszystko będzie dobrze. – Puścił jej dłonie i zaczął krążyć po pokoju. –

Siedzę w tym biznesie od dwudziestu lat i potrafię poznać, czy ktoś ma

talent. Twój tekst jest pełen oklepanych motywów, ale nie martw się,

każdy scenariusz na początku tak wygląda. Bardzo pomysłowo

rozwiązałaś tę scenę na jachcie...

– Selden, ja nie... – zaczęła Janey.

– Potrafisz, potrafisz, kochana. – Wyciągnął do niej rękę. – Nie

rozumiesz? Pomogę ci. Napiszesz pierwszą wersję, a potem znajdziemy

kogoś, kto nad nią popracuje. Oczywiście prawa do twojej pracy należą do

Paradom, ale to nie problem, odkąd George tam rządzi. Jest mi coś winien,

stary skurwiel...

Janey wzdrygnęła się, nie wiedząc, co Selden chce przez to powiedzieć.

Widząc to, Selden spojrzał na nią uważnie.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. – Masz do mnie pretensję, bo ci nie

wierzyłem. Ale to nie było tak – powiedział żalonym tonem. – Chciałem

uwierzyć, że napisałaś ten scenariusz, ale bardzo się bałem, że to jednak

nieprawda. Wiem, jak się czułaś... Na pewno byłaś na mnie wściekła.

Proszę cię tylko, nie mów, że przestałaś mnie kochać. Nie teraz, kiedy

dostaliśmy drugą szansę...

Janey nie mogła uwierzyć we własnego pecha. W takim momencie,

kiedy nareszcie mogła uciec...

– Nie rozumiesz, najdroższa? – zapytał Selden. – Będziesz mogła nawet

wyprodukować swój film...

Janey wsparła się ciężko o toaletkę. Chciała, żeby Selden sobie poszedł.



Przeszkadzał jej zebrać myśli. Jego propozycja była obietnicą  
wszystkiego, czego zawsze pragnęła, ale jednak bała się... A jeśli skończy  
scenariusz, a on się dowie, że to wszystko prawda? Czy znowu będzie  
musiała znosić te same obrzydliwe upokorzenia co w zeszłym miesiącu?  
Nigdy.

– Nie... – jęknęła w odruchu samoobronnym.

Selden zamarł.

– Co to ma znaczyć? – zapytał.

– Muszę się zastanowić... – wyszeptała, kładąc drżącą dłoń na perłach.

Gdyby tylko mogła wyznać mu prawdę, gdyby mogła mu zaufać... Selden  
nie dał jej czasu do namysłu. Jego następne słowa przedstawiły całą  
sprawę w przerażająco jednoznaczny sposób.

– Obawiam się, że nie masz wielkiego wyboru – oznajmił chłodno. –

Dwa tygodnie temu Victor Matrick poinformował mnie, że muszę  
wybierać: żona albo praca. Naturalnie stanąłem w twojej obronie,  
przekonywałem, że napisałaś scenariusz, ale to nic nie dało. Victor nie  
cofnął ultimatum i teraz twój scenariusz to nasza jedyna szansa. Wiem, że  
nie chciałabyś, żebym stracił posiadłość. Nie po to pracowałem przez  
dwadzieścia lat...

Janey zatkało. Poczwała przenikliwie zimno, jakby cała krew odpłynęła z  
jej ciała. Była bliska torsji. Instynkt nakazywał uciekać jak najdalej od tej  
podłej kreatury, która nazywała siebie jej mężem. Ten odruch był  
przemożny, wiedziała jednak, że musi się opanować, mówić i zachowywać  
spokojnie. Stał przed nią Selden Rose, którego nie znała (mówiąc

szczerze, czy znała go kiedykolwiek?). Nie potrafiła przewidzieć, do czego mógłby być zdolny.

– Nie musisz wybierać – powiedziała drżącym głosem. – Mam inne plany... – Oparła się łokciem o komódkę. Nagle przypomniała sobie o zaproszeniu na bankiet „Vanity Fair” leżącym u jej stóp. Musiała podnieść je tak, żeby Selden nie zauważył.

– Inne plany? – zapytał Selden, wciągając głowę w ramiona jak wystraszony żółw chowający się w skorupie. – Jakie?

Janey odgarnęła włosy w czoła. Teraz należało go uspokoić, może nawet obiecać, że niedługo wróci...

– Mam dobre wieści – powiedziała, zdejmując perły z szyi i odkładając je do pudełka. Zachowywała się spokojnie, jakby nigdy nic. – Moja siostra w końcu zaszła w ciążę. Przeprowadzili się z Diggerem do Malibu, a Patty poprosiła mnie, żebym do nich przyjechała. Natychmiast.

Była to półprawda z rodzaju tych, które Janey często stosowała. Jeśli tylko Selden nie zadzwoni teraz z gratulacjami do Patty, to może się udać... Jego mina świadczyła o tym, że uwierzył...

– Po co ta panika? – Uśmiechnął się pobłaźliwie, podchodząc do Janey.

– Ciąża nie trwa dwa dni... Zdasz się pojechać do Patty. Pojedziemy do nich razem, kiedy tylko załatwimy tę sprawę...

Na twarzy Janey odbiło się rozczarowanie, którego nie potrafiła ukryć.

Zauważywszy jej minę, Selden dodał:

– Chyba, że...

– Że co? – Janey nie odrywała oczu od pudełka z perłami trzymanego

w rękach.

– Że tu wcale nie chodzi o Patty.

– A niby o kogo? – Zmarszczyła ze złością brwi. W tym momencie, nie mogąc się dłużej powstrzymać, odruchowo spojrzała na zaproszenie leżące na podłodze.

Selden też je dostrzegł i zanim Janey zdążyła się schylić, porwał je jej sprzed nosa.

Nie mówiąc ani słowa, przeczytał wytłoczony tytuł, a następnie otworzył bilet.

Na jego twarzy początkowo odbiło się niezrozumienie. Wodził zdezorientowanym wzrokiem od zaproszenia do Janey i z powrotem.

Janey myślała tylko o tym, że musi je odzyskać, bo stało tam wyraźnie, że wejście na bankiet „Vanity Fair” jest możliwe wyłącznie za okazaniem zaproszenia. Gdyby Selden teraz je podarł albo wyrzucił przez okno, nie zdążyłaby wyrobić następnego, a jej życie ległoby w gruzach. To zaproszenie było jej jedyną szansą na przyszłość. Patrząc na Seldena, poczuła, jak szarpie nią gniew, gniew małej dziewczynki, która nienawidzi starszego brata znęcającego się nad nią. Życzyła mu śmierci – sama chętnie by go zabiła...

– Oddaj mi to! – wrzasnęła.

Selden cofnął się o krok, unosząc wysoko jej zaproszenie, które trzymał w dwóch palcach, jak prokurator demonstrujący ławie przysięgłych narzędzie zbrodni.

– Zaproszenie? – spytał ostrym tonem.

– No to co?

– Przyjęcie jest dla ciebie ważniejsze niż małżeństwo? – krzyknął groźnie.

– I co z tego? – parsknęła Janey. – Dla ciebie praca była ważniejsza ode mnie...

W oczach Seldena przez moment zapłonęła wściekłość tak szaleńcza, że Janey aż krzyknęła ze strachu. Jednak już po chwili jego gniew zgasł, jak gdyby Selden nagle zrozumiał, że Janey powiedziała prawdę. Z rozzwierającym jękiem rozpaczony złapał się za głowę i osunął na kanapę niczym kukielka, której przecięto sznurki.

– Zaproszenie... – szepnął żałośnie, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Zaproszenie na przyjęcie. Nic tylko przyjęcia...

Janey patrzyła na niego bez słowa.

Selden podniósł głowę i spojrzał na nią oczami pełnymi łez.

– Każdy mi mówił, że powinienem z tobą skończyć. Ale ja nie chciałem. Kochałem cię mimo wszystko...

– Kłamiesz – zasyczała. A potem podeszła do niego, wyciągając rękę.

Nie zrozumiał od razu. Myślał, że może miał to być jakiś gest pojednania. Ale kiedy zobaczył, że Janey nie patrzy na niego, lecz na zaproszenie w jego dłoni, że tylko to ją interesuje, westchnął głęboko i dał jej tę jedyną rzecz, której od niego chciała.

A Janey ją wzięła.

Ten jeden mały gest uświadomił Seldenowi, że mylił się co do niej. Nie kochała go ani przez chwilę. Janey należała do osób, które nigdy nie są

zadowolone z tego, co już mają, a Selden był dla niej niewątpliwie tylko szczeblem w karierze. Gdyby go kochała, nie uciekałaby od niego...

Stała się po jego stronie i dokończyła scenariusz, tak jak prosił. To miał być sprawdzian, a ona go nie zdała...

Na tę myśl zaczęła budzić się w nim wola walki. Z dna rozpaczony odezwała się zraniona duma. Do głosu doszła wreszcie zarozumiała męska próżność. Selden zrozumiał w tym momencie, że rację mieli wszyscy ci, którzy nazywali Janey kurwą. Dobrze więc, że znikła z jego życia.

Zrozumiał też w końcu, że tym, co odróżnia go od Janey, jest miara szacunku do samego siebie. Ta ostatnia myśl przyniosła mu wreszcie ulgę.

– Zatem między nami wszystko skończone? – zapytał, a raczej stwierdził, tonem tak ostatecznym, że Janey odwróciła się i spojrzała na niego. Małżeństwo pozostaje małżeństwem; bez względu na to, jak straszne były przewinienia małżonków, nic nie zmieni faktu, że kiedyś publicznie wyznali sobie miłość. Nagle Janey opadły wątpliwości, jakby stwierdzenie Seldena zachwiało jej pewnością, że tego właśnie chce. Zawahała się przez chwilę. Czy naprawdę było już za późno? Czy nie lepiej byłoby wrócić do niego i samej podrzeć to zaproszenie, przytulić się i przyznać do pomyłki?

Ale kiedy tylko przesunęła wzrokiem po jego twarzy, poczuła, że się dusi. Jeśli wróci do Seldena, to tym samym skaze się na niego, a wiedziała dobrze, że sam Selden nigdy jej nie wystarczy. Przy nim nigdy nie będzie sobą, a on zawsze będzie ją skrycie oceniać. Był żalosny i słaby, a do tego już raz niemal ją sprzedał i na pewno nie cofnie się przed tym w

przyszłości...

Głosem tak lodowatym, że zmroził ją samą, Janey wycodziła:

– Między nami skończone już od dawna, Selden.

Pieczołowicie ułożyła zaproszenie w swoim pudełku z klejnotami.

Obejrzała się jeszcze przez ramię; Selden dalej siedział na kanapie, patrząc bezmyślnie przed siebie. Zezłościło ją to: skoro już po wszystkim, mógłby wyjść, żeby mogła w spokoju dokończyć pakowanie. Czy on nie widzi, że jej przeszkadza?

Zatrzasnęła pudełko wyłożone aksamitem i włożyła je do małej, podręcznej walizeczki. Jej wzrok padł na różowe kartki rozłożone na łóżku. Jej scenariusz. Targnęła nią nagła wściekłość. Chwyciła papiery, chcąc porwać je na strzępy.

Coś ją jednak powstrzymało. Wygładziła pomięte strony i włożyła je do walizki.

## **Rozdział 18**

Co podać? – zapytała stewardesa, przystanąwszy w przejściu pomiędzy fotelami. – Szampana? Sok pomarańczowy? Czy może coś innego?

Janey już miała poprosić o szampana, lecz powstrzymała się.

– Tylko wodę – powiedziała.

Stewardesa, zamiast szybko oddalić się po zamówiony napój, pochyliła się ponad pustymi siedzeniami w jej stronę.

– Od razu panią poznałam – szepnęła, porozumiewawczo zniżając głos.

– Proszę się nie martwić – dodała, rozglądając się, jakby z półek pod sufitem mieli zaraz wyskoczyć fotoreporterzy – dopilnuję, żeby nikt pani

nie niepokoił...

– Dziękuję – odparła Janey obojętnym tonem.

Zapięła pas i z głębokim westchnieniem oparła głowę na zagłówek.

Ledwo zdążyła na samolot; stewardesa powiedziała, że wszyscy pasażerowie już weszli na pokład. Biegając do okienka odprawy, denerwowała się, że jej miejsce sprzedano komuś innemu. Niepotrzebnie się jednak martwiła: pierwsza klasa wcale nie była zapełniona tak, jak to sobie wyobrażała, a dwa miejsca obok niej były nawet wolne. Zapewne większość gości zaproszonych na rozdanie nagród Akademii poleciała do Los Angeles wcześniej, żeby pokazać się na przyjęciach poprzedzających galę. Janey postanowiła nie przejmować się tym i obiecała sobie, że wybierze się na te imprezy w przyszłym roku, kiedy będzie mieć więcej czasu, żeby się przygotować. Obecna sytuacja także miała swoje plusy: pojawienie się Janey na kolacji „Vanity Fair” będzie całkowitym zaskoczeniem, a w Nowym Jorku wszystkim opadną szczęki, kiedy rano przeczytają o tym w gazetach...

– Proszę, woda dla pani. – Stewardesa z uśmiechem podała Janey szklankę opatrzoną logo American Airlines (prawdziwą szklankę, w końcu leciała pierwszą klasą). Widok tego znaku poprawił Janey humor.

– Dziękuję – powiedziała uprzejmie.

Umoczyła usta w wodzie i ostrożnie postawiła szklankę na podstawce wmontowanej w poręcz fotela. Wolałaby szampana, ale bała się, że podróż samolotem w połączeniu z alkoholem sprawią, że spuchnie jej twarz, a jutro musiała wyglądać idealnie. Jej urody nie mogło popsuć nic, bo

jutrzejszy wieczór był teraz jej jedyną szansą...

Upiła jeszcze jeden łyk wody, przyglądając się przez okno, jak obsługa w pomarańczowych kombinezonach ładuje do samolotu ostatnie sztuki bagażu. Pomyślała, że trzeba było jednak poprosić o szampana, zwłaszcza że był za darmo, a raczej, poprawiła się, że zapłaciła za niego.

Spojrzała na bilet, zmarszczywszy brwi. Po raz kolejny wstrząsnęła nią niebotyczna cena lotu do Los Angeles: pięć tysięcy dolarów i to w jedną stronę!

Chętnie poleciałaby klasą biznesową za połowę tej ceny, ale nie mogła; była zbyt sławna. Gdyby ktoś w samolocie ją poznał i dał o tym znać prasie, złośliwym komentarzom nie byłoby końca.

Niemniej cena biletu przyprawiała ją o mdłości. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zapłaciła sama za przelot samolotem. Tym razem jednak nie miała wyboru; ludzie z „Vanity Fair” zafundowali jej dwie doby w hotelu Chateau Marmont oraz samochód z lotniska do hotelu, a potem na przyjęcie i z powrotem na lotnisko, ale nie dali się namówić na zwrot kosztów podróży. I nie byłoby w tym nic straszego, gdyby nie fakt, że przed tygodniem wygasł kontrakt Janey z Victoria's Secret...

– Szanowni państwo – w głośnikach zabrzmiał głos stewardesy –

kapitan informuje, że otrzymaliśmy zezwolenie na start. Proszę zapiąć pasy i obejrzeć krótki film instruktażowy, który wyświetlimy na ekranie.

Janey rzuciła okiem na migoczący ekran i ziewnęła mimo woli. Czy oni myślą, że ktoś może nie wiedzieć, jak się zapina pas... ?

Chyba musiała zasnąć, bo nagle gwałtownie się obudziła. Przez chwilę



nie wiedziała, gdzie się znajduje, ale szybko wszystko sobie przypomniała:

samolot, Los Angeles, przyjęcie oscarowe „Vanity Fair”. Zerknęła na

zegarek – upłynęły cztery godziny! Jakim cudem?

Zwykle nigdy nie mogła zasnąć w powietrzu, ale widocznie wydarzenia

ostatnich kilku tygodni wyczerpały ją do granic możliwości.

Gardło miała wyschnięte na wiór; wychyliwszy się zza rzędu foteli,

skinęła na stewardesę.

– Obudziła się pani. – Stewardesa trzęsła się nad nią jak kura nad

jajkiem. – Posiłek już podaliśmy, ale nie chciałam pani budzić. Czy teraz

coś pani zje? Może krakersy z serem, a do tego odrobinę czerwonego

wina?

– Dziękuję, proszę samą wodę – wychrypiała Janey.

Stewardesa przyniosła butelkę wody Evian i szklankę. Kiedy podawała

je Janey, nagle z przodu rozległ się podniesiony męski głos, oznajmiający

z dziecinnym uporem:

– Chcę obejrzeć „Erin Brockovich”.

Głos brzmiał znajomo. Janey uderzyła dziwaczna, odpychająca wręcz

dysharmonia pomiędzy męskim tembrem głosu a infantylną kapryśnością

jego właściciela.

– Bardzo mi przykro – odparła stewardesa – ale mamy na pokładzie

tylko trzy filmy i wszystkie trzy ktoś w tej chwili ogląda.

– W takim razie proszę przeszukać cały samolot! – warknął właściciel

głosu, zdziwiony, że jeszcze tego nie zrobiono.

– Przepraszam, ale inni pasażerowie...

– Niech oddadzą ten film. Proszę im powiedzieć, że ja chcę go obejrzeć.

Stewardesa westchnęła i oddaliła się szybkim krokiem na tyły przedziału dla pierwszej klasy, przewracając oczami. Odczekawszy, aż ją minie, Janey uniosła się lekko i rzuciła okiem w stronę przednich siedzeń.

Nie myliła się. Czubek głowy z trzema sterczącymi rudymi włoskami rozpoznałaby wszędzie. Siedział przed nią Comstock Dibble.

Opadła z powrotem na siedzenie. Ciekawe, pomyślała. Z całą pewnością Dibble leci na rozdanie Oscarów i bez wątpienia pojawi się potem na bankiecie „Vanity Fair”. Żeby wykopać go z towarzystwa, nie wystarczy afera z płatnymi kochankami i spreparowaniem kilku scenariuszy. Bądź co bądź, Comstock był facetem, a Hollywood wybaczy facetom dosłownie wszystko...

Janey domyśliła się nawet, dlaczego domagał się tak uparcie akurat „Erin Brockovich”: chciał sobie przypomnieć ten film, żeby mieć o czym rozmawiać z Julią Roberts!

– Szanowni państwo – w głośnikach rozległ się głos kapitana – przelatujemy nad Wielkim Kanionem. Z prawej strony widać przepiękny zachód słońca...

ń Oczywiście ja siedzę z lewej i niczego nie zobaczę, pomyślała Janey z irytacją. Wyjrzała jednak przez okno, ale zobaczyła tylko równinę zasypaną czerwonym piaskiem.

Nagle usłyszała swoje nazwisko:

– Janey? Janey Wilcox?

Boże, co znowu, pomyślała, odwracając głowę. W przejściu pomiędzy siedzeniami stała kobieta o wyglądzie transwestytki; miała męską, kwadratową szczękę i szerokie bary, a do tego nadmiernie rozjaśnione włosy i przesadnie długie akrylowe tipsy.

– Nie pamiętasz mnie? – zapytała. Jej chrypliwy głos sugerował, że zamiast spać, przez całą noc piła whiskey i paliła papierosy.

– Ach, Dodo. – Janey obojętnie skinęła jej głową.

– No proszę! – zawołała Dodo. – Muszę przyznać, że nie spodziewałam się spotkać cię w samolocie do Los Angeles!

Janey podniosła szklankę do ust, posyłając Dodo chłodny uśmiech.

– Nie mogę lecieć do Los Angeles?

– Tego nie powiedziałam – pospieszyła z wyjaśnieniem Dodo, jakby chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie. – Wybierasz się na Oscary?

– Oczywiście – odparła z całym spokojem Janey. – A ty?

– Mam akredytację – Dodo przewróciła oczami – ale stacja tnie po kosztach i w budżecie nie mieszczą się już bilety pierwszej klasy, co oznacza, że wszyscy, włączając gadające głowy, latają klasą biznesową...

– Szkoda – powiedziała Janey. Bojąc się, że Dodo zanudzi ją na śmierć, wymyśliła sposób, żeby się jej pozbyć. – Więc pewnie spotkamy się na przyjęciu „Vanity Fair” – powiedziała.

– O! – Dodo uniosła brwi. – Też się tam wybierasz?

– Oczywiście. – Janey się uśmiechnęła. – Jestem zaproszona na kolację.

– Tak? – Dodo aż zatkało. Widocznie to już było zbyt wiele jak na jej nerwy, bo przeprosiła i poszła do łazienki.

Pasażerom z klasy biznesowej nie wolno korzystać z toalet w pierwszej klasie; Janey zastanawiała się, czy donieść o tym stewardesie, ale uznała, że Dodo poniosła już wystarczającą karę, dowiadując się, że Janey idzie na uroczystą kolację „Vanity Fair”, podczas gdy ona zaproszenia nie otrzymała.

Dodo przykucnęła nad sedesem w toalecie dla pierwszej klasy. Powoli obracała w myślach usłyszane wieści. Jak to możliwe, że taką flądrę jak Janey Wilcox zaproszono na ekskluzywną kolację „Vanity Fair”, a ona, która od lat stara się tam wkręcić, musi znów obejść się smakiem? Za każdym razem słyszała to samo: „W tym roku nie ma takiej możliwości, proszę dowiedzieć się w przyszłym”. Między wierszami można było łatwo wyczytać: „Proszę się zgłosić, jak już będzie pani sławna”.

Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, pomyślała Dodo, urywając długą wstęgę papieru toaletowego do wytarcia wiecznie ciekącego nosa.

Zawsze wychodzi na to, że ciężka praca w rzeczywistości nie popłaca...

Nagle Dodo wpadła na rozwiązanie tej zagadki. Z trudem powstrzymała głośny wybuch złośliwego śmiechu. Przypomniała sobie, jak kiedyś znajomy z redakcji „Vanity Fair”, reporter Toby Young, opowiadał jej, że co roku redaktorzy naczelni zapraszają na oscarową kolację jedną znaną kobietę, której w tajemnicy przyznają tytuł „Lafiryndy Roku”. Wszystko wskazywało na to, że w tym roku korona przypadła Janey.

Dodo wrzuciła zmięty papier do sedesu. Nie mogła się już doczekać, aż samolot wylądjuje. Musiała wszystko opowiedzieć Markowi. Na pewno

uśmieje się do łez, a znajomi też będą zachwyceni: Janey Wilcox,

Modelowa Prostytutka, a teraz – Lafirynda Roku...

Potem przyszło jej do głowy co innego: zaproszenie na ekskluzywną

kolację „Vanity Fair” w pewien sposób nobilituje nawet Lafiryndę Roku.

Całkiem możliwe, że „znajomość” z Janey Wilcox wkrótce zyska znaczną

wartość towarzyską. Niewykluczone było także to, że już niedługo,

zamiast krzywić się z niechęcią za sam dźwięk jej nazwiska, znacznie

ciekawiej będzie nadmienić: „Znam Janey Wilcox bardzo dobrze, to w

porządku dziewczyna”.

Mając to wszystko na uwadze, Dodo wyszła z łazienki z mocnym

postanowieniem „pogłębienia znajomości”.

– Janey... – wychrypiała.

Janey spojrzała na nią z irytacją. Nie mogła uwierzyć, że Dodo wróciła.

– Mogę się przysiąc? – zapytała Dodo, spoglądając znacząco na

podręczną walizeczkę, którą Janey położyła na fotelu obok właśnie po to,

aby zapobiec takiej ewentualności.

– Jestem trochę zmęczona, ale... – Janey zdjęła walizeczkę z siedzenia i

wsunęła ją pod fotel przed sobą. Cóż było robić? Widziała wyraźnie, że

Dodo nie da jej spokoju.

– Dzięki. – Dodo usadowiła się. – No więc właśnie... – zaczęła, jakby

powracając do przerwanej rozmowy. – Muszę powiedzieć, że naprawdę

cię podziwiam. Uważam się za silną osobę, ale ty to masz iście końskie

zdrowie. Gdyby o mnie tak ludzie wygadali... – Roześmiała się. –

Pewnie wygadują, tyle że nie otwarcie. Ale przecież – nachyliła się do

Janey, tak blisko, że zaleciało od niej alkoholem – gdyby zaczęli obsmarowywać każdą dziewczynę, która zrobi facetowi loda, to zabrakłoby miejsca na prawdziwe informacje, no nie?

Tak ją rozbawił własny żart, że wybuchła gromkim śmiechem, zwracając uwagę dwóch pasażerów pierwszej klasy.

– Pilnujcie własnego nosa! – fuknęła półgłosem.

Janey wzdrygnęła się, żałując, że pozwoliła jej się przysiąść. Źle by się stało, zwłaszcza w obecnej sytuacji, gdyby zobaczono ją w towarzystwie kogoś takiego jak Dodo Blanchette.

Niemniej jedna wypowiedź Dodo zwróciła jej uwagę.

– Moim zdaniem Selden ośmieszył się tym, jak cię potraktował...

– Proszę? – zapytała Janey.

– No, wiesz. – Dodo zmarszczyła brwi, co miało wyrażać oburzenie. –

Podłość i tyle.

Janey zaniemówiła. Czy już cały świat wie o niej wszystko?

– Jesteś bardzo odważna. – Dodo pokręciła głową z podziwem. –

Zapowiedziałam Markowi, że jeśli spróbuje kiedyś wykręcić mi taki numer, to go zabiję, jak słowo daję. Albo zapłacę komuś, żeby go załatwił...

Janey poczuła, jak przeszywają nieprzyjemny dreszczyk.

– Markowi... ? – zapytała.

– Mark opowiedział mi o wszystkim. – Dodo skrzywiła się z goryczą. –

Ale przecież właściwie nie było powodu trzymać tego w tajemnicy. W

Splatch Verner wiedzą o tym prawie wszyscy...

W głowie Janey zaczął wyc alarm.

– To obrzydliwe, że firma może bezkarnie wymuszać coś takiego na pracownikach – powiedziała Dodo. – Wiele to mówi o współczesnym amerykańskim biznesie... Moim zdaniem masz już Seldena z głowy. To samo powiedziałam Markowi. – Dodo zakończyła wypowiedź uśmiechem pełnym współczucia.

Janey opadła na oparcie fotela zupełnie oszołomiona.

– Możesz mi wierzyć – zapewniła – że wyglądało to zupełnie inaczej.

Selden błagał, żebym z nim została...

– Nieważne, mam nadzieję, że nie popuścisz skurwielowi! – warknęła Dodo zajadle.

– Nigdy w życiu. – Janey pokręciła głową. Gdyby tylko Dodo już sobie poszła... Nie mogła zebrać przy niej myśli... Widząc przechodzącą stewardesę, Janey spojrzała na nią błagalnie. Kobieta momentalnie zrozumiała, o co chodzi.

– Przepraszam panią – powiedziała, pochylając się nad Dodo – ale niedługo lądujemy. Musi pani wrócić na swoje miejsce, jeśli nie siedzi pani w pierwszej klasie...

Dodo wstała i zniknęła za niebieską zasłoną oddzielającą przedziały klasy pierwszej i biznesowej, zdążywszy jeszcze wściekłym spojrzeniem dać stewardesie do zrozumienia, co o niej myśli.

Jasna cholera! I po co mi to było, pomyślała Janey. Kiedy tylko samolot wyląduje, Dodo zabierze się do rozpowszechniania całej historii, oczywiście wzbogaconej informacją, że osobiście usłyszała o wszystkim

od samej Janey w samolocie. Dowie się o tym zarówno Nowy Jork, jak i Los Angeles, ale do publicznej wiadomości znów trafi nieprawdziwa wersja wydarzeń, bo jeśli chodzi o Janey, to była ona zdania, że to nie Selden rozstał się z nią, tylko ona z nim. Teraz jednak, kiedy wyjechała z Nowego Jorku, wszyscy oczywiście pomyślą, że Selden rzucił ją, żeby nie stracić pracy. I jak ona będzie wyglądać? Są ludzie, którzy mają więcej szacunku dla swoich psów...

Cóż, pomyślała gorzko, jeszcze jedna fałszywa opinia na jej temat, którą przyszłość będzie musiała skorygować, ale teraz przynajmniej istniała szansa zapewnienia sobie tej przyszłości. Już jutro wieczorem na przyjęciu „Vanity Fair” Janey zabierze się do dzieła. Wyciągnęła swoją walizeczkę spod siedzenia i położywszy ją na fotelu obok, nacisnęła zamek.

Pudełko leżało na samym wierzchu. Jakby szukając potwierdzenia, że wszystko będzie dobrze, Janey wyjęła z niego swoje zaproszenie. Nawet jeden róg nie był zagięty; bilecik wyglądał jak spod igły. Janey obiecała sobie, że nigdy go nie wyrzuci. Kiedy już będzie po bankiecie, zachowa to zaproszenie na całe życie, jak talizman, którym przecież faktycznie było.

Janey widziała w tym zaproszeniu zrzączenie boskiej opatrności, ponieważ dzień, w którym je otrzymała, był dla niej dniem najczarniejszej rozpacz. Poranny „New York Post” krzychał nagłówkami: **MODELOWA PROSTYTUTKA BEZ PRACY!** – a artykuł z pierwszej strony donosił, że firma Victoria's Secret nie przedłuży kontraktu z Janey Wilcox. Jej miejsce zajął młodszy i widać mniej kontrowersyjny prototyp: hoża



dwudziestodwulatka rodem ze środkowego zachodu. Ale to i tak było nic w porównaniu z komentarzem, który wygłosił na ten temat rzecznik Janey, Jerry Grabaw.

– Janey bardzo podobała się praca w Victoria's Secret, ale chyba już czas poświęcić się innym projektom – oświadczył i dodał: – Janey Wilcox to twarda zawodniczka.

Można było się spodziewać, że firma nie przedłuży kontraktu. Janey prawie się już z tym pogodziła, ale ostatnie słowa Jerry'ego ją dobiły.

Twarda zawodniczka! Nie znosiła tego wyrażenia. Twardy zawodnik to ktoś, kto pnie się w górę mozolnie, walcząc o każdy szczebel, ktoś, kto zawsze jest na granicy porażki. Nie takie było jej mniemanie o sobie. Od chwili zejścia z jachtu Raszida Janey uważała się za zwyciężczynię. A zwycięzca w istotny sposób różni się od twardziela. Dla niego sukces jest czymś naturalnym. Z jakiegoś powodu przecież każdy chciałby poznać zwycięzcę, podczas gdy twardzi zawodnicy nie interesują nikogo...

To jedno określenie doprowadziło Janey do takiej furii, że zdecydowała się pójść do George'a i w końcu wyłożyć karty na stół. Spotkanie co prawda nie przebiegło zgodnie z jej planem, jednak trudno było się temu dziwić: George lubił udawać wszechpotężnego, ale kiedy przychodziło co do czego, okazywał się kompletnie nieprzydatny, tak jak Selden. Janey pluła sobie w brodę, że nie zrozumiała tego wcześniej, zanim poświęciła się i zrobiła mu dobrze. Praktycznie rzecz biorąc, facet był impotentem: dobre dziesięć minut zajęło jej doprowadzenie jego sflaczałego członka do stanu choćby trochę przypominającego erekcję...

Janey wróciła od George'a przygnębiona jak nigdy. Usiadła, zrobiła sobie drinka i pogрузzyła się w czarnych myślach. Wpadła w taką depresję, że ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy samobójstwo. I w tej właśnie chwili usłyszała dzwonek z recepcji...

Zaproszenie doręczył specjalny kurier wysłany z biura samego redaktora naczelnego „Vanity Fair”. Janey nie była do końca zaskoczona, choć spadło to na nią całkiem niespodziewanie. Ani przez chwilę nie przestała wierzyć, że wydarzy się coś wielkiego, że jakimś cudem zostanie uratowana z tej opresji – zawsze tak było w jej życiu i teraz także musiało się to powtórzyć. Zastanawiała się co prawda, kiedy już rozdarła kopertę i zobaczyła, co w niej było, dlaczego ten zaszczyt spotyka osobę, do której nie przyznaje się połowa Nowego Jorku. Jednak bardzo szybko wyjaśniła sobie tę zagadkę: redaktorzy „Vanity Fair” po prostu wiedzą, że Janey jest gwiazdą i być może planują duży artykuł na jej temat. Możliwe nawet, że umieszczą jej zdjęcie na okładce. Czemu nie? Przecież dla wszystkich chyba jest już jasne, że ludzie pożerają wszelkie informacje o Janey Wilcox...

Tego popołudnia życie powróciło na właściwe tory i wszystko byłoby jak najlepiej, gdyby nie ta scysja z Seldenem.

Janey zdawała sobie sprawę, że do tej pory nie odczuła z pełną mocą bólu rozstania. Czekal ją jeszcze kryzys z tego powodu, lecz na razie musiała być twarda i nie ulegać emocjom. Na łzy zawsze będzie czas, mnóstwo czasu, a w tym momencie sytuację z Seldenem należało jakimś sposobem obrócić na własną korzyść.

Westchnęła, wyglądając przez okno samolotu. Przychodziło jej do głowy wiele pomysłów, lecz nagle zrozumiała, że być może wcale nie będzie musiała kłamać. Przecież przed chwilą na przykładzie Dodo Blanchette przekonała się, jakie wrażenie jej historia robi na ludziach. Skoro Dodo była oburzona zdradzieckim postępkim Seldena, to całkiem możliwe, że tak samo myślą inni. Można rozgłosić, że Selden Rose był jedyną miłością Janey, że jest zdruzgotana tym, jak ją potraktował. Może udawać zrozpaczoną, czemu nie? Świetny pomysł; nie ma takiego faceta, który by nie poleciał na starą śpiewkę o pięknej kobiecie, niesłusznie oczernionej.

A przede wszystkim Janey miała teraz dowód: scenariusz bezpiecznie schowany w walizce. Co prawda nie był to najlepszy dowód z możliwych. Jego treść była stanowczo zbyt wybuchowa, aby można go było pokazać komukolwiek – Janey płonęła ze wstydu na samą myśl o tym, co tam napisała. Tym bardziej było jej szkoda, kiedy przypominała sobie, że Selden dostrzegł w nim jakieś zalety. Takie już moje szczęście, pomyślała z goryczą, mam jedną jedyną szansę ratunku i nie mogę z niej skorzystać... Znowu dobiegł ją głos Comstocka Dibble'a, tym razem skarżące się stewardesie, że dostał zwietrzałego szampana. Nagle przyszedł jej do głowy przerażająco śmiały pomysł. Przez chwilę bała się, czując szaleńcze bicie serca, że nie starczy jej odwagi. Szybko jednak ochłonęła. Właściwie czemu nie? Czy nie do takich wniosków doszła w Paryżu, tego dnia, kiedy dowiedziała się o pierwszym artykule w „New York Post”? Tak wtedy myślała: jeśli ktoś nie może pogodzić się ze swoją przeszłością, to nigdy

nie ułoży sobie przyszłości.

Włożyła palec do ust. Nie chciała przez całe życie naprawiać błędów młodości, a udawanie, że nic nie zaszło, także nie zdawało egzaminu.

Janey nie zdobyła tego, czego pragnęła, a chcąc być naprawdę szczerą wobec samej siebie, musiała przyznać, że nie zdobyła właściwie niczego.

Po raz kolejny powróciła do punktu wyjścia: była bez pracy, bez pieniędzy (oprócz tych odłożonych w banku) i bez mężczyzny. Do tego jeszcze musiała walczyć o swoją reputację, a jej jedyną bronią była uroda...

Zadrżała na myśl, że za trzy miesiące skończy trzydzieści trzy lata, a za kilka lat dobiegnie czterdziestki. Co zrobi, jeśli w jej życiu do tej pory nie znajdzie żadna zmiana? Jeśli stanie się jak te kobiety, które nigdy do niczego nie doszły i w wieku czterdziestu lat nie mają ani męża, ani kariery? Janey nieraz widywała je na przyjęciach. Pamiętała ich wymuszony śmiech i ciuchy, które pasują dziewczynom nie starszym niż dwadzieścia pięć lat. Pamiętała też dobrze, że pomimo wszystkich tych starań nie oglądał się za nimi nikt, nawet taki robak jak Comstock Dibble...

Nie! O mało co nie krzyknęła na głos. Nie mogła pozwolić, żeby ją to spotkało. Musiała teraz zaryzykować, bo przez całe życie unikała właśnie tego – ryzyka. Zawsze szła po linii najmniejszego oporu, bo bała się, że sobie nie poradzi albo że się nie nadaje. Ten strach rzucił ją w ramiona Seldena i ten sam strach zaprowadził ją do George'a, z opłakanym zresztą skutkiem. Czy to naprawdę aż takie ważne, że ludzie poznają jej prawdziwą przeszłość? Już i tak publicznie nazwano ją prostytutką – czy może ją spotkać coś gorszego? A przecież zniosła to, bo była twarda...

No i proszę, znów to samo. Twarda zawodniczka. Choć z drugiej strony może to wcale nie było takie złe określenie? Może jest tak, że to właśnie twardzi zawodnicy wyrastają na zwycięzców...

Janey wstała i ruszyła w kierunku dziobu samolotu.

– Witaj, Comstock. – Słowa przeszły jej przez gardło bez wysiłku, jakby nigdy nic między nimi nie zaszło.

Dibble podniósł wzrok zirytowany, że mu się przeszkadza, a kiedy poznał Janey, w powietrzu powiało chłodem.

– Czego chcesz? – warknął.

Janey pochyliła się lekko w jego stronę.

– Nie uważasz, że obojgu nam wyjdzie na dobre, jeśli zobaczą, że rozmawiamy ze sobą?

Comstock chciał zaprzeczyć, ale nic nie powiedział. Jego oczy zapłonęły nagle pożądliwym blaskiem. Poklepał otwartą dłońią siedzenie fotela obok siebie.

– A o czym chcesz rozmawiać? – zapytał.

– O moim scenariuszu – odparła, wręczając mu plik luźnych kartek.

## **Rozdział 19**

W wieczór oscarowej gali nad Los Angeles, niby olbrzymi złoty medalion, wisiał pomarańczowy księżyc. Jak zwykle prasa posłusznie odnotowała, że gwiazdy przybyłe na rozdanie nagród Amerykańskiej Akademii Filmowej przyćmiły swym blaskiem ciała niebieskie. Dla publiczności Oscary stanowią noc uwielbienia dla dokonań wybitnych jednostek, które urastają nieomal do rangi bohaterów i wydają się

przerastać wszystkich innych ludzi urodą i talentem. Jednakże dla mieszkańców tego ciasnego świata zwanego Hollywood jest to wieczór tysiąca intryg, zniewag, drobnych kłótni i manipulacji rodem z ckliwych nowelek. Ostatnią statuetkę wręczono o godzinie dziewiątej wieczorem czasu zachodniego, lecz zabawa dopiero zaczynała się rozkręcać.

Tanner Cole, gwiazdor filmowy, wyjrzał przez przyciemnianą szybę limuzyny i zmarszczył brwi. Przed jego wozem stało już co najmniej dwanaście podobnych. Wszystkie czekały w kolejce, aby wysadzić wiezione sławy przed długim wąskim zadaszaniem ustawionym na parkingu restauracji Morton's, w której corocznie odbywał się bankiet „Vanity Fair”.

– No nie... – jęknął głośno Cole. Od lat powtarzał dziennikarzom, że uwielbia swój zawód, kocha być gwiazdą, przepada za galą oscarową i jest absolutnie zachwycony bankietem w Morton's. Nienawidził tylko jednej rzeczy: kolejki limuzyn. Nie znosił czekać, a jak wiadomo, stłoczenie w jednym miejscu tylu gwiazd, żeby deptały sobie po piętach, jest całkowicie wykonalne.

Cole wyjął prymkę tytoniu do żucia ze srebrnego pudełeczka na pigułki i wepchnął sobie za dziąsło. Wiedział, dlaczego musi stać tutaj jak w korku: wszystko przez cholernych pismaków. Każda gwiazda musiała dać się obfotografować, a jeśli przed nią na czerwonym dywanie stała inna gwiazda dużego formatu, trzeba było czekać w samochodzie, żeby nie pozwolić się przyćmić. Tannera Cole'a tego typu obrządki nudziły śmiertelnie. „Gwiazdy”, które im się oddawały, nie zasługiwały w jego

mniemaniu na miano prawdziwych aktorów. Prawdziwy aktor ma gdzieś

dziennikarzy. Prawdziwy aktor wie, że dziennikarze nie należą do

„zawodu”, a dla niego, prawdziwego aktora, „zawód” jest wszystkim.

Nacisnął przycisk i strzyknął śliną przez okno. Na trotuarze

wylądowała wielka pecyna przeżutego zielonkawego tytoniu. Tanner Cole,

absolwent Yale School of Drama (sprzed dwudziestu lat), uważał się za

intelektualistę, a w dodatku (ale do tego przyznawał się tylko najbliższym

przyjaciołom) za intelektualistę będącego ponad małostkowymi,

ordynarnymi manipulacjami pazernego Hollywood. Nie było jednak

poniżej jego godności informowanie prasy, że wśród jego znajomych

znajdują się wartościowe jednostki, na przykład Craig Edgers, który

aktualnie bawił w jego posiadłości wysoko na zboczach wzgórz

Hollywood. Tanner widział Craiga nie dalej niż cztery godziny temu.

Pisarz moczył się w wannie pełnej gorącej wody, popijając zieloną herbatę

z lodem.

Rokrocznie Cole był proszony o prowadzenie sławnego już przyjęcia,

które następowało po oscarowym bankiecie „Vanity Fair”. W tym roku

udało mu się wyciągnąć tam Craiga Edgersa. Słyszał co nieco o jego

trudnościach ze scenariuszem ekranizacji powieści „Konsternacje” i

obiecał mu pomóc, przedstawiając odpowiednim osobom. Naturalnie

książka Craiga szalenie mu się podobała (do diabła, wszystko mi się już

podoba, pomyślał), więc trudno było go chyba winić za to, że widział się

w głównej...

Limuzyna nagle stanęła. Tanner znów zerknął przez okno: jeszcze co

najmniej sześć samochodów... Sram na nich, pomyślał. Nie będę czekał.

Wsiądę i pójdę na piechotę. Tanner Cole nie jest jak te wymoczki z Hollywood, co własnoręcznie nie podetrą sobie tyłka. Dotknął przycisku telefonu wewnętrznego i polecił kierowcy:

– Kolego sympatyczny, zatrzymaj wóz. Przejdę się.

Kierowca zmarszczył brwi, spoglądając na Cole'a w lusterku wstecznym.

– Na pewno, proszę pana? – zapytał. – A jak coś się stanie?

– Cały zeszły rok kręciłem film w północnych Chinach – uciał Tanner.

– Poradzę sobie z wejściem do zasranej restauracji w Los Angeles...

Samochód stanął przy krawężniku. Tanner wysiadł, zatrząskując za sobą drzwi.

Cztery limuzyny przed jego wozem siedziała aktorka Jenny Cadine, w chmurze gęstego, obrzydliwie śmierdzącego dymu z cygara. Palił je Comstock Dibble.

– Comstock, proszę cię. – Jenny odkaszlnęła znacząco, wachlując się dłonią. – Gdybym wiedziała, że będziesz palił, nigdy bym z tobą nie pojechała... – dodała.

Comstock zaśmiał się wrednie. Miał na sobie smoking; marynarka opinała ciasno jego baryłowaty korpus, a spodnie, jak zwykle, powiewały luźno pod brzuchem. Wyrzucił na ten strój pięć tysięcy dolarów, ale po raz kolejny okazało się, że za żadne pieniądze nie znajdzie się na świecie krawiec, który poradziłby sobie z jego kuriozalnymi proporcjami. Dibble rozpiął marynarkę i uchylił nieznacznie okno, żeby zadowolić Jenny, ale



jednocześnie dać jej jasno do zrozumienia, że nie jest tutaj ważniejsza niż jego cygaro.

Jenny Cadine westchnęła.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się kwaśno. Nie była w najlepszym nastroju, ponieważ dosłownie przed chwilą Julia Roberts sprzątnęła jej sprzed nosa Oscara. Do tego czuła wyraźnie, jak przy każdym ruchu jej szeroka suknia z tafty mnie się na siedzeniu samochodu. Pluła sobie w brodę, że dała się namówić stylistce na kreację młodego, nieznanego projektanta. Ubrał on Jenny w nowoczesną replikę sukni balowej z lat pięćdziesiątych, która zupełnie się nie sprawdziła. Nie dość, że jutro gazety napiszą o tym, jak Jenny przegrała wyścig po Oscara, to jeszcze pewnie nazwą ją wielką różową landrynką...

Spojrzała zezem na cygaro Comstocka, które nie wiedzieć jakim sposobem właściciel trzymał przed samym jej nosem i sapnęła gniewnie.

– Rozmawialiśmy o tej roli... – przypomniła mu.

Comstock uśmiechnął się, strząsając popiół na podłogę.

– Świetna rzecz – powiedział. Być może nie pasował do nowojorskiej Park Avenue, ale Hollywood to był świat ludzi takich jak on. – Może być z tego Oscar...

– Obyś się nie mylił, zwłaszcza że to mnie o tym mówisz – syknęła Jenny z rozdrażnieniem.

Comstock zaśmiał się ponownie.

– Mogę się mylić – powiedział. – Zwłaszcza że mówię o tym tobie

Jenny przewróciła oczami. Nie znosiła tego, ale niestety, nie było wyjścia.

Nawet laureatka Oscara musi walczyć o najlepsze role Jenny widziała zbyt wiele karier zrujnowanych przez niewłaściwy dobór ról. Kiedy więc po południu zadzwonił jej agent z wiadomością, że całe miasto mówi o nowym projekcie Comstocka Dibble'a Jenny natychmiast zgodziła się, że należy przydybać go na osobności. Fortel był prosty: po ceremonii rozdania Oscarów udała, że nie może znaleźć swojej limuzyny.

– Daj spokój, Comstock – zmieniła ton. – Wiesz, że wcześniej czy później musisz mi o tym powiedzieć.

– Tak? – zdziwił się Dibble, wydmuchując wielką chmurę dymu.

Świetnie się bawił, po raz pierwszy od wielu tygodni. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż dręczenie aktorek, szczególnie tak zarozumiałych jak Jenny Cadine. Do tego miał w ręku najlepszą kartę przetargową w mieście. Był to, jak sam go nazywał, jego „powrót”, którego ani Jenny, ani nikt inny nie mógł powstrzymać.

Comstock zatrzymał się w hotelu Four Seasons. Wstał wcześnie rano i przy kawie, ubrany jedynie w skąpe bokserki z czerwonego jedwabiu, przeczytał „scenariusz” Janey Wilcox. Kiedy zakończył lekturę, najpierw zdenerwował się, że głupia Janey nie oddała mu go wtedy, kiedy powinna to zrobić. Zreflektował się jednak szybko, zrozumiał, że ma w ręce materiał wprost dla niego stworzony. Była to smakowita współczesna opowieść o niepoohamowanym braku umiaru, o pięknej młodej kobiecie, którą przez własną chciwość traci niewinność. Naturalnie, bohaterka doświadczy porażki, ale zostanie uratowana. Czy nie taka jest prawda o ludzkim życiu? Grzech i zbawienie, grzech i zbawienie i tak w kółko – on

sam także to przeżył...

Patrząc na Jenny Cadine jadącą jego limuzyną, pogratulował sobie mistrzowskiego zagrania, które po raz kolejny uratowało mu skórę.

Sztuczka polegała na odwróceniu uwagi wszystkich zainteresowanych.

Comstock był pełen uznania dla własnego geniuszu, który już dawno

podpowiedział mu, żeby zamówić scenariusz u Janey Wilcox. Od

początku widział w niej przecież coś wyjątkowego. Trzeba będzie

rozgłosić to szeroko, żeby nikt nie ośmielił się wątpić w jego błyskotliwą

intuicję, dzięki której dał szansę nieznanemu nikomu...

Wolnego, nie wyprzedzajmy faktów, powiedział sobie, zaciągając się

cygarem i mierząc wzrokiem Jenny Cadine (która z całą pewnością nie

wyglądała dziś najlepiej). Zapytał tonem pogawędki:

– Co wiesz o tym projekcie?

Jenny Cadine nie była szczególnie bystra (prawie wszystkie myśli,

które kołatały się w jej głowie, pochodziły od sprytnych agentów i

menedżerów), ale wiedziała, że takie pytanie jest zaproszeniem do

pochlebstwa.

– Tylko tyle, że podobno jest genialny – burknęła z pochmurną miną.

– Scenariusz napisała Janey Wilcox – oznajmił Comstock, uważnie

obserwując, czy Jenny przypomni sobie zajście w Dingo's. Tak jak się

spodziewał, niczego nie skojarzyła, ponieważ świat, w którym żyła, był

zbyt ciasny i ograniczony. Zapytała tylko, przygryzając wargę:

– To ta feministka, prawda?

– Można powiedzieć. – Comstock zaśmiał się, poklepując Jenny po

udzie. Byłaby z niej idealna Janey Wilcox, gdyby tylko była o dziesięć lat młodsza, pomyślał. Jaka szkoda, że ludzie się starzeją...

– Comstock, błagam – wysapała Jenny z trudem, jakby za chwilę miała się udusić. – Możesz zgasić to cygaro? Wykończysz nas oboje...

Comstock uśmiechnął się tylko i umyślnie zionął obrzydliwym dymem w jej stronę.

– Wprost przeciwnie, moja droga – zarechotał. – Dym doskonale konserwuje...

Dwie limuzyny dalej Janey Wilcox spojrzała na swoją lewą dłoń i wydała cichy okrzyk przerażenia.

Nie zdjęła obrączki ani pierścionka zaręczynowego.

Szybko zsunęła je z palców i chciała schować do malutkiej wieczorowej torebki od Prady, ale zawahała się przez moment. Zalała ją fala okropnych wyrzutów sumienia. Nagle zapragnęła, żeby Selden był przy jej boku, żeby mógł zobaczyć moment jej wielkiego triumfu...

Widok tych dwóch obrączek nieuchronnie przywołał wspomnienia chwili, sprzed siedmiu miesięcy, kiedy Janey stanęła w blasku palącego słońca Toskanii, patrząc w oczy mężczyzny, który za chwilę miał zostać jej mężem. Była wtedy przekonana, że go kocha, ale po raz kolejny zawiodła się w miłości i oto znów była sama...

Czuła się poniekąd oszukana przez życie; kiedy człowieka spotyka w końcu coś dobrego, powinien mieć przy sobie kogoś, z kim mógłby podzielić się szczęściem. A Janey nie miała nikogo, nawet jednego przyjaciela... Siedziała sama na szerokim, obitym czarną skórą siedzeniu

limuzyny i chciało jej się płakać.

Nie wolno, upomniała się. Wizażystka męczyła się nad jej twarzą dwie godziny i wzięła za pracę w dniu oscarowej gali pięćset dolarów (które Janey też musiała wyłożyć z własnej kieszeni), a poza tym przecież za chwilę miało się rozpocząć najważniejsze przyjęcie w jej życiu. Spojrzała jeszcze raz na obrączki leżące na dłoni. Narastająca ekscytacja ukoїła żal. Nowe początki zawsze są bolesne, a dzisiejszy wieczór miał zmienić całe jej życie; tego Janey była pewna...

Bo przecież czym właściwie są te obrączki, jeśli nie symbolem poddaństwa? Janey była już bliska wyrzucenia ich w patetycznym geście przez okno, ale powstrzymała ją myśl o życiu w nędzy, które przecież wcale nie było wykluczone. Tymczasem sam pierścionek zaręczynowy kosztował czterdzieści tysięcy dolarów; powinna go raczej sprzedać...

Z obojętną miną wrzuciła obrączki do torebki i wyjąwszy puderniczkę, przejrzała się w lusterku.

Był to jeden z tych szczęśliwych dni, kiedy uroda Janey błyszczała najjaśniej. Praktycznie rzecz biorąc, nie gasła ona nigdy, ale tej konkretnej nocy wydawała się żyć własnym życiem, jakby rozumiała, że teraz wszystko zależy od jej czarodziejskiej mocy. W rezultacie od Janey biło tego wieczoru jakieś wewnętrzne światło: jej włosy lśniły, a zęby oślepiały bielą na tle nowej, czerwonej szminki.

Janey, zadowolona ze swojego wyglądu, zamknęła puderniczkę i z przyjemnością przypomniała sobie, że uroda nie jest jej jedynym atutem.

Około jedenastej rano zadzwonił do niej Comstock Dibble z

wiadomością, że chce zrobić film na podstawie jej scenariusza. Dwa lata temu, kiedy zaczynała go pisać, po takim telefonie Janey na pewno skakałaby z radości; dla dziewczyny bez pracy i pieniędzy sprzedanie scenariusza było spełnieniem najśmielszych marzeń. Jednak od tego czasu sporo się wydarzyło, a ona zdążyła się nauczyć, że trzeba mierzyć wyżej. Nawet jeszcze przed rokiem wiadomość, że na podstawie jej scenariusza powstanie film, zaszokowałaby ją do tego stopnia, że bez szemrania pozwoliłaby Comstockowi na realizowanie projektu według własnego uznania. Ale teraz była już mądrzejsza i nie zamierzała tak łatwo wypuścić swojego dzieła z rąk. Chciała wyciągnąć z tego przedsięwzięcia jak najwięcej dla siebie. Widziała się co najmniej w roli producentki... Oczywiście nie zdradziła się z tym przed Comstockiem, z czego była bardzo zadowolona. Dibble przede wszystkim dopytywał się, dlaczego wcześniej nie pokazała mu swojego scenariusza. Janey nie potrafiła mu odpowiedzieć (już sama myśl o tym, że opisuje komuś dwa miesiące na jachcie Raszida, niemalże odbierała jej mowę), ale miała przeczucie, że gdyby wtedy oddała scenariusz do Parador Pictures, nie byłaby dziś aż tak wysoko. Jeszcze zeszłego lata była nikiem, ładną dziewczyną z garścią notatek na różowym papierze. Dziś cieszyła się sławą i rozgłosem. Do tego instynkt podpowiadał jej, że nie tylko Comstock Dibble może być zainteresowany tym scenariuszem...

Samochód podjechał przed wejście, a kierowca otworzył okno i podał zaproszenie krępemu ochroniarzowi, który z kolei poświecił latarką w okno limuzyny. Po chwili kierowca otworzył tylne drzwi.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, Janey wysiadła.

Kiedy tylko stanęła na czerwonym dywanie, znalazła się w samym środku rozwrzeszczanej, spoczonej, pulsującej masy ludzkiej. W jej kierunku posypały się natrętne żądania: aby spojrzała w tę stronę, w tamtą stronę, żeby przystanęła, odwróciła się, obejrzała przez ramię, aż wreszcie tłum fotografów wchodzących sobie nawzajem na głowę, żeby tylko wywalczyć lepsze ujęcie, przelał się przez ustawione barierki, a do akcji wkroczyli ochroniarze. Na przyjęciach takich jak to zawsze jest jedna osoba, na którą fotoreporterzy polują ze szczególną zjadłością, ponieważ wiedzą, że jej zdjęcia kupią gazety i magazyny na całym świecie. Tego wieczoru numerem jeden była Julia Roberts, zdobywczyni Oscara, ale Janey Wilcox deptała jej po piętach. W oczach paparazzich Janey była tak samo znana, a do tego cieszyła się o wiele gorszą sławą niż gwiazdy filmowe. No i te pogłoski o scenariuszu, którym zajął się już Comstock Dibble... Jeśli wierzyć plotkom, był to prawdziwy dynamit, a wszystko, co napisano o Janey w gazetach, miało się okazać nieprawdą.

Tanner Cole dotarł w pobliże wejścia dokładnie w tej chwili, kiedy zamieszanie osiągnęło apogeum. Zmarszczył brwi, nie mogąc domyślić się, kto może być powodem aż takiego poruszenia. Za wcześnie jeszcze na Julię Roberts, a poza tym tak wielkiego szaleństwa nie wywołało nawet pojawienie się przed rokiem Pameli Anderson w towarzystwie Elizabeth Hurley. Czy to możliwe, że w Hollywood była nowa aktorka, a on, Tanner Cole, nic o niej nie wiedział? Przystanął zdziwiony na chodniku. W pewnym momencie minął go ochroniarz ciągnący za sobą fotoreporterkę

magazynu „People”, blondynkę po trzydziestce.

– Kochamy cię, Janey! – krzyczała kobieta.

– Kto to jest? – zagadnął ją Tanner.

– Tanner! Mogę zdjęcie? – zawołała.

Ochroniarz podniósł ostrzegawczo dłoń.

– Słyszała pani: na dziś ma pani z głowy zdjęcia.

Tanner wzruszył ramionami, jakby nie mógł nic na to poradzić.

Ochroniarze przeprowadzili go przez ciżbę i Cole wszedł do restauracji.

– Kto to jest? – zapytał kilka minut później Ruperta Jacksona.

Tajemniczą dziewczynę otaczał teraz wianuszek tuzów Hollywoodu.

Tanner dostrzegł wśród nich redaktora naczelnego „Vanity Fair” oraz

szefową American Pictures. Nieznajoma zrobiła na nim ogromne

wrażenie. Miała długie, proste blond włosy i piersi o przepysznym

kształcie (wyraźnie poprawiane, ale co to za różnica?), rysujące się pod

gorsetem pięknej sukni w stylu lat siedemdziesiątych. Była akurat w

odpowiednim wieku, aby wyglądać na osobę doświadczoną i dzięki temu

interesującą, a jednocześnie kusić męskie oko powabem młodości. Dla

Tannera Cole'a na całej sali nie było piękniejszej kobiety. Jednak

najbardziej niezwykle były jej oczy, w które spojrział przed chwilą, kiedy

podawał jej upuszczoną torebkę. Lśniły one blaskiem szafirów spod

długich rzęs, a ich frapujący wyraz oczarował Tannera, który, jak każdy

aktor, uważał się za znawcę ludzkiej duszy. Był przekonany, że w tych

oczach dostrzegł autentyczny, głęboki smutek...

– Faktycznie zbyt długo cię nie było – zachichotał Rupert Jackson. – To



Janey Wilcox, słynna Modelowa Prostytutka...

– Prostytutka? – Tanner wytrzeszczył oczy. Przez chwilę był o krok od dzielenia Ruperta pięścią. – Prawdziwa?

– Głupi jesteś jak but. – Rupert się wykrzywił. – To te chińskie kurczaki z kuchni okrętowej tak rozwodniły ci umysł. Taka z niej prostytutka jak ze mnie albo z ciebie.

– Mów za siebie, kolego sympatyczny – odgryzł się Tanner. – Jakim cudem jeszcze o niej nie słyszałem?

– Jesteś obrzydliwy – oznajmił Rupert.

– Przyrowadź ją na imprezę po bankiecie, dobrze? – poprosił Tanner.

Miał wielką ochotę popisać się przed fantastyczną Janey Wilcox, ale w żadnym wypadku nie tutaj, na oczach tłumu ludzi. Cole był bardzo wrażliwy na punkcie prawa do prywatności.

Rupert oddalił się pospiesznie, żeby spełnić jego życzenie. Kochał Tannera i zawsze robił wszystko, czego tamten sobie życzył. W nagrodę za tę miłość Tanner od czasu do czasu pozwalał, żeby Rupert zrobił mu dobrze.

Janey Wilcox stała pośród małej grupki ludzi, co jakiś czas kiwając głową.

Gdyby ktoś przypadkiem na nią spojrział, zobaczyłby osobę całkowicie opanowaną, uprzejmie uśmiechniętą i skoncentrowaną na tym, co mówi szefowa American Pictures, Candi Clemens. Candi, kobieta około czterdziestu pięciu lat, opowiadała o niedawnym przyjęciu z okazji trzecich urodzin swojego dziecka. Janey na pozór słuchała uważnie, ale jej

myśli goniły jedna drugą niczym kości potrząsane w kubku...

Spodziewała się, że będzie celem fotografów, ale nie była

przygotowana na takie szaleństwo ani też na tak nagły wybuch sympatii.

Jeszcze dwa tygodnie temu była publicznie wyklęta, a zdjęcia robiono jej

tylko po to, żeby ją ośmieszyć, ale dziś niewiadomym sposobem wszyscy

zdążyli się już dowiedzieć, że Janey Wilcox napisała scenariusz. Cóż to

była za satysfakcja patrzeć, jak spełnia się to, na co Janey czekała z tak

niezachwianą wiarą przez całe życie. Aby mogła wejść na przyjęcie,

potrzebna była eskorta dwóch ochroniarzy, a w tłoku i zamieszaniu Janey

przypadkiem upuściła torebkę...

W pierwszej chwili nawet tego nie zauważyła, rozglądając się w

olśnieniu po sali. Restauracja została urządzona na wzór srebrnego pałacu;

wchodzący miał wrażenie, że przekroczył próg magicznego lustra i znalazł

się w baśniowym świecie po jego drugiej stronie. Na podłodze mieniły się

srebrne cekiny, greckie kolumny oplecione były girlandami róż

pociągniętych srebrnym sprayem, a sufit i ściany ozdobiono srebrnymi

cherubinami. Nagle ni stąd, ni zowąd u boku Janey pojawił się mężczyzna.

Podniósł upuszczoną torebkę i wręczył jej z uśmiechem. Janey mogła

przysiąc, że słyszała, jak szepnął pod nosem jedno słowo:

„Zachwycająca”. W tej chwili ich spojrzenia się spotkały: Janey nieomal

zemdląła z wrażenia, kiedy poznała gwiazdora Tannera Cole'a.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się jakby nigdy nic.

Oddalił się w kierunku baru. Janey patrzyła za nim i nagle pomyślała,

że gdyby to się działo w szkole, Tanner byłby gwiazdą drużyny futbolowej, a nim wieczór dobiegłby końca, musiałby paść jej łupem...

Wtedy zobaczyła, jak Tanner wita się przy barze z Rupertem Jacksonem i przypomniała sobie, jak na bankiecie u Mimi Kilroy dowiedziała się o nim, że Rupert jest gejem. W takim razie Tanner też może być homo, pomyślała, obiecując sobie nie popełnić tej samej pomyłki po raz drugi.

Żałowała, że nie ma tutaj Billa Westacotta, który służyłby jej za przewodnika. Bill! Całkiem o nim zapomniała, a przecież było zupełnie możliwe, że przebywa obecnie w Los Angeles. Janey zanotowała w pamięci, że jak najszybciej, najlepiej już jutro, musi poszukać Billa. Jeżeli ma pozostać w tym mieście (a wiele na to wskazywało), będą jej potrzebni sprzymierzeńcy... Nie miała jednak czasu, żeby nad tym pomyśleć, ponieważ kiedy tylko weszła do sali, otoczyła ją zwarta grupka życzliwych. Był wśród nich sam naczelny „Vainity Fair”, a także Candi Clemens, szefowa American Pictures. Janey nie orientowała się zbyt dobrze w hollywoodzkich stosunkach, ale natychmiast wyczuła, że Candi jest jedną z najważniejszych osób na tej sali, a to, że raczy z kimś rozmawiać, stanowi nie lada zaszczyt. Słuchała więc z uwagą opowieści Candi o przyjęciu urodzinowym (impieza była urządzona w stylu japońskim; nie zabrakło nawet takich atrakcji jak akwarium z karpiami koi czy szef kuchni przyrządzający specjalne sushi dla dzieci), a jednocześnie zastanawiała się, w jaki sposób najlepiej wykorzystać tę sytuację.

– Wiesz, Janey. – Candi mówiła z ostrym akcentem ze wschodniego wybrzeża i, jak się wydawało, była przyzwyczajona do tego, że ludzie

słuchają uważnie każdego jej słowa. – Mieliśmy na przyjęciu pół setki maluchów, ale tutaj, w Hollywood, nikt nawet nie tknie ryżu, więc dzieci uczą się jeść sashimi, zanim jeszcze zaczną chodzić...

Janey skinęła głową, robiąc mądrą minę. Nie miała pojęcia, że w Hollywood jest aż tyle dzieci. Wyobraziła sobie, jak uganiają się po studiach filmowych niczym stada małych myszy...

– Była też prawdziwa gejsza, która parzyła tradycyjną japońską herbatę – mówiła dalej Candi, zerkając na mężczyznę stojącego obok niej. – Ale to była atrakcja głównie dla panów mężów...

Janey zaśmiała się z żartu; jej perlisty śmiech brzmiał jak setka maleńkich dzwoneczków. Pomyślała, że w Nowym Jorku nie zwróciłyby nawet uwagi na kobietę o wyglądzie Candi Clemens, która miała około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i ważyła przy tym nie więcej niż czterdzieści siedem kilogramów. Jej naturalne blond włosy były równo obcięte minimalnie poniżej podbródka. Wszystko świadczyło o tym, że kiedyś była ładna, ale z biegiem lat z całej jej urody pozostało tylko to, co u kobiet w wieku średnim, które nie potrzebują już, żeby ich wygląd dla nich pracował, określa się mianem atrakcyjności. W Nowym Jorku, myślała Janey, Candi wyglądałaby jak te bezbarwne kobiety z Park Avenue, żony bankierów i aktywne członkinie komitetów rodzicielskich w prywatnych szkołach, do których posyłają swoje dzieci. Ale nie jesteśmy w Nowym Jorku, upomniała się Janey ze złośliwą satysfakcją; tutaj, w Los Angeles, Candi Clemens prowadzi studio filmowe. Janey zdążyła też zauważyć, że wszyscy trochę się jej boją. Nie rozumiała do końca

znaczenia stanowiska Candi w American Pictures, ale etykieta „szefowa studia filmowego" nagle nabrała w jej oczach niesamowitego splendoru...

Widząc, że Janey kiwa głową ze zrozumieniem, Candi poruszyła swój ulubiony temat: szkodliwość jedzenia ryżu. Hollywood nie jest miejscem stworzonym dla kobiet (choć wszyscy chyba byli zdania, że ten stan ulega poprawie). W kontaktach ze współnikami w interesach Candi często stosowała ofensywny trik polegający na dawaniu do zrozumienia, że chociaż potrafi zachować się naprawdę wrednie, to jednak przede wszystkim jest kochającą matką swoich dzieci. Troszczyła się o nie, to prawda (i to z typową dla siebie przesadą, która dawała znać o sobie także w odniesieniu do innych cech jej charakteru), lecz także zależało jej na tym, żeby podkraść Comstockowi Dibble'owi projekt Janey Wilcox.

Dowiedziała się o nim dziś rano; do jej gabinetu wbiegła zdyszana asystentka z wiadomością, że Comstock robi film na podstawie scenariusza Modelowej Prostytutki. Candi natychmiast postanowiła, że musi mieć ten projekt.

Snując pogadankę na temat zabójczego wpływu oczyszczonych węglowodanów na układ nerwowy rosnącego dziecka, Candi ukradkiem obserwowała Janey, starając się ocenić jej charakter. Słyszała, że Janey Wilcox została zaproszona na przyjęcie jako zdobywczyni tytułu Lafiryndy Roku. W zwykłych okolicznościach nie zwracałaby sobie głowy kimś takim. Candi była zdania, że lafiryndy są jak plankton, to jest stanowią niezbędne ogniwo łańcucha pokarmowego – i nic więcej. Janey Wilcox nie była jednak typem pustogłowej laluni. Candi od tygodni

śledziła jej losy w prasie, nie mogąc zrozumieć, jakim cudem kobieta może znosić tak zajadłą publiczną nagonkę. Teraz, gdy zajrzała dyskretnie prosto w oczy Janey, wydało jej się, że znalazła odpowiedź. W odróżnieniu od Tannera Cole'a, który dostrzegł w nich smutek znużonego anioła, Candi zrozumiała od pierwszego spojrzenia, że siłą napędową Janey jest niezmożona ambicja.

I od pierwszego spojrzenia spodobało jej się to.

Postanowiła przejąć projekt Janey. Nie chciała jednak poruszać tego tematu tutaj, na bankiecie „Vanity Fair”; byłoby to zbyt proste, a poza tym w Hollywood interesy załatwia się inaczej. Negocjacje muszą być prowadzone w pokrętny sposób i tak skrycie, że nawet agenci CIA mogliby się tu czegoś nauczyć. Candi zapytała zatem Janey, czy ma dzieci.

Janey oczywiście nie miała zielonego pojęcia o hollywoodzkich machinacjach, ale nieomylnie wyczuła nadarżającą się okazję.

– Nie i bardzo tego żałuję. – Westchnęła. – Chciałam mieć dzieci, ale mój mąż...

– Rozumiem – powiedziała Candi ze współczuciem, przypominając sobie, że Janey jest żoną Seldena Rose'a. Candi przyjaźniła się z Sheilą Rose, jego pierwszą żoną. Teraz już nie mogła się oprzeć: scenariusz Janey w połączeniu z tą siatką wzajemnych zależności stanowił zbyt kuszącą mieszankę.

– Musisz wpaść do mnie w niedzielę na lunch – oznajmiła stanowczo, najwyraźniej nie biorąc pod uwagę możliwości odmowy. – Co tydzień robimy sobie takie kameralne spotkanko. Moja asystentka zadzwoni jutro i

poda ci adres.

– Z przyjemnością przyjdę. – Janey uśmiechnęła się przebiegle. Była wprost wniebowzięta; nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd przyjechała do Los Angeles, a już szefowa studia filmowego zaprasza ją na lunch – i to do dokąd? Do własnego domu, co przecież nie może się równać ze spotkaniem w restauracji...

Nie miała jednak czasu napawać się swoim triumfem, bo kiedy tylko Candi ją przeprosiła (żeby przywitać się z Robertem Redfordem), u jej boku wyrósł jak spod ziemi Rupert Jackson. Czaił się już od dłuższego czasu, czekając na tę okazję. Nie śmiał przeszkadzać Candi Clemens, ponieważ jako człowiek zorientowany w polityce Hollywoodu zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że takie faux pas może kiedyś kosztować go rolę.

Rupert Jackson nie był jednak jedynym, który obserwował Janey. W przeciwległym kątku sali opływający potem Comstock Dibble słuchał opowieści Russella Crowe'a o jakiejś dennej kapelce, w której Russell podobno grał w rodzinnej Australii. Udawał zainteresowanie, ale w rzeczywistości kątem oka przyglądał się rozmowie Janey z Candi Clemens. Nie był zachwycony. Jeśli Candi uważała, że Comstock pozwoli wyjąć sobie swoją nową gwiazdę, to grubo się myliła. Janey Wilcox była jego odkryciem i Dibble nie zamierzał się nią dzielić. Nie wiedział jeszcze co prawda, jak ją wykorzysta. W pewnym momencie bez wątpienia będzie trzeba odsunąć ją od projektu, ale zanim to nastąpi, można organizować różne spotkania, które i tak nic nie zmienią, a jej dadzą poczucie, że jest

ważna. Comstock był nawet zdecydowany wynająć dla Janey apartament w hotelu;

zrobiłby to tym chętniej, że zapłaciłby za niego pieniędzmi George'a Paxtona...

Kilka metrów dalej stał wysoki, chudy mężczyzna przypominający wyglądem zasuszoną laskę wanilii. Podniósłszy do bladych ust kieliszek szampana, obserwował bacznie, jak Rupert Jackson prowadzi Janey przez całą salę. Uroda modelki nie uszła jego uwagi, lecz dla niego te pełne kobiece kształty układały się raczej w podwójnie przekreślony symbol dolara. Magwich Barone, czterdziestodwuletni agent gwiazd, uważany był za najpotężniejszego w swoim fachu w całym Hollywood. Słynął szeroko zarówno ze swoich seksualnych wyczynów, jak i łatwości, z jaką zmuszał szefów studiów filmowych do wypłacania swoim nic niewartym (takie miał o nich zdanie) klientom honorariów wyższych niż przewidziane. W Janey Wilcox od razu dostrzegł doskonałą markę. Jeżeli nie uda mu się zrobić pieniędzy na kobiecie, która już była gwiazdą, to znaczy, że czas wystąpić ze Stowarzyszenia Agentów Amerykańskich. Janey Wilcox mogłaby firmować swoim nazwiskiem... Na początek może nawet linię bielizny na kanale sprzedaży wysyłkowej QVC? Pozostawała jeszcze sprawa tego projektu z Comstockiem Dibble'em. Magwich Barone żadną miarą nie zamierzał przyglądać się temu z boku...

Dwie godziny później, około północy, rząd długich czarnych limuzyn leniwie piał się w górę po Sunset Plaza Drive, wioząc gości na imprezę w domu Tannera Cole'a. Jednym z tych samochodów jechał zadziwiający



tercet: Janey Wilcox, Jenny Cadine i Magwich Barone.

Magwich otworzył butelkę szampana i wyjąwszy kieliszek z

drewnianego stojaka, zwrócił się do Jenny Cadine:

– Napij się, kochanie?

– Wiesz, że nie piję – ofuknęła go Jenny, udając oburzenie faktem, że

Magwich mógł o tym zapomnieć. Nie była w dobrym humorze, ponieważ

siedziała obok Janey. Comstock przedstawił je sobie na przyjęciu i od tej

pory Jenny była wściekła, że ta Wilcox, nawet nie prawdziwa aktorka,

wygląda lepiej niż ona. Bolało ją to tym bardziej, że było zupełnie

niespodziewane – Jenny wyobrażała sobie Janey Wilcox jako niską

brunetkę w typie feministki, czyli taką, co nie goli nóg ani pach...

– Jasne. – Magwich wykrzywił usta w sarkastycznym uśmiechu,

wręczając Jenny kieliszek. – Papierosów też nie tykasz, no i – westchnął,

wznosząc oczy, jakby szukał odpowiedzi na suficie – masz tylko

dwadzieścia osiem lat. Czy może zdecydowałaś się wreszcie rozpocząć

dwudziesty dziewiąty rok życia, żeby nie wzbudzać podejrzeń?

– Magwich! – upomniała go Jenny. Wzięła podany kieliszek i zwróciła

się do Janey z przymilną poufałością: – Widzisz, jak wygląda życie w

Hollywood?

– Widzę. – Janey uśmiechnęła się ostrożnie. – Z pewnością ciężko to

znieść.

Usiadła wygodniej, wodząc wzrokiem od Jenny Cadine do Magwicha

Barone'a i z powrotem. Z jednej strony sytuacja była wprost

niewiarygodna: oto ona, Janey Wilcox, jechała na prywatną imprezę po

rozdaniu Oscarów w towarzystwie jednej z największych gwiazd

Hollywood i jednego z najpotężniejszych agentów. Z drugiej strony jednak cały dzisiejszy wieczór upłynął w tak nierealnej atmosferze, że Janey nie mogła się już niczemu dziwić. Był to jeden z tych rzadkich dni, kiedy wszystko wydaje się możliwe; Janey była zdecydowana dać się ponieść szczęściu i sprawdzić, dokąd ją ono zaprowadzi. Magwich i Jenny, jak większość ludzi, których tutaj poznała, różnili się od nowojorczyków tak bardzo, jakby pochodzili z innej planety, ale Janey nie sprawiało to trudności, ponieważ wiedziała, co to znaczy żyć w innej kulturze, a poza tym była bystra i szybko się uczyła...

– Powiedz, Janey Wilcox – zagadnął ją Magwich, wręczając kieliszek szampana – jakie jest twoje największe marzenie? Gdyby z tej butelki nagle wyskoczył dobry duszek i powiedział, że możesz dostać w Hollywood każdą pracę, co byś wybrała? Mierz wysoko. Dziś jest wieczór spełniania życzeń...

Janey spojrzała na niego i z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Zdażyła już zauważyć, że Magwich ma skłonność do przemawiania kwestiami żywcem ściągniętymi z jakiegoś groteskowego filmidła.

Chociaż wyglądem przypominał patyczaka, nosił się z klasą, która była jak mieszanka stylu Cary'ego Granta i Waltera Matthau. Pojawił się przy jej boku nagle, w samym środku bankietu „Vanity Fair”, kiedy Comstock przedstawiał jej Jenny Cadine (widok Jenny płonącej ze wstydu, kiedy poznała dziewczynę z Dingo's, sam w sobie był wart tych pięciu kawałków za bilet lotniczy). Magwich spojrzał na Dibble'a z góry, jak na małego

chłopca przyłapanego na jakiejś psocie, po czym skłonił się przed Janey:

– Magwich Barone, do usług – przedstawił się i zanim zdążyła

odpowiedzieć, wziął ją pod ramię i odprowadził na stronę. – Przy okazji –

dodał – jestem twoim nowym agentem.

– Naprawdę? – zapytała Janey, która oczywiście wiedziała, kim jest

legendarny Magwich Barone. Kilka lat temu krążyły głośne plotki o tym,

jak Magwich zamknął znaną modelkę na cały dzień w szafie,

wypuszczając tylko do łazienki i kiedy chciał się z nią kochać. Janey nie

była pewna, czy ktoś taki powinien być jej agentem, ale zdążyła już

zrozumieć, że w Hollywood dziewczyna potrzebuje sojuszników. Nie

próbowała więc mu się sprzeciwić, szczególnie kiedy powiedział:

– Ten Comstock Dibble to szczywany lis i trudniejszy do wykończenia

niż karaluch. Nie wolno ci zrobić nic, dopóki nie zobaczę twojego

kontraktu.

A kiedy Janey przyznała mu się, że praktycznie rzecz biorąc, nie

podpisała jeszcze kontraktu, drgnął nagle, kłapiąc zębami jak rottweiler,

który złapał trop zbiega... Potem było już zupełnie oczywiste, że Magwich

wybiera się z Janey na imprezę u Tannera Cole'a, a Jenny Cadine pojedzie

razem z nimi.

– Magwich. – Jenny westchnęła, wyraźnie zirytowana. – Janey ma już

pracę. Jest feministką!

Janey posłała Magwichowi uśmiech znad krawędzi kieliszka, na co on

odpowiedział porozumiewawczym mrugnięciem. Nie mogła zrozumieć,

dłaczego Jenny Cadine wbiła sobie do głowy ten pomysł. Chociaż Janey

przyznawała się do feministycznych poglądów na niejednej randce, to miała wrażenie, że tutaj, w Hollywood, miano feministki jest nieco obraźliwe. Wystarczało jej, że pomimo pięknych uśmiechów zapewne nadal uważano ją tu za prostytutkę; nie chciała, żeby jeszcze Jenny Cadine dorzuciła swoje trzy grosze, rozgłaszając, że Janey Wilcox jest feministką. Wyjęła puderniczkę z torebki i przejrzała się w lusterku, składając uwodzicielsko usta.

– Naprawdę chcesz znać moje marzenie? – zapytała, a kiedy Magwich skinął skwapliwie głową, zatrzasnęła puderniczkę i spojrzała mu śmiało w oczy. – Chcę być jak Candi Clemens – oświadczyła. – Nie będę szczęśliwa, dopóki nie stanę na czele własnego studia filmowego...

Magwich gwizdnął cicho. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale Janey nie przejęła się tym. Uśmiechnęła się do niego, rzucając mu spojrzenie spod opuszczonych rzęs.

– Jeśli rzeczywiście masz ambicję zostać moim agentem, musisz zrozumieć, jakie cele sobie stawiam – powiedziała. Było jej wszystko jedno, czy Magwich uwierzył, czy nie. W Nowym Jorku też wszyscy ją wyśmiewali, kiedy chciała zostać producentką, a gdyby mogli ją teraz zobaczyć...

Odwróciła się do okna. Samochód przejeżdżał właśnie przez drewnianą bramę na szczycie stromego wzgórza. Poniżej bramy, na krawędzi urwiska, stał olbrzymi dom w stylu hiszpańskim, z czerwoną dachówką i ścianami tynkowanymi na żółto. Limuzyna zatrzymała się przed wejściem. Trójka pasażerów wysiadła. Magwich ujął Janey pod ramię.

– Musisz zapamiętać jedną rzecz, Janey – powiedział miłym tonem. –

Jestem agentem. Jeśli ktoś jest ambitny, od razu ma u mnie plus. –

Przerwał na chwilę. – Ale na razie – podjął, patrząc znacząco – zachowaj te pomysły dla siebie. W tym mieście karierę można zrobić tylko w dwóch wypadkach: kiedy ludzie uważają cię za głupią, albo kiedy się ciebie boją.

Mój plan jest taki: najpierw niech myślą, że jesteś głupia. Potem załatwimy wszystkich.

Janey już chciała zaprotestować, ale po namyśle ugryzła się w język.

Była tutaj nowa i za nic w świecie nie chciała zmarnować swojej szansy.

Trzeba przynajmniej wiedzieć, jakie reguły się łamie...

– Jak uważasz, mój drogi – zaszcebiotała.

Jej uległość została dobrze przyjęta.

– Dziś, kochana – Magwich szepnął jej do ucha, ściskając ramię – chcę, żebyś była gwiazdą.

Dla Janey nie był to żaden problem. Przez całe życie uważała się za gwiazdę.

Drzwi wejściowe otworzył angielski kamerdyner. Weszli najpierw do przedpokoju, gdzie na zielonych ścianach wisały poroża, a następnie do ogromnych rozmiarów salonu. Wzdłuż jednej jego ściany ciągnął się rząd przeszklonych drzwi wychodzących na rozległy, wyłożony posadzką balkon. Naprzeciwko znajdował się kamienny kominek. Całe pomieszczenie było pełne wyściełanych skórzanych kanap i foteli, ale Janey nie miała czasu, żeby przyglądać się meblom, bo od samego progu jej uwagę przykuł Tanner Cole.

Stał oparty o gzyms kominka; zdążył już zdjąć smoking i teraz miał na sobie bawełniane spodnie w prążki. W takim stroju każdy wyglądałby głupio, ale nie on. Tanner Cole w tych spodniach wyglądał jak rasowy Amerykanin, czyli facet, który wygrywa wszystkie nagrody bez żadnego wysiłku – po prostu dlatego, że mu się należą. W zagadkowy sposób w porównaniu z nim każdy mężczyzna obecny na przyjęciu wyglądał jak podczłowiek. Tanner miał ten rodzaj magnetyzmu, który zawsze przyciąga uwagę wszystkich. Na bankiecie „Vanity Fair” Janey nie mogła się oprzeć, żeby co chwila na niego nie spoglądać. Kilka razy przyłapała go też, jak pożerał ją wzrokiem, co ostatecznie przekonało ją, że Cole nie może być gejem.

Teraz także spojrział na nią i jego źrenice się rozszerzyły, kiedy ją rozpoznał. Nie ruszył się jednak z miejsca, więc Janey obdarzyła go tylko przelotnym uśmiechem. Zauważyła już, że jest to człowiek, który lubi robić wszystko po swojemu, postanowiła więc się nie spieszyć. Była pewna, że sam do niej przyjdzie...

Odwróciła się i mało brakowało, a potknęłaby się o nogi Craiga Edgersa.

Craig siedział, wyciągnąwszy nogi przed siebie, w rogu brązowej zamszowej kanapy, wbijając posępny wzrok w kieliszek martini. Był w Los Angeles zaledwie od trzech dni, ale zdążył już zrozumieć, że tutaj słynny powieściopisarz jest zupełnie kim innym niż w Nowym Jorku. Tam wszyscy go znali. Całkiem niedawno ładna młoda urzędniczka w banku rozpoznała go na podstawie zdjęcia z okładki jego książki, co było o tyle

niezwykłe, że zdjęcie to miało dziesięć lat. I co z tego, kiedy w Los Angeles był niewidoczny. Rok temu nie przejąłby się tym wcale, jednak przez ostatnie sześć miesięcy przywykł do pochlebstw, którymi w Mieście Aniołów raczej go nie obsypywano. Oczywiście, ludzie „słyszeli” o jego książce, która „podobno była świetna”, ale Craig nie spotkał jeszcze ani jednej osoby, która naprawdę ją przeczytała. Nie dalej jak tego ranka był na spotkaniu z młodym dyrektorem w firmie Fox Searchlight; szczeniak miał czelność wspomnieć, że warto byłoby zastąpić główną bohaterkę dwudziestopięcioletnią dziewczyną...

I do tego jeszcze to przyjęcie. Cole, jego wieloletni przyjaciel, uparł się, żeby Edgers na nim został, tymczasem Craig stwierdził, że zaczyna już naprawdę odczuwać wpływ wieku średniego, skoro po północy ma wrażenie, że dawno powinien leżeć w łóżku. Nie chciał jednak wracać do pokoju, bo rano zawiedziony Tanner jak zwykle w takich sytuacjach nic by nie powiedział, tylko patrzyłby smutno, a Craig znów czułby się jak frajer. Tanner Cole, jak żaden inny mężczyzna, obdarzony był niezwykłą wrażliwością, która na pierwszy rzut oka wydawała się nieszczerą. Jednak Craig, po blisko dwudziestu latach przyjaźni z nim, miał już pewność, że jest to cecha prawdziwa. Tanner potrafił jednym spojrzeniem odmienić atmosferę w towarzystwie – jeśli był zadowolony, wszyscy potrafili cieszyć się życiem, ale gdy miał zły humor, człowiek czuł się jak w piekle...

Craig uniósł głowę, spodziewając się ujrzeć Tannera, ale kiedy zamiast niego zobaczył Janey Wilcox, jego zaskoczenie było tak wielkie, że o

mały włos byłby wylał swojego drinka. Poczł się tak, jakby ukazał mu się duch, a ona, sądząc po minie, była równie zdumiona, widząc go tutaj.

– Craig – wykrztusiła. Nie spodziewała się spotkać kogoś takiego na imprezie u Tannera Cole'a; natychmiast przypomniała sobie, jak Selden wypomniał jej, że zrujnowała Craigowi karierę. Czy on teraz zechce z nią rozmawiać? Usiadła obok niego, zanim zdążył powiedzieć jej coś nieprzyjemnego.

Craig faktycznie był zły na Janey Wilcox, ale nie dlatego, jak sobie tłumaczył, że narobiła mu kłopotów ze scenariuszem ekranizacji jego książki. W rzeczywistości czuł się dotknięty, ponieważ Janey ni stąd, ni zowąd zniknęła z jego życia. Oczywiście, nie zrobiła tego bez powodu, ale Craig i tak miał jej za złe, że nie zadzwoniła i nie wytłumaczyła mu wszystkiego. Powinna to zrobić. Craig czuł się wykorzystany przez Janey (choć nie potrafił powiedzieć, w jaki sposób) i żywił do niej głęboką urazę odtrąconego kochanka, który nie potrafi zrozumieć, czemu ukochana rzuciła go tak nagle. W styczniu i na początku lutego, kiedy przychodziła do niego pod pozorem omawiania scenariusza, Craig zaczął wierzyć, że zakochała się w nim. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że to niemożliwe. Był pewien swego, słysząc od niej co chwila, że jest geniuszem.

Wyobrażał sobie, że są jak Arthur Miller i Marilyn Monroe...

Craigowi brakło wyrafinowania, żeby nauczyć się ukrywać swoje uczucia, toteż chociaż był zadowolony, że Janey przysiadła się do niego (gdyby minęła go bez słowa, jego gniew na nią rozgorzałby na nowo), to zamierzał dać jej do zrozumienia, że czuje się zawiedziony.



– Cześć, Janey – rzucił sztywno, pociągając łyk koktajlu. Uparcie nie patrzył na nią, ale wprost przed siebie.

– Craig – powiedziała Janey miękko, przysuwając się bliżej – bardzo się cieszę, że cię widzę. – Nagle zrozumiała, że faktycznie się cieszy.

Hollywood było cudowne, ale... – Miło zobaczyć znajomą twarz.

– Tak? – spytał sarkastycznie Craig. – To znaczy, że ci wszyscy ludzie to nie są twoi znajomi?

Jak zwykle jednak Craig nie mógł równać się z Janey.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła. – Tak naprawdę nie znam tu nikogo. Przyleciałam wczoraj, a tutaj przyjechałam prosto z bankietu „Vanity Fair”. – Musiała o tym wspomnieć. – Wszyscy są bardzo mili, ale przecież wiesz, że to nie to, co u nas.

Craig wiedział o tym aż za dobrze, musiał się więc z nią zgodzić. Upił jeszcze jeden łyk martini. Czuł wyraźnie, że ponownie zaczyna ulegać urokowi Janey, ale nie chciał poddawać się tak łatwo. Zraniła go i zasłużyła na karę. Przyszło mu na myśl, że mógłby wstać i zostawić ją, ale prawda była taka, że on też nie znał tutaj nikogo oprócz niej i naprawdę chciał z nią porozmawiać...

– Mogłaś zadzwonić – powiedział z wyrzutem.

– Chciałam! – zawołała z oburzeniem, po czym spuściła wzrok. –

Chciałam, ale nie mogłam. Selden... – Położyła palce na ustach, jakby nie była pewna, czy może mówić dalej.

– Selden? – Ton Craiga był lekceważący, ponieważ odkąd uczucie do Janey uderzyło mu do głowy, Selden wyrósł w jego oczach na wroga.

Janey zasługiwała na kogoś lepszego, kogoś z większą wrażliwością.

Janey odebrała ton Craiga jako zachętę.

– Wiem, że jesteś jednym z najlepszych przyjaciół Seldena. – To była lekka przesada; Janey powiedziała tak celowo, żeby Craig zaczął jej współczuć. – I chyba nie powinnam ci o tym mówić... Chodzi o to, że przez cały zeszły miesiąc byłam praktycznie więźniem we własnym domu. Selden nie pozwalał mi wychodzić, nie mogłam nawet korzystać z telefonu.

Przerwała, aby ocenić skutek, jaki wywołały jej słowa, a widząc oburzenie na twarzy Craiga, zadowolona kontynuowała:

– Na pewno już słyszałeś, że rozstałam się z Seldenem.

Craig jeszcze o tym nie słyszał, ale te słowa podziałały na niego jak balsam. Nie ośmieliłby się wykorzystać takiej okazji (zbyt bał się Lorraine), ale ożywił się na samą myśl o tym, że mógłby...

– Wielka szkoda – skłamał z zadowoleniem.

– I tak, i nie. – Janey wzruszyła ramionami, jakby chciała przez to powiedzieć, że życie musi toczyć się dalej. – Jak długo tutaj będziesz? Ja zostanę przynajmniej tydzień – dodała, myśląc o lunchu u Candi Clemens.

– Może się spotkamy?

Craig chciał wyjechać już nazajutrz, ale nagle przypomniał sobie, że po pierwsze, nie miał nic pilnego do załatwienia w Nowym Jorku, a po drugie, Tanner zapraszał go do pozostania tak długo, jak tylko chciał – nawet cały miesiąc. Spodobał mu się ten pomysł. Żona była daleko, pogoda jak marzenie, a teraz kiedy przyjechała Janey...

– Być może zostaną jeszcze kilka dni – powiedział wymijająco, nie chcąc, żeby Janey zorientowała się, że zmienił zdanie ze względu na nią – o ile Tanner mnie nie wyrzuci...

– Tanner? – zapytała zaskoczona.

– Tanner Cole – potwierdził. On też nie mógł oprzeć się pokusie zrobienia na niej wrażenia. – Mieszkam tutaj, u niego.

– Tak? – zdziwiła się Janey, usiłując ukryć radosne podniecenie, które wywołała w niej ta wiadomość. W jej głowie natychmiast zrodziła się setka ewentualności... Jako dobra znajoma Craiga z Nowego Jorku będzie miała świetny pretekst, żeby wpadać tu z wizytą, a Tanner Cole od razu zobaczy ją w lepszym świetle, nie jako ładną buzię i nic więcej, lecz jako kobietę, która coś sobą reprezentuje, która obraca się w towarzystwie uznanych intelektualistów pokroju Craiga Edgersa... A teraz, kiedy miała już w kieszeni Comstocka Dibble'a (a liczyła na to, że Candi Clemens także), można było bez obaw powrócić do wspólnego projektu z Craigem. To byłby doskonały pretekst, żeby się z nim widywać, a jeśli spotkania będą się odbywały w domu Tannera, to bardzo możliwe, że Janey przypadkiem wpadnie na gospodarza, a wtedy wszystko będzie wyglądało zupełnie niewinnie...

Poszukała wzrokiem Tannera. Stał w przeciwległym krańcu salonu.

Janey zauważyła, że im bliżej mu się przypatruje, tym bardziej Cole zyskuje w jej oczach. Lecz jeśli miała go zdobyć, to musiał być jej bez reszty, a żeby tego dopiąć, nie mogła ulec mu zbyt łatwo. Wyciągnęła rękę, dotykając ramienia Craiga.

– Wiem, że to dla ciebie drażliwy temat – w jej głosie brzmiało szczere współczucie – ale musisz wiedzieć, że ostatnio Comstock Dibble i ja doszliśmy wreszcie do porozumienia. Powiedział, że chce wyprodukować film na podstawie mojego scenariusza.

Widziała, że Craig jest kompletnie zdezorientowany, ale postanowiła nie zwracać uwagi na jego zdumienie i szybko dodała:

– Umówiłam się z nim w tym tygodniu. Przypomnę mu też o naszym projekcie. – Uśmiechnęła się tajemniczo, a wtedy przed oczami stanęła jej krótka rozmowa, którą odbyła z Magwichem i jego zachwyty wynikający z faktu, że kontraktu jeszcze nie podpisała. Zakończyła więc enigmatycznie:

– Wiem, jak podejść do Comstocka, a jeśli on nie będzie zainteresowany, to znam kogoś, kto na pewno mnie wysłucha.

Rozsiadła się wygodnie na kanapie, zadowolona ze swojego popisu nieposkromionej pychy. Nie wszystko się co prawda zgadzało, ale instynkt podpowiadał jej, że tak właśnie robi się interesy w Hollywood, a ona musiała wygrać za wszelką cenę. Jednak zanim Craig zdążył pogratulować jej wspaniałych planów, obok kanapy wyrósł Magwich z kieliszkiem w dłoni. Podał go Janey.

– Pomyślałem, że chciałabyś się napić – powiedział, mierząc Craiga zaciekawionym spojrzeniem. Janey wskazała mu miejsce obok siebie.

– To jest Craig Edgers – powiedziała gładko. – Omawiamy właśnie projekt, nad którym pracowaliśmy w Nowym Jorku...

Był to szczęśliwy moment dla Craiga. Niewątpliwie zawdzięczał go Janey, swojemu dobremu duchowi, swojej muzie. Jak się okazało,

Magwich Barone, tak jak i on, stawiał siebie wysoko ponad

hollywoodzkim motłochem. Był w dodatku jednym z tych nielicznych,

którzy przeczytali powieść Craiga od deski do deski – całe pięćset

trzydzieści dwie strony. Craig nareszcie usłyszał w czyimś głosie podziw,

tak miły dla ucha pisarza, szczególnie jego pokroju. Magwich wykrztusił

niemal bez tchu:

– Chodzi o „Konsternacje”, prawda?

– Zgadza się – potwierdził Craig z widocznym zadowoleniem.

Magwich pochylił się ku niemu, lekceważąc Janey, która siedziała

pomiędzy nimi.

– Byłem zdruzgotany tym opisem mężczyzny w średnim wieku,

usiłującego odnaleźć swoją wewnętrzną młodość – powiedział. – Przez

trzy dni siedziałem kamieniem w domu...

Craig zaśmiał się, wdzięczny za uznanie, a Janey z uśmiechem wodziła

oczami od Magwicha do Craiga. Czowała wielką satysfakcję, że dwaj ludzie,

których zetknęła ze sobą, tak bardzo skorzystali na tym spotkaniu. Obaj

wyglądali na zadowolonych, a co istotne, nie było też wykluczone, że

wyjdzie z tego dobry interes. Miło było również pomyśleć, że obaj

panowie są na pewno pod wrażeniem jej koneksji...

Spojrzała w przeciwległy kraniec salonu, szukając wzrokiem Tannera

Cole'a (nie zaszkodziłoby, gdyby zobaczył ją w takim towarzystwie). Ale

kiedy zamiast niego dostrzegła znajomą twarz, nie mogła wyjść ze

zdużenia; obok przeszklonych drzwi prowadzących na balkon stał nie kto

inny, jak Bill Westacott...

Bill! Właśnie jego tak bardzo chciała tutaj spotkać i proszę, życzenie się spełniło. Czy możliwe, że w jakiś sposób usłyszał jej myśli i przybył, nie oglądając się, jak marynarz wabiony pieśnią syreny?

Spojrzała na swoich towarzyszy. Magwich porównywał pisarstwo Craiga do twórczości Gustave'a Flauberta, a Craig popijał drinka, pęczniąc z dumy, tak że jego kraciasta flanelowa koszula groziła pęknięciem w szwach. Obaj byli jak w transie, odurzeni odkryciem pokrewnej duszy. Janey uznała, że bez wyrzutów sumienia może zostawić ich samych. Mruknęła „przepraszam” i wstała.

Dostrzegłszy zbliżającą się Janey, Bill zmrużył oczy, uśmiechając się szeroko.

– Bill! – zawołała, szczerze ucieszona tym spotkaniem.

– Cześć, Wilcox. – Nachylił się, całując ją w policzek, po czym stanął plecami do reszty gości, zasłaniając Janey, jakby chciał mieć ją tylko dla siebie. – Widzę, że zdążyłaś już zawojować Hollywood – stwierdził, wwiercając się wzrokiem w jej oczy. – Przypadłaś do gustu Magwichowi Barone'owi, a trzeba ci wiedzieć, że on z byle kim nie rozmawia...

W głosie Billa zabrzmiała nuta zazdrości, co było dla Janey znakiem, że Magwich Barone jest agentem, którego warto mieć po swojej stronie.

– Powiedział, że chce ze mną pracować – przyznała się z fałszywą skromnością, przypominając sobie, jak przyjemnie drażnić się z Billem – ale nie jestem przekonana. A jak ty sądzisz?

Ale Bill tylko się roześmiał.

– Nie udawaj, Wilcox – parsknął. – Przecież dobrze wiesz, że nie

podejdziesz mnie w taki sposób. Nigdy w życiu nie posłuchałaś niczyjej rady.

– Powiedziałałam mu – oznajmiła Janey typowym dla siebie zarożumiałym szeptem – że chcę w przyszłości prowadzić własne studio filmowe...

Bill zaśmiał się złośliwie. A to zagwozdka dla starego Magwicha! Myślał pewnie, że ambicje Janey co najwyżej sięgają prowadzenia teleturnieju...

– I co on na to? – zapytał.

– Poradził mi, że na początku powinnam udawać głupią. – Janey zmarszczyła brwi. – Ale nie wiem, czy potrafię...

Już zaczyna wchodzić w rolę, pomyślał Bill, patrząc na Janey. Nagle jednak zrozumiał, że jest inaczej: Janey opanowała tę rolę już dawno, brakowało jej tylko sceny, na której mogłaby ją odegrać...

A teraz scena była pod ręką.

– Janey – powiedział, nie mogąc stłumić śmiechu – jestem całkowicie pewien, że nie ma takiej rzeczy, której byś nie potrafiła zrobić. Z udawaniem głupiej też sobie poradzisz... A właśnie – zmienił temat jakby nigdy nic – jak tam twój scenariusz? Słyszałem, że Comstock Dibble chce zrobić z niego film. Czy to ma znaczyć, że wreszcie skończyłaś swoje dzieło?

– Boże! – zawołała Janey, udając niezadowoloną. – Czy już całe Hollywood o tym wie?

Na widok jej zakłopotania Billowi nagle stanęły przed oczami

wspomnienia tych leniwych letnich popołudni, kiedy wybierał się z Janey na plażę, żeby tam kochać się z nią w pełnym słońcu. Poznali się trzy lata temu, latem, a rok później, także w sezonie, romans ożył na nowo. Janey była wtedy taka piękna, tak pełna życia (i dziwacznych pomysłów na życie, które doprowadzały go do szału). Bill szalał za nią. Ależ byłem głupi, pomyślał, że wypuściłem ją z rąk. Trzeba było rozwieść się z żoną i poślubić Janey, która, wiedział to na pewno, także go wtedy kochała...

– No dobrze. – Janey westchnęła z rezygnacją w głosie. Na pozór była lekko zdenerwowana, ale w jej oczach migotały szelmowskie ogniki. – Miałaś rację.

Bill spojrzał na nią zdziwiony. Janey przygryzła wargę.

– Nie skończyłam scenariusza. – Filuternie wzruszyła ramionami, nachylając się do jego ucha. – Napisałam tylko trzydzieści trzy strony. Najdziwniejsze w tym jest jednak to, że nikomu to nie przeszkadza.

Wszyscy uważają, że napisałam scenariusz. A ja nie wiem, co teraz mam zrobić...

– Poradzisz sobie – zapewnił Bill schrypniętym głosem, cofając się o krok, żeby spojrzeć jej prosto w oczy. Widok, który zobaczył, niemal złamał mu serce. Janey wydała mu się bardzo dojrzała. Możliwe, że był to ślad jej ciężkich życiowych przejść. Stała przed nim dorosła kobieta. Musiał odwrócić wzrok.

I dzięki temu zobaczył, jak Tanner Cole rozgląda się w poszukiwaniu Janey, a kątem oka pochwycił jej spojrzenie, którym chciała zwrócić na siebie uwagę gospodarza...



W tym momencie wiedział, że ich rozmowa jest zakończona.

– Och, Bill. – Janey pogładziła go po twarzy, a on otarł się policzkiem o jej dłoń, patrząc jej w oczy. W tej jednej krótkiej chwili oboje przypomnieli sobie wszystko, co było między nimi, wszelkie sprzeczne ambicje i wzajemne urazy, dążenia i aspiracje – i wszystko to zostało wybaczone.

Wreszcie Janey odezwała się, ulegając ostatecznie atmosferze miejsca i przyjęcia:

– Czy tutaj nie jest wspaniale?

Zostawiła go, wymykając się przeszklonymi drzwiami prowadzącymi na balkon. Bill znał tę jej sztuczkę i nieraz widział, jak ją stosowała: stanąwszy z dala od tłumu gości, wabiła upatrzonego mężczyznę. Kiedyś go to śmieszyło, ale teraz zreflektował się, że trudno mu potępić takie zachowanie.

Odwrócił się i omiół wzrokiem salon. Towarzystwo – gwiazdy filmowe, producenci, scenarzyści, agenci oraz garstka charakteryzatorów, wizażystek i osobistych trenerów gwiazd, których dorzucono dla uzupełnienia listy gości – zaczynało robić się nerwowe, ponieważ nieuchronnie zbliżał się koniec imprezy, a każdy miał jeszcze do załatwienia jakieś własne sprawy. Bill uśmiechnął się sardonicznie. Hollywood, pomyślał, to prawdziwe ukoronowanie amerykańskiej przedsiębiorczości. Skupia wszystko, co najbardziej chciwe, ambitne, małostkowe i bezwzględne. Natychmiast jednak poprawił się: to nie była cała prawda. Bo pozostawał jeszcze talent, autentyczny błyskotliwy

geniusz, a w rzeczywistości Hollywood zawdzięczało swoje istnienie i przetrwanie temu, że pod otoczką blichtru kryła się szczerą chęć czynienia dobra. Nikt nie przystępował do pracy z zamiarem nakręcenia złego filmu czy programu. Większość ludzi pragnęła tylko jednego: być jak najlepszym. A że nie zawsze i nie wszystkim się to udawało? Cóż, każdy jest tylko człowiekiem. Bill odprowadził wzrokiem Janey, która przemierzyła szerokość balkonu i stanęła samotnie na tle nocnego nieba. Bał się o nią, ale jednocześnie był dumny, że poradziła sobie z przeciwnościami losu i potrafiła wyjść z nich obronną ręką. To nic, pomyślał, że Janey wykazuje się czasem wręcz bezdenną głupotą; jej jedyną prawdziwą wadę stanowiło to, że sama była swoim najgorszym wrogiem. Większość ludzi na to cierpi, nawet on nie był wyjątkiem... Przez chwilę Bill chciał wyjść za Janey na balkon. Powstrzymał się jednak. Niech się nacieszy tą chwilą, pomyślał. Odniosła dziś wielki sukces, lecz był to sukces w stylu Hollywood: błyskawiczny, czarodziejski i wszechogarniający, lecz również groźny dla niczego niepodważającego szczęśliwca. Przed Janey była przyszłość pełna rozczarowań, zawodów, zdrady i tych strasznych momentów, w których człowiek uświadamia sobie, że jeszcze wczoraj był na szczycie, a dziś upadł na samo dno i nikt nawet nie zechce odbierać jego telefonów... Kątem oka Bill zauważył Tannera Cole'a kierującego się w stronę balkonu. Uśmiechnął się cierpko; nie zamierzał rywalizować z gwiazdorem filmowym, w każdym razie nie w tej chwili. Janey wkraczała na nową drogę życia, a on uświadomił sobie z nagłą ulgą, że tym razem

pozostanie z tyłu. Kiedy Cole go minął, odruchowo chciał życzyć mu powodzenia.

Lecz, co zrozumiałe, zachował wszystkie te myśli dla siebie. Spojrzał jeszcze raz na Janey, zastygłą w bezruchu na balkonie. Coś mu mówiło, że już niedługo Hollywood przekona się, z kim ma do czynienia. Ta kobieta była nie do pokonania; jej energia i wiara w przyszłość były wprost niespożyte...

Oparłszy jedną rękę na balustradzie, Janey zwróciła się półprofilem do drzwi prowadzących na balkon. W dole światła miasta rozciągały się szeroką panoramą. Zamknęła oczy, delektując się wonnym nocnym powietrzem, świadoma tego, że takie ustawienie tworzy wizerunek uroczej młodej kobiety pogrążonej w rozmyślaniach...

Tym razem jednak naprawdę była zamyślona. Rozważała wydarzenia dzisiejszego wieczoru i to uczucie, które mówiło jej, że nareszcie odnalazła swoje miejsce. Otworzyła oczy. Widok, który zobaczyła, poraził ją tak, że cofnęła się o krok, tłumiąc okrzyk radości. Z wysokości wzgórz Hollywood światła Los Angeles rozpościerały się przed nią niby złocisty dywan, migocząc zapraszająco.